

Karl Ove

KNAUSGÅRD

Moja walka

POWIEŚĆ
1.



Karl Ove

KNAUSGÅRD

Moja walka

KSIĘGA PIERWSZA

Z norweskiego przetłoczyła Iwona Zimnicka

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

CZĘŚĆ 1

CZĘŚĆ 2

Przypisy

Tytuł oryginału: MIN KAMP. FØRSTE BOK. ROMAN

Opieka redakcyjna: ANITA KASPEREK

Redakcja: ANNA MILEWSKA

Korekta: HENRYKA SALAWA, MAŁGORZATA WÓJCIK, ANETA TKACZYK

Projekt okładki i stron tytułowych: MAREK PAWŁOWSKI

Redakcja techniczna: BOŻENA KORBUT

Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”

This translation has been published with the financial support of NORLA. Tłumaczenie dofinansowane w ramach programu dotowania tłumaczeń literatury norweskiej NORLA (Norwegian Literature Abroad).

Copyright © Forlaget Oktober as, Oslo, 2009

All rights reserved

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2014

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05625-7

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

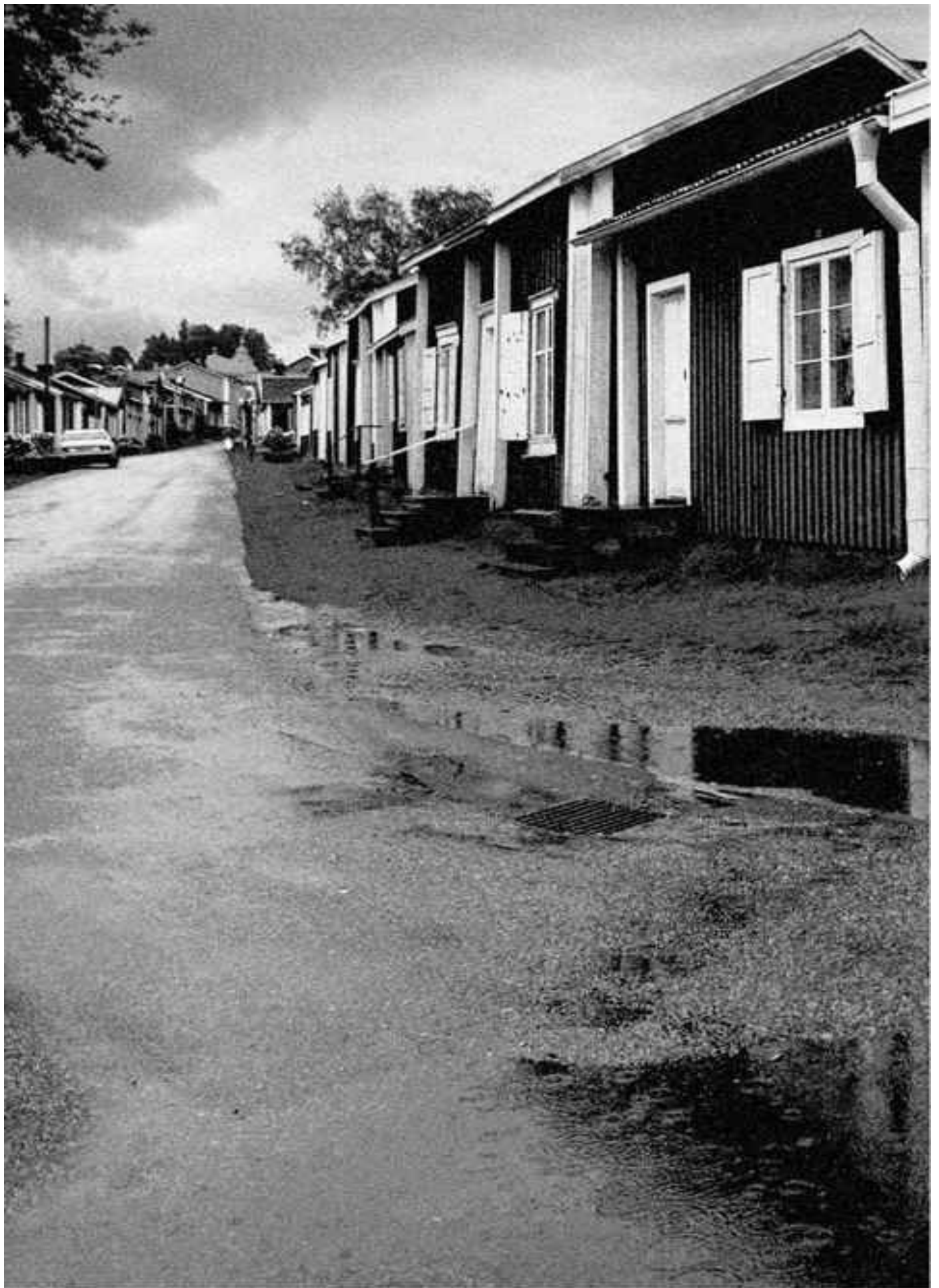
fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



Część 1

Dla serca życie jest proste: serce bije, dopóki może. Potem się zatrzymuje. Prędkiej czy później, tego czy innego dnia, ów tętniący ruch ustaje i krew zaczyna spływać w najniżej położony punkt ciała; tam się gromadzi, tworząc jakby niewielką sadzawkę, widoczną z zewnątrz jako ciemny, dość miękki obszar na coraz bledszej skórze; w tym czasie temperatura ciała spada, członki sztywnieją, a jelita się opróżniają. W tych pierwszych godzinach zmiany następują tak powoli i z taką nieuchronnością, że jest w nich coś niemal rytualnego, jakby życie kapitulowało według określonych zasad, czegoś w rodzaju *gentlemen's agreement*, porozumienia, które akceptują również wysłannicy śmierci, ponieważ zawsze czekają, aż życie się wycofa, zanim rozpoczną podbój nowego lądu. Ale podbój jest wówczas nieodwołalny. Nic już nie powstrzyma ogromnych rojów bakterii, które zaczynają się mnożyć wewnątrz ciała. Gdyby podjęły próbę zaledwie kilka godzin wcześniej, natychmiast napotkałyby opór, ale teraz wokół nich panuje zupełny spokój, mogą więc wdzierać się coraz głębiej w wilgoć i mrok. Docierają do kanałów Haversa, do krypt Lieberkühna, do wysp Langerhansa. Docierają do torebki Bowmana w *Renes*, do jądra grzbietowego Clarke'a w *Spinalis*, do istoty czarnej w *Mesencephalon*. I docierają do serca. Ono wciąż pozostaje nietknięte, lecz pozbawione ruchu, któremu służy przecież cała jego konstrukcja, ma w sobie dziwną pustkę, niczym plac budowy w pośpiechu porzucony przez robotników – tak można to sobie wyobrazić – nieruchome pojazdy, żółtą barwą odcinające się od ciemności lasu, opustoszałe baraki, wyładowane wagoniki kolejki linowej, zawieszono nieruchomo jeden za drugim nad zboczem góry.

W chwili gdy życie rozstaje się z ciałem, ciało zaczyna należeć do rzeczy martwych. Lampy, walizki, dywany, klamki, okna. Pola, bagna, strumienie, góry, obłoki, niebo. Nic z tego nie jest nam obce. Stale otaczają nas przedmioty i zjawiska należące do świata nieożywionego. A jednak mało co wzbudza w nas większą odrazę niż widok człowieka uwięzionego w tym świecie, przynajmniej jeśli sądzić po podejmowanych przez nas wysiłkach zmierzających do usunięcia martwych ciał z naszych oczu. W większych szpitalach nie tylko ukrywa się je w osobnych, niedostępnych pomieszczeniach, ale również prowadzące do nich drogi są niewidoczne, mają własne windy i własne korytarze piwniczne; poza tym nawet gdyby ktoś przypadkiem zabłądził do jednego z nich, martwe ciała, które się nimi przewozi, i tak zawsze pozostają zasłonięte. Kiedy mają zostać przetransportowane ze szpitala, wywozi się je oddzielnym wyjściem, w samochodach z przyciemnianymi szybami; w kościele jest dla nich osobne, pozbawione okien

pomieszczenie, a podczas ceremonii pogrzebowej leżą w zamkniętych trumnach, do czasu aż zostaną spuszczone do ziemi lub spalone w piecu. Jakiegokolwiek praktycznego celu takiego sposobu postępowania trudno się dopatrzeć. Martwe ciała można by na przykład równie dobrze transportować szpitalnymi korytarzami bez przykrycia, a wywozić stamtąd zwyczajną taksówką, przecież nie stanowiłyby dla nikogo żadnego zagrożenia. Starszy pan, który umiera na seansie filmowym, może bez przeszkód dalej siedzieć w kinie, obejrzeć film do końca, a nawet zostać na kolejny seans. Nauczyciela, który dostaje udaru na szkolnym podwórzu, nie trzeba koniecznie zabierać stamtąd natychmiast, nic się nie stanie, jeśli sobie poleży do czasu, kiedy woźny znajdzie wolną chwilę, żeby się nim zająć, nawet jeśli będzie to dopiero późnym popołudniem, albo i wieczorem. Gdyby przysiadł na nim jakiś ptak i zaczął go dziobać, jakie by to miało znaczenie? Czy to, co czeka go w grobie, jest lepsze tylko z tej przyczyny, że tego nie widzimy? Dopóki zmarli nie wchodzą nam w drogę, nie ma żadnego powodu do pośpiechu, przecież nie umrą jeszcze raz. Zwłaszcza okresy zimowych mrozów powinny być pod tym względem sprzyjające. Bezdomni zamarzający na ławkach i w bramach, samobójcy skaczący z wysokich budynków i mostów, starsze kobiety przewracające się na klatkach schodowych, ofiary wypadków uwięzione we wrakach samochodów, młody chłopak, który tonie w morzu po zakrapianym wieczorze na mieście, dziewczyneczka, która dostała się pod koła autobusu – po cóż ten pośpiech z ich ukrywaniem? Przyzwoitość? A co może być przyzwoitszego niż pozwolenie rodzicom dziewczynki na zobaczenie jej po godzinie albo dwóch leżącej w śniegu obok miejsca wypadku ze zmiażdżoną głową, odkrytą, tak jak reszta ciała, z zakrwawionymi włosami, odsłoniętymi tak samo jak czysta puchowa kurtka? Leżałaby wtedy otwarta na świat, bez tajemnic. Ale nawet ta jedna godzina na śniegu jest nie do pomyślenia. Miasto, które nie usuwa swoich zmarłych, lecz pozostawia ich na widoku, leżących na ulicach i w zaułkach, w parkach i na parkingach, to nie miasto, lecz piekło. I chociaż to piekło odzwierciedla kondycję ludzką w bardziej realistyczny i w zasadzie zdrowszy sposób, nie ma to żadnego znaczenia. Wiemy, że tak jest, ale nie chcemy tego zobaczyć. Stąd bierze się ów zbiorowy akt wyparcia, którego przejawem jest usuwanie zmarłych.

Nie tak łatwo natomiast określić, co dokładnie podlega wyparciu. Nie może chodzić o samą śmierć, gdyż jest zbyt silnie obecna w społeczeństwie. Liczba zmarłych, o których codziennie informują gazety, albo pokazywanych w wiadomościach telewizyjnych różni się nieco zależnie od okoliczności, ale rocznie przypuszczalnie pozostaje mniej więcej stała, a ponieważ jest rozrzucona po tylu kanałach, to w zasadzie nie da się uniknąć widoku martwych osób. Taka śmierć nie wydaje się jednak groźna. Przeciwnie, pragniemy jej i chętnie płacimy za możliwość jej oglądania. Jeśli do tego doda się ogromną ilość śmierci produkowaną przez fikcję, to system trzymania zmarłych poza widokiem publicznym staje się jeszcze trudniejszy do zrozumienia. Skoro więc nie przeraża nas śmierć jako zjawisko, skąd bierze się owa odraza do martwych ciał? Musi to oznaczać, że albo istnieją dwa rodzaje śmierci, albo nasze wyobrażenie śmierci pozostaje w sprzeczności z formą, jaką śmierć przybiera, choć w zasadzie jest równoznaczne; istotne w tym kontekście jest tak

mocne zakorzenienie w naszej świadomości samego wyobrażenia śmierci, że nie tylko odczuwamy wstrząs, widząc, iż rzeczywistość od tego wyobrażenia odbiega, lecz również usiłujemy ją ukryć za pomocą wszelkich środków. Nie jest to wynikiem jakichkolwiek świadomych rozważań, tak jak w wypadku rytuałów, na przykład pogrzebu, którego treść i sens w naszych czasach są negocjowalne, a zatem przenoszą się ze sfery irracjonalności do racjonalności, ze sfery zbiorowości do sfery indywidualności. Przeciwnie, sposób, w jaki ukrywamy zmarłych, nigdy nie był przedmiotem żadnej dyskusji, po prostu zawsze to robiliśmy, z konieczności, której nikt nie potrafi uzasadnić, ale którą wszyscy czują: jeżeli twój ojciec umiera na trawniku w wietrzną jesienną niedzielę, wnosisz go do pomieszczenia, jeśli tylko możesz. A jeśli nie możesz, to przynajmniej nakrywasz go kocem. Ale to nie jest nasz jedyny odruch w stosunku do zmarłych. Podobnie jak fakt ukrywania wszelkich zwłok, rzuca się w oczy jak najszybsze sprowadzanie ich do poziomu ziemi. Chyba nie można sobie wyobrazić szpitala, który woziłby swoich zmarłych na górę, a sale sekcyjne i kostnice budował na najwyższych piętrach. Zmarłych przechowuje się jak najbliżej ziemi. Ta sama zasada przenosi się na instytucje, które się nimi zajmują: na ósmym piętrze może mieć swoje biuro towarzystwo ubezpieczeniowe, ale nigdy zakład pogrzebowy. Wszystkie zakłady pogrzebowe zajmują lokale na poziomie ulicy. Skąd to się bierze, trudno dociec; kusiłaby myśl, że jest to związane z konwencją, wynikającą ze względów praktycznych, na przykład z tego, że w piwnicy zawsze panował chłód, więc owo pomieszczenie najlepiej się nadawało do przechowywania zwłok, a zasada ta zachowała się do naszych czasów, czasów lodówek i chłodni, gdyby nie to, że pomysł przewożenia zmarłych na górę faktycznie wydaje się s p r z e c z n y z n a t u r ą, jakby wysokość i śmierć wzajemnie się wykluczały. Jakbyśmy byli obdarzeni czymś w rodzaju instynktu chtonicznego – coś w głębi nas każe nam przenosić naszych zmarłych ku tej ziemi, z której powstaliśmy.

Może się zatem wydawać, że śmierć dystrybuują dwa różne systemy. Jeden wiąże się z utrzymywaniem tajemnicy i ciężarem, z ziemią i ciemnością, drugi – z otwartością i lekkością, z eterem i światłem. Ojciec usiłuje wynieść dziecko poza linię strzału w jakimś mieście gdzieś na Bliskim Wschodzie, oboje giną, a obraz ich ciał, ciasno ze sobą splecionych i rozedrganych od dosięgających ich kul, zostaje uchwycony przez kamerę, przesłany do tysięcy satelitów krążących po orbicie wokół Ziemi i przekazany do odbiorników telewizyjnych na całym świecie, z których wślizguje się w naszą świadomość jako jeszcze jeden obraz umarłych lub umierających. Te obrazy nie mają żadnej wagi, żadnej rozciągłości, czasu ani miejsca, nie mają również żadnego związku z ciałami, z których kiedyś się zrodziły. Istnieją wszędzie i nigdzie. Większość z nich tylko się przez nas prześlizguje i znika, nieliczne z różnych przyczyn pozostają i żyją własnym życiem w mroku naszego mózgu. Narciarka alpejska podczas upadku przerywa sobie tętnicę udową, krew ciągnie się za nią po białym zboczu jak czerwony ogon, umiera, jeszcze zanim ciało

się zatrzyma. Startuje samolot, podczas wznoszenia płomienie buchają ze skrzydeł, niebo nad domami na przedmieściach jest błękitne, samolot eksploduje kulą ognia. Pewnego dnia u wybrzeży północnej Norwegii tonie kuter rybacki, ginie siedmioosobowa załoga, następnego ranka opisują to wszystkie gazety, bo to tak zwane zdarzenie niewyjaśnione, pogoda była dobra, a kuter nie nadał żadnego sygnału SOS, tylko po prostu zniknął, co wieczorem podkreślają redakcje telewizyjne, których przedstawiciele przelatują nad miejscem wypadku helikopterami i pokazują obrazy pustego morza. Jest pochmurno, szarzielone fale są spokojne i ciężkie, jakby obdarzone zupełnie innym temperamentem niż ostre, zwieńczone białą pianą grzywacze, które ukazują się tu i ówdzie. Siedzę sam i patrzę na to, przypuszczalnie wiosną, bo ojciec pracuje w ogrodzie. Wpatruję się w powierzchnię morza, nie słysząc, co mówi reporter, i n a g l e w y ł a n i a s i ę z a r y s j a k i e j ś t w a r z y. Nie wiem, jak długo to trwa, może kilka sekund, ale wystarczająco, by wyrzucić na mnie ogromne wrażenie. W chwili gdy twarz znika, wstaję i idę szukać kogoś, komu mógłbym o tym opowiedzieć. Moja matka ma wieczorny dyżur, brat gra mecz, a inne dzieciaki z osiedla nie będą mnie słuchać, uznaję więc, że to musi być tata. Prędko schodzę na dół, wkładam stopy w buty, a ręce w rękawy kurtki, otwieram drzwi i biegnę za dom. Nie wolno nam biegać po działce, więc na moment przed znalezieniem się w jego polu widzenia zwalniam i zaczynam iść. Ojciec stoi na tyłach domu, w miejscu, w którym ma powstać warzywnik, i młotem wali w występ skalny. Chociaż zagłębienie jest niewielkie, ma zaledwie kilka metrów, to przekopana czarna ziemia, na której stoi tata, i jarzębiny rosnące gęsto za płotem z tyłu sprawiają wrażenie, że zmierzch jakby posunął się tu dalej. Kiedy tata się prostuje i odwraca do mnie, jego twarz jest prawie całkiem ciemna.

Mimo to mam więcej niż dość informacji, by wiedzieć, jaki ma humor. Nie biorą się one z wyrazu twarzy, tylko z postawy, jaką przyjmuje ciało, a odczytuje się je nie za pomocą myśli, lecz za pomocą intuicji.

Tata odkłada młot i zdejmuje rękawice.

– No i co? – pyta.

– Przed chwilą widziałem w telewizji twarz w morzu – mówię, zatrzymując się przed nim na trawniku. Sąsiad po południu ściął sosnę i powietrze przesyca silny zapach żywicy z kawałków pnia leżących po drugiej stronie kamiennego ogrodzenia.

– Nurek? – Tata wie, że interesują mnie nurkowie, i pewnie nie wyobraża sobie, by cokolwiek innego mogło mnie aż tak zaniepokoić, że przyszedłbym mu o tym opowiedzieć.

Kręcę głową.

– To nie był człowiek. To coś w rodzaju obrazu na morzu.

– Aha, coś w rodzaju obrazu – powtarza, wyciągając z kieszonki na piersi paczkę papierosów.

Kiwam głową i odwracam się, zamierzając odejść.

– Zaczekaj chwilę.

Zapala zapałkę i lekko pochyla głowę, żeby przypalić papierosa. Płomień wygrzebuje w szarym zmierzchu maleńką jaskinię światła.

– No tak – mówi.

Zaciąga się głęboko, potem stawia jedną nogę na skale i wpatruje się w las po drugiej stronie drogi. A może patrzy w niebo nad drzewami?

– Zobaczyłeś Jezusa? – pyta, kierując wzrok na mnie.

Gdyby nie przyjaźnie brzmiący głos i długa pauza przed zadaniem pytania, pomyślałbym, że ze mnie drwi. Trochę się wstydzi tego, że jestem religijny; wymaga ode mnie jedynie, żebym nie odróżniał się od innych dzieci, a wśród dzieciaków, od których roi się na osiedlu, tylko jego młodszy syn mówi o sobie, że jest wierzący.

Ale tym razem naprawdę jest ciekaw.

Czuję leciutką radość, ponieważ tata naprawdę się tym interesuje, a jednocześnie jestem nieco urażony, że tak mnie nie docenia.

– To nie był Jezus – kręcę głową.

– Właściwie cieszę się, że to słyszę. – Tata się uśmiecha. Wysoko na zboczu słychać lekki szum opon rowerowych sunących po asfalcie. Dźwięk szybko narasta, na osiedlu jest tak cicho, że niski, śpiewny ton, w który przeradza się szum, brzmi czysto i wyraźnie, gdy rower chwilę później przejeżdża obok drogą.

Tata jeszcze raz zaciąga się dymem i wyrzuca niedopalonego papierosa za płot, kilka razy odkasłuje, wciąga rękawice i znów chwyta za trzonek młota.

– Nie myśl o tym więcej – mówi, patrząc na mnie.

Tamtego wieczoru miałem osiem lat, mój ojciec trzydzieści dwa. Chociaż wciąż nie mogę powiedzieć, że go rozumiem albo że wiem, jakim był człowiekiem, to dzięki temu, iż jestem teraz o siedem lat starszy niż on wtedy, niektóre rzeczy łatwiej mi pojąć. Na przykład to, jak bardzo nasze dni różniły się od siebie. Podczas gdy moje były ciasno zapełnione sensem, każdy krok otwierał nową możliwość, a każda możliwość wypełniała mnie po brzegi w sposób, który teraz właściwie jest niezrozumiały, sens jego dni nie skupiał się na poszczególnych wydarzeniach, lecz rozciągał na obszarach tak dużych, że aby je uchwycić, należało posługiwać się pojęciami abstrakcyjnymi. Jednym z nich była „rodzina”, innym „praca zawodowa”. Dni przynosiły mu niewiele nieprzewidzianych możliwości lub nie przynosiły żadnych, zawsze w ogólnym zarysie wiedział, co przyniosą i jak ma się do nich odnieść. Był żonaty od dwunastu lat, od ośmiu pracował jako nauczyciel w gimnazjum, miał dwoje dzieci, dom i samochód. Został wybrany do samorządu gminnego i zasiadał w radzie gminy jako przedstawiciel lewicowej partii Venstre. W zimowej połowie roku zajmował się filatelistyką, nie bez sukcesu, i w krótkim czasie stał się jednym z czołowych kolekcjonerów znaczków w regionie, natomiast latem cały wolny czas

poświęcał ogrodnictwu. O czym myślał w ten wiosenny wieczór, nie mam pojęcia, nie wiem też, jak widział siebie, kiedy w półmroku prostował się z młotem w rękach, ale tego, że miał poczucie, iż całkiem nieźle rozumie otaczający go świat, jestem w zasadzie dość pewien. Wiedział, kim są wszyscy sąsiedzi z osiedla i jaką pozycję społeczną zajmują w stosunku do niego, prawdopodobnie wiedział też sporo o tym, co najchętniej pozostawiliby w ukryciu, ponieważ uczył ich dzieci, a poza tym był wyczulony na cudze słabości. Jako członek nowej, dobrze wykształconej klasy średniej orientował się nieźle również w szerszym świecie, który codziennie przybliżały mu gazety, radio i telewizja. Sporo wiedział o botanice i zoologii, gdyż interesował się tym w okresie dorastania, i chociaż może nie był za pan brat z innymi przedmiotami ścisłymi, to przyswoił sobie przynajmniej podstawowy program licealny. Lepiej znał historię, którą studiował na uniwersytecie, podobnie jak norweski i angielski. Innymi słowy, nie był ekspertem w niczym, może z wyjątkiem pedagogiki, ale wiedział trochę o wszystkim. Pod tym względem był typowym dyplomowanym nauczycielem, w czasach kiedy nauczanie w gimnazjum wciąż jeszcze oznaczało pewien status. Sąsiad zza kamiennego ogrodzenia, Prestbakmo, pracował jako nauczyciel w tym samym gimnazjum, podobnie jak Olsen, który mieszkał nad nami, za drzewami porastającymi zbocze za domem, natomiast jeden z sąsiadów mieszkających na drugim końcu obwodnicy, Knudsen, był pedagogiem szkolnym w innym gimnazjum. Kiedy więc mój ojciec unosił młot nad głowę i opuszczał go na skałę w tamten wiosenny wieczór w połowie lat siedemdziesiątych, robił to w świecie, który znał i z którym był w bliskich stosunkach. Dopiero po osiągnięciu tego samego wieku zrozumiałem, że również to ma swoją cenę. Posiadanie większej wiedzy o świecie powoduje nie tylko zmniejszenie bólu, jaki ten świat wywołuje, lecz również jego sensu. Rozumienie świata to ustawianie się w określonej odległości od niego. To co jest za małe, aby było dostrzegalne gołym okiem, na przykład cząsteczki i atomy, powiększamy, to zaś, co jest za duże, tak jak formacje chmur, delty rzek i gwiazdozbiory, zmniejszamy. Kiedy już sprowadzimy wszystko do zasięgu naszych zmysłów, zaczynamy to utrwalać. To co utrwalone, nazywamy wiedzą. Przez całe dzieciństwo i młodość mozolnie staramy się ustalić właściwy dystans do rzeczy i zjawisk. Czytamy, uczymy się, doświadczamy, korygujemy. Pewnego dnia docieramy do punktu, w którym wszystkie niezbędne odległości są już wyznaczone, wszystkie niezbędne systemy stworzone. Wtedy czas zaczyna płynąć szybciej. Nie napotyka już żadnych przeszkód, wszystko jest ustalone, czas płynie przez nasze życie, dni znikają w dzikim pędzie i zanim zdążymy się zorientować, już mamy czterdzieści lat, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt... Sens potrzebuje pełni, pełnia potrzebuje czasu, czas potrzebuje oporu. Wiedza to dystans, wiedza to bezruch i wróg sensu. Obraz ojca, jaki mam z tamtego wieczoru w 1976 roku, jest, innymi słowy, podwójny: z jednej strony widzę go takiego, jakiego widziałem wtedy oczami ośmiolatka, nieprzewidywalnego i przerażającego, a z drugiej – jako rówieśnika, przez którego życie pędzi czas, nieustannie porywając ze sobą spore kawały sensu.

Odgłos młota walącego w kamień rozniósł się po osiedlu. Od głównej drogi pod górę łagodnego zbocza wjechał samochód, minął nas z zapalonymi światłami. Drzwi u sąsiadów się otworzyły, Prestbakmo stanął na progu i wciągając rękawice robocze, zdawał się wachać przejrzyste wieczorne powietrze, po czym chwycił taczkę i pchając ją przed sobą, ruszył przez trawnik. Pachniało prochem ze skały, w którą uderzał ojciec, sosną z kawałków pnia leżących za kamiennym murkiem, świeżo przekopaną ziemią i lasem, a w słabych powiewach północnego wiatru również morską solą. Powrócił obraz twarzy, którą widziałem w morzu. Chociaż od chwili gdy ostatnio o niej myślałem, minęło zaledwie parę minut, zdążyła się już zmienić. Teraz widziałem twarz taty.

Przestał uderzać młotem.

– Ciągłe tu stoisz, synku?

Kiwnąłem głową.

– Idź do domu.

Ruszyłem.

– Ale wiesz co? – powiedział.

Zatrzymałem się, odwróciłem głowę z pytającym wyrazem twarzy.

– Tylko tym razem bez biegania.

Wpatrywałem się w niego. Skąd mógł wiedzieć, że biegłem?

– I nie rozdziawiaj tak ust – dodał. – Wyglądasz jak debil.

Zrobiłem, jak kazał, zamknąłem usta i wolnym krokiem obszedłem dom. Kiedy byłem już przed frontem, zobaczyłem, że na drodze jest pełno dzieciaków. Najstarsze stały zbite w gromadkę, trzymając rowery, które o zmierzchu sprawiały wrażenie zrosniętych z ich ciałami. Najmłodsi bawili się w chowanego. Ci, którzy zostali znaleźieni, stali w kręgu wyrysowanym kredą na chodniku, inni leżeli schowani w lesie za drogą, niewidoczni dla szukającego, ale nie dla mnie.

Światła prześła mostu żarzyły się czerwono nad czarnymi wierzchołkami drzew. Pod górę jechał kolejny samochód. W świetle reflektorów ukazali się najpierw rowerzyści, krótkie błyski odblasków, metal, puchówki, czarne oczy i białe twarze, później bawiące się dzieci, które zrobiły tylko jeden krok w bok, konieczny, żeby samochód mógł przejechać, a teraz stały jak duchy i gapiły się na auto.

To jechali Trollnesowie, rodzice Sverrego, chłopca z mojej klasy. Chyba go z nimi nie było.

Odwróciłem się i śledziłem wzrokiem czerwone tylne światła, dopóki nie zniknęły za wzgórzem. Potem wszedłem do domu. Przez pewien czas usiłowałem leżeć na łóżku i czytać, ale nie mogłem się całkiem uspokoić, więc poszedłem do pokoju Yngvego, skąd mogłem obserwować tatę. Kiedy go widziałem, potrafiłem określić, w jakim jest humorze, a w pewnym sensie ta wiedza była najważniejsza. Znałem jego nastroje i już dawno

nauczyłem się je przewidywać za pomocą czegoś, co później nazwałem rodzajem podświadomego systemu kategoryzacji, w którym stosunek między kilkoma stałymi wielkościami wystarczył do stwierdzenia, czego mogę oczekiwać, tak abym mógł poczynić przygotowania. Coś w rodzaju meteorologii umysłu... Prędkość samochodu na łagodnym zboczu prowadzącym do domu, czas, jaki tata poświęcał na wyłączenie silnika, pobieranie swoich rzeczy i wyjście z auta, sposób, w jaki się rozglądał, zamykając samochód, niuansy rozmaitych dźwięków dochodzących z przedpokoju, kiedy zdejmował wierzchnie okrycie – wszystko to były znaki, wszystko można było odczytywać. Do tego należało dodać informacje o tym, gdzie był, jak długo i z kim przebywał, i już dawało się wyciągnąć wniosek, będący jedyną częścią procesu, w której uczestniczyłem. Dlatego najbardziej się bałem, kiedy on po prostu p r z y c h o d z i ł... Kiedy z jakiegoś powodu n i e u w a ż a ł e m...

Skąd, na miłość boską, wiedział, że biegłem?

Nie pierwszy raz w tak niezrozumiały sposób odkrył, co zrobiłem. Pewnego wieczoru tamtej jesieni schowałem pod kołdrę torebkę cukierków, właśnie dlatego że podejrzewałem, iż przyjdzie do mojego pokoju i za nic na świecie nie uwierzy w moje wyjaśnienie, w jaki sposób trafiły mi w ręce pieniądze na ich zakup. I rzeczywiście – kiedy wszedł, stanął i przez kilka sekund na mnie patrzył.

– Co schowałeś w łóżku? – spytał.

S k ą d o n m ó g ł t o w i e d z i e ć ?

Na zewnątrz Prestbakmo zapalił mocną lampę zamontowaną nad podestem, na którym zwykle pracował. Nową wyspę światła, wyłonioną z mroku, wypełniały rozmaite rzeczy, którym Prestbakmo się przyglądał, stojąc zupełnie nieruchomo. Stosy puszek z farbą, słoiki z pędzlami, polana, kawałki desek, złożony brezent, opony samochodowe, rama roweru, kilka skrzynek z narzędziami, pudełka ze śrubkami i gwoździami wszystkich rozmiarów i kształtów, taca kartonów po mleku z kiełkującymi roślinami, worki wapna, zwinięty wąż do podlewania i oparta o ścianę płyta z obrysami wszelkich możliwych narzędzi, prawdopodobnie przeznaczona do warsztatu w piwnicy.

Kiedy znów zerknąłem na tatę, szedł przez trawnik z młotem w jednej ręce i łopatą w drugiej. Szybko się cofnąłem. W tej samej chwili otworzyły się drzwi wejściowe. To był Yngve. Spojrzałem na zegarek. Do wpół do dziewiątej brakowało dwóch minut. Gdy moment później Yngve wszedł na górę po schodach charakterystycznym, jakby szarpanym, niemal trochę kaczkowatym krokiem, którego się nauczyliśmy, aby móc chodzić szybko bez żadnych odgłosów, był zdyszany i miał zaczerwienioną twarz.

– Gdzie tata? – spytał, kiedy już wszedł do pokoju.

– W ogrodzie – powiedziałem. – Ale wcale się nie spóźniłeś. Zobacz, wpół do dziewiątej jest dopiero teraz.

Wyciągnąłem rękę z zegarkiem.

Wyminął mnie i odsunął krzesło od biurka. Wciąż pachniał dworem. Chłodnym powietrzem, lasem, żwirem i asfaltem.

– Ruszałeś moje kasety? – spytał.

– Nie.

– To co robisz w moim pokoju?

– Nic.

– Nie możesz tego robić u siebie?

Pod nami znów otworzyły się drzwi wejściowe. Tym razem po podłodze na dole sunęły ciężkie kroki taty. Buty zdjął jak zawsze przed domem i szedł do pralni, żeby się przebrać.

– Widziałem w wiadomościach twarz w morzu – powiedziałem. – Słyszałeś coś o tym? Nie wiesz, czy ktoś jeszcze to widział?

Yngve popatrzył na mnie częściowo pytającym, a częściowo odpychającym wzrokiem.

– Co ty bredzisz?

– Słyszałeś o tym kutrze rybackim, który zatonął?

Lekko kiwnął głową.

– Kiedy w wiadomościach pokazywali to miejsce, gdzie poszedł na dno, zobaczyłem w morzu twarz.

– Trupa?

– Nie. To nie była prawdziwa twarz. To morze ułożyło się w twarz.

Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu. W końcu przyłożył palec do skroni i kilka razy nim pokręcił.

– Nie wierzysz mi? Mówię prawdę.

– Prawda jest taka, że jesteś zerem.

W tej samej chwili tata odkręcił kran na dole, pomyślałem więc, że lepiej będzie iść teraz do swojego pokoju, żeby nie ryzykować spotkania z nim w korytarzu. Zarazem nie chciałem, żeby Yngve miał ostatnie słowo.

– Sam jesteś zerem – odparowałem.

Nie raczył mi nawet odpowiedzieć. Odwrócił się tylko do mnie, odsłonił górne zęby, a potem zaczął wypuszczać i wciągać przez nie powietrze jak królik. To był przytyk do moich wystających zębów. Schyliłem głowę i wyszedłem, zanim zdążył zobaczyć, że zaczynam płakać. Dopóki byłem sam, płacz w niczym mi nie przeszkadzał. A tym razem chyba mi się udało. Bo przecież nic nie widział.

Zatrzymałem się zaraz za drzwiami swojego pokoju i chwilę się zastanawiałem, czy nie iść do łazienki. Tam mógłbym opłukać twarz zimną wodą i zmyć ślady łez. Ale po schodach już szedł na górę tata, poprzestałem więc na wytarciu oczu rękawem swetra. Cienka warstewka wilgoci, którą sucha tkanina rozmazała po oku, wprawiła w drżenie

powierzchnie i kolory w pokoju, jakbym nagle znalazł się pod wodą, a to wyobrażenie było tak sugestywne, że podchodząc wolno do biurka, podniosłem ręce i wykonałem kilka pływackich ruchów. W myślach miałem na głowie metalowy hełm z początków dziejów nurkowania, z czasów, kiedy nurkowie opuszczali się na dno w butach z ołowiu i ciężkich, przypominających skórę słonia skafandrach z przymocowanym do głowy przewodem tlenowym, który wyglądał jak trąba. Nabierałem powietrza przez usta krótkimi, urywanymi oddechami, krążąc po pokoju i wykonując ociężałe, spowolnione ruchy staroświeckich nurków, aż strach, z jakim łączyło się to wyobrażenie, zaczął powoli sączyć się we mnie jak zimna woda.

Kilka miesięcy wcześniej oglądałem serial telewizyjny *Tajemnicza wyspa* na podstawie powieści Juliusza Verne'a; ta historia o ludziach, którzy zmuszeni są wylądować balonem na bezludnej wyspie na Atlantyku, już od pierwszego ujęcia wywarła na mnie ogromne wrażenie. Wszystko było naładowane emocjami. Balon, burza, mężczyźni w dziewiętnastowiecznych strojach, naga, smagana wiatrem wyspa, na którą trafili, prawdopodobnie wcale nie tak bezludna, jak sądzili, bo wokół nich wciąż działo się coś tajemniczego, niewyjaśnionego... Ale w takim razie kim byli ci inni? Odpowiedź padła nagle pod koniec jednego odcinka. Ktoś żył w podwodnych grotach... Jakieś człekokształtne stworzenia... W świetle latarek widać było przebłyski łysych głów w maskach... Płetwy... Stworzenia przypominały jaszczurki, ale chodziły wyprostowane... Na plecach nosiły zbiorniki... Jedno się odwróciło, nie miało oczu...

Nie krzyczałem, kiedy to oglądałem, ale lęk, którym napełniły mnie obrazy, nie dawał się przegonić, potrafił zaatakować nawet w biały dzień na wspomnienie ludzi żab w grocie. A teraz moje myśli zmieniały mnie w jednego z nich. Mój syk stawał się ich sykiem, moje kroki – ich krokami, ręce – ich rękami, a kiedy zamknąłem oczy, widziałem ich pozbawione oczu twarze. Grota... Czarna woda... Rząd ludzi żab z latarkami w dłoniach... Zaszło to tak daleko, że nawet otwarcie oczu nie pomogło. Chociaż wiedziałem, że znajduję się w swoim pokoju, otoczony własnymi, znajomymi rzeczami, lęk nie odpuszczał. Ledwie miałem śmiałość mrugnąć ze strachu, że coś się wydarzy. Szttywno usiadłem na łóżku, przyciągnąłem tornister, nie patrząc na niego, zerknąłem na plan lekcji, znalazłem środę i przeczytałem, co tam było napisane. „Matematyka, przyroda i społeczeństwo, muzyka”. Położyłem tornister na kolanach i mechanicznie zacząłem przeglądać podręczniki. W końcu sięgnąłem po książkę rozłożoną na poduszce, usiadłem przy ścianie i zacząłem czytać. Sekundy mijające od jednego do drugiego uniesienia głowy z czasem zmieniały się w minuty, a kiedy tata zawołał, że już kolacja, punktualnie o dziewiątej, to nie strach trzymał mnie w swojej mocy, ale książka. Również od niej musiałem oderwać się siłą.

Nie wolno nam było samym kroić chleba, nie wolno nam też było używać kuchenki, więc zawsze to mama albo tata szykowali kolację. Jeśli mama miała wieczorny dyżur w pracy, tata przygotowywał wszystko: kiedy wchodziliśmy do kuchni, już czekały na nas dwie

szklanki mleka i dwa talerzyki z czterema gotowymi kanapkami. Kanapki tata najczęściej przyrządzał wcześniej i wstawiał do lodówki, a to, że były zimne, utrudniało ich zjedzenie, nawet kiedy leżało na nich coś, co lubiłem. Jeśli mama była w domu, albo ona, albo my wystawialiśmy produkty na stół i ten mały trik, polegający na umożliwieniu nam decydowania o tym, co stanie na stole i co będziemy mieć na kanapkach, w dodatku w temperaturze pokojowej, wystarczał, by wzbudzić w nas coś w rodzaju poczucia wolności: mogliśmy otworzyć drzwiczki szafki, wyjąć talerzyki, które zawsze trochę podzwaniały, tłukąc się o siebie, i ustawić je na stole; mogliśmy sięgnąć do szuflady ze sztucami, które zawsze trochę grzechotały, i ułożyć noże przy talerzykach; mogliśmy wystawić szklanki, otworzyć lodówkę, wyjąć mleko i nalać, no i naprawdę mogliśmy otworzyć usta i mówić. Kiedy jedliśmy kolację z mamą, jedno jakby wynikało z drugiego. Rozmawialiśmy o wszystkim, co wpadło nam do głowy. Ją interesowało to, co mówiliśmy, i nawet jeśli rozlaliśmy trochę mleka albo zapomnieliśmy się i położyliśmy na obrusie zużytą torebkę herbaty (bo czasami robiła nam herbatę), nie było to takie groźne. Ale tak jak nasz współludź w posiłku otwierał tę służbę wolności, tak stopień obecności taty regulował jej wielkość. Jeśli tata był poza domem albo w swoim gabinecie, gadaliśmy głośno i swobodnie, gestykulując tak zamaszycie, jak tylko chcieliśmy; jeżeli wchodził po schodach, automatycznie ściszałyśmy głos i zmienialiśmy temat rozmowy, gdy rozmawialiśmy o czymś, co jak przypuszczaliśmy, nie będzie mu odpowiadało; jeśli wchodził do kuchni, w ogóle przestawialiśmy się odzywać, siedzieliśmy sztywni i wyprostowani, jakby zatopieni w myślach o jedzeniu; jeżeli natomiast usiadł w salonie, dalej rozmawialiśmy, ale już ciszej i ostrożniej.

Tego wieczoru, kiedy zeszliśmy do kuchni, czekały na nas cztery gotowe kanapki. Z brązowym kozim serem, z żółtym serem, z sardynkami w pomidorach i z serem kminkowym. Nie lubiłem sardynek i od tej kanapki zacząłem. Ryb się brzydziłem, niedobrze mi się robiło od gotowanego dorsza, którego jadaliśmy co najmniej raz w tygodniu – i od pary z garnka, w którym się gotował, i od smaku, i od konsystencji. To samo oczywiście dotyczyło gotowanego rdzawca, gotowanego czarniaka, gotowanego śledzia, gotowanego plamiaka, gotowanej flądry, gotowanej makreli i gotowanego karmazyna. W sardynkach smak nie był najgorszy, pomidory mogłem przełknąć, wmawiając sobie, że to coś w rodzaju keczupu, ale konsystencja, a przede wszystkim te małe, śliskie ogonki! Były ohydne. Aby zminimalizować kontakt z nimi, zwykle najpierw je odgryzałem, kładłem na boku talerza, spychałem trochę pomidorowej masy bliżej skórki na jednym końcu kanapki, wtykałem ogony w środek tej kupki, a jednocześnie zginałem skórkę, tak żeby je zasłonić. W ten sposób czasami udawało mi się pogryźć wszystko, nie dotykając ogonów, a potem spłukać mlekiem. Jeśli taty przy tym nie było, tak jak tego wieczoru, to oczywiście możliwe stawało się schowanie ogonków do kieszeni.

Yngve zmarszczył brwi i pokręcił głową, kiedy to zrobiłem. Odpowiedziałem uśmiechem.

W salonie tata przesunął się w fotelu. Lekko zagrzecotało pudełko zapalek, chwilę później rozległ się krótki trzask siarczanej główki przeciąganej po drasce i rozdzierający odgłos zapalania, który jakby zapadł się w następującą po nim ciszę płomienia. Gdy po kilku sekundach do kuchni zaczął się sączyć zapach palącego się papierosa, Yngve wychylił się i najciszej, jak umiał, otworzył okno. Dźwięki, które napłynęły z ciemności na dworze, całkiem odmieniły nastrój. Nagle kuchnia stała się jakby częścią krajobrazu na zewnątrz. Jakbyśmy siedzieli na skalnej półce. Na tę myśl podniosły mi się włoski na przedramionach. Wiatr się wzmógł, z szumem przeleciał przez las, zaszeleścił w krzakach i drzewach na trawniku w dole. Od skrzyżowania dobiegły głosy dzieciaków, które wciąż gadały, nachylone nad rowerami. Na zboczu prowadzącym do mostu ktoś zmienił bieg w motocyklu. A z oddali, jakby wznosząc się ponad wszystko inne, dobiegał warkot łodzi płynącej do brzegu przez cieśninę.

On mnie oczywiście u s ł y s z a ł ! Usłyszał kroki, kiedy biegłem po żwirze!

– Zamieniamy się? – spytał Yngve cicho, wskazując kanapkę z serem kminkowym.

– Możemy – powiedziałem, ucieszony rozwiązaniem zagadki, popiłem ostatni kawałek kanapki z sardynkami malusieńkim łyżkiem mleka i zacząłem jeść tę, którą Yngve położył mi na talerzu. Chodziło o właściwe rozdysponowanie mleka, bo jeśli doszło się do ostatniej kanapki i brakowało mleka do popicia, to jej przełknięcie stawało się prawie niemożliwe. Najlepiej oczywiście było zaoszczędzić trochę mleka na chwilę po zjedzeniu wszystkich kanapek, bo ono nigdy nie smakowało tak jak wtedy, kiedy nie musiało pełnić żadnej funkcji, lecz po prostu spływało do gardła, samo, czyste, z niczym niez mieszane, co, niestety, prawie nigdy mi się nie udawało: potrzeba chwili zawsze triumfowała nad obietnicami przyszłości, bez względu na to, jak bardzo były kuszące.

Ale Yngve to potrafił. Był mistrzem oszczędzania.

U państwa Prestbakmo ktoś mocno stuknął obcasami o próg i zaraz trzy krótkie okrzyki rozdarły ciszę wieczoru.

– Geir! Geir! Geir!

Odpowiedź nadeszła z podwórza przed domem Johna Becka, tak rozciągnięta, że wszyscy, którzy ją słyszeli, musieli zrozumieć, że Geir się namyśla.

– Taaak! – zawołał.

Za chwilę rozległ się odgłos jego biegnących kroków. Gdy dotarły do muru Gustavsena, tata w salonie wstał. Coś w sposobie, w jaki szedł po podłodze, kazało mi spuścić głowę. Yngve zrobił to samo. Tata wkroczył do kuchni, podszedł do stołu, nachylił się bez słowa i mocno zamknął okno.

– U nas wieczorami okna są zamknięte – oświadczył.

Yngve kiwnął głową.

Tata spojrzał na nas.

– Kończcie już – powiedział.

Dopiero gdy znów usiadł w salonie, popatrzyłem na Yngvego.

– Ha, ha – szepnąłem.

– Ha, ha? – odszepnął. – To tak samo dotyczyło ciebie.

Yngve wyprzedził mnie prawie o dwie kanapki i już za chwilę mógł wstać i przemknąć do swojego pokoju, podczas gdy ja siedziałem jeszcze kilka minut i przeżuwałem. Zaplanowałem, że po kolacji pójdę do taty i powiem, że w wieczornych wiadomościach na pewno jeszcze raz pokażą ten film z morza, ale zważywszy na okoliczności, chyba lepiej było z tego planu zrezygnować.

A może nie?

Postanowiłem, że zobaczę, co będzie. Wychodząc z kuchni, zwykle odwracałem się w stronę salonu i mówiłem mu „dobranoc”. Gdyby jego głos zabrzmiał naturalnie, a w najlepszym razie życzliwie, wspomniałbym mu o tym, inaczej nie.

Niestety, usiadł na stojącej w głębi pokoju kanapie, a nie w jednym z dwóch skórzanych foteli przed telewizorem, jak miał w zwyczaju. Aby nawiązać z nim kontakt, nie mogłem po prostu spojrzeć w jego stronę i rzucić „dobranoc” jakby w przelocie, co było możliwe, kiedy siedział w fotelu, tylko musiałbym zrobić kilka kroków w głąb salonu. Oczywiście od razu by się zorientował, że chodzi mi o coś wyjątkowego. Wtedy przepadłby cały wic z wsłuchiwaniami się w jego głos. Zmuszony byłbym mu powiedzieć „dobranoc” bez względu na ton odpowiedzi.

Odkryłem to dopiero po wyjściu z kuchni, a ponieważ niepewność kazała mi się zatrzymać, nagle nie miałem już wyboru, bo on oczywiście usłyszał, że przystanąłem, a to od razu powiedziało mu, że czegoś od niego chcę. Zrobiłem więc te cztery kroki, niezbędne, by znaleźć się w jego polu widzenia.

Siedział z nogą założoną na nogę, łokciem opierając się o plecy kanapy, głowę miał lekko odchylną do tyłu, opartą na dłoni. Spojrzenie, które zdawało się biec ukośnie w stronę sufitu, skierowało się na mnie.

– Dobranoc, tato – powiedziałem.

– Dobranoc.

– W wieczornych wiadomościach na pewno pokażą to samo zdjęcie. Pomyślałem, że ci o tym powiem, żebyście oboje z mamą mogli je zobaczyć.

– Jakie zdjęcie? – spytał.

– Twarzy.

– Twarzy?

Musiałem stać z otwartymi ustami, bo tata nagle opuścił żuchwę, rozdziawiając usta, co jak wiedziałem, miało naśladować moją minę.

– Tej, o której ci mówiłem.

Zamknął usta i wyprostował się, nie spuszczaając ze mnie wzroku.

– Dość już gadania o tej twarzy – oświadczył.

– Dobrze.

Kiedy się odwróciłem i ruszyłem w stronę korytarza, czułem, jak jego uwaga odrywa się ode mnie. Umyłem zęby, rozebrałem się i włożyłem piżamę, zapaliłem lampkę nad łóżkiem, zgasilem górne światło, położyłem się i zacząłem czytać.

Właściwie wolno mi było czytać tylko przez pół godziny, do dziesiątej, ale zwykle czytałem do powrotu mamy do domu, około wpół do jedenastej. Tak było i tego wieczoru. Kiedy usłyszałem garbusa podjeżdżającego pod górę z głównej drogi, odłożyłem książkę na podłogę i zgasilem światło, żeby po ciemku jej słuchać: trzaśnięcia drzwiczek, chrzęstu żwiru, otwieranych drzwi wejściowych, zdejmowania płaszcza, kroków na schodach... Dom wydawał się inny, kiedy ona w nim była, a najdziwniejsze, że umiałem to w y c z u ć; jeśli na przykład zasnąłem przed jej powrotem i przebudziłem się w nocy, czułem, że ona jest, coś w atmosferze się zmieniało, chociaż nie potrafiłem określić co, oprócz tego, że działało uspokajająco. Tak samo było, gdy wracała do domu wcześniej, niż planowała, pod moją nieobecność: już w momencie wejścia do przedpokoju wiedziałem, że mama jest w domu.

Oczywiście chciałem z nią porozmawiać. Ona na pewno zrozumiałaby to z twarzą, ale nie czułem takiej konieczności. Najważniejsze, że była. Słyszałem, jak kładzie pęk kluczy na stoliku z telefonem, kiedy już weszła po schodach, jak otwiera przesuwane drzwi, mówi coś do taty i znów je zasuwają. Czasami, szczególnie po wieczornych dyżurach w weekendy, tata po jej powrocie szykował coś do jedzenia. Zdarzało się, że słuchali płyt. Z rzadka zostawała też po nich na kuchennym blacie butelka po winie, zawsze tej samej marki, po czerwonym winie z monopolowego, a czasami po piwie, również zawsze tego samego gatunku, dwa albo trzy pilznery z browaru w Arendal, brązowe butelki zero siedem litra z żółtym logo z żaglowcem.

Owego wieczoru jednak tak nie było. A ja się z tego cieszyłem. Bo kiedy razem jedli, to nie oglądali telewizji, a przecież musieli oglądać, jeśli miało mi się udać zrealizowanie planu, który był równie prosty, jak śmiały: kilka sekund przed jedenastą zamierzałem wstać z łóżka, na palcach przemknąć korytarzem, uchylić rozsuwane drzwi i obejrzeć wieczorne wiadomości na stojącym tam telewizorze. Nigdy czegoś podobnego nie robiłem, ani nawet nie rozważałem w myślach. Nie robiłem tego, czego nie było mi wolno. Nigdy. Ani razu nie zrobiłem nic, czego zabronił mi ojciec. Przynajmniej nie specjalnie. Ale tym razem było inaczej, ponieważ nie chodziło o mnie, tylko o nich. Ja przecież już widziałem ten obraz twarzy w morzu i nie musiałem go jeszcze raz oglądać. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy zobaczą to samo co ja.

Leżałem tak i myślałem po ciemku, śledząc oczami zielonkawe wskazówki budzika. W takiej ciszy jak teraz mogłem słyszeć samochody przejeżdżające szosą. Akustyczna trasa zaczynała się, gdy wjeżdżały na szczyt wzgórza przy nowym supermarkecie B-Max, ciągnęła się w dół przez przecięcie dróg w okolicy Holtet, obok wjazdu do Gamle

Tybakken i pod górę do mostu, gdzie znikła tak samo bez śladu, jak pół minuty wcześniej się zaczynała.

Za dziewięć jedenasta otworzyły się drzwi domu po drugiej stronie drogi. Ukląknęłam na łóżku i wyrzuciłam przez okno. To była pani Gustavsen, szła przez podjazd z workiem śmieci w ręku.

Dopiero gdy ją zobaczyłam, uświadomiłam sobie, że to rzadki widok. Pani Gustavsen w zasadzie nie pokazywała się na zewnątrz; można ją było zobaczyć albo w domu, albo na siedzeniu pasażera w ich niebieskim fordzie taunusie, lecz chociaż o tym wiedziałem, nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem. Teraz jednak, kiedy zatrzymała się przy pojemniku na śmieci, otworzyła pokrywę i po wrzuceniu worka zamknęła ją z powrotem, a wszystko to z nieco leniwą gracją, jaką obdarzonych jest wiele grubych kobiet, wreszcie do mnie dotarło: ona nigdy nie wychodziła.

Latarnia stojąca za naszym żywoplotem rzucała na nią chłodne światło, ale w przeciwieństwie do rzeczy, które ją otaczały – pojemnika na śmieci, białych ścian przyczepy kempingowej, betonowych płyt, asfaltu – odbijających światło ostro i zimno, jej postać zdawała się je modulować i absorbować. Nagie przedramiona lekko połyskiwały, biały sweter migotał, nastroszone siwobrazowe włosy wyglądały niemal na złociste.

Przez chwilę się rozglądała – najpierw spojrzała na dom państwa Prestbakmo, później na dom Hansenów, a potem na las po drugiej stronie drogi.

Dostojnym krokiem nadszedł kot, przystanął i przez moment się jej przyglądał. Pani Gustavsen kilka razy pogładziła się po ramieniu. Potem się odwróciła i weszła do domu.

Znów spojrzałam na zegarek. Za cztery jedenasta. Trochę zmarzłem, przez chwilę nawet rozważałem, czy nie powinienem włożyć swetra, ale doszedłem do wniosku, że gdybym został odkryty, wyglądałoby to na zbyt wykalkulowane. No i przecież chodziło zaledwie o kilka minut.

Ostrożnie podszedłem do drzwi pokoju i przyłożyłem do nich ucho. Jedyne prawdziwe ryzyko łączyło się z toaletą, znajdującą się po tej stronie przesuwanych drzwi. Stojąc tam, miałbym kontrolę nad rodzicami w salonie i możliwość wycofania się, gdyby nagle wstali, lecz gdyby już w tej chwili szli do toalety, z powodu zamkniętych drzwi zorientowałbym się za późno.

Ale przecież mogłem udawać, że idę do ubikacji!

Z ulgą przyjąwszy to rozwiązanie, ostrożnie otworzyłem drzwi i wyszedłem z pokoju. Wszędzie było cicho. Przekradłem się przez korytarz, czując suchość wykładziny pod spoconymi stopami, zatrzymałem się przy drzwiach, niczego nie usłyszałem, więc odrobinę rozsunałem je na boki i zajrzałem przez szparę.

Telewizor stał w rogu. Oba skórzane fotele były puste.

A więc oboje siedzieli na kanapie.

Idealnie.

Potem na ekranie zawirowała kula ziemiska z dużym N. Modliłem się do Boga, żeby pokazali ten sam reportaż i żeby rodzice mogli zobaczyć to samo co ja.

Prowadzący rozpoczął program od informacji o zaginionym kutrze, a mnie serce szybciej zabiło w piersi. Ale reportaż pokazali inny: zamiast ujęć pustego morza pojawił się lokalny policjant, udzielający wywiadu na przystani, po nim kobieta z maleńkim dzieckiem w ramionach, a później sam reporter, który mówił coś na tle falującego morza.

Kiedy materiał się skończył, w salonie rozległ się głos ojca, a potem śmiech. Wstyd, który się po mnie rozlał, był tak silny, że nie pozwalał mi myśleć. Czułem się tak, jakbym cały w środku pobiełał. Nagły wstyd był w moim dzieciństwie jedynym uczuciem, jakie pod względem intensywności mogło się mierzyć ze strachem, oczywiście obok nagłej wściekłości, a wszystkie te trzy emocje łączyło to, że sam jakby w nich ginąłem. Liczyło się t y l k o to uczucie. Kiedy więc się odwróciłem i poszedłem z powrotem do swojego pokoju, nie widziałem nic. Wiem, że okno na schodach musiało być tak ciemne, że odbijał się w nim korytarz, wiem, że drzwi do sypialni Yngvego musiały być zamknięte, podobnie jak te do sypialni rodziców i do łazienki. Wiem, że pęk kluczy mamy musiał leżeć rozrzucony na stoliku z telefonem niczym odpoczywające zwierzątko z baśni, ze skórzanym łebkiem i mnóstwem metalowych nóg, a sięgający kolan ceramiczny wazon z suszonymi kwiatami i trawami musiał stać obok na podłodze, jakby oddzielony od syntetycznego materiału wykładziny. Ale ja nic nie widziałem, nic nie słyszałem, nic nie myślałem. Wszedłem do pokoju, położyłem się do łóżka i zgasilem światło, a kiedy otoczyła mnie ciemność, wziąłem oddech tak głęboki, że aż drżący, a jednocześnie mięśnie brzucha się napięły i zaczęły ze mnie jakby wypychać pojękiwania, na tyle głośne, że musiałem je skierować w miękką i wkrótce bardzo już mokrą powłoczkę. To pomogło, mniej więcej tak jak wymioty pomagają na mdłości. Łzy w końcu przestały mi płynąć, ale jeszcze długo leżałem, szlochając. Było w tym coś dobrego. A kiedy i to dobre się skończyło, ułożyłem się na brzuchu, wsunąłem rękę pod głowę i zamknąłem oczy, żeby zasnąć.

Gdy to opisuję, od tamtego czasu minęło ponad trzydzieści lat. W szybie przed sobą dostrzegam niewyraźne odbicie własnej twarzy. Oprócz błyszczącego oka i fragmentu tuż pod nim, słabo odbijającego nieco światła, cała lewa strona pozostaje w cieniu. Dwie głębokie bruzdy biegną przez czoło, po jednej wzdłuż każdego policzka, wszystkie jakby wypełnione ciemnością, a kiedy oczy patrzą z przenikliwą powagą, kąciki ust lekko opadają, wtedy tej twarzy nie można nazwać inaczej niż ponurą.

Co w niej utkwilo?

Dziś jest dwudziesty siódmy lutego 2008 roku. Godzina dwudziesta trzecia czterdzieści trzy. Ja, który to piszę, Karl Ove Knausgård, urodziłem się w grudniu 1968 roku, więc w tej chwili mam trzydzieści dziewięć lat. Mam troje dzieci, Vanję, Heidi i Johna, jestem drugi raz żonaty, z Lindą Boström Knausgård. Wszyscy czworo śpią w pokojach wokół mnie, w mieszkaniu w Malmö, które zajmujemy od półtora roku. Z wyjątkiem rodziców kilkorga dzieci z przedszkola Vanji i Heidi nie znamy tu nikogo. Nie jest to wielka strata, przynajmniej dla mnie, bo życie towarzyskie i tak nic mi nie daje. Nigdy nie mówię tego, co naprawdę myślę, nigdy nie wyrażam swoich prawdziwych opinii, tylko zawsze staram się zbliżyć do tego, co myśli i uważa osoba, z którą akurat rozmawiam, udaję, że interesuje mnie to, co mówi. Wyjątkiem są chwile, kiedy piję, wówczas zazwyczaj posuwam się za daleko w drugą stronę, a potem budzę się zdjęty lękiem, że przekroczyłem granicę; lęk ten z wiekiem narasta, a ostatnio potrafi trwać całe tygodnie. Kiedy piję, miewam też blackouty i całkowicie tracę kontrolę nad swoimi czynami, które najczęściej bywają wtedy desperackie i idiotyczne, ale czasami również desperackie i groźne. Dlatego już nie piję. Nie chcę, żeby ktoś do mnie dotarł, nie chcę, żeby ktoś mnie zobaczył; tak też się dzieje: nikt do mnie nie dociera i nikt mnie nie widzi. Właśnie to musiało utkwic w mojej twarzy, przez to stała się sztywną maską, której niemal nie mogę powiązać ze sobą samym, kiedy przypadkiem natykam się na nią w szybie na ulicy.

Jedyna rzecz, która się nie starzeje w twarzy, to oczy. Są tak samo przejrzyste w dniu, w którym się rodzimy, jak i w tym, w którym umieramy. Wprawdzie naczynka krwionośna potrafią pękać, a błony matowieć, ale tkwiące w nich światło nigdy się nie zmienia. Jest pewien obraz, który chodzę oglądać za każdym razem, gdy przyjeżdżam do Londynu, i za każdym razem równie mocno mnie porusza. To autoportret namalowany przez Rembrandta w późnym okresie twórczości. Jego obrazy z tych czasów zazwyczaj cechuje wręcz niesłychana swoboda, w której wszystko jest podporządkowane wyrażeniu chwili, niemal lśniaca i święta, wciąż niemająca sobie równych w sztuce – może z wyjątkiem tego, co w swoich późnych wierszach osiąga Hölderlin, chociaż właściwie nie można ich porównywać, bo wyczarowane słowami światło Hölderlina jest eteryczne i niebiańskie,

światło Rembrandta zaś, wyczarowane kolorem, jest światłem ziemi, metalu, tkaniny – lecz akurat ten konkretny obraz, który wisi w National Gallery, został namalowany z odrobinę bardziej klasycznym realizmem, bliższym rzeczywistości, i przypomina raczej twórczość młodego Rembrandta. Przedstawia jednak starego człowieka. Starość. Widoczny jest na nim każdy szczegół twarzy, zobaczyć można wszystkie ślady, jakie odcisnęło na niej życie. Jest pobrużdżona, pomarszczona, obwisła, udręczona czasem. Ale oczy są przejrzyste i chociaż niemłode, nie uległy wpływowi czasu. Wydaje się, że patrzy na nas ktoś inny, z jakiegoś miejsca w głębi tej twarzy, gdzie wszystko wygląda inaczej. Trudno bardziej zbliżyć się do duszy drugiego człowieka. Przecież przepadło wszystko, co dotyczy samej osoby Rembrandta, jego dobre i złe przyzwyczajenia, zapachy i odgłosy wydawane przez ciało, głos i zasób słów, myśli i opinie, zachowanie, wady i ułomności ciała, wszystko to, co składa się na człowieka, takiego jakiego widzą inni. Obraz ma czterysta lat, a Rembrandt zmarł w tym samym roku, w którym go namalował, tym zaś co zostało na nim przedstawione, tym co namalował Rembrandt, jest istnienie tego człowieka, to co budziło się codziennie rano, to co natychmiast zaczynało myśleć, samo nie będąc myślami, to co natychmiast zaczynało czuć, samo nie będąc uczuciami, to co każdego wieczoru zasypiało, aż w końcu zasnęło na dobre. To, czego w człowieku nie narusza czas i z czego bierze się światło w oczach. Różnica między owym obrazem a innymi namalowanymi przez późnego Rembrandta to różnica między obserwowaniem a byciem obserwowanym. Na tym obrazie malarz obserwuje siebie obserwującego, a jednocześnie jest obserwowany. Powstanie tego obrazu było możliwe chyba tylko w baroku, z jego skłonnością do luster w lustrze, *play within the play*, do inscenizacji i wiary w związek wszechrzeczy, w epoce, w której zręczność rzemieślników również została podniesiona do poziomu, jakiego nie osiągnięto nigdy wcześniej ani nigdy później. Ale ten obraz istnieje w naszych czasach, to dla nas obserwuje.

Tamtej nocy, kiedy się urodziła, Vanja przyglądała się nam przez wiele godzin. Jej oczy były jak dwie czarne latarnie. Ciało miała pokryte krwią, długie włosy lepiły się do głowy i przesuwiała się powolnymi ruchami gada. Kiedy leżała na brzuchu Lindy i patrzyła na nas, wyglądała jak stworzenie, które przyszło z lasu. Nie mogliśmy się nasycić nią i jej spojrzeniem. Ale co w nim było? Spokój, powaga, mrok. Wysunąłem język, minęła minuta i ona też wysunęła język. W moim życiu nigdy nie było tyle przyszłości co wtedy, nigdy nie było tyle radości. Teraz Vanja ma cztery lata i wszystko się zmieniło. Jej oczy są bystre, równie szybko wypełniają się zazdrością, jak radością, żalem, jak złością, jest już obyta ze światem i bywa tak bezczelna, że kompletnie tracę panowanie nad sobą, potrafię stać i krzyknąć na nią albo potrząsać nią tak, że wybucha płaczem. Ale często tylko się śmieje. Ostatnio, gdy się tak zdarzyło, kiedy się na nią rozzłościłem i zacząłem ją potrząsać, a ona tylko się śmiała, coś mnie skłoniło, by położyć rękę na jej piersi.

Jej serce waliło. Ach, jak waliło!

Jest kilka minut po ósmej rano. Czwarty marca 2008 roku. Siedzę w gabinecie, otoczony książkami od podłogi do sufitu, i słucham szwedzkiego zespołu Dungen, rozmyślając o tym, co napisałem i do czego to doprowadziło. Linda i John śpią w sąsiednim pokoju, Vanja i Heidi są w przedszkolu, do którego zaprowadziłem je pół godziny temu. Za oknem na olbrzymim hotelu Hilton, wciąż skrytym w cieniu, windy nieustannie suną w górę i w dół w trzech przeszklonych szybach na fasadzie. Obok stoi czerwony murowany budynek, który wzniesiono najpewniej pod koniec dziewiętnastego albo na początku dwudziestego wieku, sądząc po wykuszach, arkadach i łukach. Jeszcze dalej widać skrawek Magistratparken z nagimi drzewami i zieloną trawą, a widok zamyka charakterystyczny dla lat siedemdziesiątych łaciaty, szary murowany budynek, który zmusza do skierowania wzroku w górę, ku niebu, pierwszy raz od wielu tygodni pogodnemu i błękitnemu.

Mieszkam tu osiemnaście miesięcy, więc znam już ten widok i wszystkie jego odsłony w różnych porach dnia i roku, ale nie jestem do niego przywiązany. Nic z tego co widzę, nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Może właśnie o to mi chodziło, bo niewątpliwie w braku związków jest coś, co lubię, czego może nawet potrzebuję, lecz nie był to żaden świadomy wybór. Sześć lat temu siedziałem i pisałem w Bergen, i wprawdzie nie zamierzałem mieszkać w tym mieście do końca życia, ale też nie planowałem, że opuszczę kraj oraz kobietę będącą wówczas moją żoną. Przeciwnie, wyobrażaliśmy sobie, że będziemy mieć dzieci i może przeniesiemy się do Oslo, gdzie miałem pisać kolejne powieści, a ona miała dalej pracować w radiu i telewizji. Nic jednak nie wyszło z tej przyszłości, będącej w zasadzie jedynie przedłużeniem ówczesnej teraźniejszości z jej codziennymi schematami, kolacjami z przyjaciółmi i znajomymi, wyjazdami na wakacje oraz odwiedzinami u rodziców i teściów, wzbogaconej dziećmi, które sobie wyobrażaliśmy. Coś się wydarzyło, a ja z dnia na dzień wyjechałem do Sztokholmu; początkowo tylko uciekłem na kilka tygodni, ale nagle to tam przeniosło się moje życie. Wymieniłem nie tylko miasto i kraj, lecz również wszystkich ludzi. Jeżeli dziwne jest, że to zrobiłem, to jeszcze dziwniejsze, że prawie nigdy o tym nie myślę. Jak tu trafiłem? Dlaczego stało się tak, jak się stało?

Przyjeżdżając do Sztokholmu, znałem tu dwie osoby, przy czym żadnej dobrze: Geira, z którym spotykałem się w Bergen przez kilka tygodni wiosną 1990 roku, a więc dwanaście lat wcześniej, i Lindę, którą poznałem na kilkudniowym seminarium dla debiutantów w szkole ludowej na wyspie Biskops-Arnö wiosną roku 1999. Wysłałem do Geira e-maila z pytaniem, czy będę mógł się u niego zatrzymać, dopóki nie znajdę czegoś własnego – mogłem – i stamtąd przez telefon zamieściłem ogłoszenie „Wynajmę” w dwóch szwedzkich gazetach. Dostałem ponad czterdzieści ofert, z których wybrałem dwie. Jedno mieszkanie było na Bastugatan, drugie na Brännkyrkagatan. Po obejrzeniu obydwu zdecydowałem się na to ostatnie, ale wtedy mój wzrok padł na wiszącą na klatce listę lokatorów. Widniało na niej nazwisko Lindy. Jak duża była na to szansa? W Sztokholmie mieszka ponad półtora miliona ludzi. Gdybym znalazł to mieszkanie za pośrednictwem przyjaciół czy znajomych,

zbieg okoliczności nie byłby aż tak dziwny, bo wszelkie środowiska literackie są stosunkowo małe, bez względu na wielkość miast, ale to mieszkanie trafiło mi się przez anonimowe ogłoszenie w gazecie czytanej przez kilkaset tysięcy ludzi, a osoba, która na nie odpowiedziała, nie знаła ani Lindy, ani mnie. W jednej chwili zmieniłem decyzję. Uznałem, że najlepiej będzie wziąć tamto pierwsze mieszkanie, bo gdybym wybrał to, Linda mogłaby pomyśleć, że ją prześladowuję. Ale był to jakiś znak. W dodatku wypełniony sensem, jako że teraz jestem mężem Lindy, a ona matką trojga moich dzieci. To z nią dzielę teraz życie. Jedynym śladem tego poprzedniego są książki i płyty, które ze sobą zabrałem. Wszystko inne zostawiłem. I tak jak wtedy poświęcałem dużo, wręcz chorobliwie dużo czasu na myślenie o przeszłości i dlatego nie tylko czytałem *W poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta, lecz dosłownie tę powieść chłonałem, tak teraz, jak sobie uświadamiam, przeszłość prawie nie pojawia się w moich myślach. W dużej mierze powodem tego są dzieci, które się nam urodziły, przypuszczam, że życie z nimi tu i teraz zajmuje całe miejsce. Dzieci pochłaniają nawet najbliższą przeszłość: spytajcie mnie, co robiłem trzy dni temu, a nie będę pamiętał. Spytajcie, jak Vanja wyglądała dwa lata temu, Heidi dwa miesiące temu, a John dwa tygodnie temu, a nie będę tego pamiętał. Wiele się dzieje w tym małym codziennym życiu. Ale wszystko to dzieje się bez przerwy w obrębie tego samego i właśnie to bardziej niż cokolwiek innego odmieniło moje postrzeganie czasu. Dawniej uważałem czas za odcinek, który trzeba pokonywać, z przyszłością w postaci odległego widoku, na ogół jasnego, a w każdym razie nienudnego, lecz obecnie czas splata się z życiem tu i teraz w zupełnie inny sposób. Gdybym miał go przedstawić za pomocą obrazu, posłużyłbym się przykładem łódki w śluzie: powoli, lecz nieodwołalnie życie unosi do góry sączący się ze wszystkich stron czas. Poza szczegółami wszystko zawsze jest takie samo. I z każdym mijającym dniem rośnie tęsknota za tą chwilą, kiedy życie zbliży się do krawędzi, kiedy wrota śluzy się otworzą i życie wreszcie będzie mogło ruszyć naprzód. Jednocześnie rozumiem, że właśnie to co powtarzalne, co zamknięte i niezmienne, jest konieczne, ponieważ mnie chroni, kiedy bowiem z rzadka to opuszczam, wszystkie dawne udręki powracają. Nagle znów zajmują mnie najprzeróżniejsze myśli o tym, co powiedziano, co zobaczono, co pomyślano, jakby siłą wrzucono mnie na niekontrolowalny, niepłodny, często upokarzający, a na dłuższą metę destrukcyjny obszar, w którym żyłem wiele lat. Tęsknota, by się wyrwać, jest równie silna w obu tych obszarach, z tą jednak różnicą, że tam cel tęsknoty jest możliwy do zrealizowania. Tu natomiast muszę znaleźć inne cele i na nich poprzestać. Sztuka życia, właśnie o niej mówię. Na papierze nie stanowi żadnego problemu; mogę bez najmniejszego trudu wyczarować na przykład obraz Heidi, która wyłazi z łóżka ze szczebelkami o piątej rano i po ciemku drepcze po podłodze, sekundę później zapala światło, staje przede mną i chociaż ledwie uchylam oczy w półśnie, mówi po szwedzku: „Kuchnia!”. Jej język wciąż jeszcze jest idiosynkratyczny, słowa mają inny sens niż powszechnie przyjęty i „kuchnia” oznacza müsli ze zsiadłym mlekiem o smaku jagodowym. Podobnie na przykład świeczka nazywa się „sto lat”. Heidi ma duże oczy, duże usta, duży apetyt i jest pod każdym względem żarłocznym dzieckiem, ale trwała,

niczym niezmacona radość, towarzysząca jej przez pierwsze półtora roku życia, tej jesieni, od narodzin Johna, znalazła się w cieniu innych, wcześniej nieznanymi uczuć. W pierwszych miesiącach wykorzystywała niemal każdą nadarzącą się okazję, by próbować zrobić bratu krzywdę. Zadrapania na jego buzi stanowiły raczej regułę niż wyjątek. Kiedy jesienią wróciłem do domu z czterodniowego wyjazdu do Frankfurtu, John wyglądał, jakby był na wojnie. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza, bo nie chcieliśmy oddzielać od niego Heidi, staraliśmy się więc odczytywać jej nastroje i według nich regulować jej dostęp do Johna. Ale nawet kiedy nasza córka tryskała radością, jej ręka potrafiła błyskawicznie wystrzelić i uderzyć go albo podrapać. Równoległe zaczęła również miewać napady wściekłości, i to o takiej sile, o jaką zaledwie dwa miesiące wcześniej w ogóle bym jej nie podejrzewał. Pojawiła się też w niej wcześniej nieznaną wrażliwość: przy najmniejszej oznace twardości w moim głosie albo zachowaniu spuszczała głowę, odwracała się i wybuchala płaczem, jak gdyby wściekłość była tym, co chciała nam pokazać, a wrażliwość tym, co chciała ukryć. Kiedy to piszę, ogarnia mnie czułość dla niej. Ale tylko na papierze. W rzeczywistości, kiedy to naprawdę jest ważne, a ona staje przede mną tak wcześnie rano, że ulice za oknem są całkiem ciche i w domu też nie słycać żadnego dźwięku, kiedy promienieje radością, ciesząc się z rozpoczynającego się nowego dnia, a ja wysiłkiem woli stoję na nogi, wkładam wczorajsze ubranie i idę z nią do kuchni, gdzie czekają jej upragnione kwaśne mleko o smaku jagodowym i bezcukrowe müsli, wtedy wcale nie ma we mnie czułości, a jeśli Heidi przekroczy moje granice, na przykład dopominając się o jakiś film lub próbując wejść do pokoju, w którym śpi John, krótko mówiąc – za każdym razem, kiedy nie przyjmuje, że „nie” znaczy „nie”, tylko przeciąga strunę – moja irytacja nierzadko przechodzi w gniew, i gdy odzywam się do niej ostro, a jej z oczu płyną łzy, odwraca się i spuszcza głowę, wciskając ją w ramiona, myślę sobie: dobrze jej tak. Na refleksję, że ona ma dopiero dwa lata, nie ma miejsca aż do wieczora, kiedy dzieci już śpią, a ja siedzę i zastanawiam się, co właściwie tutaj robię. Ale wtedy to już jest poza mną. W trakcie nie mam żadnych szans. W trakcie chodzi o przetrwanie poranka, tych trzech godzin z pieluchami, które trzeba zmienić, ubraniami, które trzeba włożyć, ze śniadaniem, które trzeba podać, z buziami, które trzeba umyć, z włosami, które trzeba uczesać i upiąć, z zębami, które trzeba wyczyścić, z kłótniami, którym trzeba zapobiec, z uderzeniami, które trzeba powstrzymać, z butami i kombinezonami, które trzeba wciągnąć, zanim ze składanym podwójnym wózkiem w jednej ręce, drugą popychając przed sobą dwie dziewczynki, wsiądę do windy, gdzie nierzadko po drodze w dół odbywają się przepychanki i awantury, wyjdę na korytarz, tam wsadzę je do wózka, włożę im czapki, rękawiczki i wyprowadzę na ulicę, pełną już ludzi idących do pracy, po to by dziesięć minut później zostawić je w przedszkolu i dzięki temu mieć pięć następnych godzin wolnych na pisanie, zanim znów rozpoczną się wymagane przez dzieci rutynowe czynności.

Zawsze miałem dużą potrzebę samotności, niezbędne mi są jej duże przestrzenie, a kiedy ich nie mam, tak jak nie miałem w ciągu ostatnich pięciu lat, frustracja niekiedy zmienia się

niemal w panikę lub agresję. A gdy w ten sposób zagrożone staje się to, co utrzymuje mnie na powierzchni przez całe moje dorosłe życie, mianowicie ambicja napisania czegoś wyjątkowego, moją jedyną myślą, podgryzającą mnie jak szczur, jest myśl o ucieczce. Czuję, że czas mi przecieka przez palce, przesypuje się jak piasek, podczas gdy ja... no właśnie, co robię? Myję podłogi, piorę ubrania, gotuję obiad, zmywam, robię zakupy, bawię się z dziećmi na placach zabaw, przyprowadzam je do domu i rozbieram, kąpię, pilnuję, dopóki nie położą się spać, kładę je do łóżka, rozwieszam pranie, składam ubrania i chowam je do szafy, sprzątam, przecieram stoły, krzesła i szafki. To walka, wprawdzie nie heroiczna, ale jednak walka z przeważającymi siłami wroga, ponieważ bez względu na to, ile pracy wykonam w domu, w pokojach i tak panują bałagan i brud, a dzieci, których nawet na minutę nie spuszcza z oka, chyba że śpią, są bardziej niegrzeczne niż jakiegokolwiek inne dzieci; czasami to prawdziwy dom wariatów, może dlatego że nigdy nie osiągnęliśmy niezbędnej równowagi między dystansem a bliskością, która jest tym ważniejsza, im większy temperament wchodzi w grę. A temperamentu nam nie brakuje. Vanja mniej więcej w wieku ośmiu miesięcy zaczęła miewać tak silne wybuchy uczuć, że czasami przypominały wręcz napady hysterii, przez pewien czas w ogóle nie dawało się do niej dotrzeć, tylko płakała i krzyczała. Mogliśmy jedynie ją przytrzymać, dopóki atak nie minął. Trudno stwierdzić, z czego się to brało, ale często następowało pod wpływem zbyt wielu nowych wrażeń, na przykład wtedy gdy jeździliśmy do jej babci na wieś pod Sztokholmem, kiedy długo bawiła się z innymi dziećmi albo kiedy spędzaliśmy cały dzień na mieście. Kompletnie wyprowadzona z równowagi, potrafiła wtedy płakać wniebogłosem, niepokieszona. Wrażliwość i upór to nie jest łatwa kombinacja. A sytuacja wcale nie stała się dla niej łatwiejsza, kiedy urodziła się Heidi. Chciałbym móc powiedzieć, że zachowywałem się wtedy z umiarem i rozsądnym, ale to, niestety, nieprawda, bo również mój gniew i moje uczucia ulegały podrażnieniu podczas takich zajęć, które tym samym eskalowały, często w miejscach publicznych: zdarzyło mi się z wściekłości szarpnięciem podnieść ją z podłogi w jednym ze sztokholmskich centrów handlowych, zarzuciłem ją sobie na ramię jak worek kartofli i niosłem przez miasto kopiając, wierzgając i wyjąc jak opętana. Czasami odpowiadałem na jej wycie krzykiem, rzucałem ją na łóżko i przytrzymywałem, dopóki to, co ją napadło, nie ustąpiło. Była jeszcze mała, kiedy odkryła, co konkretnie doprowadza mnie do szaleństwa, a mianowicie osobliwy rodzaj krzyku: nie płacz, nie szloch ani nie histeria, tylko oderwany od sytuacji, świadomy, agresywny krzyk; na jego dźwięk kompletnie traciłem kontrolę, podrywałem się na równe nogi, biegłem do tej biednej dziewczynki i wrzeszczałem na nią lub nią potrzasałem tak długo, aż jej krzyki zmieniały się w płacz, ciało odzyskiwało miękkość i wreszcie pozwalała się pocieszyć.

Kiedy patrzę na to wstecz, nie mogę się nadziwić, jak ona, niespełna dwulatka, potrafiła w ten sposób wpływać na całe nasze życie. Bo tak właśnie było. Przez pewien czas wszystko kręciło się wokół niej. Oczywiście nie mówi to nic o Vanji, za to wszystko o nas. Zarówno Linda, jak i ja żyjemy blisko chaosu albo przecucia chaosu, cały świat może w

każdej chwili się rozplątać, dlatego do wszystkiego, czego wymaga życie z małymi dziećmi, po prostu się zmuszamy. Planowanie jest nam obce. Konieczność zrobienia zakupów na obiad codziennie objawia się jako niespodzianka. Podobnie jak fakt, że pod koniec każdego miesiąca należy płacić rachunki. Gdyby nie to, że taka czy inna instytucja w nieregularnych odstępach czasu wpłaca na moje konto pieniądze, na przykład honorarium za prawa autorskie, za egzemplarze sprzedane w klubie książki, nędzną sumkę za zamieszczenie tekstu w podręczniku albo – tak jak tej jesieni – drugą część zagranicznego honorarium, o którym całkiem zapomniałem, byłoby naprawdę źle. Ale ta stała improwizacja przydaje znaczenia chwilom, które oczywiście stają się przez to niezwykle ważne, ponieważ nic nie jest przewidywalne, a jeśli w jakimś momencie życie wydaje się jasne, co naturalnie również się zdarza, to jesteśmy sobie wtedy bardzo bliscy i nasza radość jest ogromna. Ach, wtedy promieniejemy. Wszystkie dzieci są pełne życia i w naturalny sposób poszukują radości, więc kiedy człowiek ma trochę energii i odnosi się do nich z dobrocią, w ciągu kilku minut zapominają o buncie czy złości. Rzecz jasna, deprymujące jest to, że świadomość, iż wystarczy potraktować je dobrocią, nie stanowi absolutnie żadnej pomocy, kiedy zostają wciągnięty w sam środek bagna łez i frustracji. A kiedy już znajdę się w tym bagnie, każde nowe działanie prowadzi tylko do wkręcania się w nie o jeszcze jeden obrót głębiej. Równie deprymująca jest świadomość, że przecież mam do czynienia z d z i e ć m i. Że to d z i e c i wpychają mnie w to bagno. Jest w tym coś wysoce niegodnego. W takich sytuacjach tak bardzo oddalam się od człowieka, którym chciałbym być, że bardziej oddalić się już nie można. O niczym takim nie miałem pojęcia, dopóki nie urodziły mi się dzieci. Sądziłem, że wszystko się ułoży, jeśli tylko będę dla nich dobry. I właściwie tak się dzieje, chociaż nic z tego, co wcześniej widziałem, nie ostrzegło mnie przed inwazją, jaką jest pojawienie się w życiu dzieci. Ta niesłychana bliskość, jaka się buduje, to ciasne splecenie własnego temperamentu i nastroju z ich temperamentem i nastrojem, sprawiające, że nie można już zachować dla siebie wszystkich swoich najgorszych stron, nie można już ich ukrywać, ponieważ nabierają kształtu poza tobą, odbija się i wraca do ciebie. To samo dotyczy, rzecz jasna, stron najlepszych. Bo oprócz najtrudniejszych okresów po narodzinach najpierw Heidi, a potem Johna, kiedy życie uczuciowe osób doświadczających tego osiągnęło stan, na który nie ma lepszego określenia niż krytyczny, życie jest w zasadzie stabilne i przewidywalne, i chociaż od czasu do czasu wściekam się na dzieci, to jednak czują się przy mnie bezpieczne i szukają mojej bliskości za każdym razem, gdy jej potrzebują. Najbardziej ze wszystkiego lubią wspólne zajęcia całej rodziny na dworze i zadowolają je rzeczy najprostsze, które dla nich są pełne przygód: wycieczka do Västra Hamnen w słoneczny dzień, najpierw przez park, gdzie stos patyków wystarczy, by zająć je przez pół godziny, potem przejście obok żaglówek w porcie, które bardzo je interesują, później lunch na schodach nad morzem, gdzie pałaszujemy panini z włoskiej knajpki, bo o kanapkach oczywiście nie pomyśleliśmy, a jeszcze później godzina biegania w kółko, zabawy i śmiechu; Vanja biega tym swoim charakterystycznym nierównym krokiem, którego nauczyła się, już gdy miała półtora roku,

Heidi drepcze z zapamiętaniem, zawsze dwa metry za starszą siostrą, zawsze gotowa na przyjęcie rzadkiego daru wspólnoty, jaki może od niej dostać. Do domu wracamy tą samą drogą. Jeżeli Heidi zaśnie w wózku, siadamy w kawiarni z Vanją – ona uwielbia chwile, które może spędzić z nami sama, siedzi ze swoją lemoniadą i buzia jej się nie zamyka, pyta o wszystko: czy niebo jest przymocowane na stałe, czy coś może zatrzymać jesień i czy mały mają szkielet. Nawet jeśli uczucie radości, jakie potrafi mnie ogarnąć w takich chwilach, nie jest burzliwe, może raczej przypomina zadowolenie albo spokój, to jednak jest to radość. Może nawet, w wyjątkowych momentach, szczęście. I czy to nie wystarczy? Czy to nie wystarczy? Owszem, gdyby szczęście było celem, toby wystarczyło. Ale moim celem nie jest szczęście, nigdy nim nie było. Po co mi ono? Moim celem nie była też rodzina. Gdyby tak było i gdybym mógł poświęcić jej cały swój czas i całą energię, byłoby fantastycznie, tego jestem pewien. Moglibyśmy zamieszkać gdzieś w Norwegii, zimą jeździć na nartach i na łyżwach, z drugim śniadaniem i termosem w plecaku, latem wypływać łodzią, kąpać się, łowić ryby, biwakować, wyjeżdżać na wakacje za granicę razem z innymi rodzinami z małymi dziećmi, mieć porządek w domu, poświęcać czas na smaczne gotowanie, dużo przebywać z przyjaciółmi, weseli i szczęśliwi. To brzmi jak groteska, ale codziennie spotykam rodziny, które funkcjonują z dziećmi właśnie w taki sposób. Dzieci są czyste, ładnie ubrane, rodzice zadowoleni, a nawet jeśli czasami podniosą głos, to nigdy nie wrzeszczą na nie jak idioci. W weekendy jeżdżą na wycieczki, latem wynajmują dom w Normandii, a ich lodówka nigdy nie jest pusta. Pracują w bankach albo w szpitalach, w firmach zajmujących się technologią informacyjną lub w administracji gminnej, w teatrze albo na uniwersytecie. Dlaczego moje pisanie miałoby mnie odgradzić od tego świata? Dlaczego moje pisanie ma prowadzić do tego, że wszystkie nasze wózki wyglądają na wyciągnięte ze śmietnika? Albo do tego, że przychodzę do przedszkola z szaleństwem w oczach, z twarzą zastygłą w wykrzywioną maskę frustracji? Dlaczego moje pisanie ma prowadzić do tego, że dzieci za wszelką cenę chcą postawić na swoim bez względu na konsekwencje? Skąd bierze się cały ten bałagan w naszym życiu? Wiem, że potrafię sprawić, aby zniknął. Wiem też, że możemy stać się taką rodziną jak tamte, ale muszę tego chcieć i musi mi o to chodzić w życiu. A ja tego nie chcę. Dla rodziny zrobię wszystko, co muszę, to mój obowiązek. Życie nauczyło mnie jednego: znosić je, nigdy nie zadawać o nie pytań, a tęsknotę, która się rodzi, spalać podczas pisania. Nie mam pojęcia, skąd wziął się ten ideał, i gdy teraz widzę go przed sobą czarno na białym, dostrzegam, że wygląda to niemal perwersyjnie: dlaczego stawiam obowiązek przed szczęściem? Pytanie o szczęście jest banalne, ale nie jest banalne pytanie, które następuje po nim, pytanie o sens. Łzy napływają mi do oczu, kiedy patrzę na piękny obraz, ale nie wtedy, kiedy patrzę na moje dzieci. To nie znaczy, że ich nie kocham, bo kocham je całym sercem, to oznacza po prostu, że sens, jaki ze sobą niosą, nie jest w stanie wypełnić życia. Przynajmniej mojego. Wkrótce będę miał czterdzieści lat, a kiedy będę miał czterdzieści, to niedługo będę miał pięćdziesiąt. A kiedy będę miał pięćdziesiąt, to niedługo będę miał sześćdziesiąt. A kiedy będę miał sześćdziesiąt, to niedługo będę miał siedemdziesiąt. I już.

Epitafium może brzmieć: *Tu spoczywa ten, kto wszystko dzielnie znosił. Aż w końcu ktoś go wyprosił.*

A może raczej:

*Tu spoczywa ten, kto na wszystko się godził
i dlatego tylko na pół gwizdka chodził.
A kiedy już schodził
i bredził, nie brodził,
rzekł pięknie nad podziw:
Sól życia dajcie mi wśród łez powodzi.*

Albo tak:

*Tu spoczywa pisarz zuch,
Umiał dodać dwa do dwóch.
W gruncie rzeczy dobry człek.
Ale obcy był mu śmiech.
Szczęścia nie znał, pisał dużo,
Teraz pióra już się kurzą.*

*Chodźcie, larwy i robaki,
Przysmak to nie byle jaki.
Zjedzcie oko, potem – ręka,
On się was i tak nie lęka.*

Ale jeśli zostało mi jeszcze trzydzieści lat, to nie jest wcale p e w n e, że do końca pozostanę taki sam.

Więc może raczej coś takiego:

*Boże, przyjmij od nas dar:
Karl Ove Knausgård nareszcie zmarł.
Przyjaciół zaniedbał, porzucił też granie,
Żeby mieć spokój i czas na pisanie.
Walił konia i pisał, ale nic dobrego.
Brakowało stylu, było do niczego.
Sięgnął po ciastko, wziął jeszcze drugie,
Zagryzł kartoflem, bo nieźle miał w czubie.
Potem wziął świnię i upiekł ją całą.
Beknął: Hajhitla! – aż mu się ulało.
Nazistą nie jestem, ale brązy lubię.*

Zmieniam alfabet, runów nie pogubię!

*Książkę odrzucono i facet oszalał,
Jadł, pił i bekał, aż mózg mu nawalał.
Brzuch mu rósł, język świerzbiał,
Choć co on mógł wiedzieć?
„Ja chciałem tylko prawdę opowiedzieć”.*

*Tłuszcz zbierał się w żyłach, pęczniał wokół serca,
Aż pewnego dnia nasz pisarz się skręca:
Ratunku, ratunku, bóle zamostkowe!
Ofiary wypadku serce dajcie nowe!
Ale lekarz mówi: Ja książkę pamiętam,
Więc umrzesz jak ryba z haczyka ściągnięta.
Czy czujesz ten ból? Już dotarł do celu?
To ukłucie w sercu to śmierć, przyjacielu.*

A może, jeśli będę miał szczęście, coś trochę mniej osobistego:

*Tu spoczywa człowiek, który palił w łóżku,
Żonę też strawił ogień z zarzewia w podnóżku.
Ale niech was nie zmyli
Ten grób, moi mili,
To nie oni, lecz popiół w garnuszku.*

Mój ojciec, kiedy był w moim obecnym wieku, zerwał ze swoim dawnym życiem i rozpoczął nowe. Miałem wtedy szesnaście lat i chodziłem do pierwszej klasy liceum – Szkoły Katedralnej w Kristiansand. Na początku roku szkolnego moi rodzice wciąż byli małżeństwem i nawet jeśli mieli problemy, w moim odczuciu nic nie wskazywało na to, że ich związek zmierza w niewłaściwą stronę. W tym czasie mieszkaliśmy w Tveit, dwadzieścia kilometrów od Kristiansand, w starym domu na samym skraju zabudowań w dolinie. Dom stał wysoko na wzgórzu, z tyłu miał las, a od frontu widok na rzekę. Do gospodarstwa należały również duża stodoła i szopa. Kiedy się tam sprowadziliśmy latem – miałem wtedy trzynaście lat – rodzice kupili kury, ale pobyły chyba z pół roku i zniknęły. Na skrawku pola przy trawniku tata sadził ziemniaki, a jeszcze dalej został założony kompostownik. Jednym z wielu zawodów, które ojciec czasami wybierał dla siebie w swoich fantazjach, był zawód ogrodnika, i rzeczywiście przejawiał pewien talent w tym kierunku – ogród wokół domu, z którego się wyprowadziliśmy, był bujny i niepozbawiony egzotycznych okazów, takich jak brzoskwinia, posadzona przez ojca pod nasłonecznioną ścianą; rozpierała go duma, kiedy drzewko wydało owoce. Zatem przeprowadzka na wieś łączyła się wtedy z wielkim optymizmem i jasnymi wizjami przyszłości, w które powoli, ale nieuchronnie zaczęła się wkradać także ironia, bo jedną z niewielu konkretnych rzeczy, jakie zapamiętałem z życia ojca w tamtych latach, jest kwestia wygłoszona przez niego, kiedy siedzieliśmy przy grillu w ogrodzie w pewien letni wieczór, on, mama i ja:

– Słuchajcie, ale nam tu dobrze!

Ironia była wyraźna, dotarła nawet do mnie, lecz również komplikowała sprawy, bo nie rozumiałem jej przyczyny. Mnie w taki wieczór było naprawdę dobrze. To co niosła w sobie owa ironia, biegło niczym podwodny prąd przez całe tamto lato: kąpaliśmy się w rzece od wczesnego ranka, graliśmy w piłkę na cienistych polanach, jeździliśmy rowerami na kemping Hamresanden, pływaliśmy i oglądaliśmy dziewczyny, a w lipcu pojechaliśmy na Norway Cup^[1], gdzie pierwszy raz się upiłem. Ktoś znał kogoś, kto miał wolną chatę, ktoś znał kogoś, kto mógł nam kupić piwo, tak więc w pewne letnie popołudnie siedziałem w obcym pokoju i piłem, to przypominało eksplozję radości, nic już nie było niebezpieczne, o nic nie trzeba było się martwić, cały czas tylko się śmiałem i wśród tego wszystkiego, wśród tych obcych mebli, obcych dziewczyn, obcego ogrodu za oknem, pomyślałem, że właśnie tak chcę żyć. Właśnie tak. Tylko śmiać się i iść za każdym impulsem, jaki tylko się pojawi. Mam dwa zdjęcia z tamtego wieczoru, na jednym leżę w stosie ciał na podłodze, w dłoni trzymam trupa czaszkę, a moja głowa jest jakby niepołączona z rękami i nogami, wystającymi po drugiej stronie, wykrzywiam się w czymś w rodzaju grymasu radości. Na drugim zdjęciu jestem sam, leżę na łóżku, w jednej ręce trzymam butelkę piwa, drugą przytrzymuję trupa czaszkę na kroczu. Mam ciemne okulary,

usta szeroko otwarte ze śmiechu. To było lato 1984 roku, miałem piętnaście lat i właśnie dokonałem odkrycia: picie jest cudowne.

W następnych tygodniach dziecinne życie ciągnęło się tak jak wcześniej: leżeliśmy na skałach przy wodospadzie i drzemaliśmy, od czasu do czasu skakaliśmy w głąbinę, w sobotnie przedpołudnia jeździliśmy autobusem do miasta, tam kupowaliśmy słodycze i chodziliśmy po sklepach z płytami, ale cały czas gdzieś w głębi mnie tkwiły oczekiwania wobec liceum, do którego wkrótce miałem zacząć uczęszczać. To nie była jedyna zmiana w naszej rodzinie: moja matka wzięła bezpłatny urlop w szkole pielęgniarskiej, w której pracowała, i zamierzała tego roku studiować w Bergen, dokąd już przeniósł się Yngve. Ojciec i ja mieliśmy zatem mieszkać sami, i tak też było w pierwszych miesiącach, aż zaproponował, prawdopodobnie po to, aby się mnie pozbyć, żebym zamieszkał w domu na Elvegaten, będącym własnością moich dziadków, w którym dziadek, ojciec ojca, przez wiele lat prowadził kancelarię rewidencką. Wszyscy moi przyjaciele mieszkali w Tveit, a nowych kolegów z liceum nie znałem, moim zdaniem, na tyle dobrze, by spędzać z nimi czas po szkole, więc kiedy nie trenowałem – a w tym czasie na trening chodziłem pięć razy w tygodniu – przesiadywałem sam w salonie i oglądałem telewizję, odrabiałem na poddaszu lekcje przy biurku albo leżałem obok na łóżku i czytałem, słuchając muzyki. Od czasu do czasu jeździłem do Sannes, tak nazywało się nasze gospodarstwo, po ubrania, kasety albo książki, niekiedy również tam nocowałem, ale wolałem dom dziadka i babci, bo w naszym pojawił się jakiś chłód, prawdopodobnie dlatego, że nic już się w nim nie działo; ojciec głównie jadał na mieście i wykonywał jedynie minimum czynności. To się odbiło na aurze domu; kiedy zbliżały się święta Bożego Narodzenia, sprawiał wrażenie opuszczonego. Na kanapie przy telewizorze na pięttrze leżały wyschnięte bobki kociej kupy, na blacie w kuchni stały od dawna nieumyte naczynia, wszystkie piece, z wyjątkiem słoneczka, które ojciec zabierał ze sobą do tego pomieszczenia, gdzie przebywał, były zimne. On sam miał rozdartą duszę. Któregoś wieczoru, gdy tam przyjechałem – to musiało być na początku grudnia – i odłożyłem torbę w swoim lodowatym pokoju, natknąłem się na niego w korytarzu; przyszedł ze stodoły, której dół był urządzony jako osobne mieszkanie. Włosy miał zaniedbane, a oczy prawie czarne.

– Nie możemy nagrzać? – spytałem. – Strasznie tu zimno.

– Stłasznie? – powtórzył. – Nie będziemy, do choleły, palić, chociaż jest stłasznie zimno.

Nie wymawiałem „r”, nigdy nie umiałem. To jedna z moich traum późnego dzieciństwa. Ojciec zwykle mnie przedrzeźniał – albo chcąc zwrócić uwagę na moją wadę wymowy w próżnej próbie zdopingowania mnie, żebym wreszcie zaczął wymawiać prawdziwe „r”, jak wszyscy porządni mieszkańcy południowej Norwegii, albo wtedy, kiedy coś we mnie budziło w nim niechęć, tak jak teraz.

Odwróciłem się i z powrotem wszedłem po schodach na górę. Nie zamierzałem dać mu satysfakcji, pokazując mokre oczy. Wstyd, że ja, piętnasto-, prawie już szesnastolatek, byłem bliski płaczu, wygrywał z upokorzeniem. Zwykle już nie płakałem, choć ojciec miał

nade mną władzę, od której nie umiałem się uwolnić. Ale demonstrować mogłem. Poszedłem do pokoju, zebrałem kilka kaset i wetknąłem je do torby, zaniósłem ją na dół do pokoju przy wejściu, w którym stały szafy z ubraniami, wziąłem kilka bluz, na korytarzu ubrałem się, zarzuciłem torbę na plecy i wyszedłem na podwórze. Śnieg był zmrożony, światła lamp nad garażem odbijały się w gładkiej powierzchni, która pod latarniami wydawała się całkiem żółta. Łąka schodząca do drogi też jaśniała, bo niebo było pogodne, rozgwieżdzone, a nad wzgórzami po drugiej stronie rzeki wisiał księżyc, prawie w pełni. Ruszyłem w dół. Kroki chrzęściły na śladach opon samochodowych. Zatrzymałem się na dole, przy stojaku ze skrzynkami pocztowymi. Może powinienem był uprzedzić, że wychodzę. Ale z drugiej strony przepadłby cały sens, przecież chodziło o to, żeby się zastanowił nad tym, co zrobił.

Która mogła być godzina?

Ściągnąłem do połowy lewą rękawiczkę, lekko odchyliłem rękaw kurtki, sprawdziłem. Za dwadzieścia ósma. Autobus miał być za pół godziny. Zdążyłbym obrócić na górę i z powrotem.

Ale nie. Za diabła!

Znów zarzuciłem torbę na plecy i ruszyłem dalej w dół. Kiedy po raz ostatni spojrzałem na dom, zobaczyłem, że z komina leci dym. Ojciec musiał sądzić, że wciąż leżę u siebie w pokoju. Pożałował, przyniósł drewna i napalił w piecu.

Lód na rzece zatrzeszczał. Dźwięk zdawał się biec w dal i unosić się w górę łagodnych zboczy doliny.

Potem huknęło.

Ciarki przebiegły mi po plecach. Ten odgłos zawsze przepęśniał mnie radością. Spojrzałem na rój gwiazd. Na księżyc wiszący nad wzgórzem. Na reflektory samochodów po drugiej stronie rzeki, które wycinały w ciemności wielkie szczeliny światła. Na drzewa wzdłuż brzegu rzeki, czarne i milczące, lecz nie wrogie. Na dwie bramki na białej powierzchni, którą jesienią zalewała rzeka, lecz która teraz, przy niskim poziomie wody, rozciągała się naga i lśniąca.

Napalił w kominku. To był sposób wyrażenia, że żałuje. Dlatego moje odejście bez uprzedzenia straciło sens.

Zawróciłem. Wszedłem do domu, zacząłem rozwiązywać sznurówki butów. Usłyszałem jego kroki, wyprostowałem się. Otworzył drzwi, stanął z ręką na klamce i patrzył na mnie.

– Idziesz już? – spytał.

Nie potrafiłem wytłumaczyć, że już wyszedłem, ale wróciłem. Kiwnąłem więc tylko głową.

– Taki miałem zamiar – powiedziałem. – Jutro wcześniej zaczynam.

– No tak. Chyba zajrzę do ciebie po południu. Mówię, żebyś wiedział.

– Okej.

Przez kilka sekund przyglądał mi się, potem wszedł do salonu i zamknął drzwi.

Otworzyłem je.

– Tato?

Odwrócił się i spojrzał na mnie bez słowa.

– Jutro jest wywiadówka. O szóstej.

– Naprawdę? No to muszę przyjść.

Ruszył w głąb salonu, a ja zamknąłem drzwi, zasznurowałem buty, zarzuciłem torbę na plecy i poszedłem w stronę przystanku autobusowego, gdzie dziesięć minut później się zatrzymałem. Niżej był wodospad, wielkie lodowe łuki i żyły, lekko podświetlane światłem z fabryki parkietu. Za nim i za mną wznosiły się wzgórza. Otaczały nieładną ciemnością rozrzucone, ale rozświetlone zabudowania w dolinie rzeki. Gwiazdy wyglądały tak, jakby leżały na dnie zamrożonego morza.

Nadjechał autobus, omiatając światłami okolice. Pokazałem kierowcy bilet miesięczny i usiadłem na przedostatnim siedzeniu z lewej strony, jak zawsze, gdy tylko było wolne. Ruch był niewielki, sunęliśmy przez Solslette, Ryenslette, wzdłuż plaży w Hamresanden, lasem w stronę Timenes, skręciliśmy na E18 przez most Varodd, minęliśmy liceum w Gimle i wreszcie wjechaliśmy do miasta.

Dom stał nad samą rzeką. Zaraz przy wejściu po lewej stronie była kancelaria dziadka, po prawej mieszkanie. Dwa pokoje, kuchnia i mała łazienka. Piętro też było podzielone. Po jednej stronie olbrzymi strych, po drugiej pokój, w którym mieszkałem. Miałem tam łóżko, biurko, niedużą kanapę i stół, magnetofon kasetowy, stojak na kasety, stos podręczników, jakieś tygodniki i magazyny muzyczne, a w szafie trochę ubrań.

Dom był stary, kiedyś należał do babci taty, czyli do mojej prababci, która tutaj umarła. Z tego co zrozumiałem, tata w dzieciństwie był z nią bardzo zżyty, spędzał tu wiele czasu. Dla mnie prababcia stała się kimś w rodzaju postaci mitycznej: silna, władczą, samodzielna, matka trzech synów, z których jednym był mój dziadek. Na zdjęciach nosiła zawsze surowe czarne suknie. Pod koniec życia, które zaczęło się w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku i ciągnęło blisko sto lat, rozwinęło się u niej otepienie, czyli sfiksowała, jak się mówiło w rodzinie. Nic więcej o niej nie wiedziałem.

Zdjąłem buty i po stromych jak drabina schodach wdrapałem się do siebie. Było zimno, więc włączyłem dmuchawę. Nastawiłem magnetofon. Echo & The Bunnymen, *Heaven Up Here*. Położyłem się na łóżku z książką. Czytałem wtedy *Drakulę* Brama Stokera. Wróciłem do tej lektury po roku i tym razem była równie emocjonująca i niesamowita. Miasto ze swoim równym, ścisłym szumem samochodów i odgłosami z budynków zniknęło z mojej świadomości, powracając tylko od czasu do czasu, jakbym był w ruchu. Ale nie byłem. Leżałem nieruchomo, czytając do wpół do dwunastej; wtedy umyłem zęby, rozebrałem się i poszedłem spać.

Budzenie się rano w tym domu wywoływało wyjątkowe uczucie – byłem całkiem sam i czułem się tak, jakby pustka istniała nie tylko wokół, lecz również we mnie. Dopóki nie zacząłem chodzić do liceum, zawsze budziłem się w domu, w którym rodzice już wstali i wybierali się do pracy, a z tym wiązały się palenie papierosów, picie kawy, słuchanie radia, jedzenie śniadania i warkot silników samochodowych rozgrzewanych w ciemności. Tutaj było inaczej, a ja to uwielbiałem. Uwielbiałem też blisko kilometrowy marsz przez starą dzielnicę do szkoły; zawsze wtedy towarzyszyły mi przyjemne myśli, że jestem kimś. Większość licealistów pochodziła z miasta albo z okolic podmiejskich, jedynie ja i garstka innych przybyliśmy ze wsi, a to był spory problem. Tamci znali się już wcześniej i spotykali po lekcjach, tworzyli grupy, które trzymały się razem również w szkole, i nie dawało się ot tak do nich przykleić, więc na każdej przerwie powstawał problem: gdzie mam się podziać? Gdzie powinienem stać? Mogłem siedzieć w bibliotece i czytać albo zostać w klasie i udawać, że przeglądam zadania, ale to byłoby wyraźnym sygnałem, że jestem jednym z tych spoza grupy, co na dłuższą metę byłoby nie do wytrzymania, więc w październiku tego roku zacząłem palić. Ani mi się to nie podobało, ani nie było fajne, po prostu dzięki temu zapewniałem sobie jakieś miejsce: na każdej przerwie mogłem wychodzić przed szkołę i stać razem z innymi palaczami, a nikt nie zadawał żadnych pytań. Po lekcjach, kiedy wracałem do swojego mieszkania, problem przestawał istnieć. Po pierwsze, dlatego że najczęściej jeździłem do Tveit na trening albo spotkać się z Janem Vidarem, moim najlepszym kolegą z gimnazjum, a po drugie – ponieważ nikt mnie nie widział, nie mógł więc wiedzieć, że całymi wieczorami przesiaduję sam.

Zupełnie inaczej było na lekcjach. Chodziłem do klasy z trzema innymi chłopakami i dwudziestoma sześcioma dziewczynami, w klasie miałem więc wyznaczoną rolę, swoje miejsce, w którym mogłem rozmawiać, odpowiadać na pytania, dyskutować, rozwiązywać zadania, być kimś. Byłem w niej razem z innymi, tak jak wszyscy pozostali, nigdzie się nie wdzierałem i nikt nie mógł mi zarzucić, że tam jestem. Siedziałem na samym końcu w kącie, obok miałem Bassena, przede mną był Molle, a na samym początku tego rzędu Pål, natomiast resztę przestrzeni klasowej wypełniały dziewczyny, dwadzieścia sześć szesnastoletnich dziewczyn. Niektóre z nich lubiłem bardziej, inne mniej, ale żadnej na tyle, abym mógł powiedzieć, że jestem w niej zakochany. Była wśród nich Monica, córka węgierskich Żydów, bystra i inteligentna, z dużą wiedzą, podczas dyskusji o konflikcie palestyńskim zawsze zapamiętała i uparcie broniąca Izraela, czego nie mogłem zrozumieć, przecież oczywiste było, że Izrael to państwo wojskowe, a Palestyna jest ofiarą. Była Hanne, śliczna dziewczyna z Vågsbygd, która śpiewała w chórze, religijna i dość naiwna, ale samo patrzenie na nią i przebywanie z nią w jednym pomieszczeniu budziło radość. Była Siv, długonoga, opalona blondynka, która pewnego dnia na samym początku powiedziała, że okolica między naszym liceum a handlówką przypomina amerykański campus, co początkowo wyróżniło ją w moich oczach, ponieważ o świecie, którego

chciałem być częścią, wiedziała wówczas coś, czego ja nie wiedziałem. Przez kilka ostatnich lat mieszkała w Ghanie i za bardzo się tym przechwalała, śmiała się też za głośno. Była Benedicte o ostrych rysach twarzy, przywodzących na myśl wręcz lata pięćdziesiąte; miała kręcone włosy i ubrania kojarzące się trochę z wyższymi sferami. Była Tone, o ruchach pełnych gracji, ciemnowłosa i poważna, umiała rysować i sprawiała wrażenie bardziej samodzielnej od innych. Była Anne, która nosiła aparat na zębach i z którą obściskałem się w fotelu fryzjerskim matki Bassena na imprezie klasowej zorganizowanej tamtej jesieni; była Hilde, jasnowłosa, skłonna do rumieńców, wyrazista, lecz mimo wszystko anonimowa, często się do mnie odwracała; była Irene, grająca wśród dziewcząt pierwsze skrzypce, obdarzona pięknem, które powstaje i mija w trakcie jednego i tego samego spojrzenia; była Nina, mocnej, męskiej budowy, mająca w sobie jednocześnie jakąś kruchość i nieśmiałość. Była Mette, drobna, ostra intrygantka. I jeszcze ta, która lubiła Bruce'a Springsteena i zawsze chodziła w dżinsach, i ta mała, śmiejąca się przez cały czas, ta ubierająca się wyzywająco, wulgarnie i zawsze pachnąca papierosami, ta, której było widać dziąsła przy każdym uśmiechu, a poza tym ładna, tyle że jej śmiech, coś w rodzaju nieustannego chichotu, towarzyszącego każdemu jej słowu, i wszystkie głupstwa, które wygadywała, a także lekkie seplenienie ubezwłasnowolniały w pewnym sensie jej urodę, a raczej ją unieważniały. Byłem więc otoczony powodzią dziewcząt, strumieniem ciał, morzem piersi i ud. To, że widywałem je wyłącznie w okolicznościach formalnych, w szkolnych ławkach, sprawiało, że ich obecność dodatkowo nabierała intensywności. W pewnym sensie nadawała sens moim dniom, cieszyłem się, że będę mógł wejść do klasy i siedzieć tam, gdzie miałem prawo siedzieć, razem z tymi wszystkimi dziewczynami.

Tamtego ranka zszedłem najpierw do stołówki, kupiłem drożdżówkę i colę, potem usiadłem na swoim miejscu i jadłem, przeglądając książkę, a klasa wokół mnie powoli wypełniała się uczniami, którzy wchodzili po cichu, jakby osłabieni w ruchach i mowie po nocnym śnie. Zamieniłem kilka słów z Mollem; mieszkał w Hamresanden, a w gimnazjum byliśmy w tej samej klasie. W końcu przyszedł nauczyciel, Berg, ubrany w roboczą bluzę, miała być lekcja norweskiego. Obok historii był to mój ulubiony przedmiot, oscylowałem między pięć a pięć plus, nie potrafiłem zdobyć maksimum, ale postanowiłem sobie, że na egzaminie mi się to uda. Z przedmiotów ścisłych byłem najsłabszy, z matematyki ostatnio miałem dwóję, w ogóle się jej nie uczyłem i do poziomu zajęć nie umiałem już doskoczyć. Nasi nauczyciele od matematyki i przyrody byli starej daty, matematyki uczył Vestby, miał mnóstwo tików, jedna jego ręka bez przerwy wiła się i obracała. Na jego lekcjach siedziałem z nogami na ławce i rozmawiałem z Bassenem, dopóki Vestby, czerwony na tej swojej nalanej, mięsistej twarzy, nie wywołał mnie po nazwisku przenikliwym głosem. Zdejmo wałem wtedy nogi z ławki, czekałem, aż Vestby się odwróci, i dalej gadałem. Nauczyciel przyrody, Nygaard, mały, chudy, niemal zasuszony człowieczek o diabolicznym uśmiechu i dziecinnych gestach, zbliżał się do emerytury; on również miał wiele tików, stale mrugał jednym okiem, wzruszał ramionami, podrygiwał, poruszając głową, i

wyglądał jak parodia udręczzonego nauczyciela. Latem chodził w jasnym garniturze, zimą – w ciemnym, a raz widziałem, że użył cyrkla tablicowego jak karabinu: siedzieliśmy pochyleni nad klasówką, on na nas patrzył i w pewnej chwili złożył cyrkiel, przyłożył do barku i szarpnięciami zaczął nas jakby nim omiatać, złośliwie się przy tym uśmiechając. Nie wierzyłem własnym oczom, czyżby stracił rozum? Na jego lekcjach też gadałem, i to na tyle dużo, że w końcu musiałem ponieść konsekwencje, niezależnie od tego, kto akurat gadał: „Knausgård”, mówił Nygaard, gdy tylko usłyszał jakieś mamrotanie, i unosił dłoń odwróconą wnętrzem do góry; to oznaczało, że mam do końca lekcji stać przy ławce. Bardzo mnie to cieszyło, bo kiełkowałam we mnie potrzeba buntu, tęskniłem za tym, żeby wszystko olać, zacząć wagarować, pić, rządzić ludźmi. Byłem anarchista, ateistą i z każdym upływającym dniem stawałem się coraz bardziej antimieszkański. Planowałem przekłuć uszy i ogolić się na łyso. Przyroda? Matematyka? Na co mi to? Miałem grać w zespole, być wolny, żyć tak, jak chciałem, a nie tak, jak musiałem.

W tych zamiarach byłem osamotniony, nikt mi nie towarzyszył, na razie więc pozostawały niezrealizowane, należały do przyszłości i nie posiadały kształtów, zresztą tak jak wszystko, co wiąże się z przyszłością.

Nieodrabianie zadań domowych i nieuważanie na lekcjach również stanowiło część tego buntu. Dawniej zaliczałem się do najlepszych uczniów ze wszystkich przedmiotów, lubiłem się tym przechwalać, ale teraz to się zmieniło, teraz dobrych stopni należało się wręcz wstydzić, oznaczały siedzenie w domu i kucie, bycie mięczakiem, przegranym. Norweski to co innego, kojarzył mi się z pisarzami, z cyganerią, poza tym tego nie dało się wykuć, bo tu chodziło o coś innego, o *feeling*, talent, osobowość.

Na lekcjach siedziałem, bazgrząc, na przerwach paliłem przed szkołą, i w tym rytmie, podczas gdy niebo powoli się otwierało, odsłaniając krajobraz, mijał cały dzień, aż do ostatniego dzwonka o wpół do trzeciej, po którym wracałem do swojego mieszkania.

Był piąty grudnia, dzień przed moimi urodzinami, kończyłem szesnaście lat i mama miała przyjechać z Bergen. Cieszyłem się. W pewnym sensie fajnie było być tylko z tatą, głównie dlatego że trzymał się jak najdalej ode mnie, mieszkał w Sannes, a ja w mieście, lub odwrotnie. Po przyjeździe mamy miało się to skończyć, aż do Nowego Roku mieliśmy być razem w naszym domu na wsi, ale przykrość, jaką było codzienne widywanie ojca, prawie całkiem równoważyła obecność mamy. Z nią mogłem rozmawiać. O wszystkim. Tacie nie mogłem powiedzieć nic. Nic mu nie mogłem powiedzieć, z wyjątkiem tego, co dotyczyło spraw praktycznych, na przykład dokąd idę i o której wrócę.

Kiedy dotarłem do domu, zobaczyłem przed nim jego samochód. Wszedłem do środka, w korytarzu pachniało czymś smażonym, a z kuchni dochodziły trzaskanie garnkami i dźwięki radia.

Zajrzałem.

– Cześć – powiedziałem.

- Cześć. Głodny jesteś?
- Tak, nawet bardzo. A co szykujesz?
- Kotlety. Siadaj, już są gotowe.

Wszedłem i usiadłem przy okrągłym stole. Stół był stary, przypuszczałem, że należał jeszcze do jego babci.

Nałożył mi na talerz dwa kotlety, trzy ziemniaki i kopczyk smażonej cebuli. Usiadł, nałożył sobie.

- No i co tam? – spytał. – Coś nowego w szkole?

Pokręciłem głową.

- Niczego się dzisiaj nie nauczyłeś?

– Nie.

– Aha.

Dalej jedliśmy w milczeniu.

Nie chciałem go ranić, nie chciałem, by uznał to za niepowodzenie, by myślał, że ma nieudane relacje z synem, siedziałem więc i zastanawiałem się, co mógłbym powiedzieć. Ale nic mi nie przychodziło do głowy.

Nie miał złego humoru. Nie złościł się. Po prostu był nieobecny duchem.

- Odwiedzałeś ostatnio dziadków? – spytałem.

Spojrzał na mnie.

– Jasne – odparł. – Wpadłem do nich na chwilę wczoraj po południu. A dlaczego o to pytasz?

– Bez powodu. – Poczulem lekki rumieniec rozlewający się po policzkach. – Tak się tylko zastanawiałem.

Obkroiłem już nożem całe mięso. Teraz podniosłem do ust kość i zacząłem ją ogryzać. Tata zrobił to samo. Odłożyłem kość i wypiliśmy wodę ze szklanki.

- Dziękuję – powiedziałem, wstając.

- To zebranie ma być o szóstej? – spytał.

– Tak.

– Będziesz tutaj?

– Taki miałem plan.

- No, to po zebraniu wpadnę po ciebie i pojedziemy do Sannes. Może tak być?

– Może.

Pisałem wypracowanie o reklamie napoju dla sportowców, kiedy wrócił. Otwarte drzwi, nasilający się szum miasta, kroki w korytarzu. Jego głos.

– Karl Ove? Jesteś gotowy? Jedziemy od razu.

Już wcześniej spakowałem wszystkie potrzebne rzeczy do torby i do teczki, pękały w szwach, bo przez następny miesiąc miałem mieszkać w domu i nie potrafiłem przewidzieć, co mi będzie potrzebne.

Obserwował mnie, kiedy schodziłem ze schodów. Kręcił głową. Ale nie był zły. Chodziło o coś innego.

– No i jak poszło? – spytałem, nie patrząc mu w oczy, chociaż on tego strasznie nie lubił.

– Jak poszło? Zaraz ci powiem. Nakrzyczał na mnie twój nauczyciel matematyki. Właśnie tak. Vestby, tak się nazywa, prawda?

– Tak.

– Dlaczego nic mi nie mówiłeś? Przecież ja o niczym nie wiedziałem. Kompletnie mnie zaskoczył.

– A co powiedział? – Zacząłem się ubierać, bezgranicznie uradowany, że tata tak bardzo się nie przejął.

– Że podczas lekcji siedzisz z nogami na ławce, że jesteś krnąbrny i bezczelny, gadasz, nie uczysz się ani nie odrabiasz lekcji. I że jeśli tak będzie dalej, to cię nie przepuści. Tak powiedział. To prawda?

– Chyba tak, w pewnym sensie – odparłem, prostując się, już ubrany.

– Zwalił winę na mnie. Krzyczał, że mam syna lenia. Nie wiedziałem, gdzie mam podziąć oczy.

– I co mu powiedziałeś?

– Nawrzeszczałem na niego. To on jest odpowiedzialny za twoje zachowanie w szkole, nie ja. Ale to nie było przyjemne, chyba rozumiesz.

– Rozumiem – odparłem. – Przepraszam.

– To w niczym nie pomoże. Ale to była ostatnia wywiadówka, na którą poszedłem, niech to będzie jasne. I tyle. Idziemy?

Wyszliśmy na ulicę, skierowaliśmy się w stronę samochodu. Tata wsiadł, przechylił się przez siedzenie i otworzył drzwiczki z mojej strony.

– Możesz otworzyć tył? – spytałem.

Nie odpowiedział, ale otworzył. Włożyłem torbę i teczkę do bagażnika, zamknąłem go delikatnie, żeby nie wywołać gniewu taty, i usiadłem z przodu. Przeciągnąłem pas przez pierś i wetknąłem końcówkę w zamek.

– Czuję się głupio, zwyczajnie głupio. – Tata uruchomił silnik. Zapaliły się światelka na desce rozdzielczej. Reflektory oświetliły samochód stojący przed nami i fragment zbocza schodzącego do rzeki. – A jaki on właściwie jest jako nauczyciel, ten Vestby?

– Raczej słaby. Ma problemy z utrzymaniem dyscypliny. Nikt się nim nie przejmuje. I nie potrafi uczyć.

– Uzyskał jeden z najlepszych w historii wyników z egzaminów dyplomowych na uniwersytecie. Wiedziałaś o tym? – spytał tata.

– Nie.

Cofnął samochód o kilka metrów, wyjechał na drogę, zawrócił i zaczęliśmy oddalać się od miasta. Ogrzewanie szumiało. Kolce na oponach uderzały w asfalt z równym terkotem. Jak zwykle jechał szybko. Jedną ręką na kierownicy, drugą opartą o siedzenie przy drążku zmiany biegów. Łaskotało mnie w brzuchu. Małe przebłyski radości cały czas strzelały w ciało, bo coś takiego nie zdarzyło się nigdy wcześniej. On mnie nigdy nie bronił. Nigdy nie zdecydował się spojrzeć przez palce na coś, co dało się skrytykować w moim zachowaniu. Pokazania dzienniczka ze stopniami przed wakacjami letnimi i przed feriami zimowymi zawsze bałem się już kilka tygodni wcześniej. Najmniejsza uwaga, a już wylewał na mnie swoją wściekłość. Tak samo po wywiadówkach. Najdrobniejszy komentarz, że za dużo gadam lub nie utrzymuję rzeczy w porządku, i wracał rozwścieczony, nie mówiąc już o tych kilku razach, kiedy przyniosłem do domu wpisaną uwagę. To były dni sądu. Prawdziwe piekło.

Czy potraktował mnie tak, ponieważ zacząłem dorastać?

Czyżbyśmy stawali się sobie równi?

Miałem ochotę na niego spojrzeć, gdy siedział wpatrzony w drogę, po której sunęliśmy. Ale nie mogłem tego zrobić, musiałbym mieć coś do powiedzenia, a nie miałem.

Pół godziny później podjechaliśmy pod ostatnią górkę i zatrzymaliśmy się na podwórzu przed domem. Tata, nie wyłączając silnika, wysiadł, żeby otworzyć garaż. Ja podszedłem do drzwi wejściowych i wyjąłem klucze. Przypomniałem sobie o bagażu. Zawróciłem akurat w chwili, kiedy wyłączył silnik i zgasły czerwone tylne światła.

– Otworzysz bagażnik? – spytałem.

Kiwnął głową, włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił. Unosząca się kłapa przywiodła mi na myśl ogon wieloryba. Zaraz po wejściu do domu zorientowałem się, że posprzątało. Pachniało szarym mydłem, w pokojach był porządek, podłogi lśniły. A zasuszone kocie gówna zniknęło z kanapy.

Oczywiście zrobił to, ponieważ mama miała przyjechać do domu. Ale chociaż istniał konkretny powód, co oznaczało, że nie zrobił tego z własnej potrzeby, gdyż do tej pory w domu było niewiarygodnie brudno i nieprzyjemnie, i tak poczułem ulgę. Przywrócony został pewien ład. Co prawda wcześniej nie budziło to mojego niepokoju, raczej dezorientację, tym bardziej że łączyło się z czymś jeszcze. Tej jesieni coś się w ojcu zmieniło. Prawdopodobnie było to następstwem naszego nowego sposobu życia, przebywania tylko we dwóch, w dodatku rzadko. Zmiana była namacalna. Tata nigdy nie miał żadnych przyjaciół, nikt nigdy nie odwiedzał go w domu, oczywiście oprócz rodziny. Jego jedynymi znajomymi byli koledzy z pracy i sąsiedzi, to znaczy wtedy, kiedy

mieszkaliśmy na wyspie Tromøya, bo tu nie znał nawet sąsiadów. Ale zaledwie kilka tygodni po wyjeździe mamy na studia do Bergen zaprosił do Sannes kilku kolegów z pracy. Zamierzali urządzić niewielką imprezę, spytał więc, czy mógłbym tego wieczoru zostać w mieście. Gdybym się poczuł samotny, mógłbym przecież iść do babci i dziadka. Ale samotność była ostatnią rzeczą, jakiej się bałem, a tata zajrzał przed południem z torbą, w której były gotowa pizza, cola i chipsy; zjadłem je przed telewizorem.

Następnego dnia przed południem pojechałem autobusem do Jana Vidara, spędziłem u niego kilka godzin, a potem znów autobusem pojechałem do naszego domu. Drzwi były zamknięte na klucz. Otworzyłem garaż, żeby sprawdzić, czy tata tylko wyszedł gdzie się przejść, czy zabrał samochód. Garaż okazał się pusty. Wróciłem do domu i otworzyłem drzwi. Na stole w salonie stało kilka butelek po winie, popielniczki były pełne, lecz jak na dom nieposprzątaną po imprezie nie wyglądało to wcale tak źle, pomyślałem więc, że przyjęcie naprawdę musiało być niewielkie. Wieża stereo zwykle stała w mieszkaniu w stodole, ale ojciec przyniósł ją i ustawił na stoliku przy piecu; ukląknę przy płytach, które częściowo były oparte o nogę krzesła, a częściowo leżały rozrzucone na podłodze obok. Słuchał tych płyt, odkąd pamiętałem. Pink Floyd. Joe Dassin. Arja Saijonmaa. Johnny Cash. Elvis Presley. Bach. Vivaldi. Dwa ostatnie krążki musiał puszczać przed przyjściem gości albo może rano. Ale i reszta muzyki nie była szczególnie imprezowa. Podniosłem się i przeszedłem do kuchni, w zlewie stało kilka nieumytych talerzyków i szklanek; zajrzałem do lodówki, która oprócz dwóch butelek białego wina i kilku piw była w zasadzie pusta, a potem wszedłem po schodach na piętro. Drzwi do sypialni taty były otwarte. Zajrzałem do środka. Przeniesiono tu łóżko z sypialni mamy i ustawiono na środku przy łóżku taty. Musiało więc zrobić się późno, wypili, a ponieważ dom stał na takim odludziu, że taksówka do miasta albo do Vennessli, gdzie tata pracował, była za droga, ktoś tu nocował. Mój pokój pozostał nietknięty, ale zabrałem to, co miałem zabrać, i chociaż planowałem przenocować, wróciłem do miasta. Wszystko w domu stało się jakieś obce.

Kiedy indziej pojechałem tam bez uprzedzenia wieczorem, bo nie chciało mi się wracać do miasta po treningu. Tom z drużyny mnie podrzucił. W oświetlonej kuchni zobaczyłem tatę siedzącego z głową opartą na ręce, przy butelce wina. Również to było nowe, nigdy wcześniej nie pił, przynajmniej za mojego życia, a już na pewno nie sam. Teraz to zobaczyłem, chociaż nie chciałem o tym wiedzieć, ale zawrócić już nie mogłem, więc przesadnie głośno otupałem śnieg z butów przed progiem, gwałtownym szarpnięciem otworzyłem drzwi i mocno je za sobą zatrzasnąłem, a żeby nie miał wątpliwości, dokąd idę, odkręciłem oba krany w łazience i siedząc na sedesie, odczekałem kilka minut. Kiedy wszedłem do kuchni, nikogo w niej nie było. Pusty kieliszek stał na blacie, pusta butelka w szafce pod zlewem, a tata przeniósł się do mieszkania w stodole. Jakby to nie było dostatecznie tajemnicze, któregoś dnia, kiedy zwałem z trzech ostatnich lekcji i wybrałem się do Jana Vidara przed wieczornym treningiem w hali w Kjevnik, zobaczyłem, jak przejeżdża obok sklepu w Solsletcie wczesnym popołudniem. Akurat siedziałem na ławce

przed sklepem i paliłem papierosa, gdy nadjechała zielona jak smarki ascona taty, nie do pomylenia z jakimkolwiek innym autem. Wyrzuciłem papierosa, ale nie widziałem żadnego powodu, żeby się ukrywać, więc patrzyłem wprost na samochód, kiedy przejeżdżał, nawet uniosłem rękę na powitanie. Ale on mnie nie dostrzegł, rozmawiał z kimś, kto siedział obok. Następnego dnia, kiedy przyszedł do mojego mieszkania, wspomniałem mu o tym; powiedział, że to był kolega, przygotowywali razem jakiś projekt i przez kilka godzin po lekcjach w szkole pracowali nad nim u nas w domu.

W ogóle w tym czasie utrzymywał sporo kontaktów z kolegami z pracy. W któryś weekend pojechał z nimi na seminarium do Hovden, chodził też na przyjęcia częściej niż kiedykolwiek wcześniej. Z pewnością się nudził albo nie lubił spędzać wolnego czasu sam, a ja się z tego cieszyłem, bo wówczas zacząłem na niego patrzeć innymi oczami, już nie jak dziecko, tylko jak ktoś, kto staje się dorosły, i z tego punktu widzenia chciałem, żeby otaczał się przyjaciółmi i kolegami, tak jak inni ludzie. Zarazem nie podobała mi się ta zmiana, bo stawał się przez nią nieprzewidywalny.

To, że naprawdę bronił mnie na wywiadówce, wpasowywało się w ten obraz. Ba, było być może najwyraźniejsze ze wszystkiego.

W pokoju wypakowałem ubrania i ułożyłem je w szafie, kasety kolejno, jedną po drugiej, włożyłem do stojaka na biurku, z podręczników zrobiłem równy stos. Dom był z połowy dziewiętnastego wieku, podłogi trzeszczały, a dźwięki przedzierały się przez ściany, wiedziałem więc nie tylko, że tata jest w salonie tuż przede mną, lecz również że siedzi na kanapie. Zamierzałem skończyć *Drakulę*, ale poczułem, że nie mogę tego zrobić, dopóki nie wyjaśnię sytuacji między nami. Uważałem, że on powinien wiedzieć, co będę robił, a ja powinienem wiedzieć, co będzie robił on. Ale jednocześnie nie mogłem po prostu zejść na dół i powiedzieć: „Cześć, tato, siedzę na górze i czytam”. Od razu spytałby: „Dlaczego mi o tym mówisz?”, albo przynajmniej tak by pomyślał. Ponieważ jednak brakowi równowagi należy przeciwdziałać, zszedłem na dół, zahaczyłem o kuchnię, licząc na to, że jedzenie okaże się dobrym pretekstem, nim wreszcie skierowałem się do salonu, w którym tata siedział nad jednym z moich starych komiksów.

– Będziesz jadł kolację? – spytałem.

– Weź sobie coś. – Spojrzał na mnie przelotnie.

– Okej. A potem idę do siebie.

Nie odpowiedział, czytał dalej *Agent X9* w świetle lampy przy kanapie. Ukroiłem sobie kawałek kiełbasy, którą zjadłem, siedząc już przy biurku. Przyszło mi do głowy, że raczej nie kupił mi żadnego prezentu urodzinowego, pewnie mama przywiezie go z Bergen. Ale tort chyba on powinien załatwić? Pomyślał o tym?

Kiedy następnego dnia wróciłem po szkole do domu, mama już była. Tata odebrał ją z lotniska. Siedzieli przy stole w kuchni, w piecyku dochodziła pieczeń, obiad zjedliśmy

przy świecach. Dostałem czek na pięćset koron i koszulę, którą mama kupiła mi w Bergen. Nie miałem serca powiedzieć, że nie będę jej nosił, przecież chodziła po sklepach i szukała czegoś dla mnie, znalazła taką, jaka jej się spodobała, i uznała, że mnie też przypadnie do gustu.

Włożyłem ją, jedliśmy tort i piliśmy kawę w salonie. Mama była zadowolona, kilka razy powtarzała, że dobrze być w domu. Zadzwoił Yngve z życzeniami, zapowiedział, że przyjedzie prawdopodobnie dopiero w Wigilię i wtedy dostanę prezent. Poszedłem na trening, a kiedy wróciłem około dziewiątej, rodzice już siedzieli w mieszkaniu w stodole.

Miałem ochotę porozmawiać z mamą sam na sam, ale wyglądało na to, że mi się nie uda, więc odczekawszy jakiś czas, poszedłem się położyć. Następnego dnia miałem w szkole kolejny sprawdzian semestralny, w ciągu ostatnich dwóch tygodni było ich mnóstwo. Ze wszystkich wychodziłem wcześniej, szedłem do miasta, do sklepów z płytami albo do kawiarni. Czasami razem z Bassenem, czasami z którąś z dziewczyn z klasy, jeśli tak się przypadkiem złożyło i nie mogło to zostać uznane za narzucanie się. Z Bassenem było okej, zaczęliśmy się razem włóczyć. Któregoś wieczoru byłem u niego, tylko słuchaliśmy płyt, nic innego nie robiliśmy, ale mimo wszystko ogarnęła mnie radość. Miałem nowego przyjaciela. To nie był żaden wieśniak ani fan heavy metalu, tylko ktoś, kto lubił Talk Talk i U2, Waterboys i Talking Heads. Bassen, czyli Reid, bo tak naprawdę miał na imię, był pięknym ciemnowłosym chłopakiem, podobał się dziewczynom, chociaż raczej nie uderzyło mu to do głowy, bo nie miał w sobie nic na pokaz, żadnej wyniosłości, nigdy nie zajmował miejsca, które mógł zająć, ale nie był też skromny, to raczej jego refleksyjność i powściągliwość zawsze odrobinę go hamowały. Nigdy nie demonstrował. Nie wiem, czy nie chciał, czy nie potrafił, często przecież jedno wiąże się z drugim. Ale mnie najbardziej podobało się w nim to, że wypracowywał własne opinie o różnych rzeczach. Moje myślenie zawsze ograniczał jakiś schemat danego obszaru, na przykład poglądy polityczne zawsze łączyły się automatycznie z określonym stanowiskiem w innych sprawach, a w kwestii gustu słuchanie jakiegoś zespołu natychmiast pociągało za sobą sympatię dla podobnych grup. To samo dotyczyło mojego stosunku do ludzi: nie umiałem się uwolnić od swoich uprzedzeń. Bassen natomiast myślał samodzielnie, wykorzystując własne, mniej lub bardziej idiosynkratyczne oceny. Również tym się nie przechwalał, przeciwnie, trzeba go było lepiej poznać, żeby to odkryć. Bassen wcale tego nie wykorzystywał, po prostu taki był. Moja duma, że mogę go nazywać przyjacielem, wynikała nie tylko z wielu jego dobrych cech, nie tylko z przyjaźni samej w sobie, lecz również, a może przede wszystkim, z przekonania, że skorzystam na jego uznaniu towarzyskim. Wówczas nie miałem tej świadomości, ale z perspektywy lat staje się to dla mnie jasne: jeśli ktoś jest wykluczony z grupy, musi znaleźć kogoś, kto go do tej grupy wpuści, a przynajmniej jest tak, kiedy ma się szesnaście lat. W tym wypadku wykluczenie nie było metaforyczne, tylko dosłowne i konkretne. Otaczało mnie kilka setek chłopców i dziewcząt w moim wieku, ale nie mogłem się wpasować w ten kontekst, który liczył się dla nich. Co poniedziałek obawiałem się

pytania zadawanego przez wszystkich, a mianowicie: „Co robiłeś w weekend?”. Raz można było powiedzieć: „Siedziałem w domu i oglądałem telewizję”, a raz – „Siedziałem u kumpla i słuchaliśmy płyt”, ale potem należało już wystąpić z czymś ciekawszym, jeśli nie chciało się odpaść. Niektórzy odpadali od razu i pozostawali wykluczeni przez całe liceum, a ja za wszelką cenę nie chciałem stać się kimś takim, chciałem być tym, wokół którego szaleje burza wydarzeń, chciałem być zapraszany na ich imprezy, wychodzić z nimi na miasto, żyć ich życiem.

Wielkim egzaminem, największą imprezą w roku był sylwester. W ostatnich tygodniach ciągle się o tym mówiło. Bassen wybierał się do jakichś swoich znajomych w Justvik, nie było możliwości, żebym się tam wślizgnął, więc kiedy szkoła się skończyła przed Bożym Narodzeniem, nie byłem nigdzie zaproszony. Razem z Janem Vidarem, który mieszkał w Solsletcie, cztery kilometry od nas, i tej jesieni poszedł do klasy cukierniczej w zawodówce, siedzieliśmy w okresie międzyświątecznym i roztrząsaliśmy możliwości. Chcieliśmy iść na imprezę i chcieliśmy się upić. Ta ostatnia kwestia nie powinna stanowić problemu; grałem w drużynie juniorów, a nasz bramkarz Tom załatwiał dla nas różne rzeczy i nie miał nic przeciwko temu, żeby kupić nam piwo. Natomiast impreza... Podobno kilku dziewiątoklasistów, ćwierćkryminalistów z marginesu, zamierzało się spotkać w jednym z pobliskich domów, ale dla mnie to absolutnie nie wchodziło w grę, wolałem już raczej siedzieć u siebie. Była też paczka z Hamresanden, którą znaleźliśmy dobrze, ale do niej nie należeliśmy. Z tymi ludźmi chodziliśmy do klasy albo graliśmy z nimi w piłkę, jednak nie zostaliśmy przez nich zaproszeni, a zresztą nawet gdyby udało nam się w jakiś sposób tam wcisnąć, w moich oczach też nie stanowili dostatecznie dobrego towarzystwa. Mieszkali w Tveit, chodzili do szkoły zawodowej albo pracowali, a ci, którzy jeździli własnymi samochodami, mieli w nich siedzenia obciążone futrem i choinki Wunder-Baum mające się przy lusterku. Ale innych opcji nie było. Na sylwestra należało mieć zaproszenie. Z drugiej strony, około północy ludzie wychodzili z domów, zbierali się na placach albo na skrzyżowaniach dróg, żeby puszczać fajerwerki i z wrzaskiem witać Nowy Rok. Do uczestnictwa w takiej zabawie niepotrzebne było żadne zaproszenie. Wiedziałem, że wiele osób ze szkoły wybiera się na imprezę w Søm, więc może i my byśmy się tam wybrali? Właśnie wtedy Jan Vidar przypomniał sobie, że perkusista naszego zespołu, którego przyjęliśmy z czystej rozpaczy, ósmoklasista z Hånes, mówił, że na sylwestra będzie w Søm.

Po dwóch rozmowach telefonicznych wszystko było opracowane. Tom miał kupić dla nas piwo, z którym zamierzaliśmy dołączyć do ósmo- i dziewiątoklasistów, siedzieć u nich w suterenie do północy, potem iść na skrzyżowanie, na którym zbiorą się ludzie, znaleźć tam jakichś znajomych ze szkoły i przyczepić się do nich na resztę nocy. To był dobry plan. Po powrocie do domu tego popołudnia rzuciłem rodzicom w przelocie, że zostałem zaproszony na sylwestra, bo ktoś z klasy urządza imprezę w Søm, czy zgadzają się, żebym poszedł! U nas w domu miało być przyjęcie, przyjeżdżali rodzice ojca i jego brat Gunnar z

rodziną, ale ani mama, ani tata nie mieli nic przeciwko temu, żebym wyszedł.

– Świetnie – powiedziała mama.

– W porządku – zgodził się tata. – Ale musisz być w domu o pierwszej.

– Przecież to sylwester – zaprotestowałem. – Nie może być druga?

– No dobrze, ale niech to będzie druga, a nie wpół do trzeciej. Jasne?

W sylwestra przed południem pojechaliśmy na rowerach do sklepu na Ryensletcie, gdzie czekał już Tom, daliśmy mu pieniądze i dostaliśmy dwie torby z dziesięcioma butelkami piwa w każdej. Jan Vidar schował je w ogrodzie swojego domu, a ja pojechałem do siebie. Rodzice sprząтали i szykowali przyjęcie. Na dworze wiało. Przez chwilę stałem w oknie swojego pokoju i patrzyłem, jak śnieg wiruje za szybą, szare niebo jakby się zniżyło i wpadło między czarne drzewa w lesie. Potem nastawiłem płytę, wyjąłem zaczęłą książkę i położyłem się na łóżku. Po jakimś czasie do drzwi zapukała mama i powiedziała:

– Dzwoni Jan Vidar.

Telefon stał na dole, w pokoju z szafami. Zszedłem, zamknąłem drzwi i sięgnąłem po słuchawkę.

– Tak?

– Katastrofa! – oznajmił Jan Vidar. – Ten cholerny Leif Reidar...

Leif Reidar, jego brat, miał dwadzieścia kilka lat, jeździł podrasowanym oplem asconą i pracował w fabryce parkietu Boen. Jego życie nie było zorientowane na południowy zachód, na miasto, tak jak moje i większości innych, tylko na północny wschód, na Birkeland i Lillesand, co wraz z różnicą wieku sprawiało, że nigdy nie miałem co do niego pewności, nie potrafiłem stwierdzić, kim jest i czym właściwie się zajmuje. Nosił wąsy i często wkładał ciemne okulary pilotki, ale nie był przeciętnym wsiowym bezgusciem, świadczyły o tym dbałość o strój i zachowanie.

– A co zrobił? – spytałem.

– Znalazł torby z piwem w ogrodzie. I nie mógł ich, cholera, zostawić. Przeklęty fiut! Ta jego cholerna podwójna moralność! Nawrzeszczał na mnie, on, że wszystkich ludzi właśnie on! Krzyczał, że mam dopiero szesnaście lat, i tak dalej. Kazał mi powiedzieć, kto kupił to piwo. Oczywiście się nie przyznałem. To, do jasnej cholery, nie jego sprawa. Ale zagroził, że doniesie o wszystkim ojcu, jeśli mu nie powiem kto. Pieprzony hipokryta! Ten... Niech to cholera! Musiałem mu powiedzieć. I wiesz, co on zrobił? Wiesz, co ten idiota zrobił?

– Nie wiem.

W porywach wiatru śnieg opadał z dachu stodoły jak welon. Światło z okien na parterze jaśniało miękko, niemal tajemniczo, w wolno zapadającym zmierzchu. Dostrzegłem jakiś ruch w środku, to musiał być tata, i rzeczywiście, sekundę później jego twarz za szybą nabrała kształtów. Patrzył wprost na mnie. Spuściłem wzrok i lekko odwróciłem głowę.

– Zmusił mnie, żebym wsiał do samochodu, i razem pojechaliśmy do Toma z tymi

torbami.

– Naprawdę?

– Cholerny z niego fiut. Jemu to sprawia przyjemność. Cholera, jakby się w tym pławił! Nagle taki kurewsko porządny! On! Tak się cholernie wkurwiłem!

– I co było dalej?

Kiedy znów zerknąłem w okno, twarz zniknęła.

– Co było? A jak myślisz? Zwymyślał Toma. A potem kazał mi oddać piwo. No to oddałem. A Tom miał mi zwrócić pieniądze. Jakbym był jakimś gówniarzem. Jakby on nie robił tego samego, kiedy miał szesnaście lat. Niech to cholera! On się bawił moim kosztem, rozumiesz? Bawił się tym, że się wkurzył, że mnie tam zawiózł, że nawrzeszczał na Toma.

– I co teraz będzie? Mamy iść bez piwa? To nie wchodzi w grę.

– Wiem, dlatego na odchodnym puściłem oko do Toma. Zrozumiał. Już z domu zadzwoniłem do niego i przeprosiłem. Wcale się nie wściekł. Powiedział, że zawiezie to piwo do ciebie. A po drodze weźmie mnie, żebym mógł mu zapłacić.

– Przyjedziecie t u t a j?

– Tak, będzie za dziesięć minut, a do ciebie dotrzemy za kwadrans.

– Muszę chwilę pomyśleć – powiedziałem.

Dopiero w tym momencie odkryłem, że na krześle przy stoliku z telefonem leży kot. Popatrzył na mnie, potem zaczął lizać łapę. W salonie ktoś włączył odkurzacz. Kot błyskawicznie odwrócił łeb w stronę dźwięku. W następnej sekundzie się rozluźnił. Nachyliłem się i podrapałem go w szyję.

– Nie możecie podjechać pod sam dom, to wykluczone. Po prostu zostawcie te torby gdzieś przy drodze. Tam i tak nikt ich nie znajdzie.

– No, to może na dole, pod wzgórzem?

– Tym, na którym stoi dom?

– Tak.

– Pod wzgórzem poniżej domu za piętnaście minut?

– Tak.

– W porządku. Tylko powiedz Tomowi, że nie może zawracać u nas ani przy skrzynkach pocztowych. Kawalek dalej jest zatoczka i tam może wywinąć, dobra?

– Dobra. No, to się widzimy.

Odłożyłem słuchawkę i poszedłem do salonu do mamy. Na mój widok wyłączyła odkurzacz.

– Zajrzę do Pera – oznajmiłem. – Złożę mu życzenia noworoczne.

– Dobrze, idź – powiedziała mama. – Pozdrów jego rodziców, jeśli ich spotkasz.

Per był o rok ode mnie młodszy i mieszkał w sąsiednim domu, jakieś dwieście metrów

nżej. To z nim spędzałem najwięcej czasu przez te lata, odkąd się tu przeprowadziliśmy. Graliśmy w piłkę tak często, jak mogliśmy, po szkole, w soboty i niedziele, w wakacje; na ogół staraliśmy się zebrać dość chłopaków, żeby zagrać porządny mecz, ale jeśli się nie dało, potrafiliśmy godzinami grać dwóch na dwóch, a jeśli nawet to było niemożliwe, kopaliśmy tylko ja i Per. Ja strzelałem karne jemu, on mnie, ja podawałem do niego, on do mnie, albo graliśmy jeden na jednego. Spędzaliśmy w ten sposób całe dni, nawet kiedy już zacząłem chodzić do liceum. Poza tym się kąpaliśmy – albo przy wodospadzie, w zakolu, gdzie woda była tak głęboka, że dawało się skakać ze skały na główkę, albo przy bystrzach, gdzie porywały nas masy wody. Kiedy pogoda nie pozwalała wychodzić na dwór, oglądaliśmy filmy na wideo u nich w suterenie albo po prostu siedzieliśmy w garażu i gadaliśmy. Lubiłem do nich przychodzić. Rodzina Pera była ciepła i życzliwa i chociaż jego ojciec mnie nie znosił, czułem się tam mile widziany. Jednak mimo że Per był osobą, z którą spędzałem zdecydowanie najwięcej czasu, nie uważałem go za przyjaciela. Nigdy nie wspominałem o nim w żadnym innym towarzystwie, ponieważ był o rok ode mnie młodszy, więc nie miałem się czym chwalić, a poza tym był taki wsiowy. Nie interesowała go muzyka i nie miał o niej pojęcia, nie interesowały go też dziewczyny ani picie, w weekendy wystarczało mu siedzenie w domu z rodziną. W ogóle mu nie przeszkadzało, że chodzi do szkoły w gumiakach, równie chętnie nosił robione na drutach swetry i sztruksowe spodnie, jak za krótkie dżinsy i T-shirty z reklamą zoo w Kristiansand. Do czasu, kiedy się tam przeprowadziłem, nigdy sam nie wybrał się do miasta. Chyba nie przeczytał też ani jednej książki. Poprzestawał na komiksach, które ja zresztą też czytałem, ale zawsze obok całego mnóstwa książek MacLeana, Bagleya, Smitha, Le Carrégo i Folleta, które pochłaniałem i na które z czasem udało mi się namówić również jego. Jeździliśmy razem do biblioteki w niektóre soboty, a co drugą niedzielę na mecze na stadionie Startu, dwa razy w tygodniu trenowaliśmy z drużyną piłkarską, w letniej połowie roku raz w tygodniu graliśmy też mecz, a poza tym codziennie chodziliśmy razem do autobusu szkolnego i z powrotem. Ale w autobusie nigdy nie siadaliśmy obok siebie, bo im bliżej było do szkoły i życia, które tam się toczyło, tym mniej przyjaźniłem się z Perem, a na szkolnym podwórzu w ogóle nie mieliśmy kontaktu. O dziwo, on nic sobie z tego nie robił. Zawsze był zadowolony, zawsze otwarty, miał poczucie humoru i był, tak jak jego rodzina, ciepłą osobą. W przerwie między świętami odwiedziłem go parę razy, oglądaliśmy filmy na wideo i wybraliśmy się na narty na wzgórze za naszym domem. Zabranie go ze sobą na sylwestra nawet nie zaświtało mi w głowie, nie było takiej możliwości. Dla Jana Vidara Per nie istniał; oczywiście znali się, tak jak znali się tu wszyscy, ale nigdy nic nie robili razem i pewnie Jan Vidar nie widział ku temu żadnego powodu. Kiedy się tu sprowadziłem, trzymał się z Kjetilem, równolatkiem z Kjeviku, przyjaźnili się i stale u siebie bywali. Ojciec Kjetila był wojskowym i z tego, co zrozumiałem, często się przeprowadzał. Kiedy Jan Vidar zaczął się trzymać ze mną, głównie z powodu zainteresowań muzycznych, Kjetil usiłował go odzyskać, stale do niego dzwonił i zapraszał go do siebie, a kiedy w szkole byliśmy we trzech, rzucał żartami, które

tylko oni dwaj rozumieli, ale gdy nic mu z tego nie przyszło, spuścił z tonu i zaczął zapraszać do siebie nas obu. Jeździliśmy na rowerach po lotnisku, przesiadywaliśmy w lotniskowej kawiarni, kiedyś pojechaliśmy do Hamresanden i zadzwoniliśmy do drzwi pewnej dziewczyny, Rity, którą interesowali się obaj, i Jan Vidar, i Kjetil. Kjetil miał czekoladę, którą podczas jazdy pod górę podzielił się z Janem Vidarem, mnie nie częstując, ale to też nie poskutkowało, bo Jan Vidar udał, że nie ma sprawy, swoją połówkę podzielił na dwie części i dał mi kawałek. W końcu Kjetil odpuścił, zwrócił się ku innym, ale już do końca gimnazjum nie zaprzyjaźnił się z nikim tak, jak kiedyś z Janem Vidarem. Kjetila lubili wszyscy, zwłaszcza dziewczyny, żadna jednak nie chciała z nim chodzić. Rita, która poza wszystkim była beczelna i ostra i nigdy nikogo nie oszczędzała, bardzo go polubiła, dużo się razem śmiali i panował między nimi wyjątkowy ton, ale pozostali tylko przyjaciółmi. Dla mnie Rita zachowywała najostrejszy sarkazm i zawsze gdy była w pobliżu, musiałem być czujny, nigdy nie wiedziałem, kiedy ani w jaki sposób przypuści atak. Była drobna i delikatna, miała wąską twarz i małe usta, ale rysy regularne, a oczy, z których często biła drwina, błyszczały z rzadko spotykaną intensywnością; prawie się mieniły. Rita była piękna, ale jeszcze jej za taką nie uważano. Potrafiła być tak nieprzyjemna dla innych, że pewnie mogła się tego nigdy nie doczekać.

Któregoś wieczoru zadzwoniła do mnie do domu.

– Cześć, Karl Ove, tu Rita – powiedziała.

– Rita? – powtórzyłem.

– Tak, ty durniu. Rita Lolita.

– Aha.

– Chciałam cię o coś spytać.

– Tak?

– Chcesz ze mną chodzić?

– Co powiedziałaś?

– No, to jeszcze raz. Chcesz ze mną chodzić? To proste pytanie. Masz na nie odpowiedzieć tak albo nie.

– Nie wiem...

– Daj spokój. Jak nie chcesz, to powiedz.

– Chyba nie...

– No to nie. Widzimy się jutro w szkole. Trzymaj się.

Odłożyła słuchawkę. Następnego dnia zachowywałem się tak jak zwykle i ona zachowywała się tak jak zwykle, może tylko jeszcze bardziej jej zależało, żeby mi przysolić, kiedy nadarzyła się okazja. Nigdy więcej o tym nie wspomniała, ja zresztą też nie, ani Janowi Vidarowi, ani Kjetilowi, nie chciałem mieć nad nimi takiej przewagi.

Kiedy już powiedziałem mamie, że wychodzę, a ona znów włączyła odkurzacz, ubrałem się w korytarzu i wyszedłem, zginając się wpół, aby się chronić przed wiatrem. Tata otworzył jedno skrzydło drzwi do garażu i wyciągał odśnieżarkę. Żwir w garażu był suchy, niepokryty śniegiem; ten widok, jak zawsze, wzbudził we mnie niezbyt przyjemne uczucie, bo żwir przynależał do tego, co na dworze, a to, co na dworze, pokrywał teraz śnieg, brakowało więc równowagi w podziale między tym, co wewnątrz, a tym, co na zewnątrz. Kiedy garaż był zamknięty, w ogóle o tym nie myślałem, nawet nie przemyskało mi to przez głowę, ale kiedy to widziałem...

– Zajrzę tylko na chwilę do Pera! – zawołałem.

Tata siłował się z odśnieżarką, obejrzał się i pokiwał głową. Trochę żałowałem, że zaproponowałem spotkanie przy naszym wzgórzu, to mogło być za blisko, przecież ojciec był obdarzony jakimś szóstym zmysłem, gdy chodziło o odstępstwa od normy. Z drugiej strony, już od pewnego czasu przestał się mną interesować. Kiedy doszedłem do skrzynek pocztowych, usłyszałem warkot włączanej odśnieżarki. Odwróciłem się, żeby sprawdzić, czy ojciec może mnie zobaczyć. Wyglądało jednak na to, że jestem poza zasięgiem jego wzroku, więc ruszyłem w dół drogi bliżej stromizny, żeby zmniejszyć szansę na znalezienie się w jego polu widzenia. Na samym dole zatrzymałem się i czekając, patrzyłem na rzekę. Na drugim brzegu przejechały jeden za drugim trzy samochody. Światła ich reflektorów w potężnej szarości przypominały żółte żądła. Śnieg na równinie przybrał kolor nieba, z którego światło zdawała się zagarniać sieć zapadającej ciemności. Szczelina w lodzie na rzece lśniła czarno. W końcu usłyszałem, że na zakręcie kilkaset metrów dalej w jakimś samochodzie zmienia się bieg na niższy. Warkot silnika brzmiał jakoś krucho, musiał pochodzić ze starego auta. Bez wątpienia z samochodu Toma. Popatrzyłem na drogę i kiedy się pojawił na zakręcie, uniosłem rękę na powitanie. Auto zahamowało i zatrzymało się przy mnie. Tom opuścił szybę.

– Cześć, Karl Ove.

– Cześć.

Uśmiechnął się.

– Zwymyślał cię? – spytałem.

– Cholerny fiut – odezwał się Jan Vidar, który siedział obok.

– Nic się nie stało – stwierdził Tom. – To jednak wybieracie się gdzieś dzisiaj?

– Tak, a ty?

– Jakaś drobna imprezka na pewno się wykręci.

– A poza tym?

– W porządku.

Popatrzył na mnie swoimi dobrymi oczami, uśmiechnął się.

– Wasze rzeczy są w bagażniku.

– Otwarty?

– Jasne.

Przeszedłem na tył samochodu i otworzyłem klapę bagażnika. Wyjąłem dwie białoczerwone reklamówki, leżące wśród płataniny narzędzi, skrzynek i linek z haczykami, którymi mocuje się rzeczy na dachu.

– Już wziąłem – powiedziałem. – Dzięki, Tom. Nie zapomnimy ci tego.

Zatrąbił.

– No, to do zobaczenia – zwróciłem się do Jana Vidara.

Kiwnął mi głową, Tom zamknął okno, pożegnał mnie wesoło, jak zwykle salutując, wrzucił bieg i ruszył pod górę. Przelazłem przez zaspę, którą usypał pług śnieżny, i wszedłem między drzewa, ruszyłem pod górę wzdłuż przykrytego śniegiem koryta strumienia, mniej więcej dwadzieścia metrów dalej położyłem torby z butelkami pod łatwo rozpoznawalnym pnem brzozy i dopiero wtedy usłyszałem samochód znów przejeżdżający tędy, ale w przeciwną stronę.

Stałem na skraju lasu i odczekałem jeszcze kilka minut, żeby moja wyprawa nie wydała się podejrzenie krótka. Znow zacząłem się wspinać pod górę. Tata odśnieżał i poszerzał drogę do domu. Nie miał ani czapki, ani rękawiczek, szedł za odśnieżarką ubrany w stary krótki kozuch, a szyję miał luźno omotaną grubym szalikiem. Odgarnięty śnieg, którego nie porwał wiatr, kaskadami sypał się kilka metrów w głąb pola. Kiwnąłem tacie głową, mijając go; musnął mnie wzrokiem, ale twarz miał nieruchomą. Kiedy odwiesiwszy kurtkę w korytarzu, wszedłem do kuchni, mama paliła papierosa. Na parapecie płonęła świeca, płomień migotał. Zegar na kuchence pokazywał wpół do czwartej.

– Wszystko pod kontrolą? – spytałem.

– Pewnie. Będzie miło. Chcesz coś zjeść przed wyjściem?

– Zrobię sobie jakieś kanapki.

Na kuchennym blacie leżała wielka biała paka z lutfisk^[2]. Zlew obok był pełen ciemnych, nieumytych ziemniaków. Świeciła się lampka na ekspresie w rogu. Dzbanek był do połowy wypełniony kawą.

– Ale chyba jeszcze trochę zaczekam – powiedziałem. – Przecież wychodzę dopiero o siódmej. A o której oni właściwie przyjadą?

– Tata ma jechać po dziadków. Chyba niedługo wychodzi. Gunnar będzie koło siódmej.

– To jeszcze zdążę się z nimi zobaczyć – stwierdziłem i poszedłem do salonu, stanąłem przy oknie, popatrzyłem na dolinę, ze stolika przy kanapie wziąłem pomarańczę, usiadłem i ją obrałem. Lampki na choince błyszcząły, płomienie w kominku migotały, a na nakrytym stole w drugim końcu pokoju skrzyły się kryształowe kieliszki, w których odbijało się światło lamp. Pomyślałem o Yngvem, zacząłem się zastanawiać, jak on sobie radził, kiedy sam chodził do liceum. Teraz w każdym razie nie miał już żadnych problemów, był w

schronisku Vindilhytta w Indre Aust-Agder razem ze swoimi przyjaciółmi. Do domu przyjechał najpóźniej jak się dało, w samą Wigilię, i wyjechał jak najszybciej, gdy tylko uznał, że wypada, zaraz po świętach. Nigdy tu nie mieszkał. Tamtego lata, kiedy się przeprowadziliśmy, miał zacząć chodzić do ostatniej klasy liceum i chciał ją skończyć w swojej szkole, z tamtymi kolegami. Tatę to rozwścieczyło. Ale Yngve był niezłomny, nie przeprowadził się z nami, wziął kredyt studencki, bo tata nie chciał go wspomóc nawet koroną, i wynajął stancję w pobliżu naszego dawnego domu. Przez tych kilka weekendów, które z nami spędził, tata prawie się do niego nie odzywał. Panował między nimi lodowaty chłód. Rok później Yngve poszedł do wojska; z tego okresu pamiętam jeden weekend, kiedy przyjechał razem ze swoją dziewczyną Alfild. Zdarzyło się to pierwszy raz. Tata oczywiście trzymał się z dala, więc spędzaliśmy czas tylko we czwórkę, Yngve, Alfild, mama i ja. Dopiero kiedy weekend się kończył, a oni już szli do autobusu, tata przyjechał. Zatrzymał samochód, opuścił szybę i z uśmiechem przywitał się z Alfild. Spojrzenia, jakie temu towarzyszyło, nigdy wcześniej u niego nie widziałem. Było intensywne i pełne radości. Na żadnego z nas nigdy w ten sposób nie patrzył, to pewne. Potem odwrócił wzrok, wrzucił bieg i ruszył pod górę, a my poszliśmy dalej w dół, do autobusu.

Czy to był nasz ojciec?

Całą życzliwość mamy i troskliwość, jaką okazywała Alfild i Yngvememu przez ten weekend, całkowicie przesłoniło trwające cztery sekundy spojrzenie taty. Tak było poniekąd również w te weekendy, które Yngve spędzał tutaj sam, kiedy tata jak najdłużej przebywał w mieszkaniu w stodole i pojawiał się wyłącznie na posiłki, przy czym to, że o nic Yngvego nie pytał i poświęcał mu jedynie minimum uwagi, pozostawało głównym wrażeniem z całego weekendu, mimo wszystkich wysiłków mamy, by Yngve poczuł się tu jak w domu. To tata decydował o nastroju i pod tym względem nikt nie mógł się z nim równać.

Na zewnątrz warkot odśnieżarki nagle ucichł. Podniosłem się z kanapy, zebrałem skórki pomarańczy, poszedłem do kuchni, gdzie mama teraz obierała ziemniaki, otworzyłem drzwiczki szafki koło niej i wrzuciłem skórki do śmieci. Zobaczyłem, że tata idzie przez podjazd, charakterystycznym gestem przegarniając włosy, więc poszedłem na górę do swojego pokoju, zamknąłem drzwi, nastawiłem płytę i znów położyłem się na łóżku.

Od pewnego czasu próbowaliśmy wymyślić, w jaki sposób dostaniemy się do Søm. Zarówno ojciec Jana Vidara, jak i moja matka z całą pewnością zaofiarowałyby się, że nas podwiozą, co zresztą zrobili, gdy tylko przedstawiliśmy im nasze plany. Jednak z uwagi na te dwie torby z piwem nie mogliśmy skorzystać z ich propozycji. Wymyśliliśmy, że Jan Vidar powie swoim rodzicom, iż odwiezie nas moja matka, ja natomiast miałem mówić, że podrzuci nas ojciec Jana Vidara. Takie rozwiązanie było trochę ryzykowne, ponieważ nasi rodzice czasami się spotykali, ale uznaliśmy ryzyko pytania o naszego kierowcę za tak niewielkie, że zdecydowaliśmy się je podjąć. Kiedy już to ustaliliśmy, pozostało jeszcze

zorganizowanie samej podróży. Wieczorem w sylwestra nie jeździły koło nas autobusy, ale dowiedzieliśmy się, że coś będzie kursować przez krzyżówkę koło Timenes, dziesięć kilometrów dalej. Postanowiliśmy dotrzeć tam autostopem; gdybyśmy mieli szczęście, samochód dowiozłby nas do celu, a jeśliby się nam nie poszczęściło, dalej mogliśmy jechać autobusem. Aby uniknąć pytań i podejrzeń, musieliśmy wyruszyć już po przybyciu gości. Czyli o siódmej. Autobus odjeżdżał dziesięć po ósmej, więc przy odrobinie szczęścia powinno się udać.

Upijanie się wymagało planowania. Należało w bezpieczny sposób zdobyć odpowiednie napoje, zorganizować bezpieczne miejsce, załatwić transport w obie strony, a po powrocie do domu unikać rodziców. Dlatego po tamtym pierwszym błogosławionym pijaństwie w Oslo upiłem się tylko dwukrotnie. Ostatnim razem o mało się to źle nie skończyło. Liv, siostra Jana Vidara, właśnie zaręczyła się ze Stigiem, żołnierzem, którego poznała w Kjevik, gdzie pracował również ojciec jej i Jana Vidara. Chciała wyjść młodo za męża, mieć dzieci i być gospodynią domową, co było raczej niezwykłym marzeniem jak na dziewczynę w jej wieku, więc chociaż była zaledwie o rok od nas starsza, żyła w zupełnie innym świecie. W pewien sobotni wieczór Liv i Stig zaprosili nas na skromne spotkanie u swoich przyjaciół. Ponieważ nie mieliśmy żadnych innych planów, stwierdziliśmy, że pójdziemy, i kilka dni później siedzieliśmy u kogoś na kanapie, popijaliśmy wino domowej roboty i oglądaliśmy telewizję. To miał być miły wieczór przy świecach i lasagne i z pewnością taki by był, gdyby nie wino w nieprzebranych ilościach. Pijąc, poczułem równie niesamowitą radość jak za pierwszym razem, ale film mi się urwał i nie zapamiętałem niczego między piątym kieliszkiem a chwilą, kiedy ocknąłem się na podłodze w jakiejś ciemnej piwnicy, w spodniach od dresu i bluzie, których wcześniej nie widziałem na oczy, na kołdrze przykrytej ręcznikami i z własnym zarzyganym ubraniem zwiniętym w tłumok. Zauważyłem pralkę pod ścianą, obok kosz na brudną bieliznę, pod drugą ścianą zamrażarkę, na której leżało kilka kurtek i spodni przeciwdeszczowych. Były tam również stos pułapek na kraby, podbierak, wędka, a także półka z narzędziami i rupieciami. Całe to otoczenie, nowe dla mnie, ogarnąłem jednym spojrzeniem, bo obudziłem się wypoczęty i z zupełnie jasną głową. W odległości kilku kroków zobaczyłem uchylone drzwi, otworzyłem je i znalazłem się w kuchni, w której Stig i Liv siedzieli ze splecionymi rękami i promienieli szczęściem.

– Cześć – powiedziałem.

– Czy to nasz Garfield? – spytał Stig. – Jak się czujesz?

– Dobrze – odparłem. – Co się właściwie stało?

– Nie pamiętasz?

Pokręciłem głową.

– Nic?

Roześmiał się. W tej samej chwili z salonu przyszedł Jan Vidar.

– Cześć – powiedział.

– Cześć.

Uśmiechnął się.

– Cześć, Garfield.

– O co właściwie chodzi z tym Garfieldem? – spytałem.

– Nie pamiętasz?

– Nie. Nie pamiętam kompletnie nic. Ale rozumiem, że rzygałem.

– Oglądaliśmy telewizję. Film z Garfieldem. Nagle wstałeś, uderzyłeś się w pierś i zawołałeś: „I’m Garfield!”. Potem z powrotem usiadłeś i strasznie się śmiałeś. Później znów zaczęłeś krzyczeć: „I’m Garfield! I’m Garfield!”. I się wyrzygałeś. W salonie. Na dywan. A potem, cholera, zasnąłeś. Szast-prast i już. W kałuży. Nie było z tobą żadnego kontaktu.

– Jasny gwint, przepraszam.

– Nic się nie stało – uspokajał Stig. – Dywan się upierze. Teraz chodzi o to, żeby was odstawić do domu.

Dopiero w tej chwili poczułem lęk.

– Która godzina? – spytałem.

– Dochodzi pierwsza.

– Dopiero pierwsza? O, to świetnie. Miałem być w domu o pierwszej. To znaczy, że się spóźnię tylko kilka minut.

Stig nie pił. Poszliśmy za nim do samochodu, wsiedliśmy, Jan Vidar z przodu, ja z tyłu.

– Naprawdę nic nie pamiętasz? – spytał Jan Vidar, kiedy już jechaliśmy.

– Nie, cholera, nic.

Czułem się dumny. Cała ta historia, to, co mówiłem, i to, co robiłem, nawet to, że rzygałem, napawała mnie dumą. Zaczynałem już przypominać tę osobę, którą chciałem być. Ale kiedy Stig zatrzymał samochód przy skrzynkach pocztowych, a ja ruszyłem ciemną drogą w cudzym ubraniu, z własnymi rzeczami w reklamówce, mającej się w rękę, poczułem strach.

Oby tylko się położyli. Oby tylko się położyli.

I rzeczywiście, wyglądało na to, że już śpią, w każdym razie pogasili światła w kuchni, a to była ich ostatnia czynność przed pójściem spać. Ale kiedy otworzyłem drzwi i wśliznąłem się do przedpokoju, usłyszałem ich głosy. Siedzieli na piętrze, na kanapie przed telewizorem, i rozmawiali. Nigdy się tak nie zachowywali.

Czekali na mnie? Chcieli mnie skontrolować? Było bardzo prawdopodobne, że ojciec każe mi chuchnąć. Tak przecież robili jego rodzice. Teraz się z tego śmiali, ale z pewnością

wtedy nie było im wesoło.

Przemknięcie po cichu obok nich było zwyczajnie niemożliwe, schody kończyły się tuż przy nich. Równie dobrze więc mogłem rzucić się na głęboką wodę.

– Hej! – zawołałem. – Jeszcze nie śpicie?

– Cześć, Karl Ove – odpowiedziała mama.

Wolno wszedłem po schodach i zatrzymałem się, kiedy mogli mnie zobaczyć.

Siedzieli obok siebie na kanapie, tata z ręką na oparciu.

– Fajnie było? – spytała mama.

Nie zauważyła!?

Nie mogłem w to uwierzyć.

– Było okej – odparłem i zrobiłem kilka kroków. – Oglądaliśmy telewizję i jedliśmy lasagne.

– To świetnie – powiedziała mama.

– Ale spać mi się już chce. Chyba od razu się położę.

– No to idź do łóżka. My też już niedługo się kładziemy.

Stałem w odległości czterech metrów od nich, ubrany w cudze spodnie od dresu i cudzą bluzę, z własnym obrzygany ubraniem w plastikowej torbie, cuchnącej pijaństwem. Ale oni naprawdę tego nie zauważyli.

– No to dobranoc – powiedziałem.

– Dobranoc – odparli.

I to był koniec. Nie pojmowałem, jak to się stało, ale mogłem się jedynie z tego cieszyć. Torbę z ubraniem schowałem w szafie i kiedy następnym razem zostałem sam w domu, wypłukałem je w wannie, wysuszyłem w szafie w pokoju, a potem wrzuciłem do kosza na brudy, jak wszystko.

Od nikogo nie usłyszałem ani słowa.

Picie mi służyło, coś we mnie poruszało. Ogarniało mnie poczucie... może nie chodziło o nieskończoność, ale o... tak, o niewyczerpalność. O coś, w co mógłbym zanurzać się coraz głębiej. Było to poczucie bardzo wyraźne, konkretne.

Brak przeszkód. Właśnie w to się zanurzałem, w brak przeszkód.

Dlatego tak się cieszyłem. I chociaż ostatnio mi się udało, tym razem postanowiłem się zabezpieczyć. Zamierzałem wziąć ze sobą szczoteczkę i pastę do zębów, kupiłem też pastylki eukaliptusowe, płyn do ust Fresh Mint i gumę do żucia. No i dołożyłem jeszcze zapasową koszulę.

Z salonu pode mną dochodził głos taty. Usiadłem, podniosłem ręce nad głowę, odchyliłem je do tyłu i zacząłem wyciągać jak najdalej, najpierw jedną, potem drugą.

Stawy mnie bolały, tak jak przez całą jesień. Rosłem. Na zdjęciu zrobionym w dziewiątej klasie późną wiosną byłem przeciętnego wzrostu. Teraz zbliżałem się do metra dziewięćdziesięciu. Strasznie się bałem, że się na tym nie zatrzymam, tylko dalej będę rósł. W liceum klasę wyżej był chłopak, który mierzył prawie dwa dziesięć i był chudy jak patyk. Kilka razy w ciągu dnia z przerażeniem myślałem o tym, że mogę być taki jak on. Czasami modliłem się do Boga, w którego nie wierzyłem, żeby tak się nie stało. Nie wierzyłem w Boga, ale kiedy byłem mały, modliłem się do niego, a teraz, modląc się, czułem się tak, jakbym odzyskiwał część dziecinnej nadziei. Dobry Boże, pozwól mi przestać rosnąć. Niech to będzie metr dziewięćdziesiąt, niech będzie metr dziewięćdziesiąt jeden albo metr dziewięćdziesiąt dwa, ale nie więcej! Obiecuję, że będę się sprawował najlepiej, jak umiem, jeśli mnie wysłuchasz. Dobry Boże, dobry Boże, słyszysz mnie?

O tak, wiedziałem, że to głupie, ale i tak się modliłem, bo lęk nie był głupi, po prostu sprawiał ból. Inny, jeszcze większy lęk, który dręczył mnie w tamtym czasie, wiązał się z odkryciem, że mój fiut, kiedy staje, sterczy lekko skośnie. A więc byłem zdeformowany, mój członek był krzywy, a ja, nieświadomy, nie wiedziałem, czy można temu jakoś zaradzić, czy da się to zoperować, czy w ogóle są jakieś możliwości. W nocy wstawałem, szedłem do łazienki i zmuszałem go, żeby się podniósł, ponieważ chciałem sprawdzić, czy coś się zmieniło. Ale nie, nigdy. Przecież on, do jasnej cholery, prawie przylegał do brzucha! I czy nie był przy tym trochę zgięty? Zgięty i krzywy jak jakiś pieprzony korzeń w lesie. Przecież to oznaczało, że nigdy nie będę mógł się przespać z żadną dziewczyną. A ponieważ była to właściwie jedyna rzecz, której naprawdę pragnąłem i o której marzyłem, moja rozpacz nie miała granic. Oczywiście przyszło mi do głowy, że mogę go odgiąć. I próbowałem, przyciskałem w dół tak mocno jak mogłem, aż do bólu. Trochę się prostował. Ale i tak bolało. No i przecież nie można kochać się z dziewczyną, przytrzymując fiuta ręką. Co miałem, do cholery, zrobić? Czy w ogóle coś można było zrobić? Nie przestawało mnie to dręczyć. Za każdym razem, kiedy mi stawał, rozpacz się zwiększała. Kiedy leżąc gdzieś na kanapie, całowałem się z dziewczyną, może nawet udało mi się wsunąć palce pod jej sweter, a fiut sztywniał mi w nogawce jak łom, wiedziałem, że nigdy nic więcej nie osiągnę i że tak już będzie zawsze. To było gorsze niż impotencja, bo stawałem się przez to nie tylko niezdolny do czynu, lecz również groteskowy. Ale czy mogłem modlić się do Boga, by mnie od tego uwolnił? Tak, w końcu pomodliłem się również o to. Dobry Boże, prosiłem. Dobry Boże, niech mój organ płciowy się prostuje, kiedy napełnia się krwią. Proszę cię o to tylko ten jeden raz, więc bądź tak dobry i niech to się spełni.

Kiedy zacząłem chodzić do liceum, któregoś dnia rano zebrano wszystkich pierwszoklasistów na trybunie w hali sportowej Gimlehallen, nie pamiętam już z jakiej okazji, w każdym razie jeden z nauczycieli, słynny w Kristiansand nudysta, który podobno któregoś lata malował z zewnątrz swój dom w samym krawacie, a poza tym ubierał się niedbale w stylu prowincjonalnej cyganerii i miał rozwichrzone, kręcone siwe włosy, odczytał nam wiersz. Chodząc wzdłuż rzędów trybun, zaczął, ku powszechnej wesołości,

wychwalać krzywo sterczącego fiuta.

Ja się nie śmiałem. Wydaje mi się, że szczeka mi opadła, kiedy to usłyszałem. Siedziałem z rozdziawioną gębą, gapiąc się przed siebie i czując, jak powoli dociera do mnie wiedza. Wszystkie stojące fiuty są krzywe. A nawet jeśli nie wszystkie, to w każdym razie w liczbie wystarczającej, by było to opiewane w wierszu.

Skąd wzięła się groteskowość? Zaledwie dwa lata wcześniej, kiedy się sprowadziliśmy do Sannes, byłem drobnym trzynastolatkiem o gładkiej cerze, niewymawiającym „r” i bardziej niż zadowolonym z kąpienia się, jeżdżenia na rowerze i grania w piłkę w tym nowym miejscu, w którym na razie nikt się na mnie nie uwziął. Przeciwnie, w pierwszych dniach szkoły każdy chciał ze mną rozmawiać, nowy uczeń był rzadkim zjawiskiem, więc wszyscy oczywiście zastanawiali się, kim jestem i co potrafię. Zdarzało się, że popołudniami i w weekendy dziewczyny przyjeżdżały na rowerach aż z Hamresanden, żeby się ze mną spotkać. Kiedyś na przykład grałem w piłkę z Perem, Trygvem, Tomem i Williamem i nagle ktoś nadjechał drogą, dwie dziewczyny – czego tu szukały? Nasz dom stał ostatni, dalej był już tylko las, potem dwa gospodarstwa, a później las, las i znowu las. Dziewczyny zeskoczyły z rowerów, popatrzyły na nas i zniknęły za drzewami. Znowu zajechały na rowerach, zatrzymały się, spojrzały w bok.

– Czego one tu szukają? – spytał Trygve.

– Przyjechały obejrzyć Karla Ovego – stwierdził Per.

– Wygłupiasz się – powiedział Trygve. – Nie przyjeżdżałyby tu aż z Hamresanden z tego powodu. To przecież dziesięć kilometrów!

– A po co innego miałyby tu przyjeżdżać? W każdym razie nie po to, żeby oglądać ciebie – orzekł Per. – Przecież ty tu jesteś od zawsze.

Staliśmy i patrzyliśmy, jak przedzierają się przez krzaki. Jedna miała różową kurtkę, druga jasnoniebieską. Długie włosy.

– No, dość tego – zdecydował Trygve. – Gramy.

I dalej graliśmy na cyplu wcinającym się w rzekę, gdzie ojciec Pera i Toma zbił nam dwie bramki. Dziewczyny zatrzymały się przy pasie trzciny około stu metrów od nas. Już wiedziałem, że nie są zbyt ładne, więc je zignorowałem, a one, niczym dziwny gatunek ptaków, po odstaniu w trzcinach mniej więcej dziesięciu minut zawróciły i pojechały do domu. Innym razem, kilka tygodni później, trzy dziewczyny przyjechały do nas do pracy. W dużej hali magazynowej fabryki parkietu układaliśmy klepki na paletach, poszczególne warstwy oddzielając listwami; to była praca na akord, a kiedy nauczyłem się rzucać całe naręczne tak, że deseczki same układały się jedna przy drugiej, dało się na tym nawet nieźle zarobić. Mogliśmy zaczynać i kończyć, kiedy chcieliśmy, często zaglądaliśmy tu po szkole w drodze do domu, układaliśmy jedną paletę, szliśmy do domu na obiad i wracaliśmy na resztę wieczoru. Byliśmy tak pazerni na pieniądze, że najchętniej pracowalibyśmy co

wieczór i we wszystkie weekendy, ale często nie było roboty, bo zdążyliśmy już zapęłnić ułożonymi paletami cały magazyn albo zrobili to pracownicy fabryki w godzinach pracy. Ojciec Pera pracował w administracji, więc to za jego pośrednictwem lub przez Williama, którego ojciec woził towar z fabryki ciężarówką, nadchodziła radosna wiadomość: jest robota. Właśnie w taki wieczór przysły do nas do hali te trzy dziewczyny. One również mieszkały w Hamresanden. Tym razem zostałem ostrzeżony, poszła plotka, że interesuje się mną jedna z dziewczyn z siódmej klasy. I rzeczywiście się pojawiła, znacznie śmielsza niż tamte dwie dziewczyny w trzinach, przypominające kury. Line, bo tak miała na imię, podeszła prosto do mnie, oparła się rękami o ramę, w której układałem klepki, i z pewną siebie miną, żując gumę, obserwowała, co robię, podczas gdy jej dwie przyjaciółki trzymały się z tyłu. Kiedy usłyszałem, że się jej podobam, uznałem, że muszę to wykorzystać, mimo że chodziła zaledwie do siódmej klasy; jej siostra była fotomodelką, a Line, chociaż jeszcze się w to nie wciągnęła, w przyszłości też mogła być dobra. Właśnie tak wszyscy o niej mówili: że będzie dobra, wszyscy wychwalali jej potencjał. Była szczupła, miała długie nogi i długie ciemne włosy, bladą cerę, mocno zaznaczone kości policzkowe i nieproporcjonalnie duże usta. Te jej za długie kończyny i lekka niezbornosc ruchów jak u cielęcia budziły moje wahanie. Ale biodra miała ładne. Usta i oczy także. Przeciwno niej przemawiało jednak to, że nie wymawiała „r” i że przejawiała pewną głupotę czy otępiałość. Powszechnie o tym wiedzano. Jednocześnie była popularna w swojej klasie, dziewczyny chciały się z nią przyjaźnić.

– Cześć – powiedziała. – Przyszłam cię odwiedzić. Cieszysz się?

– Widzę – odparłem. Obróciłem się, ułożyłem sobie stos klepek na przedramieniu, wrzuciłem je do ramy, gdzie wpasowały się ze stukotem, dopchnąłem wystające i sięgnąłem po nową porcję.

– Ile zarabiacie na godzinę? – spytała.

– Pracujemy na akord – wyjaśniłem. – Dostajemy dwadzieścia koron za podwójny stos, czterdzieści za poczwórny.

– Aha.

Per i Trygve, którzy chodzili do równoległej klasy i wielokrotnie wyrażali swoją dezaprobatę wobec Line i jej kręgu, pracowali kilka metrów dalej. Przyszło mi teraz na myśl, że przypominają krasnoludki. Niewysocy, pochyleni, skupieni, stali na środku ogromnej hali, ze wszystkich stron pełnej palet aż po sufit, i zawzięcie pracowali.

– Podobam ci się? – spytała.

– Podobasz jak podobasz – odpowiedziałem.

W chwili gdy zobaczyłem ją w bramie, zdecydowałem, że się zaangażuję, ale teraz, kiedy tu stała, a ja miałem otwartą drogę, mimo wszystko nie zdołałem zrobić tego kroku. Nie zdołałem zrobić tego, co konieczne. Pod pewnymi względami, które nie całkiem rozumiałem, ta dziewczyna była o wiele bardziej wyrafinowana niż ja. Okej, może i trochę

głupia, ale wyrafinowana. A ja z tym wyrafinowaniem sobie nie radziłem.

– Bo ty mi się podobasz – oświadczyła. – Ale o tym pewnie już słyszałeś.

Nachyliłem się, poprawiłem jedną listwę, nieoczekiwanie czerwony na twarzy.

– Nie – skłamałem.

Przez jakiś czas się nie odzywała, tylko dalej stała oparta o ramię i żuła gumę. Jej przyjaciółki na stosie desek sprawiały wrażenie zniecierpliwionych. W końcu się wyprostowała.

– No to nie – rzuciła, odwróciła się na pięcie i odeszła.

To, że zmarnowałem szansę, nie było takie groźne. Gorszy był sposób, w jaki się to stało – moja nieumiejętność przebrnięcia przez ostatni odcinek drogi, przejścia przez ostatni most. A kiedy zainteresowanie moją osobą z racji tego, że byłem nowy, minęło, nic już nie dostawałem gratis. Przeciwnie, powoli zaczynały napływać dawne opinie o mnie. Czułem, że są w pobliżu, słyszałem ich echo, chociaż oba moje miejsca zamieszkania nie miały ze sobą nic wspólnego. Już pierwszego dnia w szkole zwróciłem uwagę na jedną z dziewczyn, miała na imię Inger, wąskie, piękne oczy, ciemny odcień cery i dziecinny nosek, kontrastujący z pociągłymi, chociaż łagodnymi rysami. Bił od niej dystans, z wyjątkiem chwil, kiedy się uśmiechała. Miała kojący, łagodny uśmiech, podziwiałem go, bardzo mnie pociągał, ponieważ nie był przeznaczony dla mnie i dla takich jak ja, odkrywał to, co tkwiło w niej najgłębiej, w czym uczestniczyć mogli tylko ona sama i jej przyjaciele, a poza tym, uśmiechając się, wywijiała nieco górną wargę. Uczyła się o klasę niżej, ale w ciągu dwóch lat, które spędziłem w tej szkole, nigdy nie zamieniłem z nią ani słowa. Zacząłem natomiast chodzić z jej kuzynką Susanne. Była w równoległej klasie i mieszkała w domu po drugiej stronie rzeki. Miała ostry nos, małe usta i odrobinę zajęcze przednie zęby, ale piersi ładne i sterczące, biodra odpowiedniej szerokości, a spojrzenie wyzywające, jakby zawsze wiedziała, czego chce. Często chciała się mierzyć z innymi. Inger była nieosiągalna, a w związku z tym tajemnicza, na jej siłę przyciągania składało się niemal wyłącznie to, czego nie wiedziałem, czego mogłem się tylko domyślać i o czym mogłem marzyć, natomiast z Susanne byliśmy bardziej sobie równi, podobnie myśleliśmy. Z nią miałem mniej do stracenia, a zatem mniej lęków, lecz również mniej do zyskania. Miałem czternaście lat, ona piętnaście i w ciągu kilku dni związałem się ze sobą tak, jak można się związać w tym wieku. Niedługo później Jan Vidar zaczął chodzić z jej przyjaciółką Margrethe. Te nasze związki znajdowały się gdzieś pomiędzy światem dzieci a światem młodzieży, granice zaś między tymi światami były płynne. Siedzieliśmy razem rano w szkolnym autobusie, siedzieliśmy obok siebie na piątkowych porannych apelach, na które przychodziła cała szkoła, razem jeździliśmy na rowerach, chodziliśmy na przygotowania do konfirmacji, odbywające się raz w tygodniu w kościele, i razem się później włączyliśmy, wystawialiśmy na skrzyżowaniu albo na parkingu pod sklepem – we wszystkich tych sytuacjach różnice między nami się zacierały, a Susanne i Margrethe stawały się kimś w rodzaju kumpli. Ale w weekendy było inaczej, wtedy chadzaliśmy do

kina w mieście lub siadywaliśmy w jakimś pokoju w suterenie, jedliśmy pizzę, piliśmy colę, objęci oglądaliśmy telewizję albo słuchaliśmy muzyki. Bliżej było wtedy do tego, o czym wszyscy myśleli. Wielki cel sprzed zaledwie kilku tygodni, pocałunek, o którym tyle dyskutowaliśmy z Janem Vidarem – o sposobie postępowania, o praktycznych szczegółach, na przykład po której stronie dziewczyny najlepiej usiąść, co mówić, żeby zapoczątkować proces mający się zakończyć pocałunkiem, czy też może raczej w ogóle się nie odzywać – już dawno został osiągnięty i w zasadzie niemal uległ automatyzacji; po zjedzeniu pizzy albo lasagne dziewczyny siadały nam na kolanach i zaczynaliśmy się całować. Czasami, kiedy mieliśmy pewność, że nikt nie przyjdzie, kładliśmy się na kanapie, jedna para z każdej strony. W pewien piątkowy wieczór Susanne została sama w domu. Po południu Jan Vidar przyjechał do mnie na rowerze, piechotą poszliśmy wzdłuż rzeki i przez wąską kładkę przeprawiliśmy się na drugą stronę; Susanne i Margrethe już na nas czekały. Zjedliśmy pizzę przygotowaną przez rodziców mojej dziewczyny, potem Susanne usiadła mi na kolanach, a Margrethe na kolanach Jana Vidara, z wieży stereo leciało *Telegraph Road* Dire Straits, i zaczęliśmy się całować, ja z Susanne, a Jan Vidar z Margrethe, wydawało się, że będziemy to robić w nieskończoność.

– Kocham cię, Karl Ove – szepnęła mi w końcu do ucha. – Pójdziemy do mojego pokoju?

Skinąłem głową, wstaliśmy, trzymając się za ręce.

– Idziemy do mnie – oznajmiła tamtym. – Będziecie mieli trochę spokoju.

Popatrzyli na nas i pokiwali głowami. Znów zaczęli się całować. Długie czarne włosy Margrethe prawie całkiem zasłaniały twarz Jana Vidara. Języki krążyły w ustach. Jan Vidar głaskał Margrethe po plecach, poza tym siedział nieruchomo. Susanne uśmiechnęła się do mnie, trochę mocniej ścisnęła mnie za rękę i poprowadziła korytarzem do swojego pokoju. Tam było ciemniej i zimniej. Znałem już ten pokój, lubiłem do niej przychodzić, chociaż za każdym razem byli wtedy w domu jej rodzice i w zasadzie nie robiliśmy nic innego niż to, co zazwyczaj robiłem z Janem Vidarem, to znaczy siedzieliśmy i gadaliśmy, szliśmy do salonu pooglądać telewizję z rodzicami, szykowaliśmy sobie w kuchni kanapki i chodziliśmy na długie spacery nad rzeką. To nie był mroczny, przesycony zapachem potu pokój Jana Vidara, ze wzmacniaczem, wieżą stereo, gitarą, płytami, magazynami gitarowymi i komiksami, lecz jasny, pachnący perfumami pokój Susanne, z białą tapetą w kwiatki na ścianach, haftowaną narzutą na łóżku, białą półką z ozdóbkami i książkami oraz białą szafą z jej ubraniami, starannie ułożonymi i rozwieszonymi. Kiedy widziałem jej niebieskie dzinsy w szafie albo przewieszzone przez oparcie stojącego obok krzesła, przełykałem ślinę, bo przecież te spodnie miała włożyć na siebie, na uda i biodra, podciągnąć, zasunąć suwak i zapiąć guzik. Jej pokój pełen był obietnic, których nie miałem odwagi sformułować nawet przed samym sobą, wywoływały one we mnie raczej fale uczuć. Lubiałem tam przebywać również z innych powodów, na przykład ze względu na jej rodziców. Zawsze byli życzliwi, a poza tym coś w tonie ich głosu mówiło mi, że biorą

mnie pod uwagę. Byłem osobą obecną w życiu Susanne, kimś, o kim opowiadała rodzicom i młodszej siostrze.

Susanne poszła zamknąć okno. Na dworze była mgła, nawet światła sąsiednich domów prawie znikwały w szarości. Drogą w dole przejechało kilka samochodów, doszło do nas walenie basów z głośników, potem znów zapadła cisza.

– Cześć – powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

– Cześć – odparła, siadając na brzegu łóżka.

Nie spodziewałem się niczego oprócz tego, że tu będziemy mogli leżeć, zamiast siedzieć jedno na drugim. Kiedyś raz wsunąłem dłoń pod puchową kurtkę i dotknąłem jej piersi. Zaprotestowała wtedy, a ja zabrałem rękę. Ta odmowa nie była ostra ani pełna wyrzutu, raczej konstatująca, jakby odwoływała się do jakiegoś obowiązującego nas prawa. Zaczęliśmy się całować, przecież zawsze tak było, i chociaż byłem na to gotowy podczas każdego spotkania, szybko się nasyciłem. Po pewnym czasie poczułem niemal mdłości, bo w tym całowaniu było jakieś zaślepienie, uwięzienie, wszystko we mnie pragnęło znaleźć drogę wyjścia, o której istnieniu wiedziałem, ale którą nie wolno mi było pójść. Chciałem ruszyć dalej, lecz cały czas musiałem tkwić tam, w tej dolinie obracających się języków i stale opadających na twarz włosów.

Usiadłem obok niej. Uśmiechnęła się do mnie. Pocałowałem ją, zamknęła oczy i osunęła się na łóżko. Położyłem się na niej, poczułem pod sobą jej miękkie ciało, stęknęła lekko, może byłem za ciężki? Zsunąłem się więc na bok, nogą przytrzymałem jej nogi, dłonią pogładziłem ją po ramieniu. Kiedy moja ręka dotarła do jej palców, ucisnęła ją mocno. Odchyliłem głowę i otworzyłem oczy. Patrzyła na mnie. Jej twarz, biała w półmroku, była poważna. Nachyliłem się i pocałowałem ją w szyję. Nie robiłem tego nigdy wcześniej. Oparłem głowę o jej pierś. Pogładziła mnie po włosach. Słyszałem, jak bije jej serce. Pogłaskałem ją po biodrach. Poruszyła się lekko. Uniosłem sweter i położyłem dłoń na jej brzuchu. Nachyliłem się i pocałowałem go. Susanne chwyciła brzeg swetra i powoli podciągnęła go do góry. Nie wierzyłem własnym oczom. Tuż przed sobą miałem nagie piersi. W salonie znów nastawiono *Telegraph Road*. Nie wahałem się, tylko zamknąłem usta na sutkach, najpierw na jednej, potem na drugiej. Ocierałem się o nie policzkami, lizałem je, ssałem, w końcu położyłem na nich dłonie i pocałowałem Susanne, o której na kilka sekund całkiem zapomniałem. Dalej niż do tego punktu moje marzenia ani wyobrażenia nie sięgały, a teraz już go osiągnąłem. Po dziesięciu minutach pojawiła się ta sama sytość, nagle i tego było mi za mało, nieważne, jak bardzo było to wspaniałe, znów chciałem iść dalej, wszystko jedno gdzie, i podjąłem próbę, zacząłem niezdarnie zmagać się z guzikiem przy jej spodniach. Ustąpił, Susanne nie zaprotestowała, dalej leżała z zamkniętymi oczami i swetrem podciągniętym pod samą brodę. Rozpiąłem suwak. Wyłoniły się białe majtki. Z trudem przełknąłem ślinę. Chwyciłem spodnie na biodrach i ściągnąłem je w dół. Nic nie powiedziała, lekko się tylko poruszyła, żeby łatwiej dało się

je zsunąć. Kiedy były już przy kolanach, dotknąłem ręką jej majtek. Poczułem miękkie włosy pod spodem.

– Karl Ove – powiedziała.

Znów się na niej położyłem, całowaliśmy się, a ja w tym czasie opuściłem te majtki, niewiele, ale wystarczająco, by wsunąć pod nie palec, przesunąć nim po włosach. W chwili gdy koniuszkiem palca wyczułem wilgotną gładkość, coś jakby we mnie pękło. Jakiś ból wystrzelił mi w brzuchu i przez podbrzusze przebiegły skurcze. W następnej sekundzie wszystko dookoła wydało mi się obce. W jednym momencie jej nagie piersi i uda straciły cały sens. Ale widziałem, że ona tego nie doświadcza, leżała tak jak przedtem, z zamkniętymi oczami i rozchyłonymi ustami, ciężko oddychając, w samym środku tego, w czym ja też przed chwilą byłem, ale już znalazłem się poza tym.

– Co się stało? – spytała.

– Nic. Może pójdziemy do nich?

– Nie. Zaczekajmy jeszcze chwilę.

– Dobrze.

Kontynuowaliśmy więc. Całowaliśmy się, jednak to nic we mnie nie obudziło, równie dobrze mógłbym ukroić sobie kromkę chleba. Całowałem jej piersi i nic nie czułem, wszystko było dziwnie neutralne, sutki były sutkami, skóra skórą, pępek pępkiem – ale nagle, ku mojemu zdumieniu i radości, to co się ze mną działo poprzednio, równie niespodziewanie wróciło i znów niczego bardziej nie pragnąłem, niż leżeć i całować wszystko, na co tylko natrafię.

Wtedy ktoś zapukał do drzwi.

Usiedliśmy, Susanne szybko podciągnęła spodnie i opuściła sweter.

To był Jan Vidar.

– Przyjdziecie? – spytał.

– Tak – powiedziała Susanne. – Już idziemy. Zaczekajcie chwilę.

– Bo jest już wpół do jedenastej – dodał. – Wolałbym wyjść, zanim twoi rodzice wrócą do domu.

Jan Vidar chował płyty do okładek i wkładał je do plastikowej torby, a ja porozumiałem się wzrokiem z Susanne i uśmiechnąłem się do niej. Gdy staliśmy już ubrani w korytarzu i mieliśmy pocałować dziewczyny na pożegnanie, Susanne puściła do mnie oko.

– Do jutra! – powiedziała.

Na dworze mżyło. Światło latarni, pod którymi szliśmy, wiązało się z każdą maleńką cząsteczką wody i tworzyło duże kręgi, przypominające aureole.

– No i co? – spytałem. – Jak poszło?

– Jak zawsze – odparł Jan Vidar. – Cały czas się całowaliśmy. Nie wiem, czy będzie mi się chciało dłużej z nią chodzić.

– No tak. Trudno powiedzieć, żebyś był zakochany.

– A ty jesteś?

Wzruszyłem ramionami.

– Może i nie.

Doszliśmy do głównej drogi i ruszyliśmy nią wzdłuż doliny. Po jednej stronie było gospodarstwo, nasiąknięte wodą pole przy samej drodze lśniło w świetle, dalej znikало w ciemności i ukazywało się znów dopiero przy mocno oświetlonym budynku gospodarczym. Po drugiej stronie stało kilka starych domów, których ogrody schodziły do rzeki.

– A tobie jak poszło? – spytał Jan Vidar.

– Całkiem nieźle. Zdjęła sweter.

– Coś ty? Naprawdę?

Kiwnąłem głową.

– Kłamiesz, oszuście! Wcale tego nie zrobiła!

– Owszem.

– Niemożliwe. Susanne?

– Owszem.

– I co ty na to?

– Całowałem jej piersi. A co innego mogłem zrobić?

– Ty draniu! To nieprawda.

– Właśnie, że tak.

Nie miałem serca mówić mu, że zdjęła też majtki. Gdyby do czegoś doszło z Margrethe, powiedziałbym. Ale skoro jemu się nie udało, nie chciałem triumfować. Poza tym i tak by mi nie uwierzył. W życiu.

Sam w to prawie nie wierzyłem.

– No i jakie były? – spytał.

– Co?

– Jak to co? Piersi!

– Fajne. Odpowiedniej wielkości i jędrne. Bardzo jędrne. Sterczały, nawet jak leżała.

– Ty cholerny oszuście, to nieprawda.

– Właśnie, że tak, do cholery.

– Ożeż...

Przez dłuższą chwilę nie odzywaliśmy się do siebie. Przeszliśmy przez wiszący most, pod którym rzeka, gładka i czarna, wzbierała bezszelestnie, przez pole truskawek

dotarliśmy do wyasfaltowanej drogi, za ostrym zakrętem pnącej się stromo przez szczelinę w skale, nad którą nachylały się czarne świerki, a po paru miękkich zakrętach na szczycie biegnącej obok naszego domu. Wszystko było ciemne, ciężkie i mokre, oprócz świadomości tego, co się stało, która wciniała się ostro w moje rozedrgane myśli, unosząc je ku światłu. Jan Vidar przyjął do wiadomości moje wyjaśnienia, a ja płonałem z chęci wyjawienia mu, że jej piersi to jeszcze nie wszystko, że wydarzyło się więcej, ale gdy tylko spojrzałem na jego smutną minę, ugryzłem się w język. Zresztą dobrze też było mieć tajemnicę z Susanne. Jednocześnie niepokoiły mnie tamte skurcze. Prawie nie miałem włosów na fiucie, zaledwie kilka długich czarnych, reszta to był raczej puch, a bardzo się bałem, że dowiedzą się o tym dziewczyny, zwłaszcza Susanne. Wiedziałem, że nie mogę się z żadną przespać, dopóki włosy się nie pojawią, i skurcze te tłumaczyłem sobie jako coś w rodzaju fałszywego spełnienia, uważałem, że posunąłem się dalej, niż fiut mi pozwalał. Że właśnie dlatego poczułem ból, ponieważ miałem coś w rodzaju suchego wytrysku. Z tego co wiedziałem, to mogło być niebezpieczne. Z drugiej strony slipy miałem mokre. To mogły być siki, lecz mogła być też sperma. A jeśli to krew? Te dwie ostatnie ewentualności uważałem za nieprawdopodobne, bo z jednej strony nie osiągnąłem jeszcze dojrzałości płciowej, a z drugiej żadnego bólu podbrzusza nigdy wcześniej nie czułem. Ale przecież zabolalo i to mnie bardzo niepokoiło.

Rower Jana Vidara stał pod garażem. Chwilę jeszcze pogadaliśmy, potem on wsiadł na rower i ruszył do siebie, a ja wszedłem do domu. Yngve przyjechał na weekend. Siedział z mamą w kuchni, widziałem ich przez okno. Tata musiał być w mieszkaniu w stodole. Po zdjęciu kurtki od razu poszedłem do toalety, zamknąłem drzwi na klucz, opuściłem spodnie do kolan, odciągnąłem slipy i dotknąłem palcem wskazującym wilgotnego materiału. Był lepki. Podniosłem palec, potarłem go o kciuk. Błyszczący i lepki. Pachniał morzem.

Morzem? To chyba musiała być sperma.

Oczywiście, że to sperma.

Byłem dojrzały płciowo.

Uradowany poszedłem do kuchni.

– Masz ochotę na pizzę? Zostawiliśmy ci kilka kawałków – powiedziała mama.

– Nie, dziękuję, jedliśmy tam.

– Miło było?

– Jasne. – Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Ależ on ma czerwone policzki – zauważył Yngve. – Myślisz, że to ze szczęścia?

– Zaproś ją do nas któregoś dnia – zaproponowała mama.

– Dobrze. – Nie przestawałem się uśmiechać.

Związek z Susanne zakończył się dwa tygodnie później. Z Larsem, moim najlepszym

przyjacielem z wyspy Tromøya, gdzie wcześniej mieszkałem, już dawno umówiłem się na wymianę zdjęć najładniejszych dziewczyn stamtąd na zdjęcia najładniejszych dziewczyn stąd. Nie pytajcie mnie po co. Całkiem o tej umowie zapomniałem. Aż tu nagle pewnego popołudnia dostałem pocztą kopertę pełną fotografii. Paszportowe zdjęcia Lene, Beate, Ellen, Siv, Bente, Marianne, Anne Lisbet i jak tam one wszystkie się nazywały. To były najładniejsze dziewczyny z wyspy Tromøya. Teraz musiałem zdobyć zdjęcia najładniejszych dziewczyn z Tveit. Przez kilka dni regularnie omawiałem tę kwestię z Janem Vidarem, sporządziliśmy listę i chodziło już tylko o zdobycie fotografii. Niektóre dziewczyny mogłem poprosić wprost, na przykład Susanne, przyjaciółkę siostry Jana Vidara, za starą, żebym musiał się martwić o to, co sobie pomyśli. O zdjęcia innych Jan Vidar mógł poprosić ich przyjaciółki. Sam miałem związane ręce, gdyż poproszenie o zdjęcie było równoznaczne z okazaniem zainteresowania, a ponieważ chodziłem z Susanne, byłoby to na tyle niestosowne, że wieść prędko by się rozniosła. Ale istniały inne sposoby. Może na przykład Per miał zdjęcie Kristin, z którą był w tej samej klasie? Rzeczywiście miał. W ten sposób uzbierałem sześć fotografii. To by wystarczyło, nawet z naddatkiem, ale brakowało jeszcze klejnotu w koronie, najładniejszej z nich wszystkich, Inger, którą bardzo chciałem pokazać Larsowi. No, a Inger była kuzynką Susanne...

Któregoś popołudnia wyciągnąłem rower z garażu i pojechałem do Susanne. Nie umawialiśmy się i chyba się ucieszyła, kiedy zeszła na dół, żeby mnie wpuścić. Przywitałem się z jej rodzicami, poszliśmy do niej do pokoju, usiedliśmy, przez chwilę dyskutowaliśmy o tym, co będziemy robić, jednak do niczego nie doszliśmy, porozmawialiśmy o szkole i nauczycielach, po czym jakby przypadkiem przedstawiłem sprawę, z którą przyszedłem. Czy Susanne ma zdjęcie Inger, które mogłaby mi dać?

Zesztywniała, siedząc na łóżku, i patrzyła na mnie, niczego nie rozumiejąc.

– Zdjęcie Inger? – powtórzyła w końcu. – A na co ci to?

Nie pomyślałem, że to może się wiązać z jakimiś problemami. Przecież chodziłem z Susanne i fakt, że poprosiłem właśnie ją, powinien świadczyć wyłącznie o moich uczciwych zamiarach.

– Nie mogę powiedzieć – stwierdziłem.

To była prawda. Gdybym jej wyjawiał, że zamierzam wysłać zdjęcia ośmiu najładniejszych dziewczyn z Tveit kumplowi z Tromøya, oczekiwałyby, że sama się wśród nich znajdzie. Ale się nie znalazła, więc nie mogłem jej nic zdradzić.

– Nie dostaniesz żadnego zdjęcia Inger, dopóki mi nie powiesz, do czego ci ono potrzebne.

– Ale nie mogę powiedzieć. Nie możesz mi go zwyczajnie dać? To wcale nie dla mnie, nawet jeśli tak ci się wydaje.

– A dla kogo?

– Nie mogę powiedzieć.

Wstała. Zrozumiałem, że jest wściekła. Jej ruchy były krótkie, jakby ucięte, jakby nie chciała, żebym się cieszył obserwowaniem ich swobody.

– Ty się kochasz w Inger, prawda? – spytała.

Nie odpowiedziałem.

– Karl Ove! Mam rację? Wiele osób tak mówiło, sama słyszałam.

– Zapomnijmy o tym zdjęciu – powiedziałem. – Zapomnijmy.

– Więc się w niej kochasz?

– Nie. Może kochałem się trochę, kiedy przyjechałem, na samym początku, ale teraz już nie.

– No to po co ci jej zdjęcie?

– Nie mogę powiedzieć.

Rozpłakała się.

– Ty się w niej kochasz. Jesteś zakochany w Inger. Ja to wiem.

Nagle przyszło mi do głowy, że skoro Susanne o tym wiedziała, to musiała wiedzieć również Inger.

Zapłonęła we mnie iskierka nadziei. Skoro wiedziała, to zbliżenie się do niej nie musiało być wcale takie skomplikowane. Na jakiejś szkolnej imprezie mógłbym po prostu do niej podejść i poprosić ją do tańca, a ona by zrozumiała, jak się sprawy mają, wiedziałaby, że nie jest tylko jedną spośród wielu. Może nawet by się mną zainteresowała?

Susanne ze szlochom podeszła do komody w drugim końcu pokoju i wyciągnęła szufladę.

– Masz to zdjęcie. Weź je sobie. I więcej tu nie przychodź.

Jedną ręką zasłaniała twarz, drugą podawała mi zdjęcie Inger. Ramiona jej drżały.

– To nie dla mnie – powiedziałem. – Przysięgam. To nie ja chcę je mieć.

– Ty cholerny dupku! Idź sobie!

Wziąłem zdjęcie.

– To co, już nie chodzimy ze sobą? – spytałem.

W tego wietrznego i mroźnego sylwestra, kiedy leżałem w łóżku i czytałem, czekając na rozpoczęcie wieczornej imprezy, od rozstania z Susanne minęły dwa lata. Zaledwie kilka miesięcy później zaczęła chodzić z kimś innym. Miał na imię Terje, był niski, grubawy, nosił trwałą i idiotyczne wąsy. Nie mieściło mi się w głowie, jak mogła pozwolić komuś takiemu zająć moje miejsce. Miał wprawdzie osiemnaście lat i samochód, którym jeździli wieczorami i w weekendy, ale mimo wszystko, czy był lepszy ode mnie? Ten mały grubas z wąsami? W takim razie postanowiłem się nią nie przejmować. Tak myślałem wtedy i tak myślałem nadal, leżąc na łóżku. Ale nie byłem już dzieckiem, tylko szesnastolatkiem. Nie chodziłem do Gimnazjum Ve, lecz do Szkoły Katedralnej w Kristiansand.

Zza okna dobiegł przenikliwy, jakby zardzewiały dźwięk otwieranych drzwi do garażu, później dały się słyszeć stuknięcia, kiedy wpadły na swoje miejsce, odgłos uruchamianego silnika, przez chwilę pracującego na jałowym biegu. Stałem przy oknie i stałem tak, dopóki nie zobaczyłem czerwonych tylnych światełek znikających na zakręcie. Potem zszedłem do kuchni, nastawiłem wodę, wyjąłem trochę świątecznych wędlin, szynkę, salceson, roladę jagnięcą, pasztet, ukroiłem kilka kromek chleba, przyniosłem z salonu gazetę, rozłożyłem ją na stole i usiadłem, żeby w trakcie jedzenia czytać. Na dworze całkiem się już ściemniło. Z czerwonym obrusem i zapalonymi świeczkami na parapecie było bardzo przytulnie. Kiedy woda się zagotowała, przepłukałem dzbanek wrzątkiem, wrzuciłem do niego dwie szczypty listków herbaty i zalałem, wołając:

– Mamo, napijesz się herbaty?!

Odpowiedzi nie było.

Wróciłem do jedzenia. Po jakimś czasie nalałem sobie herbaty. Ciemnobrązowy, przypominający płynne drewno napar wspinał się po białych ściankach filiżanki. Kilka listków zawirowało na powierzchni, inne ułożyły się na dnie jak czarna mapa. Dodałem mleka, trzy łyżeczki cukru, zamieszałem, czekałem, aż listki opadną na dno, i upiłem łyk.

Mmm.

Drogą pędził pług śnieżny, mrugając światłami. Potem otworzyły się drzwi wejściowe. Usłyszałem stukanie butów o próg i odwróciłem się akurat w porę, by zobaczyć mamę, ubraną w za duży kozuch taty, wchodzącą z naręczem drewna.

Dlaczego włożyła jego ubranie? To było do niej niepodobne.

Weszła do pokoju, nie patrząc w moją stronę. Miała śnieg we włosach i na połach kozucha. Polana zadudniły w koszu na drewno.

– Napijesz się herbaty? – spytałem, kiedy wróciła.

– Tak, bardzo chętnie. Tylko odwieszę kozuch.

Wstałem po drugą filiżankę, postawiłem ją po przeciwnej stronie stołu i nalałem mamie herbaty.

– Gdzie byłaś? – spytałem, kiedy usiadła.

– Poszłam po drewno.

– Ale wcześniej. Siedzę tu już od jakiegoś czasu. Przyniesienie drewna nie zajmuje dwudziestu minut.

– Zmieniałam żarówkę w świecalkach na choince, znów się palą.

Odwróciłem się i wyjrzałem przez okno pokoju. Świerk na końcu działki połyskiwał w ciemności.

– Mogę w czymś pomóc? – spytałem.

– Nie, dziękuję, wszystko już gotowe. Jeszcze tylko muszę sobie uprasować bluzkę. A potem trzeba szykować jedzenie. Ale tym już się zajmie tata.

– Mogłabyś mi przy okazji uprasować koszulę?

Kiwnęła głową.

– Rzuć na deskę do prasowania.

Zjadłem i poszedłem do siebie, włączyłem wzmacniacz, podpiąłem gitarę i usiadłem, żeby trochę pograć. Uwielbiałem zapach, który się wydobywał z rozgrzewającego się wzmacniacza, gotów byłem grać niemal wyłącznie z tego powodu. Uwielbiałem również wszystkie drobiazgi, których wymagała gra na gitarze – fuzz box i pedały chorus, kable i wtyczki, kostki i paczuszki ze strunami, bottleneck, kapodaster, futerał na gitarę z wyściółką i mnóstwem kieszonek. Uwielbiałem marki: Gibson, Fender, Hagström, Rickenbacker, Marshall, Music Man, Vox, Roland. Razem z Janem Vidarem chodziliśmy do sklepów muzycznych i oglądaliśmy gitary z minami znawców. Do własnej taniej kopii stratocastera, którą kupiłem sobie na potwierdzenie, z jednego z katalogów wysyłkowych Jana Vidara zamówiłem nowe pick-upy, oczywiście *state of the art*, i nową płytkę ochronną. Wszystko było świetne. Gorzej z samym graniem. Chociaż ćwiczyłem regularnie i zawzięcie od półtora roku, robiłem bardzo nieznaczne postępy. Znałem wszystkie chwytów i w nieskończoność ćwiczyłem je w różnych tonacjach, ale nigdy nie zdołałem się od nich uwolnić, nie umiałem g r a ć, nie istniało żadne powiązanie między moimi myślami a palcami. Palce jakby nie chciały mnie słuchać, słuchały tylko swoich tonacji, po których mogły biegać w górę i w dół, a to, co wydobywało się ze wzmacniacza, nie miało nic wspólnego z muzyką. Potrafiłem poświęcić dzień albo dwa na kopiowanie jakiejś solówki dźwięk po dźwięku, w końcu nawet umiałem ją odtworzyć, ale nic więcej, zawsze zatrzymywałem się w tym miejscu. To samo dotyczyło Jana Vidara, chociaż on był jeszcze ambitniejszy ode mnie, naprawdę ćwiczył, w pewnych okresach nie robił nic innego, tylko grał. Ale również z jego wzmacniacza wydobywały się jedynie tonacje i kopie solówek wygrywanych przez innych. Piłował paznokcie, żeby lepiej się nimi grało, paznokciec prawego kciuka zapuszczał, by używać go jako kostki, kupił nawet coś do trenowania palców i żeby je wzmocnić, stale ścisnął to coś w rękę; przebudował całą swoją gitarę i wraz z ojcem, inżynierem elektrykiem z Kjevik, eksperymentował z czymś w rodzaju syntezatora gitarowego domowej roboty. Często przychodziłem do niego ze swoją gitarą, po drodze majtała się, trzymana jedną ręką, bo drugą prowadziłem rower, i chociaż to, co graliśmy u niego w pokoju, nie brzmiało najpiękniej, mimo wszystko było niezłe, bo kiedy niosłem gitarę w futerale, przynajmniej c z u ł e m się jak muzyk, naprawdę świetnie to wyglądało; na razie co prawda jeszcze nie dotarliśmy tam, gdzie mieliśmy w planach dotrzeć, jednak niewykluczone przecież, że to się mogło zmienić. Przyszłości nie znaliśmy, nikt nie mógł wiedzieć, ile ćwiczeń jest potrzebnych, aby w końcu coś się w nas otworzyło. Miesiąc? Pół roku? Rok? Na razie siedzieliśmy i graliśmy. Udało nam się nawet stworzyć coś w rodzaju zespołu; niejaki Jan Henrik z siódmej klasy grał trochę na gitarze i chociaż chodził w butach żeglarskich, miał szpanerskie ciuchy i używał pomady do włosów,

spytaliśmy, czy nie zechciałby z nami grać na basie. Chciał, więc ja, jako najgorszy gitarzysta, musiałem przejść na perkusję. Latem przed dziewiątą klasą ojciec Jana Vidara zawiózł nas do Evje, skąd zabraliśmy tanie bębny, na które się zrzuciliśmy, no i zaczęliśmy. Porozmawialiśmy z dyrektorem szkoły, udostępnił nam lokal i raz w tygodniu ustawialiśmy bębny i wzmacniacze, i graliśmy.

Rok wcześniej, kiedy się tam przeprowadziłem, słuchałem takich wykonawców, jak The Clash, The Police, The Specials, Teardrop Explodes, The Cure, Joy Division, New Order, Echo & The Bunnymen, The Chameleons, Simple Minds, Ultravox, The Aller Værste, Talking Heads, The B52's, PiL, David Bowie, The Psychedelic Furs, Iggy Pop czy Velvet Underground, wszystko dzięki Yngvem, który nie tylko wydawał wszystkie swoje pieniądze na muzykę, lecz również grał na gitarze, zachowując wyraźnie własny styl, i pisał własne utwory. W Tveit nikt nawet nie słyszał o tych zespołach. Jan Vidar na przykład słuchał takich grup i wokalistów, jak Deep Purple, Rainbow, Gillan, Whitesnake, Black Sabbath, Ozzy Osbourne, Def Leppard czy Judas Priest. Powiązanie tych światów było niemożliwe, a ponieważ to właśnie zainteresowanie muzyką nas łączyło, któryś musiał ustąpić. Padło na mnie. Nigdy nie kupowałem płyt tych zespołów Jana Vidara, ale słuchałem ich u niego. Poznawałem je, natomiast własnych ulubionych grup, które w tamtym czasie były dla mnie ogromnie ważne, słuchałem u siebie. No i zawarliśmy kilka kompromisów w postaci zespołów, które lubiliśmy obaj, przede wszystkim Led Zeppelin, lecz również Dire Straits – w wypadku Jana Vidara z uwagi na grę na gitarze. Najczęściej omawiany przez nas wtedy temat to *feeling* kontra technika. Jan Vidar potrafił kupować płyty zespołu Lava, ponieważ podziwiał sprawność muzyków, nie była mu też obca grupa Toto, która wylansowała w tym czasie dwa hity, ja natomiast całym sercem gardziłem sprawnością, sprzeczną ze wszystkim, co wyczytałem w magazynach muzycznych mojego brata, w których technika była wrogiem, ideałami zaś – samodzielność, energia i siła. Ale bez względu na to, jak dużo o tym rozmawialiśmy, ile godzin spędzaliśmy w sklepach muzycznych i nad katalogami wysyłkowymi, nie udawało nam się rozkręcić zespołu, ciągle marnie graliśmy na instrumentach, a nie mieliśmy dość rozumu, by zrekompensować to na przykład pisaniem własnych utworów, o nie. Graliśmy najbardziej zużyte i pozbawione stylu covery: *Smoke on the Water* Deep Purple, *Paranoid* Black Sabbath, *Black Magic Woman* Santany i jeszcze *So Lonely* The Police – ten utwór znalazł się w naszym repertuarze, ponieważ Yngve nauczył mnie akordów.

Byliśmy całkowicie bezradni, kompletnie zagubieni, bez cienia szansy, że coś z tego wyjdzie, że kiedykolwiek będziemy się nadawali do wystąpienia bodaj na imprezie klasowej. Ale chociaż właśnie tak wyglądała rzeczywistość, nigdy w taki sposób tego nie postrzegaliśmy. Przeciwnie, właśnie granie nadawało sens naszemu życiu. To nie była moja muzyka, tylko Jana Vidara, spreczna ze wszystkim, w co wierzyłem, a jednak właśnie w niej pokładałem nadzieję. W szkole w 1983 roku ćwiczyłem wstęp do *Smoke on the Water*, wcielenie głupoty, antytezę tego, co jest cool: najpierw riff gitarowy, potem hi-hat, cieka-

czika, czika-czika, czika-czika, czika-czika, dalej bęben basowy, dunk, dunk, dunk, potem ostry werbel, tyk, tyk, tyk, i głupia linia basu, podczas której często patrzyliśmy na siebie i uśmiechaliśmy się, kiwając głowami i kołysząc się na nogach, kiedy zaczynała się zwrotka, wykonywana kompletnie bez synchronizacji. Wokalisty nie mieliśmy. Ale kiedy Jan Vidar poszedł do zawodówki, usłyszał o pewnym perkusście z Hånes, który co prawda chodził dopiero do ósmej klasy, ale musiał się nadać, każdy się nadawał, a poza tym chłopak miał dostęp do sali prób z perkusją, wzmacniaczem i tak dalej, więc tam się teraz spotykaliśmy: ja, licealista z pierwszej klasy, marzący o życiu wśród muzyki undergroundowej, ale niemuzyczny, grałem na gitarze rytmicznej, Jan Vidar, uczeń klasy cukierniczej, który ćwiczył tyle, że mógł się stać drugim Yngwiem Malmsteenem, Eddiem van Halenem albo Ritchiem Blackmore'em, ale nie mógł się uwolnić od palcówki, grał na gitarze solowej, Jan Henrik, z którym poza zespołem najchętniej w ogóle nie mielibyśmy nic do czynienia, grał na basie, Øyvind zaś, krzepki i wesoły chłopak z Hånes, bez żadnych ambicji, grał na perkusji. *Smoke on the Water*, *Paranoid*, *Black Magic Woman*, *So Lonely*, a z czasem *Ziggi Stardust* i *Hang on to Yourself* wczesnego Bowiego, do którego chwytów również nauczył mnie Yngve. Żadnego śpiewu, tylko akompaniament. Co weekend. Futerał z gitarą w autobusie, długie rozmowy o muzyce i instrumentach na plaży, na ławkach pod sklepem, w pokoju Jana Vidara, w kawiarni na lotnisku, w mieście, z czasem nagrywanie wprawek, które uważnie przesłuchiwaliliśmy, podejmując nieudane i z góry skazane na niepowodzenie próby przeniesienia naszego zespołu na poziom, który w naszych głowach już osiągnęliśmy.

Raz wziąłem do szkoły kasetę z nagraniem z próby. Na przerwie stałem w słuchawkach i słuchałem naszego grania, zastanawiając się, komu mógłbym to puścić. Bassen miał podobny gust muzyczny jak ja, więc nie mogłem mu tego zaproponować, bo to przecież było coś zupełnie innego, czego by nie zrozumiał. Może Hanne? Sama śpiewała i bardzo ją lubiłem. Jednak to było zbyt ryzykowne. Wiedziała, że gram w zespole, a to mnie wywyższało, ale mogłem szybko opaść na ziemię, gdyby usłyszała, co tak naprawdę gramy. Pål? Tak, on mógł tego posłuchać. Też miał swój band, nazywali się Vampire i grali szybką muzykę, zainspirowaną Metallicą. Pål, zwykle wstydlivy, wrażliwy i niemal po kobiecemu delikatny, chodził w czarnej skórce, grał na basie, a na scenie wrzeszczał jak sam diabeł, więc zrozumiałby, co robimy. Na następnej przerwie podszedłem do niego, powiedziałem, że w zeszły weekend nagraliśmy kilka utworów, czy zechce posłuchać i ocenić? Jasne. Włożył słuchawki, wcisnął *play*, a ja w napięciu obserwowałem jego twarz. Uśmiechnął się i patrzył na mnie zdziwiony. Po kilku minutach zaczął się śmiać i zdjął słuchawki.

– Przecież to kompletna chała, Karl Ove – powiedział. – Kompletna chała. Czego ty ode mnie chcesz? Dlaczego mam tego słuchać? Żartujesz sobie ze mnie?

– Chała? Jak to chała?

– Przecież wy nie umiecie grać. I nie śpiewacie. To na nic.

Rozłożył ręce.

– No, ale kiedyś możemy być lepsi – stwierdziłem.

– Daj spokój!

Chciałem powiedzieć: „Myślisz, że ten twój zespół jest taki cholernie świetny?“, ale zmilczałem.

– No tak – powiedziałem tylko. – W każdym razie dzięki.

Znów się roześmiał, a jednocześnie popatrzył na mnie ze zdziwieniem. Påla nikt nie potrafił zrozumieć, bo cały ten jego speed metal i całe to wieśniactwo, z którego śmiała się klasa, bardzo nie pasowały do jego nieśmiałości, ta zaś z kolei nie pasowała do totalnej szczerości, jaką potrafił się wykazać, niczego się przy tym nie bojąc. Raz na przykład przyniósł wiersz, który kilka lat wcześniej wydrukowano mu w tygodniku dla dziewczyn „Det Nye”, przeprowadzono tam też z nim wywiad. Skromny, nieznający wstydu, wrażliwy, nieśmiały, agresywny, wulgarny. Taki był Pål. W pewnym sensie dobrze się stało, że właśnie Pål posłuchał naszego zespołu, bo on sam nie miał żadnej pozycji, a to z czego się śmiał, nie miało znaczenia. Spokojnie schowałem więc walkmana do kieszeni i poszedłem na lekcję. Miał rację, mówiąc, że niezbyt dobrze gramy. Ale od kiedy liczyło się, żeby dobrze grać? Nie słyszał o punku? O New Wave? Przecież żaden z tych zespołów nie grał dobrze. Ale mieli jaja. Siłę. Duszę. Intensywność.

Niedługo potem, wczesną jesienią 1984 roku, nasz zespół dostał pierwsze zlecenie. Załatwił je Øyvind. Centrum handlowe w Hånes postanowiło uczcić swoje piąte urodziny balonami, tortem i muzyką. Grać mieli bracia Bøksle, znani od dwudziestu lat w całym regionie ze swoich interpretacji piosenek z południa. Kierownik sklepu chciał jeszcze czegoś lokalnego, najchętniej związanego z młodzieżą, a my do tego projektu pasowaliśmy idealnie, bo przecież ćwiczyliśmy w szkole odległej zaledwie o kilkaset metrów od centrum. Mieliśmy grać przez dwadzieścia minut i dostać za to pięćset koron. Uściskaliśmy Øyvinda, kiedy nam o tym powiedział. Cholera, nareszcie kolej na nas.

Dwa tygodnie do występu, który miał się odbyć w sobotę o jedenastej przed południem, prędko minęły. Próbowaliśmy wiele razy, całym zespołem i tylko we dwóch, ja i Jan Vidar, bez końca omawialiśmy kolejność utworów, kupiliśmy zawczasu nowe struny, żeby je dobrze ograć, zdecydowaliśmy, jak się ubierzemy, a kiedy przyszedł ten dzień, spotkaliśmy się wcześniej w sali prób, żeby przed koncertem kilka razy przelecieć cały zestaw utworów. Mieliśmy wprawdzie świadomość, że może to grozić wypaleniem całego prochu przed czasem, lecz uznaliśmy, że ważniejsze jest, abyśmy mieli poczucie, iż jesteśmy perfekcyjnie przygotowani do wszystkich kawałków.

Ach, jak świetnie się czułem, kiedy szedłem przez wyasfaltowany plac przed centrum handlowym, niosąc w ręku gitarę w futerale. Sprzęt już tam stał, po jednej stronie pasażu prowadzącego do placu na środku. Øyvind ustawiał perkusję, Jan Vidar stroił gitarę za pomocą nowego stroika, który kupił specjalnie na tę okazję. Przyglądały im się jakieś dzieciaki. Wkrótce miały patrzeć i na mnie. Bardzo krótko obciąłem włosy, włożyłem zieloną wojskową kurtkę, czarne dżinsy, pas z ćwiekami i biało-niebieskie buty do kosza. No i miałem w ręku futerał z gitarą.

Po drugiej stronie pasażu śpiewali bracia Bøksle. Słuchała ich nieduża grupka ludzi, jakieś dziesięć osób. Strumień innych mijał ich w drodze do sklepów albo ze sklepów. Wiało, a ten wiatr skojarzył mi się z koncertem Beatlesów na dachu wytwórni Apple.

– W porządku? – spytałem Jana Vidara. Położyłem futerał na ziemi, wyjąłem gitarę i pas, przewiesiłem ją przez ramię.

– Jasne – odparł. – Podłączamy się? Która godzina, Øyvind?

– Za dziesięć.

– Wobec tego zaczekamy jeszcze chwilę. Pięć minut, okej?

Podszedł do wzmacniacza i wypił łyk coli, która na nim stała. Czoło przewiązał zrolowaną chustką. Poza tym był ubrany w białą koszulę z połami wyciągniętymi na wierzch czarnych spodni.

Bracia Bøksle śpiewali.

Zerknąłem na listę utworów naklejoną z tyłu wzmacniacza.

Smoke on the Water

Paranoid

Black Magic Woman

So Lonely

– Pożyczysz mi stroik? – spytałem Jana Vidara. Podał mi go, podłączyłem kabel. Gitara była nastrojona, ale i tak podkręciłem trochę śruby. Na parking podjeżdżały kolejne samochody. Krążyły po nim w poszukiwaniu wolnego miejsca. Zaraz po otwarciu drzwiczek dzieci gramoliły się z tylnych siedzeń, skakały trochę po asfalcie, po czym łapały rodziców za ręce i ciągnęły w naszą stronę. Wszyscy się na nas gapili, przechodząc, ale nikt się nie zatrzymał.

Jan Henrik podłączył bas do wzmacniacza, mocno szarpnął za strunę. Ryknęło nad asfaltem.

BUM.

BUM. BUM. BUM.

Obaj bracia Bøksle spojrzeli na nas, nie przerywając występu. Jan Henrik zrobił krok w stronę wzmacniacza i trochę przyciszył. Zagrał jeszcze dwa dźwięki.

BUM. BUM.

Øyvind kilka razy uderzył w bęben. Jan Vidar zagrał akord na gitarze. Cholernie głośno. Wszyscy na placu odwrócili się w naszą stronę.

– Hej! Przestańcie! – zawołał jeden z braci Bøksle.

Jan Vidar spojrział na nich wyzywająco, po czym odwrócił się i wypił jeszcze łyk coli. We wzmacniaczu do gitary basowej był dźwięk, we wzmacniaczu do gitary Jana Vidara również. A co z moim? Przyciszyłem gitarę, zagrałem akord i powoli podkręcałem, aż

wzmacniacz jakby rzucił się na dźwięk i uniósł go wyżej, a wszystko to robiłem, patrząc na grających na gitarach po drugiej stronie pasażu dwóch mężczyzn, którzy stojąc na szeroko rozstawionych nogach, z uśmiechem śpiewali swoje ciepłe piosenki o mewach, kutrach i zachodach słońca. W chwili gdy posłali mi spojrzenia, które trudno opisać inaczej niż jako zabójcze, znów przyciszyłem. Był dźwięk, wszystko w porządku.

– Która godzina? – spytałem Jana Vidara. Jego palce biegały po gryfie.

– Dwadzieścia po.

– Cholerni idioci! – rzuciłem. – Przecież mieli już skończyć.

Bracia Bøksle reprezentowali wszystko to, przeciwko czemu się burzyłem: szacowność, przyjemność, mieszczaństwo. Już się cieszyłem, że będę mógł podkręcić wzmacniacz i zdmuchnąć ich z boiska. Do tej pory mój bunt polegał na wygłaszaniu odmiennych opinii w klasie, czasami na położeniu głowy na ławce i zaśnięciu, a raz, kiedy rzuciłem pustą torebkę po drożdżówkach na chodnik i jakiś starszy pan kazał mi ją podnieść, oświadczyłem, żeby sam ją sobie podniósł, skoro to dla niego takie cholernie ważne. Kiedy się odwróciłem i odszedłem, serce tak waliło mi w piersi, że ledwie mogłem oddychać. Cała reszta tkwiła w muzyce, ponieważ już samo to, że słuchałem tego, czego słuchałem, czyli niekomercyjnych, undergroundowych, bezkompromisowych zespołów, czyniło ze mnie buntownika. Kogoś, kto nie akceptuje tego, co jest, lecz walczy o zmianę. A im głośniej grałem, tym bliższy tego byłem. Kupiłem dodatkowy długi kabel do gitary, dzięki któremu mogłem stać przed lustrem w korytarzu i grać, mając wzmacniacz w pokoju na piętrze ustawiony na full, wtedy coś się działo, dźwięk się zniekształcał, nabierał przenikliwości i niemal bez względu na to, co grałem, brzmiało świetnie. Cały dom wypełniał się dźwiękami gitary i pojawiała się dziwna zgodność między nimi a moimi uczuciami, jakby to o n e były mną, jakby takie było moje prawdziwe ja. Napisałem o tym tekst, właściwie przeznaczony do piosenki, ale ponieważ nie urodziła się melodia, wpisując go później do pamiętnika, nazwałem go wierszem.

Zniekształcam feedback mojej duszy

Gram aż do pustki w sercu

Patrzę na ciebie i myślę:

Łączymy się w mojej samotności

Łączymy się w mojej samotności

Ty i ja

Ty i ja, kochana

Chciałem się wyrwać. Na wielką otwartą przestrzeń. A w moim przekonaniu miała z nią kontakt jedynie muzyka. Właśnie dlatego stałem pod tym centrum handlowym w Hånes wczesną wiosną 1984 roku, z kupioną na confirmację kopią stratocastera w kolorze drewna przewieszoną przez ramię, z palcem wskazującym na pokrętle, gotowy podgłośnić w

momencie, gdy wybrzmi ostatni akord braci Bøksle.

Nad placem nagle zerwał się wiatr. Z szelestem przeleciało kilka liści, reklama lodów z furkotem okręciła się kilka razy w kółko. Wydało mi się, że poczułem krople na policzku, i spojrzałem w mlecznobiałe niebo.

– Zaczyna padać? – spytałem.

Jan Vidar wyciągnął przed siebie rękę. Wzruszył ramionami.

– Nic nie czuję – stwierdził. – Ale i tak gramy. Jasna cholera, nawet jak zaczniesz lać!

– Zgadzasz się – powiedziałem. – Denerwujesz się?

Z zaciętą miną pokręcił głową.

Bracia wreszcie skończyli. Tych kilka osób zebranych wokół nich zaklaskało, a bracia lekko się uklonili.

Jan Vidar odwrócił się do Øyvinda.

– Gotowy? – spytał.

Øyvind kiwnął głową.

– Ty też jesteś gotowy, Jan Henrik?

Jan Henrik kiwnął głową.

– Karl Ove?

Kiwnąłem.

– Dwa, trzy, czter’ – powiedział Jan Vidar głównie do siebie, bo pierwszy fragment rifu grał tylko on.

Sekundę później dźwięk jego gitary rozdarł ciszę na placu. Ludzie odskoczyli przestraszeni. Wszyscy odwrócili się w naszą stronę. Liczyłem w duchu. Ułożyłem palce do chwytu. Ręka mi drżała.

RAZ, DWA, TRZY – RAZ, DWA, TRZY, CZTER’ – RAZ, DWA, TRZY – RAZ, DWA.

W tym momencie miałem wejść.

Ale dźwięku nie było!

Jan Vidar wbił we mnie zdumione spojrzenie. Oczekałem jeszcze jedną rundę, podkręciłem, wszedłem. Przy dwóch gitarach dźwięk ogłuszał.

RAZ, DWA, TRZY – RAZ, DWA, TRZY, CZTER’ – RAZ, DWA, TRZY – RAZ, DWA.

Wszedł hi-hat.

Czika-czika, czika-czika, czika-czika, czika-czika.

Bęben basowy. I ostro werbel.

A potem bas.

BAM-BAM-BAM-bambambambambambambambambambambam-BA.

BAM-BAM-BAM-bambambambambambambambambambambam-BA.

Dopiero wtedy znów popatrzyłem na Jana Vidara. Jego twarz ściągnął grymas, gdy usiłował powiedzieć coś bezgłośnie.

Za szybko! Za szybko!

I Øyvind zwolnił. Ja też próbowałem, ale to było trochę mylące, bo zarówno bas, jak i gitara Jana Vidara ciągnęły z tą samą szybkością, a kiedy zmieniłem zdanie i dopasowałem się do nich, oni nagle zwolnili i zostałem sam w tym pędzie na łeb, na szyję. W samym środku tego chaosu zobaczyłem, że wiatr rozwiewa włosy Jana Vidara, a dzieciaki stojące przed nami zatykają palcami uszy. Chwilę później dotarliśmy do zwrotki, mniej więcej razem. Wtedy właśnie szybkim krokiem nadszedł przez plac mężczyzna w jasnych spodniach, koszuli w biało-niebieskie paski i żółtej letniej marynarce. To był kierownik sklepu. Zmierzał wprost w naszą stronę. Z odległości dwudziestu metrów zaczął wymachiwać obiema rękami, jakby chciał zatrzymać statek. Machał i machał. Graliśmy jeszcze przez kilka sekund, ale kiedy stanął tuż przed nami i dalej gwałtownie wymachiwał rękoma, nie było już wątpliwości, że chodzi o nas, więc przerwaliśmy.

– Co wy, do jasnej cholery, wyprawiacie?! – zawołał.

– Przecież mieliśmy tu grać – powiedział Jan Vidar.

– Ale kompletnie zwariowaliście! To jest centrum handlowe. Sobota. Ludzie mają robić zakupy i przyjemnie spędzać czas.

– Mamy trochę przyciszyć? – spytał Jan Vidar. – Możemy.

– Nie trochę.

Wokół nas zebrało się już sporo ludzi, jakieś piętnaście – szesnaście osób, wliczając dzieci. Nie najgorzej.

Jan Vidar odwrócił się i przykręcił głośność na wzmacniaczu. Zagrał akord i popatrzył na kierownika.

– Tak będzie dobrze? – spytał.

– Bardziej.

Jan Vidar ściszył jeszcze trochę i znów zagrał akord.

– Teraz w porządku? Przecież my nie jesteśmy zespołem do tańca.

– No dobrze – zgodził się kierownik. – Spróbujcie tak. Albo jeszcze trochę ciszej.

Jan Vidar znów się odwrócił. Tym razem tylko udał, że porusza pokrętkiem.

– Już – powiedział.

Jan Henrik i ja też ściszyliśmy.

– To zaczynamy od początku – zdecydował Jan Vidar.

I zaczęliśmy od początku. Liczyłem w duchu.

RAZ, DWA, TRZY – RAZ, DWA, TRZY, CZTER’ – RAZ, DWA, TRZY – RAZ, DWA.

Kierownik ruszył w stronę głównego wejścia do centrum. Obserwowałem go, grając.

Kiedy dotarliśmy do miejsca, w którym nam przerwano, zatrzymał się i odwrócił. Popatrzył na nas. Znow się odwrócił, zrobił kilka kroków do przodu i odwrócił się jeszcze raz. Nagle ruszył w naszą stronę i znow zaczął gwałtownie wymachiwać rękami. Jan Vidar tego nie widział, bo miał zamknięte oczy. Zauważył to natomiast Jan Henrik i spojrzał na mnie pytająco.

– Stop, stop, stop! – Kierownik znow stanął przed nami. – To nie przejdzie. Przykro mi. Pakujcie się.

– Co? – oburzył się Jan Vidar. – Dlaczego? Przecież mówił pan o dwudziestu pięciu minutach.

– To nie przejdzie – powtórzył kierownik, spuścił głowę i machnął ręką. – Sorry, chłopcy.

– Dlaczego? – spytał Jan Vidar.

– Nie da się was słuchać. Przecież wy nawet nie śpiewacie! No, dalej! Dostaniecie swoje pieniądze. Proszę. – Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął kopertę i podał ją Janowi Vidarowi. – Proszę – powtórzył. – Bardzo wam dziękuję za to, że się stawiliście, ale nie tak to sobie wyobrażałem. *No hard feelings*, okej?

Jan Vidar wziął kopertę, odwrócił się od kierownika, wyciągnął wtyczkę ze wzmacniacza, wyłączył go, zdjął gitarę i schował ją do futerału. Zebrani wokół nas ludzie tylko się uśmiechali.

– Chodźcie – powiedział Jan Vidar. – Idziemy do domu.

Od tego czasu status naszego zespołu stał się trochę niejasny; próbowaliśmy kilka razy, ale nie wkładając w to serca, potem Øyvind nie mógł przyjść na kolejną próbę, następnym razem nie było perkusji, a jeszcze później ja miałem mecz treningowy... Rzadziej widywałem się też z Janem Vidarem, ponieważ chodziliśmy do różnych szkół, a on kilka tygodni wcześniej zaczął przebąkiwać coś o tym, że poznał kogoś z innej klasy w swojej szkole i trochę razem pogrywają, więc kiedy teraz siadałem z gitarą, robiłem to głównie dla zabicia czasu.

Śpiewałem *Ground Control to Major Tom*, wygrywałem te dwa akordy w moll, które tak lubiłem, i myślałem o dwóch torbach z piwem leżących w lesie.

Kiedy Yngve przyjechał do domu na święta, przywiózł książkę z piosenkami Bowiego. Przepisałem z niej chwyt, nuty i teksty do zeszytu, który teraz wyjąłem. Nastawiłem na adapterze album *Hunky Dory*, utwór numer cztery, *Life on Mars?*, i zacząłem grać pod to, cicho, tak żeby słyszeć śpiew i inne instrumenty. Ciarki przeszły mi po plecach. To był fantastyczny kawałek; śledząc kolejność akordów na gitarze, odnosiłem wrażenie, jakby się przede mną otwierał, jakbym znajdował się w nim, w środku, a nie poza nim, tak jak wtedy, kiedy tylko go słuchałem. Gdyby mi przyszło rozpracować jakiś utwór bez niczyjej pomocy, musiałbym poświęcić na to kilka dni. Nie potrafiłem zidentyfikować akordów,

musiałem wkładać duży wysiłek, żeby się posuwać do przodu, i nawet jeśli znalazłem coś podobnego, nigdy nie byłem pewien, czy to naprawdę to samo. Opuścić igłę, intensywnie się wsłuchiwać, podnieść igłę, zagrać akord. Hm... Opuścić igłę, posłuchać jeszcze raz, zagrać ten sam akord, czy to ten? A może raczej ten? Nie mówiąc już o wszystkim, co działo się z gitarą podczas gry. Beznadziejna sprawa. Natomiast Yngvemu na przykład wystarczało raz posłuchać i po paru próbach już wiedział. Widziałem innych takich jak on, oni to mieli w sobie, muzyka nie była oddzielona od myśli, a raczej nic z nimi wspólnego nie miała, po prostu żyła w nich własnym życiem. Kiedy grali, to g r a l i, a nie tylko mechanicznie powtarzali jakiś wyuczony schemat. Niestety, ja o tej swobodzie, która się w tym kryła i o którą właściwie chodziło w muzyce, mogłem po prostu zapomnieć. To samo dotyczyło rysunku. Wprawdzie umiejętność rysowania nie poprawiała pozycji, ale ja i tak to lubiłem i sporo rysowałem, siedząc sam w pokoju. Kiedy miałem jakiś konkretny wzór, na przykład komiks, wychodziły mi nawet niezłe rzeczy, ale gdy nie kopiowałem, tylko rysowałem z ręki, nigdy nic mi się nie udawało. A przecież znałem osoby, które i to w sobie miały, szczególnie chyba Tone z mojej klasy, ona bez żadnego wysiłku potrafiła narysować wszystko – drzewo na placu za oknem, samochód zaparkowany kawałek dalej, nauczyciela stojącego przed tablicą. Kiedy wybieraliśmy przedmioty fakultatywne, miałem ochotę zgłosić się na „kształt i kolor”, ale ponieważ miałem świadomość, jak jest, wiedziałem, że inni p o t r a f i ą rysować, że się tym zajmują – zrezygnowałem. Zamiast tego stanęło na wiedzy o filmie. Świadomość własnych braków czasami mi ciążyła, bo tak bardzo chciałem być kimś, tak bardzo chciałem być wyjątkowy.

Wstałem, odłożyłem gitarę na stojak, wyłączyłem wzmacniacz i zszedłem na dół. Mama właśnie prasowała. Kręgi światła wokół lamp nad drzwiami i na ścianie stodoły prawie zupełnie zasłaniał śnieg.

– Ale pogoda – powiedziałem.

– No właśnie.

Kiedy wszedłem do kuchni, uświadomiłem sobie, że niedawno przejeżdżał pług, więc może przed przyjazdem gości należało odgarnąć usypaną przez niego świeżą zaspę.

Odwróciłem się do mamy.

– Chyba pójde trochę odśnieżyć, zanim przyjadą – zaproponowałem.

– Świetnie. A nie mógłbyś przy okazji zapalić lampionów? Leżą w garażu, w torbie na murku.

– Dobrze. Masz zapalniczkę?

– W torebce.

Ubrałem się i wyszedłem. Wziąłem z garażu łopatę, obwiązałem twarz szalikiem i ruszyłem w dół, na krzyżówkę. Chociaż odwracałem się plecami do śniegu nawiewanego z pola, kłuł mnie w oczy i w policzki, gdy zacząłem odrzucać świeżą pryzmę i starsze grudy. Kilka minut później usłyszałem z oddali przytłumiony huk, dobiegający jakby ze środka

jakiegoś domu, i uniosłem głowę w samą porę, by dostrzec błysk niewielkiej eksplozji w głębi wietrznej ciemności. To musieli być Tom i Per, którzy z ojcem testowali fajerwerki. Ich to może ożywiło, ale mnie przytłoczyło, bo ów krótki błysk jedynie podkreślił kompletny brak jakichkolwiek zdarzeń, który po nim nastąpił. Nie było żadnego samochodu, żadnego człowieka, były jedynie czarny las, sypiący śnieg, nieruchoma wstęga światła wzdłuż drogi. Ciemność w dolinie. Skrobanie lekkiego metalu łopaty o twarde jak kamienie łaty sprasowanego śniegu, mój własny oddech, jeszcze lepiej słyszalny z powodu szalika ciasno zawiązanego na czapce nad uszami.

Kiedy skończyłem odśnieżać, znów poszedłem do garażu, odstawiłem łopatę, znalazłem torbę z czterema lampionami, zapaliłem je kolejno po ciemku, nie bez przyjemności, bo płomienie były takie miękkie, a ich niebieskie fragmenty wznosiły się i opadały w zależności od tego, w którą stronę poruszył nimi przeciąg. Zastanawiałem się przez chwilę, jakie miejsce będzie dla nich najlepsze, i doszedłem do wniosku, że dwa ustawię przy progu, a dwa na murku przed stodołą.

Dopiero gdy je rozmieściłem, za tymi dwoma na murku usypując nieduży ochronny wał ze śniegu, i zamknąłem drzwi do garażu, usłyszałem samochód na zakręcie pod domem. Znów otworzyłem garaż i tamtędy szybko przeszedłem do domu; ważne, żebym był c a ł k i e m gotowy przed ich przyjazdem, bym nie zostawiał żadnych śladów pośpiesznych działań w ostatnich minutach. Ten mały wewnętrzny przymus stał się tak silny, że w biegu chwyciłem ręcznik z łazienki i wytarłem nim buty, aby nie stać w korytarzu ze świeżym śniegiem na nich, a resztę wierzchniego ubrania, czyli kurtkę, czapkę, szalik i rękawiczki, zdjąłem u siebie w pokoju.

Kiedy znów zszedłem na dół, samochód stał z włączonym silnikiem i świecącymi się czerwonymi tylnymi światłami, a dziadek z ręką na drzwiczkach czekał, aż babcia wysiądzie.

Gdy siedziałem w domu sam, każdy pokój wyjawiał własny charakter, i może nie były one do mnie wrogo nastawione, ale też się przede mną nie otwierały. Raczej ziały pustką, ich ściany, podłogi, sufity, listwy, okna nie chciały mi się podporządkować. Wyczuwałem martwość tych pokoi. To właśnie ona stawiała mi opór, i to nie w znaczeniu ustania życia, lecz w sensie jego nieobecności, tak jak życie jest nieobecne w kamieniu, w szklance wody, w książce. Obecność naszego kota, Mefista, nie była dostatecznie silna, by usunąć ów aspekt tych pomieszczeń – widziałem wtedy jedynie kota w ziejącym pustką domu, ale gdy tylko pojawiał się jakiś człowiek, nawet niemowlę, martwota zniknęła. Mój ojciec wypełniał pomieszczenia niepokojem, matka łagodnością, cierpliwością i melancholią, a czasami, kiedy wracała z pracy zmęczona, również słabym, lecz mimo to wyczuwalnym, skrywanym pod powierzchnią prądem poirytowania. Per, który nigdy nie docierał dalej niż do sieni, wypełniał ją radością, nadzieją i podporządkowaniem. Jan Vidar, do tej pory jedyna osoba spoza rodziny, która wchodziła do mojego pokoju, wypełniał go uporem,

ambicją i koleżeństwem. Interesująca rzecz się dzieła, kiedy zbierała się większa grupa, bo w pokojach nie było miejsca dla charakteru więcej niż jednej, góra dwóch osób, i wcale nie zawsze najsilniejszą z nich wyczuwało się najwyraźniej. Na przykład uległość Pera, jego uprzejmość okazywana dorosłym bywały niekiedy silniejsze niż wilkowatość mojego ojca, który przechodząc obok, ledwie kiwał Perowi głową. Ale rzadko bywał tu ktoś oprócz nas. Wyjątek stanowiły odwiedziny babci i dziadka, rodziców ojca, i jego brata Gunnara z rodziną. Bywali tu od czasu do czasu – trzy, cztery razy na pół roku, a ja zawsze cieszyłem się na ich przyjazd. Po pierwsze, mój stosunek do babci od dzieciństwa się nie zmienił, chociaż ja się zmieniłem, i ten blask, który wtedy od niej bił, wcale nie tak mocno związany z przywozonymi prezentami, lecz raczej z jej wyjątkową miłością do dzieci, wciąż lśnił w zachowanym przeze mnie obrazie, a po drugie, ojciec zawsze dostosowywał się do takich sytuacji. Okazywał mi większą życzliwość, zapraszał mnie do kręgu i brał mnie pod uwagę, ale nie to było najważniejsze, bo owa życzliwość, jaką okazywał synowi, stanowiła jedynie część większej szczodrości, która przy takich okazjach się w nim odzywała: stawał się czarujący i zabawny, okazywał się mądry i interesujący, co w pewnym sensie usprawiedliwiało to, że miałem w sobie dla niego tyle uczuć i tyle czasu im poświęcałem.

Kiedy weszli do sieni, mama otworzyła drzwi.

– Dzień dobry, zapraszam!

– Witaj, Sissel – powiedział dziadek.

– Co za pogoda! – westchnęła babcia. – Widzieliście coś podobnego? Ale lampiony wyglądają bardzo ładnie, muszę przyznać.

– Wezmę płaszcze – zaproponowała mama.

Babcia miała okrągłą, ciemną futrzaną czapkę, którą zdjęła i kilka razy uderzyła nią o rękę, żeby strzepnąć śnieg, oraz ciemne futro – podała je mamie razem z czapką.

– Dobrze, że po nas przyjechałeś – babcia odwróciła się do taty. – Ojciec przy takiej pogodzie nie mógłby prowadzić.

– No nie wiem – zaproponował dziadek. – Ale droga tutaj rzeczywiście jest długa i kręta.

Babcia weszła do holu, lekko wygładziła sukienkę, poprawiła włosy.

– Jesteś! – powiedziała i uśmiechnęła się do mnie.

Za nią przyszedł dziadek, niosąc swój szary płaszcz. Mama minęła babcię, wzięła od niego okrycie i powiesiła na wieszaku stojącym przy lustrze pod schodami. Na progu pojawił się tata; wycierał śnieg z butów o kant schodów.

– Cześć – powiedział dziadek. – Twój ojciec mówił, że wybierasz się gdzieś na zabawę sylwestrową.

– Zgadza się – odparłem.

– Ależ wy wyrosliście! – westchnęła babcia. – Pomyśleć tylko, że idziecie na sylwestra!

– No tak. My już przestaliśmy im wystarczać – odezwał się tata z korytarza. Przeczesał palcami włosy, kilka razy potrząsnął głową.

– Przejdziemy do salonu? – spytała mama.

Poszedłem za nimi, usiadłem w wyplatany fotelu przy drzwiach do ogrodu, a oni rozsiedli się na kanapie. Ciężkie kroki taty rozległy się najpierw na schodach, a później na suficie w głębi salonu, tam gdzie była jego sypialnia.

– Wstawię kawę. – Mama się podniosła. Teraz ja odpowiadałem za ciszę, która zapadła w pokoju po jej wyjściu.

– Erling jest w Trondheim? – spytałem.

– Raczej tak – odparła babcia. – Mieli dziś zostać w domu i tam się bawić.

Ubrała się w niebieską jedwabistą sukienkę z czarnym wzorem na piersiach. W uszach białe perełki, złoty łańcuszek na szyi. Włosy miała ciemne, musiały być ufarbowane, ale nie miałem pewności, bo w takim razie dlaczego nie ufarbowała siwego loka nad czołem? Nie była gruba, nie była nawet pełna, ale mimo wszystko w jakiś sposób bujna. W sprzeczności z tym pozostawały jej ruchy, zawsze takie szybkie. Ale tym, na co się zwracało uwagę, kiedy patrzyło się na babcię, tym, co najbardziej w niej uderzało, były oczy. Zupełnie przejrzyste, jasnoniebieskie, a przez ten kolor, sam w sobie niezwykły, albo przez tak mocny kontrast z ciemnymi włosami i karnacją wyglądały prawie na sztuczne, jakby ze szkła. Mój ojciec miał identyczne oczy, wywoływały takie samo wrażenie. Ze wszystkich jej dobrych stron, oprócz miłości do dzieci, najbardziej wyrazista była ręka do roślin. Kiedy odwiedzaliśmy ją wiosną lub latem, z reguły zastawaliśmy ją w ogrodzie, a wspominając ją, często myślałem obrazami z ogrodu. Widziałem, jak w rękawiczkach, z włosami rozwianymi przez wiatr, idzie po trawniku z naręczem suchych gałęzi do spalania albo kłęczy obok wykopanego przed chwilą dołka i ostrożnie zdejmuje torbę z korzeni maleńkiego drzewka, które zamierzała w nim posadzić, bądź też jak oglądając się przez ramię, sprawdza, czy zraszacz zaczyna się obracać po odkręceniu kranu przy werandzie, żeby za moment stanąć z rękami opartymi na biodrach i cieszyć się widokiem wody tryskającej w powietrze i migoczącej w słońcu. Albo jak kuca na zboczu za domem, pieląc rabatki założone we wszystkich możliwych zagłębieniach, przypominające trochę kałuże wody gromadzącej się na przybrzeżnych skałach, jakby odciętej od pierwotnego środowiska. Pamiętam, że żał mi było tych roślin, samotnych i obnażonych wśród kamieni; jakże musiały tęsknić za życiem toczącym się poniżej, tam gdzie wszystkie rośliny splatały się ze sobą, tworząc stale nowe kombinacje w zależności od pory doby i pory roku, za starymi gruszami i śliwami, które babcia przywiozła kiedyś ze wsi, z domu swoich dziadków, za grą cieni na trawie, gdy wiatr przelatuje przez liście w senny letni dzień, a słońce zachodzi za horyzont nad morzem i słychać odległe dźwięki miasta, wznoszące się i opadające w powietrzu niczym fale, przemieszane z brzęczeniem os i trzmieli, zajętych pracą wśród rosnących pod ścianą krzewów róż, których blade płatki jaśnieją bielą i

spokojem wśród zieleni. Już wtedy ogród wydawał się stary, miał w sobie dostojeństwo i pełnię, jaką zapewnić może tylko czas, i z pewnością z tego powodu babcia umieściła szklarnię na samym dole, tak żeby była w połowie zasłonięta skałą – tam babcia mogła poszerzyć swój obszar działania, sadzić rzadsze drzewa i rośliny, nie psując kompozycji ogrodu przemysłowym i prowizorycznym charakterem budynku. Jesienią i zimą dawało się dostrzec mglisty zarys jej postaci za gładkimi ścianami szklarni i nie bez dumy rzucała jakby od niechcienia, że ogórki i pomidory, które trafiają na nasz stół, nie pochodzą ze sklepu, lecz z ogrodowej cieplarni.

Dziadek nie miał nic wspólnego z ogrodem, więc kiedy babcia z tatą, z Gunnarem albo z bratem dziadka, Alfem, omawiali rozmaite rośliny, kwiaty i drzewa, bo zainteresowanie wszystkim, co rośnie, było w tej rodzinie wyjątkowo duże, on sięgał raczej po gazetę, chyba że wyjął kupon zakładów piłkarskich i konferował z tygodniowymi tabelami. Zawsze mnie dziwiło, że człowiek, który pracował z liczbami, zajmował się nimi również w wolnym czasie, zamiast na przykład ogrodnictwem, stolarką czy innymi czynnościami angażującymi całe ciało. Ale nie, on miał liczby w pracy i tabele w czasie wolnym. Wiedziałem tylko o jednej innej jego pasji, a mianowicie o polityce. Jeśli rozmowa na nią schodziła, zawsze się ożywiał, miał zdecydowane poglądy, ale jeszcze silniejsza była w nim chęć dyskusowania, więc gdy ktoś wyrażał odmienne zdanie, bardzo to sobie cenił. W każdym razie w tych nielicznych chwilach, kiedy mama wygłaszała swoje zorientowane na lewo poglądy, z jego oczu biła wyłącznie życzliwość, chociaż zaczynał mówić podniesionym, ostrzejszym głosem. Babcia ze swej strony zawsze przy takich okazjach prosiła, żeby mówił o czymś innym albo się uspokoił. Często traktowała go z ironią, potrafiła również z niego drwić, ale on się odgryzał, a jeśli byliśmy przy tym obecni, zawsze puszczała do nas oko, abyśmy zrozumieli, że to tylko żarty. Dużo się śmiała i uwielbiała opowiadać o różnych dziwactwach, które przeżyła lub o których od kogoś usłyszała. Pamiętała wszystkie zabawne powiedzonka Yngvego z dzieciństwa; byli sobie wyjątkowo bliscy, bo kiedy Yngve był mały, przez pół roku mieszkał u dziadków, a później też spędzał u nich dużo czasu. Opowiadała także o niezwykłych przeżyciach Erlinga w szkole w Trondheim, ale największy zasób jej anegdot pochodził z lat trzydziestych, kiedy pracowała jako szoferka u bogatej, prawdopodobnie sklerotycznej starszej damy.

Dziadkowie przekroczyli już siedemdziesiątkę, babcia była o kilka lat starsza od dziadka, ale oboje cieszyli się dobrym zdrowiem i zimą wciąż jeździli za granicę, jak zawsze.

Od pewnego czasu panowało milczenie. Usiłowałem wymyślić coś, co mógłbym powiedzieć. Wyjrzałem przez okno, żeby cisza stała się mniej natarczywa.

– Co tam słychać w Katedralnej? – spytał wreszcie dziadek. – Stray ma coś rozsądnego do powiedzenia?

Stray był naszym nauczycielem francuskiego. Mały, krępy, łysy i energiczny siedemdziesięciolatek był właścicielem domu stojącego obok tego, w którym dziadek miał

dawniej kancelarię. Z tego co zrozumiałem, toczyli o coś spór, może o granicę parceli, ale czy doszło do jakiegoś procesu, nie bardzo wiedziałem, ani też czy ta sprawa została zakończona. W każdym razie już od wielu lat nie mówili sobie „dzień dobry”.

– No... – zacząłem. – Nazywa mnie chłopakiem w kącie.

– No tak, no właśnie. – Dziadek pokiwał głową. – A co u starego Nygaarda?

Wzruszyłem ramionami.

– Chyba wszystko w porządku. Robi swoje. To przecież stara szkoła. A tak w ogóle to skąd go znasz?

– Przez Alfa, no wiesz – odparł dziadek.

– Aha, no tak, rzeczywiście.

Dziadek wstał i podszedł do okna, stanął z rękami na plecach i wyjrzał. Oprócz tej odrobiny światła, która padała z okien, po tej stronie domu było zupełnie ciemno.

– Widzisz coś, tatusiu? – spytała babcia, puszczając do mnie oko.

– Ładnie mieszkanie – stwierdził dziadek.

W tej samej chwili do salonu weszła mama, niosąc cztery filiżanki. Dziadek odwrócił się w jej stronę.

– Właśnie mówię Karlowi Ovemu, że ładnie mieszkanie.

Mama się zatrzymała, jakby w biegu nie potrafiła nic powiedzieć.

– Tak, bardzo jesteśmy zadowoleni z tego miejsca. – Stała z filiżankami w rękach i patrzyła na dziadka, lekko się uśmiechając. W tej chwili jakby... tak, zapłonęła. Nie żeby się zaczerwieniła czy zawstydzila, nie o to chodziło. Raczej o to, że się za niczym nie ukrywała. Nigdy się nie chowała. Odzywała się zawsze po to, by oświadczyć, co myśli, nigdy żeby po prostu coś powiedzieć. – Ten dom jest taki stary. Lata tkwią w ścianach. To może się obrócić i na dobre, i na złe. Ale dobrze się tu mieszka.

Dziadek pokiwał głową, dalej wpatrzony w mrok. Mama podeszła do stołu i zaczęła rozstawiać filiżanki.

– A gdzie się podział gospodarz? – spytała babcia.

– Tu jestem – powiedział tata.

Wszyscy się odwrócili. Stał przy nakrytym stole w jadalni, przygarbiony pod belkami sufitowymi, trzymając w rękach butelkę wina, którą najwyraźniej oglądał.

Jak on tam dotarł?

Nie słyszałem żadnego dźwięku, a przecież jeśli w ogóle zwracałem na coś uwagę w tym domu, to na jego ruchy.

– Przyniesiesz jeszcze drewna przed wyjściem, Karl Ove? – spytał.

– Tak. – Wstałem, wyszedłem na korytarz, włożyłem buty i otworzyłem drzwi. Uderzył we mnie wiatr. Ale śnieg przynajmniej przestał padać. Przeciąłem podwórze i wszedłem

do komórki w stodole. Światło gołej żarówki oświetliło szorstkie murowane ściany. Podłogę prawie całkiem pokrywały kora i drzazgi. W pieńku do rąbania wbita była siekiera. W kącie leżała pomarańczowo-czarna piła motorowa, którą ojciec kupił, kiedy się tu sprowadziliśmy. Na działce rosło drzewo, które chciał ściąć. Kiedy się do tego zabrał, nie mógł uruchomić piły. Długo się jej przyglądał, potem ją przeklinał, a w końcu poszedł zadzwonić do sklepu, w którym ją kupił, żeby się poskarżyć. „Co było nie tak?“, spytałem, kiedy wrócił. „Nic – odparł. – Po prostu zapomnieli mi o czymś powiedzieć”. Zrozumiałem, że musiało chodzić o jakieś zabezpieczenie, uniemożliwiające dzieciom włączenie piły. Jednak ojcu udało się ją w końcu uruchomić i po ścięciu drzewa poświęcił całe popołudnie na pocięcie go na kawałki. Podobała mu się ta praca, widziałem. Ale kiedy już się z tym uporał, piły nie było do czego używać i od tamtego czasu leżała w tym miejscu na podłodze.

Nałożyłem sobie na rękę tyle polan, ile zdołałem unieść, kopniakiem otworzyłem drzwi i chwiejąc się na nogach, przeszedłem przez podwórze, myśląc głównie o tym, jak bardzo im zaimponuję, zrzuciłem buty i odchyłony do tyłu, prawie uginając się pod ciężarem, wszedłem do salonu.

– Spójrzcie tylko na niego! – powiedziała babcia, kiedy wszedłem. – Ale dużo tego drzewa przyniosłeś!

Zatrzymałem się przy koszu na drewno.

– Zaczekaj, pomogę ci. – Tata podszedł do mnie, zdjął polana z samej góry i wrzucił do kosza. Usta miał zaciśnięte, oczy zimne. Ukląknęłam i wysypałem resztę naręcza.

– Teraz wystarczy nam drewna aż do lata – skomentował.

Wstałem, strzepnąłem kilka drzazg z koszuli i usiadłem w fotelu, a tata kucnął, otworzył drzwiczki kominka i dołożył kilka polan. Był w ciemnym garniturze i ciemnoczerwonym krawacie, czarnych butach i białej koszuli, podkreślającej lodowatoniebieskie oczy, czarną brodę i lekko opaloną twarz. Przez całą letnią połowę roku starał się jak najwięcej czasu spędzać na słońcu i w sierpniu zwykle cerę miał już bardzo ciemną. Ale tej zimy, jak sobie uświadomiłem, musiał chodzić do solarium, chyba że w końcu nałapał tyle słońca, że opalenizna została mu na stałe.

Skóra wokół oczu zaczynała mu się marszczyć, pojawiały się na niej gęste, drobne bruzdki, przypominające pęknięcia na suchej wyprawionej skórze zwierzęcej.

Spojrzał na zegarek.

– Gunnar powinien wkrótce przyjechać, jeśli chcemy coś zjeść przed północą – powiedział.

– To ta pogoda – stwierdziła babcia. – Na pewno jedzie ostrożnie.

Tata odwrócił się do mnie.

– Czy ty nie powinienes już wychodzić?

– Owszem. Ale chciałem się jeszcze przywitać z Gunnarem i Tove.

Tata prychnął.

– Idź się bawić. Nie musisz z nami siedzieć.

Wstałem.

– Twoja koszula wisi na szafie – powiedziała mama.

Wziąłem ją po drodze do pokoju i szybko się przebrałem. Czarne bawełniane spodnie, szerokie w udach, wąskie w łydkach, z bocznymi kieszeniami, biała koszula, czarna marynarka. Pas z ćwiekami, który też zamierzałem włożyć, zwinąłem i schowałem do torby, bo chociaż nie zabroniliby mi go nosić, zostałyby zauważony, a tego nie chciałem. Do paska dołożyłem czarne martensy, zapasową koszulę, dwie paczki pall malli light, gumę do żucia i pastylki. Kiedy się spakowałem, stanąłem przy oknie. Było pięć po siódmej. Powinienem już być w drodze, ale musiałem czekać na Gunnara, bo inaczej ryzykowałem, że go spotkam. Nie było to wskazane z dwiema torbami z piwem w rękach.

Oprócz wiatru i drzew na skraju lasu, ledwie widocznych w świetle bijącym z domu, nic się nie poruszało.

Jeśli nie zjawia się w ciągu pięciu minut, i tak będę musiał wyjść, pomyślałem.

Włożyłem wierzchnie ubranie, na chwilę stanąłem przy oknie, z całych sił nasłuchując ewentualnego warkotu silnika, wpatrzony w miejsce, w którym światło reflektorów samochodowych pokazałoby się najpierw, po czym się odwróciłem, zgasilem światło w pokoju i zszedłem na dół.

Tata stał w kuchni i nalewał wody do dużego garnka. Spojrzał na mnie, kiedy przyszedłem.

– Idziesz? – spytał.

Kiwnąłem głową.

– No, to baw się dobrze.

U stóp wzgórza, gdzie przedpołudniowe ślady opon zostały już zatarte przez śnieg i wiatr,ostałem kilka sekund nieruchomo, nasłuchując. Nabrawszy pewności, że nie nadjeżdża żaden samochód, podszedłem pod górę, między drzewa. Torby leżały tam, gdzie je położyłem, pokryte cienką warstewką śniegu, który zsywał się z gładkiego plastiku, kiedy je podniosłem. Z torbą w każdej ręce ruszyłem z powrotem w dół, zatrzymałem się za drzewem i znów nadstawiłem uszu, a ponieważ wciąż nic nie było słychać, przelazłem przez wysoką zaspę usypaną przez pług i pobiegłem w stronę zakrętu. Niewiele osób tu mieszkało, a ruch przelotowy odbywał się drogą po drugiej stronie rzeki, gdyby więc nadjechał jakiś samochód, istniała duża szansa, że to byłby Gunnar. Ruszyłem pod górę wzdłuż zakrętu, przy którym mieszkała rodzina Williama. Ich dom stał kawałek od drogi, blisko lasu, który nieco dalej wspinał się po stromym wzgórzu. W salonie migotało niebieskawe światło telewizora. Dom wybudowano w latach siedemdziesiątych, a

otaczająca go działka była nieuporządkowana, pełna kamieni i skał; oprócz nich dostrzec tam było można zniszczoną huśtawkę, stos drewna nakryty brezentem, wrak samochodu, kilka opon. Nie rozumiałem, dlaczego tak mieszkali. Nie chcieli mieć ładnie wokół siebie? A może nie mogli? Czy to nie miało dla nich żadnego znaczenia? A może uważali, że jest ładnie? Ojciec Williama był miłym, spokojnym człowiekiem, matka była zawsze zła, a ich troje dzieci nieodmiennie chodziło w za małych albo za dużych rzeczach.

Któregoś dnia rano w drodze do szkoły zobaczyłem ojca Williama z córką, wspinających się po usypisku kamieni za drogą, oboje z zakrwawionymi czołami. Dziewczynka miała głowę przewiazaną białą chustką nasiąkniętą krwią. Pamiętam, pomyślałem wtedy, że oboje mają w sobie jakąś zwierzęcość, bo nic nie mówili, nie krzyczeli, tylko całkiem spokojnie wspinali się po kamieniach. Na samym dnie usypiska, przodem dotykając jednego z drzew, stała ich ciężarówka. Za drzewami płynęła lśniąca, ciemna rzeka. Spytałem, czy mogę w czymś pomóc. Ojciec Williama krzyknął z dołu, że nie trzeba, wszystko będzie dobrze, i chociaż widok był tak zaskakujący, że właściwie nie mogłem się od niego oderwać, miałem wrażenie, że postępuję niemoralnie, stojąc tam i się gapiąc, więc poszedłem dalej w stronę przystanku. Kiedy się obejrzałem ten jeden raz, na jaki udzieliłem sobie pozwolenia, szli drogą, kuśtykając. On jak zawsze w kombinezonie, ramieniem obejmujący drobne ciało jedenastoletniej dziewczynki.

Często dokuczaliśmy jej i Williamowi, oboje łatwo było rozdrażnić i łatwo się wtedy zacinali, słowa i pojęcia nie były ich najmocniejszą stroną, ale że to miało dla nich jakieś znaczenie, zrozumiałem dopiero wówczas, kiedy razem z Perem w pewien zwykły, nudny letni dzień zadzwoniliśmy do drzwi, żeby wyciągnąć Williama na grę w piłkę, a na tarasie niespodziewanie pojawiła się jego matka i zaczęła na nas krzyczeć, zwłaszcza na mnie, za to, że uważam się za lepszego od innych, a szczególnie od jej syna i córki. Odpysknąłem i okazało się, że również jej słowa nie przychodzą z łatwością, ale tej złości nie dało się ujarzmić, więc jedyną rzeczą, jaką zyskałem, był pełen podziwu dla mojego ciętego języka śmiech Pera, zapomniany już po kilku godzinach. Ale ci na zakręcie nie zapomnieli. Ojciec był zbyt miły, żeby robić aferę, ale matka... Z oczu sypały jej się błyskawice za każdym razem, gdy mnie widziała. Dla mnie znaczenie miało jedynie to, że mogłem się wywyższać ich kosztem. Jeśli William przyszedł do szkoły w kusych spodniach, kompletnie źle coś zrozumiał albo niewłaściwie użył jakiegoś słowa, uważałem, że nie ma powodu, by mu o tym nie powiedzieć, bo to przecież była prawda, czyż nie? No i mógł uciąć ten śmiech, który w nas wzbudzał, albo odparować, to zależało wyłącznie od niego. Sam nie byłem pozbawiony słabości, leżały na wierzchu i każdy mógł je zobaczyć i wykorzystać, a że nikt tego nie robił, ponieważ ich nie zauważono, to przecież nie mój problem? Zasady były takie same dla wszystkich. W szkole William trzymał się z grupą, która paliła pod wiatą, jeździła na motorowerach od trzynastego roku życia, a w wieku czternastu lat rzucała szkołę, która wdawała się w bójki i piła; również oni naśmiewali się z Williama, ale w sposób, na jaki on się godził, bo wśród nich zawsze było coś, z czym mógł się mierzyć,

zawsze istniała możliwość odgryzienia się. Z nami, czyli z tymi, którzy mieszkali w domach na górze, było inaczej, wśród nas liczyły się sarkazm, ironia i zabójcze komentarze. Potrafiło to doprowadzić go do szaleństwa, ponieważ znajdowało się poza jego zasięgiem. Ale on potrzebował nas bardziej niż my jego i zawsze wracał. Dla mnie była to kwestia wolności. Kiedy się tu przeprowadziłem, nikt mnie nie znał, i chociaż w zasadzie w ogóle się nie zmieniłem, umożliwiło mi to robienie rzeczy, na jakie nigdy wcześniej sobie nie pozwalałem. Na przykład koło przystanku był staroświecki sklep, w którym sprawunki załatwiano przez ladę. Jego właścicielkami były dwie siedemdziesięcioletnie siostry, obie miłe i bardzo powolne. Jeśli poprosiło się o coś, co stało wysoko na półce, odwracały się tyłem na minutę albo dwie i wtedy można było wepchnąć pod kurtkę tyle cukierków i czekolady, ile tylko się chciało. Nie mówiąc już o tym, ile można było zdziałać, jeżeli poprosiło się o coś, co znajdowało się wyłącznie w piwnicy. Na wyspie Tromøya takie zachowanie nigdy nie przyszłoby mi do głowy, ale tutaj się nie wahałem. Nie tylko kradłem cukierki i czekoladę staruszkom, lecz również podburzałem inne dzieciaki do robienia tego samego. One były o rok ode mnie młodsze, prawie nigdy wcześniej nie opuszczały wioski i w stosunku do nich czułem się jak światowiec. Na cudze truskawki chodzili wszyscy, ale ja wprowadziłem pewien element wyrefinowania, namawiając do zabierania na pole truskawkowe talerzyka, łyżeczki, mleka i cukru.

W hali fabrycznej sami mieliśmy wpisywać, jaką pracę wykonaliśmy, i za to dostawaliśmy zapłatę; okazało się, że nikomu nigdy nawet nie przyszło do głowy, że ten system można wykorzystać do oszustwa. Ale my tak zaczęliśmy robić. Najważniejsza zmiana w moim zachowaniu miała jednak związek z tym co werbalne, z odkryciem tkwiących w języku możliwości gnębienia innych. Krzywdziłem i obrażałem, manipulowałem i ironizowałem, ale nikt nigdy nie zorientował się, że podstawa, na której opieram tę władzę, jest tak niepewna, iż jeden jedyny dobrze wymierzony cios zdołałby ją zrujnować. Przecież miałem wadę wymowy! Nie umiałem wymówić „r”! W odpowiedzi na moją drwinę wystarczyłoby mnie przedrzeźnić, a byłbym pokonany. Ale nikt nigdy tego nie zrobił.

To znaczy raz pozwolił sobie na to brat Pera, o trzy lata młodszy ode mnie. Per i ja rozmawialiśmy u nich w stajni, którą jego ojciec niedawno wybudował przy garażu, żeby mógł w niej zamieszkać konik fiording; kupił go dla Marit, młodszej siostry Pera i Toma. Wałęsaliśmy się przez cały wieczór i w końcu trafiliśmy tam, do tego przytulnego, ciepłego pomieszczenia, pachnącego koniem i sianem, i wtedy Tom, który mnie nie lubił, prawdopodobnie dlatego że zawłaszczyłem jego brata, wcześniej zawsze dla niego dostępnego, nagle zaczął mnie przedrzeźnić.

– Fojd siejja? – spytał. – Co to jest fojd siejja?

– Tom! – powiedział Per z wyrzutem.

– Fojd siejja to taki samochód – wyjaśniłem. – Nie słyszałeś o nim?

– Nie słyszałem, żeby jakiś samochód nazywał się fojd – upierał się Tom. – A już na pewno nie siejja.

– Tom! – powtórzył Per.

– Aha, masz na myśli f o r d a! – zawołał Tom.

– No oczywiście – powiedziałem.

– To dlaczego nie mówiłeś od razu? Forrrd! Sierrrra!

– Spadaj, Tom! – rozzłościł się Per, a kiedy Tom się nie ruszył, uderzył go zaciśniętą pięścią w ramię.

– Au! – krzyknął Tom. – Przestań!

– Spadaj, gówniarzu! – Per uderzył jeszcze raz.

Tom wyszedł, a my dalej rozmawialiśmy, jakby nic się nie stało.

Dziwne, że to był jedyny raz, kiedy tamtejsze dzieciaki spróbowały osiągnąć moich słabości, a rządziłem nimi bardzo długo. Ale one się nie buntowały. Byłem ich królem, królem dzieciaków. Moja władza była jednak ograniczona. Kiedy pojawiał się ktoś w moim wieku albo mieszkający dalej w dolinie, przestawała obowiązywać. Uważnie więc dobieierałem sobie ludzi, zarówno wtedy, jak i teraz.

Na moment postawiłem torby na drodze, rozpiąłem kurtkę i wyciągnąłem szalik. Obwiązałem nim twarz, znów chwyciłem torby i poszedłem dalej. Wiatr świszcział, zewsząd podrywając śnieg, rzucając nim i kręcąc w powietrzu. Do Jana Vidara były cztery kilometry, więc musiałem się pospieszyć. Zacząłem biec truchtem. Torby zwisały mi z rąk jak dwa obciążniki. Na drodze za zakrętem pojawiły się światła samochodu. Przecięły las. Rosnące tam drzewa jakby zafalowały, jedno po drugim. Zatrzymałem się, stanąłem jedną nogą na krawędzi rowu i ostrożnie ułożyłem w nim torby. Szedłem dalej. Odwróciłem głowę, kiedy samochód mnie mijał. Za kierownicą siedział nieznajomy starszy mężczyzna. Zawróciłem te dwadzieścia metrów, zabrałem torby z rowu i znów ruszyłem, minąłem zakręt oraz dom samotnego staruszka i wyszedłem na równinę, skąd mogłem zobaczyć światła fabryki, wełniste w gęstym śniegu. Minąłem małą, zrujnowaną chałupę, tego wieczoru pogrążoną w ciemności, i prawie dotarłem do ostatniego domu przed skrzyżowaniem z główną szosą, kiedy pojawił się następny samochód. Zrobiłem to samo co poprzednio i pomaszero wałem z pustymi rękami. Również tym razem nie był to Gunnar. Kiedy auto przejechało, pobiegłem z powrotem, zabrałem butelki i jeszcze przyspieszyłem. Było już wpół do ósmej. W pośpiechu prawie dotarłem do głównej drogi, gdy nadszedły kolejne trzy samochody. Znów odłożyłem torby. Niech to będzie Gunnar, pomyślałem, bo gdyby w końcu mnie minął, nie musiałbym już się zatrzymywać i chować piw przed każdym autem. Dwa samochody pojechały dalej przez most, trzeci skręcił koło mnie. Ale to też nie był Gunnar. Zabrałem torby, wyszedłem na główną szosę i idąc nią, minąłem przystanek, stary wiejski sklep, warsztat samochodowy i stare domy mieszkalne, wszystko skąpane w

światło, wszystko zawiane, wszystko wyludnione. Prawie na samym szczycie długiego, łagodnego zbocza dostrzegłem światła kolejnego samochodu. Tu nie było już rowu, musiałem więc zostawić torby w zaspie usypanej przez pług, a ponieważ pozostawały widoczne, natychmiast się od nich oddalić.

Kiedy samochód mnie mijał, zająłem do środka. Tym razem zobaczyłem Gunnara. On w tej samej chwili odwrócił głowę i kiedy mnie rozpoznał, zaczął hamować. Podrywając za sobą ogon wirującego śniegu, czerwonego w światłach stopu, samochód powoli wytracał prędkość, sunąc z góry, a kiedy dwadzieścia metrów dalej nareszcie się zatrzymał, zaraz zaczął się cofać. Silnik zajęczał.

Auto zatrzymało się tuż przy mnie i Gunnar otworzył drzwi.

– To ty łazisz przy takiej pogodzie?! – zdumiał się.

– Tak, okropna.

– A dokąd się wybierasz?

– Na imprezę.

– Wskakuj, to cię podrzucę.

– Nie, nie trzeba – powiedziałem. – To już niedaleko. Dam sobie radę.

– Nie, nie – protestował Gunnar. – Wskakuj.

Pokręciłem głową.

– Przecież wy i tak jesteście spóźnieni. Już po wpół do ósmej.

– Nic nie szkodzi – upierał się Gunnar. – Wsiadaj, przecież jest sylwester i w ogóle. Nie musisz marznąć. Odwieziemy cię. End of discussion.

Nie mogłem dłużej protestować, bo wydałoby się to podejrzanym.

– Wobec tego dobrze. Miło z twojej strony.

Tylko prychnął w odpowiedzi.

– Wskakuj z tyłu. I mów, jak mam jechać.

Otworzyłem drzwiczki i usiadłem na tylnym siedzeniu. W środku było ciepło i przyjemnie. Harald, ich prawie trzyletni synek, siedział w dziecięcym foteliku i obserwował mnie w milczeniu.

– Cześć, Harald – uśmiechnąłem się do niego.

Tove, siedząca z przodu, odwróciła się.

– Cześć, Karl Ove – powiedziała. – Miło cię widzieć.

– Cześć. I wszystkiego dobrego z okazji świąt.

– No to jedziemy – powiedział Gunnar. – Zakładam, że musimy zawrócić.

Kiwnąłem głową.

Dojechaliśmy do przystanku, zawróciliśmy i znów ruszyliśmy pod górę. Kiedy mijaliśmy miejsce, w którym zostawiłem torby, nie mogłem się powstrzymać i nachyliłem się, żeby je

wypatrzeć. Leżały.

– Dokąd się wybierasz? – spytał Gunnar.

– Najpierw po kolegę do Solsletty. A potem do Søm na imprezę.

– Mogę was zawieźć aż tam, jeśli chcesz – zaproponował.

Tove popatrzyła na niego.

– Nie, nie ma takiej potrzeby. Poza tym jesteśmy umówieni z innymi w autobusie.

Gunnar był o dziesięć lat młodszy od mojego ojca i pracował jako rewident w dużej firmie w mieście. Jako jedyny z synów poszedł w ślady swojego ojca; dwaj pozostali byli nauczycielami. Tata w liceum w Vennessli, Erling w gimnazjum w Trondheim. Tylko w stosunku do Erlinga używaliśmy dla zabawy określenia stryjek, był bardziej luzacki i nie tak żądny prestiżu jak dwaj pozostali. W okresie dorastania niezbyt często mieliśmy kontakt z braćmi ojca, ale bardzo ich lubiliśmy, bo obaj lubili żartować, zwłaszcza Erling, lecz również Gunnar, do którego z Yngvem czuliśmy najwięcej sympatii, może dlatego że był stosunkowo najbliższy nam wiekiem. Nosił długie włosy, grał na gitarze, no i przede wszystkim miał domek letniskowy pod Mandal, gdzie w okresie naszego dorastania często pomieszkiwał latem, i łódź z dwudziestokonnym silnikiem Mercury. Kolegów, o których nam opowiadał, w moim umyśle otaczała aura tajemniczości, ponieważ mój ojciec nie miał żadnych kolegów, a poza tym w zasadzie nigdy ich nie widywaliśmy; na spotkania ze swoimi kolegami Gunnar wyprawiał się łodzią, a ja wyobrażałem sobie, jak z długimi, jasnymi włosami powiewającymi na wietrze i opalonymi, uśmiechniętymi twarzami za dnia pływają między wyspami i wysepkami w motorówkach wyścigowych, wieczorami grają w karty, a nocą na gitarze, wtedy pojawiają się również dziewczyny.

Ale teraz Gunnar się ożenił, urodziło mu się dziecko i chociaż wciąż miał łódź, ta aura nadmorskiego romantyzmu zniknęła. Długie włosy także. Tove, bo tak miała na imię jego żona, pochodziła z rodziny policjanta gdzieś z Trøndelag i była nauczycielką w podstawówce.

– Miło spędziliście święta? – spytała, odwracając się do mnie.

– Owszem.

– Słyszałem, że Yngve przyjechał do domu? – włączył się Gunnar.

Yngve był jego ulubieńcem, z pewnością dlatego że urodził się pierwszy i dużo czasu spędzał u dziadków, kiedy Gunnar jeszcze z nimi mieszkał. Ale prawdopodobnie również z tego powodu, że Yngve nie był taki słaby i w dzieciństwie nie płakał tak często jak ja. Z Yngvem Gunnarowi było wesoło. Dlatego spotykając się z nimi, próbowałem do nich dołączyć, starałem się dużo żartować, opowiadać dowcipy, by w ten sposób pokazać, że jestem równie beztroski z natury jak oni, tak samo gotów do zabawy, że tak samo jestem sørlandczykiem jak oni.

– Ale już kilka dni temu wyjechał – odparłem. – Wybierał się do jakiegoś schroniska z kolegami.

– Tak. Zrobił się z niego arendalczyk – stwierdził Gunnar.

Minęliśmy dom modlitwy, przejechaliśmy przez zakręt przy wąwozie, do którego nigdy nie docierało słońce, a później przez mostek. Wycieraczki waliły w szybę. Nawiew szumiał. Obok mnie siedział Harald, któremu zamykały się oczy.

– U kogo ma być ta impreza? – spytał Gunnar. – U kogoś z twojej klasy?

– U dziewczyny z równoległej.

– Tak, tak, wszystko się zmienia, kiedy człowiek zaczyna chodzić do liceum.

– Ty też kończyłeś Katedralną, prawda?

– No przecież. – Odwrócił głowę na tyle, żeby spojrzeć mi w oczy, i szybko przeniósł wzrok z powrotem na drogę. Twarz miał pociągłą i wąską, tak jak mój ojciec, ale błękit oczu ciemniejszy, bardziej podobny do koloru oczu dziadka niż babci. Tył głowy duży, jak dziadka i mój, ale wargi delikatne, właściwie mówiące więcej o jego wnętrzu niż oczy, takie same jak taty i Yngvego.

Wyjechaliśmy na równinę i światła reflektorów, które do tej pory obijały się o drzewa, skały, ściany domów i zbocza, nareszcie zyskały więcej przestrzeni przed sobą.

– To na końcu równiny – wyjaśniłem. – Możesz się zatrzymać tam, przy sklepie.

– Dobrze. – Gunnar zwolnił i zahamował.

– No to trzymajcie się – powiedziałem. – I szczęśliwego Nowego Roku.

– Tobie też – rzucił Gunnar.

Trzasnąłem drzwiczkami i ruszyłem w stronę domu Jana Vidara, a samochód zawrócił i pojechał z powrotem tą samą drogą. Kiedy zniknął mi z oczu, puściłem się biegiem. Teraz już naprawdę mieliśmy bardzo mało czasu. Przeskoczyłem na teren posesji, zobaczyłem, że w pokoju Jana Vidara się świeci, podszedłem i zapukałem w szybę. Sekundę później w oknie ukazała się jego twarz, zmrużonymi oczami wpatrywał się w ciemność. Pokazałem, że ma podejść do drzwi. Kiedy wreszcie mnie zobaczył, kiwnął głową, a ja okrążyłem dom.

– Bardzo mi przykro – powiedziałem – ale piwa leżą przy Krageboen. Musimy się pospieszyć i je stamtąd zabrać.

– A co one tam robią? – spytał. – Dlaczego ich nie przyniosłeś?

– Przejeżdżał mój stryj, kiedy szedłem do ciebie, ledwie zdążyłem zostawić je na poboczu, zanim się zatrzymał. Cholera, uparł się, że mnie do ciebie podrzuci. Nie mogłem odmówić, bo nabrałby podejrzeń.

– O nie! – jęknął Jan Vidar. – Ale niefart!

– Cholera, no właśnie. Ale chodź już, musimy się spieszyć.

Kilka minut później wdrapywaliśmy się po zboczu do drogi. Jan Vidar naciągnął czapkę

na czoło, szalikiem zakrył usta i podniósł kołnierz kurtki, tak żeby zasłaniał policzki. Jedynym widocznym fragmentem jego twarzy były oczy, a i te ledwo, bo jego okrągłe okulary lenonki zaparowały, jak się zorientowałem, kiedy na mnie spojrzał.

– Trzeba dodać gazu – powiedziałem.

– Chyba tak.

Przygarbieni, ciągnąc nogi za sobą, żeby nie zużyć od razu wszystkich sił, zaczęliśmy biec drogą. Na równinie mieliśmy pod wiatr. Przedzieraliśmy się przez zawieję. Z moich prawie zupełnie zaciśniętych oczu płynęły łzy. Stopy zaczynały mi drętwieć, nie dostosowywały się do tego, co robiłem, tylko tkwiły w butach sztywne jak kołki.

Minął nas jakiś samochód, objawiając beznadziejność naszej wędrówki, gdy kilka chwil później zniknął za zakrętem na końcu równiny.

– Może trochę zwolnimy! – zawołał Jan Vidar.

Kiwnąłem głową.

– Mam tylko nadzieję, że te torby ciągle tam leżą – powiedziałem.

– Co mówisz?

– Torby. Mam nadzieję, że nikt ich nie zabrał.

– Przecież, do cholery, nikt o tej porze tędy nie chodzi.

Roześmialiśmy się. Doszliśmy do końca równiny i znów zaczęliśmy biec. Pod górę, obok zwirowej drogi, prowadzącej do dziwnego domu przypominającego dwór, później przez mostek, obok wąwozu, zrujnowanego warsztatu, domu modlitwy i pomalowanych na biało małych domków z lat pięćdziesiątych po obu stronach, aż wreszcie dotarliśmy do miejsca, w którym odłożyłem torby. Każdy wziął po jednej i ruszyliśmy z powrotem.

Kiedy znów dotarliśmy do domu modlitwy, usłyszeliśmy samochód za plecami.

– Łapiemy stopa? – spytał Jan Vidar.

– Czemu nie?

Ściskając w lewych rękach torby, a prawe z uniesionym kciukiem wystawiając na drogę, przystanęliśmy, uśmiechając się do nadjeżdżającego samochodu. Nawet nie zmienił długich świateł. Ruszyliśmy dalej.

– Co zrobimy, jeśli nie złapiemy stopa? – spytał Jan Vidar po pewnym czasie.

– Złapiemy.

– Przecież przejeżdżają dwa samochody na godzinę.

– A masz jakąś lepszą propozycję, skoro pytasz?

– Nie wiem – powiedział. – Ale do Richarda miało przyjść trochę ludzi.

– Daj spokój, do diabła!

– Stig i Liv też siedzą w Kjevik razem z jakimiś znajomymi, tam też moglibyśmy spróbować.

– Przecież umówiliśmy się na Søm, prawda? Nie możesz teraz zacząć wymyślać miejsc, w których moglibyśmy spędzić sylwestra! Przecież sylwester już jest!

– Owszem, a my jesteśmy na szosie. To takie fajne?

Za nami nadjeżdżał kolejny samochód.

– Zobacz, jedzie jeszcze jeden.

Nie zatrzymał się.

Kiedy znów stanęliśmy naprzeciwko domu Jana Vidara, było wpół do dziewiątej. Nogi mi zmarzły, przez krótką chwilę mało brakowało, a zaproponowałbym, żebyśmy zostawili te piwa, poszli do niego i spędzili sylwestra z jego rodzicami. Lutefisk i oranżada, lody, ciastka i fajerwerki. Przecież zawsze tak było. Popatrzyłem na niego i zrozumiałem, że i jemu ta myśl przyszła do głowy. Ale szliśmy dalej. Minęliśmy osiedle, później drogę do kościoła i zakręt, aż dotarliśmy do skupiska kilku domów, gdzie mieszkał między innymi Kåre z naszej klasy.

– Myślisz, że Kåre gdzieś poszedł? – spytałem.

– Nie myślę, wiem – odparł Jan Vidar. – Jest u Richarda.

– Kolejny powód, żeby tam nie iść.

Kåre właściwie ani mnie grzał, ani ziębił. Miał wielkie, odstające uszy, grube wargi, cienkie, piaskowożółte włosy i pełne złości oczy. Prawie zawsze się wściekał, ale pewnie miał ku temu powody. Tego lata, kiedy zacząłem chodzić tam do szkoły, leżał w szpitalu z połamanymi żebrami i pękniętym nadgarstkiem. Razem z ojcem pojechał do miasta po materiały budowlane, między innymi po jakieś płyty, które ułożyli na przyczepce, ale nie umocowali ich porządnie, więc kiedy dotarli do mostu Varodd, ojciec kazał Kåremu usiąść w przyczepce i przytrzymać ładunek. Kåre spadł razem z płytami i porządnie się potłukł. Śmialiśmy się z tego przez całą jesień i wciąż była to pierwsza rzecz, o jakiej się myślało na widok Kårego.

Miał teraz motorower i zaczął się trzymać razem z innymi motocyklistami.

Po drugiej stronie zakrętu mieszkała Liv, która zawsze podobała się Janowi Vidarowi. Ja umiarkowanie ją lubiłem. Miała zgrabne ciało, ale jednocześnie coś chłopięcego w poczuciu humoru i sposobie bycia, co zdawało się niwelować piersi i biodra. Poza tym raz, kiedy siedziałem za nią w autobusie, zaczęła jak szalona wymachiwać rękami do innych dziewczyn, aż w końcu powiedziała: „Paskudne są te jego ręce, takie długie”. Kiedy nie doczekała się spodziewanej reakcji, ponieważ dziewczyny, do których się zwracała, gapiły się na mnie, ona również odwróciła się w moją stronę i zaczerwieniła tak, jak jeszcze nigdy nie widziałem, rozwiewając wszelkie wątpliwości co do tego, czyje ręce uważała za takie ohydne.

Dalej była świetlica, później krótkie, ale strome zejście do sklepu i zaraz zaczynała się

rozległa równina, Ryensletta, kończąca się terenem lotniska.

– Chyba zapalę – stwierdziłem, ruchem głowy wskazując na przystanek po drugiej stronie świetlicy. – Postoimy tam trochę?

– Zapal sobie – powiedział Jan Vidar. – Przecież jest sylwester.

– No to może napijemy się też piwa?

– Tutaj? A po co?

– Zły jesteś czy jak?

– Zły jak zły.

– Przestań! – Zdjąłem z ramienia torbę, znalazłem w niej zapalniczkę i paczkę papierosów, otworzyłem ją i osłaniając dłonią płomień od wiatru, zapaliłem.

– Masz ochotę? – spytałem, podsuwając paczkę Janowi Vidarowi.

Pokręcił głową.

Rozkaszałem się, dym jakby przykleił się do górnej części gardła, wywołując odruch wymiotny.

– O cholera! – zakląłem.

– Smakuje ci?

– Zwykle nie kaszlę – odparłem. – Ale zakrztusiłem się dymem. Przecież umiem palić.

– Jasne – powiedział Jan Vidar. – Wszyscy, którzy palą, krztuszą się dymem i kaszlą. Wiadoma sprawa. Moja mama pali od trzydziestu lat, ale za każdym razem krztusi się dymem i kaszle.

– Cha, cha, ale śmieszne!

Z ciemności na zakręcie wyłoniło się auto. Jan Vidar zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę z wystawionym kciukiem. Samochód się zatrzymał! Jan Vidar podszedł i otworzył drzwiczki. Potem odwrócił się i kiwnął na mnie. Cisnąłem papierosa, zarzuciłem torbę na plecy, chwyciłem piwa i podszedłem. Z samochodu wysiadła Susanne, nachyliła się, szarpnęła za uchwyt i pchnęła siedzenie do przodu. Popatrzyła na mnie.

– Cześć, Karl Ove – powiedziała.

– Cześć, Susanne.

Jan Vidar już wciskał się w ciemność samochodu. Butelki w torbie zabrzęczały.

– Chcesz schować torbę do bagażnika? – spytała Susanne.

– Nie, zmieścimy się.

Usadowiłem się z piwami włożonymi między nogi. Susanne też wsiadła. Terje za kierownicą odwrócił głowę i popatrzył na mnie.

– Łapiecie stopa w sylwestra? – spytał.

– No... – Jan Vidar powiedział to takim tonem, jakby uważał, że to właściwie nie jest autostop. – Po prostu cholernie nam się dzisiaj nie poszczęściło.

Terje wrzucił bieg, koła zabuksowały, zanim dogoniły silnik, i zjechaliśmy na równinę.

– Dokąd się wybieracie, chłopcy? – spytał.

C h ł o p c y .

Cholerny idiota!

Jak mógł nosić trwałą i uważać, że fajnie wygląda? Chciał uchodzić za twardziela z tymi wąsami i trwałą?

Urośnij. Zrzuć dwadzieścia kilogramów. Zgol wąsy. Obetnij włosy. Wtedy będziesz mógł się pokazać.

Jak Susanne mogła z nim chodzić?

– Jedziemy do Søm na imprezę – odpowiedziałem. – A wy dokąd się wybieracie?

– My tylko do Hamre – odparł. – Na sylwestra u Helgego. Ale możemy podrzucić was do krzyżówki w Timenes, jeśli chcecie.

– Świetnie – powiedział Jan Vidar. – Bardzo dziękujemy.

Zerknąłem na niego. Ale on wyglądał przez okno i nie zauważył mojego spojrzenia.

– Kto będzie u Helgego? – spytał.

– Ta sama banda co zawsze – odrzekł Terje. – Richard, Ekse, Molle, Jøgge, Hebbe, Tjådi. I jeszcze Frode, John, Jomås i Bjørn.

– Żadnych dziewczyn?

– No jasne, że będą. Masz nas za głupków?

– A które?

– Kristin, Randi, Kathrine, Hilde... Inger, Ellen, Anne Kathrine, Rita, Vibecke... A co, masz ochotę iść z nami?

– Przecież idziemy na inną imprezę – powiedziałem, zanim Jan Vidar zdążył się odezwać. – Zaczyna się robić naprawdę późno.

– Na pewno, jeśli macie zamiar dalej jechać stopem – stwierdził Terje.

Przed nami ukazały się światła lotniska. Po drugiej stronie rzeki, którą za moment przejechaliśmy, poniżej szkoły, znajdowała się nieduża górka z wyciągiem narciarskim, skąpana w świetle. Śnieg wyglądał na pomarańczowy.

– Jak ci idzie w szkole handlowej, Susanne? – spytałem.

- Dobrze – odpowiedziała, nie odwracając się. – A tobie w Katedralnej?
- W porządku.
- Chodzisz do klasy z Mollem, prawda? – Terje zerknął na mnie przelotnie.
- Zgadza się.
- To ta klasa, w której jest dwadzieścia sześć dziewczyn?
- Tak.
- Roześmiał się.
- Niezłe imprezy klasowe, co?

Po jednej stronie drogi pojawiło się pole kempingowe, przysypane śniegiem i opuszczone, po drugiej – mały dom modlitwy, supermarket i stacja benzynowa Esso. Powietrze nad dachami domów, stojących gęsto na płaskowyżu, wypełniały błyski fajerwerków. Gromadka dzieciaków stała na parkingu wokół pniaka, który wypluwał niewielkie kulki światła, eksplodujące iskrami. Kilka samochodów jechało wolno jeden za drugim szosą, która na pewnym odcinku biegła równoległe do naszej. Po drugiej stronie była plaża. Zatokę pokrywała biała warstwa lodu, w którym sto metrów dalej pojawiały się czarne szczeliny.

- Która właściwie jest godzina? – spytał Jan Vidar.
- Wpół do dziesiątej – odparł Terje.
- Cholera! Nawet nie zdążymy się upić przed północą – westchnął Jan Vidar.
- Musicie być w domu na dwunastą?
- Cha, cha, ale śmieszne! – powiedział Jan Vidar.

Kilka minut później Terje zatrzymał samochód na przystanku przy krzyżówce w Timenes i wysiedliśmy. Stanęliśmy pod daszkiem wiaty z naszymi torbami.

- Autobus miał chyba jechać dziesięć po ósmej? – spytał Jan Vidar.
- Zdaje się, że tak – odpowiedziałem. – Ale może się spóźni?
- Roześmialiśmy się.

- Niech to cholera! Możemy przynajmniej napić się piwa! – zaproponowałem.

Nie potrafiłem otworzyć butelki zapalniczką, więc podsunąłem ją Janowi Vidarowi. Bez słowa ściągnął kapsle z dwóch butelek i podał mi jedną.

– Ale dobre! – Wytarłem usta grzbietem dłoni. – Jeśli teraz wypijemy po dwa albo trzy, to będziemy mieć podkładkę na później.

- Cholernie mi zmarzły nogi – poskarżył się Jan Vidar. – A tobie?
- Mnie w zasadzie też.

Przyłożyłem butelkę do ust i piłem tak długo, jak zdołałem. Kiedy ją odjąłem, na dnie

została tylko odrobina. Brzuch miałem pełny piwa i gazu. Próbowałem beknąć, ale powietrze się nie wydostało, tylko trochę piany spłynęło mi z powrotem do ust.

– Otworzysz jeszcze jedno? – spytałem.

– O rany, pewnie. Ale wiesz, nie możemy tu stać cały wieczór.

Zdjął kapsel z kolejnej butelki. Przyłożyłem ją do ust i w skupieniu zamknąłem oczy. Udało mi się wlać w siebie trochę ponad połowę. Znów odbiło mi się pianą.

– Niech to szlag – powiedziałem. – Niedobrze jest pić tak szybko.

Droga, przy której staliśmy, była główną arterią łączącą miasta na południu kraju. Zwykle pełną samochodów. Ale w ciągu tych dziesięciu minut przejechały zaledwie dwa, oba w stronę Lillesand.

W powietrzu pod jasno świecącymi latarniami kotłowały się drobinki śniegu. Wiatr, który dzięki nim stawał się widoczny, wznosił się i opadał jak fale, czasami powoli i prosto, za chwilę ostro wirując. Jan Vidar uderzał nogą o nogę, najpierw lewą o prawą, potem prawą o lewą.

– Napij się – zaproponowałem. Wlałem w siebie drugą połowę, pustą butelkę rzuciłem w las za wiatą. – Jeszcze jedną.

– Zaraz się porzygasz – stwierdził Jan Vidar. – Spokojnie.

– Przestań. Dawaj jeszcze jedno. Przecież już prawie dziesiąta, do jasnej cholery.

Otworzył kolejną butelkę.

– Co my zrobimy? – spytał. – Za daleko, żeby iść piechotą. Autobus już pojechał. Nie ma samochodów, żeby złapać stopa, w pobliżu nie ma nawet telefonu, żebyśmy mogli po kogoś zadzwonić.

– Umrzemy tutaj.

– Hej! – zawołał nagle Jan Vidar. – Jedzie jakiś autobus! To ten z Arendal!

– Wygłupiasz się? – Przeniosłem wzrok na wzgórze. Nie wygłupiał się, bo zza zakrętu na szczycie wyłaniał się duży, piękny autobus.

– Dalej, wyrzuć tę butelkę! – powiedział Jan Vidar. – I ładnie się uśmiechaj.

Wyciągnął rękę. Autobus mrugnął światłami, zatrzymał się, kierowca otworzył drzwi.

– Dwa do Søm – poprosił Jan Vidar, podając mu setkę. Zajrzałem do środka. Autobus był ciemny i całkiem pusty.

– Wstrzymajcie się z piciem tego, co tam macie. – Kierowca wycisnął resztę z pudełka z przegródkami. – W porządku?

– Jasne – odpowiedział Jan Vidar.

Usiedliśmy mniej więcej na środku. Jan Vidar oparł się i wcisnął stopy w płytę osłaniającą drzwi.

– Ach, jak cudownie! – powiedziałem. – Ciepło i dobrze.

– Mhm.

Nachyliłem się i zacząłem rozwiązywać buty.

– Masz adres tej naszej imprezy? – spytałem.

– Elgstien ileś tam. Ale mniej więcej wiem, gdzie to jest.

Wyjąłem stopy z butów i roztarłem je rękami. Kiedy dotarliśmy do małej, bezobsługowej stacji benzynowej, która tam stała, odkąd sięgałem pamięcią, i zawsze była znakiem, że zbliżamy się do Kristiansand, gdy z Arendal jeździliśmy w odwiedzinach do dziadków, znów włożyłem buty i zawiązałem sznurówki. Uporałem się z tym akurat w chwili, gdy autobus zjechał na przystanek przy moście Varodd.

– Szczęśliwego Nowego Roku! – zawołał Jan Vidar do kierowcy i wyskoczył za mną w ciemność.

Chociaż przejeżdżałem tędy nie wiadomo ile razy, moja noga nigdy nie postąpiła tu inaczej niż we śnie. Most Varodd był jednym z miejsc, które śniły mi się najczęściej. Zazwyczaj stałem tylko u jego podstawy i patrzyłem na przęsło, wznoszące się wysoko nade mną, ale czasami na niego wchodziłem. Zwykle wtedy balustrada zniknęła i musiałem siadać na jezdni, próbując znaleźć coś, czego mógłbym się przytrzymać, albo też most nagle się łamał, a ja nieubłaganie ześlizgiwałem się ku krawędzi. Kiedy byłem młodszy, tę funkcję w moich snach spełniał most na wyspę Tromøya. Teraz zastąpił go most Varodd.

– Mój ojciec był na otwarciu – powiedziałem, skinieniem głowy wskazując most, kiedy przeszliśmy przez drogę.

– Miał szczęście – stwierdził Jan Vidar.

W milczeniu dreptaliśmy w stronę osiedla. Zwykle roztaczał się stąd fantastyczny widok, dało się zobaczyć Kjevik i fiord wcinający się w głąb lądu z jednej strony, a rozległe morze z drugiej. Ale tego wieczoru było czarno jak w grobie.

– Chyba wiatr trochę ucichł – odezwałem się po jakimś czasie.

– Na to wygląda. – Jan Vidar spojrzał na mnie. – Czujesz w ogóle te piwa, które wypieś?

– Nie, kompletnie nic. Poszły na zmarnowanie.

Szliśmy naprzód, a wokół nas pojawiało się coraz więcej domów. Niektóre puste, czarne, w innych pełno było odświeżnie ubranych ludzi. Tu i ówdzie na tarasach puszczano race. W jednym miejscu gromadka dzieci wymachiwała zimnymi ogniami. Znów zaczęły mi marznąć nogi. Palce dłoni, w której nie trzymałem torby, zwinąłem w rękawiczce, ale nie bardzo się dzięki temu rozgrzały. Jednak według Jana Vidara byliśmy już niedaleko. Chwilę później zatrzymał się na skrzyżowaniu.

– Mamy Elgstien tam – pokazał. – I tam. I jeszcze tam i tam. Możesz wybierać. W którą stronę idziemy?

– Aż cztery drogi nazywają się Elgstien?

– Najwyraźniej. Tylko którą wybrać? Wykorzystaj teraz swoją kobiecą intuicję.

Kobiecą? Dlaczego tak powiedział? Uważał, że jestem kobiecy?

– No, dalej, Karl Ove! – ponaglił. – Którędy idziemy?

Wskazałem na prawo. Ruszyliśmy w tamtą stronę. Mieliśmy znaleźć numer trzynaście. Pierwszy dom miał numer dwadzieścia trzy, a następny dwadzieścia jeden, więc byliśmy na właściwym tropie.

Kilka minut później staliśmy już przed szukanym domem. Zbudowano go w latach siedemdziesiątych i sprawiał wrażenie nieco zaniedbanego. Drogi do wejścia najwyraźniej nie odśnieżano od dawna, świadczyły o tym układające się w ścieżkę ślady kogoś, kto zapadał się po kolana.

– Jak się nazywa ten chłopak, który urządza imprezę? – spytałem, kiedy zatrzymaliśmy się przed wejściem.

– Jan Ronny. – Jan Vidar zadzwonił do drzwi.

– Jan Ronny? – powtórzyłem.

– Tak ma na imię.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich najpewniej gospodarz. Miał krótkie jasne włosy, pryszczki na policzkach i u nasady nosa, złoty łańcuszek na szyi, czarne dżinsy, flanelową koszulę i białe tenisowe skarpetki. Z uśmiechem wskazał na brzuch Jana Vidara.

– Jan Vidar – powiedział.

– Zgadza się – potwierdził Jan Vidar.

– A ty jesteś... – wskazał na mnie palcem – Kai Olav!

– Karl Ove – poprawiłem.

– *What the fuck*. Wchodźcie! Siedzimy tutaj!

Rozebraliśmy się w przedpokoju i zesłaliśmy za nim po schodach do suterenu. Siedziało tam pięć osób. Oglądały telewizję. Na stojącym przed nimi stole znajdowało się pełno butelek piwa, misek z chipsami, paczek papierosów i opakowań tytoniu. Na kanapie siedział Øyvind, obejmując swoją dziewczynę Lene, która chodziła dopiero do siódmej klasy, ale była ładna, a poza tym tak wyzywająca, że często zapominało się o różnicy wieku. Øyvind uśmiechnął się na nasz widok.

– Cześć – powiedział. – Fajnie, że przyszlście.

Przedstawił nas pozostałym. Runemu, Jensowi i Ellen. Rune chodził do dziewiątej klasy, Jens i Ellen do ósmej, natomiast Jan Ronny, kuzyn Øyvinda, był w szkole zawodowej, w klasie o profilu maszynowo-mechanicznym. Nikt się nie wystroił. Nikt nie włożył nawet białej koszuli.

– Co oglądacie? – spytał Jan Vidar, siadając na kanapie i wydając piwo. Ja stanąłem przy ścianie, pod niskim okienkiem, z zewnątrz całkowicie przysypanym śniegiem.

– Film z Bruce’em Lee – wyjaśnił Øyvind. – Już się kończy. Ale mamy też *Wieczór kawalerski* i film o Brudnym Harrym. No i Jan Ronny ma sporo własnych. A co byście chcieli oglądać, bo nam wszystko jedno?

Jan Vidar wzruszył ramionami.

– Mnie też. A ty co na to, Karl Ove?

Również wzruszyłem ramionami.

– Jest tu jakiś otwieracz? – spytałem.

Øyvind nachylił się, wziął ze stołu zapalniczkę i rzucił mi. Ale ja nie umiałem otwierać butelek zapalniczką. Nie mogłem też poprosić o pomoc Jana Vidara, bo to by było za bardzo pedalskie.

Wyjąłem butelkę z torby, włożyłem szyjkę między zęby, przesunąłem ją tak, żeby kapsel znalazł się dokładnie nad trzonowcem, i zacisnąłem szczęki. Kapsel odskoczył z sykiem.

– Nie rób tak – odezwała się Lene.

– Wszystko okej.

Wypiłem piwo duszkiem. Ale oprócz gazu, który tak wypełnił mój brzuch, że musiałem przełykać, kiedy mi się odbijało, znów nic nie poczułem. A kolejnego piwa nie dałbym rady wypić na raz.

Stopy mnie rozbolały, kiedy zaczęły się rozgrzewać.

– Ktoś ma coś mocniejszego? – spytałem.

Pokręcili głowami.

– Tylko piwo, niestety – powiedział Øyvind. – Ale możemy cię poczęstować, jeśli masz ochotę.

– Przyniosłem własne, dzięki.

Øyvind uniósł butelkę do góry.

– Chluśniem, bo uśniem!

– Chluśniem, bo uśniem – powtórzyli pozostali, stukając się szyjkami butelek z głośnym śmiechem.

Wyciągnąłem z torby papierosy, zapaliłem. Pall malle light nie były najmocniejszym gatunkiem i stojąc z całkiem białym papierosem, który nawet filtr miał biały, żałowałem, że nie kupiłem prince’ów. Ale dla mnie i tak najważniejsza była ta impreza, na którą mieliśmy iść po dwunastej, ta urządzana przez Irene z mojej klasy, a tam pall malle light z pewnością będą się wyróżniać. Poza tym tę markę palił Yngve, w każdym razie ten jeden raz, kiedy któregoś wieczoru widziałem go z papierosem w ogrodzie, gdy rodzice pojechali do Alfa, stryja taty.

Trzeba było otworzyć kolejną butelkę. Nie chciałem znów robić tego zębami, bo coś mi mówiło, że prędzej czy później to się źle skończy, ząb w końcu nie wytrzyma i się złamie. A teraz, kiedy już pokazałem, że umiem to robić, może nie będzie aż takie pedalskie, jeśli

Jan Vidar mi otworzy.

Podszedłem do niego, wziąłem trochę chipsów z miseczki na stole.

– Otworzysz mi?

Kiwnął głową, nie odrywając oczu od filmu.

Przez ostatni rok uprawiał kick boxing, cały czas o tym zapomniałem i za każdym razem, kiedy zapraszał mnie na jakieś zawody czy coś podobnego, byłem tak samo zaskoczony. I oczywiście zawsze odmawiałem. Ale teraz na ekranie był Bruce Lee, cały film polegał na walce, a Jan Vidar przecież się tym interesował.

Z butelką w ręku wróciłem na swoje miejsce pod ścianą. Nikt się nie odezwał, ale w końcu Øyvind na mnie spojrział.

– Siadaj, Karl Ove!

– Dobrze mi się tu stoi.

– No to przynajmniej wypijmy. – Uniósł butelkę. Zrobiłem dwa kroki i stuknąłem się z nim.

– Chłup w ten głupi dziób. – Jabłko Adama przesunęło mu się jak stempel, kiedy opróżnił butelkę.

Øyvind był wysoki jak na swój wiek i niezwykle mocno zbudowany. Miał ciało dorosłego mężczyzny. Był również miły i nie za bardzo przejmował się tym, co się wokół niego działo, a raczej zawsze przyjmował to ze spokojem. Jakby był z natury odporny na świat. Grał z nami na perkusji, okej, mógł grać. Chodził z Lene, okej, mógł z nią chodzić. Niewiele z nią rozmawiał, raczej ciągał ją po swoich kumplach, ale ona nie miała nic przeciwko temu, chciała być z nim bardziej niż z kimś innym. Sam parę miesięcy temu podjąłem pewną próbę, jedynie po to, żeby sprawdzić, jak się sprawy mają, ale chociaż byłem od nich o dwa lata starszy, Lene kompletnie nie okazała mi zainteresowania. To było śmieszne z mojej strony. Otoczony dziewczynami z liceum, miałbym podrywać ją? Siódmoklasistkę? Ale jej piersi nieźle się prezentowały pod T-shirtem. Wciąż miałem ochotę go zdjąć i poczuć sutki pod palcami, wszystko jedno, czy byłem licealistą, czy nie. Przecież ani jej sylwetka, ani sposób bycia nie świadczyły o tym, że ma dopiero czternaście lat.

Przyłożyłem butelkę do ust i opróżniłem ją do dna. Teraz już naprawdę nie będę miał siły na zrobienie tego jeszcze raz, pomyślałem, odstawiając ją na stół i otwierając kolejną zębami. W brzuchu mi bulgotało. Jeszcze trochę, a piana wyszłaby mi uszami. Na szczęście zbliżała się już jedenasta. O wpół do dwunastej mogliśmy stąd wyjść i resztę wieczoru spędzić na drugiej imprezie. Gdyby nie to, już dawno bym się stąd wyniósł.

Chłopak, który miał na imię Jens, nagle uniósł się na kanapie, wziął zapalniczkę ze stołu i przystawił ją sobie do tyłka.

– Teraz! – zawołał.

Pierdnął, jednocześnie zapalając zapalniczkę. Zamigotała niewielka ognista kula. Roześmiał się. Pozostali też gruchnęli śmiechem.

– Przestań! – obruszyła się Lene.

Jan Vidar się uśmiechnął; starannie unikał mojego spojrzenia. Z butelką w rękę przeszedłem do drzwi na drugim końcu pomieszczenia. Za nimi była nieduża kuchnia. Nachyliłem się nad blatem. Dom zbudowano na zboczu, więc okno wychodzące na ogród znajdowało się dość wysoko nad ziemią. Dwie sosny kołysały się na wietrze, poniżej stało kilka domów. W oknie jednego z nich zobaczyłem trzech mężczyzn i kobietę, rozmawiali z kieliszkami w rękach. Mężczyźni w czarnych garniturach, kobieta w czarnej sukni z odkrytymi ramionami. Podeszedłem do innych drzwi, otworzyłem. Prysznic. Na ścianie wisiał mokry skafander do nurkowania. To dopiero coś, pomyślałem, zamknąłem drzwi i wróciłem do pokoju. Tamci siedzieli tak jak przedtem.

– Czujesz coś? – spytał Jan Vidar.

Pokręciłem głową.

– Nie, nic. A ty?

Uśmiechnął się.

– Trochę.

– Chyba niedługo musimy iść – powiedziałem.

– A dokąd idziecie? – spytał Øyvind.

– Na skrzyżowanie. Wszyscy będą tam o dwunastej.

– No tak, ale przecież, do cholery, jest dopiero jedenasta. My też się tam wybieramy. Pójdziemy razem, do diabła. – Spojrzał na mnie. – Po co chcesz tam iść już teraz?

Wzruszyłem ramionami.

– Umówiłem się, że z kimś się tam spotkam.

– Jasne, że na was zaczekamy – powiedział Jan Vidar.

Zrobiło się wpół do dwunastej, kiedy wyruszyliśmy. Cicha dzielnica, w której pół godziny wcześniej nie było prawie ludzi, oprócz kilku postaci na jednym czy drugim tarasie albo na podjeździe, teraz zaludniła się i ożyła. Z domów wysypywali się odświętnie ubrani imprezowicze. Kobiety w płaszczach narzuconych na ramiona, w eleganckich butach na wysokich obcasach, z kieliszkami w rękach, mężczyźni w garniturach widocznych spod okryć, w lakierkach, z torbami fajerwerków. Między nimi biegały podniecone dzieci, często z syczącymi zimnymi ogniami, wypełniając powietrze okrzykami i śmiechem. Jan Vidar i ja z plastikowymi torbami z piwem szliśmy obok zwyczajnie ubranych pryszczatych gimnazjalistów, z którymi spędziliśmy ten wieczór. To znaczy nie całkiem obok. Na wypadek gdybym miał się natknąć na jakichś znajomych ze szkoły, cały czas trzymałem się o kilka kroków z przodu. Udawałem, że się rozglądam, zainteresowany raz jedną rzeczą,

raz drugą, tak by ci, którzy nas widzieli, nie mogli się domyślić, że właściwie jesteśmy razem. I w zasadzie nie byliśmy. Ja wyglądałem nieźle, byłem ubrany w białą koszulę z podwiniętymi rękawami, bo Yngve powiedział mi, że tej jesieni tak należy się nosić; pod szarym płaszczem miałem marynarkę i czarne spodnie jak od garnituru, na nogach martensy, a na nadgarstkach związane rzemyki. Włosy długie na karku, a na czubku głowy krótkie, prawie na jeża. Obraz zakłócała jedynie torba z piwem. Byłem jej natomiast boleśnie świadom. To ona wiązała mnie z tą grupą łachmytów, którzy szli za mną, kolebiąc się na boki, bo plastikowe torby z piwem nieśli wszyscy bez wyjątku.

Na skrzyżowaniu, które znajdowało się na wzgórzu i stało się miejscem zgromadzenia, ponieważ roztaczał się stąd widok na całą zatokę, panował istny chaos. Ludzie, w większości pijani, tłoczyli się i wszyscy zamierzali puszczać fajerwerki. Dookoła trzeszczało i huczało, zapach prochu wiercił w nosie, w powietrzu unosił się dym, a pod zachmurzonym niebem eksplodowała jedna kolorowa raca za drugą. Niebo drżało od świateł, jakby za chwilę miało pęknąć i się otworzyć.

Przystanęliśmy na skraju tego zamieszania. Øyvind, który miał fajerwerki, wyciągnął wielką laskę, przypominającą dynamit, i umieścił ją u swoich stóp; kołysząc się na nogach, próbował ją zapalić. Jan Vidar gadał jak najęty, jak zawsze kiedy się upił, i uśmiech nie schodził mu z twarzy. Teraz rozmawiał z Runem. Znaleźli wspólny temat, kick boxing. Okulary wciąż mu parowały, ale przestał je już co chwilę zdejmować i przecierać. Stałem kilka kroków dalej, przesuając wzrokiem po tłumie. Kiedy pierwsza raca eksplodowała, wypływając czerwone światło tuż obok mnie, drgnąłem przestraszony. Øyvind głośno zaśmiał się z radości.

– Nieźle! – zawołał. – Odpalimy od razu następną? – Nie czekając na odpowiedź, ustawił obok kolejną rakietę i podpalił. Za moment zaczęła wyrzucać z siebie kule światła, a to, że między nimi wytworzyło się coś w rodzaju rytmu, podnieciło go na tyle, że niemal gorączkowo zaczął ustawiać trzecią rakietę, aby zdążyć, zanim tamta zgaśnie.

– Cha, cha, cha – zaśmiewał się.

Obok nas upadł w zaspę mężczyzna w jasnoniebieskiej kurtce, białej koszuli i czerwonym skórzanym krawacie. Podbiegła do niego kobieta na wysokich obcasach i zaczęła go szarpać za rękę, nie dość mocno, by go podnieść, ale wystarczająco, by dać mu motywację do wstania o własnych siłach. Otrzepał się ze śniegu, patrząc wprost przed siebie, jakby przed chwilą wcale nie leżał w zaspie, lecz jedynie się zatrzymał, żeby wyrobić sobie lepszy pogląd na sytuację. Dwaj chłopcy wdrapali się na dach wiaty przystanku autobusowego, skierowali swoje rakiety ukosem w dal, podpaliли i z odchyłonymi głowami trzymali w rękach, pomimo trzasków i syków, aż wreszcie je puścili, a rakiety poderwały się kilka metrów w górę i eksplodowały z taką siłą, że wszyscy w pobliżu odwrócili się w ich stronę.

– Otworzysz mi jeszcze tę? – zawołałem do Jana Vidara.

Z uśmiechem ściągnął kapsel z butelki, którą mu podałem. Nareszcie coś poczułem, ale

nie radość ani ciemność, raczej szybko narastające otępienie zmysłów. Wypiłem, zapaliłem papierosa, spojrzałem na zegarek. Za dziesięć dwunasta.

– Jeszcze dziesięć minut – stwierdziłem.

Jan Vidar pokiwał głową i dalej rozmawiał z Runem. Zdecydowałem, że wstrzymam się z szukaniem Irene do północy. Wiedziałem, że przed dwunastą ci, którzy byli na imprezie, będą trzymać się razem, ścisnąć się i życzyć sobie szczęśliwego Nowego Roku. Znali się już wcześniej, przyjaźnili się, stanowili paczkę, przecież każdy w liceum należał do swojej paczki, a ja stałem zbyt daleko, by się do nich w takiej chwili przyłączyć. Ale po dwunastej wszystko się poluzuje. Będą się bawić i pić, nie od razu zabiorą się z powrotem, i w takim stanie, w tym lekkim rozluźnieniu, będę się mógł przypadkiem na nich natknąć, chwilę pogadać jakby od niechcienia, albo przynajmniej bez zbytniego zapału, przyczepić się do nich i wkroczyć na ich imprezę.

Ale co z Janem Vidarem? Czy będzie chciał iść ze mną? Przecież on tych ludzi nie znał. A teraz sprawiał wrażenie wręcz zadowolonego, kiedy tak stał i gadał.

No nic, musiałem go zapytać. Jeśli nie będzie chciał, to nie. W każdym razie postanowiłem, że moja noga więcej nie postanie w tej cholernej suterenie. Tyle przynajmniej wiedziałem na pewno.

Była tam.

Stała nieco wyżej, jakieś trzydzieści metrów od nas, otoczona swoimi znajomymi. Próbowałem ich policzyć, ale poza najbardziej wewnętrznym kręgiem trudno było stwierdzić, kto przyszedł z jej imprezy, a kto z innej. Miałem jednak pewność, że to co najmniej dziesięć – dwanaście osób, prawie wszystkie twarze już kiedyś widziałem. Właśnie z nimi spędzała przerwy. Do najpiękniejszych się nie zaliczała, miała niewielki drugi podbródek i trochę pucołowate policzki, chociaż nie była gruba, niebieskie oczy i jasne włosy, niewysoka, z jakiegoś powodu trochę przypominała kaczkę. Ale to wszystko było bez znaczenia, ponieważ miała w sobie coś innego, ważniejszego, a mianowicie zawsze stanowiła centrum zainteresowania. Wszędzie gdzie się pojawiała, liczyła się tylko ona i to, co miała do powiedzenia. W żaden weekend nie siedziała w domu, wychodziła na miasto albo na prywatki, chyba że spędzała czas w schronisku turystycznym w którymś ośrodku narciarskim lub w jakimś wielkim mieście. Zawsze ze swoją paczką. Nienawidziłem tych paczek. Naprawdę nienawidziłem. A kiedy wysłuchiwałem wszystkich jej opowieści o tym, co robiła ostatnio, jej także nienawidziłem.

Tego wieczoru była ubrana w granatowy płaszcz do kolan, spod którego wystawały jasnoniebieska sukienka i cieliste pończochy. Na głowie miała... tak, chyba diadem? Jak jakaś cholerna księżniczka?

Wokół mnie narastało zamieszanie. Teraz już ze wszystkich stron rozlegały się huki, wybuchy i wrzaski. I nagle z góry, jakby to sam Bóg dawał wyraz swojej radości z powodu

nadejścia Nowego Roku, zawyły syreny. Entuzjastyczne okrzyki stawały się coraz głośniejsze. Zerknąłem na zegarek. Północ.

Spojrzeliliśmy na siebie z Janem Vidarem.

– Już dwunasta! – zawołał. – Szczęśliwego Nowego Roku! – Zaczął się przedzierać w moją stronę.

No nie, cholera, miał zamiar mnie uściskać?

Nie, nie, nie!

Ale tak właśnie było. Objął mnie i przycisnął policzek do mojego policzka.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Karl Ove! – powiedział. – I dzięki za ten, co był.

– Szczęśliwego Nowego Roku.

Szczecina jego zarostu otarła się o mój gładki policzek. Jeszcze dwa razy klepnął mnie w plecy i cofnął się o krok.

– Øyvind! – zawołał, podchodząc do niego.

Dlaczego, u diabła, koniecznie musiał mnie uściskać? Po co? Przecież nigdy się nie obejmowaliśmy. Po prostu nie byliśmy z tych, którzy się obejmują. Zwyczajnie.

Ależ to wszystko gównno!

– Szczęśliwego Nowego Roku, Karl Ove! – Lene uśmiechnęła się do mnie, a ja się nachyliłem i ją uściskałem.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedziałem. – Jesteś taka ładna.

Jej twarz, która jeszcze sekundę wcześniej pasowała do innych twarzy dookoła, do wszystkiego, co się tu działo, nagle zamarła.

– Co powiedziałaś? – spytała.

– Nic. Dzięki za stary rok.

Uśmiechnęła się.

– Słyszałam, co powiedziałaś. To ja ci dziękuję.

Kiedy się odwróciła, poczułem, że mi stanął.

Cholera, jeszcze i to!

Dopiłem piwo. W torbie zostały już tylko trzy butelki. Powiniennem je oszczędzać, ale musiałem się czymś zająć, więc wyciągnąłem jedną, otworzyłem zębami i zacząłem w siebie wlewać piwo. Zapaliłem też papierosa. To były moje narzędzia, z nimi czułem się uzbrojony. W jednej ręce papieros, w drugiej butelka. Stałem i podnosiłem je do ust, najpierw jedno, potem drugie. Papieros, piwo, papieros, piwo.

Dziesięć po dwunastej poklepałem Jana Vidara po plecach, powiedziałem, że idę do znajomych i zaraz wrócę, niech na mnie czeka. Kiwnął głową, a ja zacząłem sobie torować drogę do Irene. Początkowo mnie nie zauważyła, stała odwrócona tyłem i rozmawiała z innymi.

– Cześć, Irene – powiedziałem. Ponieważ się nie odwróciła, prawdopodobnie dlatego że mój głos nie wyróżniał się dostatecznie w otaczającym nas hałasie, uznałem, że muszę poklepać ją po ramieniu. To nie było wskazane, zbyt bezpośrednie poklepanie kogoś po ramieniu nie oznacza natknięcia się na tę osobę przypadkiem, ale trudno, tak się musiało stać.

W każdym razie się odwróciła.

– Karl Ove! Co tu robisz?

– Jesteśmy na imprezie w pobliżu. Zobaczyłem cię i pomyślałem, że podejdę złożyć ci życzenia. Szczęśliwego Nowego Roku!

– Nawzajem. Dobrze się bawisz?

– Jasne. A ty?

– Pewnie.

Zapadła chwila milczenia.

– Zorganizowałaś jakąś imprezę? – spytałem.

– Tak.

– Gdzieś niedaleko?

– Tak, tam – wskazała ukosem w górę.

– W tamtym domu? – kiwnąłem głową w tę samą stronę.

– Nie, za nim. Z drogi nie widać.

– Nie mógłbym zajrzeć? Moglibyśmy trochę dłużej pogadać. Fajnie by było.

Pokręciła głową, ironicznie marszcząc nos.

– Raczej nie. To nie jest impreza klasowa.

– No wiem, ale tylko na trochę, żeby pogadać, nic więcej. Sam jestem na imprezie w pobliżu.

– No to wracaj tam. A zobaczymy się w szkole, w nowym roku.

Kompletnie mnie wymanewrowała, nie było już nic więcej do powiedzenia.

– Cieszę się, że cię spotkałem – rzuciłem tylko. – Zawsze mi się podobałaś.

Odwrociłem się i odszedłem. Z trudem przeszło mi przez gardło, że zawsze mi się podobała, bo to nie była prawda, ale przynajmniej istniała szansa, że odwrócę jej uwagę od tego, że błagałem o zaproszenie na imprezę. Teraz przynajmniej będzie myśleć, że próbowałem ją poderwać, a podrywać mogłem, bo byłem pijany. Kto nie jest pijany w sylwestra?

Cholerna pizda! Cholerna, pieprzona pizda!

Jan Vidar spojrział na mnie pytająco, kiedy do niego wróciłem.

– Nie będzie żadnej innej imprezy – oświadczyłem. – Nie pozwolili nam przyjść.

– Dlaczego? Mówiłeś, że ich znasz.

– Tylko dla zaproszonych gości. A my nie jesteśmy zaproszeni. Niech to szlag.

Jan Vidar gwizdnął.

– No to po prostu wracamy tam, gdzie byliśmy. Przecież było fajnie.

Spojrzałem na niego pustym wzrokiem i wykrzywiłem się, żeby zrozumiał, jak bardzo było fajnie. Ale nie mieliśmy wyboru. Przecież na telefon do jego ojca umówiliśmy się dopiero o drugiej. W taką noc nie mogliśmy dzwonić dziesięć po dwunastej. Znow więc w tego wietrznego sylwestra przełomu lat 1984 i 1985 szedłem przez dzielnicę willową w Søm, wyprzedzając ubraną w codzienne ciuchy grupę pryszczatych gimnazjalistów.

Dwadzieścia po drugiej ojciec Jana Vidara podjechał po nas samochodem. Czekaliśmy już gotowi. Ja, ponieważ byłem mniej pijany, usiadłem z przodu, natomiast Jan Vidar, który zaledwie przed godziną skakał po pokoju z abażurem od lampy na głowie, wsiadł do tyłu, tak jak zaplanowaliśmy. Na szczęście wcześniej zwymiotował i po wypiciu kilku szklanek wody oraz dokładnym opłukaniu twarzy pod kranem był w stanie zadzwonić do ojca i przekazać mu, gdzie jesteśmy. Zbyt przekonująco nie brzmiał, stałem obok i słyszałem, jak prawie wyrzygiwał z siebie pierwszą część słowa, a następną połykał, ale zdołał jakoś podać adres, a nasi rodzice nie sądzili chyba, że nie tkniemy alkoholu przy takiej okazji.

– Szczęśliwego Nowego Roku, chłopcy – powiedział ojciec Jana Vidara, kiedy już wsiedliśmy do samochodu. – Dobrze się bawiliście?

– Pewnie. O dwunastej ściągnęło mnóstwo ludzi, było niezłe zamieszanie. A jak tam w Tveit?

– Cicho i spokojnie – odparł, kładąc rękę na oparciu mojego fotela i odwracając się, żeby wyjechać tyłem. – U kogo właściwie się bawiliście?

– U znajomego Øyvinda. Wie pan, tego, który gra na perkusji w naszym zespole.

– Tak, tak. – Ojciec Jana Vidara zmienił bieg i ruszył tą samą drogą, którą przed chwilą przyjechał. W niektórych ogrodach widać było na śniegu plamy po fajerwerkach. Od czasu do czasu mijaliśmy idące drogą pary. Od czasu do czasu przejeżdżała taksówka. Poza tym panowały cisza i spokój. Przyjemnie było sunąć przez ciemność samochodem z rozświetloną tablicą rozdzielczą, obok mężczyzny, który miał takie pewne i spokojne ruchy; zawsze go lubiłem. Ojciec Jana Vidara był dobrym człowiekiem, okazywał nam życzliwość i zainteresowanie, ale zostawiał nas w spokoju, kiedy Jan Vidar dawał znać, że już dosyć. Zabierał nas na ryby, reperował nam różne rzeczy – raz na przykład, kiedy jadąc do nich, złapałem gumę, połatał mi dętkę, i to bez słowa. Po prostu kiedy miałem wracać, zobaczyłem, że rower jest gotowy. Zabierali mnie też na rodzinne wakacje. Pytał o moich rodziców, podobnie zresztą jak matka Jana Vidara. Kiedy mnie odwoził do domu, co wcale nie zdarzało się tak rzadko, zawsze przez chwilę gawędził z mamą albo z tatą, jeśli byli w pobliżu, i zapraszał ich do siebie. To, że nigdy nie korzystali z tych zaproszeń, nie miało związku z nim. Ale czasami pokazywał temperament. Wiedziałem o tym, chociaż nigdy tego

nie doświadczyłem, a wśród wszystkich uczuć, jakie żywił do niego Jan Vidar, była również nienawiść.

– No to mamy rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty – skonstatowałem, kiedy skręciliśmy na E18, przy moście Varodd.

– Tak, tak – mruknął ojciec Jana Vidara. – A ty co, tam z tyłu?

Jan Vidar nic nie powiedział. Nie odezwał się też wcześniej, kiedy jego ojciec po nas przyjechał i wysiadł z samochodu. Tępo patrzył przed siebie i od razu usadowił się z tyłu. Odwróciłem się na siedzeniu i spojrzałem na niego. Siedział nieruchomo, trzymając prosto głowę, ze wzrokiem wbitym w jakiś punkt zagłówek.

– Mowę ci odjęło? – Jego ojciec uśmiechnął się do mnie.

Z tyłu wciąż nie padło ani jedno słowo.

– A twoi rodzice? – spytał ojciec Jana Vidara. – Zostali dzisiaj w domu?

Kiwnąłem głową.

– Dziadkowie i stryj przyjechali z wizytą. *Lutefisk* i *akevitt*.

– Cieszysz się, że z nimi nie zostałeś?

– Tak.

Sunęliśmy ku drodze do Kjevik, przez Hamresanden, przez Ryenslette. Ciemno, cicho, ciepło i dobrze. Pomyślałem, że mógłbym tak siedzieć do końca życia. Przejechaliśmy obok ich domu, zakrętami ku Krageboen, w dół na most i znów pod górę. Szosy nie odśnieżono, pokrywało ją mniej więcej pięć centymetrów sypkiego śniegu. Na ostatnim odcinku ojciec Jana Vidara jechał wolniej. Minęliśmy dom Susann i Elise, dwóch sióstr, które przeprowadziły się tu z Kanady i których nikt dobrze nie znał, potem dom Williama na zakręcie, pojechaliśmy w dół i ostatni kawałek pod górę.

– Wysadzę cię tutaj – powiedział. – Żeby ich nie obudzić, gdyby przypadkiem spali, okej?

– Okej. Bardzo dziękuję za podwiezienie. Trzymaj się, brachu.

Jan Vidar zamrugnął i nagle otworzył oczy.

– Trzymaj się – powiedział.

– Przesiadasz się do przodu? – spytał jego ojciec.

– Chyba nie ma sensu – odparł Jan Vidar.

Trzasnąłem drzwiczkami, uniosłem rękę na pożegnanie i idąc w stronę domu, usłyszałem, że samochód zawraca. „Brachu”! Dlaczego tak powiedziałem? Tego określenia, sygnalizującego kumpłostwo, którego nie musiałem sygnalizować, ponieważ naprawdę byliśmy kumplami, nigdy wcześniej nie używałem.

W oknach domu było ciemno. A więc poszli spać. Cieszyłem się z tego, chociaż nie miałem nic do ukrycia, ale po prostu chciałem, żeby zostawili mnie w spokoju. Powiesiłem kurtkę w korytarzu i wszedłem do salonu. Wszystkie ślady przyjęcia zostały usunięte. W

kuchni cicho mruzczała zmywarka. Usiadłem na kanapie, obrałem pomarańczę. Chociaż ogień zgasł, z pieca wciąż biło ciepło. Mama miała rację, dobrze było tu mieszkać. Kot, śpiący w wiklinowym fotelu, leniwie uniósł głowę. Kiedy napotkał moje spojrzenie, wstał, podreptał po podłodze i wskoczył mi na kolana. Odłożyłem na bok skórki pomarańczy, których nie znosił.

– Możesz tu trochę poleżeć. – Pogłaskałem go. – Możesz, ale nie całą noc, wiesz? Bo ja niedługo idę spać.

Zaczął mruzczeć, zwijając się w kłębek na moich kolanach. Łepki powoli mu opadał, oparł się na łapce i w ciągu kilku sekund oczy zamknięte z przyjemności zmieniły się w zamknięte we śnie.

– Niektórym to się powodzi – powiedziałem.

Następnego dnia rano obudziło mnie radio w kuchni, ale leżałem dalej. I tak nie było po co wstawać. Niedługo potem zasnąłem. Kiedy się znowu obudziłem, dochodziło już wpół do dwunastej. Ubrałem się i zszedłem na dół. Mama czytała przy stole w kuchni. Podniosła głowę i popatrzyła na mnie, kiedy do niej zajrzałem.

– Cześć – powiedziała. – Fajnie było wczoraj?

– Jasne. Bardzo fajnie.

– O której wróciłeś do domu?

– Koło wpół do trzeciej. Ojciec Jana Vidara nas przywiózł.

Usiadłem i zrobiłem sobie kanapkę z pasztetem. Po kilku próbach udało mi się nabić na widelec ogórek konserwowy. Położyłem go na wierzchu i podniosłem dzbanek, żeby sprawdzić, czy jest w nim herbata.

– Zostało coś jeszcze? – spytała mama. – Mogę zrobić.

– Na małą filiżankę wystarczy, ale chyba trochę wystygła.

Mama wstała.

– Siedz – powiedziałem. – Sam zrobię.

– E tam, przecież siedzę tuż przy kuchence.

Nalała wody do rondelka i postawiła go na płycie, która zaraz zaczęła trzaskać.

– Co jedliście? – spytała.

– Był zimny bufet – odparłem. – Przygotowała go chyba matka tej dziewczyny, która urządza imprezę. Było takie... no wiesz, krewetki i warzywa w galarecie, przezroczyste...

– Auszpik? – spytała mama.

– Tak, auszpik z krewetkami. No i zwykłe krewetki. I kraby. Dwa homary. Za mało dla wszystkich, ale każdy mógł spróbować. No i trochę szynki, i w ogóle.

– Brzmi nieźle – stwierdziła mama.

– Owszem. A o dwunastej wyszliśmy na skrzyżowanie, tam wszyscy się zebrali. Puściliśmy kilka rakiet. To znaczy nie my, tylko inni.

– Poznałeś kogoś?

Nie spieszyłem się z odpowiedzią. Zacząłem robić jeszcze jedną kanapkę, rozejrzałem się po stole, z czym by tu ją zjeść. Salami z majonezem, to będzie najlepsze.

– Nie bardzo – odpowiedziałem wreszcie. – Głównie trzymałem się z tymi, których już znałem. – Spojrzałem na nią. – A gdzie tata?

– W stodole. Jedzie dzisiaj do babci. Masz ochotę się z nim wybrać?

– Wolałbym nie. Wczoraj było tyle ludzi dookoła. Mam ochotę побыć sam. Może pójdę do Pera, ale nic więcej. A co ty będziesz robić?

– Nie bardzo wiem. Może trochę poczytam. A potem powoli zacznę się pakować. Przecież jutro rano mam samolot.

– No tak, to prawda. Kiedy Yngve jedzie?

– Myślę, że kilka dni później. I znów zostaniecie we dwóch z tatą.

– No tak – powiedziałem. Popatrzyłem na salceson, zrobiony przez babcię. Kanapka z salcesonem byłaby niegłupia. I jeszcze jedna z roladą jaginiącą.

Pół godziny później dzwoniłem do drzwi domu Pera. Otworzył mi jego ojciec. Wyglądało na to, że gdzieś się wybiera, był w ciepłej zielonej wojskowej kurtce, spod której wystawał niebieski dres z błyszczącego materiału, na nogach miał jasne buty, a w rękę trzymał smycz. Ich pies, stary golden retriever, kręcił mu się pod nogami.

– Kogo my tu widzimy? – powitał mnie. – Wszystkiego najlepszego w Nowym Roku.

– Wzajemnie – powiedziałem.

– Siedzą w salonie, wchodź, wchodź.

Wyminął mnie, pogwizdując, i ruszył przez podwórze w stronę otwartego garażu. Zdjąłem buty i wszedłem. Dom był duży i przestronny, zbudowany nie tak dawno temu – z tego co zrozumiałem, własnymi rękami przez ojca Pera – i prawie ze wszystkich pokoi miał widok na rzekę. Idąc przez hol, najpierw minąłem kuchnię, w której szykowała coś matka Pera – kiedy przechodziłem, odwróciła głowę, uśmiechnęła się i powiedziała: „cześć” – a dalej był salon, gdzie siedział Per razem z bratem Tomem, siostrą Marit i swoim najlepszym przyjacielem Trygvem.

– Co oglądacie? – spytałem.

– *Dziata Navarony* – odpowiedział Per.

– Długo już lecą?

– Nie. Pół godziny. Możemy cofnąć, jeżeli chcesz.

– Cofnąć? – oburzył się Trygve. – Przecież nie będziemy tego oglądać jeszcze raz!

– Ale Karl Ove nie widział początku. Szybko przeleci.

– Szybko? To zajmie pół godziny – powiedział Trygve.

Per podszedł do odtwarzacza wideo i uklęknął przy nim.

– Nie możesz decydować sam – stwierdził Tom.

– Bo? – spytał twardo Per.

Wcisnął „stop”, a potem „rewind”.

Marit wstała i skierowała się w stronę schodów na piętro.

– Daj znać, jak dojdzie do tego samego miejsca – powiedziała. Per kiwnął głową. W odtwarzaczu kilka razy coś kliknęło i pstryknęło, wydał z siebie parę ściszonych, jakby hydraulicznych jęków, zanim wszystko wreszcie było gotowe i taśma zaczęła się cofać coraz szybciej i coraz głośniej, a w odpowiednim miejscu przed końcem przyhamowała i na ostatnim odcinku obracała się bardzo powoli; przyszło mi do głowy porównanie z samolotem, który po dzikim pędzie w powietrzu zaczyna hamować, dotyka ziemi i coraz wolniej sunie pasem, ostrożnie kierując się w stronę terminalu.

– Pewnie wczoraj wieczorem siedziałeś w domu z rodzicami? – spytałem, patrząc na Trygvego.

– A co? Ty pewnie byłeś gdzieś i piłeś?

– Owszem, byłem i piłem. Ale żałuję, że nie zostałem w domu. Nie znaleźliśmy żadnej specjalnej imprezy, na którą moglibyśmy pójść, więc włączyliśmy się na wietrze z piwem w torbach. Doszliśmy aż do Søm. Sami zobaczycie, niedługo przyjdzie wasza kolej na wędrowanie po nocy, bez odpoczynku, z plastikowymi torbami.

– Już – oświadczył Per.

– Fajnie będzie – powiedział Trygve, kiedy na ekranie telewizora ukazały się pierwsze sceny filmu. Na dworze panowała kompletna cisza, jaka potrafi być tylko zimą. I chociaż niebo było zachmurzone i szare, to okolica jaśniała i lśniła. Pamiętam, pomyślałem sobie, że akurat w tej chwili nie mam ochoty na nic innego, jak siedzieć właśnie tu, w niedawno wybudowanym domu, w plamie światła pośrodku lasu, i popisywać się swoją głupotą, tak jak tylko chciałem.

Następnego dnia rano tata odwiózł mamę na lotnisko. Kiedy wrócił, bufor między nami zniknął i życie, jakie prowadziliśmy przez całą ostatnią jesień, natychmiast powróciło. Tata zaszył się w mieszkaniu, a ja pojechałem autobusem do Jana Vidara, podłączyliśmy się do jego wzmacniacza i graliśmy przez jakiś czas, aż nam się znudziło, więc powlekliśmy się do sklepu, gdzie nic się nie działo, i z powrotem, pooglądaliśmy w telewizji zawody w skokach narciarskich, posłuchaliśmy płyt, pogadaliśmy o dziewczynach. Około piątej wróciłem autobusem do domu; tata czekał na mnie w drzwiach i spytał, czy odwieźć mnie

do miasta.

– W porządku – powiedziałem. Po drodze zaproponowałem, żebyśmy zajrzeli do dziadków, bo pewnie jestem głodny, więc moglibyśmy coś u nich zjeść.

Kiedy tata zaparkował przy garażu, babcia wyjrzała przez okno.

– Jesteście! – zawołała. Minutę później otworzyła drzwi. – Bardzo było u was miło w sylwestra. – Popatrzyła na mnie. – Słyszałam, że dobrze się bawiłeś?

– Świetnie – odparłem.

– No, uściskaj mnie. Jesteś już duży, ale możesz chyba uściskać babcię?

Nachyliłem się i poczułem suchy, pomarszczony policzek przy swoim. Babcia przyjemnie pachniała, tymi samymi perfumami, których używała od zawsze.

– Jedliście już? – spytał tata.

– Przed chwilą, ale mogę wam coś podgrzać, to żaden problem. Głodni jesteście?

– Chyba tak. – Tata spojrzał na mnie, leciutko się uśmiechając.

– Ja w każdym razie jestem głodny – powiedziałem.

Wewnętrznym uchem słyszałem, jak to zabrzmiało. „W każdym łazie”.

Rozebraliśmy się w przedpokoju, ustawiłem równo buty w otwartej garderobie, a kurtkę powiesiłem na jednym ze starych wieszaków z pęknięciami w kolorze złota. Babcia stała przy schodach i patrzyła na nas z niecierpliwością, która zawsze ją charakteryzowała. Dłoń przesunęła się po policzku. Głowa obróciła się lekko w bok. Ciężar ciała przeniósł się z jednej nogi na drugą. Nieświadoma tych drobnych gestów, jednocześnie rozmawiała z tatą. Spytała, czy u nas wciąż jest tak dużo śniegu. Czy mama już wyjechała i kiedy znów przyjedzie. Aha, no proszę, powtarzała za każdym razem, kiedy jej odpowiadał. No proszę.

– No a ty, Karl Ove? – spojrzała na mnie. – Kiedy wracasz do szkoły?

– Za dwa dni.

– Cieszysz się, prawda?

– Jasne, że się cieszę.

Tata zerknął na siebie w lustrze. Twarz miał spokojną, ale w jego oczach widoczny był cień niezadowolenia, sprawiały wrażenie zimnych i obojętnych. Zrobił krok w stronę babci, która się odwróciła i ruszyła po schodach lekko i szybko. Tata szedł za nią ciężkim krokiem, a za nim ja, ze spojrzeniem utkwionym w jego gęstych czarnych włosach na karku.

– Czołem – powitał nas dziadek, kiedy weszliśmy do kuchni. Siedział na krześle przy kuchennym stole, z szeroko rozsuniętymi nogami, odchylony do tyłu, w białej koszuli rozpiętej pod szyją i czarnych szelkach. Na twarz opadł mu kosmyk włosów, który od razu odgarnął ręką. W ustach trzymał niedopałek bez żaru.

– Jak się jechało? – spytał. – Ślisko?

– Nie tak źle – odparł tata. – Gorzej było w sylwestra. Poza tym dzisiaj prawie nikt nie

jeździ.

– Siadajcie – babcia zaprosiła nas do stołu.

– Nie, bo dla ciebie nie będzie miejsca – powiedział tata.

– Postoję. Muszę wam przecież podgrzać jedzenie. A i tak siedzę całymi dniami. Siadajcie.

Dziadek przyłożył zapalniczkę do niedopałka, zapalił. Cmoknął kilka razy, wydmuchał dym na pokój.

Babcia włączyła płytki na kuchence, zabębniła palcami o blat i zaczęła cicho, świszcząc pogwizdywać, jak miała w zwyczaju.

Tata wydał mi się w pewnym sensie za duży na to, żeby siedzieć przy kuchennym stole. Nie fizycznie, miejsca było dość, chodziło raczej o to, że tu nie pasował. Coś w nim albo w tym, co z niego biło, zachowywało dystans w stosunku do tego stołu.

Wyjął papierosa i zapalił.

Czy bardziej pasowałyby do jadalni, gdybyśmy tam usiedli?

Chyba tak. Tak byłoby lepiej.

– No to mamy rok osiemdziesiąty piąty – odezwałem się, żeby przerwać trwającą już od kilku sekund ciszę.

– No właśnie – powiedziała babcia.

– A gdzie twój brat? – spytał dziadek. – Wrócił już do Bergen?

– Nie, jeszcze jest w Arendal.

– Aha. Zrobił się z niego arendalczyk – stwierdził dziadek.

– Nieczęsto już tu zagląda – westchnęła babcia. – A tak się świetnie bawiliśmy, kiedy był mały. – Popatrzyła na mnie. – No, ale ty przyjeżdżasz.

– Co on teraz studiuje? – spytał dziadek.

– Przypadkiem nie politologię? – tata spojrział na mnie.

– Nie, teraz zaczął medioznawstwo – odparłem.

– Nie wiesz, co studiuje twój syn? – dziadek się uśmiechnął.

– Wiem, wiem, dobrze wiem. – Tata zgasił w popielniczce wypalonego do połowy papierosa i odwrócił się do babci. – Możemy już chyba jeść, mamó. To nie musi parzyć. Na pewno już się podgrzało, nie sądzisz?

– Na pewno. – Babcia wyjęła z szafki dwa talerze, postawiła je przed nami, z szuflady wyciągnęła sztucce i położyła je przy talerzach.

– Dzisiaj wyjątkowo sama wam nałożę – stwierdziła, biorąc talerz taty i nakładając ziemniaki, duszony groch, klopsiki i sos.

– Oczywiście – powiedział tata, kiedy postawiła przed nim talerz i wzięła mój.

Znałem tylko dwie osoby, które jadły równie szybko jak ja – Yngvego i tatę. Już po kilku

minutach talerze były wylizane do czysta. Tata odchylił się, zapalił kolejnego papierosa, babcia naląła mu kawy do filiżanki, a ja wstałem i poszedłem do salonu, nazywanego jadalnią. Patrzyłem na miasto, na jego lśniące światła, na szary, prawie czarny śnieg, odgarnięty w pryzmy pod ścianami magazynów wzdłuż nabrzeża. Na światło latarni drżące na całkiem czarnej i gładkiej tafli morza.

Na moment zafascynował mnie widok śniegu na tle czarnej wody, zdolność bieli do zacierania szczegółów wokół jeziora czy strumienia w lesie, która sprawia, że różnica między lądem i wodą staje się absolutna, a woda zmienia się w coś głęboko obcego, w czarną dziurę na ziemi.

Odwróciłem się. O dwa stopnie wyżej od tego, w którym stałem, znajdował się drugi salon, zwany bawialnią, oddzielony rozsuwanymi drzwiami. Były teraz uchylone, więc przeszedłem tam, bez żadnego szczególnego powodu, po prostu miałem w sobie jakiś niepokój. To był elegancki salon, z którego korzystało się tylko przy szczególnych okazjach, nigdy nie pozwalano nam przebywać tam samym.

Pod ścianą stało pianino, nad nim wisiały dwa obrazy z motywami ze Starego Testamentu. Na pianinie zdjęcia trzech synów z czasów studenckich. Tata, Erling, Gunnar. Za każdym razem tak samo się dziwiłem, kiedy widziałem tatę bez brody. Uśmiechał się, czarną studencką czapkę miał zawadiacko zsuniętą na kark. Oczy błyszczały mu radośnie.

W tej części salonu dominowały ustawione na środku dwie czarne skórzane kanapy, między nimi stał stolik. Była też antyczna ludowa narożna szafka, malowana w róże, a w rogu w głębi znajdował się biały murowany kominek.

– Karl Ove! – zawołał tata z kuchni.

Szybko zrobiłem cztery kroki z powrotem do jadalni i odpowiedziałem:

– Idziemy?

– Tak.

Kiedy wszedłem do kuchni, był już gotowy.

– No to cześć – powiedziałem. – Do zobaczenia.

– Cześć, cześć – rzucił dziadek. Babcia jak zwykle odprowadziła nas na dół.

– Aha, prawda – odezwał się tata, kiedy już ubieraliśmy się w korytarzu. – Mam coś dla ciebie.

Wszedł do samochodu i wrócił z paczką, którą podał babci.

– Wszystkiego najlepszego, mam – powiedział.

– Nie trzeba było – zaprotestowała babcia. – Mój ty świecie! Po co prezent?

– Właśnie, że trzeba. Rozpakuj.

Nie wiedziałem, gdzie oczy podziać. Była w tej scenie jakaś intymność, której nigdy wcześniej nie widziałem i której istnienia się nie domyślałem.

Babcia trzymała w ręku obrus.

- Jaki piękny! – zawołała.
- Pomyślałem, że będzie pasował do tapety na górze – powiedział tata. – Nie sądzisz?
- Śliczny – stwierdziła babcia.
- No tak – zakończył tata tonem ucinającym dalszą rozmowę. – To idziemy.

Wsiadliśmy do samochodu, tata włączył silnik i kaskada światła zalała drzwi do garażu. Babcia machała nam ze schodów, kiedy zjeżdżaliśmy tyłem z niedużego wzniesienia. Jak zawsze zamknęła za sobą drzwi, kiedy zawracaliśmy; gdy jechaliśmy w stronę głównej ulicy, już jej nie było widać.

W następnych dniach od czasu do czasu myślałem o tym krótkim incydencie w korytarzu i za każdym razem pojawiała się we mnie to samo uczucie: zobaczyłem coś, czego nie powinienem był widzieć. Szybko jednak mijało, nie poświęcałem przecież wszystkich myśli tacie i babci, bo w tych tygodniach działo się wiele innych rzeczy. Na pierwszej lekcji w nowym roku Siv rozdała wszystkim zaproszenia – w przyszłą sobotę organizowała klasową imprezę, a to była dobra wiadomość, bo na imprezie klasowej miałem prawo być i nikt nie mógł mi zarzucić, że się wkręciłem, a poza tym mogłem poza klasę przenieść tę zażyłość z innymi, która sprawiała, że na lekcjach zachowywałem się prawie naturalnie. Krótko mówiąc, mogłem pić, tańczyć, śmiać się i może obściskiwać pod ścianą z którąś z dziewczyn. Jednakże imprezy klasowe właśnie z tego powodu miały niższy status, zaproszenie nie wynikało z tego, kim się było, lecz gdzie się było, w tym wypadku – w klasie pierwszej „b”. Nie pozwoliłem jednak, by świadomość tego popsowała mi radość. Impreza pozostawała imprezą. Problem ze zdobyciem alkoholu był taki sam jak przed sylwestrem, zastanawiałem się więc, czy znów nie zadzwonić do Toma, ale doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie samemu podjąć ryzyko. To prawda, miałem dopiero szesnaście lat, ale wyglądałem poważniej i jeśli bym tylko zachowywał się jak gdyby nigdy nic, prawdopodobnie nikomu nie przyszłoby do głowy mnie sprawdzić. Jeżeli by tak się stało, poczułbym się idiotycznie, ale nic poza tym, i wciąż przecież pozostawałby Tom, który załatwiłby sprawę. W środę wszedłem więc do supermarketu, włożyłem do koszyka dwanaście piw oraz chleb i pomidory jako alibi, stanąłem w kolejce, wystawiłem butelki na taśmę, podałem ekspedientce pieniądze, a ona przyjęła je, nawet na mnie nie patrząc, i podniecony ruszyłem do domu z podzwaniającymi torbami w rękach.

Kiedy w piątek po południu wróciłem do domu ze szkoły, zobaczyłem, że tata wcześniej był w mieszkaniu. Na stole leżała kartka:

Karl Ove!

W ten weekend wyjeżdżam na seminarium.

Będę w domu w niedzielę wieczorem. W lodówce są świeże krewetki, a w koszyku na pieczywo bułka. Baw się dobrze.

Tata

Na kartce pięćsetkoronowy banknot.

Idealnie się składało!

Krewetki uwielbiałem. Zjadłem je tego wieczoru przed telewizorem, a potem poszedłem się przejść po mieście; najpierw puściłem na walkmanie *Lust for Life* Iggy'ego Popa, następnie jeden z późnych albumów Roxy Music. Bardzo lubiłem powstający wówczas dystans między tym, co wewnętrzne a tym, co zewnętrzne; kiedy widziałem wszystkie te pijane twarze ludzi gromadzących się pod restauracjami, miałem wrażenie, że znajdują się oni jakby w innym wymiarze niż ja, to samo dotyczyło przejeżdżających samochodów, kierowców wysiadających z aut na stacjach benzynowych, ekspedientek stojących za ladą ze zmęczonymi uśmiechami i wykonujących mechaniczne ruchy, mężczyzn, którzy wyszli na spacer z psami.

Następnego dnia przed południem zajrzałem do dziadków. Zjadłem u nich kilka bułek, potem poszedłem do miasta, kupiłem trzy płyty, dużą torbę słodczy, kilka gazet muzycznych i kieszonkowe wydanie *Dziennika złodzieja* Jeana Geneta. Wypiłem dwa piwa, oglądając mecz ligowy, jeszcze jedno między prysznicem i ubieraniem się, i kolejne, kiedy paliłem ostatniego papierosa przed wyjściem.

Umówiłem się z Bassenem o siódmej przy skrzyżowaniu Rundingen. Stał tam już i uśmiechnął się, kiedy przyszedłem z plastikową torbą. On miał piwa w plecaku, a ja, gdy to zobaczyłem, miałem ochotę stuknąć się w głowę. No jasne! W ten sposób należało to robić.

Skęciliśmy w Kuholmsveien, minęliśmy dom babci i dziadka i poszliśmy dalej pod górę, przez dzielnicę w okolicach stadionu, gdzie mieszkała Siv.

Po kilku minutach błędzenia znaleźliśmy właściwy numer i zadzwoniliśmy do drzwi. Otworzyła nam Siv z głośnym piskiem.

Jeszcze zanim się obudziłem, wiedziałem, że wydarzyło się coś dobrego. Leżałem na dnie świadomości i oglądałem kolejne obrazy, przesuwane nade mną jeden po drugim. Nagle wyciągnęła się do mnie jakaś dłoń, uchwyciłem się jej, uniosłem powoli, coraz bardziej zbliżając się do siebie, aż wreszcie otworzyłem oczy.

Gdzie ja jestem?

Aha, w domu, tylko w pokoju na dole. Leżałem na kanapie, w pełnym ubraniu.

Moja koszula pachniała perfumami.

Egzotyczny, ciężki zapach.

Obściskiwałem się z Monicą. Tańczyliśmy, odsunęliśmy się na bok, stanęliśmy pod schodami, pocałowałem ją. Ona pocałowała mnie.

Ale to nie to!

Wstałem, poszedłem do kuchni, nalałem wody do szklanki i wypilem jednym haustem.

Nie, to nie to!

Wydarzyło się coś fantastycznego, zapłonęło jakieś światło. Ale nie chodziło o Monicę. To było coś innego.

Tylko co?

Alkohol zakłócił moją równowagę. Ale ciało wiedziało, czego potrzebuje, by to naprawić. Hamburgera, frytek, kiełbasek. Dużo coli. Potrzebowałem tego. I to już.

Wyszedłem na korytarz i przejrzałem się w lustrze, przeczesując włosy palcami. Nie wyglądało to najgorzej, miałem jedynie trochę przekrwione oczy, mogłem tak wyjść do ludzi.

Zasznurowałem buty, włożyłem kurtkę.

Ale co to?

Przypinka? Z napisem „Uśmiechnij się!”?

Tak, to było to!

Właśnie to było takie przyjemne!

Przez ostatnią godzinę imprezy rozmawiałem z Hanne.

Właśnie o to chodziło!

Rozmawialiśmy długo, Hanne się śmiała, była taka wesoła. Nic nie piła. Za to ja piłem, dzięki czemu mogłem czuć to co ona. Lekkość i wesołość. Potem tańczyliśmy.

Tak, tańczyliśmy przy *The Power of Love* Frankie Goes to Hollywood.

THE POWER OF LO-OVE!

Ach, Hanne, Hanne!

Czuć ją tak blisko siebie. Stać tuż przy niej i rozmawiać z nią. Jej śmiech. Te jej zielone oczy. Mały nosek.

Tuż przed wyjściem, w drodze do drzwi, przypięła mi ten znaczek.

Właśnie to się wydarzyło. Niewiele, ale to maleńkie zdarzenie było fantastyczne.

Zapiąłem kurtkę i wyszedłem. Chmury wisały nisko nad miastem. Zimny wiatr gnał ulicami i nad morzem. Wszystko było szarobiałe, zimne, niegościnne. Ale ode mnie bił blask. Idąc wzdłuż rzeki do ulicznego barku, cały czas miałem w uszach *THE POWER OF LO-OVE!*

Co takiego się wydarzyło?

Hanne to przecież Hanne. Nie zmieniła się, była tą samą osobą co w klasie, przez całą jesień i zimę. Lubiłem ją, ale nic szczególnego do niej nie czułem. Ale teraz! Teraz to!

Jakby trafił mnie piorun. Przez połączenia nerwowe regularnie przebiegało szczęście. Serce drżało, dusza jaśniała. Nagle nie mogłem się doczekać poniedziałku. Nagle nie

mogłem się doczekać, kiedy zacznie się szkoła.

Powiniennem zadzwonić?

Zaprościć ją gdzieś?

Mechanicznie zamówiłem cheeseburgera, frytki i dużą colę. Hanne z kimś chodziła – mówiła o tym wcześniej – z chłopakiem z trzeciej klasy liceum w Vågsbygd. Byli razem już od dawna. Ale sposób, w jaki na mnie patrzyła, ta bliskość między nami, która nagle się objawiła, nie mogły być chyba bez znaczenia. Musiały coś oznaczać, jakieś zainteresowanie. Hanne musiała czegoś ode mnie chcieć. Nie mogło być inaczej.

W poniedziałek, w poniedziałek znów ją zobaczę.

Ale co ja, do jasnej cholery, będę robił do tego czasu?

Przecież to jeszcze prawie CAŁA doba!

Uśmiechnęła się, kiedy mnie zobaczyła. Ja też się uśmiechnąłem.

– Nie zdjąłeś przypinki! – zauważyła.

– Nie. Za każdym razem, gdy na nią patrzę, myślę o tobie.

Spuściła wzrok. Zaczęła obracać guzik przy kurtce.

– Byłeś strasznie pijany. – Znów na mnie spojrzała.

– Rzeczywiście – przyznałem. – Szczerze mówiąc, niewiele pamiętam.

– Nie pamiętasz?

– Ależ tak! Pamiętam na przykład Frankie Goes to Hollywood...

Korytarzem nadszedł Tønnessen, brodaty młody nauczyciel geografii, mówiący dialektem z Mandal, nasz wychowawca.

– I jak, dzieciaki, dobrze się bawiliście w weekend? – spytał, otwierając kluczem drzwi, pod którymi staliśmy.

– Mieliśmy imprezę klasową – Hanne uśmiechnęła się do niego.

Ależ ona się uśmiechała!

– Tak? A ja nie zostałem zaproszony? – Nie spodziewał się odpowiedzi, bo nawet nie spojrzał na Hanne, tylko od razu ruszył w stronę katedry na końcu klasy i tam odłożył niewielki stosik książek.

Nie mogłem skupić się na tym, co się działo na lekcji. Myślałem wyłącznie o Hanne, chociaż siedziała w tym samym pomieszczeniu co ja. To znaczy myślałem... Bardziej chyba przepełniały mnie uczucia niepozwalające na żadne myślenie.

W takim stanie pozostawałem przez całą zimę i wiosnę. Zakochałem się i nie było to małe zakochanie, lecz jedno z tych dużych, które w życiu zdarzają się trzy, góra cztery razy. To było pierwsze i może największe, ponieważ wszystko w nim było nowe. Cały mój świat kręcił się wokół Hanne. Codziennie rano budziłem się i cieszyłem z tego, że pójdę do

szkoły, a tam będzie ona. Jeśli jej nie było, jeśli zachorowała albo gdzieś wyjechała, wszystko natychmiast traciło sens i już do końca dnia chodziło wyłącznie o przetrwanie. Do jakiego momentu? Na co czekałem, czekając? W każdym razie nie na gorące uściski ani namiętne pocałunki, bo żaden związek, który by na to pozwalał, po prostu nie istniał. Nie, tym na co czekałem i co nadawało sens memu życiu, był dotyk ręki muskającej mnie po ramieniu, uśmiech rozjaśniający jej twarz, kiedy mnie widziała albo kiedy powiedziałem coś zabawnego, uścisk i objęcie, kiedy spotykaliśmy się jako przyjaciele po szkole. Te sekundy, kiedy ją obejmowałem i czułem jej policzek przy swoim, jej zapach, zapach szamponu, którego używała, z lekką nutą jabłek. Ciągnęło ją do mnie, wiedziałem, ale wyznaczała sobie nieprzekraczalne granice, tak że nie mogliśmy być razem, to nie wchodziło w grę. Właściwie nie miałem nawet pewności, że ją do mnie ciągnie, mogła jej po prostu pochlebiać skierowana na nią uwaga, mogła mieć ochotę się nią bawić. Tak czy owak, karmiłem się nadzieją, po powrocie do domu rozpamiętywałem wszystko, co powiedziała i co zrobiła w ciągu dnia, i to mnie albo strącało w najgłębszą otchłań rozpaczy, albo wynosiło na najwyższy, opromieniony światłem szczyt radości – pośrednich stanów nie przeżywałem.

W szkole zacząłem rzucać jej karteczki. Drobne komentarze, drobne pozdrowienia, drobne wiadomości, które często wymyślałem poprzedniego wieczoru. Ona odpowiadała, ja czytałem i pisałem odpowiedź, którą jej odrzucałem, i uważnie obserwowałem, jak czyta. Jeśli uciniała otwarty przeze mnie temat, dopadało mnie przygnębienie. Jeżeli go ciągnęła, cały drżałem, jakbym był dzwonem. Po jakimś czasie karteczki zastąpił zeszyt, który krążył między nami tam i z powrotem, nie za często, bo nie chciałem, żeby się znudziła, ale dwie, trzy wymiany w ciągu dnia wystarczały. Często pytałem, czy nie poszłaby ze mną do kina albo do kawiarni, na co za każdym razem odpowiadała: „Dobrze wiesz, że nie mogę”.

Na przerwach dyskutowaliśmy, trochę o polityce, głównie o religii – ona była wierząca, ja żarliwie niewierzący – a moje argumenty przekazywała dalej młodemu pastorowi ze swojej parafii i następnym razem przynosiła jego odpowiedź. Chłopak, z którym chodziła, należał do tej samej parafii, więc nawet jeśli nie stanowiłem bezpośredniego zagrożenia dla ich związku, to przynajmniej ostro kontrastowałem z tamtym jej życiem. W każdym razie nasze krótkie, nawet nie codzienne spotkania podczas przerw między lekcjami delikatnie i prawie niezauważalnie przeniosły się również poza szkołę. Przecież byliśmy przyjaciółmi, chodziliśmy do tej samej klasy, mogliśmy więc chyba od czasu do czasu iść razem do kawiarni po szkole? Mogliśmy chyba od czasu do czasu iść razem do autobusu?

Żyłem dla tych chwil. Dla tych przelotnych spojrzeń, przelotnych uśmiechów, przelotnych dotknięć. I dla jej śmiechu, kiedy udawało mi się ją rozbawić!

Dla tego żyłem. Ale pragnąłem więcej, o wiele więcej. Pragnąłem patrzeć na nią cały czas, przebywać z nią cały czas, być zapraszonym do jej domu, poznać jej rodziców, wychodzić z jej znajomymi, jeździć z nią na wakacje, zabrać ją do siebie...

„Dobrze wiesz, że nie mogę”.

Kino kojarzyło się ze stałym związkiem i miłością, ale istniały inne możliwości, nie tak jednoznaczne. Pewnego dnia na początku lutego zaprosiłem więc Hanne na polityczne spotkanie młodzieży gdzieś w centrum. Zauważyłem plakat w szkole i któregoś przedpołudnia posłałem jej pytanie, czy się ze mną wybierze.

Przeczytała i spojrzała na mnie bez uśmiechu. Napisała coś. Odesłała mi zeszyt. Otworzyłem go i przeczytałem. „Tak!”

Tak, pomyślałem.

Tak, tak, tak.

Siedziałem na kanapie i czekałem; zapukała do drzwi koło szóstej.

– Cześć – powiedziałem. – Wejdiesz na chwilę, a ja się w tym czasie ubiorę?

– Tak, mogę wejść.

Policzki miała czerwone od mrozu, białą czapkę nasunęła głęboko na oczy, a szyję owinęła dużym białym szalikiem.

– To tutaj mieszkasz?

– Tak. – Otworzyłem drzwi do pokoju. – To jest salon. A tam dalej, w głębi, kuchnia. I sypialnia na górze. To właściwie dawna kancelaria mojego dziadka ze strony ojca. Mieściła się tam – głową wskazałem drzwi po drugiej stronie.

– Nie czujesz się tu samotny?

– Nie, ani trochę. Lubię być sam. No i często jeżdżę do Tveit.

Włożyłem buty, kurtkę, do której wciąż przypięty był znaczek z uśmiechem, i szalik.

– Pójdę jeszcze tylko do toalety i już idziemy.

Zamknąłem drzwi do łazienki. Usłyszałem, że Hanne cicho śpiewa. Mieszkanie było akustyczne. Może chciała zagłuszyć moje poczynania, a może po prostu chciała pośpiewać.

Podniosłem deskę klozetu i rozpiąłem rozporek.

W tej samej chwili zrozumiałem, że nie wysikam się, kiedy ona tam stoi. W malutkim przedpokoju wszystko było słyhać. Usłyszałaby nawet, że mi nie wychodzi.

Niech to szlag.

Naprężyłem się z całych sił.

Ani kropelki.

Ona śpiewała, chodząc tam i z powrotem.

Co mogła sobie pomyśleć?

Po półminucie się poddałem, na kilka sekund puściłem wodę, żeby w ogóle coś zadziało. Potem zakręciłem kran, otworzyłem drzwi i od razu natknąłem się na jej

zażenowany, spuszczone wzrok.

– Możemy iść – oświadczyłem.

Ulice były ciemne, wiał wiatr, jak często bywa w tym mieście zimą. Po drodze niewiele się do siebie odzywaliśmy. Trochę rozmawialiśmy o szkole, o tych, którzy do niej chodzili. O Bassenie, Mollem, Siv, Tone, Anne. Z jakiegoś powodu Hanne zaczęła mówić o swoim ojcu, podobno wspaniałym człowieku. Jest niewierzący, tak powiedziała. To mnie zaskoczyło. Czyżby zaczęła wierzyć z własnej inicjatywy? Stwierdziła, że polubiłbym jej ojca. Polubiłbym? – pomyślałem. Tak, powiedziałem. Chyba rzeczywiście jest fajny. Lakoniczny. Co znaczy lakoniczny? – spytała, patrząc na mnie tymi swoimi zielonymi oczami. Za każdym razem, kiedy to robiła, czułem się tak, jakbym rozpadał się na kawałki. Byłem gotów stłuc wszystkie szyby w okolicy, przewrócić na ziemię wszystkich przechodniów i skakać po nich, dopóki życie by z nich nie uszło, taką energią wypełniało mnie spojrzenie jej oczu. Gotów też byłem objąć ją w pasie i tańczyć z nią walca na ulicy, rzucać kwiaty każdemu, kogo byśmy spotkali, śpiewać na całe gardło. Lakoniczny? – powtórzyłem. Trudno to opisać. Trochę suchy i rzeczowy, może przesadnie rzeczowy, wyjaśniłem, używający pewnego rodzaju niedopowiedzeń. Ale to już tutaj, prawda?

To miał być lokal na Dronningens gate. Tak, to było tutaj. Na drzwiach wisiały plakaty.

Weszliśmy do środka.

Lokal mieścił się na pierwszym piętrze, pełno w nim było krzeseł, a na samym końcu znajdowały się mównica i rzutnik. Garstka młodych ludzi. Dziesięć – dwanaście osób.

Pod oknem stał duży termos, przy nim miseczka z kruchymi ciastkami i wysoki stos białych plastikowych kubków.

– Napijesz się kawy? – spytałem.

Hanne z uśmiechem pokręciła głową.

– No to może ciasteczko?

Nalałem sobie kawy, wziąłem dwa ciastka i wróciłem do niej. Usiedliśmy w jednym z tylnych rzędów.

Przyszło jeszcze pięć czy sześć osób i spotkanie się rozpoczęło. Organizatorem była AUF^[3] i okazało się, że jest to coś w rodzaju spotkania werbunkowego. W każdym razie prezentowano politykę AUF, a potem mówiono o polityce młodzieżowej w ogólności, o tym, że zaangażowanie jest bardzo ważne, ile faktycznie można zdziałać i – jako mały bonus – co samemu można na tym zyskać.

Gdyby Hanne nie siedziała obok mnie z nogą na nodze, tak blisko, że dosłownie mnie parzyła, wstałbym i wyszedł. Wcześniej wyobrażałem sobie bardziej tłumną imprezę, nabitą salę, dym papierosowy, uduchowionych mówców, ryki śmiechu zgromadzonych, czyli bardziej imprezę w stylu Agnara Myklego^[4], o znaczeniu Agnara Myklego, młodych mężczyzn i młode kobiety, którzy czegoś pragną, na czymś im zależy – na socjalizmie, tym magicznym słowie z lat pięćdziesiątych, a nie nudnych chłopaków w nudnych swetrach i

brzydkich spodniach, przemawiających do niewielkiej grupki chłopców i dziewczyn, podobnych do siebie, o nudnych, wyzutych z ducha sprawach.

Kto się przejmuje polityką, gdy w jego wnętrzu goreją płomienie?

Kto się przejmuje polityką, gdy płonie w nim żądza życia? Żądza tego, co żyje?

W każdym razie nie ja.

Po trzech wykładach miała być krótka przerwa, a potem warsztaty i dyskusje w grupach, tak zapowiedziano. Kiedy ogłoszono przerwę, spytałem Hanne, czy idziemy; możemy iść, powiedziała i znów znaleźliśmy się w zimnej ciemności wieczoru. Tam, w lokalu, zdjęła kurtkę i powiesiła ją na oparciu krzesła, a gruby wełniany sweter wybrzuszał się lekko w taki sposób, że stale musiałem przełykać ślinę. Hanne była tak blisko mnie, tak mało nas dzieliło.

W drodze powrotnej powiedziałem, co sędzę o polityce. Hanne stwierdziła, że mam zdanie na każdy temat, i spytała, jak znajduję czas, żeby się we wszystko zagłębiać. Uważała, że sama nie ma prawie żadnych sprecyzowanych poglądów. Odparłem, że ja też prawie nic nie wiem. Ale ty przecież jesteś anarchista, powiedziała. Skąd jej się wziął ten pomysł? Ledwie wiem, co to znaczy anarchista. A ty jesteś wierząca, powiedziałem. Skąd się to wzięło? Twoi rodzice nie są wierzący. Ani twoja siostra. Tylko ty. I jesteś tego pewna. No tak, przyznała, masz rację. Ale wydaje mi się, że ty się dużo zastanawiasz. Powinieneś więcej czerpać z życia. Próbuję, powiedziałem.

Zatrzymaliśmy się przed moim domem.

– Skąd odchodzi autobus? – spytałem.

– Stamtąd – wskazała ruchem głowy.

– Odprowadzić cię?

Pokręciła głową.

– Pójdę sama. Mam walkmana.

– Okej.

– Dziękuję za dzisiejszy wieczór.

– Nie za bardzo jest za co dziękować – stwierdziłem.

Uśmiechnęła się, stanęła na palcach i pocałowała mnie w usta. Mocno przycisnąłem ją do siebie, odpowiedziała uściskiem i zaraz się uwolniła. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie i w końcu Hanne odeszła.

Tego wieczoru nie mogłem sobie znaleźć miejsca, krążyłem po mieszkaniu, przemierzałem swój pokój tam i z powrotem. Wchodziłem i schodziłem po schodach, kręciłem się po innych pomieszczeniach. Czułem się większy niż świat, jakbym miał wszystko w sobie, jakby nie było już po co sięgać. Mała była ludzkość, mała była historia, mała była kula ziemską, a nawet wszechświat był mały, chociaż podobno nieskończony. Ja

byłem większy od wszystkiego. To fantastyczne uczucie, ale nie pozwalało mi zaznać spokoju, bo niosło ze sobą pragnienie, ważniejsze było to, co miało nadejść, co miałem zrobić, a nie to, co zrobiłem.

Jak zgasić wszystko to, co nosiłem w sobie?

Zmusiłem się, aby położyć się do łóżka, leżeć nieruchomo, nie poruszać żadnym mięśniem, bez względu na to, kiedy przyjdzie sen. O dziwo, zjawił się już po kilku minutach, podkradł się jak myśliwy do niczego niespodziewającej się zwierzyny, i w ogóle nie poczułbym strzału, gdyby nie nagłe drgnienie stopy, które uświadomiło mi myśli kompletnie oderwane od rzeczywistości – stałem na pokładzie jakiejś łodzi, podczas gdy ogromny wieloryb tuż obok nurkował w głąb, a ja to widziałem, chociaż z tego miejsca było to niemożliwe. Zrozumiałem, że to początek snu, jego ramię wciągające mnie w siebie, w nim stałem się swoim otoczeniem, bo właśnie to nastąpiło, kiedy drgnąłem, byłem snem, a sen był mną.

Znów zamknąłem oczy.

Nie ruszać się, nie ruszać się, nie ruszać...

Następnego dnia była sobota i miałem przedpołudniowy trening z drużyną seniorów.

Wiele osób nie mogło pojąć, dlaczego z nimi gram. Przecież wcale nie byłem dobry. Co najmniej sześciu, może nawet siedmiu albo ośmiu w drużynie juniorów grało lepiej ode mnie. Mimo wszystko tylko ja i jeszcze jeden chłopak, Bjørn, zostaliśmy tej zimy przeniesieni do seniorów.

Ja to rozumiałem.

Drużyna seniorów miała nowego trenera. Chciał się przyjrzeć wszystkim juniorom, więc każdy z nas przez tydzień uczestniczył w ich treningach. Mieliśmy trzy szanse na to, żeby się wykazać. Przez całą jesień dużo biegałem i byłem w tak dobrej formie, że zostałem wybrany do reprezentacji szkoły na tysiąc pięćset metrów, chociaż nigdy wcześniej nie uprawiałem lekkoatletyki. Kiedy więc przyszła moja kolej na trenowanie z seniorami i stawiłem się na pokrytym śniegiem zwirowym boisku tuż przy Kjøyta, wiedziałem, że mogę tylko biegać. To moja jedyna szansa. Biegałem więc i biegałem. Za każdym razem, kiedy drużyna przenosiła się na drugą stronę boiska, biegłem pierwszy. Cały czas dawałem z siebie wszystko. Kiedy zaczęliśmy grać, robiłem to samo. Znów biegałem, biegałem z całych sił, nieustannie, pędziłem jak dzikus i po trzech takich treningach wiedziałem, że będzie dobrze. Kiedy więc przyszła wiadomość, że przechodzę wyżej, wcale nie byłem zaskoczony. W przeciwieństwie do innych z drużyny juniorów. Przy każdym złym przyjęciu piłki, przy każdym błędnym podaniu słyszałem: „Co ty, do cholery jasnej, robisz w drużynie seniorów? Dlaczego cię wzięli?”.

A ja wiedziałem dlaczego: dlatego że biegałem.

Trzeba było biegać.

Po treningu, kiedy inni, jak zawsze, śmiali się w szatni z mojego pasa z ćwiekami, poprosiłem Toma, żeby podrzucił mnie do Sannes. Wysadził mnie przy skrzynkach pocztowych, zawrócił i odjechał, a ja ruszyłem do domu. Słońce wisiało nisko na niebie, pogodnym i błękitnym, dookoła mnie migotał śnieg.

Nie uprzedziłem, że przyjadę. Nie wiedziałem nawet, czy tata jest w domu.

Ostrożnie sprawdziłem drzwi. Były otwarte.

Z salonu płynęła muzyka. Słuchał jej głośno, dźwięki wypełniały cały dom. Zorientowałem się, że to Arja Saijonmaa, *Jag vill tacka livet*.

– Hej! – zawołałem.

Pomyślałem, że skoro jest tak głośno, to na pewno mnie nie usłyszał. Zdjąłem więc buty i kurtkę.

Nie chciałem go zaskoczyć, więc jeszcze raz zawołałem „hej” w przedpokoju koło salonu. I znów nie doczekałem się odpowiedzi.

Wszedłem.

Siedział na kanapie z zamkniętymi oczami. Głową kołysał w rytm muzyki. Policzki miał mokre od łez.

Bezszelestnie wycofałem się na korytarz i najszybciej jak zdołałem, chcąc uprzedzić przerwę w muzyce, ubrałem się i wyszedłem.

Całą drogę do przystanku biegłem z torbą na plecach. Na szczęście autobus przyjechał zaledwie dziesięć minut później. Przez cztery czy pięć minut, jakich potrzebowałem na dojazd do Solsletty, dyskutowałem ze sobą, czy wyskoczyć koło Jana Vidara, czy raczej jechać do miasta. Odpowiedź w zasadzie sama mi się nasunęła – nie chciałem być sam, chciałem być z kimś, porozmawiać z kimś, pomyśleć o czymś innym, a u Jana Vidara, zważywszy na życzliwość, jaką zawsze okazywali mi jego rodzice, byłoby mi najlepiej.

Nie zastałem go w domu. Pojechał z ojcem do Kjevik, ale niedługo mieli wrócić, tak powiedziała jego matka. Może chciałbym wejść do pokoju i zaczekać?

Owszem, chciałem. I tam, nad rozłożoną gazetą, z kubkiem kawy i kanapką przed sobą, siedziałem, kiedy Jan Vidar i jego ojciec wrócili godzinę później.

Wieczorem znów pojechałem do domu. Ojca nie było, ja też nie chciałem tam zostać. Nie dość, że było brudno i nieprzyjemnie, co wcześniej musiał trochę przesłonić blask słońca, skoro w ciągu dnia o tym nie myślałem, to jeszcze, jak się zorientowałem, woda zamarzała. Stało się to już jakiś czas temu, bo funkcjonował system wiader i śniegu. W łazience znajdowało się kilka kubłów wypełnionych roztopiającym się śniegiem. Musiał tego używać do spłukiwania toalety. Wiadro śnieżnej brei stało też przy kuchence, prawdopodobnie topił śnieg w garnkach i używał go do gotowania.

Nie, nie chciałem tam zostać. Miałbym nocować w pustym pokoju, w pustym domu w lesie, w bałaganie i bez wody?

On niech tak sobie mieszka.

Gdzie on się zresztą podział?

Wzruszyłem ramionami, chociaż byłem całkiem sam, ubrałem się i poszedłem do autobusu, wśród krajobrazu, który wydawał się zahipnotyzowany światłem księżyca.

Po tym pocałunku pod moim domem Hanne trochę się wycofała, niekoniecznie od razu odpowiadała na moje liściki, nie przesiadywaliśmy też razem, jakby przypadkiem, na przerwach. Ale nie było w tym żadnej logiki, żadnego systemu: któregoś dnia nagle przyjęła moją propozycję, zgodziła się iść ze mną wieczorem do kina; umówiliśmy się w holu za dziesięć siódma.

Kiedy przyszła i zaczęła się za mną rozglądać, poczułem smak tego, jak by to było z nią być. Wtedy wszystkie dni mogłyby wyglądać tak jak ten.

– Cześć – powiedziała. – Długo czekasz?

Pokręciłem głową. Wiedziałem, że przeciągam strunę, dlatego powinienem łagodzić wszystko, co mogło jej przypominać, że nasze dzisiejsze wspólne wyjście właściwie jest przynależne tylko parom. Za nic w świecie nie mogła żałować, że jest tu ze mną. Nie mogła się niespokojnie rozglądać, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma kogoś znajomego. Żadnego obejmowania, żadnego trzymania się za ręce.

Film był francuski, puścili go w najmniejszej sali. To ja go zaproponowałem. Nazywał się *Betty Blue*. Yngve go widział i był zachwycony; teraz siedł u nas w mieście, więc oczywiście musiałem go zobaczyć. Nieczęsto pojawiały się lepsze filmy, zazwyczaj puszczano same amerykańskie.

Usiedliśmy, zdjęliśmy kurtki i oparliśmy się wygodnie. Hanne była nieco spięta. Czyżby tak naprawdę wcale nie chciała tu być?

Spociły mi się dłonie. Wszystkie moje siły jakby rozpuściły się w ciele, roztopiły w nim i zniknęły, nie byłem już zdolny do niczego.

Zaczął się film.

Dwie osoby się pieprzyły.

O nie. Nie, nie, nie.

Nie miałem odwagi spojrzeć na Hanne, ale domyślałem się, że ona przeżywa to samo, bała się nawet zerknąć na mnie, trzymała się mocno podłokietników, pragnąc, żeby ta scena się skończyła.

Ale ona się nie kończyła. Na ekranie cały czas się pieprzyli.

Niech to cholera.

Cholera, cholera, cholera.

Do samego końca filmu myślałem wyłącznie o tej scenie oraz o tym, że Hanne również o niej myślała. Po filmie chciałem już tylko wrócić do domu.

To zresztą było naturalne, autobus Hanne odjeżdżał z dworca; ja szedłem w przeciwną stronę.

– Podobał ci się? – spytałem, stając przed kinem.

– Taak – odpowiedziała Hanne. – Niezły.

– Całkiem niezły. W każdym razie francuski.

Oboje mieliśmy francuski jako przedmiot fakultatywny.

– Rozumiałaś coś z tego, co mówili? To znaczy bez napisów?

– Odrobinę.

Pauza.

– No tak, chyba muszę już wracać do domu. Dziękuję za dzisiejszy wieczór – powiedziałem.

– Do jutra. Trzymaj się!

Patrzyłem za nią, żeby sprawdzić, czy się obejrzy, ale tego nie zrobiła.

Kochałem ją. Między nami nic nie było, ona nie chciała być ze mną, ale ja ją kochałem. Nie myślałem o niczym innym. Nawet kiedy grałem w piłkę, kiedy liczyło się uczestniczenie w grze całym ciałem, nawet wtedy się pojawiała. Hanne powinna tu teraz być i patrzeć na mnie, myślałem. Alebym ją zaskoczył. Za każdym razem, gdy przydarzało mi się coś dobrego, za każdym razem, kiedy rzuciłem jakąś trafną uwagę i w nagrodę słyszałem śmiech, myślałem: Hanne powinna to zobaczyć. Powinna zobaczyć naszego kota Mefista. Nasz dom, panującą w nim atmosferę. Mamę, z nią powinna usiąść i porozmawiać. Rzekę koło domu też powinna zobaczyć. I moje płyty! Powinna ich posłuchać, wszystkich bez wyjątku. Ale nasz związek do tego nie zmierzał. To nie ona chciała wejść do mojego świata, to ja chciałem wejść w jej świat. Niekiedy myślałem, że to się nigdy nie zdarzy, kiedy indziej – że równie dobrze może nastąpić jakiś zwrot, który wszystko odmieni. Cały czas na nią patrzyłem. Nie oceniająco czy badawczo, nie o to chodziło; liczyło się każde mignięcie, tyle mi wystarczało. Myśl o kolejnym spotkaniu podsyciała nadzieje.

W środku tej burzy uczuć przyszła wiosna.

Niewiele rzeczy trudniej sobie wyobrazić niż to, że zimny, przytłoczony śniegiem krajobraz, na wskroś znieruchomiały i pozbawiony życia, już za kilka miesięcy będzie zielony, bujny i ciepły, rozedrgany życiem – od ptaków, fruujących ze śpiewem między drzewami, po roje owadów, zawisających w powietrzu jak grona. W zimowym pejzażu nic nie zapowiada zapachu nagrzanego słońcem wrzосу i mchu, nabrzmiątych sokami drzew i

otwartej wody, która wiosną i latem będzie go wypełniać, nic nie zapowiada poczucia swobody, jakie potrafi ogarnąć człowieka, kiedy jedyną bielą, jaka istnieje, są chmury przesuwające się po błękitnym niebie nad wolno płynącą w rzece niebieską wodą, z jej idealnie gładką, chłodną powierzchnią, którą tu i ówdzie przerywają kamienie, prądy i kąpiące się ciała. Tego wszystkiego jeszcze nie ma, to nie istnieje, wszystko jest białe i ciche, a jeśli coś tę ciszę zakłóca, to jedynie zimny wiatr albo krakanie samotnej wrony. Ale to przyjdzie... Przyjdzie... Któregoś wieczoru w marcu śnieg przechodzi w deszcz i zaspasy się zapadają. W kwietniowe przedpołudnie drzewa wypuszczają pączki, a w pożółkłej trawie pojawia się odcień zieleni. Wyrastają żonkile, zawilce i przylaszczki. Wśród drzew na zboczach ciepłe powietrze zdaje się przybierać kształt kolumn. Na nasłonecznionych stokach rośnie trawa, tu i ówdzie kwitną wiśnie. Jeśli ma się wtedy szesnaście lat, wszystko to robi wrażenie, wszystko zostawia ślad, bo to jest pierwsza wiosna, kiedy się wie, że ona jest, kiedy czuje się wszystkimi zmysłami, że jest wiosna i że to ostatnia taka wiosna, bo w porównaniu z tą pierwszą wszystkie następne będą blakły. A jeśli człowiek jest na dodatek zakochany, to... to tylko kwestia tego, żeby wytrzymać. Wytrzymać całą tę radość, całe piękno, przeszłość objawiającą się we wszystkim.

Wracając do domu ze szkoły, zobaczyłem pryzmę śniegu, która topniała na asfalcie, i poczułem się tak, jakby ktoś wbił mi sztydło w serce. Dostrzegłem kilka skrzynek owoców pod markizą przed sklepem, kawałek dalej skakała wrona. Odwróciłem głowę do nieba, było tak pięknie. Szedłem przez dzielnicę willową. Lunał przelotny deszcz i łzy zakręciły mi się w oczach.

Jednocześnie robiłem wszystko to, co zawsze. Chodziłem do szkoły, grałem w piłkę, włóczyłem się z Janem Vidarem, czytałem książki, słuchałem płyt, od czasu do czasu spotykałem się z tatą – dwa razy przypadkiem, tak jak wtedy kiedy spotkałem go w supermarkecie, a on wydawał się wręcz zawstydzony, że go tam zobaczyłem. Może zareagował na sztuczność tej sytuacji, na to, że pchamy osobne wózki, nie wiedząc o sobie, że spotkamy się tylko po to, żeby się rozejść. Albo tak jak tamtego przedpołudnia, kiedy szedłem do domu, a on zjeżdżał samochodem ze wzgórza; obok niego siedział kolega, całkiem siwy, chociaż młody. Najczęściej jednak widywaliśmy się wtedy, gdy to zaplanowaliśmy – albo w domu, gdzie zresztą tata trzymał się jak najdalej ode mnie, albo zachodził po mnie do mieszkania i szliśmy do dziadków na obiad. Sprawiał wrażenie, jakby wypuścił mnie z rąk, ale nie bezwarunkowo. Wciąż zdarzało mu się atakować, tak jak owego dnia, gdy przekłułem sobie uszy; kiedy natknęliśmy się na siebie w korytarzu, oświadczył, że wyglądam jak idiota i że nie może pojąć, dlaczego akurat na tym mi zależy. Dodał, że wstydzi się, iż jest moim ojcem.

Pewnego wczesnego marcowego popołudnia usłyszałem, że koło mojego mieszkania parkuje jakiś samochód. Zszedłem na dół i wyjrzałem przez okno. To był tata, w ręku miał torbę. Wyglądał na zadowolonego. Czym prędzej wróciłem do pokoju na górze. Nie

chciałem wyjść na ciekawskiego, który przyklepia nos do szyby. Słyszając, jak krząta się po kuchni, nastawiłem kasetę The Doors, którą pożyczył mi Jan Vidar i której chciałem posłuchać po przeczytaniu *Beatlesów* Saabye Christensena. Wziąłem plik wycinków z artykułami o sprawie Treholta^[5], które zbierałem, bo byłem pewien, że ten temat pojawi się na egzaminie, i zająłem się ich czytaniem. Nagle na schodach rozległy się jego kroki.

Spojrzałem na drzwi, kiedy wszedł. W ręku trzymał coś, co wyglądało na listę zakupów.

– Nie skoczyłbyś do sklepu?

– Mogę iść.

– Co czytasz?

– Nic specjalnego. Do szkoły, na norweski.

Wstałem. Promienie słońca rozlewały się na podłodze. Okno było otwarte, na dworze śpiewały ptaki, siedzące na starej jabłoni w odległości zaledwie kilku metrów ode mnie. Tata podał mi listę.

– Mama i ja postanowiliśmy się rozwieść – powiedział.

– Tak?

– Tak. Ale na tobie to się nie odbije. Nie zauważysz żadnej różnicy. Poza tym już niedługo będziesz dorosły. Za dwa lata wyprowadzisz się z domu.

– No tak, to prawda – przyznałem.

– Okej? – spytał.

– Okej.

– Zapomniałem dopisać ziemniaki. I może powinniśmy mieć coś na deser? A zresztą nie. Masz tu pieniądze.

Dał mi pięćsetkę, schowałem ją do kieszeni, zszedłem po schodach na dół i pomaszerowałem ulicą wzdłuż rzeki do supermarketu. Chodziłem między półkami i wkładałem produkty do koszyka. Przez ową czynność nie przebijało się nic z tego, co tata powiedział. Rozwodzą się. No cóż, no to się rozwodzą. Pomyślałem, że może byłoby inaczej, gdybym był młodszy. Gdybym miał osiem, dziewięć lat, wtedy naprawdę miałyby to jakieś znaczenie. Ale teraz nie odgrywało to żadnej roli, miałem własne życie.

Zaniósłem mu zakupy, ugotował obiad, zjedliśmy razem, niewiele się odzywając.

Pojechał.

Cieszyło mnie to. Tego wieczoru Hanne miała śpiewać w kościele. Spytała, czy przyjdę posłuchać, oczywiście bardzo chciałem. Był tam również jej chłopak, więc się nie pokazałem, ale kiedy widziałem, jak stoi taka czysta i piękna, czułem, że jest moja. Niczyje uczucia dla niej nie mogły się mierzyć z moimi. Na dworze asfalt był pokryty kurzem, resztki śniegu leżały w zagłębieniach wzdłuż zacienionych zboczy po obu stronach drogi, ona śpiewała, a ja byłem szczęśliwy.

W drodze do domu wysiadłem przy dworcu autobusowym i ostatni odcinek przez miasto

przeszedłem piechotą, co wcale nie zmniejszyło targającego mną niepokoju. Tyle miałem w sobie uczuć i były takie silne, że nie bardzo potrafiłem sobie z nimi poradzić. Po przyjeździe do domu położyłem się na łóżku i zacząłem płakać. W tym płaczu nie było rozpaczy, żalu ani gniewu, była jedynie radość.

Następnego dnia zostaliśmy w klasie sami. Wszyscy wyszli, a my oboje się grzebaliśmy, ona być może dlatego, że chciała usłyszeć, co myślę o wczorajszym koncercie. Powiedziałem jej, że śpiewała fantastycznie, że była fantastyczna. Rozjaśniła się, pakując szkolną torbę. Nagle wszedł Nils. Nie podobało mi się to, jego obecność kładła się na nas cieniem. Chodziliśmy razem na francuski, a on się różnił od pozostałych chłopaków z pierwszej klasy. Włączył się ze starszymi od siebie po miejskich pubach, był niezależny w swoich opiniach i samodzielny w życiu. Dużo się śmiał, żartował sobie ze wszystkich, również ze mnie. Zawsze wtedy czułem się mały, nie wiedziałem, gdzie patrzeć ani co powiedzieć. Teraz zaczął rozmawiać z Hanne. Jakby ją okrążał, spoglądał jej w oczy, śmiał się, podchodził coraz bliżej, nagle stanął tuż przy niej. Niczego innego się po nim nie spodziewałem, więc nie to wywołało we mnie wzburzenie, ale sposób, w jaki Hanne zareagowała. Nie odrzuciła go, nie zbyła go śmiechem. Otworzyła się na niego, mimo że ja byłem obok. Śmiała się razem z nim, wytrzymywała jego spojrzenie, nawet lekko rozsunęła kolana, siedząc na ławce, kiedy do niej podszedł. Jakby ją zaczarował. Przez chwilę stał, patrząc jej głęboko w oczy, to był moment napięcia, wypełniony niepokojem, potem zaśmiał się swoim złośliwym śmiechem i cofnął o kilka kroków. Rzucił jakiś rozbrajający komentarz, uniósł rękę, żegnając się ze mną, i wyszedł. Oszalały z zazdrości, patrzyłem na Hanne, która wróciła do tego, co robiła wcześniej, ale wcale nie tak, jakby nic się nie zdarzyło. Skupiła się na sobie w zupełnie inny sposób.

Co się stało? Hanne, jasna, śliczna, rozbawiona, wesoła, zawsze z jakimś pełnym zdziwienia, często naiwnym pytaniem na ustach – co się w niej zmieniło? Co właśnie widziałem? Mrok, głębieć, może nawet gwałtowność. Czy ona to w sobie miała? Odpowiedziała Nilsowi, tylko przez moment, ale jednak. Wtedy, w tamtym momencie, byłem nikim. Zostałem unicestwiony. Ja, ze wszystkimi liścikami, które do niej pisałem, ze wszystkimi dyskusjami, które z nią odbyłem, ze wszystkimi prostymi nadziejami i dziecinnymi pragnieniami, byłem nikim, wołaniem na szkolnym podwórzu, kamieniem w osuwisku, trąbieniem samochodu.

Czy ja mógłbym to z nią zrobić? Mógłbym ją do tego doprowadzić?

Czy w ogóle kogoś mógłbym do tego doprowadzić?

Nie.

Dla Hanne byłem i pozostałem nikim.

Dla mnie ona była wszystkim.

Usiłowałem bagatelizować to, co widziałem, również przy niej, w dalszym ciągu zachowując się tak jak dawniej i w ten sposób udając, że wystarczy mi to, co jest. Ale nie wystarczało, wiedziałem o tym, byłem tego pewny. Miałem jedynie nadzieję, że ona się o tym nie dowie. Ale w jakim ja świecie żyłem? W jakie mrzonki właściwie wierzyłem?

Dwa dni później, po rozpoczęciu ferii wielkanocnych, przyjechała mama.

Tata powiedział mi o rozwodzie tak, jakby wszystko już było rozstrzygnięte i ostateczne. Ale kiedy zobaczyłem mamę, zrozumiałem, że ona wcale tak nie uważa. Pojechała prosto do Sannes, gdzie czekał na nią tata, spędzili tam razem dwa dni, podczas gdy ja włóczyłem się po mieście, starając się zabić czas.

W piątek zaparkowała samochód pod moim domem. Zobaczyłem ją przez okno. Jedno oko miała mocno podbite. Otworzyłem drzwi.

– Co się stało? – spytałem.

– Wiem, co sobie myślisz – powiedziała. – Ale to wcale nie tak. Upadłam. Zemdlałam. Wiesz, że czasami mi się to zdarza. Przewróciłam się i uderzyłam o kant stołu. Tego szklanego, no wiesz...

– Nie wierzę ci.

– Ale taka jest prawda. Zemdlałam. Nic więcej się nie wydarzyło.

Cofnąłem się o krok i mama weszła do przedpokoju.

– Jesteście już rozwiedzeni? – zapytałem.

Odstawiła walizkę, jasny płaszcz powiesiła na wieszaku.

– Tak – odpowiedziała.

– Przykro ci?

– Czy mi przykro?

Spojrzała na mnie szczerze zdumiona, jakby taka możliwość w ogóle nie przyszła jej do głowy.

– Nie wiem – odparła w końcu. – Może smutno. A tobie? Jak będzie z tobą?

– W porządku. Bylebym tylko nie musiał mieszkać z tatą.

– O tym też rozmawialiśmy. Ale teraz muszę się napić kawy.

Poszedłem za nią do kuchni, obserwowałem, jak nalewa wody do dzbanka, siada na krześle z torebką na kolanach, wyjmując papierosy, barclaye – najwyraźniej zaczęła palić w Bergen – wyciąga jednego i zapala.

Popatrzyła na mnie.

– Wrócę do domu. Tam będziemy mieszkać razem, ty i ja. A tata przeprowadzi się tutaj. Prawdopodobnie będę musiała go spłacić, chociaż nie bardzo wiem, jak to zrobić. Ale jakoś dam radę.

– No tak – powiedziałem tylko.

– A ty? – spytała. – Co u ciebie? Bardzo się cieszę, że cię widzę.

– Ja też. Przecież nie widzieliśmy się od Bożego Narodzenia. A tak strasznie dużo się wydarzyło.

– Naprawdę?

Wstała, wyjęła z szafki popielniczkę, a przy okazji od razu torbę z kawą i postawiła ją na blacie; woda już lekko szumiała, trochę jak morze, kiedy człowiek się do niego zbliża.

– Tak.

– Chyba coś dobrego, przynajmniej na to wygląda – stwierdziła z uśmiechem.

– Owszem. Zakochałem się. Po prostu.

– Świetnie. To ktoś, kogo znam?

– A kto by to mógł być ze znajomych? Nie, to dziewczyna z klasy. I to akurat jest trochę głupie, ale nic się na to nie poradzi. Tego nie można zaplanować.

– Nie można – przyznała. – Jak jej na imię?

– Hanne.

– Hanne – powtórzyła, patrząc na mnie z uśmiechem. – Kiedy ją poznam?

– Właśnie w tym problem. Nie jesteśmy razem. Ona chodzi z innym.

– A więc to nie takie proste.

– No nie.

Westchnęła.

– Nie zawsze jest prosto. Ale ty dobrze wyglądasz, wydajesz się zadowolony.

– Nigdy nie byłem taki zadowolony. Nigdy.

Z jakiegoś idiotycznego powodu, kiedy to powiedziałem, poczułem, że będę płakał. Nie tylko zwilgotniały mi oczy, co zdarzało się czasami, kiedy mówiłem o czymś, co mnie wzruszało, ale tym razem łzy popłynęły mi po policzkach.

Uśmiechnąłem się.

– To łzy radości – oświadczyłem. I zaszlochałem. Łzy ciekły mi ciurkiem, aż w końcu musiałem się odwrócić. Na szczęście woda się zagotowała i mogłem zdjąć dzbanek z kuchenki. Nasypać kawy, wcisnąć pokrywkę, kilka razy stuknąć dzbankiem o płytę, wyjąć dwie filiżanki. Kiedy stawiałem je na stole, wszystko już było w porządku.

Pół roku później, pod koniec lipca, wysiadłem wieczorem z ostatniego autobusu na przystanku koło wodospadu. Przez ramię miałem przerzucony marynarski worek; byłem w Danii na obozie treningowym, a zaraz potem na imprezie klasowej nad morzem. Czuję się szczęśliwy. Było kilka minut po wpół do jedenastej. Ciemność, która miała zapasć, już zapadła, spowijając okolice szarawym welonem. Wodospad huczał w dole. Ruszyłem pod górę drogą obramowaną krawężnikiem. Z jednej strony łąka stromo opadała ku drzewom

rosnącym wzdłuż rzeki. Po drugiej stronie stała stara farma, zrujnowana stodoła szczyrzyła zęby do drogi. Światła w głównym budynku pogaszono. Minąłem zakręt, tam stał następny dom. Staruszek, który w nim mieszkał, siedział w salonie przy włączonym telewizorze. Po drugiej stronie rzeki jechał tir. Dźwięk docierał do mnie z opóźnieniem. Zmianę biegu, kiedy forsował nieduże wzniesienie, usłyszałem dopiero, kiedy był już na górze. Nad koronami drzew na tle bladego nieba latały dwa nietoperze. Pomyślałem o borsuku, na którego często się natykałem, wracając do domu ostatnim autobusem. Wędrowałem pod górę, a on zwykle szedł w stronę drogi wzdłuż strumienia. Na wszelki wypadek zawsze brałem do ręki kamień. Czasami spotykałem go też na drodze, stawał wtedy i patrzył na mnie, po czym zawracał i uciekał charakterystycznym, kołyszącym się krokiem.

Zatrzymałem się w tym miejscu, rzuciłem worek na ziemię, postawiłem nogę na krawężniku i zapaliłem papierosa. Nie miałem jeszcze ochoty wracać do domu. Chciałem to przeciągnąć choćby o kilka minut. Mama, z którą mieszkałem tu przez całą wiosnę i połowę lata, była teraz w Sørbøvåg. Nie spłaciła jeszcze ojca, a on postanowił skorzystać z przysługującego mu prawa i mieszkać w naszym domu razem ze swoją nową partnerką Unni, dopóki szkoła się nie zacznie.

Znad lasu wyłonił się duży samolot. Powoli zatoczył łuk i wyprostował się, sekundę później przeleciał nade mną. Światła na skrzydłach mrugały, spod nich wysuwały się koła. Obserwowałem samolot, dopóki nie straciłem go z oczu. Słyszałem jeszcze warkot, coraz słabszy, aż w końcu też ucichł, na chwilę przed wylądowaniem na Kjevik. Lubiłem samoloty właściwie od zawsze, nawet po trzech latach mieszkania na trasie, na której podchodziły do lądowania, ciągle patrzyłem na nie z radością.

Rzeka połyskiwała w letnim mroku. Dym z papierosa nie wznosił się w górę, lecz rozpląwał i poziomo zawisał w powietrzu. Nie było nawet tchnienia wiatru, a kiedy warkot samolotu ucichł – naprawdę żadnego dźwięku. A właściwie nie, przecież słychać było nietoperze, które wznosiły się i opadały w zależności od tego, dokąd zawiodły je trzepoczące skrzydła.

Na wysuniętym języku zgasilem papierosa, rzuciłem go na ziemię, wziąłem worek na plecy i ruszyłem dalej. W domu Williama się świeciło. Na następnym zakręcie gęste liście w koronach drzew zasłaniały całe niebo. Od mokradeł między drogą a rzeką dochodził rechot żab czy ropuch. Nagle dostrzegłem jakiś ruch u stóp zbocza. To był borsuk. Nie zauważył mnie, truchtał po asfalcie. Zrobiłem kilka kroków na drugą stronę jezdni, aby mógł swobodnie przejść, ale wtedy podniósł łeb i stanął. Piękny był z tym swoim hipsterskim, pasiastym, czarno-białym pyszczkiem! Futro miał szare, ślepia żółte i przebiegłe. Przeszedłem przez murek i stanąłem na zboczu za drogą. Borsuk prychnął i dalej się we mnie wpatrywał. Najwyraźniej oceniał sytuację, bo kiedy go spotykałem wcześniej, natychmiast zawracał i uciekał. Teraz nagle podjął marsz i ku mojej wielkiej radości potruchnął pod górę. Dopiero po zejściu na drogę usłyszałem cichą muzykę, która musiała rozbrzmiewać już od pewnego czasu.

Czyżby z naszego domu?

Szybko pokonałem ostatnią część wzniesienia i popatrzyłem w tamtą stronę. W naszym domu świeciło się we wszystkich oknach. Tak, to stamtąd dochodziła muzyka, prawdopodobnie płynęła z salonu, przez otwarte drzwi. Zrozumiałem, że trwa impreza, bo po trawniku snuło się kilka postaci, ciemnych i tajemniczych w szarawym nocnym świetle. Normalnie poszedłbym wzdłuż strumienia do zachodniej części domu, ale skoro trwała impreza i pełno było obcych ludzi, nie chciałem znieacka wyłonić się z lasu, dlatego wybrałem drogę naokoło.

Samochody stały wzdłuż całego podjazdu, na łące, przy stodole i na podwórzu. Zatrzymałem się na szczycie wzgórza, żeby trochę się pozbierać. Przez podwórze szedł mężczyzna w białej koszuli, nie zauważył mnie. Z ogrodu na tyłach domu dobiegał gwar rozmów. Przy stole w kuchni, który widziałem przez okno, siedziały dwie kobiety z mężczyzną, przed nimi stały kieliszki z winem. Śmiali się i popijali na przemian.

Wziąłem głębszy oddech i ruszyłem w stronę drzwi wejściowych. W ogrodzie od strony lasu ustawiono długi stół. Biały obrus jaśniał w głębokim cieniu pod koronami drzew. Siedziało przy nim sześć czy siedem osób, wśród nich tata. Patrzył wprost na mnie. Kiedy napotkał moje spojrzenie, wstał i pomachał mi ręką. Zdjąłem worek, położyłem go przy progu i podszedłem do niego. Jeszcze nigdy go takiego nie widziałem. Miał na sobie obszerną białą bluzę z haftem wokół wycięcia w serek, niebieskie džinsy, jasnobrązowe skórzane buty. Twarz, niemal ciemnobrązowa od słońca, zdawała się lśnić, oczy błyszczały.

– Jesteś, Karl Ove! – powiedział, kładąc mi rękę na ramieniu. – Myśleliśmy, że przyjedziesz wcześniej. Jak widzisz, bawimy się. Możesz chyba trochę z nami zostać? Siadaj!

Zrobiłem, jak prosił. Usiadłem przy stole, tyłem do domu. Jediną znaną mi osobą w tym gronie była Unni. Ona też miała na sobie taką białą bluzę, kubrak, czy jak to nazwać.

– Cześć, Unni – przywitałem się.

Uśmiechnęła się do mnie ciepło.

– To jest właśnie Karl Ove, mój młodszy syn – przedstawił mnie tata, siadając po drugiej stronie stołu obok Unni. Skinąłem głową pozostałej piątce.

– A to jest Bodil – zwrócił się do mnie. – Moja kuzynka.

Nigdy nie słyszałem o żadnej kuzynce Bodil i prawdopodobnie spojrzełem na nią trochę zdziwiony, bo uśmiechnęła się i wyjaśniła:

– W dzieciństwie twój ojciec i ja spędzaliśmy ze sobą dużo czasu.

– I w młodości – dodał tata. Zapalił papierosa, zaciągnął się, z zadowoloną miną wydmuchał dym. – A to Reidar, Ellen, Martha, Erling i Åge, wszystko moi koledzy z pracy.

– Cześć – rzuciłem tylko.

Na stole stało mnóstwo szklanek, butelek, półmisek i talerzyków. Dwie wielkie misy, z

których wysypywały się skorupki krewetek, nie pozostawiały żadnych wątpliwości, co było na kolację. Mężczyzna, którego imię ojciec wymienił na samym końcu, Åge, czterdziestolatek w dużych okularach w cienkich oprawkach, wypił kilka łyżków piwa, przyglądając mi się, a kiedy odstawił szklanę, spytał:

– Podobno byłeś na jakimś obozie treningowym?

Kiwnąłem głową.

– W Danii – odpowiedziałem.

– Gdzie w Danii?

– W Nykøbing.

– Na wyspie Mors?

– Tak. Chyba tak. To była jakaś wyspa na Limfjorden.

Roześmiał się i rozejrzał.

– Przecież stamtąd pochodził Aksel Sandemose! – powiedział i znów spojrzał na mnie. – Wiesz, jakie prawo opisał, przyjmując za punkt wyjścia miasto, w którym byłeś?

O co chodziło? Byliśmy w szkole, czy jak?

– Wiem. – Spuściłem wzrok. Nie chciałem wypowiedzieć tego słowa, nie chciałem mu dać tej satysfakcji.

– Czyli? – dopytywał się.

Kiedy podniosłem wzrok i spojrzałem mu w oczy, byłem równie zbuntowany jak zawstydzony.

– Prawo Jante^[6] – wydusiłem z siebie.

– No właśnie.

– Fajnie było? – spytał tata.

– Pewnie – odpowiedziałem. – Fajne boiska. Fajne miasto.

Nykøbing. Zmierzałem do szkoły, w której mieszkaliśmy. Cały wieczór i noc spędziłem z pewną poznaną tam dziewczyną, szalała za mną; czterej chłopcy z drużyny, którzy imprezowali z nami, poddali się wcześniej, zostaliśmy tylko we dwoje, i kiedy już wracałem, pijany bardziej niż zwykle, zatrzymałem się przed jednym z domów w mieście. Wszystkie szczegóły się zatarty, nie pamiętałem, że zostawiłem tę dziewczynę, nie pamiętałem, że tamtędy wracałem, ale stanąwszy pod drzwiami tego domu, nagle jakby doszedłem do siebie. Wyjąłem z ust żarzącego się papierosa i przez listownik wrzuciłem go do środka. Potem znów wszystko stało się mgliste, ale w taki czy inny sposób musiałem dotrzeć do szkoły, wejść do środka i położyć się do łóżka; zbudzono mnie na śniadanie i trening trzy godziny później. Niegaszony papieros, którego wrzuciłem do jakiegoś domu, przypomniał mi się nagle, kiedy siedzieliśmy pod jednym z ogromnych liściastych drzew na

skraju boiska i gadaliśmy. Zdjęty strachem zerwałem się, kopnąłem piłkę i pobiegłem za nią. A jeśli tam zaczęło się palić? A jeśli w tym pożarze zginęli ludzie? Kim ja się stałem?

Udało mi się przez kilka dni wypierać ten incydent, ale teraz, tego pierwszego wieczoru po powrocie do domu, gdy siedziałem przy długim stole w ogrodzie, znów ogarnął mnie lęk.

– W jakiej drużynie grasz, Karl Ove? – spytał inny mężczyzna.

– Tveit – odparłem.

– W której lidze jesteście?

– Ja gram w juniorach, ale seniorzy są w piątej.

– A więc to nie Start – powiedział. Po jego dialekcie poznałem, że pochodzi z Vennesli, więc łatwo przyszło mi odparować:

– Nie, raczej Vindbjart^[7].

Śmiali się z mojej kontry. Spuściłem wzrok. Miałem poczucie, że za bardzo skupiam na sobie uwagę. Ale kiedy po chwili zerknąłem na tatę, zobaczyłem, że patrzy na mnie z uśmiechem.

Tak, oczy mu błyszcząły.

– Nie napiłbyś się piwa, Karl Ove? – spytał.

Kiwnąłem głową.

– Chętnie.

Rozejrzał się po stole.

– Wygląda na to, że tutaj jest już pusto – stwierdził. – Ale w kuchni stoi skrzynka, stamtąd możesz sobie wziąć.

Wstałem. Kiedy byłem już blisko drzwi, z domu wyszły dwie osoby, mężczyzna i kobieta, obejmowali się. Ona w letniej białej sukience. Gołe opalone ramiona i łydki. Piersi ciężkie, brzuch i biodra pełne. Na twarzy wyraz nasycenia, łagodne oczy. On, ubrany w jasnoniebieską koszulę i białe spodnie, miał nieduży brzusek, poza tym był chudy. Chociaż się uśmiechał i miał rozbiegane, zamglone alkoholem oczy, zwróciłem uwagę przede wszystkim na sztywność rysów jego twarzy. Ruch w nich ustał, zostały po nim tylko ślady, trochę jak w wyschniętym łożysku rzeki.

– Cześć – powiedziała kobieta. – Jesteś synem gospodarza?

– Tak. Cześć.

– Pracuję razem z twoim ojcem.

– Miło mi. – Na szczęście nie musiałem nic więcej dodawać, bo ruszyli dalej. Kiedy byłem w przedpokoju, otworzyły się drzwi łazienki i wyszła z niej niewysoka, krępa, ciemnowłosa kobieta w okularach. Ledwie musnęła mnie wzrokiem, zaraz spuściła oczy, przeszła obok i zniknęła w głębi domu. Dyskretnie wciągnąłem nosem zapach jej perfum,

świeży, kwiatowy aromat i ruszyłem za nią. Zaraz jednak wszedłem do kuchni, siedziała tam ta sama trójka, którą widziałem wcześniej przez okno. Mężczyzna, również koło czterdziestki, szeptał coś do ucha kobiecie siedzącej po jego prawej stronie. Uśmiechnęła się, ale to był oficjalny uśmiech. Druga kobieta grzebała w trzymanej na kolanach torebce. Spojrzała na mnie, jednocześnie kładąc na stole nienapoczętą paczkę papierosów.

– Cześć – powiedziałem. – Przyszedłem tylko po piwo.

Pod ścianą przy drzwiach stały dwie pełne skrzynki. Wziąłem butelkę z tej na gorze.

– Ma ktoś otwieracz? – spytałem.

Mężczyzna wyprostował się i poklepał po udzie.

– Mam zapalniczkę. Proszę.

Wysunął rękę do rzutu od dołu, powoli, tak żebym mógł się przygotować na to, co nastąpi, i zapalniczka poszybowała w powietrzu. Uderzyła w futrynę, z brzękiem upadła na podłogę. Gdyby nie ten jego manewr, nie wiedziałbym, jak rozwiązać tę sytuację, bo takiej paternalizacji, jaka wyniknęłaby z poproszenia go o otwarcie piwa, wcale sobie nie życzyłem, ale ponieważ to on podjął grę, która nie wyszła, sytuacja się odwróciła.

– Nie umiem otwierać zapalniczką – powiedziałem. – Ale może pan mógłby mi otworzyć?

Podniosłem zapalniczkę i podałem mu ją razem z butelką. Nosił okrągłe okulary; połowę czaszki miał łysą, natomiast włosy na drugiej połowie sterczały w górę jak fala na końcu bezkresnej plaży, której nigdy nie zdoła sforsować, co sprawiało wrażenie pewnej desperacji. W każdym razie takie wrażenie zrobił na mnie. Grzbiety palców, zaciskających się teraz na zapalniczkę, miał owłosione. Na nadgarstku nosił zegarek na srebrnej bransoletce.

Kapsel odskoczył z cichym cmoknięciem.

– Proszę – podał mi butelkę. Podziękowałem, przeszedłem do salonu, w którym kilka osób tańczyło, i wyszedłem do ogrodu. Przy maszcie flagowym stała niewielka grupa gości z kieliszkami w rękach; zapatrzeni w dolinę, rozmawiali.

Piwo smakowało fantastycznie. W Danii piłem co wieczór, piłem też całą poprzednią noc, więc niewiele było trzeba, żebym się upił. Ale tego nie chciałem. Jeślibym się urznął, to jakbym się wślizgnął w ich świat, pozwolił mu się całkiem pochłonąć i nie czułbym już żadnej różnicy, może nawet nabrałbym ochoty na którąś kobietę z tego świata. A to była ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył.

Rozejrzałem się. Popatrzyłem na rzekę, która wijąc się wokół trawiastego cypla z bramkami do piłki nożnej, wpływała wolno między wielkie drzewa rosnące wzdłuż brzegu, teraz całkiem czarne na tle lśniącej ciemnoszarej powierzchni wody. Wzgórza, wznoszące się po drugiej stronie i falą opadające ku morzu, też były całkiem czarne, co sprawiało, że światła domów położonych między rzeką a wzgórzami świeciły mocno i wyraźnie, natomiast gwiazdy na niebie, szarawym przy ziemi, a niebieskawym wyżej, pozostawały

prawie niewidoczne.

Goście przy maszcie z czegoś się śmiali. Stali w odległości zaledwie kilku metrów ode mnie, ale rysów ich twarzy nie widziałem wyraźnie. Zza rogu wyszedł mężczyzna z brzuszkami. Sprawiał wrażenie, jakby wyłonił się z mgły. Moje zdjęcie z konfirmacji zrobiono właśnie w tym miejscu, przy maszcie, stałem między rodzicami.

Wypiłem łyk piwa i ruszyłem na drugi koniec ogrodu, gdzie nikt z gości jeszcze nie dotarł. Usiadłem po turecku pod brzozą. Muzyka dochodziła tu jakby przyciszona, głosy i śmiech także, a ruchy były jeszcze mniej zauważalne. W mroku otaczającym rozświetlony dom ludzie poruszali się jak duchy. Pomyślałem o Hanne. Ona była we mnie, a poza tym istniała jak realne miejsce, w którym przez cały czas pragnąłem być. Możliwość faktycznego znalezienia się tam, kiedy chciałem, odbierałem jako łaskę. Poprzedniej nocy na imprezie klasowej siedzieliśmy na gładkiej skale wystającej z morza i rozmawialiśmy. Nic się nie wydarzyło. Tylko tyle. Skała, Hanne, cieśnina z płaskimi wysepkami, morze. Tańczyliśmy, bawiliśmy się, zesliśmy po schodkach z pomostu i kapaliśmy się po ciemku. Było fantastycznie. I to fantastyczne uczucie stało się niezniszczalne, żyło we mnie przez cały tamten dzień. Żyło we mnie teraz. Byłem nieśmiertelny. Wstałem, świadom własnej siły w każdej komórce ciała. Miałem na sobie szary T-shirt, zielone wojskowe spodnie do pół łydki i białe adidas do koszykówki, to wszystko, ale wystarczało. Nie byłem silny, ale szczupły, zwinny i piękny jak młody bóg.

Czy mogłem do niej zadzwonić?

Mówiła przecież, że wieczorem będzie w domu.

Ale musiała już dochodzić dwunasta. I chociaż może Hanne nie miałyby nic przeciwko temu, reszta rodziny raczej nie byłaby zachwycona.

A jeśli ten dom się spalił? Jeśli ktoś spłonął żywcem?

Niech to szlag.

Ruszyłem trawnikiem, próbując odsunąć od siebie tę myśl; omiotłem wzrokiem żywopłot, dom, dach aż do wielkich krzaków bzu na końcu trawnika – zapach ciężkich fioletowych kwiatów docierał do drogi; idąc, wypłem ostatni łyk z butelki; dostrzegłem dwie zaczerwienione kobiece twarze, kobiety przycupnęły na schodkach z podciągniętymi kolanami, każda z nich trzymała w palcach papierosa; rozpoznałem je, wcześniej siedziały przy stole, uśmiechnęły się lekko, kiedy je mijałem; wszedłem do domu, najpierw do salonu, potem do kuchni, w której nikogo już nie było, wziąłem jeszcze jedną butelkę i po schodach poszedłem na górę do swojego pokoju, tam usiadłem na krześle pod oknem, odchyliłem głowę do tyłu i zamknąłem oczy.

O, tak.

Głośniki w salonie znajdowały się tuż przede mną, a dom był tak akustyczny, że wyraźnie słyszałem każdy dźwięk.

Co oni puszczali?

Agnethę Fältskog. Hit zeszłego lata. Jak on się nazywał?

Było coś niegodnego w dzisiejszym stroju taty. W tym białym kubraku czy bluzie, czy to, do cholery, było. Zawsze, odkąd pamiętałem, ubierał się w sposób prosty, poprawny, odrobinę konserwatywny. Jego garderoba składała się z koszul, garniturów, marynarek, w tym wielu tweedowych, spodni z terylenu, sztruksu i bawełny, swetrów z wełny jagnięcej i zwykłej. Bliżej mu było do wykładowcy starej daty niż do nowoczesnego, luzackiego nauczyciela, ale nie był staroświecki, nie na tym polegała różnica. Chodziło raczej o różnicę między miękkością a twardością, między tym, co usiłuje zlikwidować dystans, a tym, co stara się go zachować. To była kwestia wartości. Gdy nagle pojawiał się w haftowanych spodniach z ludowej spółdzielni albo w koszulach z falbankami, w jakich miałem okazję widywać go wcześniej tego lata, czy w rozdeptanych skórzanych butach, w których dobrze czułby się Lapończyk, powstawała ogromna sprzeczność między tym, kim był, o czym dobrze wiedziałem, a tym, jak się prezentował. Sam stałem po stronie miękkości, przeciwny wojnom i autorytetom, hierarchiom i wszelkim formom twardości, w szkole nie chciałem się uczyć niczego na pamięć, uważałem, że mój intelekt powinien rozwijać się bardziej organicznie, politycznie stałem daleko na lewo, niesprawiedliwy podział zasobów świata strasznie mnie wkurzał, chciałem, żeby wszyscy mogli korzystać z dóbr, a zatem kapitalizm i rządy pieniądza traktowałem jak wroga. Żyłem w przekonaniu, że wszyscy ludzie mają taką samą wartość, a wewnętrzne zalety człowieka są ważniejsze niż zewnętrzne. Innymi słowy, byłem za głębią, a przeciwko powierzchni, za dobrem, a przeciwko złu, za miękkością, a przeciwko twardości. Powinienem więc chyba się cieszyć, że mój ojciec przeszedł do szeregów miękkih? Tak jednak nie było, ponieważ dla symboli miękkości, czyli dla okrągłych okularów, aksamitnych spodni, miękkih skórzanych butów, dostosowanych do kształtu stopy, czy robionych na drutach swetrów, żywiłem pogardę, gdyż obok ideałów politycznych miałem też inne ideały, związane z muzyką, a one nakazywały co innego – należało wyglądać dobrze, wyglądać *cool*, co z kolei było ściśle związane z czasami, w których żyliśmy. To im należało dawać wyraz, ale nie temu, co wiązało się z listami przebojów, nie w formie pastelowych kolorów i żelu do włosów, bo to miało związek z konsumpcją, z powierzchownością i rozrywką. Należało dawać wyraz innowacyjnej, ale świadomej tradycji, uczuciowej, ale mądrej, inteligentnej, ale prostej, sztucznej, ale prawdziwej muzyce, nieprzeznaczonej dla wszystkich, niesprzedającej się świetnie, jednak mimo wszystko wyrażającej doświadczenia całego pokolenia, mojego pokolenia. Ach, to co nowe! Stałem po stronie nowego. A Ian McCulloch z Echo & The Bunnymen był moim największym idolem. Płaszcz, wojskowe kurtki, buty do koszykówki, czarne okulary przeciwsłoneczne. To było dalekie od haftowanej bluzy mojego ojca i lapońskich butów. Jednakże nie na tym polegał problem, bo przecież tata należał do innego pokolenia, i myśl, że to pokolenie miałoby zacząć się ubierać tak jak Ian McCulloch, słuchać brytyjskiej muzyki indie, przejmować się wydarzeniami na scenie amerykańskiej, wyłapywać debiutancki album R.E.M. albo Green on Red, a z czasem być może dodać do swojej garderoby sznurkowy krawat, wydawała się koszmarem. Raczej chodziło o to, że

haftowana bluza i lapońskie buty to nie był on. W tym nowym stroju jakby się rozmazywał, jakby zmienił się w coś bezkształtnego, niepewnego, niemal kobiecego, jakby w ogóle stracił kontakt z samym sobą. Zniknęła gdzieś nawet twardość w jego głosie.

Otworzyłem oczy i odwróciłem się, żeby przez okno móc widzieć stół na skraju lasu. Siedziały tam teraz tylko cztery osoby. Tata, Unni, kobieta, którą przedstawił jako Bodil, i jeszcze ktoś. Za krzakami bzu, niewidoczny dla nich, ale nie dla mnie, sikał mężczyzna, zapatrzony w rzekę.

Tata uniósł głowę i skierował wzrok na okno. Serce zabiło mi szybciej, ale nie odsunąłem się, bo jeśli naprawdę mnie widział, czego nie byłem pewien, byłoby to przyznaniem się do podglądania. Odczekałem więc kilka chwil, by mieć pewność, że widzi, iż widzę, że mnie widzi, jeżeli oczywiście w ogóle mnie zauważył, i dopiero wtedy cofnąłem się i usiadłem przy biurku.

Na tatę nigdy nie dawało się patrzeć niepostrzeżenie, zawsze to wyczuł, zawsze wszystko widział.

Wypiłem kilka łyków piwa. Chciało mi się palić. Nigdy nie pokazywałem mu się z papierosem, więc gdybym teraz zapalił, mógłby to jakoś skomentować. Ale przecież przed chwilą sam mnie zachęcił, abym wziął sobie piwo.

Biurko, należące do mnie, odkąd sięgałem pamięcią, pomarańczowe, tak jak łóżko i drzwiczki szafek w moim poprzednim pokoju, było – nie licząc stojaka z kasetami – zupełnie puste. Usunąłem z niego wszystko, kiedy rok szkolny się skończył, a później przychodziłem tu w zasadzie wyłącznie po to, żeby spać. Odstawiłem butelkę i kilka razy zakręciłem stojakiem, czytając tytuły wypisane na grzbietach kaset drukowanymi literami, moim własnym, dziecięcym charakterem pisma. Bowie – *Hunky Dory*. Led Zeppelin – *I*. Talking Heads – *77*. The Chameleons – *Script of the Bridge*. The The – *Soul Mining*. The Stranglers – *Rattus Norvegicus*. The Police – *Outlandos d'Amour*. Talking Heads – *Remain in Light*. Bowie – *Scary Monsters (and Super Creeps)*. Eno Byrne – *My Life in the Bush of Ghosts*. U2 – *October*. The Beatles – *Rubber Soul*. Simple Minds – *New Gold Dream*.

Wstałem, sięgnąłem po gitarę, opartą o mały wzmacniacz Roland Cube, zagrałem kilka akordów, odstawiłem ją z powrotem i znów wyjrzałem na ogród. Ciągłe tam siedzieli, w ciemności pod koronami drzew, której dwie lampy parafinowe nie rozpraszały, lecz mimo wszystko ją łagodziły, o tyle, że twarze lekko barwiły się od światła. Przybrały ciemny, niemal miedziany odcień.

Bodil musiała być córką drugiego brata dziadka, którego nigdy nie poznałem. Z jakiegoś powodu dawno temu został wykluczony z rodziny. W ogóle usłyszałem o nim po raz pierwszy dopiero ze dwa lata wcześniej, przypadkiem – był ślub w rodzinie i mama wspomniała, że on też się tam zjawił i wygłosił płomienną przemowę. Był kaznodzieją w parafii zielonoświątkowców w mieście. I mechanikiem. Od dwóch pozostałych braci różnił się wszystkim, nawet nazwiskiem. Kiedy po naradzie ze swoją wspianą matką i w

związku z wejściem do świata akademickiego oraz rozpoczęciem studiów na uniwersytecie postanowili zmienić nazwisko ze zwykłego Pedersen na nieco bardziej niezwykle Knausgård, on się przed tym wzbraniał. Może to była przyczyna zerwania z rodziną?

Zszedłem na dół. W holu zobaczyłem, że tata stoi w garderobie przy zgaszonym świetle i patrzy na mnie.

– Tutaj jesteś? – spytał. – Nie chcesz z nami posiedzieć?

– Jasne. Oczywiście. Tak się tylko rozejrzałem po domu.

– Fajna impreza – powiedział.

Lekko odwrócił głowę i przyglądał włosy. Ten gest wykonywał od zawsze, ale w tym kubraku i spodniach było coś tak obcego, że nagle zmieniło to ów gest w kobiecy. Jakby konserwatywna poprawność stroju wcześniej tę kobiecość neutralizowała.

– Wszystko u ciebie w porządku, Karl Ove? – spytał.

– Jasne. Żadnego problemu. Idę na dwór i gdzieś sobie usiądę.

Kiedy wyszedłem, poczułem powiew wiatru. Liście drzew rosnących na skraju lasu poruszyły się lekko, jakby niechętnie, niczym wyrwane z głębokiego snu.

A może chodzi po prostu o to, że jest pijany, pomyślałem. Bo do tego również nie przywykłem. Ojciec nigdy nie pił. Pierwszy raz zobaczyłem go wstawionego zaledwie dwa miesiące wcześniej, kiedy odwiedziłem jego i Unni w mieszkaniu na Elvegaten; podali fondue, coś, czego również nigdy wcześniej nie zjadłby w domu w piątkowy wieczór. Pili przed moim przyjściem i chociaż ojciec był wcieleniem życzliwości, to jednak wydało mi się to groźne, oczywiście nie dosłownie, bo przecież nie siedziałem tam zdjęty strachem, ale pośrednio, ponieważ nie potrafiłem go już odczytać. Miałem wrażenie, że cała moja wiedza na jego temat, zdobyta przeze mnie w dzieciństwie, dzięki której mogłem być przygotowany na to, co się będzie działo, nagle straciła ważność, jak za dotknięciem różdżki. Co więc miało ważność?

Kiedy się odwróciłem i ruszyłem w stronę stołu, napotkałem spojrzenie Unni, uśmiechnęła się, a ja odpowiedziałem uśmiechem. Znów powiał wiatr, tym razem mocniej. Zaszleściły liście na krzewach wielkości człowieka, rosnących przy schodach do stodoły. Zakołysały się zwisające nad stołem najlżejsze gałęzie drzew.

– Dobrze się czujesz? – spytała Unni, kiedy do nich podeszedłem.

– Jasne – odpowiedziałem. – Ale trochę jestem śpiący, chyba niedługo się położę.

– Zaśniesz w tym hałasie?

– Przecież nie ma żadnego hałasu!

– Twój ojciec tak ciepło dziś o tobie mówił, naprawdę. – Bodil nachyliła się nad stołem. Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, więc uśmiechnąłem się ostrożnie. – Prawda, Unni?

Unni kiwnęła głową. Miała długie, zupełnie siwe włosy, chociaż dopiero przekroczyła

trzydziestkę. Tata był jej opiekunem, kiedy odbywała praktykę w trakcie nauki w szkole nauczycielskiej. Ubrała się w szerokie zielone spodnie i kaftanową górę, podobną do tej, którą włożył on, na szyi miała drewniane korale.

– Wiosną pokazał mi jedno z twoich wypracowań – powiedziała. – Może o tym nie wiedziałeś? Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Ojciec był z ciebie taki dumny.

Beznadziejna historia. Co jej, do cholery, do moich wypracowań? Ale trochę mi to też pochlebiło, oczywiście.

– Jesteś podobny do swojego dziadka ze strony ojca, Karl Ove – stwierdziła Bodil.

– Do dziadka?

– Tak. Masz taki sam kształt głowy. Takie same usta.

– A ty jesteś kuzynką taty? – spytałem.

– Tak. Musisz nas któregoś dnia odwiedzić. My też mieszkamy w Kristiansand, wiesz?

Nie wiedziałem. Przed powrotem do domu nie wiedziałem nawet o jej istnieniu. Powinienem być o tym powiedzieć. Ale nie powiedziałem. Oznajmiłem natomiast, że byłoby miło, i spytałem ją, czym się zajmuje, a po jakimś czasie, czy ma dzieci. Właśnie mi odpowiadała, kiedy wrócił tata. Usiadł, zaczął się jej przysłuchiwać, jakby chciał się zapoznać z tematem rozmowy, ale zaraz się odchylił, położył stopę na kolanie drugiej nogi i zapalił papierosa.

Wstałem.

– Chcesz odejść akurat teraz, kiedy przyszedłem? – spytał.

– Nie, muszę tylko coś przynieść.

Otworzyłem worek leżący przy drzwiach, wyjąłem papierosy, jednego po drodze wsunąłem do ust, na chwilę zatrzymałem się, żeby go przypalić, tak by już się żarzył, kiedy będę siadał. Tata nie skomentował. Widziałem, że chce coś powiedzieć, bo skrzywienie ust wyrażało dezaprobatę, ale po krótkiej nieprzyjemnej chwili mina zniknęła, jakby upomniał się w duchu, że już nie jest taki.

Przynajmniej tak myślałem.

– No, to zdrowie! – Tata uniósł w naszą stronę kieliszek z czerwonym winem. Potem spojrział na Bodil i dodał: – Wypijmy za Helene.

– Za Helene – powtórzyła Bodil.

Wypili, patrząc sobie w oczy.

Kim, u diabła, była Helene?

– Ty nie masz w czym pić, Karl Ove? – spytał tata.

Pokręciłem głową.

– Weź ten kieliszek – powiedział. – Jest czysty. Prawda, Unni?

Kiwnęła głową. Sięgnął przez stół po butelkę białego wina i nalał mi. Wypiliśmy.

– Kto to jest Helene? – Spojrzałem na nich.

– Helene była moją siostrą – odparła Bodil. – Już nie żyje.

– Helene była... Byliśmy sobie bardzo bliscy, kiedy dorastałem. Cały czas razem – dodał tata. – Aż do nastu lat. Potem zachorowała.

Wypiłem kolejny łyk. Zza domu wyłoniła się para, którą widziałem wcześniej. Kobieta z dużym biustem w białej sukience i mężczyzna z brzuszkiem. Za nimi nadeszło jeszcze dwóch mężczyzn, jednego rozpoznałem, to był ten z kuchni.

– A więc tutaj siedzicie? – odezwał się ten z brzuszkiem. – Już się zastanawialiśmy, gdzie się podziewasz. Niezbyt dobrze zajmujesz się gośćmi, tyle ci powiem – położył rękę na ramieniu taty. – Przecież to z tobą chcieliśmy się spotkać, skoro przyjechaliśmy aż tutaj.

– To moja siostra – szepnęła mi Bodil. – Elisabeth. I jej mąż Frank. Mieszkają w Ryen, no wiesz, nad rzeką. On jest agentem nieruchomości.

To znaczy, że wszyscy ci ludzie, znajomi taty, zawsze byli blisko nas?

Usiedli przy stole i wszyscy zaraz się ożywili. Nagle te twarze, początkowo pozbawione sensu i treści, w których nie dostrzegałem wieku ani typu – mniej więcej tak, jakby to były zwierzęta, bestiariusz czterdziestolatków, ze wszystkim, co się z tym łączy, z martwymi oczami, sztywnymi wargami, obwisłymi piersiami i trzęsącymi się brzuchami, zmarszczkami i wałkami tłuszczu – teraz zaczęły należeć do konkretnych osób, bo byłem z nimi spokrewniony, w ich żyłach płynęła ta sama krew co w moich, i nagle to, kim byli, zaczęło odgrywać jakąś rolę.

– Rozmawialiśmy o Helene – wyjaśnił tata.

– Aha, o Helene, no tak – powiedział ten, który miał na imię Frank. – Nie znałem jej. Ale dużo o niej słyszałem. Szkoda, że tak się stało.

– Siedziałem przy jej łożu śmierci – dodał tata.

Wbiłem w niego wzrok. Co tu się działo?

– Bardzo ją ceniłem. Bardzo.

– Była najcudowniejszą osobą, jaką można sobie wyobrazić – Bodil wciąż do mnie szeptała.

– No i umarła – westchnął tata. – Ach!

Płakał?

Tak, płakał. Siedział oparty łokciami o stół, z rękami założonymi na wysokości piersi, a łzy płynęły mu po twarzy.

– To było wiosną. Kiedy umarła, była wiosna. Wszystko kwitło, kiedy umierała. Ach!

Frank spuścił wzrok i zaczął obracać kieliszek w dłoniach. Unni położyła tacie rękę na ramieniu.

– Byłeś jej bardzo drogi – powiedziała Bodil, patrząc na nich. – Nie miała nikogo bliższego od ciebie.

– Ach, ach! – powtarzał ojciec, zamknął oczy i zakrył twarz rękami.

Przez podwórze przeleciał wiatr. Poderwał zwisające poły obrusa. Zrzucił serwetkę na trawnik. Liście nad nami zaszumiały. Podniosłem kieliszek i wypilem wino, wzdrygnąłem się, kiedy kwaśny smak rozlał się po gardle, i znów poczułem to wyraźne, czyste uczucie zapowiadające stan odurzenia, który jeszcze się nie pojawił, a także chęć, by go osiągnąć.

Część 2

Po tym jak przesiedziałem kilka miesięcy w suterenie na Åkeshov, jednym z wielu przedmieść Sztokholmu, pisząc to, co jak miałem nadzieję, stanie się moją drugą powieścią, z metrem przejeżdżającym w odległości zaledwie kilku metrów od okna, tak że codziennie po południu, po zapadnięciu ciemności, widziałem wagony mknące przez las niczym szereg rozświetlonych pokoi, pod koniec roku 2003 znalazłem pracownię w centrum Sztokholmu. Należała do jednego z przyjaciół Lindy i pasowała mi idealnie, właściwie było to jednopokojowe mieszkanie, z maleńką kuchnią, małym prysznicem i rozkładaną kanapą oraz oczywiście biurkiem i półkami na książki. Między świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem przenieśliśmy tam swoje rzeczy, to znaczy stos książek i komputer, i w pierwszy powszedni dzień nowego roku zacząłem tam pracować. Powieść właściwie już skończyłem – był to dziwny utwór, liczący sto trzydzieści stron, niewielkie opowiadanie o ojcu i dwóch synach, wyprawiających się na połów krabów w letnią noc, które przerodziło się w długi esej o aniołach, a ten z kolei w opowieść o jednym z tych dwóch synów, teraz już dorosłym, i kilku dniach z jego życia na wyspie na morzu, gdzie mieszkał sam, pisał i zadawał sobie rany.

W wydawnictwie powiedzieli, że chcą to wydać, czułem pokusę, lecz zarazem wielką niepewność, zwłaszcza po tym jak skłoniłem Thurego Erika do przeczytania maszynopisu, a on zadzwonił do mnie późnym wieczorem, mówił dziwnym głosem i używał dziwnych słów, jakby wcześniej trochę wypił, by móc powiedzieć to, co miał do powiedzenia, a co było proste: to na nic, to nie przejdzie, to nie jest żadna powieść. „Musisz opowiadać, Karl Ove! – powtarzał wielokrotnie. – Musisz opowiadać!” Wiedziałem, że ma rację, i właśnie do tego się zabrałem w tamten pierwszy roboczy dzień 2004 roku, siedząc przy nowym biurku i patrząc w pusty ekran. Po półgodzinie prób odchyliłem się na krześle, przenieśliśmy wzrok na wiszący za biurkiem plakat z wystawy Petera Greenawaya, na której byłem w Barcelonie razem z Tonje dawno temu, w moim poprzednim życiu; przedstawiał cztery obrazy: coś, co długo miałem za sikającego cherubina, ptasie skrzydło, pilota z lat dwudziestych dwudziestego wieku i dłoń na zwłokach. Potem wyrzuciłem przez okno. Niebo nad szpitalem naprzeciwko było pogodne i błękitne. Zawieszona nisko słońce odbijało się w szybach, sztyldach, balustradach, maskach samochodów. Ludziom przechodzącym chodnikiem para buchała z ust, wyglądali tak, jakby płonęli. Wszyscy szczelnie opatuleni. Czapki, szaliki, rękawiczki, grube kurtki. Ruchy pospieszne, twarze zamknięte. Powiodłem wzrokiem po podłodze. To był parkiet, stosunkowo nowy, czerwono-brązowy odcień nie miał nic wspólnego ze stylem całego mieszkania rodem z poprzedniego przełomu wieków. Nagle zobaczyłem, że sęki i słoje w odległości mniej więcej dwóch metrów od krzesła, na którym siedziałem, tworzą obraz Chrystusa w koronie cierniowej.

Nie zareagowałem na to, po prostu to zarejestrowałem, bo podobne obrazy istnieją we

wszystkich budynkach, utworzone przez nieregularności na podłogach i ścianach, drzwiach i listwach: plama wilgoci na suficie przypomina biegnącego psa, starta warstwa farby na progu wygląda jak pokryta śniegiem dolina z górskim łańcuchem w oddali, znad którego nadciągają chmury – ten zarys musiał jednak coś we mnie poruszyć, bo kiedy dziesięć minut później podchodziłem do czajnika i nalewałem do niego wody, przypomniało mi się nagle coś, co wydarzyło się pewnego wieczoru dawno temu, w odległej przeszłości, w dzieciństwie, kiedy podobny obraz ujrzałem na wodzie, w wiadomościach, w materiale o zaginionym kutrze rybackim. W ciągu tej sekundy, jaką zajęło mi napełnienie czajnika, przed oczami stanęły mi nasz salon, telewizor w okładzinie z drewna tekowego, plamy śniegu na zboczu jaśniejące gdzieś w zimmerze za oknem, morze na ekranie, twarz, która nagle się na nim ukazała. Obrazom tym towarzyszył również nastrój z tamtych czasów – atmosfera wiosny, osiedla, lat siedemdziesiątych, życia w rodzinie takiej, jaka była wtedy. A wraz z nastrojem pojawiła się niemal szalona tęsknota.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Drgnąłem przestraszony. Przecież nikt nie znał numeru do tego mieszkania.

Telefon zadzwonił pięć razy, zanim się poddał. Szum czajnika narastał, a ja pomyślałem, jak wiele razy wcześniej, że brzmi to tak, jakby ktoś się zbliżał. Otworzyłem wieczko puszek z kawą, wsypałem do filiżanki dwie łyżeczki i zalałem wodą, parujący czarny płyn wspinał się po ściankach; potem się ubrałem. Przed wyjściem jeszcze raz stanąłem tak, by dostrzec twarz na podłodze. To naprawdę był Chrystus. Twarz lekko odwrócona w bok, jak w bólu, spojrzenie wbite w ziemię, na głowie cierniowa korona.

Zastanawiające było nie to, że widziałem twarz na podłodze, ani też to, że kiedyś, w połowie lat siedemdziesiątych, dostrzegłem twarz w morzu, lecz to, że coś, o czym całkiem zapomniałem, nagle odżyło w mojej pamięci. Oprócz kilku pojedynczych zdarzeń, o których rozmawiałem z Yngvem tak często, że przybrały proporcje niemal biblijne, z dzieciństwa nie pamiętałem prawie nic. Mam na myśli wydarzenia. Pamiętałem natomiast pomieszczenia, w których się one rozgrywały. Pamiętałem wszystkie miejsca, w których byłem, wszystkie pokoje. Tylko nie to, co się w nich wydarzyło.

Wszedłem na ulicę z filiżanką w dłoni. Ogarnęło mnie dość nieprzyjemne uczucie, kiedy na nią spojrzałem. Miejsce filiżanki było we wnętrzu, nie na zewnątrz. Tu miała w sobie jakąś nagość, jakby się obnażyła, więc przechodząc na drugą stronę ulicy, postanowiłem, że następnego dnia rano kupię sobie kawę w sklepie 7-Eleven i od tej pory będę używał tylko kartonowego kubka. Przed szpitalem stało kilka ławek, poszedłem tam, usiadłem na pokrytych lodem szczebelkach, zapaliłem papierosa i spojrzałem na drogę. Kawa już zaczęła stygnąć. Termometr za kuchennym oknem w domu pokazywał rano dwadzieścia stopni mrozu i chociaż teraz świeciło słońce, to nie mogło być o wiele cieplej. Najwyżej minus piętnaście.

Wyjąłem z kieszeni telefon komórkowy, żeby sprawdzić, czy ktoś nie dzwonił. A raczej nie ktoś: za tydzień spodziewaliśmy się narodzin dziecka, byłem więc przygotowany na to,

że Linda w każdej chwili może zatelefonować z wiadomością, że się zaczęło.

Na skrzyżowaniu na szczycie łagodnego wzgórza zapikowały światła drogowe i chwilę później z ulicy zniknęły samochody. Z budynku szpitala wyszły dwie kobiety w średnim wieku, stanęły przed drzwiami i zapaliły papierosy. Ubrane w białe szpitalne fartuchy, przyciskały ręce do boków i cały czas dreptały w miejscu, żeby nie zmarznąć. Przypominały mi dziwaczne kaczkę. Pikanie na górze ucichło i chwilę później z cienia na szczycie, niczym sfera gnających psów, wypadły samochody i wjechały na oświetloną słońcem jezdnię. Kolce opon stuknęły o asfalt. Schowałem komórkę, objąłem dłońmi filiżankę. Para unosiła się z niej powoli, mieszając się z tą buchającą z ust. Na dziedzińcu szkoły, wciśniętym między dwie kamienice na tej samej ulicy, w odległości dwudziestu metrów od mojej pracowni, nagle ucichły krzyki dzieci, z których obecności dopiero wtedy zdałem sobie sprawę. Zapewne usłyszały dzwonek na lekcję. Te odgłosy były nowe, nieznane mi, podobnie jak rytm, w jakim następowały, ale wkrótce miałem się z nimi zapoznać, i to tak blisko, że znów miały przestać istnieć. Człowiek wie o czymś za mało i to coś nie istnieje, człowiek wie o czymś za dużo i to coś też nie istnieje. Pisanie jest wyciąganiem tego, co istnieje, z cienia tego, co wiemy. Właśnie o to chodzi w pisaniu. Nie o to, co się tam dzieje, nie o to, jakiego rodzaju akcje się tam rozgrywają, tylko o t a m samo w sobie. Tam, oto jest miejsce i cel pisania. Ale jak tam dotrzeć?

Takie pytanie zadawałem sobie, siedząc w tej dzielnicy Sztokholmu i pijąc kawę, podczas gdy mięśnie sztywniały mi z zimna, a dym z papierosa rozwiewał się w ogromnej, wypełnionej powietrzem przestrzeni nade mną.

Krzyki ze szkolnego podwórza rozlegały się w określonych interwałach i były jednym z wielu rytmów codziennie przebiegających przez dzielnicę, od rana, gdy na ulicach zaczynały tłoczyć się samochody, do późnego popołudnia, jakby po drugiej stronie dnia, gdy nie było już od nich aż tak gęsto. O wpół do siódmej w kawiarniach i cukierniach zbierali się na śniadanie robotnicy w obuwiu ochronnym, z zabarwionymi kurzem mocnymi dłońmi, z całówkami wetkniętymi do kieszeni spodni i nieustannie dzwoniącymi komórkami. Przez następną godzinę ulice zapełniali trudniejsi do zaszufadkowania mężczyźni i kobiety, ich gładki, zadbane wygląd nie mówił o nich nic poza tym, że spędzali dni w biurach, równie dobrze mogli być adwokatami, jak dziennikarzami telewizyjnymi lub architektami, copywriterami w agencjach reklamowych albo agentami towarzystw ubezpieczeniowych. Potem pojawiały się pielęgniarki i opiekunki medyczne, porcjami wypuszczane z autobusów przed szpitalem, głównie w średnim wieku i głównie kobiety, choć od czasu do czasu trafiał się i mężczyzna, te porcje były coraz większe, im bardziej zbliżała się ósma, później coraz mniejsze, aż w końcu wysiadał tylko jeden czy drugi emeryt z wózek na zakupy i ruszał chodnikiem w te ciche przedpołudniowe godziny, gdy zaczynali się pojawiać samotne matki i samotni ojcowie z wózkami, a na jezdni dominowały samochody dostawcze, ciężarówki, pick-upy, autobusy i taksówki.

W tym czasie, gdy słońce świeciło w okna naprzeciwko mojej pracowni i nie słychać już

było kroków na klatce schodowej, a w każdym razie bardzo rzadko, niekiedy przechodziła grupa przedszkolaków, niczym stadko owieczek, wszystkie dzieci w identycznych kamizelkach odblaskowych, często poważne, jakby oczarowane baśniowym charakterem przedsięwzięcia, podczas gdy powaga ich opiekunów, górujących nad nimi jak pasterze, wydawała się raczej graniczyć z nudą. To właśnie w tym czasie odgłosy wszelkich prac toczących się w pobliżu miały wokół siebie dość przestrzeni, by dotrzeć do świadomości – odgłosy powstające na skutek działania czy to parkowych ogrodników, dmuchawą czyszczących trawnik z liści albo przycinających gałęzie, czy drogowców, zdzierających asfalt z kawałka ulicy, czy też właściciela domu, przeprowadzającego remont generalny w czynszówce gdzieś nieopodal. Potem nagle wzbierała fala urzędników i przedsiębiorców, wylewała się na ulicę i wypełniała po brzegi wszystkie restauracje: pora lunchu. Gdy fala ta równie nagle się cofała, pozostawiała po sobie pustkę, podobną wprawdzie do tej przedpołudniowej, lecz mimo wszystko mającą własne charakterystyczne cechy, bo jeśli jakiś schemat się powtarzał, to w odwrotnej kolejności: pojedyncze dzieciaki, które teraz przechodziły pod moim oknem, wracały ze szkoły do domu i wszystkie miały w sobie jakąś rozwiązłość i dzikość, natomiast rano, idąc do szkoły, niosły resztki sennej niemoty i tej wrodzonej czujności, jaką ma człowiek wobec tego, co jeszcze się nie zaczęło. Słońce świeciło teraz na ścianę tuż za oknem. Z klatki schodowej zaczynało dochodzić tupanie, a na przystanku przed głównym wejściem do szpitala tłum oczekujących rósł za każdym razem, kiedy wyjrzałem przez okno. Na ulicy pojawiało się coraz więcej prywatnych samochodów, na chodniku prowadzącym do wysokich bloków zwiększał się ruch pieszych. Wzrost aktywności osiągał punkt kulminacyjny około piątej, później dzielnica cichła aż do dziesiątej, kiedy to ulica znów zaczynała żyć, wypełniona grupkami rozkrzyczanych młodych mężczyzn i śmiejących się młodych kobiet, powtarzało się to jeszcze mniej więcej o trzeciej i zamierało. Około szóstej znów zaczynały jeździć autobusy, ruch się wzmacniał, ze wszystkich bram i schodów wysypywali się ludzie, zaczynał się nowy dzień.

Życie tutaj toczyło się z tak bezwzględnością regularnością i uporządkowaniem, że równie dobrze mogło być rozumiane geometrycznie, jak biologicznie. Wprost trudno uwierzyć, że było ono spokrewnione z kipiącym, dzikim chaosem, jaki można zaobserwować u innych gatunków, na przykład w mnogich zbiorowiskach kijanek, narybku czy owadziach jaj, gdzie życie wygląda tak, jakby się roiło, wydobywając się z niewyczerpywalnej studni. Ale tak było. Chaos i nieprzewidywalność stanowią jednocześnie warunek powstania życia i jego rozpadu, jedno jest niemożliwe bez drugiego, i chociaż niemal wszystkie podejmowane przez nas wysiłki zmierzają do obrony przed chaosem, to wystarczy nie więcej niż krótka chwila rezygnacji i już chcemy żyć w jego blasku, a nie w cieniu, tak jak teraz. Chaos to swoista siła przyciągania i być może właśnie on jest siłą sprawczą tego rytmu, który daje się wyczuć w historii, w rozwoju, w postępie cywilizacji i w ich załamaniu. Dziwić może podobieństwo punktów skrajnych, przynajmniej w pewnym sensie, gdyż zarówno w wybujałym chaosie, jak i w surowej regularności i uporządkowaniu to, co żyje, jest niczym, życie natomiast jest wszystkim. Tak jak serca nie obchodzi, dla jakiego życia bije,

tak miasto nie przejmuje się tym, kto wypełnia różne jego funkcje. Gdy wszyscy, którzy chodzili po mieście tego dnia, umrą, powiedzmy, za jakieś sto pięćdziesiąt lat, echo ludzkich działań wciąż będzie przez nie przebiegać według określonych schematów. Jediną nowością będą twarze ludzi, którzy je wypełnią, ale cóż to za wielka nowość, skoro wszyscy będą podobni do nas.

Rzuciłem niedopałek na ziemię i wypiliśmy ostatni łyk kawy, już zimnej.

Oglądałem życie, a myślałem o śmierci.

Wstałem, kilka razy potarłem dłońmi uda i poszedłem w stronę skrzyżowania ze światłami. Przejeżdżające ulicą samochody ciągnęły za sobą ogony podrywanego z ziemi śniegu. Nadjechał olbrzymi tir, podzwaniając łańcuchami, hamował, lekko szarpiąc, i akurat zdążył zatrzymać się przed przejściem dla pieszych, kiedy światło zmieniło się na czerwone. Zawsze nachodziły mnie lekkie wyrzuty sumienia, kiedy pojazdy zatrzymywały się z mojego powodu, następowało coś w rodzaju zachwiania równowagi, miałem wrażenie, jakbym był im coś winien. Im większy pojazd, tym większe poczucie winy. Dlatego przechodząc na drugą stronę, starałem się nawiązać kontakt wzrokowy z kierowcą, abym mógł mu skinąć głową i tę równowagę przywrócić. Ale jego spojrzenie poszło za ręką, którą podniósł, żeby sięgnąć po coś w szoferce – może po mapę, bo tir był polski – nie zauważył mnie, ale nic się nie stało, to znaczyło, że hamowaniem nie bardzo się przejął.

Zatrzymałem się w bramie, wcisnąłem kod, otworzyłem drzwi i z kluczem w ręku wszedłem po kilku stopniach na parter, gdzie mieściła się pracownia. Burczała maszyna windy, jak najszybciej otworzyłem więc drzwi i wemknąwszy się do środka, zatrzasnąłem je za sobą.

W nagłym cieple skóra na twarzy i dłoniach zaczęła szczytać. Z zewnątrz dobiegł odgłos jednej z niezliczonych karetek jadących na sygnale. Nastawiłem wodę na jeszcze jedną kawę i czekając, aż się zagotuje, zerknąłem na to, co do tej pory napisałem. Kurz unoszący się w szerokich ukośnych promieniach światła niespokojnie poddawał się każdemu najlżejszemu ruchowi powietrza. Sąsiad w mieszkaniu w głębi zaczął grać na pianinie. Czajnik szumiał. To, co napisałem, nie było dobre. Nie było złe, ale nie było też dobre. Podszedłem do szafki, otworzyłem wieczko puszek z kawą, wsypałem do filiżanki dwie łyżeczki i zalałem wodą; parujący czarny płyn wspinał się po ściankach naczynia. Zadzwoił telefon.

Odstawiłem filiżankę na biurko i pozwoliłem mu na jeszcze dwa dzwonki, zanim odebrałem.

– Halo?

– Cześć, to ja.

– Cześć.

– Chciałam się tylko dowiedzieć, jak się czujesz. Dobrze ci tam?

W jej głosie słychać było zadowolenie.

– Nie wiem. Jestem tu dopiero od kilku godzin, przecież wiesz.

Pauza.

– Przyjdiesz niedługo do domu?

– Nie marudź. Przyjdę, kiedy przyjdę. Wkrótce.

Nie odpowiedziała.

– Mam coś kupić? – spytałem po chwili.

– Nie, zrobiłam zakupy.

– Okej. No to do zobaczenia.

– Trzymaj się. Albo wiesz co? Kakao.

– Kakao – powtórzyłem. – Coś jeszcze?

– Nie. Tylko kakao.

– Okej. No to cześć.

– Cześć.

Kiedy się rozłączyłem, przez długą chwilę siedziałem w fotelu, zatopiony w czymś, co nie było myślami ani uczuciami, tylko raczej pewnym rodzajem nastroju, tak jak puste pomieszczenie może mieć nastrój. Kiedy bez świadomości tego, co robię, podniosłem filiżankę do ust i wypiliśmy łyk, kawa okazała się letnia. Poruszyłem myszką, żeby wyłączyć wygaszacz ekranu i sprawdzić, która godzina. Za sześć trzecia. Jeszcze raz przeczytałem napisany tekst, wyciąłem go i wkleiłem do brudnopisu. Pracowałem nad powieścią od pięciu lat, więc to, co pisałem, nie mogło być słabe. A ten fragment za mało wnosił. Jednocześnie wiedziałem, że rozwiązanie znajduje się w istniejącym tekście, miał on w sobie coś, co chciałem uchwycić. Odnosiłem wrażenie, że jest tam wszystko, co chciałem zawrzeć, ale w zbyt skomprimowanej formie. Szczególnie ważny był pewien zamysł, od którego w ogóle rozpoczyna się tekst, a mianowicie to, że akcja rozgrywała się w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, natomiast wszystkie postacie i rekwizyty pochodziły z lat osiemdziesiątych wieku dwudziestego. Od wielu lat usiłowałem pisać o ojcu, ale mi to nie wychodziło, z całą pewnością dlatego, że temat był zbyt bliski mojego życia i nie dawał się tak łatwo ująć w inną formę, która jest przecież warunkiem literatury. To jedyne rządzące nią prawo: wszystko musi się ugiąć pod formą. Jeżeli któryś z pozostałych elementów literatury, takich jak styl, intryga, tematyka, stanie się mocniejszy niż forma, jeśli któryś z nich ją sobie podporządkuje, rezultat będzie kiepski. Właśnie dlatego pisarze o wyrazistym stylu tak często piszą słabe książki. Podobnie bywa z tymi, którzy poruszają ważne tematy. Siłę tematyki i stylu należy złamać, tylko wtedy może powstać literatura. Właśnie to łamanie nazywa się pisaniem. W pisaniu chodzi zatem bardziej o niszczenie niż o tworzenie. Nikt nie wiedział tego lepiej niż Rimbaud. Świadomość tę zyskał w niepokojąco młodym wieku, lecz tak naprawdę niezwykle było to, że ową zasadę odnosił również do życia. Dla Rimbauda najważniejsza była wolność, zarówno w pisaniu, jak i w życiu, i właśnie z uwagi na nadrzędną rolę wolności mógł, albo

wręcz musiał porzucić pisanie, gdyż ono również zmieniło się w więzy, które należało zerwać. Wolność równa się zniszczenie plus ruch. Innym pisarzem, który miał tę świadomość, był Sandemose. Jego tragedia polegała na tym, że zdołał zastosować owo równanie jedynie w literaturze, w życiu mu się nie udało. Niszczył i tkwił w zniszczeniu. Rimbaud wyjechał do Afryki.

Podświadomy impuls kazał mi nagle podnieść głowę i napotkałem spojrzenie kobiety. Siedziała w autobusie tuż za oknem. Zaczęło się już zmierzchać, a jedynym źródłem światła w pokoju była lampka na biurku, która musiała przyciągać do siebie spojrzenia jak ćmy. Spostrzegłszy, że ją widzę, kobieta odwróciła wzrok. Podeszedłem do okna, poluzowałem i opuściłem żaluzje; jednocześnie autobus ruszył. I tak była już pora wracać do domu. „Wkrótce”, powiedziałem, a to było godzinę temu.

Była taka wesoła, kiedy dzwoniła.

Poczułem ukłucie żalu. Jak mogłem na ten przepełniający ją niepokój i tęsknotę odpowiedzieć irytacją?

Stanałem na środku pokoju, jakby ból promieniujący w głąb ciała miał zniknąć sam z siebie. Ale nie znikał. Należało go przełamać działaniem. Musiałem to naprawić. Pomogła już sama myśl, nie tylko obietnicą załagodzenia, lecz również domaganiem się następstw praktycznych. No bo jak mogłem to naprawić? Wyłączyłem komputer, schowałem go do torby, opłukałem filiżankę i wstawiłem ją do zlewu, wyciągnąłem wtyczkę, zgasilem światło i włożyłem kurtkę w księżycowym świetle z ulicy, sączącym się przez szczeliny żaluzji, cały czas mając przed oczami jej obraz w wielkim mieszkaniu.

Kiedy wyszedłem na ulicę, mróz zaszczypał mnie w policzki. Naciągnąłem kaptur parki na czapkę i pochyliłem głowę, by się ochronić przed drobinkami śniegu wirującymi w powietrzu. W dobre dni zwykle chodziłem Tegnérgatan do Drottningatan, tą zaś szedłem aż do okolic Hötorg, by stamtąd wspiąć się po stromym zboczu do kościoła Świętego Jana, a potem zejść do Regeringsgatan, przy której mieszkaliśmy. Na tym odcinku pełno było sklepów, centrów handlowych, kawiarni, restauracji i kin, i zawsze aż gęsto od ludzi. Ulice dosłownie zalewał strumień postaci wszelkich kształtów i wariantów. Na rozświetlonych wystawach sklepowych leżały najprzeróżniejsze towary, we wnętrzach ruchome schody krążyły jak koła olbrzymich tajemniczych maszyn, windy sunęły w górę i w dół, na ekranach telewizorów piękni ludzie poruszali się niczym duchy, przed setkami kas ustawiały się kolejki, które malały i znów się tworzyły, malały i znów się tworzyły, według wzorów równie nieprzewidywalnych jak te tworzone przez chmury na niebie nad dachami miasta. W dobre dni kochałem to, wówczas ów strumień ludzi o mniej lub bardziej pięknych twarzach, w których oczy wyrażały konkretny stan ducha, przepływał przeze mnie, w gorsze dni natomiast ten sam scenariusz działał odwrotnie, i jeśli tylko mogłem, wybierałem inną, bardziej odludną drogę. Najczęściej szedłem wtedy przez Rådmansgatan, dalej Holländargatan do Tegnérgatan, tam przecinałem Sveavägen i idąc Döbelnsgatan, docierałem do kościoła Świętego Jana. Na tej trasie dominowały domy jednorodzinne,

większość napotykanych ludzi spieszyła samotnie ulicami, a nieliczne sklepy i restauracje należały do rzadko odwiedzanych. Tu znajdowały się szkoły nauki jazdy z oknami zaciemnionymi przez spaliny, sklepy z używanymi rzeczami, z komiksami i longplayami w skrzynkach przed wejściem, pralnie chemiczne, salon fryzjerski, chińska restauracja, dwa sfatygowane puby.

Ten dzień był właśnie takim dniem. Z głową spuszczoną, by uniknąć siekących w twarz ostrych drobinek śniegu, szedłem ulicami, które przypominały niewielkie doliny między pnącymi się w górę ścianami kamienic i dachami pokrytymi śniegiem, od czasu do czasu zaglądałem w mijane okna: żółte rybki pływające na zielonym tle akwarium w pustej recepcji niewielkiego hotelu; plakaty reklamowe firmy zajmującej się wytwarzaniem szyldów, broszur, nalepek i kartonowych standów; trzech czarni fryzjerzy strzygący trzech czarnych klientów w afrykańskim salonie fryzjerskim, jeden lekko obrócił głowę, by zerknąć na dwóch młodych ludzi siedzących i śmiejących się na schodach, a fryzjer nie bez zniecierpliwienia ustawił mu głowę prosto.

Po drugiej stronie ulicy rozciągał się park Observatorielunden. Drzewa zdawały się wyrastać z głębi pagórka, a ponieważ u jego stóp rozlewało się słabe światło z szeregu domów, wyglądało to tak, jakby podtrzymywały ciemność koronami. Rosły tak gęsto, że na dół nie docierało światło z budynku obserwatorium, wybudowanego na szczycie w osiemnastym wieku, w czasach absolutnej świetności miasta. Działała tam teraz kawiarnia; kiedy byłem w niej pierwszy raz, zdumiało mnie, o ile bliższy jest nam osiemnasty wiek tutaj, w Szwecji, w porównaniu z Norwegią, zwłaszcza na wsi, gdzie chata, powiedzmy, z 1720 roku wydaje się prastara, natomiast wszystkie okazałe budynki w Sztokholmie pochodzące z tego samego okresu sprawiają wrażenie niemal współczesnych. Pamiętam, jak Borghild, siostra mojej babci ze strony matki, mieszkająca w niewielkim domku ponad zagrodą, z której pochodziła rodzina, opowiadała nam kiedyś na werandzie, że aż do lat sześćdziesiątych stały tam domy z szesnastego wieku; dopiero wtedy rozebrano je, by zrobić miejsce bardziej nowoczesnym budynkom. Ta informacja wydawała się wręcz sensacyjna w kontekście codziennego obcowania ze sztokholmskimi budowlami z tamtych czasów. Może chodziło o bliskie związki z rodziną, a tym samym ze mną? Może przeszłość w Jølster dotyczyła mnie w zupełnie innym stopniu niż przeszłość w Sztokholmie? Pomyślałem teraz, że prawdopodobnie właśnie tak było, i na kilka sekund zamknąłem oczy, aby pozbyć się uczucia, że jestem idiotą, zrodzonego z tego ciągu myśli, ponieważ w oczywisty sposób opierał się on na iluzji. Nie miałem żadnej historii, sam ją sobie stwarzałem, mniej więcej tak, jak zrobiłaby to nazistowska partia z przedmieść.

Szedłem dalej ulicą, skręciłem za róg i znalazłem się na Holländergatan. Wyludniona, z dwoma rzędami pozbawionych życia, zaśnieżonych samochodów, wciśnięta między dwie z najważniejszych ulic miasta, Sveavägen i Drottninggatan, musiała być najbardziej boczną z bocznych ulic. Przełożyłem torbę do lewej ręki, palcami prawej chwyciłem kaptur i strząsnąłem z niego śnieg, który go przysypał, jednocześnie nachylając się nieco, by nie

uderzyć głową o rusztowania wznoszące się nad chodnikiem. Wysoko w górze furkotały na wietrze kawałki brezentu. Kiedy wyszedłem z tej niewielkiej przypominającej tunel konstrukcji, przede mną pojawił się mężczyzna. Zrobił krok w tak zdecydowany sposób, że aż się zatrzymałem.

– Proszę przejść na chodnik po drugiej stronie – powiedział. – Tam w środku się pali. Z tego, co wiem, coś może eksplodować. – Przyłożył do ucha komórkę i zaraz ją opuścił. – Sprawa jest poważna – dodał. – Proszę przejść na drugą stronę.

– A gdzie się pali? – spytałem.

– Tam – wskazał na okno dziesięć metrów dalej. Jego górna część była otwarta i wydobywał się z niej dym. Ukosem przeciąłem ulicę, żeby lepiej widzieć, a jednocześnie przynajmniej częściowo spełniłem jego nakaz trzymania się z daleka. Pokój za oknem oświetlały dwa reflektory i pełno w nim było rozmaitego sprzętu i kabli. Wiadra z farbą, skrzynki z narzędziami, wiertarka, bele materiału izolacyjnego, dwie drabiny. Wśród tego wszystkiego snuł się dym, powoli i jakby niepewnie.

– Dzwonił pan po straż pożarną? – spytałem.

Kiwnął głową.

– Już jadą.

Znow podniósł komórkę do ucha, tylko po to, żeby zaraz ją opuścić.

Patrzyłem, jak dym wewnątrz układa się w nowe wzory i powoli wypełnia pokój, a w tym czasie mężczyzna gorączkowo chodził tam i z powrotem po przeciwnej stronie ulicy.

– Nie widzę żadnych płomieni – stwierdziłem. – A pan?

– To się tylko tli – odparł.

Postałem tam jeszcze kilka minut, ale kiedy zmarzłem, a nic więcej się nie wydarzyło, ruszyłem w stronę domu. Przed skrzyżowaniem ze Sveavägen usłyszałem syreny pierwszych wozów strażackich, które za chwilę ukazały się na szczycie wzgórza. Ludzie wokół mnie się odwracali. Wycie syren, obiecujące pośpiech, stało w dziwnej sprzeczności z powolnością, z jaką wielkie samochody spełzały ze wzgórza. Zapaliło się zielone światło, przeszedłem więc na drugą stronę ulicy, do supermarketu.

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Zwykle zapadałem w sen w ciągu kilku minut, bez względu na to, jak bardzo poruszający dzień miałem za sobą lub jak bardzo niepokojący zapowiadał się następny, i oprócz tych okresów, w których chodziłem we śnie, przesybiałem głęboko całą noc. Ale tego wieczoru, już kiedy położyłem głowę na poduszce i zamknąłem oczy, zrozumiałem, że sen nie przyjdzie. Leżałem całkowicie przytomny i wsłuchiwałem się w odgłosy miasta, narastające i opadające w zależności od rodzaju poczynań ludzi na zewnątrz, a także te w mieszkaniach nad nami i pod nami, które stopniowo się wyciszały i w końcu pozostał jedynie szum wentylacji, natomiast moje myśli skakały to tu, to tam.

Linda spała obok mnie. Wiedziałem, że dziecko, które nosi w sobie, ma wpływ również na jej sny, w których niepokojąco często pojawiała się woda: ogromne fale zalewające odległe plaże, po których Linda wędrowała, zalane mieszkania, całkowicie wypełnione wodą, spływającą delikatnie po ścianach albo wznoszącą się z odpływów i toalet; jeziora tworzące się w nowych miejscach w mieście, na przykład przed dworcem kolejowym, gdzie jej dziecko leżało w skrytce bagażowej, do której nie mogła dosięgnąć, albo po prostu zniknęło, gdy stała z walizkami w rękach. Miewała też sny, w których dziecko rodziło się z twarzą osoby dorosłej, albo takie, w których okazywało się, że go w ogóle nie ma, a podczas porodu wypływa z niej tylko woda.

A moje sny? Jakie one były?

Ani razu nie śniłem o dziecku. Czasami miałem z tego powodu wyrzuty sumienia, ponieważ jeśli uznawało się prądy bezwolnych części świadomości za prawdziwsze od tych sterowanych wolą, tak jak było w moim wypadku, to oczywiste się stawało, że oczekiwanie na dziecko nie miało dla mnie zbyt dużego znaczenia. Ale właściwie nic takiego znaczenia nie miało. Nie śniło mi się prawie nic związanego z moim życiem po skończeniu przeze mnie dwudziestu lat. Trochę tak, jakbym w snach nie dorósł, tylko pozostał dzieckiem, otoczonym tymi samymi ludźmi i miejscami co w dzieciństwie. I chociaż wydarzenia, które się rozgrywały we śnie, były każdej nocy nowe, to uczucie, które mnie wypełniało, cały czas pozostawało niezmiennie. Zawsze było to upokorzenie. Często od przebudzenia musiało minąć kilka godzin, zanim się go pozbyłem. Zarazem na jawie nie pamiętałem prawie nic z dzieciństwa, a skromne wspomnienia, które zachowałem, niczego już we mnie nie budziły, co stwarzało pewien rodzaj symetrii między przeszłością a teraźniejszością, w jakimś dziwnym systemie, w którym noc i sen były powiązane z pamięcią, dzień zaś i świadomość – z zapomnieniem.

Zaledwie kilka lat wcześniej wyglądało to zupełnie inaczej. Dopóki nie przeprowadziłem się do Sztokholmu, miałem wrażenie kontynuacji w moim życiu, tak jakby rozciągało się ono nieprzerwanie od dzieciństwa do teraźniejszości, połączone stale nowymi związkami w skomplikowany i zawiły wzór, w którym każde ujrzane przeze mnie zjawisko było w stanie pobudzić wspomnienie skutkujące lawiną uczuć – o źródle znanym lub nieznanym. Spotykani przeze mnie ludzie pochodzili z miast, w których kiedyś byłem, znali osoby, które spotkałem, to była sieć, w dodatku mocno spleciona. Ale kiedy przeprowadziłem się do Sztokholmu, to przywoływanie wspomnień stawało się coraz rzadsze, aż w końcu pewnego dnia całkiem ustąpiło. Owszem, wciąż mogłem wspominać, ale wspomnienia niczego już we mnie nie budziły. Żadnej tęsknoty, żadnego pragnienia powrotu, nic. Pozostawały jedynie wspomnieniami, nieznacznym śladem czegoś w rodzaju awersji do wszystkiego, co się z nimi wiązało.

Ta myśl kazała mi otworzyć oczy. Leżałem nieruchomo, wpatrzony w lampę z abażurem z ryżowego papieru, wiszącą jak miniaturowy księżyc w mroku sufitu nad końcem łóżka. Naprawdę nie było czego żałować. Nostalgia jest bowiem nie tylko bezwstydna, lecz

również zdradliwa. Co dwudziestokilkuletniemu człowiekowi przychodzi właściwie z tęsknoty za dzieciństwem? Za własną młodością? To przypomina chorobę.

Obróciłem się i popatrzyłem na Lindę. Leżała na boku, twarzą zwrócona w moją stronę. Brzuch miała tak wielki, że trudno już było powiązać go z resztą jej ciała, chociaż ono również nabrzmiało. Nie dalej niż wczoraj Linda stała przed lustrem i śmiała się z grubości swoich ud.

Dziecko było zwrócone główką w dół w stronę miednicy i miało tak leżeć aż do porodu. Na oddziale położniczym powiedziano nam, że jego trwający dłuższe okresy bezruch jest najzupełniej normalny. Serce bije i już wkrótce, kiedy dziecko uzna, że nadszedł na to czas, samo wywoła poród we współpracy z ciałem, w którym urosło.

Ostrożnie wstałem i wyszedłem do kuchni napić się wody. Przed wejściem do klubu Nalen stali w grupach i rozmawiali starsi ludzie. Raz w miesiącu organizowano tam dla nich wieczorki taneczne; mężczyźni i kobiety w wieku od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu lat napływali tłumnie, wszyscy w najlepszych strojach. Kiedy widziałem ich stojących w kolejce, rozentuzjasmowanych i wesołych, często głęboko w duszy odczuwałem ból. Szczególnie jeden mężczyzna zrobił na mnie wrażenie. Ubrany w jasnożółty garnitur, białe adidasy i słomkowy kapelusz, pierwszy raz ukazał mi się, kiedy w któryś wrześniowy wieczór niepewnym krokiem przemierzał skrzyżowanie przy David Bagares gata, lecz wyróżniał się nie ubraniem, lecz tym, co od niego biło; pozostałych postrzegałem jako elementy jakiejś wspólnoty, starszych mężczyzn, którzy przyszli zabawić się z żonami, tak identycznych, że każdy z nich znikał z myśli już w momencie przesunięcia wzroku, on natomiast był sam, nawet gdy stał przed wejściem i z kimś rozmawiał. Najbardziej jednak rzucało się w oczy to zdecydowanie, którym emanował, a które w tym zgromadzeniu było czymś wyjątkowym. Kiedy przedzierał się przez tłum we foyer, pojąłem, że o coś mu chodzi i że wcale tam tego nie znajdzie, prawdopodobnie w żadnym innym miejscu również. Czas go wyprzedził, a wraz z nim świat.

Przy chodniku za oknem zatrzymała się taksówka. Najbliżej stojąca grupa starszków złożyła parasole, wesoło otrzepała je ze śniegu i wsiadła. Z głębi ulicy wyłonił się radiowóz. Miał włączone niebieskie światła, ale syrena milczała; ta cisza przydawała mu złowróżności. Za chwilę pojawiła się jeszcze policyjna furgonetka. Oba samochody zwolniły, przejeżdżając, a kiedy usłyszałem, że zatrzymują się przy sąsiednim kwartale, odstawiłem szklankę z wodą na blat i podszedłem do okna w sypialni. Stany tuż przy US Video. Tylne drzwi furgonetki otworzyły się akurat w chwili, gdy podszedłem do okna. Wyskoczyło sześciu policjantów, pobiegli do wejścia i zniknęli w głębi budynku. Dwaj zostali przy samochodach i czekali. Pięćdziesięcioletni mężczyzna przechodzący ulicą nie poświęcił funkcjonariuszom nawet jednego spojrzenia. Domyślałem się, że tak naprawdę zamierzał wejść do środka, ale na widok policji strach go obleciał. Przez całą dobę na okrągło drzwiami do US Video płynął w obu kierunkach strumień mężczyzn, a ja, ponieważ mieszkałem tu już blisko rok, potrafiłem w dziewięciu na dziesięć przypadków

prawidłowo wskazać, kto zamierza wejść, a kto tylko tędy przechodzi. Prawie wszyscy wchodzący poruszali się tak samo. Zazwyczaj podchodzili i otwierali drzwi ruchem, który miał wyglądać jak naturalne przedłużenie poprzedniego. Tak bardzo się pilnowali, aby się nie obejrzeć, że aż zwracali tym na siebie uwagę. Dosłownie bił od nich wysiłek mający na celu zachowanie pozorów normalności. Nie tylko wtedy, kiedy starali się szybko wemknąć do środka, lecz również gdy wychodzili. Drzwi się otwierały, a oni bez zatrzymywania się sunęli na chodnik krokiem mającym sprawiać wrażenie, że idą tak już od kilku kwartałów. Mężczyźni ci byli w różnym wieku, od szesnastu do siedemdziesięciu kilku lat, i pochodzili ze wszystkich warstw społecznych. Niektórzy wyglądali tak, jakby przyszli tu specjalnie, inni wstępowali po drodze do domu z pracy albo wcześniej rano po wieczorze spędzonym na mieście. Sam nigdy nie byłem w tym przybytku, ale dobrze wiedziałem, jak wygląda w środku: długie schody w dół, głęboki, pogrążony w półmroku lokal w piwnicy z ladą, przy której się płaci, szereg pomalowanych na czarno kabin z telewizyjnymi monitorami, filmy do wyboru w zależności od preferencji seksualnych, czarne skajowe fotele, rolki papieru toaletowego na półce obok.

August Strindberg twierdził kiedyś ze swą głęboką powagą szaleńca, że gwiazdy na niebie to dziury w ścianie. Od czasu do czasu myślałem o tym, widząc ów niekończący się strumień dusz schodzących po tych schodach i siadających w mroku kabin, żeby się onanizować przed jaśniejącymi ekranami. Myślałem o tym, że świat wokół nich się zamykał i jednym z niewielu sposobów, w jaki mogli z niego wyrzeć, były te kabiny. Nigdy nikomu nie wspominali o tym, co widzieli, to należało do sfery życia, o której się nie mówi, bo przecież nie wiązało się ze zwykłym życiem, a większość przychodzących tu mężczyzn była zwykłymi ludźmi. Niemówienie o pewnych rzeczach obowiązywało nie tylko w stosunku do świata na górze, dotyczyło to również świata na dole, w każdym razie tak można było sądzić po ich zachowaniu – bo nikt tam z nikim nie rozmawiał, nikt na nikogo nie patrzył – i po solipsystycznych torach, po jakich wszyscy się poruszali między schodami, regałami z filmami, ladą, kabinami i znów schodami. Istniało coś do bólu śmiesznego w tym, co się tam działo, w tym szeregu mężczyzn siedzących w osobnych kabinach ze spodniami opuszczonymi do kolan, sapiących, stękających, ciągnących się za członki i jednocześnie oglądających filmy, na których kobiety miały stosunki z końmi albo psami lub mężczyźni uprawiali seks z mnóstwem innych mężczyzn. Przecież oni nie mogli być ślepi, ale też nie mogli brać tego pod uwagę, ponieważ prawdziwego śmiechu i prawdziwego pożądania nie da się ze sobą powiązać, a ich przywiodło tu pożądanie. Ale dlaczego tutaj? Wszystkie filmy były dostępne również w Internecie, a więc mogli je obejrzeć w idealnej samotności, bez ryzyka, że zostaną zauważeni przez innych. Musieli zatem szukać czegoś w samej tej nienadającej się na temat rozmowy sytuacji. Albo tego, co w niej niskie, nędzne i brudne, albo samego zamknięcia. Nie wiedziałem, dla mnie to była obca kraina, ale nie mogłem się powstrzymać od myślenia o tym, bo za każdym razem, gdy spojrzałem w tamtą stronę, ktoś właśnie tam zmierzał.

Przyjazd policji nie był niczym niezwykłym, najczęściej jednak funkcjonariusze zjawiali się w związku z demonstracjami regularnie odbywającymi się na zewnątrz. Sam przybytek zostawiali w spokoju, ku wielkiemu niezadowoleniu demonstrantów, którzy pod bacznym nadzorem policjantów, trwających ramię przy ramieniu z tarczami, hełmami i pałkami, mogli jedynie stać tam ze swoimi transparentami, wykrzykiwać hasła i buczeć za każdym razem, kiedy ktoś wchodził albo wychodził.

– Co się stało? – spytała Linda za moimi plecami.

Odwrociłem się i popatrzyłem na nią.

– Nie śpisz?

– Prawie.

– Po prostu nie mogłem zasnąć – powiedziałem. – Podjechały radiowozy. Śpij dalej.

Zamknęła oczy.

Drzwi klubu się otworzyły. Ukazali się dwaj policjanci. Za nimi szli kolejni dwaj. Prowadzili mężczyznę, tak go między sobą ściskając, że stopami nie dotykał ziemi. Wyglądało to brutalnie, lecz prawdopodobnie było konieczne, gdyż mężczyzna miał opuszczone spodnie. Na ulicy postawili go, osunął się na kolana. Wyszło jeszcze dwóch policjantów. Mężczyzna wstał i podciągnął spodnie. Jeden z funkcjonariuszy skuł mu ręce na plecach, inny zaprowadził go do samochodu. Gdy pozostali policjanci zaczęli wsiadać, na ulicę wyszło dwóch pracowników klubu. Stanęli z rękami w kieszeniach i patrzyli, jak policyjne auta ruszają, jadą ulicą i znikają, a ich włosy powoli bieleły od padającego śniegu.

Wszedłem do salonu. Światła lampek zawieszonych na drutach nad ulicą tuż pod oknami słabo oświetlały ściany i podłogę. Przez chwilę oglądałem telewizję. Cały czas myślałem o tym, że gdyby Linda się obudziła i tu weszła, mogłoby ją to zaniepokoić. Wszelkie nieregularności i wszystko, co sygnalizowało niestałość, potrafiły jej przypomnieć o okresach manii, które miewał jej ojciec, kiedy dorastała. Wyłączyłem więc telewizor, sięgnąłem na półkę nad kanapą po jedną z książek o sztuce i zacząłem ją przeglądać. Był to album Constable'a, niedawno go kupiłem. Głównie szkice olejne, studia chmur, krajobrazu, morza.

Wystarczyło, że przesunąłem po nich wzrokiem, i już oczy zaszyły mi łzami, tak wielką tęsknotą wypełniły mnie niektóre z tych obrazów. Wobec innych pozostałem obojętny. To było moje jedyne kryterium oceny sztuk wizualnych: uczucia, jakie budziły. Uczucie niewyczerpalnej głębi. Uczucie piękna. Uczucie bliskości. Wszystkie naraz połączone momentami tak gwałtownie, że czasami trudno było je przeżywać. I absolutnie niepozwalające się wyjaśnić. Gdy bowiem uważniej obejrzałem ten obraz, który wywarł na mnie największe wrażenie, olejny szkic formacji chmur z szóstego września 1822 roku, nie znalazłem w nim nic, co mogłoby tłumaczyć siłę moich odczuć. Na samej górze pole błękitnego nieba. Poniżej pole białawej mgły. Dalej nadciągające chmury. Białe w

miejscach, w których pada na nie światło słońca, jasnozielone w najlżej zacienionych partiach, ciemnozielone, wręcz czarne tam, gdzie najgęściejsze i najbardziej odległe od słońca. Błękit, biel, turkus, zieleń, czarna zieleń. To wszystko. W komentarzu napisano, że Constable namalował je w Hampstead *at noon*, a niejaki Wilcox podważył autentyczność daty, ponieważ inny szkic namalowany tego samego dnia między godziną dwunastą a trzynastą ukazuje zupełnie inne, bardziej deszczowe niebo. Argument ten unieważniły jednak raporty meteorologiczne z okolic Londynu z tego dnia, ponieważ zgadzał się z nimi wygląd pokrywy chmur na obu obrazach.

Studiowałem kiedyś historię sztuki i przyzwyczaiałem się do opisywania i analizowania dzieł. Nigdy jednak nie pisałem o jedynej naprawdę istotnej rzeczy związanej ze sztuką, a mianowicie o jej przeżywaniu. Nie umiałem tego robić, ale głównie dlatego że uczucia wzbudzone we mnie przez obrazy pozostawały w sprzeczności ze wszystkim, czego nauczyłem się o sztuce, jej istocie i zadaniu. Zachowywałem je więc dla siebie. Chodziłem sam po Nationalgalleriet w Sztokholmie, Nasjonalgalleriet w Oslo albo National Gallery w Londynie i oglądałem. Była w tym wolność. Nie musiałem uzasadniać swoich uczuć, nie musiałem nikomu się z nich zwierzać, nie musiałem nikogo przekonywać. Wolność, ale nie spokój, bo nawet gdy obrazy przedstawiały idyllę, na przykład archaiczne pejzaże Claude'a Lorraina, to zawsze odchodziłem od nich z niepokojem, bo samym ich sednem była niewyczerpalność, która we mnie budziła coś w rodzaju pazerności. Lepiej nie potrafię tego wyjaśnić. Pragnąłem sam znaleźć się w tym, co niewyczerpalne. Tak było również tej nocy. Przez blisko godzinę oglądałem album Constable'a. Cały czas wracałem do obrazu zielonkawych chmur i za każdym razem otwierało się we mnie to samo. Dwa różne sposoby patrzenia zdawały się dochodzić do głosu w świadomości, jeden połączony z myślami i rozumowaniem, drugi – z emocjami i przeczuciami, i chociaż oba biegły obok siebie, to jednak pozostawały odgrrodzone, nie dzieliły się wiedzą. To był niezwykle obraz, przepełnił mnie wszystkimi uczuciami, jakie budzą niezwykle obrazy, ale kiedy chciałem wyjaśnić, na czym owa niezwykłość polega, nie zdołałem sobie z tym poradzić. Ten obraz wprawił moje wnętrze w drżenie, ale z jakiego powodu? Wypełnił mnie tęsknotą, ale za czym? Chmur nie brakowało. Kolorów nie brakowało. Historycznych chwil też nie brakowało. Nie brakowało również połączenia tych wszystkich trzech czynników. W sztuce naszych czasów, a więc tej, która z zasady powinna mieć dla mnie znaczenie, nie uważano uczuć wzbudzanych przez dzieło sztuki za cenne. Traktowano je jako rzecz o mniejszej wartości, może nawet niepożądany produkt uboczny, coś w rodzaju odpadu lub w najlepszym razie materiał podatny na manipulację. Również naturalistycznego przedstawienia rzeczywistości nie uznawano za wartościowe, uważano je za przejaw naiwności, stadium, które już dawno pozostawiliśmy za sobą. W takiej sytuacji mało co miało sens. Ale w chwili gdy znów skierowałem wzrok na ten obraz, wszelkie rozumowanie ucięła wzbierająca we mnie fala wzruszenia jego mocą i pięknem. Tak, tak, tak, usłyszałem. To właśnie tam. Tam muszę dotrzeć. Tylko co ja tak potwierdzałem? Dokąd musiałem dojść?

Była czwarta. A więc wciąż noc. Nie mogłem iść w nocy do pracowni. Ale wpół do piątej to chyba już rano?

Wstałem, przeszedłem do kuchni, wstawiłem do kuchenki mikrofalowej talerzyk z klopsikami i spaghetti, bo od lunchu poprzedniego dnia nic nie jadłem, i wziąłem prysznic, głównie po to, by jakoś zabić minuty, które musiały minąć, zanim jedzenie będzie gotowe. Ubrałem się, wyjąłem z szuflady sztućce, nalałem wody do szklanki, wyjąłem z mikrofalni talerz i usiadłem do stołu.

Na ulicach panowała zupełna cisza. Godzina przed piątą była jedyną z całej doby, w której to miasto spało. W moim poprzednim życiu, przez tych dwanaście lat przemieszkanych w Bergen, starałem się nie spać w nocy najczęściej, jak mogłem. Nigdy nie zastanawiałem się nad tą skłonnością, po prostu to lubiłem i tak robiłem. Chyba miało to początek w moich ideałach licealisty i wyobrażeniach o tym, że noc w jakiś inny sposób wiąże się z wolnością. Nie sama w sobie, lecz jako przeciwieństwo rzeczywistości dziennej, tej od dziewiątej do czwartej, którą wraz z kilkoma innymi osobami uważałem za mieszczańską i konformistyczną. My chcieliśmy być wolni, siedzieliśmy więc długo w nocy. Późniejsze kontynuowanie tego zwyczaju miało mniejszy związek z wolnością, a większy z narastającą potrzebą samotności. Dopiero teraz zrozumiałem, że odziedziczyłem ją po ojcu. W naszym domu miał do dyspozycji całe osobne mieszkanie i spędzał tam prawie każdy wieczór. To była jego noc.

Opłukałem talerzyk pod kranem, wstawiłem do zmywarki i poszedłem do sypialni. Kiedy stanąłem przy łóżku, Linda otworzyła oczy.

– Jak ty lekko śpisz – stwierdziłem.

– Która godzina?

– Wpół do piątej.

– Jeszcze się nie położyłeś?

Pokręciłem głową.

– Chyba pójdę do pracowni.

Uniosła się lekko.

– T e r a z?

– I tak nie mogę spać. Równie dobrze mogę poświęcić ten czas na pracę.

– Proszę cię, połóż się.

– Nie słyszałaś, co powiedziałem?

– Ale ja nie chcę leżeć tu sama. Nie możesz iść jutro rano?

– Już jest jutro rano.

– Nie, jest środek nocy. A poza tym w każdej chwili mogę zacząć rodzić. To się może stać już za godzinę, dobrze o tym wiesz.

– Trzymaj się – powiedziałem, zamykając za sobą drzwi sypialni. W przedpokoju

włożyłem kurtkę i buty, wziąłem torbę z laptopem i wyszedłem. Od pokrytego śniegiem chodnika było zimno. Na samym końcu ulicy pojawił się pług śnieżny. Ciężki metal dudnił o asfalt. Zawsze mnie zatrzymywała. Dlaczego moja obecność była dla niej taka ważna, chociaż i tak spała, wcale jej nie czując?

Niebo wisiało nad dachami domów czarne i ciężkie. Ale śnieg przestał padać. Ruszyłem przed siebie. Pług minął mnie z warkotem silnika, z podzwanianiem łańcuchów, ze zgrzytem metalu. Małe inferno dźwięków. Skręciłem w David Bagares gata; bezludna i cicha, ciągnęła się w stronę Malmskillnadsgatan, gdzie wzrok przyciągały litery na szyldzie knajpy KGB. Zatrzymałem się przy bramie domu starców. Ona miała rację. Poród mógł się zacząć w każdej chwili. W dodatku nie lubiła być sama. Dlaczego więc teraz tędy szedłem? Co chciałem robić w pracowni o wpół do piątej rano? Pisać? Załatwić dzisiaj to, czego nie udało mi się osiągnąć przez pięć ostatnich lat?

Jakiż ze mnie idiota. Przecież ona oczekiwała naszego dziecka, mojego dziecka, nie powinna zostać z tym sama.

Zawróciłem. Kiedy odstawiłem torbę w przedpokoju i zacząłem się rozbierać, usłyszałem jej głos z sypialni:

– To ty, Karl Ove?

– Tak – odparłem i poszedłem do niej. Spojrzała na mnie pytająco.

– Masz rację – przyznałem. – Nie pomyślałem. Przepraszam, że tak po prostu wyszedłem.

– To ja przepraszam. Oczywiście, że musisz wyjść i pracować!

– Pójdę później.

– Ale ja cię nie chcę zatrzymywać. Dam sobie radę. Obiecuję. Po prostu idź. Zadzwoń, jakby się coś działo.

– Nie – powiedziałem, kładąc się obok niej.

– Ale... Karl Ove – uśmiechnęła się.

Podobało mi się, że wypowiada moje imię. Zawsze to lubiłem.

– Teraz ty uważasz tak, jak ja uważałam, a ja na odwrót. Ale ja przecież wiem, że tak naprawdę uważasz inaczej.

– To zbyt skomplikowane – stwierdziłem. – Może raczej jeszcze trochę pośpimy, a potem zjemy razem śniadanie i dopiero wtedy wyjdę?

– Bardzo chętnie. – Przytuliła się do mnie. Była rozgrzana jak piec. Pogładziłem ją po włosach i lekko pocałowałem w usta. Zamknęła oczy i odchyliła głowę.

– Co powiedziałaś? – spytałem.

Bez słowa wzięła moją rękę i położyła ją sobie na brzuchu.

– Tutaj. Czujesz?

Skóra pod moją dłonią nagle się uwypukliła.

– Ojej! – Podniosłem rękę, żeby zobaczyć to, co wciskało się w brzuch od środka, tworząc wypukłość. Kolano, stopa, łokieć albo pięść, nie wiedziałem co, teraz się przesunęło. Jakbym patrzył na coś, co porusza się tuż pod powierzchnią nieruchomej wody. Za moment znów się cofnęło.

– Ona się niecierpliwi – stwierdziła Linda. – Czuję to.

– To była stopa?

– Mhm.

– Jakby sprawdzała, czy nie da się wydostać tą drogą.

Linda się uśmiechnęła.

– Bolało?

Pokręciła głową.

– Czuję to, ale nie boli. Jest po prostu dziwne.

– Wierzę.

Przytuliłem się do niej i znów położyłem rękę na jej brzuchu. W przedpokoju stuknęła poczta wrzucona przez listownik. Za oknem przejechała ciężarówka. Musiała być wielka, bo szyby zadrżały. Zamknąłem oczy. Kiedy wszystkie myśli i obrazy w świadomości zaczęły się przemieszczać w kierunkach, nad którymi nie miałem władzy, i mogłem je tylko obserwować, trochę jak leniwy pies pasterski, zrozumiałem, że sen jest już niedaleko. Wystarczyło spuścić się na linie w jego mrok.

Obudziła mnie Linda, krzątająca się po kuchni. Zegar na półce nad kominkiem wskazywał za pięć jedenastą. Niech to szlag trafi! A więc tak wygląda ten dzień pracy.

Ubrałem się i poszedłem do kuchni. Z małego ekspresu do kawy na kuchence buchała para. Ser, masło i sok stały już na stole. Na talerzyku leżały dwie grzanki, z tosterą obok wyskoczyły dwie kolejne.

– Wyspałeś się? – spytała Linda.

– Pewnie – powiedziałem i usiadłem. Masło, które rozsmarowałem na grzance, natychmiast się roztopiło, zalewając drobne pory na powierzchni. Linda zestawiała kawę z kuchenki i wyłączyła płytę. Wielki brzuch zmuszał ją do nieustannego odchylania się do tyłu, a kiedy robiła coś rękami, wyglądało to tak, jakby dzieliła ją od nich niewidzialna ściana.

Niebo poszarzało. Ale na dachach musiał utrzymać się śnieg, bo w kuchni było jaśniej niż zazwyczaj.

Linda naląka kawy do wyjętych wcześniej filizanek i jedną postawiła przede mną. Miała zapuchniętą twarz.

– Gorzej się czujesz? – spytałem.

Kiwnęła głową.

– Mam zupełnie zapchany nos. I podwyższoną temperaturę. – Usiadła ciężko, nalała mleka do kawy. – To typowe – dodała. – Musiałam zachorować akurat teraz. Kiedy najbardziej potrzebuję sił.

– Może poród trochę się opóźni – powiedziałem. – Może organizm sam się wstrzyma, dopóki nie wyzdrowieje.

Popatrzyła na mnie. Przełknąłem ostatni kęs i nalałem soku do szklanki. Jeśli czegoś się nauczyłem w ostatnich miesiącach, to tego, że wszystko, co się słyszy o wahaniach nastroju i nieprzewidywalności kobiet w ciąży, jest szczerą prawdą.

– Nie rozumiesz, że to katastrofa? – spytała.

Spojrzałem jej w oczy. Wypiłem łyk soku.

– Tak, tak, oczywiście – odrzekłem. – Ale to się ułoży. Wszystko się ułoży.

– Oczywiście, że się ułoży. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że nie chcę rodzić chora i słaba.

– Rozumiem. I wcale tak nie będzie. Przecież zostało jeszcze kilka dni.

Dalej jedliśmy w milczeniu.

W końcu Linda znów przeniosła na mnie wzrok. Miała fantastyczne oczy, szarzielone, które czasami, najczęściej wtedy, gdy chciało jej się spać, lekko zezowały. Na zdjęciu w wydany przez nią zbiorku wierszy zezowała. Ujawniająca się w ten sposób delikatność, pozostająca w sprzeczności z wyraźną pewnością siebie, chociaż jej niepodkreślająca, kiedyś całkiem mnie zahipnotyzowała.

– Przepraszam – powiedziała. – Po prostu bardzo się denerwuję.

– Wcale nie musisz się denerwować. Jesteś przygotowana najlepiej, jak można.

I rzeczywiście była. Całkowicie poświęciła się temu, co miało nadejść, przeczytała stopy książek, kupiła coś w rodzaju kasety medytacyjnej i co wieczór słuchała głosu powtarzającego hipnotycznie, że ból nie jest groźny, ból jest dobry, ból nie jest groźny, ból jest dobry; razem chodziliśmy do szkoły rodzenia, zwiedziliśmy też oddział, na którym planowo miał się odbyć poród. Przygotowywała się do każdej rozmowy z położną, zapisując sobie uprzednio pytania, a wszystkie wyliczenia i wymiary, które przynosiła po tych spotkaniach, z taką samą skrupulatnością zapisywała w dzienniczku. Przekazała też na oddział położniczy, tak jak ją proszono, kartkę ze swoimi preferencjami, na której napisała, że jest niespokojna, potrzebuje dużego wsparcia, ale jednocześnie jest silna i chce rodzić bez znieczulenia.

Na wspomnienie tego zakłuło mnie w sercu. Byłem przecież na oddziale położniczym – chociaż starano się tam stworzyć środowisko podobne do domowego, z kanapami, dywanami, obrazkami na ścianach i odtwarzaczem CD w pokoju, gdzie miał się odbyć poród, a oprócz tego z salką telewizyjną i kuchnią, w której można było sobie coś

ugotować, po porodzie zaś dostawało się własny pokój z łazienką, to jednocześnie czuło się, że w tym samym pokoju tuż przedtem rodziła jakaś inna kobieta, więc nawet jeśli posprzątało go w pośpiechu, zmieniono pościel i wyłożono świeże ręczniki, to odbywało się to już tyle razy, że w powietrzu i tak unosił się lekko metaliczny zapach krwi i wnętrznosci. W chłodnej sypialni, która miała pozostawać do naszej dyspozycji dobę po porodzie, jakaś inna para z nowo narodzonym dzieckiem niewiele wcześniej leżała w tym samym łóżku, więc to, co dla nas miało być nowe i stanowić punkt zwrotny w życiu, dla tych, którzy tam pracowali, było tylko kolejnym powtórzeniem. Położne zawsze zajmowały się kilkoma porodami równolegle, cały czas kręciły się po rozmaitych pokojach, w których różne kobiety krzyczały i wrzeszczały, ryczały i stękały, w zależności od fazy porodu, i trwało to nieprzerwanie dzień i noc, na okrągło przez cały rok, jeśli więc czegoś pracownicy naprawdę nie mogli zrobić, to zająć się którąkolwiek z nich z takim oddaniem, jakiego oczekiwała Linda, czemu dała wyraz w swoim liście.

Wyjrzała przez okno; popatrzyłem w tym samym kierunku. Na dachu stojącego naprzeciwko budynku, w odległości jakichś dziesięciu metrów od nas, przepasany liną mężczyzna zrzucił śnieg.

– Ludzie w tym kraju to szaleńcy – stwierdziłem.

– W Norwegii tak się nie robi?

– Zwariowałaś?

Rok przed moim przyjazdem do Szwecji jakiegoś chłopca zabił sopel lodowy, który spadł z dachu. Od tamtej pory z wszystkich dachów ze straszliwą konsekwencją zrzucano śnieg mniej więcej w tej samej chwili, w której zaczynał padać, a kiedy przychodziła odwilż, prawie wszędzie chodniki były przez tydzień zagrodzone czerwono-białymi taśmami. Panował chaos.

– Ale dzięki tej fobii ludzie mają przynajmniej zajęcie – podsumowałem, wielkimi kęsami zjadłem grzanekę, wstałem i na stojąco dopiłem kawę. – Idę już.

– Okej – powiedziała Linda. – Możesz w drodze powrotnej wypożyczyć jakieś filmy?

Odstawiłem filiżankę na stół, wytarłem usta wierzchem dłoni.

– Oczywiście. Wszystko jedno co?

– Tak. Sam wybierz.

Umyłem zęby w łazience. Kiedy ubierałem się w przedpokoju, Linda przysłała do mnie.

– Co będziesz dzisiaj robić? – spytałem, jedną ręką wyjmując płaszcz z szafy, a drugą owijając szyję szalikiem.

– Nie wiem. Może pójde na spacer do parku. Wykąpię się.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, dobrze.

Nachyliłem się, żeby zasznurować buty, a ona, jedną ręką podpierając plecy, stała nade

mną.

- Okej. – Wciągnąłem czapkę na głowę i chwyciłem torbę z laptopem. – No to idę.
- Okej – powiedziała.
- Dzwon, jakby coś się działo.
- Dobrze, będę dzwonić.

Pocałowaliśmy się i zamknąłem za sobą drzwi. Winda właśnie jechała w górę, przed oczami mignęła mi sąsiadka z piętra wyżej z twarzą nachyloną do lustra. Była adwokatką, najczęściej chodziła w czarnych spodniach albo krótkich spódnicach do kolan, witała się oschle, zawsze z zaciśniętymi ustami, biła od niej wrogość, przynajmniej w stosunku do mnie. Okresowo pomieszkiwał u niej brat, chudy, ciemnooki, niespokojny, o surowym wyglądzie, ale przystojny mężczyzna, którego jedna z przyjaciółek Lindy natychmiast zauważyła i od razu się w nim zakochała. Mieli coś w rodzaju romansu, który jak się wydawało, polegał na tym, że on nią gardził w takim stopniu, w jakim ona go ubóstwiała. Fakt, że mieszkał w tym samym domu co jej przyjaciółka, chyba mu przeszkadzał, zawsze uciekał spojrzeniem, kiedy się zatrzymywaliśmy, by zamienić kilka słów, lecz chociaż przypuszczałem, że wiązało się to z tym, iż wiedziałem o nim więcej aniżeli on o mnie, mogło również mieć zupełnie inne przyczyny – mógł być na przykład typowym nałogowcem. Nic o tym nie wiedziałem, wiedzy o owym świecie i jemu podobnych nie miałem żadnej i w tym sensie naprawdę byłem tak naiwny, jak twierdził Geir, mój jedyny prawdziwy przyjaciel w Sztokholmie, stale porównując mnie do oszukanego człowieka na obrazie *Szulerzy* Caravaggia.

Na dole postanowiłem zapalić papierosa, zanim pójdę dalej, przeszedłem więc prowadzącym obok pralni korytarzem na tylne podwórze, tam postawiłem torbę na ziemi, oparłem się o ścianę i popatrzyłem w niebo. Tuż nad moją głową znajdowało się wyjście kanału wentylacyjnego, z którego wydobywał się zapach ciepłego, świeżego prania. Z pralni ledwie dochodziło wycie wirującego urządzenia, pełne złości, kontrastującej z powolnymi szarymi chmurami sunącymi w górze. Tu i ówdzie przebijało się zza nich błękitne niebo, jakby dzień był płytą, po której się przesuwają.

Podszedłem do płotu oddzielającego podwórze od terenu przedszkola, które znajdowało się w jego zewnętrznej części, teraz pustego, ponieważ dzieci właśnie jadły w budynku. Oparłem się o ogrodzenie łokciami i tak stałem, paląc i przyglądając się dwóm wieżowcom przy Kungsgatan. Zbudowano je w latach dwudziestych w stylu przypominającym neobarok, a ich forma, natychmiast kojarząca się z początkiem ubiegłego wieku, często napełniała mnie tęsknotą. Nocą podświetlano je reflektorami. Światło dzienne wyodrębniało rozmaite szczegóły, podkreślało różnice między materiałami użytymi do wzniesienia murów a tymi w oknach, wyostrzało pozłacane statuetki i pokryte patyną miedziane płyty, natomiast sztuczne światło wszystkie te elementy wiązało ze sobą. Możliwe, że działo się tak za sprawą samego światła, stwarzanego przez nie wrażenia łączności z otoczeniem; w każdym razie nocą posągi zdawały się mówić. Nie, nie ożywały,

były równie martwe jak wcześniej, ale zmieniał się wyraz tej martwoty i w pewnym sensie nabierał intensywności. W ciągu dnia była to tylko nicość, nocą znajdowała ona swój wyraz.

A może po prostu dzień wypełniało mnóstwo innych dekoncentrujących rzeczy. Wszystkie te samochody na ulicach, ludzie na chodnikach, na schodach i w oknach, helikoptery sunące po niebie jak ważki, dzieci, które w każdej chwili mogły wybiec i czołgać się w błocie albo w śniegu, jeździć na trzykołowych rowerkach, zjeżdżać na dużej zjeżdżalni na środku placu, wspinać się na mostek w pełni wyposażonego „statku” obok, bawić się w piaskownicy albo w małej chatce, rzucać piłką lub po prostu biegać, zawsze z krzykiem i wrzaskiem, od rana do wczesnego popołudnia wypełniając podwórze kakofonią dźwięków, przerywaną jedynie, tak jak teraz, spokojem posiłków. Przebywanie na podwórzu w porze zabawy stawało się wręcz niemożliwe, ale nie z powodu hałasu, na który rzadko zwracałem uwagę, lecz dlatego że dzieci miały tendencję do gromadzenia się wokół mnie. Za każdym razem, kiedy stawałem tam tej jesieni, zaczynały wspinać się na półpłotek dzielący podwórze na dwie części i zawisały na nim, we czworo albo pięcioro, wypytując mnie o wszystko, co możliwe, albo wręcz przekraczały tę zakazaną granicę i biegały wokół mnie, śmiejąc się w głos. Najbardziej rozgadane go chłopca najczęściej odbierano z przedszkola jako ostatniego. Kiedy wracałem tą drogą do domu, nierzadko zdarzało mi się widzieć, jak grzebie w piasku, sam lub z jakimś innym nieszczęśnikiem, albo jak stoi wczepiony w płot przy wyjściu. Zwykle go wtedy pozdrawiałem. Jeżeli nikogo innego nie było w pobliżu, przykładałem dwa palce do czoła albo udawałem, że uchylam kapelusza. Robiłem to raczej dla siebie, bo on za każdym razem patrzył na mnie równie ponuro.

Od czasu do czasu myślałem sobie, jaką ulgą byłaby możliwość zdrapania wszystkich tych miękkich uczuć jak błony wokół ścięgien w uszkodzonym kolanie sportowca. Gdyby się dało usunąć wszelki sentymentalizm, wszelkie współczucie, wszelką empatię...

Powietrze przeszył krzyk.

AAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAA!

Drgnąłem. Chociaż taki krzyk rozlegał się często, nie mogłem się do niego przyzwyczaić. Dobiegał ze stojącego za przedszkolem budynku, w którym mieścił się dom starców. Wyobrażałem sobie kogoś, kto leży nieruchomo w łóżku, kompletnie pozbawiony kontaktu z otaczającym światem, bo krzyk potrafił się rozlegać zarówno nocą, jak i rano lub przed południem. Jeśli nie liczyć tych wrzasków, a także mężczyzny, który palił papierosy na balkonie i miewał ataki kaszlu przypominające śmiertelne rżenie, niekiedy ciągnące się wiele minut, dom starców był światem zamkniętym na otoczenie. Po drodze do pracowni zdarzało mi się obserwować w oknach po drugiej stronie budynku pielęgniarki, miały tam coś w rodzaju pokoju socjalnego, czasami widywałem też na ulicy niektórych mieszkańców, parę razy w towarzystwie policjantów odprowadzających ich do domu, parę razy błakających się samotnie. Zwykle jednak nie poświęcałem temu miejscu żadnej myśli.

Ależ on krzyczał!

Wszystkie zasłony były zaciągnięte, również te w uchylonych drzwiach na balkon, z których wydobywał się krzyk. Przez chwilę się w nie wpatrywałem. Potem odwróciłem się i ruszyłem do wyjścia. Przez okno pralni dostrzegłem sąsiadkę z piętra niżej, składającą białe prześcieradło. Wziąłem swoją torbę, przeszedłem przypominającym jaskinię korytarzykiem, w którym stały pojemniki na śmieci, otworzyłem kluczem metalową furtkę i wyszedłem na ulicę, po czym pospiesznie ruszyłem w stronę KGB i schodów prowadzących na Tunellgatan.

Dwadzieścia minut później zamknąłem za sobą drzwi do pracowni. Powiesiłem na wieszaku płaszcz i szalik, buty zostawiłem na wycieraczce, zrobiłem sobie kawę i włączywszy komputer, piłem ją, wpatrując się w tytułową stronę, dopóki nie uruchomił się wygaszacz, który wypełnił ekran miriadami świetlistych punkcików.

Ameryka duszy. Tak brzmiał tytuł. I prawie wszystko w tym pokoju kojarzyło się bądź z nim, bądź z tym, co we mnie budził. Reprodukacja słynnego obrazu Williama Blake'a, przedstawiająca Newtona na dnie morza, wisząca za mną na ścianie; obok dwa kupione kiedyś w Londynie, oprawione w ramy osiemnastowieczne rysunki z ekspedycji Churchilla w osiemnastym wieku – na jednym martwy wieloryb, na drugim rozkrojony żuk, oba w kilku stadiach. Na krótszej ścianie nocny pejzaż Pедера Balkego, jego zielen i czern. Plakat Greenawaya. Mapa Marsa, którą znalazłem w starym numerze „National Geographic”. Obok dwie czarno-białe fotografie Thomasa Wågströma; na jednej mieniąca się dziecięca sukienka, na drugiej czarna woda, w której tuż pod powierzchnią widać ślepią wydry. Malutki zielony metalowy delfinek i malutki zielony metalowy hełm, które kiedyś kupiłem na Krecie, teraz stały na biurku. No i książki: Paracelsus, Bazyli Wielki, Lukrecjusz, Thomas Browne, Olof Rudbeck, Augustyn, Tomasz z Akwinu, Albertus Seba, Werner Heisenberg, Raymond Roussel i oczywiście Biblia, a także prace o romantyzmie i o gabinetach osobliwości, o Atlantydzie, Albrechcie Dürerze i Maksie Ernście, o baroku i gotyku, o fizyce atomowej i broni masowej zagłady, o lasach i nauce w szesnastym i siedemnastym wieku. W tym wszystkim nie chodziło o wiedzę, tylko o aurę bijącą z wiedzy, o miejsca jej pochodzenia, prawie wszystkie znajdujące się poza światem, w którym teraz żyliśmy, lecz mimo wszystko mieszczące się w nim, w tej ambiwalentnej przestrzeni, będącej miejscem spoczynku wszystkich historycznych przedmiotów i wyobrażeń.

W ostatnich latach moje poczucie, że świat jest mały, a ja mam jego pełny ogląd, stawało się coraz silniejsze, chociaż rozum mówił mi, że właściwie jest całkiem odwrotnie: świat nie ma granic i jest nieprzenikniony, liczba zdarzeń nieskończona, a współczesność to otwarte drzwi kołyszające się na wietrze historii. Ale ja nie miałem takiego wrażenia. Przeciwnie, uważałem, że świat jest znany, zbadany do końca, opisany i naniesiony na mapę, że nie może już poruszać się w nieprzewidywalnych kierunkach i nic nowego czy

zaskakującego nie może się już wydarzyć. Rozumiałem siebie, rozumiałem moje bliskie otoczenie, rozumiałem społeczeństwo wokół mnie, a jeśliby pojawiło się zjawisko, które wydałoby mi się niejasne, to wiedziałbym, co mam zrobić, żeby je zrozumieć.

Zrozumienia nie można mylić z wiedzą, bo tej prawie nie posiadałem – lecz gdyby na przykład miały wybuchnąć walki na terenach przygranicznych w jednej z byłych republik radzieckich w Azji, w miastach, o których nigdy wcześniej nie słyszałem, wśród mieszkańców obcych mi we wszystkim, od stroju czy języka poczynając, a kończąc na codziennym życiu i religii, gdyby okazało się, że ów konflikt ma głębokie historyczne korzenie, sięgające zdarzeń, które rozegrały się w jedenastym wieku, to moja totalna niewiedza i brak kompetencji nie przeszkodziłyby mi w zrozumieniu tego, co się wydarzyło, bo myśli mają kategorie pozwalające opanować nawet to, co najbardziej obce. Podobnie rzecz się miała ze wszystkim. Kiedy dostrzegałem owada, którego nie widziałem nigdy wcześniej, miałem pewność, że ktoś inny musiał go już widzieć i sklasyfikować. Gdy zauważałem świecący obiekt na niebie, wiedziałem, że to albo rzadkie zjawisko meteorologiczne, albo samolot, albo może balon pogodowy, i że jeśli to coś ważnego, następnego dnia napiszą o tym w gazetach. Jeżeli zapominałem o jakimś zdarzeniu z dzieciństwa, to z całą pewnością miałem do czynienia z wyparciem; jeżeli na coś naprawdę się wściekłem, to z całą pewnością miałem do czynienia z projekcją, a to, że stale starałem się zadowalać napotykanym ludzi, miało związek z ojcem i moim stosunkiem do niego. Nie ma ludzi, którzy nie rozumieją swojego świata. Ktoś, kto rozumie mało, na przykład dziecko, po prostu porusza się po mniej rozległym świecie niż ten, kto rozumie dużo. Ale ze zrozumieniem zawsze musi się łączyć wiedza o jego granicach: świadomość, że świat poza nimi – wszystko to, czego człowiek nie rozumie – nie tylko istnieje, lecz również jest większy niż ten świat w obrębie granic. Od czasu do czasu myślałem, że przynajmniej w moim wypadku świat dziecka, w którym wszystko było znajome – a jeśli czegoś się nie znało, można było polegać na innych, którzy wiedzieli i rozumieli – właściwie nigdy nie przestał istnieć, tylko po prostu przez wszystkie te lata się poszerzał. Gdy jako dziewiętnastolatek zetknąłem się z pojęciem językowego obrazu świata, odrzuciłem je, posługując się tym, co nazywałem zdrowym rozsądkiem, bo to przecież nie miało sensu. Pióro, które ścisnąłem w rękę, miałoby być językiem? Okno, w którym odbijało się słońce? Podwórce w dole, przez które przechodzili ubrani po jesiennemu studenci? Uszy wykładowcy, jego dłonie? Słaby zapach ziemi i liści w stroju siedzącej obok mnie dziewczyny, która przed chwilą weszła do sali? Odgłos młota pneumatycznego robotników drogowych, którzy rozbili namiot tuż przy kościele Świętego Jana? Równe brzęczenie transformatora? Hałas miasta – czy to miał być językowy hałas? Kaszel osoby przede mną – językowy kaszel? Nie, to śmieszny pomysł. Świat to świat, to, czego dotykałem, o co uderzałem, czym oddychałem i plułem, co jadłem i piłem, czym krwawiłem i wymiotowałem. Dopiero wiele lat później zacząłem na to patrzeć inaczej. W pewnej książce o sztuce i anatomii cytowano Nietzschego, napisano tam, że „również fizyka jest tylko pewnym wyłożeniem i obmyśleniem świata, a n i e wyjaśnieniem

świata”^[8], a także, iż „mierzyliśmy wartość świata kategoriami, które odnoszą się tylko do świata sfingowanego”^[9].

Sfingowany świat?

Tak, świat jako nadbudowa, świat jako duch, nieważki i abstrakcyjny, z tej samej materii, z której utkane są myśli, dlatego będący czymś, w czym mogą one bez przeszkód się poruszać. Świat, który po trzystu latach istnienia nauk przyrodniczych został odarty z tajemnic. Wszystko zostało wyjaśnione, wszystko zostało zrozumiane, wszystko leży w obrębie ludzkiego pojmowania, poczynając od tego, co absolutnie największe, od wszechświata, od jego najstarszego obserwowalnego światła, najskrajniejszej granicy wszystkiego, powstałej w momencie jego narodzin piętnaście miliardów lat temu, aż po najmniejsze cząstki, protony, neutrony, mezony w jądrze atomu. Znamy i rozumiemy nawet zjawiska, które nas zabijają, na przykład wszystkie te bakterie i wirusy wdzierające się w nasze ciała, atakujące nasze komórki i nakazujące im rosnąć albo umierać. Abstrahowaniu i prześwietlaniu przez długi czas podlegały jedynie natura i jej prawa jako takie, ale teraz, w czasach zalewu obrazów, dotyczy to już nie tylko praw natury, lecz również miejsc i ludzi. Cały świat fizyczny podniesiono do tej sfery, wszystko włączono do ogromnego królestwa imaginacji, od lasów deszczowych Ameryki Południowej i wysp Oceanu Spokojnego po pustynie Afryki Północnej i szare, zniszczone miasta Europy Wschodniej. Nasze myśli zalewają obrazy miejsc, w których nigdy nie byliśmy, a mimo wszystko je znamy, ludzi, których nigdy nie spotkaliśmy, a mimo wszystko jesteśmy z nimi w poufanych stosunkach i żyjąc, stale się do nich odnosimy. Wywołane przez to odczucie, że świat jest mały, szczelnie zamknięty, bez okienek otwierających się na coś innego, graniczy z kazirodztwem, i nawet gdybym przyznał, że jest ono głęboko nieprawdziwe, ponieważ właściwie nie wiemy nic o niczym, i tak bym się od niego nie uwolnił. Tęsknota, którą zawsze czułem, niekiedy była tak wielka, że niemal nie pozwalała się kontrolować, i wynikała właśnie z tego odczucia. Pisałem częściowo po to, by je złagodzić, pisząc, chciałem otworzyć świat sobie samemu, a jednocześnie właśnie przez owo odczucie to mi się nie udawało, przez odczucie, że przyszłość nie istnieje, że jest tylko większą ilością tego, co już jest, a zatem żadna utopia nie ma sensu. Literatura zawsze była spokrewniona z utopią, kiedy więc utopia traci sens, traci go również literatura. Tym, czego próbowałem i czego być może próbują wszyscy pisarze – nic o tym nie wiem – było zwalczanie fikcji fikcją. Powinienem był wychwalać to, co istnieje, wychwalać stan rzeczy, a więc pławić się w świecie, zamiast szukać z niego wyjścia, bo w ten sposób bez wątpienia żyłoby mi się lepiej, ale to mi się nie udało, nie potrafiłem tak, coś we mnie zastygło, utkwilo we mnie to przekonanie i chociaż było ono esencjalistyczne, a więc niejednorodne w czasie, a na dodatek romantyczne, nie mogłem go ominąć z tego prostego powodu, że zostało nie tylko wymyślone, lecz również doświadczone w owych nagłych stanach objawienia, jakie chyba wszyscy przeżywają, kiedy to człowiek przez kilka sekund widzi świat zupełnie inny aniżeli ten, w którym znajdował się zaledwie przed chwilą, świat nagle się ujawnia i

ukazuje na krótki moment, a zaraz potem z powrotem zamyka się w sobie i wszystko pozostaje takie, jakie było wcześniej...

Ostatnio przeżyłem to w pociągu podmiejskim między Sztokholmem a Gnestą kilka miesięcy wcześniej. Krajobraz za oknem był zupełnie biały, niebo szare i wilgotne, jechaliśmy przez obszar przemysłowy, mijaliśmy puste wagony kolejowe, cysterny na gaz, hale fabryczne, wszystko szarobiałe, na zachodzie czerwone promienie coraz niżej opadającego słońca rozmywały się we mgle, a mój pociąg nie był z rodzaju tych starych, rozklekotanych, ze zniszczonymi siedzeniami, zwykle jeżdżących na tej trasie, lecz zupełnie nowy, czysty i błyszczący, siedzenie pachniało nowością, drzwi przede mną rozsuwały się i zasuwały bez najmniejszego tarcia, a ja nie myślałem o niczym, patrzyłem tylko na czerwoną kulę płonącą na niebie i radość, która mnie wypełniła, była tak gwałtowna i tak mocna, że nie dało się jej odróżnić od bólu. Wydało mi się, że to przeżycie ma ogromne znaczenie. Ogromne. Kiedy chwila minęła, poczucie jej wagi wcale nie zmalowało, ale nagle trudno je było umiejscowić: co dokładnie miało takie znaczenie? I dlaczego? Pociąg, obszar przemysłowy, słońce, mgła?

Rozpoznałem owo uczucie, przypominało to, które wzbudzały we mnie nieliczne dzieła sztuki, na przykład autoportret starego Rembrandta w National Gallery w Londynie, pejzaż Turnera przedstawiający zachód słońca nad morzem w antycznym porcie, wiszący w tym samym muzeum, Chrystus w ogrodzie Getsemani, namalowany przez Caravaggia. Vermeer budził we mnie to samo uczucie, także niektóre z obrazów Claude'a Lorraina, Ruisdaela i innych pejzażystów holenderskich, część dzieł J.C. Dahla, prawie wszystkie Herterviga... Ale żaden z obrazów Rubensa, żaden Maneta, żaden z francuskich czy angielskich malarzy z osiemnastego wieku, z wyjątkiem Chardina, żaden Whistler, żaden Michał Anioł i tylko jeden Leonardo da Vinci. Przeżycie nie faworyzowało żadnej konkretnej epoki ani żadnego konkretnego malarza, ponieważ potrafiło dotyczyć tylko jednego jedyne obrazu danego mistrza, a wszystkie pozostałe jego dzieła zostawiało w spokoju. Nie miało również związku z tym, co zwykle określa się mianem jakości; potrafiłem stać zimny przed piętnastoma obrazami Moneta, a czuć ciepło rozlewające się po ciele na widok pracy fińskiego impresjonisty, o którym poza Finlandią mało kto słyszał.

Nie wiedziałem, co w tych obrazach wywierało na mnie tak wielkie wrażenie. Niezaprzeczalnie jednak wszystkie zostały namalowane przed początkiem dwudziestego wieku, w granicach artystycznego paradygmatu, który nigdy w pełni nie odciął się od rzeczywistości widzialnej. Istniał w nich zatem zawsze pewien obiektywizm, czyli dystans między rzeczywistością a jej odwzorowaniem, i właśnie w tej przestrzeni musiało się „zdarzać”, ukazywać to, co widziałem, kiedy świat jakby wychodził ze świata, gdy nie tylko dostrzegało się w nim to, co niepojęte, lecz również podchodziło się blisko do tego, co nie mówiło i czego nie określały żadne słowa, zawsze zatem istniało poza naszym zasięgiem, a jednak w jego obrębie, bo nie tylko nas to otaczało, lecz również sami w tym

uczestniczyliśmy, sami tym byliśmy.

Uświadomienie sobie, że to, co obce i tajemnicze, dotyczy również nas, skierowało moje myśli ku aniołom, owym tajemniczym istotom, które uczestniczyły nie tylko w tym, co boskie, lecz również w tym, co ludzkie, więc lepiej niż jakiegokolwiek inne figury wyrażały dwoistość natury tego, co nieznanne. Jednocześnie w związku zarówno z obrazami, jak i z aniołami dogłębnie brakowało satysfakcji, ponieważ i jedno, i drugie w tak fundamentalny sposób należały do przeszłości, czyli do tego, co już zostawiliśmy za sobą, co nie pasowało do stworzonego przez nas świata, bo w nim to, co wielkie, boskie, uroczyste, święte, piękne i prawdziwe, straciło swoją wielkość, przeciwnie, stało się czymś wątpliwym, a nawet śmiesznym. Zatem owa wielkość na zewnątrz – do epoki oświecenia nazywana boskością, której doświadczać mogliśmy w objawieniach, a w epoce romantyzmu nazywana naturą, kiedy to objawienia zastąpiło wysublimowanie – przestała być wyrażana. W sztuce synonimem tego, co wielkie na zewnątrz, stało się społeczeństwo, czyli zbiorowość ludzka, swoimi conceptami i relatywizmem operująca całkowicie wewnątrz. W historii sztuki norweskiej przełom nastąpił wraz z Munchem, to na jego obrazach człowiek po raz pierwszy wypełnił całą przestrzeń. Do czasów oświecenia człowieka podporządkowywano boskości, a w romantyzmie – krajobrazowi, w jakim go przedstawiano: góry są wielkie i gwałtowne, morze jest wielkie i gwałtowne, nawet drzewa i lasy są wielkie i gwałtowne, natomiast ludzie, bez wyjątku, maleńcy. U Muncha sytuacja jest odwrotna, jakby to, co ludzkie, wchłaniało wszystko w siebie, czyniło swoim. Góry, morze, drzewa i lasy – wszystko jest zabarwione tym, co ludzkie. Nie czynami i zewnętrznym życiem człowieka, lecz jego uczuciami i życiem wewnętrznym. A kiedy człowiek już raz zwyciężył, nie ma chyba drogi odwrotu, tak jak nie było drogi odwrotu dla chrześcijaństwa, kiedy w pierwszych stuleciach naszej ery zaczęło rozprzestrzeniać się po Europie jak pożar lasu. Ludzie u Muncha mają nadaną formę, ich wnętrza uzyskuje zewnętrzny kształt, wstrząsa światem. Kiedy już raz otwarto drzwi, w następnej kolejności porzucono świat jako całość: u malarzy tworzących po Munchu uczucia wyrażane są przez kolory i kształty, a nie przez to, co przedstawiają. Powstaje świat obrazów, w którym liczy się wyłącznie wyraz, co oczywiście oznacza, że w sztuce nie istnieje już żadna dynamika między tym, co na zewnątrz, a tym, co wewnątrz, lecz jedynie rozdział. W szczycie modernizmu rozdział między sztuką a światem był niemal absolutny, innymi słowy – sztuka stała się osobnym światem. Świat ten tworzone, rzecz jasna, według własnego uznania i wkrótce owo własne uznanie stało się sednem sztuki, która dzięki temu mogła, a do pewnego stopnia musiała – aby nie unicestwić się sama – otworzyć się na przedmioty z rzeczywistego świata. Obecnie mamy stan, w którym materiał sztuki nie odgrywa już żadnej roli, najważniejsze jest to, co wyraża dzieło, a więc nie to, czym jest, lecz co przekazuje, jakie idee niesie, zrezygnowano zatem z resztek obiektywizmu, z resztek czegoś poza człowiekiem. Cech sztuki nabrały niepościelone łóżko, kilka kopiarek w pomieszczeniu, motocykl na suficie. Sztuką stała się też sama publiczność, stały się nią jej reakcje, to co pisze o niej prasa; artysta jest kimś, kto gra. Tak jest. Sztuka nie czerpie z zewnątrz, nauka

nie czerpie z zewnątrz, religia nie czerpie z zewnątrz. Nasz świat zamknął się wokół samego siebie, zamknął się wokół nas i nie ma już żadnej drogi pozwalającej się z niego wydostać. Ci, którzy w tej sytuacji wołają o więcej ducha, o więcej duchowości, niczego nie zrozumieli, bo problem polega na tym, że duchowość przejęła wszystko. W s z y s t k o stało się duchem, nawet nasze ciała – one nie są już ciałami, tylko ideami ciała, czymś, co znajduje się w niebie obrazów i wyobrażeń w nas i o nas, w którym rozgrywa się coraz większa część naszego życia. Zniesiono granice oddzielające nas od tego, co do nas nie przemawia, tego, co niepojęte. Rozumiemy wszystko, ponieważ ze wszystkiego uczyniliśmy nas samych. Typowe jest to, że ci, którzy w sztuce zajmowali się tym, co neutralne, negatywne, nieludzkie, w naszych czasach zwrócili się w stronę języka, właśnie tam szuka się tego, co niezrozumiałe i obce, na krawędzi ludzkich środków wyrazu, na skraju tego, co rozumiemy. Właściwie to logiczne: gdzie indziej miałyby się to znajdować w świecie, który nie akceptuje już tego, co jest poza nim?

Właśnie w świetle tego należy patrzeć na ową dziwną, dwuznaczną rolę, jaką przyjęła śmierć. Z jednej strony otacza nas zewsząd, zalewają nas informacje o zmarłych, zdjęcia zmarłych; dla śmierci pod tym względem nie istnieją żadne granice, jest ogromna, wszechobecna, niewyczerpalna. Ale to jest śmierć jako wyobrażenie, śmierć bez ciała, śmierć jako myśl i obraz, śmierć jako duch. Ta śmierć to śmierć imienia, tego, co nie ma ciała, do czego się odnosimy, wypowiadając imię zmarłego. Za życia człowieka imię odnosi się do ciała, do tego, gdzie ono przebywa, co robi, lecz w chwili gdy ciało umiera, imię się od niego oddziela i zostaje z żywymi, zawsze rozumiejącymi przez owo imię to, kim człowiek był, a nigdy – kim jest teraz, czyli ciałem, które leży gdzieś i gnije. Natomiast tę część śmierci, która należy do ciała, tę konkretną, fizyczną, materialną, ukrywa się ze starannością tak wielką, że przypomina ona coś w rodzaju frenezji, to zresztą funkcjonuje, wystarczy posłuchać, jak zwykle wyrażają się ludzie opisujący śmiertelny wypadek albo zabójstwo, którego byli świadkami. Zawsze powtarzają: „ t o b y ł o z u p e ł n i e n i e r z e c z y w i s t e ”, chociaż tak naprawdę myślą zupełnie odwrotnie. To było bardzo rzeczywiste. Ale my w tej rzeczywistości już nie żyjemy. Wszystko zostało postawione na głowie, dla nas to, co rzeczywiste, jest nierzeczywiste, a to, co nierzeczywiste – rzeczywiste. No a śmierć... śmierć jest ostatnią wielką rzeczą na zewnątrz. Dlatego należy ją ukrywać. Bo śmierć istnieje wprawdzie poza imieniem i poza życiem, ale nie poza światem.

Ja sam miałem prawie trzydzieści lat, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem martwe ciało. Było to latem 1988 roku, w pewne lipcowe popołudnie, w kaplicy w Kristiansand. Umarł mój ojciec. Leżał na stole na środku pomieszczenia wypełnionego szarawym światłem, niebo przesłaniały chmury, a po trawniku za oknem powoli jeździła w kółko kosiarka. Przeszedłem tam razem z bratem. Przedsiębiorca pogrzebowy zostawił nas samych ze zmarłym, staliśmy w odległości kilku metrów, wpatrzeni w niego. Oczy i usta były zamknięte, górna połowa ciała w białej koszuli, dolna w czarnych spodniach. Świadomość,

że po raz pierwszy mogę przyglądać się tej twarzy bez przeszkód, była wręcz nie do zniesienia. Miałem wrażenie, jakbym go molestował. Jednocześnie czułem głód, nienasycenie, domagające się ciągłego patrzenia na niego, na to martwe ciało, które kilka dni wcześniej było moim ojcem. Rysy znałem, dorastałem przy tej twarzy i chociaż w ostatnich latach nie widywałem jej równie często, prawie nie było nocy, żeby mi się nie śniła. Rysy znałem, ale nie znałem tego wyrazu twarzy. Ciemna, pożółkła cera wraz z utratą elastyczności sprawiły, że twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w drewnie. Owa drewnianość kasowała wszelkie odczucie bliskości. Nie patrzyłem już na człowieka, tylko na coś, co jest do niego podobne. On odszedł od nas, lecz jednocześnie to, kim był, wciąż we mnie istniało, niczym welon życia przesłaniało śmierć.

Yngve powoli przeszedł na drugą stronę stołu. Nie patrzyłem na niego; podnosząc głowę i zerkając, zarejestrowałem jedynie ruch. Ogrodnik, który jeździł kosiarką, stale obracał się na siedzeniu i sprawdzał, czy kosi wzdłuż krawędzi poprzedniego okrążenia. Pocięte źdźbła trawy, które nie wpadły do worka, unosiły się nad nim w powietrzu. Część z nich musiała przyklejać się pod maszyną, bo regularnie odpadały od niej wilgotne, zbite kłęby, zawsze ciemniejsze od trawnika, na którym wyrosły. Nieco dalej zwirowaną alejką szły trzy osoby, wszystkie miały spuszczone głowy, jedna była w czerwonym płaszczu, wyraźnie odcinała się na tle zieleni trawy i szarości nieba. Jeszcze dalej drogą w stronę centrum sunął sznur samochodów.

Nagle warkot motoru kosiarki odbił się od ściany kaplicy. Wywołane tym ostrym dźwiękiem wrażenie, że tata zaraz otworzy oczy, było tak silne, że cofnąłem się o krok.

Yngve spojrział na mnie, lekko się uśmiechając. Naprawdę wierzyłem, że zmarły się obudzi? Wierzyłem, że drewno na powrót może stać się człowiekiem?

To była straszna chwila. Ale kiedy minęła, a on mimo wszystkich dźwięków i wewnętrznego wzburzenia pozostał nieruchomy, zrozumiałem, że naprawdę już go nie ma. Poczucie wolności, które wtedy wezbrało w mojej piersi, było równie trudne do opanowania jak poprzednie fale żalu i znalazło sobie takie samo ujście – szloch, który w następnym momencie mimowolnie wyrwał mi się z ust.

Popatrzyłem na Yngvego i uśmiechnąłem się. Przeszedł na drugą stronę i stanął koło mnie. Jego bliskość całkiem mnie wypełniła. Ogromnie się cieszyłem, że tu jest, i musiałem walczyć ze sobą, żeby nie popsuć wszystkiego ponowną utratą kontroli nad emocjami. Chodziło o to, żeby myśleć o czymś innym, skupić uwagę na czymś neutralnym.

Ktoś kręcił się po sąsiednim pomieszczeniu. Ściszone odgłosy łamały atmosferę tego miejsca, obce mu w swojej istocie, podobnie jak dźwięki, które wdzierają się do snu z rzeczywistości otaczającej śpiącego.

Patrzyłem na tatę. Na palce, które mu splekli i ułożyli na brzuchu, na żółty ślad nikotyny na palcu wskazującym, jak plama na tapecie. Niewspółmiernie głębokie bruzdy w skórze na kostkach, jakby sztucznie wymodelowane. Dalej twarz. Nie była jasna i przejrzysta, bo wprawdzie nieruchoma i spokojna, ale nie pusta, wciąż zostały na niej ślady czegoś, czego

nie umiałem nazwać innym słowem niż upór. Uświadomiłem sobie, że zawsze usiłowałem określić wyraz jego twarzy, że nigdy nie patrzyłem na niego, nie próbując jednocześnie jej odczytać.

Ale teraz była zamknięta.

Odwrociłem się do Yngvego.

– Idziemy? – spytał.

Kiwnąłem głową.

Przedsiębiorca pogrzebowy czekał na nas w sąsiednim pomieszczeniu. Zostawiłem za sobą otwarte drzwi, bo chociaż zdawałem sobie sprawę, że to irracjonalne, nie chciałem, żeby tata leżał tam sam.

Po uściśnięciu dłoni przedsiębiorcy pogrzebowemu i zamienieniu kilku słów na temat planów na dni poprzedzające pogrzeb wyszliśmy na parking i zapaliliśmy. Yngve, stojąc przy samochodzie, ja, przysiadłszy na murku. W powietrzu czuło się deszcz. Drzewa w zagajniku na tyłach cmentarza pochylały się pod naporem wzmagającego się wiatru. Szelest liści na kilka sekund zagłuszył szum samochodów, dobiegający z drugiego końca równiny. Po chwili drzewa się uspokoiły.

– Dziwne to było – powiedział Yngve.

– Owszem – przyznałem. – Ale cieszę się, że się zdecydowaliśmy.

– Ja też. Musiałem zobaczyć, żeby uwierzyć.

– Teraz już wierzysz?

– A ty nie? – Uśmiechnął się.

Zamiast odpowiedzieć mu uśmiechem, tak jak zamierzałem, znów zacząłem płakać. Przycisnąłem dłoń do twarzy, spuściłem głowę. Raz po raz wstrząsał mną szloch. Kiedy wreszcie się uspokoiłem, podniosłem głowę, spojrzałem na Yngvego i zaśmiałem się.

– Jest tak jak w dzieciństwie. Ja ryczę, a ty się przyglądasz.

– Jesteś pewien... – poszukał mojego spojrzenia – jesteś pewien, że dalej dasz sobie radę sam?

– Oczywiście. To żaden problem.

– Mogę zadzwonić i powiedzieć, że zostaję.

– Jedź do domu. Zrobimy tak, jak zaplanowaliśmy.

– Okej. No to jadę od razu.

Wyrzucił papierosa, wyjął z kieszeni kluczyki do samochodu. Wstałem i podszedłem kilka kroków, ale nie na tyle blisko, by stworzyć sytuację, w której musielibyśmy podać sobie rękę albo się uściskać. Yngve otworzył drzwiczki, wsiadł i spojrzał na mnie, przekręcając kluczyk w stacyjce; silnik zaskoczył.

– No to trzymaj się, na razie – powiedział.

– Ty też się trzymaj. Jedź ostrożnie. I pozdrów wszystkich w domu!

Zamknął drzwi, cofnął samochód, zatrzymał się, zapiął pas, wrzucił bieg i wolno ruszył w stronę głównej drogi. Poszedłem za nim. Nagle jednak zapaliły się światła cofania i Yngve podjechał do mnie tyłem.

– Lepiej będzie, jeśli ty to weźmiesz. – Wysunął rękę przez opuszczone okno i podał mi brązową kopertę, którą przekazał nam przedsiębiorca pogrzebowy. – Nie ma sensu, żebym zabierał ją aż do Stavanger – dodał. – Lepiej, żeby została tutaj, okej?

– Okej.

– No to do zobaczenia. – Okno się zasunęło i muzyka, która przez kilka sekund wylewała się na parking, nagle zabrzmiała tak, jakby dochodziła spod wody. Nie ruszyłem się, dopóki samochód nie skręcił na szosę i nie zniknął. To był przesąd z dzieciństwa: jeśli się ruszę za wcześnie, spotka mnie nieszczęście. Schowałem kopertę do wewnętrznej kieszeni kurtki i poszedłem w stronę miasta.

Yngve zadzwonił do mnie trzy dni wcześniej około drugiej po południu. Po jego głosie natychmiast poznałem, że chodzi o coś wyjątkowego, i od razu pomyślałem, że tata nie żyje.

– Cześć. To ja. Dzwonię, żeby ci przekazać, że coś się stało. Tak... Coś się stało...

– Co? – Stałem w przedpokoju, jedną ręką opierając się o ścianę, a w drugiej trzymając słuchawkę.

– Tata nie żyje.

– Aha – powiedziałem.

– Gunnar dzwonił przed chwilą. Babcia znalazła go dziś rano w fotelu.

– Na co umarł?

– Nie wiem. Ale pewnie na serce.

W przedpokoju nie było okna, a lampy na suficie nie zapaliłem, więc jedyne słabe światło wpadało z kuchni na jednym końcu korytarza i przez otwarte drzwi sypialni na drugim. Twarz w lustrze, na którą patrzyłem, była mroczna i spoglądała na mnie jakby z daleka.

– Co teraz zrobimy? Konkretnie?

– Gunnar spodziewa się, że wszystkim się zajmiemy. Trzeba więc będzie tam pojechać. I to w zasadzie jak najszybciej.

– No tak. Wybierałem się właśnie na pogrzeb Borghild, prawdę mówiąc, akurat wychodziłem, więc walizkę mam spakowaną, mogę jechać od razu. I co, po prostu się tam spotkamy?

- Możemy. Ja w takim razie przyjadę jutro.
- Jutro – powtórzyłem. – No to muszę się zastanowić.
- Może przyleciałbyś samolotem do mnie i dalej pojechalibyśmy razem?
- Dobry pomysł. Tak zrobię. Zadzwonię, kiedy już będę wiedział, którym samolotem przylecę, okej?
- Okej. To na razie.

Po odłożeniu słuchawki poszedłem do kuchni, nalałem wody do czajnika, wyjąłem z szafki torebkę herbaty, włożyłem ją do czystej filiżanki, nachyliłem się nad blatem i popatrzyłem na ślepą ulicę biegnącą przy naszym domu, ledwie widoczną w postaci plamek szarości wśród zieleni krzewów, rosnących gęsto od końca małego ogródka do skraju jezdni. Po drugiej stronie rosły olbrzymie drzewa liściaste, w mroku rozpościerającym się pod nimi wąska boczna droga prowadziła do głównej ulicy, na której królował Szpital Haukeland. Miałem w głowie tylko jedną myśl, a mianowicie, że nie jestem w stanie myśleć o tym, o czym powinienem. Że nie czuję tego, co powinienem. Tata nie żyje, tłumaczyłem sobie. To wielkie i ważne wydarzenie, powinno mnie całkowicie wypełnić, ale tak nie jest, bo stoję tu i patrzę na czajnik, zirytowany tym, że woda jeszcze się nie gotuje. Stoję tu, wyglądam przez okno i jak zawsze, kiedy patrzę na ogród, którym zajmuje się stara gospodyni, myślę, ile szczęścia mieliśmy z tym mieszkaniem, a w ogóle nie myślę o tym, że tata nie żyje, chociaż jest to jedyna rzecz, jaka właściwie ma teraz znaczenie. To musi być jakiś szok, uznałem, i zalałem herbatę, chociaż woda jeszcze się nie zagotowała. Czajnik, lśniący, luksusowy model, dostaliśmy od Yngvego w prezencie ślubnym. Żółta filiżanka pochodziła z fabryki Höganäs, nie pamiętam, kto nam ją dał, wiem tylko, że znajdowała się na liście życzeń Tonje. Kilka razy poruszyłem sznureczkiem torebki z herbatą, wrzuciłem ją do zlewu, w którym wylądowała z cichym plaśnięciem, i z filiżanką w ręku przeszedłem do jadalni. Całe szczęście, że byłem sam w domu!

Chodziłem po nim kilka minut, próbując nadać śmierci taty jakiś sens, ale bezskutecznie. To nie miało sensu. Rozumiałem, co się stało, zaakceptowałem to, a poczucie bezsensu nie było takie, jakie pojawia się, gdy nagle kończy się czyjeś życie, które równie dobrze mogło się nie skończyć. Bezsens polegał na tym, że śmierć taty była dla mnie faktem wśród innych faktów i nie zajęła w mojej świadomości takiej pozycji, jaką powinna zająć.

Chodziłem po salonie z filiżanką w ręku, dzień był pochmurny, ale ciepły, przed oczami miałem amfiteatralnie opadające dachy domów i bujne zielone ogrody. Mieszkaliśmy tu zaledwie od kilku tygodni, przeprowadziliśmy się z Voldy, gdzie Tonje studiowała na kierunku radiowym, a ja pisałem książkę, która miała się ukazać za dwa miesiące. To był nasz pierwszy prawdziwy dom; mieszkanie w Voldzie się nie liczyło, było tymczasowe, natomiast to tutaj było na stałe, a przynajmniej reprezentowało coś stałego, nasz dom. Ściany wciąż pachniały farbą. W jadalni czerwoną, w odcieniu byczej krwi – za radą matki Tonje, która była artystką, ale większość czasu poświęcała na urządzenie wnętrza i gotowanie, jedno i drugie na wysokim poziomie, a jej dom wyglądał na przeniesiony

żywcem z magazynów wnętrzarskich, to zaś, co serwowała, zawsze było niezwykle starannie przygotowane i wyrafinowane – a w salonie w głębi białą, w odcieniu barwy skorupki jajka; podobnie w innych pokojach. Jednak do tych z magazynów wnętrzarskich naszemu mieszkaniu było zdecydowanie daleko, zbyt dużo mebli, plakatów i półek z książkami wskazywało na studenckie życie, które właśnie porzuciliśmy. Powieść napisałem, żyjąc aż do Bożego Narodzenia z kredytu studenckiego, bo nazywało się to, że studiuję literaturoznawstwo, a kiedy pieniądze się skończyły, musiałem prosić wydawnictwo o zaliczkę, która wystarczyła mi do niedawna. Dlatego śmierć taty nastąpiła jak na zamówienie, bo on miał pieniądze, musiał chyba mieć pieniądze? Trzej bracia sprzedali dom na Elvegaten i podzielili się dochodem niespełna dwa lata temu. Nie mógł chyba przepuścić ich w tak krótkim czasie?

Mój ojciec nie żyje, a ja myślę o pieniądzach, jakie mogę z tego mieć.

I co z tego?

Myślę to, co myślę, nie ma rady na to, co myślę, prawda?

Odstawiłem filiżankę na stół w jadalni, otworzyłem delikatnie drzwi i wyszedłem na balkon. Sztywnymi rękami oparłem się o balustradę i zapatrzyłem przed siebie, wdychając ciepłe letnie powietrze, przepełnione zapachami roślin, samochodów i miasta. Chwilę później znów stałem w salonie i rozglądałem się. Powinienem coś zjeść? Wypić? Iść coś kupić?

Przeszedłem do przedpokoju, potem do sypialni z szerokim niepościelonym łóżkiem, z drzwiami do łazienki w głębi. To mogę zrobić, pomyślałem, wziąć prysznic, to można, przecież wkrótce wyjeżdżam.

Zrzucić ubranie, odkręcić kran, gorąca woda spływa po głowie, po ciele.

Mam walić konia?

Nie, do cholery, przecież tata umarł.

Umarł, umarł, tata umarł.

Umarł, umarł, tata umarł.

Stanie w strugach wody nic mi nie dało, więc ją zakręciłem, wytarłem się dużym ręcznikiem, posmarowałem pod pachami dezodorantem, ubrałem się i poszedłem do kuchni sprawdzić, która godzina, jednocześnie wycierając włosy mniejszym ręcznikiem.

Wpół do trzeciej.

Tonje za godzinę wróci do domu.

O roztrząsaniu wszystkiego od nowa, kiedy stanie w drzwiach, nie mogłem nawet myśleć, przeszedłem więc do przedpokoju, ręcznik wrzuciłem przez otwarte drzwi do sypialni, podniosłem słuchawkę i wystukałem jej numer. Odebrała od razu.

– Słucham, tu Tonje.

– Cześć, Tonje, to ja – powiedziałem. – Wszystko w porządku?

– Tak. Właściwie zajmuję się redagowaniem, przyszłam do pokoju tylko na chwilę, żeby coś zabrać. Ale jak to załatwię, od razu wracam do domu.

– To dobrze.

– A ty co robisz?

– Nic. Ale Yngve dzwonił. Tata nie żyje.

– Co ty mówisz? Umarł?

– Tak.

– O mój biedaku! Och, Karl Ove!

– Ze mną wszystko w porządku. Przecież mogliśmy się tego spodziewać. Ale jadę tam wieczorem. Najpierw do Yngvego, a jutro rano pojedziemy razem jego samochodem.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą? Przecież mogę.

– Nie, nie. Musisz pracować. Zostań tutaj, przyjedziesz na pogrzeb.

– O mój biedaku – powtórzyła. – Mogę kogoś poprosić, żeby zajął się redakcją, i zaraz będę. Kiedy wyjeżdżasz?

– Nie ma pośpiechu. Za kilka godzin. I to wcale nie takie głupie, żebym trochę pobył sam.

– Na pewno?

– Tak, tak, na pewno. Prawdę mówiąc, nic nie czuję. Ale przecież rozmawialiśmy o tym od dawna. Mówiliśmy, że on niedługo umrze, jeśli dalej tak będzie, więc byłem na to przygotowany.

– Okej. Wobec tego skończę robotę, a potem jak najszybciej wracam do domu. Uważaj na siebie. Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, pomyślałem o mamie. Musiała się o tym dowiedzieć. Znów więc podniosłem słuchawkę i wybrałem numer Yngvego. Już do niej dzwonił.

Siedziałem ubrany w salonie i czekałem, aż usłyszałem w końcu, jak Tonje otwiera drzwi. Weszła do mieszkania świeża i pełna życia jak letni wiatr. Wstałem. Jej ruchy wyrażały wzburzenie, a spojrzenie troskę. Objęła mnie, powiedziała, że chce ze mną jechać, ale mam rację, lepiej będzie, jeśli tu zostanie, potem zadzwoniłem po taksówkę i razem z Tonje stałem na schodach pod drzwiami przez tych pięć minut, które musiały minąć, zanim samochód przyjechał. Jesteśmy małżeństwem, pomyślałem, mężem i żoną, moja żona stoi przed domem i macha mi na pożegnanie, tak pomyślałem i uśmiechnąłem się. Bo skąd się wziął nieprawdziwy blask tego obrazu? Z tego, że bardziej bawiliśmy się w małżeństwo, niż naprawdę nim byliśmy?

– Dlaczego się uśmiechasz?

– Tak sobie. Pomyślałem o czymś.

Uścisnąłem jej rękę.

– Już jedzie – stwierdziła Tonje.

Spojrzałem wzdłuż rzędu domów. Przypominająca chrząszcza czarna taksówka podjeżdżała wolno pod górę. Zatrzymała się jak chrząszcz, zawahała na skrzyżowaniu i zaczęła pełznąć w górę na prawo, gdzie ulica nazywała się tak samo jak ta, przy której staliśmy.

– Pobiec po nią? – spytała Tonje.

– A dlaczego? Równie dobrze sam mogę to zrobić.

Wziąłem walizkę i po schodkach wyszedłem na drogę. Tonje za mną.

– Dojdę do skrzyżowania – powiedziałem. – Tam wsiądę. Ale wieczorem zadzwonię, okej?

Pocałowaliśmy się, a kiedy odwróciłem się na skrzyżowaniu, do którego taksówka podjechała tyłem, Tonje mi pomachała.

– Knausgård? – spytał kierowca, kiedy otworzyłem drzwi i wsunąłem głowę do środka.

– Zgadza się – odparłem. – Jadę na Flesland.

– Proszę wsiadać, ja wezmę walizkę.

Usadowiłem się wygodnie na tylnym siedzeniu. Uwielbiałem taksówki. Nie te, którymi wracałem pijany do domu, tylko te, którymi jeździłem na lotniska albo na dworce kolejowe. Czy istnieje coś lepszego niż siedzenie z tyłu w taksówce i daleka jazda przez miasta i przedmieścia?

– To zdradliwa ulica – stwierdził kierowca, kiedy usiadł za kierownicą. – Słyszałem o tym, że się dzieli, ale nigdy tu nie byłem. Przez dwadzieścia lat. To naprawdę dziwne.

– No tak – powiedziałem.

– Wydaje mi się, że jeździłem już wszędzie. To musiała być ostatnia ulica, na której nie byłem. – Uśmiechnął się do mnie w lusterku. – Jedzie pan na wakacje?

– Nie całkiem. Dzisiaj umarł mój ojciec. Jadę go pochować. W Kristiansand.

To ukróciło pogaduszki. Przez całą drogę siedziałem nieruchomo, wpatrując się w domy. Nie myślałem o niczym konkretnym, tylko patrzyłem. Kolejne osiedla, Minde, Fantoft, Hof. Stacje benzynowe, salony samochodowe, supermarkety, dzielnice willowe, las, jezioro, plac budowy. Kiedy dotarliśmy do ostatniego odcinka i widać już było wieżę na lotnisku, wyjąłem z wewnętrznej kieszeni kartę i wychyliłem się do przodu, aby odczytać taksometr. Trzysta dwadzieścia. Niezbyt rozsądnie było jechać na lotnisko taksówką. Autobus kosztowałby jedną dziesiątą tej kwoty, a przecież jeśli czegoś mi w tej chwili brakowało, to właśnie pieniędzy.

– Dostanę pokwitowanie na trzysta pięćdziesiąt? – spytałem, podając mu kartę.

– O rany, pewnie. – Wyjął mi ją z ręki i przeciągnął przez czytnik, który zaraz wypluł kwitek. Położył go razem z długopisem na notatniku, który mi podał, podpisałem, oderwał

drugi paragon i dał mi kopię.

– Dziękuję – powiedział.

– To ja dziękuję. Sam wezmę bagaż.

Chociaż walizka była ciężka, do hali odlotów zaniósłem ją za rączkę. Brzydziłem się kólkami. Po pierwsze, były kobiece, a więc niegodne mężczyzny, mężczyzna powinien nosić, nie ciągnąć, a po drugie, stwarzały wyobrażenie łatwości, drogi na skróty, oszczędności, rozsądku, którymi się brzydziłem i którym przeciwdziałiałem wszędzie, gdzie tylko mogłem, nawet wtedy gdy dotyczyło to drobiazgów i nie miało żadnego znaczenia. Dlaczego mielibyśmy żyć w świecie, nie znając jego ciężaru? Czy byliśmy obrazami? I co właściwie się oszczędza, kiedy się oszczędza siły?

W niewielkiej hali odstawiłem walizkę na podłogę i spojrzałem na tablicę z rozkładem odlotów. Był samolot do Stavanger około piątej, na który bez problemu bym zdążył, ale leciał też inny, około szóstej. Ponieważ uwielbiałem przesiadywać na lotniskach, może nawet bardziej niż w taksówkach, zdecydowałem się na ten drugi.

Odwróciłem się i spojrzałem na stanowiska odprawy. Ruch przy nich był niewielki. Oprócz trzech usytuowanych najbardziej w głębi, przy których ciągnęły się długie kolejki, wyglądające na chaotyczne; ze strojów pasażerów, niemal bez wyjątku lekkich, ogromnej ilości bagażu i humorów tak dobrych, jak mogą być tylko po kilku kieliszkach, zrozumiałem, że to czarter gdzieś do ciepłych krajów. Kupiłem bilet, odprawiłem się i poszedłem do automatów telefonicznych na drugiej ścianie, żeby zadzwonić do Yngvego. Odebrał od razu.

– Cześć, tu Karl Ove – powiedziałem. – Samolot wylatuje piętnaście po szóstej, więc wyląduję za piętnaście siódma. Wyjedziesz po mnie na lotnisko?

– Mogę wyjechać.

– Masz jakieś nowe wieści?

– Nie... Dzwoniłem do Gunnara, przekazałem mu, że przyjeżdżamy. Nic więcej nie wiedział. Pomyślałem, że wyjedziemy wcześniej, żeby zdążyć do zakładu pogrzebowego przed zamknięciem. Jutro przecież sobota.

– No tak. To chyba dobry pomysł. Niedługo się widzimy.

– Tak, na razie.

Rozłączyłem się i poszedłem na górę do kawiarni, kupiłem kawę i gazetę, znalazłem stolik z widokiem na halę w dole, powiesiłem kurtkę na oparciu krzesła, rozglądając się po lokalu, żeby sprawdzić, czy nie ma kogoś znajomego, i usiadłem.

Myśl o tacie pojawiała się regularnie odkąd Yngve zadzwonił, ale jedynie w formie trzeźwej konstatacji, nie wiązała się z uczuciami. Pewnie dlatego że byłem na to przygotowany. Już od tamtej wiosny, kiedy odszedł od mojej matki, widać było, że jego życie zmierza w jedną stronę. Nie rozumieliśmy tego wtedy, ale w jakimś momencie przekroczył granicę i od tamtej pory wiedzieliśmy już, że może się z nim stać wszystko,

również najgorsze. Albo najlepsze, w zależności od tego, jak się na to spojrzało. Od dawna życzyłem mu śmierci, ale od momentu kiedy zrozumiałem, że jego życie może się wkrótce skończyć, zacząłem mieć na to nadzieję. Gdy w telewizji pojawiały się informacje o śmiertelnych wypadkach w okolicy, w której mieszkał, czy to o pożarach, czy o kolizjach samochodowych, o martwych mężczyznach znalezionych w lesie albo w morzu, moją natychmiastową reakcją była nadzieja: może to tata. To jednak nigdy nie był on, on dawał radę, żył dalej.

Aż do teraz, pomyślałem, patrząc na ludzi krążących po hali. Za dwadzieścia pięć lat jedna trzecia z nich umrze, za pięćdziesiąt dwie trzecie, za sto lat wszyscy. I co po nich wtedy zostanie? Ile będzie warte ich życie, gdy będą leżeć z rozdziawionymi szczękami i pustymi oczodołami głęboko w ziemi?

Może Dzień Sądu rzeczywiście kiedyś nadejdzie. Może wszystkie te szkielety i trupie czaszki, które pogrzebano w ciągu tysięcy lat życia ludzi na ziemi, pozbierają swoje klekoczące kości i powstaną, śmiejąc się do słońca i do Boga, wszechmocnego i potężnego, który je osądzi, siedząc na niebieskim tronie, w otoczeniu zastępów aniołów. Nad ziemią, piękną i zieloną, zagrają trąby, a ze wszystkich łąk i dolin, ze wszystkich plaż i równin, ze wszystkich mórz i jezior powstaną zmarli i ruszą do Pana, swego Boga, wzniosą się ku niemu i po zważeniu zostaną strąceni w płomienie piekła lub uniesieni ku światłości niebios. Również ci, którzy teraz się tu kręcili, ze swoimi walizkami na kółkach i torbami ze sklepu *tax free*, z portfelami i kartami bankowymi, z wyperfumowanymi pachami, w okularach, z farbowanymi włosami i chodzikiemami, wszyscy oni zostaną przywrócenii do życia, nie będzie widać żadnej różnicy między nimi a zmarłymi w średniowieczu czy epoce kamiennej. Wszyscy będą zmarłymi, a zmarli są zmarłymi i to zmarli zostaną zważeni w Dniu Sądu.

Z głębi hali, stamtąd gdzie znajdowały się taśmy bagażowe, wyłoniła się grupa około dwadzieścioro Japończyków. Położyłem palącego się papierosa na popielniczce i wypłem łyk kawy, śledząc ich wzrokiem. Ich obcość, ale nie ta kryjąca się w stroju czy wyglądzie, lecz mająca związek z zachowaniem, przyciągała, a ja przecież od dawna marzyłem o tym, żeby zamieszkać w Japonii, otoczyć się obcością, wszystkim, co się widzi, ale czego się nie rozumie, czego znaczenia można się domyślać, ale nigdy nie można być pewnym. Fantastycznie byłoby siedzieć w japońskim domu, urządzonego ze spartańską prostotą, z przesuwными drzwiami i papierowymi ścianami, obliczonymi na skromność głęboko obcą mnie i mojej północnoeuropejskiej bezpośredniości. Siedzieć tam i pisać powieść, obserwować, jak otoczenie powoli i niezauważalnie kształtuje to, co zostanie napisane, gdyż nasz sposób myślenia jest oczywiście blisko związany z konkretnym otoczeniem, którego część stanowimy, podobnie jak ludzie, z którymi rozmawiamy, i książki, które czytamy. W Japonii, lecz również w Argentynie, gdzie to, co europejskie i znajome, nabrało zupełnie innej barwy, przeniosło się w zupełnie inne miejsce, i jeszcze w Stanach Zjednoczonych, w jednym z małych miasteczek gdzieś w stanie Maine na przykład,

z jego przypominającą południe Norwegii przyrodą – cóż by tam mogło powstać!

Odstawiłem filiżankę i znów sięgnąłem po papierosa. Obróciłem się na krześle i popatrzyłem na bramkę, przy której siedziało już sporo pasażerów, chociaż jeszcze nie było piątej.

Ale teraz liczyło się Bergen.

Owionął mnie lodowaty wiatr.

Tata umarł.

Pierwszy raz od telefonu Yngvego tata stanął mi przed oczami. Nie taki jak w ostatnich latach, lecz z okresu mojego dorostania, kiedy jeździliśmy z nim zimą na ryby na wyspę Tromøya od strony otwartego morza, kiedy wiatr wył nam w uszach, w powietrzu zawisały bryzgi wody z ogromnych szarych fal rozbijających się o skały w dole, a on stał z wędką w ręku i kręcił kołowrotkiem, śmiejąc się do nas. Gęste czarne włosy, czarna broda, lekko niesymetryczna twarz, pokryta kropelkami wody. Niebieska olejowana kurtka, zielone kalosze.

Tak go widziałem.

Typowe, że wyobraziłem go sobie w sytuacji, kiedy był dobry. Podświadomość musiała wybrać scenę, w której żywiłem dla niego cieplejsze uczucia. To była próba manipulacji, najwyraźniej mająca na celu ugotowanie drogi irracjonalnemu sentymentalizmowi, który gdy tylko bramy się otworzą, popłynie bez żadnych zahamowań i obejmie mnie w posiadanie. Właśnie w ten sposób działała podświadomość, najpewniej uznała się za coś w rodzaju reprimendy dla myśli i woli i dodawała ognia do wszystkiego, co tylko mogło stać w opozycji do rządzącego rozumu. Ale tata dostał to, na co zasłużył. I dobrze, że umarł, a wszystko we mnie, co twierdziło inaczej, kłamało. I nie dotyczyło to tylko tego, kim był, gdy dorastałem, lecz również tego, kim się stał, kiedy w połowie życia zerwał wszystkie swoje dawne związki i zaczął od nowa. On się zmienił, także podejmując próby zbliżenia się do mnie, ale to nie pomogło, nie chciałem znać również człowieka, w którego się zmienił. Tej wiosny, kiedy zerwał ze starym życiem, zaczął pić i pił przez całe lato, właśnie to robili, tata i Unni, siedzieli na słońcu i pili przez długie, cudowne, upojne dni, a kiedy zaczął się rok szkolny, pili dalej, tyle że teraz tylko popołudniami, wieczorami i w weekendy. Przeprowadzili się na północ Norwegii, tam pracowali w tej samej szkole; właśnie wtedy zaczęliśmy się domyślać, co się z nim dzieje, bo kiedy poleciliśmy tam samolotem w odwiedziny, Yngve, jego dziewczyna i ja, tata wyjechał po nas samochodem, blady, ręce mu się trzęsły, prawie się nie odzywał, a gdy weszliśmy do mieszkania, wypił w kuchni trzy piwa jedno po drugim i zaraz jakby doszedł do siebie, przestał się trząść, zaprosił nas do środka, zaczął z nami rozmawiać i dalej pił. W tych dniach – to były ferie zimowe – pił przez cały czas, ale podkreślał, że są ferie, więc można się napić, szczególnie tutaj, gdzie jest tak ciemno przez całą zimę. Unni spodziewała się wtedy dziecka, więc w picciu był osamotniony. Wiosną tego samego roku pracował jako egzaminator w jednej ze szkół w rejonie Kristiansand i zaprosił Yngvego, jego dziewczynę i mnie na obiad do

hotelu, to był hotel Caledonien, ale nie zastaliśmy go w recepcji, gdzie mieliśmy się spotkać, czekaliśmy pół godziny, potem spyaliśmy recepcjonistę, okazało się, że jest w swoim pokoju, poszliśmy tam, zapukaliśmy do drzwi, nikt nam nie otworzył, musiał spać, zastukaliśmy mocniej, wołając go po imieniu, ale nie doczekaliśmy się żadnej reakcji, więc odeszliśmy z kwitkiem. Dwa dni później hotel Caledonien spłonął, dwanaście osób zginęło, chodziłem wtedy do drugiej klasy liceum i na przerwie śniadaniowej pojechałem tam razem z Bassenem popatrzeć, jak gaszą pożar. Gdyby mój ojciec tam był, w takim stanie jak zawsze, stałby się jedną z ofiar, to pewne, tak powiedziałem Bassenowi, ale wciąż ani ja, ani Yngve nie pojmowaliśmy, co się z nim stało, nie mieliśmy żadnego doświadczenia z alkoholikami, nikogo takiego nie było w rodzinie, i chociaż rozumieliśmy, że pije, ponieważ z czasem sami zaczęliśmy uczestniczyć w wielu nocnych popijawach, które rozpływały się we łzach, kłótniach i zazdrości, kiedy znikła wszelka godność, ale nie na długo, bo już następnego dnia rano wracała na swoje miejsce, on mimo wszystko cały czas radził sobie w pracy i był z tego dumny, a my nie rozumieliśmy, że nie potrafi przestać, albo raczej nie chce. Teraz właśnie tym żył, tym się zajmował mimo narodzin dziecka. Potrafił rano wypić klina przed pójściem do pracy, ale tam nigdy nie był pijany, kilka piw w ciągu dnia nie ma na nic wpływu, spójrzcie tylko na Duńczyków, żłopiają piwo w czasie lunchu, a w państwie duńskim nie dzieje się źle, prawda?

Zimą latali na południe Europy, skarżono się na nich pilotom wycieczek, jak się zorientowałem z listu, do którego zajrzałem, gdy kiedyś u nich byłem; doszło do sprawy sądowej, ponieważ tata zasłabł i karetka zabrała go do szpitala z silnymi bólami w piersi; później podał biuro podróży do sądu, bo uważał, że to sposób, w jaki został potraktowany, wywołał zawał serca, na co biuro podróży trzeźwo odpowiedziało, że to nie był żaden zawał, tylko zasłabnięcie związane z nadużywaniem alkoholu i tabletek.

Po jakimś czasie opuścili północną Norwegię i wrócili na południe kraju, w rejon Sørlandet, gdzie tata, teraz tłusty, z ogromnym, obwisłym brzuchem, pił już cały czas. Nie do pomyslenia było, że miałby przez kilka godzin zachować trzeźwość, żeby wyjechać po nas samochodem. Rozstali się z Unni, tata przeniósł się dalej, do jakiegoś miasta na wschodzie, dostał tam nową pracę, którą stracił kilka miesięcy później, i wtedy nie zostało mu już nic. Nie miał żony, nie miał pracy, prawie nie miał dziecka, bo wprowadzie Unni chciała, żeby utrzymywał kontakt z córką, i rzeczywiście nie stawiała mu przeszkód, ale nie wychodziło z tego nic dobrego. Z czasem odebrano mu prawo do widywania się z dzieckiem, ale właściwie już nie zrobiło to na nim wrażenia. Wciąż się jednak wściekał, prawdopodobnie dlatego, że chodziło o jego prawo, a właśnie o swoich prawach mówił wówczas we wszystkich kontekstach. Dochodziło do rzeczy strasznych i w końcu tacie zostało jedynie mieszkanie w Østlandet, w którym siedział i pił, chyba że szedł do jakiegoś pubu w mieście i pił tam. Zrobił się gruby jak beczka i chociaż twarz miał tak samo opaloną, wydawała się zmatowiała, pokryta nieprzejrzystą błoną, a z tą swoją brodą, włosami i niechlujnym ubraniem wyglądał trochę jak dzikus, kiedy szukał czegoś do picia.

Raz nagle zniknął na kilka tygodni, jakby zapadł się pod ziemię. Gunnar zadzwonił do Yngvego z informacją, że zgłosił zaginięcie ojca na policji. Tata się odnalazł w jakimś szpitalu w Østlandet, leżał tam i nie mógł chodzić. Paraliż nie był jednak trwały, więc stanął na nogi i po kilkutygodniowym pobycie w zakładzie odwykowym wrócił do dawnego trybu życia.

W tym czasie nie miałem z nim żadnego kontaktu. On natomiast coraz częściej odwiedzał babcię, swoją matkę, i za każdym razem zostawał trochę dłużej. W końcu sprowadził się do niej na stałe i zabarykadował. Resztę rzeczy, jakie mu jeszcze zostały, upchnął w garażu, wyrzucił pomoc domową, którą Gunnar załatwił dla babci, niezbyt już samodzielnej, i zamknął drzwi na klucz. Aż do śmierci tkwił w domu razem z nią. Gunnar zadzwonił raz do Yngvego i przekazał mu, jak się sprawy mają, powiedział między innymi, że kiedy raz tam przyszedł, znalazł tatę leżącego na podłodze w salonie. Tata złamał nogę, ale zamiast poprosić babcię, żeby zadzwoniła po karetkę, która zabrałaby go do szpitala, kazał jej nic nikomu nie mówić, również Gunnarowi, a ona posłuchała, więc leżał tam wśród talerzy z resztkami jedzenia i przynoszonych przez babcię butelek i szklanek z piwem, pochodzącym z jego bogatych zapasów. Gunnar nie wiedział, jak długo tata tam leżał, może dobę, może dwie. Tego, że zadzwonił do mojego brata i opowiedział mu o wszystkim, nie dało się zrozumieć inaczej niż tak, że w jego opinii powinniśmy interweniować i zabrać stamtąd naszego ojca, bo inaczej umrze, my natomiast po przedyskutowaniu tej sprawy zdecydowaliśmy, że nic nie zrobimy. Niech się wyśpi tak, jak sobie pościelił, niech żyje własnym życiem, umiera własną śmiercią.

No i tak się stało.

Wstałem i podszedłem do lady po dolewkę kawy. Jakiś mężczyzna w ciemnym eleganckim garniturze, z jedwabną apaszką na szyi i łupieżem na ramionach właśnie sobie nalewał. Postawił na czerwonej tacy białą filiżankę wypełnioną po brzegi czarną kawą i popatrzył na mnie pytająco, leciutko unosząc dzbanek, który trzymał w ręku.

– Dziękuję, sam się obsłużę – powiedziałem.

– Jak pan sobie życzy. – Odstawił dzbanek na jedną z dwóch płytek. Domyślałem się, że jest pracownikiem naukowym.

Kelnerka – tęga kobieta między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, z całą pewnością bergenska, bo przez ostatnich osiem lat, kiedy tu mieszkałem, ten typ twarzy widywałem wszędzie w całym mieście, w autobusach i na ulicach, za ladami i w sklepach, z podobnymi, krótko ostrzyżonymi, farbowanymi włosami i w prostokątnych okularach, które jedynie kobiety w tym wieku mogą uważać za ładne – wyciągnęła rękę, kiedy podniosłem filiżankę.

– To dolewka – wyjaśniłem.

– Pięć koron – odparła z dźwięcznym bergeńskim akcentem.

Włożyłem jej piątkę do ręki i wróciłem do stolika. Czułem suchość w ustach, a serce w

piersi uderzało mi szybko, jakby podniecone, ale ja przecież nie byłem podniecony, przeciwnie, byłem spokojny i ociężały, kiedy tak siedziałem wpatrzony w maleńki samolot powieszony pod wielkim szklanym dachem, przez który światło dzienne wpadało jak w wielką sieć; potem przenieśliem wzrok na tablicę odlotów, na której zegar wskazywał piętnaście po piątej, później w dół, na podróźnych ustawiających się w kolejkach, przechodzących przez halę, siedzących i czytających gazety, stojących i rozmawiających. Było lato, kolory ubrań jasne, ciała opalone, atmosfera beztroska, jak zawsze wśród ludzi wybierających się w podróż. Chwilami postrzegałem barwy jako jaskrawe, linie jako ostre, a twarze jako niesłychanie wyraziste, przesycone sensem. Bez tego sensu, który miały dla mnie w takich chwilach, stawały się odległe i niejako mgliste, niemożliwe do uchwycenia, niczym cienie, tyle że pozbawione mroku cieni.

Odwrociłem się i popatrzyłem na bramkę. Grupa pasażerów, którzy najpewniej właśnie przylecieli, szła przypominającym tunel rękawem z samolotu, drzwi do saloniku przylotów się otworzyły, a oni weszli, z kurtkami przerzuconymi przez ramiona, z torebkami i torbami objającymi się o uda. Unosili głowy, rozglądając się za tabliczką informującą o miejscu wydawania bagażu, kierowali się w głąb na prawo i znikali.

Wyminęli mnie dwaj chłopcy, obaj trzymali kartonowe kubki z colą i kostkami lodu, u jednego widać było cień zarostu nad górną wargą i na brodzie, mógł mieć jakieś piętnaście lat, drugi, mniejszy, miał zupełnie gładką twarz, ale wcale nie musiał być młodszy. Większy miał duże wargi, których nie zamykał, co w połączeniu z pustymi oczami sprawiało, że wyglądał na głupiego. Mniejszy miał przytomniejsze spojrzenie i bystre oczy dwunastolatka. Powiedział coś, obaj się roześmiali, a kiedy podeszli do stolika, chłopiec musiał to powtórzyć, bo wtedy roześmiali się i inni, którzy tam siedzieli.

Zdziwiłem się, widząc, jacy są mali, a jeszcze bardziej tym, że nie potrafię sobie wyobrazić, iż sam byłem równie mały, gdy miałem czternaście czy piętnaście lat. Ale musiało przecież tak być.

Odsunąłem filiżankę, wstałem, przewiesiłem kurtkę przez ramię, chwyciłem walizkę i podszedłem do bramki. Usiadłem tuż przy stanowisku odprawy, gdzie mężczyzna i kobieta, oboje w mundurach, pracowali przy ekranach swoich komputerów. Oparłem się o krzesło i na kilka sekund zamknąłem oczy. Znów zobaczyłem twarz taty. Jakby na mnie czekała. Ogród we mgle, trawa nieco ubłocona i zdeptana, drabina oparta o drzewo, twarz taty zwrócona w moją stronę. Tata przytrzymuje rękami drabinę, jest w wysokich butach i w grubym, dzierganym na drutach swetrze. Obok niego na ziemi stoją dwie białe balie, na samej górze drabiny wisi na haczyku wiadro.

Otworzyłem oczy. Nie przypominałem sobie, żebym coś takiego przeżył. To nie było żadne wspomnienie, lecz jeśli nie wspomnienie, to co?

O nie. On umarł.

Odetchnąłem głębiej i wstałem. Przy kontuarze utworzyła się już niewielka kolejka, w tym miejscu pasażerowie odczytywali każdy ruch personelu i gdy tylko coś wskazywało, że

zbliża się odlot, przysuwali tam swoje ciała.

Umarł.

Ustawiłem się na końcu kolejki za barczystym mężczyzną o głowę niższym ode mnie. Na karku i w uszach rosły mu włosy. Pachniał wodą po goleniu. Za mną stanęła kobieta. Lekko obróciłem głowę, by na nią spojrzeć, i zobaczyłem twarz, która ze starannie nałożoną szminką i różem, kredką do oczu i pudrem bardziej przypominała maskę niż człowieka. Ale pachniała przyjemnie.

Rękawem z samolotu przebiegł personel sprzątający. Kobieta w mundurze rozmawiała przez telefon. Kiedy go odłożyła, sięgnęła po mikrofonik i ogłosiła, że wszystko jest gotowe do odlotu. Otworzyłem zewnętrzną kieszeń torby i wyjąłem bilet. Serce znów zabiło mi szybciej, jakby wybrało się gdzieś w podróż na własną rękę. To stanie było nieznośne. Ale musiałem stać. Przeniosłem ciężar ciała z jednej nogi na drugą, lekko pochyliłem głowę, żeby zobaczyć pas startowy za oknem. Przejechał jeden z samochodzików ciągnących wózki z bagażami. Przeszedł mężczyzna w kombinezonie i słuchawkach, w rękach trzymał te przedmioty przypominające rakiety do ping-ponga, którymi się dyryguje na lotnisku. Kolejka zaczęła się przesuwać. Serce mi waliło i waliło. Dłonie miałem spocone. Tęskniłem za siedzeniem, za tym, żeby siedzieć gdzieś wysoko w powietrzu i patrzeć w dół. Kurdupel przede mną dostał z powrotem kawałek biletu. Podałem swój kobiecie w mundurze. Z jakiegoś powodu, biorąc go, spojrzała mi prosto w oczy. Była piękna, ale zimną urodą, rysy miała regularne, nos może trochę za ostry, usta wąskie. Oczy przejrzyste i niebieskie, ciemna obwódka wokół tęczówki wyjątkowo wyraźna. Patrzyłem na nią krótką chwilę, potem spuściłem wzrok. Uśmiechnęła się.

– Przyjemnej podróży – powiedziała.

– Dziękuję – odparłem i przypominającym tunel rękawem ruszyłem za innymi do samolotu, w którym stewardesa w średnim wieku skinieniem głowy pozdrawiała wchodzących, i podążyłem dalej środkowym przejściem aż do rzędu siedzeń na samym końcu. Włożyłem torbę i kurtkę na półkę bagażową, usiąść w wąskim fotelu, zapiąć pas, wysunąć stopy, odchylić górną połowę ciała.

Już.

Metamyśli o tym, że siedzę w samolocie w drodze na pogrzeb ojca i rozmyślam o tym, że siedzę w samolocie w drodze na pogrzeb ojca, nagle się wzmogły. Wszystkiemu, co widziałem, twarzom i ciałom, wolno idącym przez pokład, układającym bagaże tu, siadającym, układającym bagaże tam, siadającym, towarzyszył cień refleksji, że widzę to, myśląc, że to widzę, i tak dalej ad absurdum, jednocześnie zaś ten cień myśli, a raczej lustro, w jakiś sposób krytykował mnie za to, że nie czuję więcej, niż czułem. Pomyślałem: tata umarł, i nagle odsłonił się przede mną jego obraz, jakbym potrzebował ilustracji słowa „tata” – a ja, lecący samolotem, żeby go pochować, odnoszę się do tego chłodno; myślę o tym, patrząc, jak dwie dziewczynki, mniej więcej dziesięcioletnie, siadają w rzędzie obok siebie, a osoby, które muszą być ich rodzicami, zajmują miejsca po drugiej stronie

środkowego przejścia, myślę, że myślę, że myślę. Wszystko przelatywało mi przez głowę z ogromną prędkością, nic już nie miało początku ani końca. Poczułem mdłości. Jakaś kobieta umieściła walizkę na półce bezpośrednio nad moim siedzeniem, zdjęła żakiet i również ułożyła go na górze, a napotkawszy moje spojrzenie, posłała mi wyuczony uśmiech i usiadła obok mnie. Miała około czterdziestki, pogodną twarz, ciepłe oczy, czarne włosy, była niewysoka, nieco pulchna, ale nie gruba. Ubrana w coś w rodzaju garnituru, to znaczy w spodnie i marynarkę w tym samym kolorze, z tego samego materiału, jak to się nazywa, kiedy coś takiego noszą kobiety? Spodniem? Do tego biała bluzka. Patrzyłem przed siebie, ale moja uwaga koncentrowała się na tym, co się działo z boku, tam byłem, więc przeniósłem wzrok na sąsiadkę. Musiała trzymać w ręku okulary, których wcześniej nie zauważyłem, bo zaraz włożyła je na nos i otworzyła książkę.

Miała w sobie coś, co kojarzyło mi się z bankiem, prawda? Nie miękkość, ani też nie biel. Jej uda po przyciśnięciu do siedzenia jakby rozlały się w nogawkach spodni, jakże białe musiały być w mroku późnej nocy w jakimś pokoju hotelowym.

Próbowałem przełknąć ślinę, ale w ustach tak mi zaschło, że ta odrobina, którą zebrałem, nie zdołała pokonać odległości dzielącej ją od gardła. Jeszcze jeden pasażer zatrzymał się przy naszym rzędzie, mężczyzna w średnim wieku, o szarej cerze, ponury i chudy, ubrany w szary garnitur, zajął skrajne miejsce, nie patrząc ani na nią, ani na mnie. *Boarding completed*, oznajmił głos w głośnikach. Nachyliłem się lekko, żeby spojrzeć na niebo nad lotniskiem. Na zachodzie pokrywa chmur popękała i słońce oświetliło pas młodego lasu, zajaśniał, wręcz załśnił zielenią. Silniki zwiększyły obroty. Okno lekko zawibrowało. Kobieta obok mnie założyła książkę palcem i popatrzyła przed siebie.

Tata zawsze bał się latać. To jedyne chwile, jakie zapamiętałem z okresu dorastania, w których pił. Zazwyczaj unikał samolotów, wyjeżdżając gdzieś, przemieszczaliśmy się samochodem, prawie bez względu na odległość, ale czasami musiał lecieć samolotem, a wtedy wlewał w siebie w lotniskowej kawiarni rozmaite napoje alkoholowe. Unikał również wielu innych rzeczy, lecz wówczas wcale o nich nie myślałem, nie zauważałem ich, ponieważ to, co jakaś osoba robi, zawsze przesłania to, czego nie robi, a to, czego tata nie robił, nie tak łatwo dawało się zauważyć również dlatego, że w ogóle nie sprawiał wrażenia neurotyka. Ale nigdy nie chodził do fryzjera, zawsze strzygł się sam. Nigdy nie jeździł autobusem. Prawie nigdy nie robił zakupów w pobliskim sklepie, zawsze jeździł do wielkich supermarketów za miastem. Wszystko to były sytuacje, w których mógł nawiązać bliższy kontakt z ludźmi albo być przez nich obserwowany, a chociaż uprawiał zawód nauczyciela, czyli codziennie stawał przed klasą i mówił do uczniów, regularnie wzywał też rodziców na zebrania, a poza tym każdego dnia rozmawiał z kolegami w pokoju nauczycielskim, mimo wszystko jednak konsekwentnie unikał sytuacji społecznych. Co je łączyło? Może to, że stawał się przypadkowym członkiem wspólnoty? Może brak kontroli nad obserwowanymi? Może na siedzeniu autobusu, na fotelu fryzjerskim, przed kasą w supermarkecie czuł się obnażony? Nie jest to wykluczone. Ale w tamtym czasie w ogóle

tego nie zauważałem. Dopiero wiele, wiele lat później uświadomiłem sobie, że nigdy nie widziałem taty w autobusie. Nigdy nie dziwił mnie również brak jego udziału w jakiegokolwiek towarzyskiej sytuacji związanej z aktywnością Yngvego lub moją. Jeden jedyny raz przyszedł na zakończenie roku szkolnego, siedział pod ścianą i miał oglądać wystawianą przez nas sztukę, w której grałem główną rolę; niestety, po sukcesie rok wcześniej cierpiałem na hybris małych dzieci – uznałem, że nie muszę tak starannie uczyć się na pamięć wszystkich kwestii, przekonany, że i tak wszystko pójdzie dobrze, ale kiedy stanąłem na scenie, prawdopodobnie czując również obecność ojca, nie mogłem sobie przypomnieć ani jednej linijki i pani musiała mi sufłować przez całe długie przedstawienie o mieście, w którym niby byłem burmistrzem. Kiedy wracaliśmy samochodem do domu, powiedział, że nigdy w życiu nie było mu równie głupio i nigdy więcej nie przyjdzie na żadne moje zakończenie roku. Tej obietnicy dotrzymał. Nie przyszedł też na żaden z niezliczonych meczów piłki nożnej, w których grałem w okresie dorastania, nigdy nie było go wśród rodziców wożących nas na mecze zamiejskowe, nigdy wśród oglądających te rozgrywane u siebie, a ja również na to nie reagowałem, nawet nie wydawało mi się to niezwykle, bo on taki już był, ten mój ojciec. Podobnych ojców zresztą było wielu, przecież pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych bycie ojcem oznaczało co innego, niż oznacza dzisiaj, przynajmniej pod względem zakresu ojcowskich obowiązków.

To znaczy raz mnie oglądał.

Zimą, kiedy chodziłem do dziewiątej klasy, zawiózł mnie na żwirowe boisko w Kjevik, on wybierał się dalej, do Kristiansand, a ja jechałem na mecz sparingowy z jakąś drużyną z głębi kraju. W samochodzie siedzieliśmy jak zwykle w milczeniu, on z jedną ręką na kierownicy, drugą oparty o okno, ja z dłońmi na kolanach. Nagle coś mi strzeliło do głowy i spytałem, czy nie chciałby zobaczyć, jak gramy. Nie, nie mógł, przecież jechał do Kristiansand. Powiedziałem, że wcale na to nie liczyłem. W tym komentarzu nie kryło się żadne rozczarowanie, żadna zachęta, żadne wyznanie, że właściwie to chciałbym, żeby zobaczył ten mecz, który zresztą wcale nie był ważny. Po prostu stwierdziłem, że właśnie tak myślałem. Nagle pod koniec drugiej połowy dostrzegłem jego samochód przy linii bocznej, za zwałami śniegu metrowej wysokości. Ledwie widziałem jego ciemną postać za przednią szybą. Kiedy do końca meczu zostało już tylko kilka minut, od Haralda ze skrzydła dostałem idealne podanie tuż przed bramką, wystarczyło jedynie wyciągnąć stopę, i tak też zrobiłem, ale wyciągnąłem lewą, w której nie miałem szczególnego wyczucia, uderzyła piłkę nieco krzywo, nie strzeliłem w bramkę. W samochodzie po drodze do domu on to skomentował. Nie wykorzystałeś swojej szansy na gola, powiedział, a miałeś wielką szansę. Nie sądziłem, że ją zmarnujesz. No tak, powiedziałem, ale przynajmniej wygraliśmy. Ile? – spytał. Dwa jeden, odparłem, zerkając na niego, bo chciałem, by spytał, kto zdobył te dwie bramki. Na szczęście spytał. Strzeliłeś gola? Tak, powiedziałem. Obydwa.

Kiedy samolot zatrzymał się na początku pasa startowego i silniki ruszyły na poważnie, rozpląkałem się, oparty czołem o szybę. Łzy pojawiły się nie wiadomo skąd, a kiedy popłynęły, wiedziałem, że to zupełny idiotyzm, że to sentymentalne, głupie. Ale ta świadomość w niczym mi nie pomogła, zapadałem się w bezgraniczną miękkość i mglistość, z których nie potrafiłem się wydobyć, dopóki samolot po kilku minutach nie oderwał się od ziemi i z hukiem nie zaczął się wznosić. Wtedy, nareszcie znów z przejrzystymi myślami, spuściłem głowę, złapałem w dwa palce skrawek T-shirtu i wytarłem nim oczy, a potem długo siedziałem, wyglądając przez okno, aż w końcu przestałem odbierać czujność siedzącej obok mnie kobiety. Odchyliłem się na fotelu i zamknąłem oczy. Ale to się jeszcze nie skończyło. Czułem to. Dopiero się zaczęło.

Ledwie samolot wyprostował się po starcie, a już znów skierował nos w dół i zaczął podchodzić do lądowania. Stewardesy biegały z wózkami środkowym przejściem, żeby zdążyć podać wszystkim kawę i herbatę. Krajobraz w dole, najpierw jedynie w postaci tableau z pojedynczych obrazków widocznych przez rzadkie otwory w pokrywie chmur, był surowy i piękny – zielone wyspy i niebieskie morze, strome zbocza gór i pokryty śniegiem płaskowyż – z czasem jednak się spłaszczył i złagodniał, a jednocześnie zniknęły chmury i w końcu wyłonił się płaski pejzaż regionu Rogaland. We mnie wszystko było w ruchu. Wspomnienia, które nieoczekiwanie objawiły się w mojej świadomości, przepływały przeze mnie poplątane i chaotyczne, chociaż chciałem je powstrzymać, bo nie zamierzałem siedzieć i płakać, nieustannie analizując wszystko, co się wydarzyło. Ale właściwie byłem bez szans. Stał mi przed oczami tamten dzień, kiedy wybraliśmy się razem na narty do Hove, sunęliśmy między drzewami w lesie i w każdym prześwicie widzieliśmy morze, szare, ciężkie i ogromne, a cały czas otaczał nas jego zapach, zapach soli i wodorostów, unoszący się jakby obok zapachu śniegu i świerków, tata dziesięć metrów przede mną, może dwadzieścia, bo chociaż miał nowy sprzęt, od wiązań Rottefella po narty Splitkein, i niebieski anorak, to nie umiał biegać na nartach, raczej człapał, prawie jak starzec, bez poczucia równowagi, bez płynności, bez prędkości, a ja za wszelką cenę nie chciałem, aby wiązano mnie z tą postacią, dlatego cały czas trzymałem się nieco z tyłu, z głową pełną wyobrażeń o sobie samym i swoim stylu, który – kto wie? – być może zaprowadzi mnie kiedyś na wyżyny. Krótko mówiąc, wstydziłem się go. O tym, że kupił cały ten sprzęt narciarski i zabrał mnie na wyspę Tromøya od strony otwartego morza, ponieważ chciał się do mnie zbliżyć, oczywiście nie miałem wtedy pojęcia, ale teraz, kiedy siedziałem z zamkniętymi oczami, udając, że śpię, chociaż przez głośniki kazano zapiąć pasy i podnieść oparcia foteli, świadomość, że tak właśnie było, nie pozwoliła mi zapanować nad kolejnym atakiem płaczu, więc znów się nachyliłem i oparłem głowę o ścianę, żeby to ukryć, ale nawet nie bardzo się starałem, bo przecież moi współpasażerowie już podczas startu musieli się zorientować, że trafiło im się miejsce obok młodego człowieka, który płacze. Ścisnęło mnie w gardle, nie miałem nad niczym kontroli, wszystko się przeze mnie

przelewało, otworzyły się we mnie na oścież jakieś drzwi, ale nie na świat zewnętrzny, którego prawie już nie widziałem, lecz na ten wewnętrzny, nad którym uczucia kompletnie przejęły władzę. Udało mi się zachować resztki godności dzięki temu, że nie wydawałem dźwięków. Żadnych szlochów, jęków, westchnień ani skarg. Jedynie łzy płynęły mi z oczu i twarz wykrzywiał grymas za każdym razem, gdy świadomość śmierci taty osiągała kolejne szczyty.

Ach.

Ach.

Nagle się przejaśniło, jakby cała ta miękkość i mglistość, która pochłaniała mnie przez ostatnie piętnaście minut, cofnęła się, trochę jak odpływ, a potężny dystans, jakiego w tej samej chwili nabrałem, kazał mi wybuchnąć ściszym śmiechem.

– Che, che, che – wydobyło się ze mnie.

Otarłem oczy przedramieniem. Myśl, że kobieta w sąsiednim fotelu widziała, jak płacę z twarzą ściąganą kolejnymi grymasami, a teraz nagle usłyszała mój śmiech, jeszcze bardziej mnie rozśmieszyła.

– Che, che, che. Che, che, che.

Spojrzałem na nią. Nawet na moment nie odwróciła wzroku, utkwionego w stronicy książki. Tuż za nami dwie stewardesy przysiadły na składanych krzeselkach i zapięły pasy. Na zewnątrz było słonecznie i zielono. Cień samolotu na ziemi coraz bardziej się do nas zbliżał, jak ryba wyciągana wędką, a w chwili gdy koła dotknęły ziemi, schował się całkiem pod kadłubem i tam pozostał podczas hamowania i kołowania.

Ludzie dookoła mnie zaczęli wstawać. Wziąłem głęboki oddech. Wrażenie, że coś się we mnie przejaśniło, nabrało mocy, stało się wręcz namacalne. Daleko mi było do wesołości, ale czułem ulgę. Jak zawsze, kiedy coś ciężkiego nieoczekiwanie odpuści. Kobieta obok mnie podniosła się z fotela, trzymając książkę w ręku, i stanęła w przejściu, żeby sięgnąć do półki bagażowej. Dopiero teraz miałem szansę zobaczyć, co czytała, ponieważ zamknęła książkę. To była *Kobieta i małpa* Petera Høega. Czytałem to kiedyś. Dobry pomysł, słaba realizacja. Czy w normalnej sytuacji zainicjowałbym rozmowę o książce? Przecież temat sam się nasuwał. Nie, nie zacząłbym z nią rozmawiać, ale siedziałbym i myślał o tym, że powinienem. Czy w ogóle kiedykolwiek zainicjowałem rozmowę z kimś obcym?

Nie, nigdy.

I nic nie wskazywało na to, bym kiedykolwiek miał to zrobić.

Nachyliłem się, żeby wyrzeć przez okno na zakurzony asfalt, tak jak zrobiłem kiedyś, dwadzieścia lat wcześniej, z dziwnym, ale wyraźnym zamiarem zapamiętania na zawsze tego, co widziałem. Na pokładzie samolotu, tak jak teraz, na lotnisku Sola, tak jak teraz, ale wówczas w drodze do Bergen, a stamtąd dalej do dziadków ze strony mamy w Sørbøvåg. Za każdym razem, kiedy podróżowałem samolotem, wracałem do tej sceny, do której

zapamiętania się wtedy zmusiłem. Długo stanowiła ona również otwarcie powieści, którą właśnie skończyłem pisać i która leżała teraz w walizce gdzieś w ładowni pode mną, w postaci sześciuset czterdziestu stron maszynopisu; korektę miałem przeczytać w ciągu tygodnia.

Przynajmniej to było dobre.

Cieszyłem się również na spotkanie z Yngvem. Po jego wyprowadzce z Bergen, najpierw do Balestrand, gdzie poznał Kari Anne, z którą miał dziecko, a następnie do Stavanger, gdzie urodziło im się następne dziecko, nasze stosunki się zmieniły, przestał już być kimś, do kogo zaglądałem, gdy nie miałem co robić, z kim szedłem do knajpy albo na koncert; teraz stał się kimś, do kogo od czasu do czasu przyjeżdżałem w odwiedziny na kilka dni, aby brać udział w toczącym się tam życiu rodzinnym. Lubiłem to. Zawsze lubiłem nocować u innych rodzin, dostawać własny pokój pełny obcych rzeczy, z życzliwie wyłożonymi ręcznikiem i myjką, ze świeżo pościelonym łóżkiem, i stamtąd wchodzić wprost do wnętrza tej rodziny, mimo że jednocześnie niemal zawsze, bez względu na to, kogo odwiedzałem, łączyło się z tym również coś nieprzyjemnego, bo chociaż ludzie przy gościach zawsze starają się ukrywać istniejące napięcia, to jednak one zawsze pozostają wyczuwalne i nigdy nie wiadomo, czy wytworzyła je twoja obecność, czy też trwają już od dawna, a twoja obecność, przeciwnie, pomaga je tłumić. Oczywiście istniała też trzecia możliwość, a mianowicie, że wszystkie te napięcia rodziły się po prostu w mojej głowie.

W przejściu między siedzeniami zaczęło się robić luźniej, więc wstałem, zabrałem torbę i kurtkę i ruszyłem do przodu. Wyszedłem z pokładu na korytarz prowadzący do hali przylotów, niedużej, a mimo to nieobejmowalnej wzrokiem, z płataniną bramek, kiosków i kawiarni, gdzie podróżni wylatujący i przylatujący stali, siedzieli, jedli i czytali. Yngvego potrafiłem rozpoznać natychmiast w każdym tłumie i nie musiałem widzieć twarzy, by go zidentyfikować, wystarczyły mi tył głowy czy ramię, albo nawet mniej, bo tak odbiera się ludzi, z którymi się wyrosło i z którymi przebywało się blisko w czasie kształtowania się czy wyłaniania charakteru, przyjmuje się ich bezpośrednio, bez udziału rozumu. Niemal cała wiedza o bracie jest wiedzą intuicyjną. Nigdy nie wiedziałem, co Yngve myśli, rzadko potrafiłem stwierdzić, dlaczego postępuje tak, a nie inaczej, prawdopodobnie nie podzielałem zbyt wielu jego opinii, ale to mogłem jedynie zgadywać, pod tym względem był mi równie obcy jak wszyscy. Znałem jednak jego gesty, mimikę, wiedziałem, jak pachnie, znajome mi były wszystkie odcienie jego głosu, a przede wszystkim wiedziałem, skąd jest. Żadnej z tych rzeczy nie potrafiłem nazwać słowami, rzadko też docierało to do mojej świadomości, ale tak właśnie było. Nie musiałem więc szukać go wzrokiem przy stolikach w pizzerii, nie musiałem przesuwając spojrzenia po twarzach ludzi siedzących na krzesłach przed bramkami ani idących w jedną czy drugą stronę hali, bo gdy tylko do niej wszedłem, od razu wiedziałem, gdzie jest Yngve. Od razu spojrzałem w stronę fasady niby-starego i niby-irlandzkiego pubu, gdzie rzeczywiście stał, z rękami założonymi na piersi, ubrany w zielonkawę, ale nie wojskowe spodnie, biały T-shirt z rysunkiem z płyty

Goo zespołu Sonic Youth, jasnoniebieską dzinsową kurtkę i ciemnobrązowe buty Puma. On jeszcze mnie nie zauważył. Popatrzyłem na jego twarz, którą znałem lepiej niż jakąkolwiek inną. Mocno zaznaczone kości policzkowe miał po tacie, tak jak lekko krzywe usta, ale kształt twarzy i okolice oczu były bardziej podobne do mamy i do moich.

Obrócił głowę i napotkał moje spojrzenie. Chciałem się uśmiechnąć, ale w tej samej chwili wargi mi się wykrzywiły i z siłą, której nie można było się oprzeć, nagle wezbrały we mnie wcześniejsze uczucia. Utorowały sobie drogę szlochem i zacząłem płakać. Przesłoniłem twarz ręką, którą zaraz opuściłem, nadpłynęła kolejna fala, twarz znów się wykrzywiła. Spojrzenia Yngvego w tamtej chwili nigdy nie zapomnę. Patrzył na mnie z niedowierzaniem. Nie było w tym żadnego osądu, raczej jakby przyglądał się czemuś, czego nie mógł zrozumieć i czego się nie spodziewał, dlatego był na to kompletnie nieprzygotowany.

– Cześć – wydusiłem przez łzy.

– Cześć. Mam samochód na dole. Idziemy?

Kiwnąłem głową i ruszyłem za nim po schodach i dalej na parking. Nie wiem, co pomogło mi się uspokoić, czy ta niezwykła ostrość powietrza w Vestlandet, niezmienna bez względu na temperaturę, tym razem wyjątkowo wyczuwalna, ponieważ szliśmy w cieniu rzucanym przez duży dach, czy może potężne poczucie przestrzeni, jakie dawał krajobraz, w każdym razie znów się opanowałem, kiedy zatrzymaliśmy się przy samochodzie i Yngve, teraz w okularach przeciwsłonecznych, nachylił się i włożył kluczyk do zamka od strony kierowcy.

– Nie masz więcej bagażu? – spytał, ruchem głowy wskazując na moją torbę.

– O cholera, zaczekaj. Pójdę odebrać.

Yngve i Kari Anne mieszkali na Storhaug, w dzielnicy położonej nieco poza centrum Stavanger, na końcu szeregowca, za którym biegła droga, a za nią rósł las, dochodzący do fiordu kilkaset metrów dalej. W pobliżu były też ogródki działkowe, a za nimi, na innym osiedlu, mieszkał Asbjørn, stary przyjaciel Yngvego, z którym niedawno założył firmę; postanowili zająć się projektowaniem graficznym. Urządzili biuro na strychu i rozlokowali tam cały kupiony sprzęt, z którego dopiero uczyli się korzystać. Żaden nie miał wykształcenia w tym kierunku oprócz ukończonego medioznawstwa na Uniwersytecie Bergeńskim, nie mieli też znaczących kontaktów w branży. Ale tkwili tam przy swoich potężnych komputerach i pracowali nad nielicznymi zleceniami, jakie im się trafiały. Jakiś plakat na dni dzielnicy Hundvåg, kilka folderów i ulotek, na razie nic więcej. Postawili wszystko na jedną kartę. Jeśli chodziło o Yngvego, potrafiłem to zrozumieć: po studiach kilka lat pracował jako konsultant do spraw kultury w gminie Balestrand, a stamtąd raczej nie wszystkie drogi stały przed nim otworem. Ale to było ryzykowne posunięcie, bo mogli się opierać wyłącznie na własnym, acz zdecydowanym, a z czasem nawet bardzo

wyrefinowanym guście, wyćwiczonym przez dwadzieścia lat obracania się wśród rozmaitych elementów popkultury, od filmów i okładek płyt po ciuchy i piosenki, magazyny i albumy, od niszowych po największą komercję, cały czas z nastawieniem na oddzielanie ziarna od plew, zarówno w tym, co już było, jak i w tym, co akurat wokół nich powstawało. Pamiętam, raz byliśmy u Asbjørna, piliśmy przez trzy dni i nagle Yngve puścił nam Pixies, wówczas nowy i nieznany amerykański zespół, a Asbjørn, leżąc na kanapie, zwijał się ze śmiechu, bo to co słyszeliśmy, było naprawdę świetne. To jest świetne, przekrzykiwał głośną muzykę. Cha, cha, cha! Cha, cha, cha! To jest naprawdę świetne! Gdy jako dziewiętnastolatek przyjechałem do Bergen, Asbjørn i Yngve przyszli do mnie na stację i w ich oczach nie znalazły uznania ani zdjęcie Johna Lennona, które powiesiłem nad biurkiem, ani plakat przedstawiający łan zboża z wąskim paskiem trawy z przodu, który zdawał się żarzyć w intensywny, niemal cudowny sposób, ani plakat filmowy z *Misji* z Jeremym Ironsem. Te rzeczy nie mogły zostać. Zdjęcie Lennona było reminiscencją z ostatniego okresu w liceum, kiedy z trzema innymi chłopakami dyskutowałem o literaturze i polityce, słuchałem muzyki, oglądałem filmy i piłem wino, wychwalałem wewnątrz, dystansowałem się od zewnątrz, a Lennon wisiał u mnie na ścianie jako apostoł zaangażowania, chociaż właściwie zawsze, od dzieciństwa, najbardziej lubiłem słodycz McCartneya. Ale w tym wypadku Beatlesi nie stanowili *z a d n e g o* punktu odniesienia, w *z a d n y c h* okolicznościach, więc wkrótce zdjęcie Lennona zniknęło ze ściany. Jednak ich zdecydowany gust dotyczył nie tylko popkultury; to Asbjørn pierwszy polecił mi Thomasa Bernharda, przeczytał *Beton*, wydany w serii Vita przez wydawnictwo Gylendal, który ukazał się dziesięć lat wcześniej, niż wszyscy zainteresowani literaturą w Norwegii zaczęli się do niego odwoływać, ja natomiast, pamiętam, nie mogłem w pełni zrozumieć fascynacji Asbjørna tym Austriakiem i dopiero dziesięć lat później, wraz z całą resztą literackiej Norwegii, odkryłem jego wielkość. Asbjørn miał nosa, to był jego wielki talent, nigdy nie poznałem nikogo o równie zdecydowanym guście, ale do czego więcej mógł służyć ten dar niż do tego, by stać się osią, wokół której kręciło się studenckie życie? Istotą tej zdolności jest ocenianie, żeby zaś oceniać, trzeba stać na zewnątrz, a to nie tam się tworzy. Yngve był w większym stopniu skierowany do wewnątrz, grał na gitarze w zespole, pisał własne utwory i słuchał podobnej muzyki, a poza tym miał zdolności analityczne, akademickie, w których Asbjørn albo mu nie dorównywał, albo tego nie demonstrował. Projektowanie graficzne było pod wieloma względami idealne dla nich obydwu.

Mniej więcej w tym czasie, gdy założyli firmę, zdecydowano o wydaniu mojej książki, uważałem zatem, że nie wchodzi w grę, by ktokolwiek inny zaprojektował do niej okładkę, to pozwoliłoby im wsunąć stopę w uchylone drzwi do świata wydawnictw. W moim wydawnictwie oczywiście wcale tak nie uważano. Redaktor, Geir Gulliksen, wspomniał, że musi się skontaktować z grafikami, i spytał, czy mam jakieś pomysły. Powiedziałem wtedy, że chciałbym, aby okładkę zrobił mój brat.

– Twój brat? On jest grafikiem?

– No... dopiero zaczął. Założył firmę z kolegą w Stavanger. Są świetni, to gwarantuję.

– Zrobimy w ten sposób – zaproponował Geir Gulliksen – niech przygotują projekt, a my się mu przyjrzymy. Jeżeli będzie dobry, nie ma żadnego problemu.

I tak się stało. Pojechałem do nich w czerwcu, wiozłem ze sobą należącą kiedyś do taty książkę z lat pięćdziesiątych o podróżach kosmicznych, pełną rysunków w charakterystycznym dla tamtych czasów optymistycznym stylu. Chodził mi też po głowie kremowobiały kolor, jaki widziałem na okładce *Świata wczorajszego* Stefana Zweiga. Ponadto Yngve zdobył kilka zdjęć zeppelinów, które według mnie pasowały do mojej książki. Potem zasiedli na swoich nowych obrotowych krzesłach na strychu – na zewnątrz prażyło słońce – i zajęli się opracowywaniem projektu, a ja z fotela z tyłu zaglądałem im przez ramię. Wieczorami piliśmy piwo i oglądaliśmy mistrzostwa świata w piłce nożnej. Byłem zadowolony i pełen optymizmu, bo miałem silne poczucie, że pewien okres dobiegł końca, a zaczął się nowy. Tonje właśnie skończyła studia i znalazła pracę w regionalnej telewizji publicznej NRK Hordaland, ja miałem zadebiutować z książką, niedawno przeprowadziliśmy się do naszego prawdziwego mieszkania w Bergen, mieście, w którym się poznaliśmy. Yngve i Asbjørn, których czepiałem się w okresie studiów, rozpoczęli własną działalność, a ich pierwszym prawdziwym zleceniem była okładka mojej książki. Wszędzie otwierały się możliwości, wszystko wskazywało na to, że idziemy do przodu, i chyba czułem tak pierwszy raz w życiu.

Praca w tych dniach przyniosła owoce. Mieliśmy sześć czy siedem fajnych projektów, z których byłem zadowolony, ale oni postanowili spróbować jeszcze czegoś innego. Asbjørn przyniósł całą torbę amerykańskich magazynów fotograficznych. Przeglądaliśmy je, a on pokazał mi kilka zdjęć Jocka Sturgesa, były zupełnie wyjątkowe, nigdy nic podobnego nie widziałem; wybraliśmy jedno, przedstawiające długonogą dziewczynkę, dwunasto-, może trzynastoletnią, która stała odwrócona tyłem i patrzyła na wodę. Było piękne, lecz również pełne emocji, czyste, ale i groźne, miało w sobie niemal ikoniczną jakość. W innym czasopiśmie wpadliśmy na reklamę, na której napis został złożony białymi literami na dwóch niebieskich paskach; Yngve i Asbjørn postanowili wykorzystać ten pomysł, tyle że w czerwieni, i pół godziny później Yngve miał już gotową okładkę. Wydawnictwo dostało pięć różnych propozycji, ale bez cienia wątpliwości za najlepszą uznano wersję ze zdjęciem Sturgesa i książka miała wyjść za kilka miesięcy z tą dziewczynką na okładce. Trochę sami prosiliśmy się o kłopoty, ponieważ Sturges to kontrowersyjny fotografik, czytałem, że jego dom przewrócili do góry nogami agenci FBI, a kiedy wrzuciłem jego nazwisko w wyszukiwarkę, okazało się, że niektóre linki prowadzą do stron z pornografią dziecięcą. Przy tym wszystkim nie zetknąłem się z żadnym innym fotografem, który w tak znakomity sposób potrafiłby oddać bogactwo świata dzieciństwa, z Sally Mann włącznie. Bardzo się więc z tego wyboru cieszyłem. I z tego, że to Yngve i Asbjørn zrobili okładkę.

W samochodzie po drodze z lotniska w ten niezwykle piątkowy wieczór niewiele się do siebie odzywaliśmy. Zamieniliśmy kilka słów o czekających nas sprawach praktycznych związanych z pogrzebem – ani Yngve, ani ja nie mieliśmy wcześniej takich doświadczeń. W niskim słońcu dachy mijanych domów zdawały się żarzyć. Niebo było tu wysokie, pejzaż płaski i zielony, a cała ta przestrzeń sprawiała, że doświadczałem uczucia pustki, której nie zdołałoby wypełnić nawet największe zbiorowisko ludzi. Każdy, kogo mijaliśmy, wydawał się maleńki, kiedy stał pod wiatą, czekając na autobus do miasta, jechał drogą na rowerze, pochylony nad kierownicą, siedział na traktorze przemierzającym pole albo wychodził z drzwi stacji benzynowej z hot dogiem w jednej ręce i butelką coli w drugiej. Również w mieście było pusto, ulice wyglądały na wyludnione, dzień minął, a wieczór jeszcze się nie zaczął.

Yngve puścił Björk z samochodowego odtwarzacza. Za oknami było coraz mniej sklepów i biurowców, a coraz więcej domów mieszkalnych. Ogródki, żywopłoty i drzewa owocowe, dzieci na rowerkach, dzieci grające w gumę.

– Nie wiem, dlaczego się rozplakałem – odezwałem się. – Ale coś takiego się stało, kiedy cię zobaczyłem. Nagle zrozumiałem, że on nie żyje.

– No tak – powiedział Yngve. – Nie wiem, czy do mnie to już dotarło.

Za zakrętem zmienił bieg na niższy i zaczął wjeżdżać na ostatnie wzgórze. Po prawej stronie minęliśmy plac zabaw, dwie dziewczynki siedziały tam na ławce, chyba grały w karty. Nieco wyżej, po drugiej stronie drogi, zobaczyłem ogród przed domem Yngvego. Nikogo w nim nie było, ale rozsuwane drzwi do salonu zostawiono otwarte.

– No to jesteśmy. – Yngve wolno wjechał do otwartego garażu.

– Walizkę zostawię – oświadczyłem. – Przecież jutro jedziemy dalej.

Drzwi do domu się otworzyły i wyszła Kari Anne z Torjem na ręku. Ylva stanęła obok, przytrzymując się nogi matki. Patrzyła, jak zamykam drzwiczki i podchodzę do nich. Kari Anne wysunęła głowę i objęła mnie jedną ręką; uściskałem ją, a Ylvie zmierzwiłem włosy.

– Przykro mi z powodu waszego ojca – powiedziała. – Moje kondolencje.

– Dziękuję – odparłem. – Ale to nie było zaskoczenie.

Yngve z trzaskiem zamknął bagażnik i przyszedł z torbami w rękach. Najwyraźniej po drodze na lotnisko zrobił zakupy.

– Wejdziemy? – spytała Kari Anne.

Kiwnąłem głową i poszedłem za nią do salonu.

– Mmm. Pysznie pachnie – zauważyłem.

– Często to robię – odparła. – Spaghetti z szynką i brokułami.

Wciąż trzymając w objęciach Torjega, drugą ręką przesunęła garnek na kuchence, wyłączyła płytkę, nachyliła się i wyjęła z szafki durszlak. Yngve wszedł, odstawił torby na podłogę i zaczął rozkładać zakupy. Ylva, nagusieńka, nie licząc pieluchy, stała nieruchomo

na środku kuchni i na zmianę patrzyła to na nich, to na mnie. Potem podbiegła do łóżeczka dla lalek, które stało obok regału, wyjęła zabawkę i trzymając ją w wyciągniętych rączkach, podeszła do mnie.

– Śliczną masz lalkę. – Ukląknęłam przed nią. – Mogę zobaczyć?

Z miną wyrażającą zdecydowanie przycisnęła lalkę do piersi i lekko się odwróciła.

– Pokaż lalkę Karlowi Ovemu – poprosiła Kari Anne.

Wstałam.

– Wyjdę zapalić, jeśli można.

– Przyjdę do ciebie – powiedział Yngve. – Tylko najpierw się z tym uporam.

Wyszedłem na taras przez otwarte drzwi, zamknąłem je i usiadłem na jednym z trzech plastikowych krzeseł. Na całym trawniku leżały porozrzucone zabawki. Przy samym jego końcu, koło żywopłotu, stał okrągły plastikowy basen, napełniony wodą, w której pływały żdźbła trawy i owady. O ogrodzenie tarasu były oparte dwa kije do golfa, obok leżały rakiety do badmintonu i piłka do nogi. Z wewnętrznej kieszeni wyjąłem papierosa, zapaliłem jednego, odchyliłem głowę. Słońce zaszło za chmurę, a trawa i liście, które zaledwie kilka minut wcześniej zdawały się jaśnieć czystą zielenią, nagle poszarzały i straciły blask, jakby uszło z nich życie. Z sąsiedniego ogrodu dobiegał jednostajny odgłos ręcznej kosiarki do trawy, przesuwanej do przodu i do tyłu, z domu Yngvego dochodził brzęk talerzy i sztućców.

Lubiłem tu być. U mnie w mieszkaniu wszystko było nasze, nie odczuwałem żadnego dystansu; kiedy cierpiałem, cierpiało również mieszkanie. Ale tutaj dystans istniał, tu otoczenie nie miało żadnego związku ze mną ani z tym co moje, mogło więc niwelować cierpienie.

Za moimi plecami otworzyły się drzwi, to był Yngve. W ręku trzymał filiżankę z kawą.

– Pozdrowienia od Tonje – powiedziałem.

– Dziękuję. Co u niej słychać?

– Wszystko dobrze. W poniedziałek zaczęła pracę. W środę puścili jej materiał w wiadomościach. Śmiertelny wypadek.

– No proszę.

O co chodzi? Czyżby był zły?

Przez jakiś czas siedzieliśmy, nic nie mówiąc. Po niebie, wysoko nad blokami z lewej strony, przeleciał helikopter. Odgłos wirników dochodził z daleka, niemal całkiem przytłumiony. Drogą szły tamte dwie dziewczynki z placu zabaw. W którymś z odległych ogrodów ktoś wołał kogoś po imieniu. Brzmiało to jak „Bjørnar”.

Yngve zapalił papierosa.

– Zacząłeś grać w golfa? – spytałem.

Kiwnął głową.

– Ty też powinieneś spróbować, na pewno byłbyś w tym dobry. Jesteś wysoki, no i grałeś w piłkę. Masz instynkt rywalizacji. Chcesz spróbować? Mam gdzieś lekkie piłki do ćwiczeń.

– Teraz? Nie za bardzo.

– To był żart, Karl Ove.

– Że mam zacząć grać w golfa czy że mam grać teraz?

– Że masz zagrać teraz.

Do żywopłotu rozdzielającego dwa ogrody podszedł sąsiad, zatrzymał się, wyprostował i przeciągnął ręką po spoczonej nagiej czaszce. Na tarasie siedziała na krześle kobieta w białych szortach i białym T-shircie, czytała jakiś tygodnik.

– Wiesz, jak się czuje babcia? – spytałem.

– Nie, nic nie wiem. Ale to przecież ona go znalazła. Można więc sobie wyobrazić, że nie najlepiej.

– W salonie, tak?

– Tak – odparł, zgasił papierosa w popielniczce i wstał. – Pójdziemy coś zjeść?

Następnego dnia rano obudziła mnie Ylva, która stała na korytarzu przy schodach i wrzeszczała. Do połowy uniosłem się na łóżku i podciągnąłem żaluzje, żeby zobaczyć, która godzina. Wpół do szóstej. Westchnąłem i położyłem się z powrotem. Pokój, w którym nocowałem, był pełen kartonów pozostałych po przeprowadzce, ciuchów i rozmaitych innych rzeczy, które jeszcze nie znalazły swojego miejsca w domu. Pod ścianą stała deska do prasowania, na niej leżały poskładane ubrania, a obok opierał się o ścianę złożony parawan, z wyglądu azjatycki. Zza drzwi dobiegły głosy Yngvego i Kari Anne, a zaraz potem ich kroki na starych drewnianych schodach. Dźwięki radia włączonego na dole. Ustaliliśmy, że wyruszymy około siódmej, wtedy dotarlibyśmy do Kristiansand mniej więcej o jedenastej, ale pomyślałem, że chyba nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy wyjechali wcześniej, więc spuściłem nogi na podłogę, włożyłem spodnie i T-shirt i przeciągnąłem ręką po włosach, przeglądając się w lustrze na ścianie. Śladów po wczorajszych wybuchach uczuć nie było widać, wyglądałem po prostu na śpiącego. A więc powrót do początku. Bo również we mnie wczorajszy dzień nie pozostawił śladów. Uczucia są jak woda, zawsze dopasowują się do otoczenia. Nawet największa żałoba nie pozostawia śladów; kiedy przytłacza i trwa długo, to nie dlatego że uczucia krzepną, bo to jest niemożliwe, one po prostu nieruchomieją, tak jak nieruchoma jest woda w leśnym jeziorze.

Fuck, cholera, pomyślałem. To był jeden z moich myślowych tików. Pierdolona kurwa – inny. Przelatywały przez moją świadomość w nieregularnych odstępach, nie do zatrzymania, zresztą po co miałem je powstrzymywać, przecież nikogo nie krzywdziły. Nie

widać też było po mnie, co myślę. Kurewskie gównu, powiedziałem w duchu i otworzyłem drzwi. Mogłem teraz zajrzeć do ich sypialni, spuściłem więc wzrok, istniały bowiem rzeczy, o których nie chciałem wiedzieć, i po otwarciu drewnianej bramki zszedłem na dół do kuchni. Ylva siedziała na swoim krzeselku Tripp Trapp z kromką chleba w ręku i szklanką mleka przed sobą. Yngve przy kuchence smażył jajka, a Kari Anne krążyła między stołem a szafkami, nakrywając do śniadania. Świeciła się lampka ekspresu do kawy. Ostatnie krople z filtra spływały do prawie pełnego już dzbanka. Wywietrznik szumiał, jajka skwierczały na patelni, w radiu leciał dżingiel wiadomości dla kierowców.

- Dzień dobry – powiedziałem.
- Dzień dobry – odpowiedziała Kari Anne.
- Cześć – rzucił Yngve.
- Karl Ove – Ylva wskazała krzesło naprzeciwko siebie.
- Mam tam usiąść? – spytałem.

Energicznie pokiwała głową, więc wysunąłem krzesło i usiadłem. Była bardziej podobna do Yngvego niż do Kari Anne, miała jego nos i oczy, w których, o dziwo, pojawiała się często jego spojrzenie. Jej ciało nie wyrosło jeszcze z pulchności niemowlęctwa, wszystkie jego cząstki i kawałeczki miały w sobie coś miękkiego, okrągłego, więc kiedy marszczyła czoło, a z jej oczu bił spryt Yngvego, trudno było się nie uśmiechnąć. Nie wydawała się przez to starsza, za to on młodził: nagle stawało się jasne, że jedna z jego charakterystycznych min nie jest wcale przejawem doświadczenia, dojrzałości czy życiowej mądrości, lecz najwyraźniej żyła swoim prostym życiem, niezmienna i niezależna od jego twarzy, odkąd ta zaczęła się kształtować na początku lat sześćdziesiątych.

Yngve, wsuwając łyżeczkę pod jajka, po jednym przełożył je na półmisek, postawił go na stole obok koszyka z chlebem, potem przyniósł dzbanek z kawą i nalał do trzech filiżanek. Zwykle piłem na śniadanie herbatę, już od czternastego roku życia, ale nie miałem serca tego mówić. Wziąłem więc tylko kromkę chleba i łyżeczkę, którą Yngve oparł o brzeg półmiska, nałożyłem sobie jajko.

Wzrokiem poszukałem na stole soli, ale nigdzie jej nie było.

- Jest gdzieś sól? – spytałem.
- Proszę – Kari Anne podała mi solniczkę.
- Bardzo dziękuję. – Uniosłem przykrywkę plastikowego pojemniczka i patrzyłem, jak ziarenka zapadają się w żółtko, ledwie perforując jego powierzchnię. Masło zaczęło się roztopiać i wsiąkać w chleb. – A gdzie Torje?
- Śpi jeszcze na górze – odpowiedziała Kari Anne.

Ugryzłem kanapkę. Wysmażone białko jajka było od spodu chrupkie, duże brązowoczarne płatki kruszyły się między podniebieniem a językiem.

– On dużo śpi? – spytałem.

– No... Jakieś szesnaście godzin na dobę. Chyba tak, nie wiem. Jak myślisz? – zwróciła się do Yngvego.

– Nie mam pojęcia – odparł.

Przegryzłem żółtko, ciepłe spłynęło mi do ust. Wypiłem łyk kawy.

– Ależ on się wystraszył, kiedy Norwegia strzeliła gola – powiedziałem.

Kari Anne uśmiechnęła się. Oglądaliśmy tutaj drugi mecz Norwegii podczas mistrzostw świata, a Torje spał w kołysce w drugim końcu pokoju. Kiedy ucichł nasz wrzask po zdobytej bramce, z kołyski dobiegł przenikliwy krzyk.

– Szkoda tego meczu z Włochami – stwierdził Yngve. – Czy my właściwie to omawialiśmy?

– Nie – odparłem. – Ale oni wiedzieli, co robią. Wystarczyło dać Norwegii piłkę, a wszystko się zawaliło.

– Pewnie byli wypompowani po tym meczu z Brazylią – powiedział Yngve.

– Tak jak ja. Ten karny to była najgorsza rzecz, jaką widziałem. Ledwie mogłem na to patrzeć.

Tamten mecz oglądałem w Molde, u ojca Tonje. Gdy tylko się skończył, zadzwoniłem do Yngvego. Obaj byliśmy bliscy płaczu. W naszych grubych głosach kryło się całe dzieciństwo, związane z drużyną pozbawioną jakichkolwiek szans na sukces. Później poszedłem z Tonje do centrum, miasto było pełne trąbiących samochodów i powiewających flag. Obcy ludzie się obściskiwali, zewsząd dobiegały okrzyki i śpiewy, wszyscy wokół biegali podnieceni. Norwegia pokonała Brazylię w decydującym meczu mistrzostw świata i nikt nie wiedział, jak daleko może zajść, może nawet do finału?

Ylva zsunęła się z krzeselka i wzięła mnie za rękę.

– Chodź – powiedziała.

– Karl Ove musi najpierw zjeść – zaprotestował Yngve. – Później, Ylvo.

– Nie, nie, w porządku. – Poszedłem z nią. Zaciągnęła mnie na kanapę, wzięła ze stołu książkę i usiadła. Jej krótkie nóżki nie sięgały nawet do brzegu kanapy.

– Mam czytać? – spytałem.

Kiwnęła głową. Usiadłem obok niej i otworzyłem książkę. To była historia gąsienicy, która wszystko zjadała. Kiedy przeczytałem całą, Ylva szczołgała się z kanapy i przyniosła ze stołu nową książeczkę. Ta opowiadała o myszy, noszącej imię Fredrik, która w przeciwieństwie do wszystkich innych myszy nie gromadziła latem zapasów na zimę, tylko siedziała i marzyła. Inne myszy uważały Fredrika za lenia, ale kiedy nadeszła zima i dookoła zrobiło się biało i mroźno, to właśnie on wniósł w ich życie kolory i światło. Bo Fredrik właśnie to zgromadził, a inne myszy ogromnie tego teraz potrzebowały – kolorów i światła.

Ylva siedziała przy mnie bardzo spokojnie, skoncentrowana, wpatrywała się w kolejne kartki książki, od czasu do czasu pokazywała coś na ilustracji i mówiła, jak to się nazywa. Przyjemnie było tak z nią siedzieć, ale też trochę nudno. Wolałbym być na tarasie za oknem, sam z papierosem i filiżanką kawy.

Na ostatniej stronie zarumieniony Fredrik został przedstawiony jako bohater i wybawca.

– Bardzo ładne i budujące – powiedziałem do Yngvego i Kari Anne, kiedy skończyłem czytać.

– Mieliśmy tę książkę, kiedy byliśmy mali – przypomniał Yngve. – Nie pamiętasz?

– Słabo – skłamałem. – To ta sama?

– Nie, nasza jest u mamy.

Ylva znów podreptała do stosu książeczek. Wstałem po filiżankę, która została na kuchennym stole.

– Najadłeś się? – spytała Kari Anne, podchodząc do zmywarki ze swoim talerzem.

– Tak. Dziękuję. – Spojrzałem na Yngvego. – O której jedziemy?

– Muszę najpierw wziąć prysznic. I trochę się spakować. Może za pół godziny?

– Okej – powiedziałem.

Ylva pogodziła się z tym, że czytanie się skończyło. Przeniosła się do przedpokoju i próbowała włożyć moje buty. Otworzyłem rozsuwane drzwi i wyszedłem na taras. Było pochmurno i ciepło. Krzesła pokrywały delikatne kropelki rosy, wytarłem je ręką, zanim usiadłem. Tak wcześnie nigdy nie wstawałem, zwykle moje poranki zaczynały się dopiero koło jedenastej, dwunastej, pierwszej; wszystko to, co teraz chłonęły moje zmysły, przypominało mi letnie poranki w dzieciństwie, kiedy o wpół do siódmej wyruszałem rowerem do pracy u ogrodnika. Niebo zazwyczaj było zamglone, droga, którą jechałem – pusta i szara, powietrze płynące ku mnie – chłodne, trudno więc było sobie wyobrazić, że nad pole, nad którym mieliśmy się później pochylać, nadciągnie spiekota i podczas przerwy na lunch będziemy gnać jak wariaci nad jezioro Gjerstadvannet, żeby zdążyć się wykapać przed powrotem do pracy.

Wypiłem łyk kawy i zapaliłem papierosa. Nie napawałem się jej smakiem ani dymem wypełniającym płuca, prawie ich nie zauważałem, chodziło o to, by mieć owe czynności za sobą, były rutynowe i jak zawsze bywa z podobnymi czynnościami, wszystko zawierało się w formie.

Ależ ja w dzieciństwie nienawidziłem zapachu papierosów! Te wycieczki samochodowe na lepiącym się tylnym siedzeniu, z dwojgiem buchających dymem rodziców z przodu. Ten dym sączący się rano z kuchni przez szparę w drzwiach do mojego pokoju; dostawałem drgawek, kiedy wypełniał moje uśpione nozdrza; nieprzyjemne wrażenie powtarzało się codziennie, dopóki sam nie zacząłem palić i nie uodporniłem się na ten zapach.

Wyjątkiem był okres, kiedy tata palił fajkę.

Kiedy to mogło być?

Cała ta skomplikowana procedura związana z wytrząsaniem starego, spalonego na czarno tytoniu, czyszczenie fajki białymi, giętkimi wyciorami, nakładanie nowego tytoniu, rozpalanie przy wtórce cmokania, zapalka, cmok, kolejna zapalka, cmok, cmok, a potem odchylić się, założyć nogę na nogę i pykać fajkę. Dziwne, ale ta fajka kojarzyła mi się z jego częstym przebywaniem na świeżym powietrzu. Robione na drutach swetry, anorak, mocne buty, broda, fajka. Długie wycieczki w głąb lądu, połączone ze zbieraniem leśnych owoców na zimę, czasem w góry w poszukiwaniu moroszek, tych królowych wszystkich jagód, ale najczęściej w głąb lasu, od drogi, przy której parkował samochód, z grabkami do zbierania owoców w jednej ręce, wiaderkiem w drugiej, rozglądanie się za jagodziami i krzaczkami borówek. Odpoczynek w miejscach przeznaczonych do biwakowania nad rzekami albo na wzgórzach z widokiem. Czasami na skale nad brzegiem strumienia, kiedy indziej na zwalonym pniu w sosnowym lesie. Hamowanie, kiedy przy drodze pojawiały się krzaki malin. Wskakiwaliśmy z wiaderkami, bo to była Norwegia lat siedemdziesiątych, w weekendy rodziny zatrzymywały się przy drodze i zbierały maliny do wyciąganych z bagażnika wielkich prostokątnych toreb do mrożenia, w które wcześniej zapakowany był prowiant. Również w tamtym okresie tata łowił ryby, jeździł na przeciwległy kraniec wyspy, od strony otwartego morza, sam po szkole albo z nami w weekendy, i czatował na wielkie dorsze, które pojawiały się w tych wodach zimą. To były lata 1974, 1975. Wprawdzie moi rodzice nie mieli styczności z rewoltą sześćdziesiątego ósmego roku, urodziło im się przecież dziecko, kiedy mieli po dwadzieścia lat, i pracowali, a poza tym ideologicznie ten ruch był mojemu ojcu obcy, jednak on też nie pozostał obojętny na ducha czasów, kiedy więc widziało się go z fajką w ręku – brodatego, chociaż nie długowłosego, ale w każdym razie gęstowłosego, w wydzierganym na drutach swetrze i dzinsach z rozszerzanymi nogawkami, z roześmianymi jasnymi oczami – można go było wziąć za jednego z tych miękkich ojców, którzy w tamtym czasie zaczęli się pojawiać i dochodzić do głosu, tych, którym nieobce było pchanie dzieciennego wózka, zmienianie pieluch, zabawa z dziećmi na podłodze. Jednak nic bardziej mylnego. W rzeczywistości łączyła go z nimi tylko fajka.

O, tato, umarłeś mi teraz?

Z otwartego okna na piętrze dobiegł nagle płacz. Odwróciłem głowę. W kuchni Kari Anne, opróżniająca zmywarę, odstawiła dwie szklanki na blat i pobiegła w stronę schodów. Ylva, pchająca wózek z lalką, poczłapała za nią. Chwilę później usłyszałem przez okno łagodny, pocieszający głos i płacz na górze ucichł. Wstałem, otworzyłem drzwi i wszedłem do domu. Ylva stała przy bramce blokującej wejście na schody z zadartą głową. Zaszumiało w rurach.

– Wziąć cię na barana? – spytałem.

– Tak.

Nachyliłem się i posadziłem ją sobie na ramionach, mocno chwyciłem za łydki i kilka

razy przebiegłem między salonem a kuchnią, rżąc jak koń. Ylva się zaśmiewała, a za każdym razem, kiedy zatrzymywałem się i nachylałem, jakbym chciał ją zrzucić, głośno krzyczała. Po kilku minutach miałem już dość, ale dla porządku jeszcze przez chwilę kontynuowałem zabawę, po czym kucnąłem i zszedłem ją z ramion.

– Jeszcze! – zażądała.

– Kiedy indziej – powiedziałem, wyglądając przez okno na drogę, gdzie akurat zjechał na bok i zatrzymał się autobus, żeby zabrać niewielką grupę jadących do pracy pasażerów z bloków.

– Teraz – upierała się Ylva. Spojrzałem na nią z uśmiechem.

– Okej. No to jeszcze raz. – Znow ją podniosłem, przebiegłem tam i z powrotem, zatrzymałem się, udałem, że ją zrzucam, zarżałem. Na szczęście chwilę później zszedł Yngve, więc koniec zabawy nastąpił w sposób naturalny.

– Jesteś gotowy? – spytał.

Miał mokre włosy, a policzki gładkie po goleniu. W ręku trzymał starą, niebiesko-czerwoną torbę Adidas, którą miał od czasów licealnych.

– Jasne.

– Kari Anne na górze?

– Tak, Torje się obudził.

– No, to tylko zapalę i możemy wychodzić – powiedział Yngve. – Przypilnujesz Ylvy przez chwilę?

Kiwnąłem głową. Na szczęście wyglądało na to, że Ylva sama się sobą zajęła, mogłem więc usiąść na kanapie i przejrzeć jeden z magazynów. Ale recenzje płyt i wywiady z zespołami jakoś do mnie nie docierały, więc odłożyłem czasopismo i sięgnąłem po gitarę Yngvego, stojącą na stojaku przy kanapie, przed wzmacniaczem i skrzynką z longplayami. To był czarny fender telecaster, stosunkowo nowy, natomiast wzmacniacz lampowy to stary music man. Yngve miał jeszcze gitarę marki Hagström, ale stała w biurze. Zagrałem odruchowo kilka akordów, początek *Space Oddity* Bowiego, zacząłem cicho śpiewać. Sam nie miałem już gitary, po latach grania nie wyszedłem poza podstawy, których nauczenie się średnio zdolnemu czternastolatki zajęłoby miesiąc. Ale przynajmniej perkusja, za którą pięć lat wcześniej zapłaciłem bająnskie sumy, stała na strychu, i po powrocie do Bergen znow mogłem zacząć jej używać.

Tu powinno się raczej grać melodię z *Pippi Langstrumpf*, pomyślałem.

Odstawiłem gitarę i właśnie znow sięgnąłem po magazyn o starym rocku, kiedy Kari Anne zeszła na dół z Torjem na ręku. Chłopczyk uśmiechał się od ucha do ucha, mając nogami. Podszedłem do nich, nachyliłem się i krzyknąłem: buuuu! Było to dla mnie całkowicie obce i nienaturalne, nagle poczułem się głupio, ale dla Torjega najwyraźniej nie miało to żadnego znaczenia, bo zaniósł się śmiechem aż do czkawki, a kiedy przestał się śmiać, popatrzył na mnie z wyczekiwaniem, najwyraźniej miał ochotę na więcej.

- Buuuuu!
- Iicha, iicha, iicha!

Nie wszystkie rytuały są ceremonialne, nie wszystkie mają wyraźną granicę, istnieją takie, które nabierają kształtu wśród codzienności i pozwalają się rozpoznać poprzez ten ciężar i emocjonalny ładunek, jaki nagle uzyskuje coś, co jest zwyczajne. Kiedy tego dnia rano wyszedłem przed dom i ruszyłem za Yngvem do samochodu, przez chwilę czułem się tak, jakbym wkraczał w jakąś większą historię niż moja własna. Synowie jadą do domu pochować ojca. Właśnie w środku tej historii nagle się znalazłem, kiedy stanąłem przy drzwiach po stronie pasażera; w tym czasie Yngve otwierał bagażnik i wkładał do środka torbę, a Kari Anne, Ylva i Torje żegnali nas, stojąc w progu. Niebo było szarobiałe i łagodne, w dzielnicy panowała cisza. Krótki trzask klapy bagażnika, który odbił się od ściany domu po drugiej stronie ulicy, zabrzmiał niemal natrętnie, ostro i wyraźnie. Yngve usiadł za kierownicą, wychylił się i otworzył mi drzwi. Pomachałem Kari Anne i dzieciom, wcisnąłem się na siedzenie i zamknąłem drzwiczki. Odmachali mi. Yngve włączył silnik, objął ramieniem oparcie mojego fotela i zaczął cofać, jednocześnie skręcając w prawo, potem też im pomachał i ruszyliśmy drogą. Oparłem się.

- Śpiący jesteś? – spytał Yngve. – Możesz spać, jeżeli chcesz.
- Na pewno?
- Jasne. Pod warunkiem, że pozwolisz mi puścić muzykę.

Kiwnąłem głową i zamknąłem oczy. Usłyszałem, jak włącza odtwarzacz CD, szuka płyty na półce pod deską rozdzielczą. Cichy warkot silnika. Potem płyta się wsunęła i zaraz zabrzmiało coś w rodzaju folkowego tria mandolin.

- Co to jest? – spytałem.
- Sixteen Horsepower – odparł Yngve. – Podoba ci się?
- Brzmi niezłe – powiedziałem i znów zamknąłem oczy. Poczucie udziału w wielkiej historii zniknęło. Nie byliśmy dwoma synami, byliśmy Yngvem i Karlem Ovem, nie jechaliśmy do domu, tylko do Kristiansand, nie ojca mieliśmy pochować, tylko tatę.

Nie byłem śpiący i wiedziałem, że nie zasnę, ale przyjemnie mi się siedziało, głównie dlatego, że nie wiązało się to z żadnymi wymaganiami. Kiedy dorastaliśmy, Yngve był osobą, z którą rozmawiałem bez żadnych zahamowań i przed którą nie miałem tajemnic, ale w jakimś momencie, może już wtedy kiedy chodziłem do liceum, to się zmieniło, od tamtej pory miałem pełną świadomość, kim jest on i kim jestem ja, i przestałem z nim rozmawiać w sposób naturalny, każda moja wypowiedź była albo zaplanowana wcześniej, albo analizowana później, najczęściej jedno i drugie, chyba że piłem – wtedy odzyskiwałem dawną swobodę. Z wyjątkiem Tonje i mojej matki, miałem taki stosunek do wszystkich ludzi, nie potrafiłem zwyczajnie z nimi rozmawiać, zawsze byłem boleśnie świadomy sytuacji, a to stwarzało dystans. Czy Yngve też coś podobnego odczuwał, nie wiedziałem,

ale chyba raczej nie, w każdym razie nie wyglądało na to, kiedy widziałem go z innymi. Nie wiedziałem też, czy on zdaje sobie sprawę, że tak ze mną jest, ale coś mi mówiło, że owszem. Często czułem, że jestem fałszywy albo nieszczerzy, ponieważ nigdy nie grałem w otwarte karty, zawsze kalkulowałem i obliczałem. W końcu przestało mi to przeszkadzać, stało się moim życiem, lecz akurat teraz, na początku długiej podróży samochodem, po śmierci taty i w ogóle, zapragnąłem oderwać się od siebie, a raczej od tego czegoś we mnie, co tak bacznie pilnowało każdego słowa i zachowania.

Pierdolone gówno.

Nachyliłem się i przejrzałem płyty Yngvego. Massive Attack, Portishead, Blur, Leftfield, Bowie, Supergrass, Mercury Rev, Queen.

Queen?

Lubił ich prawie od dziecka, zawsze się tego trzymał i w każdej chwili był gotów ich bronić. Pamiętam, jak siedział w swoim pokoju i nuta po nucie odtwarzał jedną z solówek Briana Maya na swojej nowej gitarze, kopii czarnej Les Paul, kupionej za pieniądze, które otrzymał w prezencie na konfirmację, pamiętam też, że w tym czasie dostawał pocztą magazyn dla członków fanklubu grupy Queen. Wciąż czekał, że świat w końcu pójdzie po rozum do głowy i odda tej kapeli, co jej się należy.

Uśmiechnąłem się.

Kiedy Freddie Mercury umarł, szokowało ujawnienie nie tego, że był homoseksualistą, ale tego, że był Hindusem.

Kto mógł sobie coś takiego wyobrazić?

Zabudowa stawała się coraz rzadsza, ruch w drugą stronę na pewien czas się wzmógł, bo zbliżała się pora porannego szczytu, ale znów zaczął maleć, w miarę jak dojeżdżaliśmy do pustkowi między miastami. Mijaliśmy rozległe, żółte łąny zboża, jakąś wielką plantację truskawek, kilka splechotków zielonych pastwisk i świeżo zaorane pola z ciemnobrunatną, prawie czarną ziemią. Od czasu do czasu jakiś lasek, wioski, niewielka rzeczka, jezioro. Potem krajobraz zmienił charakter i stał się niemal wysokogórski – zielone, pozbawione drzew, nieuprawiane przestrzenie. Yngve zjechał na stację benzynową, napełnił bak, zajrzał przez okno do samochodu i spytał, czy mam na coś ochotę. Pokręciłem głową, ale kiedy wrócił, i tak podał mi butelkę coli i batonik Bounty.

– Zapalimy? – spytał.

Skinąłem głową i wysiadłem. Podeszliśmy do ławki na skraju placu. Płynął za nią strumyk, kawałek dalej był most, po którym biegła droga. Przejechał motocykl, po nim tir, później jeszcze jeden.

– Co właściwie powiedziała mama? – spytałem.

– Niewiele – odparł Yngve. – Ona przecież potrzebuje czasu na przemyślenie różnych rzeczy. Ale się zasmuciła. Przypuszczam, że myśli głównie o nas.

– Dzisiaj miał być pogrzeb Borghild – przypomniałem.

– No tak.

Od zachodu na stację wjechał tir, zaparkował z jękiem na drugim końcu placu, z szoferki wyskoczył mężczyzna w średnim wieku i idąc w stronę wejścia do budynku, przyklepał do czaszki rozwiane na wietrze włosy.

– Kiedy ostatnio widziałem tatę, powiedział, że zastanawia się, czy nie zacząć pracować jako kierowca ciężarówek – uśmiechnąłem się.

– Tak? – zdziwił się Yngve. – Kiedy to było?

– Zimą, no, półtora roku temu. Byłem wtedy w Kristiansand i pisałem. – Otworzyłem butelkę i wypilem łyk. – A ty kiedy go widziałeś ostatnio? – Wierzchem dłoni wytarłem usta.

Yngve zapatrzył się na równinę po drugiej stronie drogi i dwa razy zaciągnął się dymem z prawie już wypalonego papierosa.

– To musiało być na confirmacji Egila. W maju zeszłego roku. Ale ty przecież też wtedy byłeś.

– Cholera, rzeczywiście. To był ostatni raz. – Ale czy na pewno? Nagle nic już nie wiedziałem.

Yngve spuścił stopę z ławki na ziemię, zakręcił butelkę i ruszył w stronę samochodu, akurat w chwili gdy kierowca ciężarówki wyszedł z budynku z gazetą pod pachą i hot dogiem w ręku. Rzuciłem tłący się niedopałek na asfalt i pospieszyłem za Yngvem. Kiedy dotarłem do samochodu, silnik już warczał.

– No tak – powiedział Yngve. – Zostały nam jeszcze mniej więcej dwie godziny jazdy. Zjemy coś dopiero na miejscu, prawda?

– Dobrze.

– Masz ochotę posłuchać czegoś konkretnego?

Zatrzymał się przy zjeździe, kilka razy obejrzał się w prawo i w lewo, zjechaliśmy na szosę, samochód przyspieszył.

– Nie – odparłem. – Ty zdecyduj.

Stało na Supergrass. Ten ich album kupiłem w Barcelonie, dokąd pojechałem razem z Tonje na coś w rodzaju seminarium dla europejskich lokalnych rozgłośni radiowych. Wcześniej oglądaliśmy ich na żywo, a później słuchałem tej płyty na zmianę z paroma innymi, pisząc powieść. Nagle ogarnął mnie nastrój tamtego roku. Zaskoczony pomyślałem, że to już się stało wspomnieniem. Już się stało tamtym czasem, kiedy siedziałem w Voldzie i na okrągło przez całą dobę pisałem, zostawiwszy Tonje na pastwę losu.

„Nigdy więcej”, powiedziała pierwszego wieczoru, kiedy siedzieliśmy w nowym mieszkaniu w Bergen, a następnego dnia wybieraliśmy się na wakacje do Turcji. „Inaczej od ciebie odejdę”.

– Prawdę mówiąc, widziałem go później jeszcze raz – odezwał się Yngve. – Zeszłego roku latem, kiedy byłem w Kristiansand z Bendikiem i Atlem. Siedział na ławce pod kioskiem przy Rundingen, no wiesz, a my akurat tamtędy przejeżdżaliśmy. „Wygląda na niezłego spryciarza”, stwierdził Bendik, kiedy go zobaczył. No i miał rację.

– Biedny tata – westchnąłem.

Yngve spojrzął na mnie.

– Jeżeli kogoś w ogóle mi nie żal, to właśnie jego – stwierdził.

– Wiem. Ale rozumiesz, o co mi chodzi.

Nie odpowiedział. Milczenie, które przez kilka sekund było bliskie wybuchu, zmieniło się w zwyczajne milczenie. Patrzyłem na krajobraz za oknem, jałowy i wysmagany wiatrem, tak blisko morza. Tu i ówdzie pomalowana na czerwono stodoła, tu i ówdzie pomalowany na biało dom mieszkalny. Tu i ówdzie jakiś traktor z maszyną do zbierania siana na polu. Stary samochód bez kół na podwórzu, żółta plastikowa piłka zdmuchnięta pod żywopłot, kilka owiec pasących się na zboczu. Pociąg sunący wolno po nasypie w odległości kilkuset metrów od drogi.

Zawsze się domyślałem, że mamy różny stosunek do taty. Te różnice nie były duże, ale chyba znaczące. Co zresztą mogłem wiedzieć? Przez pewien czas tata próbował się do mnie zbliżyć, dobrze to pamiętam, to było w tym roku, kiedy mama doksztalcała się w Oslo i miała praktyki w Modum, a my mieszkaliśmy razem z nim. Wyglądało na to, że tata zrezygnował z Yngvego, który miał już czternaście lat, ale wciąż nie porzucił nadziei, że zdoła dotrzeć do mnie. W każdym razie codziennie po południu musiałem dotrzymywać mu towarzystwa w kuchni, kiedy gotował obiad. Siedziałem na krześle, a on smażył coś na kuchence i wypytywał mnie o różne rzeczy. Co ciekawego mówiła pani, czego nauczyliśmy się na angielskim, co mam zamiar robić po obiedzie, czy wiem, jakie drużyny spotykają się w sobotę na meczu ligowym. Odpowiadałem krótko, cały czas się wiercąc. Również tej zimy zabierał mnie na narty. Yngve mógł robić, co chciał, byle tylko mówił, dokąd idzie, i wracał do domu o wpół do dziesiątej. Pamiętam, że mu tego zazdrościłem. Ten okres zbliżania się taty do mnie rozciągnął się zresztą poza ten rok nieobecności mamy, bo następnej jesieni rano przed szkołą tata zabierał mnie na ryby; wstawaliśmy o szóstej, na

dworze było ciemno jak w grobie i zimno, zwłaszcza na morzu. Marzłem i chciałem wracać do domu, ale to tata mnie zabierał, więc nie miały sensu skargi, ani nawet mówienie czegokolwiek, chodziło tylko o to, żeby wytrzymać. Dwie godziny później wracaliśmy, akurat w porę, żebym zdążył na szkolny autobus. Nienawidziłem tych wypraw. Zawsze marzłem, morze było przecież lodowate, no i to ja wyławiałem boję i wyciągałem pierwsze długości sieci, bo on w tym czasie sterował łodzią, a jeśli nie złapałem boi, krzychał na mnie, co było raczej regułą niż wyjątkiem, ja zaś z płaczem próbowałem złapać tę cholerną boję, kiedy on pływał tam i z powrotem w jesiennym półmroku przy wyspie, wpatrując się we mnie tym swoim dzikim spojrzeniem. Ale wiem, że robił to dla mnie i że nigdy nie zrobił tego dla mojego brata.

Wiem również, że przez pierwsze cztery lata życia Yngvego, kiedy mieszkali na Thereses gate w Oslo i tata studiował na uniwersytecie, pracując jednocześnie jako nocny portier, mama uczyła się w szkole pielęgniarstwa, a Yngve był w przedszkolu, żyło im się dobrze, może nawet szczęśliwie. Wiem, że tata był zadowolony i cieszył się z Yngvego. Kiedy ja się urodziłem, przenieśliśmy się na wyspę Tromøya, najpierw do starego, pierwotnie należącego do wojska domu w Hove, w lesie tuż nad morzem, a następnie do domku na osiedlu w Tybakken; z tamtych czasów słyszałem tylko historię o tym, jak spadłem ze schodów i doszło u mnie do hiperwentylacji, aż do omdlenia, a mama wzięła mnie na ręce i pobiegła do sąsiadów, żeby zadzwonić do szpitala, bo coraz bardziej siniałem na twarzy, i jeszcze jedną opowieść – o tym, jak wrzeszczałem, aż ojciec w końcu wsadził mnie do wanny i oblał lodowatą wodą, żeby mnie uciszyć. Mama, która opowiadała mi o tym incydencie, nakryła nas wtedy i postawiła tacie ultimatum: jeszcze raz coś podobnego, a od niego odejdzie. To się już nie powtórzyło, a ona została.

Wprawdzie tata próbował się do mnie zbliżyć, ale to wcale nie oznaczało, że mnie nie bił ani nie krzychał z wściekłości, albo nie wynajdował najbardziej wyrafinowanych metod karania, lecz przez to jego obraz, który się we mnie wykształcił, nie był jednoznaczny, w przeciwieństwie do Yngvego, który widział go inaczej. Yngve nienawidził go bardziej i to było prostsze. Co poza tym do niego czuł, nie wiedziałem. Trudno mi było sobie wyobrazić, że pewnego dnia któryś z nas będzie miał dziecko. Kiedy Yngve mi powiedział, że Kari Anne jest w ciąży, natychmiast zacząłem się zastanawiać nad tym, jakim będzie ojcem. Czy to, co tata nam przekazał, przeniknęło nas aż do szpiku kości, czy też możliwe będzie oderwanie się od tego, może nawet w prosty sposób? Yngve stał się dla mnie czymś w rodzaju papierka lakmusowego: jeśli jemu się powiedzie, to mnie również się uda. I udało się. Yngve jako ojciec nie miał w sobie nic z taty, zachowywał się zupełnie inaczej, w sposób zintegrowany z resztą swojego życia. Nigdy nie odrzucał dzieci, zawsze poświęcał im czas, kiedy do niego przychodziły albo kiedy wymagała tego sytuacja, ale też i nigdy ich nie zawłaszczał, nie szukał w nich kompensacji własnych niedostatków bądź tego, czego brakowało mu w życiu. Z Ylvą, kiedy na przykład kopała, wierzgała nogami i wyła, odmawiając ubrania się, radził sobie z łatwością. Spędził z nią w domu pół roku i

bliskość, jaka ich wtedy połączyła, wciąż się utrzymywała. Innych przykładów ojców, do których mógłbym się ustosunkować, nie miałem, tylko Yngvego i tatę.

Krajobraz wokół nas znów się zmienił, teraz jechaliśmy przez lasy. Sørlandzkie lasy, nagie skały rozrzucone tu i ówdzie wśród drzew, wzgórza porośnięte świerkami i dębami, osikami i brzoźami, gdzieniegdzie mroczne bagno, nagle pojawiające się łąki, płaskie piaski gęsto porośnięte sosnami. Kiedy byłem mały, często wyobrażałem sobie, że morze się podnosi i zalewa las, a wzgórza zmieniają się w wysepki, między którymi można pływać łódką i skakać z nich do wody. Ze wszystkich fantazji dzieciństwa ta była najbardziej pociągająca, rzucała na mnie urok: myśl, że wszystko pokryje woda, że można p ły n ą ć tam, gdzie teraz się chodziło, przepływać nad wiatami przystankowymi i dachami domów albo zanurkować i wpłynąć przez drzwi na górę po schodach do salonu, albo po prostu płynąć przez las, wśród zbczy i urwisk, usypisk kamieni i starych drzew. W pewnym momencie dzieciństwa moją ulubioną zabawą było budowanie tamy na strumieniach, tak by woda wzbierała i zalewała mech, korzenie, trawę, kamienie, twardo ubitą ziemię na ścieżce wzdłuż łożyska strumienia. Działo to na mnie hipnotycznie. Nie mówiąc już o odkryciu dokonany przez nas w wieku mniej więcej pięciu lat, o piwnicy w niedokończonym domu, wypełnionej nieruchomą czarną wodą, po której pływali w dwóch styropianowych pudłach. Hipnotyczne. To samo dotyczyło lodu zimą, kiedy jeździliśmy na łyżwach wzdłuż strumienia po przezroczystej tafli, w którą wmarzły trawa, patyki, gałązki i drobne roślinki.

Co tak bardzo mnie w tym nęciło? I gdzie się to podziało?

W innym moim wyobrażeniu z dzieciństwa jechaliśmy samochodem, z którego wystawały dwie ogromne piły, ścinające wszystko po obu stronach drogi. Drzewa i latarnie, domy i szopy, lecz również ludzi i zwierzęta. Jeśli ktoś stał, czekając na autobus, piła przecinała go na dwie części, górna połowa ciała zwała się, mniej więcej tak, jak wali się ścięte drzewo, natomiast nogi i korpus do pasa dalej stały, krwawiąc w punkcie przecięcia.

Z tym wyobrażeniem wciąż mogłem się identyfikować.

– Tam w dole jest Søgne – odezwał się nagle Yngve. – Bez przerwy o tym miejscu słyszę, ale nigdy tam nie byłem. A ty?

Pokręciłem głową. Z Søgne pochodziło kilka dziewczyn w liceum, ale też nigdy mnie tam nie zaniósł.

Zostało nam jeszcze tylko kilkadziesiąt kilometrów.

Wkrótce krajobraz przeszedł w formacje, które mgliście zaczynałem rozpoznawać, stawał się coraz bardziej znajomy, aż w końcu to, co widziałem za oknem, zaczęło być zbieżne z obrazami, które nosiłem w sobie. Miałem wrażenie, jakbyśmy wjeżdżali we wspomnienia. Jakbyśmy się przemieszczali wśród scenografii z czasów młodości. Wjazd do Vågsbygd, gdzie mieszkała Hanne, fabryka lodów Hennig Olsen, rafineria niklu

Falconbridge, ciemna i brudna, otoczona martwymi górami, a dalej na prawo port w Kristiansand z dworcem autobusowym, terminalem promowym, hotelem Caledonien, silosami na Odderøya. Po lewej stronie dzielnica, w której do niedawna mieszkał stryj taty, dopóki demencja nie zawiodła go do domu starców.

– Najpierw zjemy czy idziemy prosto do zakładu pogrzebowego? – spytał Yngve.

– Możemy się w to rzucić od razu – odpowiedziałem. – Wiesz, gdzie to jest?

– Elvegaten ileś tam.

– To musimy znaleźć drogę od góry.

– Orientujesz się, gdzie jest zjazd?

– Nie. Po prostu jedź. Na pewno zauważymy.

Na skrzyżowaniu stanęliśmy na czerwonym świetle, Yngve, pochylony, rozglądał się dookoła. Światło zmieniło się na zielone, wrzucił bieg i powoli ruszył za niedużą ciężarówką z paką nakrytą szarym, brudnym brezentem, wciąż uważnie się rozglądając; ciężarówka przyspieszyła, a Yngve, widząc to, wyprostował się i też dodał gazu.

– To było tam – wskazał na prawo. – Teraz musimy przejechać przez tunel.

– Nic nie szkodzi – powiedziałem. – Po prostu dojedziemy od drugiej strony.

Ale szkodziło. Kiedy wyjechaliśmy z tunelu na most, z drogi zobaczyłem po prawej stronie swoje dawne mieszkanie w domu dziadków, a zaledwie kilkaset metrów dalej, na drugim brzegu rzeki, niewidoczny teraz dla nas, stał dom babci, ten, w którym poprzedniego dnia umarł tata.

On wciąż znajdował się w tym mieście, w jakiejś piwnicy leżało jego ciało, którym zajęli się obcy ludzie, podczas gdy my siedzieliśmy tutaj, w samochodzie jadącym do zakładu pogrzebowego. Patrzyliśmy na ulice, na których dorastał i po których chodził jeszcze kilka dni temu. Jednocześnie wezbrały we mnie wspomnienia związane z tymi ulicami, bo tam dalej było liceum, tam dzielnica willowa, którą przemierzałem codziennie rano i po południu, zakochany aż do bólu, a tam stał dom, w którym tyle czasu spędziłem sam.

Popłakałem się, ale nie było tak źle, jedynie kilka łez spłynęło mi po policzkach. Yngve się nie zorientował, dopóki na mnie nie spojrział. Machnąłem ostrzegawczo ręką i ucieszyłem się, że głos mi się nie załamał, kiedy powiedziałem:

– Skręć tutaj w lewo.

Dojechaliśmy do Torridalsveien, minęliśmy dwa zwirowe boiska, na których tak ostro trenowałem z drużyną seniorów tamtej zimy, kiedy miałem szesnaście lat, minęliśmy Kjøite i dotarliśmy do skrzyżowania przy Østerveien, przejechaliśmy za most, a po drugiej stronie skręciliśmy w prawo w Elvegaten.

– Który to miał być numer? – spytałem.

Yngve, jadąc powoli ulicą, patrzył na numery domów.

– To tutaj – powiedział. – Teraz trzeba znaleźć jakieś miejsce do zaparkowania.

Na fasadzie domu po lewej stronie wisiał czarny szyld ze złotym napisem. To Gunnar podał Yngvemu nazwę zakładu pogrzebowego. Z tego co wiedziałem, rodzina zawsze korzystała z jego usług, również wtedy gdy umarł dziadek. Sam byłem w tym czasie w Afryce z dwumiesięczną wizytą u matki Tonje i jej męża, a wiadomość o śmierci dziadka dotarła do mnie dopiero po pogrzebie. To tata zobowiązał się, że mnie zawiadomi. Nie zrobił tego. Ale na pogrzebie mówił, że ze mną rozmawiał, a ja powiedziałem, że nie mogę przyjechać. Chętnie uczestniczyłbym w tym pogrzebie i nawet jeśli byłoby to trudne, to zapewne nie niemożliwe, a nawet gdyby się takie okazało, to chciałem wiedzieć, że dziadek nie żyje, a nie otrzymać informację o tym trzy tygodnie później, kiedy już leżał w ziemi. Wściekłem się. Ale co mogłem zrobić?

Yngve wjechał w wąską przecznicę i zaparkował przy chodniku; równocześnie rozpięliśmy pasy i równocześnie otworzyliśmy drzwiczki. Popatrzyliśmy na siebie i obaj się uśmiechnęliśmy. Powietrze było ciepłe, ale bardziej duszne niż w Stavanger, niebo odrobinę ciemniejsze. Yngve poszedł do parkometru, ja zapaliłem papierosa. Na pogrzeb babci ze strony mamy też nie dojechałem. Byłem wtedy z Yngvem we Florencji, wybraliśmy się tam pociągiem i zakwaterowaliśmy w przypadkowym pensjonacie, a ponieważ to się działo przed epoką telefonów komórkowych, nie było z nami kontaktu. To Asbjørn powiedział nam, co się stało, wieczorem po naszym powrocie do domu, kiedy piliśmy przywiezioną wódkę. Dlatego jedynym pogrzebem, w jakim uczestniczyłem do tej pory, był pogrzeb dziadka, ojca mamy. Niosłem nawet trumnę, to był ładny pogrzeb, na cmentarzu położonym na wzgórzu nad fiordem, świeciło słońce, popłakałem się, kiedy mama przemawiała w kościele i potem znowu, kiedy było już po wszystkim, dziadek leżał w ziemi, a ona stała nad otwartym grobem ze spuszczoną głową, sama. Trawa była zielona, fiord w dole niebieski i gładki jak lustro, chmury po drugiej stronie ciężkie, mroczne, potężne, a ziemia w grobie czarna, lekko błyszcząca.

Później jedliśmy zupę jarzynową z mięsem. Pięćdziesiąt osób siorbiących i mlaskających, bo nic tak dobrze nie robi na sentymentalizm, jak solone mięso, a na burzę uczuć – gorąca zupa. Magne, ojciec Jona Olava, przemawiał, tak jednak płakał, że prawie nie dało się zrozumieć, co mówił. Jon Olav próbował wygłosić mowę w kościele, ale musiał się poddać, byli sobie z dziadkiem bardzo bliscy i nie zdołał wykrztusić ani słowa.

Zrobiłem kilka kroków na sztywnych nogach, spojrzałem na ulicę, zupełnie wyludnioną, z wyłączeniem samego końca, przy którym biegł handlowy deptak. Z tej odległości wydawał się czarny od ludzi. Dym szarpnął płucami, jak zawsze kiedy dłuższy czas nie paliłem. Mniej więcej pięćdziesiąt metrów dalej zatrzymał się jakiś samochód, wysiadł z niego mężczyzna. Nachylił się i pomachał do tych, którzy zostali w środku. Miał ciemne kręcone włosy, ale jużłysiał, nosił wąskie, prostokątne okulary, był ubrany w jasnobrązowe aksamitne spodnie i czarną marynarkę, miał pewnie koło pięćdziesiątki.

Odwróciłem się, żeby nie zobaczyć mojej twarzy, gdy będzie się zbliżał, ponieważ go

rozpoznałem. To był mój nauczyciel norweskiego z pierwszej klasy liceum. Jak on się nazywał? Fjell? Berg? Wszystko jedno, pomyślałem i znów się odwróciłem, kiedy mnie minął. Był pełnym entuzjazmu, ciepłym człowiekiem, lecz miał w sobie również pewną ostrość; nieczęsto się ujawniała, ale kiedy do tego dochodziło, zawsze myślałem sobie, że jest zły. Teraz uniósł rękę, w której trzymał torbę, żeby spojrzeć na zegarek, przyspieszył i zniknął za rogiem.

– Ja też muszę zapalić – stwierdził Yngve, stając koło mnie.

– Właśnie przechodził mój dawny nauczyciel – powiedziałem.

– Tak? – Yngve zapalił papierosa. – I co, nie poznał cię?

– Nie wiem, odwróciłem się.

Wyrzuciłem niedopałek i zacząłem szukać gumy do żucia w kieszeniach spodni. Wydawało mi się, że gdzieś leżała luzem. I rzeczywiście.

– Mam tylko jedną – powiedziałem. – Na wypadek gdybyś chciał.

– Wierzę ci.

Płacz był gdzieś blisko, czułem to, i kilka razy odetchnąłem głębiej, jednocześnie szeroko otwierając oczy, żeby powstrzymać łzy. Na schodkach na skos od nas siedział pijak, którego wcześniej nie zauważyłem. Głowę opierał o ścianę i wyglądał, jakby spał. Skórę na twarzy miał ciemną, grubą, pokrytą bruzdami. Tłuste włosy przypominały fryzurę rastafarian. Był w zimowej kurtce mimo co najmniej dwudziestu stopni ciepła, obok leżała torba z rupieciami. Na kalenicy nad nim stały trzy mewy. Kiedy zacząłem się w nie wpatrywać, jedna podniosła łepkę i zaskrzeczała.

– No cóż. Atakujemy?

Kiwnąłem głową.

Yngve pstryknięciem wyrzucił peta i ruszyliśmy ulicą.

– Czy my właściwie jesteśmy umówieni? – spytałem.

– Nie, nie jesteśmy. Ale chyba nie będzie aż takiego tłoku.

– Na pewno wszystko będzie okej.

W prześwicie między drzewami zobaczyłem płynącą w dole rzekę, a kiedy wyszliśmy za róg – wszystkie szyldy, wystawy sklepowe i samochody na Dronningens gate. Szary asfalt, szare budynki, szare niebo.

Yngve otworzył drzwi zakładu pogrzebowego i weszliśmy do środka. Szedłem za nim, zamknąłem drzwi, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem coś w rodzaju poczekalni, z kanapą, kilkoma krzesłami i stolikiem pod jedną ścianą, a kontuarem pod drugą. Nikogo za nim nie było, więc Yngve zajrzał do pomieszczenia z tyłu. Lekko zapukał w szkło, a ja stanąłem na środku. Przez uchylone drzwi w krótszej ścianie zobaczyłem przechodzącego mężczyznę w czarnym garniturze. Wyglądał na młodszego ode mnie.

Za kontuarem usiadła kobieta z jasnymi włosami i szerokimi biodrami, dobiegająca

pięćdziesiątki. Yngve coś do niej powiedział, nie słyszałem słów, tylko dźwięk jego głosu.

Odwrócił się.

– Zaraz ktoś przyjdzie – przekazał. – Musimy poczekać pięć minut.

– Czuję się, jakbyśmy szli do dentysty – stwierdziłem, kiedy już usiedliśmy na krzesłach.

– Jeżeli będzie borował, to w duszy – odparł Yngve.

Uśmiechnąłem się. Przypomniałem sobie o gumie do żucia, wyjąłem ją z ust i schowałem w dłoni, rozglądając się za koszem na śmieci. Nigdzie go nie zauważyłem. Oderwałem więc skrawek leżącej na stole gazety, zawinałem gumę i schowałem paczuszkę do kieszeni.

Yngve bębnił palcami w podłokietnik.

Chociaż nie, uczestniczyłem w jeszcze jednym pogrzebie. Jak mogłem o nim zapomnieć? To był pogrzeb młodego człowieka, w kościele panowała histeryczna atmosfera, słychać było płacz, zawodzenie, okrzyki, jęki i szlochy, ale też śmiech i chichot, szło to falami, jeden okrzyk potrafił wywołać kolejną lawinę emocji, rozpętała się tam prawdziwa burza, a wszystko wylewało się z białej trumny pod ołtarzem, w której leżał Kjetil. Zabił się samochodem, nad ranem zasnął za kierownicą, wypadł z drogi i uderzył w ogrodzenie, metalowy pręt przebił mu głowę. Miał osiemnaście lat. Był jednym z tych, których wszyscy lubią, jednym z tych zawsze wesołych, niegroźnych dla nikogo. Kiedy skończyliśmy gimnazjum, poszedł do szkoły zawodowej na ten sam kierunek co Jan Vidar i dlatego jechał tak wcześnie rano, pracę w piekarni zaczynał o czwartej. Gdy pierwszy raz usłyszałem o tym wypadku w radiu, pomyślałem, że to Jan Vidar, i poczułem ulgę, zrozumiawszy, że to jednak nie on, ale też zrobiło mi się smutno, chociaż nie tak jak dziewczynom z naszej dawnej klasy, one kompletnie nie panowały nad uczuciami, wiem o tym, ponieważ po wypadku razem z Janem Vidarem chodziłem po wszystkich, zbierając pieniądze na wieniec od klasy. Niezbyt mi odpowiadała ta rola, czułem się tak, jakbym przez to, co robię, uzurpował sobie prawo do jakiegoś związku z Kjetilem, dlatego starałem się trzymać z boku, usuwać w cień, kiedy jeździłem po wsi z Janem Vidarem, od którego były żaloba, gniew i wyrzuty sumienia.

Dobrze pamiętam Kjetila, w każdej chwili potrafię go sobie przypomnieć, usłyszeć w głowie jego głos, ale w pamięci zostało mi tylko jedno konkretne wydarzenie z tych czterech lat naszej znajomości, w dodatku kompletnie bez znaczenia: ktoś puścił *Our House Madness* na odtwarzaczu w szkolnym autobusie, a Kjetil, który stał obok mnie, śmiał się z szybkiego sposobu śpiewania wokalisty. Nic więcej nie pamiętam. Ale w piwnicy wciąż mam pożyczoną od Kjetila książkę, *ABC egzaminu na prawo jazdy*. Na stronie tytułowej widnieje jego nazwisko, wypisane tym dziecięcym charakterem pisma, jaki mają niemal wszyscy w naszym pokoleniu. Powinienem ją oddać, ale komu? Ta książka była pewnie ostatnią rzeczą, jaką jego rodzice chcieliby ujrzeć na oczy.

Szkołę, do której chodziliśmy obaj z Janem Vidarem, od miejsca, w którym teraz

czekałem z Yngvem, dzielił zaledwie kwartał. Z wyjątkiem kilku tygodni dwa lata wcześniej, nie byłem w Kristiansand od tamtej pory. Rok w północnej Norwegii, pół roku na Islandii, prawie pół roku w Anglii, rok w Voldzie, dziewięć lat w Bergen. I oprócz Bassena, z którym wciąż sporadycznie się spotykałem, nie miałem już żadnego kontaktu z nikim z czasów, kiedy tu mieszkałem. Moim najstarszym przyjacielem był Espen Stueland, którego poznałem, gdy studiowałem na podstawowym kursie literaturoznawstwa w Bergen dziesięć lat wcześniej. Nie był to żaden świadomy wybór, po prostu tak się stało. Dla mnie Kristiansand było jak zatopione miasto. Niemal wszyscy moi dawni znajomi wciąż tu mieszkali, tak mi mówił rozum, ale nie uczucia, ponieważ dla mnie czas w Kristiansand skończył się latem tamtego roku, gdy po liceum wyjechałem stąd na dobre.

Mucha, brzęcząca na szybie, odkąd weszliśmy do zakładu pogrzebowego, nagle wyleciała na środek pomieszczenia. Śledziłem wzrokiem, jak krąży pod sufitem, siada na żółtej ścianie, znów wlatuje i zatacza niewielki łuk wokół nas, aż w końcu ląduje na podłokietniku, w który przestał bębnić Yngve. Kilka razy skrzyżowała przednie nogi, jakby coś z nich strząsała, po czym zrobiła parę kroków do przodu, podskoczyła w powietrzu, trzepocząc skrzydłami, i opadła na rękę Yngvego, który oczywiście nią szarpnął, mucha zaś odleciała i zaczęła kursować przed nami tam i z powrotem, niemal tak, jakby coś ją dręczyło. W końcu znów usiadła na oknie i zaczęła po nim łązić, zdezorientowana.

– Właściwie nie rozmawialiśmy o tym, w jaki sposób go pochowamy – powiedział Yngve. – Zastanawiałeś się nad tym?

– Chodzi ci o to, czy pogrzeb ma być kościelny, czy świecki?

– Na przykład.

– Nie, nie zastanawiałem się. Musimy teraz o tym zdecydować?

– Może jeszcze nie teraz, ale chyba niedługo.

Znów mignął mi przed oczami tamten młody mężczyzna w garniturze, przechodzący za uchylonymi drzwiami. Przyszło mi do głowy, że może trzymają tu zwłoki. Może to tutaj zabierają zmarłych, żeby ich przygotować. Gdzie indziej mieliby to robić?

Ktoś nagle jakby wyczuł moją myśl, bo drzwi się zamknęły. Mogłoby się wydawać, że drzwi tutaj są podłączone do jakiegoś tajemniczego systemu, bo w tej samej chwili nagle otwarły się te naprzeciwko nas. Pojawił się w nich gruby, pewnie sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna, nienagannie ubrany w ciemny garnitur i białą koszulę.

– Knausgård? – spytał, patrząc na nas.

Kiwnęliśmy głowami i wstaliśmy. Przedstawił się i po kolei uścisnął nam dłonie.

– Proszę za mną – powiedział.

Poszliśmy za nim do biura, dość dużego, z oknami wychodzącymi na ulicę. Wskazał nam dwa stojące przy biurku krzesła z ciemnego drewna, z siedzeniami z czarnej skóry. Sam usiadł za dużym, również ciemnym biurkiem. Z lewej strony leżała na nim tacka na dokumenty, z rodzaju tych kilkupoziomowych, obok stał telefon, poza tym blat był pusty.

Chociaż nie całkiem, bo po naszej stronie przy samym brzegu znajdowało się jeszcze pudełko jednorazowych chusteczek. Cóż, bardzo praktyczny pomysł, ale jakże cyniczny. Gdy patrzyło się na to pudełko, przed oczami stawali ci wszyscy ludzie, którzy byli tutaj tego dnia i płakali. Człowiek od razu rozumiał, że jego żałoba nie jest wyjątkowa, unikatowa, a przez to też zbyt cenna. Pudełko z chusteczkami było znakiem, że płacz również uległ inflacji, podobnie jak zmarli.

Spojrzał na nas.

– Czym mogę służyć? – spytał. Opalony fałd skóry pod brodą zwisał na biały kołnierzyk koszuli. Siwe włosy były starannie przyczesane, policzki i podbródek pokrywał cień. Czarny krawat nie zwieszał się, tylko leżał na łuku napęczniałego brzucha. Mężczyzna był gruby, ale jednocześnie nabity, nic w nim się nie rozplątywało, wyglądał poprawnie, to chyba właściwe słowo, a przez to zapewniał spokój i bezpieczeństwo. Polubiłem go.

– Wczoraj umarł nasz ojciec – powiedział Yngve. – Zastanawialiśmy się, czy możecie się zająć sprawami praktycznymi. Pogrzebem i tak dalej.

– Oczywiście – odparł przedsiębiorca pogrzebowy. – Wobec tego zacznę od wypełnienia formularza.

Otworzył szufladę biurka i wyjął jakiś papier.

– Korzystaliśmy z waszych usług, kiedy umarł nasz dziadek, mamy same dobre doświadczenia – dodał Yngve.

– Pamiętam. Był rewidentem, prawda? Dobrze go znałem. – Sięgnął po długopis leżący obok telefonu, podniósł głowę i popatrzył na nas. – Muszę jednak otrzymać od panów kilka informacji. Jak się nazywał panów ojciec?

Podaliśmy dane. Dziwnie się poczułem. Nie dlatego, że tata nie żył, tylko dlatego, że od tylu lat nie wypowiadałem jego imienia i nazwiska.

Yngve spojrzał na mnie.

– Nie, nie – zaprzeczył delikatnie. – Przecież on kilka lat temu zmienił nazwisko.

– Ojej, zapomniałem. No tak, oczywiście.

Zmienił je na takie idiotyczne nazwisko.

Jakim on był idiotą.

Spuściłem głowę i kilka razy zamrugałem.

– Znają panowie jego numer identyfikacyjny? – spytał przedsiębiorca pogrzebowy.

– Nie cały – odparł Yngve. – Przykro mi. Ale urodził się siedemnastego kwietnia 1944 roku. Pozostałe cyfry możemy sprawdzić później, jeżeli to konieczne.

– W porządku. Adres?

Yngve podał adres babci. Potem zerknął na mnie.

– Ale nie mamy pewności, czy tam był zameldowany. Umarł u swojej matki, tam ostatnio mieszkał.

– Sprawdzimy. Poproszę o panów nazwiska. I jakiś numer telefonu, pod którym będę mógł się kontaktować.

– Karl Ove Knausgård – powiedziałem.

– I Yngve Knausgård. – Brat podał numer swojej komórki.

Mężczyzna zapisał, odłożył długopis i znów na nas popatrzył.

– Zdążyli panowie zastanowić się już nad pogrzebem? Jaki termin panom odpowiada? I jaka miałyby być forma?

– Nie, jeszcze o tym nie myśleliśmy – przyznał Yngve. – Ale chyba zwykle pogrzeb odbywa się tydzień po śmierci.

– Owszem, zwykle tak. Może więc przyszły piątek, czy to panom pasuje?

– Tak – powiedział Yngve, patrząc na mnie. – Co ty na to?

– Piątek jest okej.

– Wobec tego wstępnie tak ustalamy. Jeśli chodzi o sprawy praktyczne, to możemy się jeszcze spotkać, prawda? Ale skoro pogrzeb ma się odbyć w piątek, to powinniśmy się zobaczyć na początku przyszłego tygodnia. Może nawet w poniedziałek. Czy to panom odpowiada?

– Tak – zgodził się Yngve. – Możemy się umówić rano?

– Oczywiście. O dziewiątej?

– Dziewiąta będzie dobra.

Przedsiębiorca pogrzebowy zapisał to w jakiejś księdze. Kiedy skończył, wstał.

– Zajmiemy się wszystkim. Gdyby panowie chcieli o coś spytać, proszę dzwonić bez względu na porę. Po południu wyjeżdżam na działkę i zostanę tam przez cały weekend, ale zabieram ze sobą komórkę, więc proszę nie mieć oporów przed telefonowaniem. A widzimy się w poniedziałek.

Wyciągnął rękę. Uścisnęliśmy ją po kolei i wyszliśmy z biura, on z krótkim uśmiechem jeszcze skinął nam głową i zamknął drzwi.

Kiedy ruszyliśmy ulicą do samochodu, coś się zmieniło. Wszystko wokół mnie, całe otoczenie przestało być wyraźne, jakby gdzieś się odsunęło, jakby koło mnie wytworzyła się strefa, z której usunięto wszelki sens. Świat się zapadł, tak to odczuwałem, ale wcale się tym nie przejąłem, bo umarł tata. Biuro zakładu pogrzebowego ze wszystkimi szczegółami pozostawało w mojej świadomości w pełni żywe i wyraźne, natomiast widok miasta poza nim był mglisty i szary, był czymś, przez co szedłem, ponieważ musiałem. Moje myśli się nie odmieniły, moje wnętrze pozostało niezmienione, jedyna różnica polegała na tym, że teraz wymagało więcej miejsca i przez to odsuwało od siebie zewnętrzną rzeczywistość. W żaden inny sposób nie potrafiłem tego wyjaśnić.

Yngve nachylił się, żeby otworzyć drzwiczki samochodu. Zauważyłem białą wstążkę, którą owinięty był bagażnik na dachu, błyszcząca, przypominająca takie, jakimi obwiązuje

się prezenty, ale to chyba było niemożliwe? Yngve otworzył mi, wsiadłem.

– Gładko poszło – rzuciłem.

– Tak – potwierdził. – Jedziemy do babci?

– Jedziemy.

Zamrugał kierunkowskazem, zjechał na jezdnię, skręcił w pierwszą ulicę w lewo, potem znów w lewo w Dronningens gate i wkrótce zobaczyliśmy z mostu dom dziadków, żółty, jakby królujący na wzgórzu nad niewielką mariną i basenem portowym. Pojechaliśmy Kuholmsveien i skręciliśmy w małą uliczkę, tak ciasną, że trzeba było zjechać kawałek ze wzgórza, a następnie wycofać się na ścieżkę dla pieszych, żeby dało się podjechać i zaparkować przy schodach do domu. W okresie dorastania może ze sto razy widziałem, jak ojciec wykonywał ten manewr, i myśl, że Yngve zrobił dokładnie to samo, przesunęła płacz na sam skraj świadomości; jedynie ostre szarpnięcie rozumu powstrzymało kolejny wybuch.

Kiedy podjechaliśmy pod górkę, ze schodów zerwały się dwie duże mewy. Placyk przed drzwiami do garażu był zasypany workami i torbami pełnymi śmieci, właśnie wśród nich urzędowały mewy, w poszukiwaniu czegoś do jedzenia powyciągały i porzrzucały naokoło plastikowe opakowania.

Yngve zgasił silnik, ale nie wysiadał. Ja też się nie ruszyłem. Ogród kompletnie zarósł. Trawa po kolana jak na łące, szarozółta, w kilku miejscach przybita deszczem do ziemi. Wdarła się wszędzie, pokryła wszystkie rabaty, kwiatów bym nie zauważył, gdybym nie wiedział, gdzie są, bo tylko tu i ówdzie dawało się dostrzec przebłysk koloru. Przy żywopłocie leżała przewrócona na bok zardzewiała taczka, wyglądała na wrośniętą w ten gąszcz. Ziemia pod drzewami zbrązowiała od zgniłych gruszek i śliwek. Wszędzie widać było mleczce, wyrosło też kilka małych drzewek. Wyglądało to tak, jakbyśmy zatrzymali się przy polanie w lesie, a nie przed willą w centrum Kristiansand.

Nachyliłem się lekko i spojrzałem na dom. Drewniane parapety zmurszały, farba w kilku miejscach się łuszczyła, ale rozpad nie był tu aż tak widoczny.

O szybę uderzyło kilka kropel deszczu. Inne zagrzechotały na dachu i masce samochodu.

– W każdym razie Gunnara nie ma – stwierdził Yngve, rozpinając pas. – Ale chyba niedługo przyjedzie.

– Pewnie jest w pracy.

– Myślisz, że te liczykrupy pracują też w soboty w okresie urlopowym? – spytał Yngve cierpko. Wyjął kluczyki ze stacyjki i schował je do kieszeni kurtki, otworzył drzwiczki i wysiadł.

Najchętniej dalej bym siedział w samochodzie, ale to oczywiście było niemożliwe, więc zrobiłem to co on. Trzasnąłem drzwiczkami i spojrzałem w okno kuchni na piętrze, w którym zawsze kiedy przyjeżdżaliśmy, witało nas spojrzenie babci.

Dzisiaj okno było puste.

– Mam nadzieję, że drzwi są otwarte. – Yngve pokonał sześć stopni schodów, kiedyś pomalowanych na ciemnoczerwono, teraz już tylko szarych. Tamte dwie mewy przysiadły na dachu sąsiedniego domu i z uwagą śledziły nasze ruchy.

Yngve nacisnął klamkę i pchnął drzwi.

– O cholera! – jęknął.

Wspiąłem się po schodach i kiedy wszedłem za nim do holu, musiałem odwrócić głowę. Smród w środku był nieznośny. Cuchnęło zgnilizną i szczynami.

Yngve stanął i zaczął się rozglądać. Niebieską wykładzinę pokrywały ciemne plamy. Otwarta szafa w ścianie była pełna butelek i toreb z butelkami. Wszędzie leżały porozrzucone ubrania. Na podłodze walało się jeszcze więcej butelek, wieszaków, butów, nieotwartych listów, broszur reklamowych i plastikowych toreb.

Ale najgorszy był smród.

Co, do jasnej cholery, mogło tak śmierdzieć?

– Wszystko zrujnowało. – Yngve wolno pokręcił głową.

– Co tak cholernie cuchnie? – spytałem. – Coś gdzieś gnije?

– Chodź – powiedział Yngve, zмирzając w kierunku schodów. – Babcia na nas czeka.

Od połowy schodów zaczynały się puste butelki, po pięć, sześć na każdym stopniu, a im bliżej podestu na piętrze, tym było ich więcej. Sam podest niemal całkiem zastawiono butelkami, luzem i w torbach, a na schodach prowadzących wyżej, na poddasze, do dawnej sypialni dziadków, każdy stopień był wypełniony, z wyjątkiem kilku decymetrów na środku, aby dało się postawić stopę. Głównie były to półtoralitrowe plastikowe butelki po piwie i po wódce, ale trafiały się też po winie.

Yngve otworzył drzwi i weszliśmy do salonu. Na pianinie stały butelki, pod pianinem leżały torby pełne butelek. Drzwi do kuchni były otwarte. To tutaj babcia zawsze przesiadywała i tu zastaliśmy ją również tego dnia. Siedziała przy stole ze wzrokiem wbitym w blat, trzymając w ręku żarzącego się papierosa.

– Cześć – powiedział Yngve.

Podniosła głowę. Początkowo nic w jej oczach nie wskazywało, że nas rozpoznaje, ale w końcu zapaliło się w nich światełko.

– A, więc to wy przyjechaliście, chłopcy! Tak mi się wydawało, że ktoś wchodzi.

Przełknąłem ślinę. Jej oczy jakby zapadły się w oczodoły, nos się wyostrzył i przypominał dziób w wychudłej twarzy. Cera była biała, pomarszczona.

– Przyjechaliśmy jak najszybciej, gdy tylko usłyszeliśmy, co się stało – powiedział Yngve.

– Tak, tak, to straszne – westchnęła babcia. – No, ale jesteście tutaj. Przynajmniej tyle dobrze.

Pokryta plamami sukienka wisiała luźno na straszliwie wychudzonym ciele, prawie nie

zasłaniała górnej części klatki piersiowej, widać było wystające spod skóry żebra, łopatki i biodra sterczały, ręce były obciągniętymi skórą kośćmi. Naczynia krwionośne na grzbietach dłoni przypominały cienkie granatowe kable.

Cuchnęła sikami.

– Napijcie się kawy? – spytała.

– Owszem, chętnie – odparł Yngve. – To nie byłoby takie głupie, ale sami możemy nastawić. Gdzie jest dzbanek do kawy?

– Gdybym to ja wiedziała – babcia rozejrzała się bezradnie.

– Stoi tam – wskazałem na stół. Obok leżała kartka, obróciłem lekko głowę, żeby przeczytać, co jest na niej napisane:

*CHŁOPCY PRZYJADĄ MNIEJ WIĘCEJ O DWUNASTEJ. JA BĘDĘ OKOŁO
PIERWSZEJ. GUNNAR.*

Yngve wziął dzbanek i podszedł do zlewu, żeby wylać fusy. Stały w nim stosy brudnych talerzy i szklanek. Cały blat zastawiony był opakowaniami, w większości po daniach do kuchenki mikrofalowej, w wielu wciąż tkwiły resztki jedzenia. Wśród nich stały butelki, głównie takie same plastikowe półtoralitrowki, niektóre z odrobiną piwa na dnie, inne opróżnione do połowy, kilka nieotwartych, ale też butelki po wódce, najtańszej, jaką można kupić w sklepie monopolowym, kilka małych flaszek whisky Upper Ten. Wszystko obsypane wyschniętymi fusami kawy, okruchami, zaschniętymi resztkami jedzenia. Yngve odsunął na bok stos śmieci, wyjął ze zlewu kilka talerzy i postawił je na blacie, a potem wypłukał fusy z dzbanka i napełnił go świeżą wodą.

Babcia wciąż siedziała w takiej samej pozycji, ze wzrokiem wbitym w stół i ze zgasłym już papierosem w ręku.

– Gdzie masz kawę? – spytał Yngve. – W szafce?

Podniosła wzrok.

– Co?

– Gdzie masz kawę? – powtórzył.

– Nie wiem, gdzie on ją schował.

On? Czyżby tata?

Odwróciłem się i przeszedłem do salonu. Odkąd pamiętałem, korzystano z niego jedynie w święta lub przy innych wyjątkowych okazjach. Teraz na środku stał olbrzymi telewizor taty, przed nim dwa wielkie skórzane fotele, między nimi tkwił stolik, pełen butelek, szklanek, opakowań po tytoniu i przepełnionych popielniczek. Wyminąłem to wszystko i zajrzałem w głąb pokoju.

W kąciку wypoczynkowym pod ścianą stała kanapa, a wokół niej walały się ubrania. Zobaczyłem dwie pary spodni i kurtkę, kilka par majtek i skarpet. Cuchnęło strasznie. Tu

też leżały przewrócone butelki, opakowania po tytoniu, kilka suchych bułek i inne śmieci. Podszedłem tam powoli. Na kanapie były odchody, rozsmarowane i kilka grudek. Nachyliłem się nad ubraniami, również okazały się wysmarowane kałem. Na podłodze lakier w kilku miejscach odprysnął, widać było wielkie, nieregularne plamy.

Siki?

Miałem ochotę coś zniszczyć. Podnieść stół i rzucić nim w okno. Przewrócić regał. Ale byłem taki słaby, że ledwie zdołałem dojść do okna. Oparłem się czołem o szybę i spojrzałem na ogród. Z przewróconych mebli, które tam leżały, prawie całkiem złuszczyła się farba. Wyglądały tak, jakby wyrastały z ziemi.

– Karl Ove? – spytał Yngve od drzwi.

Odwróciłem się i poszedłem z powrotem.

– Tam jest jeszcze straszniej – powiedziałem cicho, żeby babcia nie słyszała.

Pokiwał głową.

– Posiedźmy z nią trochę – zaproponował.

– Okej.

Wszedłem do kuchni, wysunąłem krzesło po drugiej stronie stołu i usiadłem. Kuchnię wypełniło tykanie, wydawało je jakieś urządzenie przypominające termostat, które prawdopodobnie miało wyłączać płyty kuchenki. Yngve usiadł przy krótszym boku stołu. Wyjął paczkę papierosów z kurtki, której z jakiegoś powodu nie zdjął. Zorientowałem się, że ja też jestem w kurtce.

Nie chciałem palić. Wydawało mi się to brudne, a jednocześnie potrzebowałem papierosa, więc wyjąłem paczkę. Babcia zauważyła, że usiedliśmy, i jej oczy znowu rozbłysły.

– Przyjechaliście dzisiaj aż z Bergen? – spytała.

– Ze Stavanger – wyjaśnił Yngve. – Teraz tam mieszkam.

– Ale ja mieszkam w Bergen.

Za nami płytka trzaskała pod dzbankiem.

– Aha, rozumiem – powiedziała.

Zapadła cisza.

– Napijcie się kawy, chłopcy? – spytała nagle.

Popatrzyłem na Yngvego.

– Już nastawiłem – odparł. – Zaraz będzie gotowa.

– Aha, nastawiłeś. – Babcia spojrzała na swoją rękę i gwałtownym ruchem, jakby dopiero teraz odkryła, że trzyma w palcach papierosa, sięgnęła po zapalniczkę i zapaliła.

– Przyjechaliście dzisiaj aż z Bergen? – Kilka razy cmoknęła, zaciągając się dymem, zanim popatrzyła na nas.

– Ze Stavanger – powiedział Yngve. – To tylko cztery godziny.

– Tak, drogi są teraz lepsze. – Babcia westchnęła. – No tak. Życie to kalka, powiedziała stara baba, która nie potrafiła wymówić „w”.

Zaśmiała się. Yngve się uśmiechnął.

– Przydałoby się coś do kawy. Mamy w samochodzie jakieś słodycze, przyniosę.

Miałem ochotę zaprotestować, ale oczywiście nie mogłem. Kiedy zniknął za drzwiami, wstałem, odłożyłem ledwie zaczętego papierosa na brzeg popielniczki, podszedłem do kuchenki i przycisnąłem dzbanek do płytki, żeby woda szybciej się zagotowała.

Babcia znów zapadła się w siebie, zapatrzyła się w stół. Siedziała zgarbiona, z opuszczonymi ramionami i lekko się kołysała w tył i w przód.

O czym mogła myśleć?

O niczym. Nie było w niej żadnych myśli. Nie mogło być. Jedyne coś zimnego i ciemnego.

Puściłem dzbanek i rozejrzałem się za puszką z kawą. Nie było jej na blacie przy lodówce ani na tym po przeciwnej stronie, koło zlewu. Może w szafce? Ale nie, przecież Yngve ją wyjął. Więc gdzie ją odstawił?

Tam, do diabła. Postawił ją na okapie, obok starych słoiczków z przyprawami. Zdjąłem ją, otworzyłem pokrywkę, odsunąłem dzbanek na bok i chociaż woda jeszcze się nie zagotowała, wsypałem kilka łyżeczek kawy. Była sucha i wyglądała na starą.

Kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem, że babcia mi się przygląda.

– Gdzie Yngve? – spytała. – Chyba nie pojechał, prawda?

– Nie – odparłem. – Poszedł tylko po coś do samochodu.

– Aha.

Wyjąłem z szuflady widelec i pomieszałem nim w dzbanku, potem kilka razy uderzyłem nim o płytkę.

– Niech trochę naciągnie, zaraz będzie gotowa.

– Siedział w fotelu, kiedy przyszłam rano – powiedziała babcia. – Zupełnie nieruchomo. Próbowałam go obudzić. Ale się nie dało. Miał całkiem białą twarz.

Zrobiło mi się niedobrze.

Na schodach rozległy się kroki Yngvego. Otworzyłem szafkę, żeby wyjąć szklanekę, ale żadnej nie było. O użyciu tych, które stały w zlewku, nie mogłem nawet myśleć, więc nachyliłem się i piłem z kranu.

Yngve w samochodzie zdjął kurtkę. W rękę trzymał dwa batoniki Bounty i paczkę cameli. Usiadł i rozpakował jeden baton.

– Chcesz kawałek? – spytał babcie.

Spojrzała na czekoladkę.

– Nie, dziękuję, ale wy jedzcie.

– Ja nie mogę – powiedziałem. – Kawa w każdym razie jest już gotowa.

Postawiłem dzbanek na stole, znów otworzyłem szafkę i wyjąłem trzy filiżanki. Wiedziałem, że babcia używa cukru w kostkach, więc otworzyłem wąską, wysoką szafkę na drugiej ścianie, tę, w której była żywność. Dwie połówki chleba, niemal całkiem sine od pleśni, torba zapleśniałych bułek, kilka zup w torebkach, orzeszki ziemne, trzy gotowe dania ze spaghetti, które powinny leżeć w zamrażalniku, butelki wódki, ta sama tania marka.

Obejdzie się bez cukru, pomyślałem i usiadłem. Podniosłem dzbanek i nalałem kawy do filiżanki. Jeszcze się nie zaparzyła, z dziobka polał się jasnobrązowy strumień, pełen drobnych ziarenek. Uniosłem pokrywkę i wlałem ją z powrotem.

– Dobrze, że jesteście – stwierdziła babcia.

Zacząłem płakać. Oddychałem głęboko, ale ostrożnie, głowę oparłem na rękach, pocierałem twarz, jakbym był śpiący, a nie płakał. Jednak babcia i tak niczego nie zauważyła, znów zapadła się w sobie. Tym razem trwało to jakieś pięć minut. Yngve i ja milczeliśmy, piliśmy kawę i patrzyliśmy przed siebie.

– No tak – odezwała się w końcu. – Życie to kalka, powiedziała stara baba, bo nie umiała wymówić „w”.

Sięgnęła po czerwoną gilzownicę, otworzyła paczkę z mentolowym tytoniem marki Petterøes, szybkim ruchem upchała tytoń w szczelinie, nasunęła pustą gilzę na rurkę, zamknęła pokrywkę i z siłą przesunęła ją wzdłuż prowadnicy.

– Może pójdziemy po bagaż? – zaproponował Yngve, spoglądając na babcię. – Gdzie możemy spać?

– Duża sypialnia na dole jest pusta. Tam możecie się położyć.

Wstaliśmy.

– No, to pójdziemy do samochodu – oświadczył Yngve.

– Pójdziecie? – spytała.

W drzwiach odwróciłem się do Yngvego.

– Zaglądałeś tam? – zapytałem.

Kiwnął głową.

Na schodach dopadła mnie fala gwałtownego płaczu. Tym razem nie było mowy, żeby to ukryć. Pierś mi drżała, nie mogłem złapać tchu, wstrząsnął mną kilka razy głęboki szloch i twarz mi się wykrzywiła poza wszelką kontrolą.

– Ooooh – jęknąłem. – Ooooh.

Czułem, że Yngve stoi za mną, i zmusiłem się do zejścia na dół, przejścia przez korytarz, a potem szybko do samochodu. Poszedłem jednak dalej po wąskim trawniku między domem a płotem sąsiadów. Podniosłem głowę i spojrzałem w niebo, usiłując oddychać

równy i głęboko; po kilku wdechach drzenie ustało.

Kiedy wróciłem, Yngve nachylał się nad otwartym bagażnikiem. Moja walizka już stała na ziemi. Wziąłem ją i zaniósłem do domu, odstawiłem na podłogę w korytarzu i spojrzałem na Yngvego, który z plecakiem na ramieniu i torbą w ręku szedł tuż za mną. Po kilku minutach na świeżym powietrzu smród w domu wydawał się jeszcze ostrzejszy. Zacząłem oddychać przez usta.

– Będziemy tu spać? – spytałem, ruchem głowy wskazując drzwi do sypialni, której dziadkowie używali przez ostatnich kilkadziesiąt lat.

– Sprawdźmy, jak to wygląda – powiedział Yngve.

Otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka. Pokój wyglądał jak po przejściu huraganu, wszędzie – na podłodze, na łóżku, na komodach – leżały ubrania, buty, paski, torebki, szczotki do włosów, papiloty i kosmetyki, wszystko pokrywał kurz, a po podłodze snuły się koty. Ale ten pokój nie został zbezczeszczony tak jak salon na górze.

– I co ty na to? – spytałem.

– Nie wiem. Jak myślisz, gdzie on spał?

Otworzył sąsiednie drzwi, do pokoju będącego kiedyś pokojem Erlinga. Wszedłem za nim.

Podłogę pokrywały śmieci i ubrania. Pod oknem leżał stół, który wyglądał na połamany. Stosy papierów i nieotwartej korespondencji. Coś, chyba rzygowiny, zaschło w postaci nierównej, żółtoczerwonej plamy na podłodze tuż przy łóżku. Ubrania były brudne, pokryte ciemnymi plamami, które musiały być zakrzepłą krwią. Na jednej rzeczy od środka widoczne były ślady kału. Wszystko cuchnęło szczynami.

Yngve otworzył okno.

– Jakby tu mieszkali narkomani – stwierdziłem. – To wygląda jak jakaś pieprzona narkomańska nora!

– Owszem – przyznał Yngve.

Komoda pod ścianą między łóżkiem a drzwiami pozostała w dziwny sposób nietknięta. Stały na niej zdjęcia taty i Erlinga w czarnych studenckich czapkach; fotografie musiały zostać zrobione, kiedy przyjęto ich na uniwersytet. Podobieństwo Yngvego do taty bez brody było uderzające. Te same usta, identyczne okolice oczu.

– Co my, do cholery, zrobimy? – spytałem.

Yngve nie odpowiedział, tylko rozejrzał się po pokoju.

– Będziemy musieli posprzątać – odparł wreszcie.

Kiwnąłem głową i wyszedłem stamtąd. Otworzyłem drzwi do pralni, mieszczącej się od strony garażu. Kiedy się zaciągnąłem wydostającym się z niej powietrzem, zacząłem kasłać. Na samym środku leżał stos ubrań, wysoki jak ja, sięgający prawie do sufitu. To stąd musiał się wydobywać smród zgnilizny. Zapaliłem światło. Ręczniki, pościel, obrusy,

spodnie, swetry, sukienki, bielizna, wszystko tutaj rzucali. Najniższe warstwy były nie tylko zatęchłe, lecz po prostu zgniłe. Kucnąłem i dotknąłem ich palcem. Okazały się mokre i lepkie.

– Yngve! – zawołałem.

Stałem w drzwiach.

– Zobacz! – powiedziałem. – To stąd ten smród.

Na górze rozległy się kroki. Wstałem.

– Wyjdźmy – zaproponowałem. – Niech ona nie myśli, że węszymy.

Kiedy babcia zeszła na dół, staliśmy przy naszych bagażach, rozstawionych na środku sypialni.

– Nie możecie tu nocować? – spytała. – Trochę się posprząta i będzie dobrze.

– Pomyśleliśmy o pokoju na poddaszu – powiedział Yngve. – Co ty na to?

– Pewnie można i tam. Ale dawno już tam nie byłam.

– Pójdziemy zobaczyć – oświadczył Yngve.

Pokój na poddaszu, który kiedyś, dawno temu, był sypialnią dziadków, ale odkąd pamiętaliśmy, służył jako pokój gościnny, okazał się jedynym pomieszczeniem w domu, którego ojciec nie zrujnował. Wszystko było w nim jak dawniej. Podłogę pokrywał kurz, a kołdry może trochę przeszły zapachem stęchlizny, ale nie bardziej niż w domku letniskowym, do którego przyjeżdża się na kolejny sezon po zimie, i po koszmarze na dole wejście tam przyniosło nam prawdziwą ulgę. Postawiliśmy bagaże na podłodze, powiesiłem garnitur na drzwiach szafy, a Yngve stanął przy oknie i opierając się rękami o parapet, spojrzał na miasto.

– Możemy zacząć od usunięcia tych wszystkich butelek – zaproponował. – Oddamy je i odbierzemy zastaw. Dzięki temu na trochę też stąd wyjdziemy.

– Dobrze, tak zrobimy.

Kiedy zeszliśmy do kuchni, dobiegł nas warkot samochodu na podjeździe. Przyjechał Gunnar. Staliśmy i czekaliśmy, aż wejdzie.

– Jesteście – uśmiechnął się. – Dawno się nie widzieliśmy.

Twarz miał opaloną, włosy jasne, ciało żylaste. Świetnie się trzymał.

– Chyba dobrze, że chłopcy tu są – powiedział, zwracając się do babci, ale zaraz znów spojrzał na nas. – To straszne, co tu się stało.

– Owszem – przyznałem.

– Rozejrzeliście się już trochę? Widzieliście, co narobił?

– Tak – potwierdził Yngve.

Gunnar z zaciśniętymi szczękami pokręcił głową.

– Nie wiem, co mam powiedzieć. To był wasz ojciec. Przykro mi, że tak się to potoczyło. Ale chyba mieliście świadomość, dokąd to zmierza.

– Sprzątniemy dom – oświadczyłem. – Teraz już wszystkim się zajmujemy.

– Dobrze. Dzisiaj rano załatwiłem najgorsze sprawy w kuchni i zabrałem trochę śmieci, ale sporo jeszcze zostało. – Uśmiechnął się przelotnie. – Mam na zewnątrz przyczepę – ciągnął. – Gdybyś ty, Yngve, wyjechał, moglibyśmy ustawić ją na trawniku koło garażu. Mebli nie możemy przecież zwyczajnie wynieść przed dom. Ani wyrzucić tych wszystkich łąchów do pojemnika. Musimy to wywieźć na wysypisko. Nie uważacie, że tak będzie lepiej?

– Pewnie.

– Chłopcy i Tove są w domku letniskowym, a ja zjechałem właściwie tylko po to, żeby się z wami przywitać. No i dostarczyć przyczepę. Przyjadę jutro przed południem i wtedy to wywieziemy. To straszne, co się tu dzieje, ale trzeba stawić temu czoło. Dacie sobie radę.

– Jasne – odparł Yngve. – Ale stanąłeś za moim samochodem, więc chyba sam musisz najpierw wyjechać.

Babcia w pierwszych chwilach po przyjeździe Gunnara to spoglądała na nas, to uśmiechała się do niego, ale potem znów zapadła się w siebie, siedziała wpatrzona w jeden punkt, jakby była całkiem sama.

Yngve ruszył na dół. Ja stałem nieruchomo, uznałem, że powinienem zostać przy niej.

– Ty też chodź z nami, Karl Ove – powiedział Gunnar. – Musimy przepchnąć przyczepę, a jest dość ciężka.

Poszedłem za nim.

– Mówiła coś? – zapytał.

– Babcia?

– Tak. O tym, co się stało.

– Prawie nic. Tylko że znalazła go w fotelu.

– Twój ojciec cały czas z nią był. Jest w szoku.

– Co możemy zrobić? – spytałem.

– Co możecie zrobić? Chyba tylko czekać. Ale zaraz po pogrzebie trzeba ją będzie oddać do jakiegoś domu starców. Sam widzisz, jak wygląda. Wymaga opieki. Po pogrzebie będzie musiała się stąd wyprowadzić.

Odwrócił się i wyszedł na schody, zmrużył oczy, patrząc w jasne niebo. Yngve już siedział w samochodzie.

Gunnar znów spojrzał na mnie.

– Wiesz, załatwiliśmy jej pomoc domową, ktoś przychodził codziennie i się nią zajmował. A potem zjawił się twój ojciec i wszystkich wyrzucił. Zatrzasnął drzwi i

zamknął się z nią w środku. Nawet mnie nie wpuszczał. Ale raz mama zadzwoniła, złamał wtedy nogę i leżał na podłodze w salonie. Zrobił kupę w spodnie, wyobrażasz sobie? Leżał na podłodze i pił. A ona go obsługiwała. Przed przyjazdem karetki powiedziałem mu, że dłużej tak nie może być. To niegodne ciebie, musisz wziąć się w garść. A wiesz, co na to twój ojciec? Chcesz mnie jeszcze głębiej wdeptać w gówno, Gunnarze? Po to przyszedłeś? Żeby mnie jeszcze głębiej wdeptać w gówno? – Gunnar pokręcił głową. – Zrozum, to moja matka tam siedzi. Próbowaliśmy jej pomagać przez wszystkie te lata. A on wszystko zrujnował. Ten dom, ja, samego siebie. Wszystko. Wszystko. – Na moment położył mi rękę na ramieniu. – Ale wiem, że z was dobrzy chłopcy.

Rozpłakałem się, Gunnar odwrócił głowę.

– No, musimy ustawić tę przyczepę – powiedział i ruszył do samochodu, wsiadł, włączył silnik, powoli zjechał tyłem z pagórka na lewo, zatrąbił, kiedy droga była wolna, a Yngve wycofał się za nim. Potem Gunnar podjechał do przodu, wysiadł z samochodu i odłączył przyczepę. Podeszedłem do nich, złapałem za mocowanie i zacząłem ciągnąć ją pod górę. Yngve i Gunnar pchali.

– Tu może stać – stwierdził Gunnar, kiedy wprowadziliśmy ją kawałek w głąb ogrodu, a ja opuściłem końcówkę na ziemię.

Z okna na piętrze patrzyła na nas babcia.

Zbieraliśmy butelki do plastikowych toreb i znosiliśmy je do samochodu; babcia przez cały czas siedziała w kuchni. Patrzyła, jak wylewam do zlewu resztki piwa i wódki z nieopróżnionych do końca butelek, ale nic nie mówiła. Może czuła ulgę, widząc, że znikają, może nie do końca to do niej docierało. Kiedy samochód był już pełny, Yngve poszedł jej powiedzieć, że jedziemy do sklepu. Wstała i zeszła z nami do holu. Przypuszczaliśmy, że chce się z nami pożegnać, ale kiedy znalazła się za progiem, natychmiast zeszła po schodach i skierowała się do samochodu, położyła rękę na klamce, otworzyła drzwiczki i chciała wsiadać.

– Babciu? – odezwał się Yngve.

Zatrzymała się.

– Myśleliśmy, że pojedziemy sami. Ktoś musi tu zostać i przypilnować domu. Wydaje mi się, że lepiej będzie, jak na nas poczekaasz.

– Tak sądzisz? – spytała, cofając się o krok.

– Tak – odparł Yngve.

– No tak, no tak, wobec tego zostanę.

Yngve wycofał samochód z podjazdu, babcia weszła do domu.

– Co za piekło – powiedziałem.

Yngve spojrział na ulicę, zamrugał kierunkowskazem w lewo i powoli wyjechał na drogę.

– Babcia najwyraźniej jest w szoku – stwierdziłem. – Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do ojca Tonje i z nim nie porozmawiać. Na pewno mógłby przepisać jej coś na uspokojenie.

– Ona już bierze leki. Na półce w kuchni stoi pełna taca.

Jeszcze raz wyjrzał na ulicę, tym razem w górę Kuholmsveien, którą nadjeżdżały trzy samochody. Potem spojrział na mnie.

– Ale możesz o tym porozmawiać z ojcem Tonje, niech on zdecyduje.

– Zadzwonię, jak wrócimy.

Przejechał ostatni samochód, jeden z tych nowych, brzydkich garbusów. O szybę uderzyło kilka kropli deszczu, przypomniało mi się, że już raz zaczął padać i nagle jakby się rozmyślił.

Tym razem rozpadało się na dobre. Kiedy Yngve chwilę później znów włączył kierunkowskaz, ruszył już z pracującymi wycieraczkami.

Letni deszcz.

Ach, te krople, które padają na suchy, rozgrzany asfalt i początkowo wyparowują albo wchłania je kurz, ale mimo wszystko wykonują swoją część zadania, bo kiedy spada następna kropla, asfalt jest już chłodniejszy, kurz bardziej nasiąknięty wilgocią, pojawiają się mokre plamy, które łączą się ze sobą, i asfalt robi się mokry i czarny. Gorące letnie powietrze nagle się schładza, a deszcz padający na twarz staje się od niego cieplejszy; człowiek odchyła głowę do tyłu, napawając się tym wyjątkowym wrażeniem. Liście na drzewach drżą pod lekkim dotykiem kropli, ledwie słychać ciche bębnienie deszczu uderzającego o wszystko co na ziemi: o pokrytą bliznami skałę przy drodze, o źdźbła trawy w rowie, o dach domu po drugiej stronie i o siodełko roweru przypiętego do płotu, o hamak w ogrodzie i o znaki drogowe, o rynny, maski i dachy zaparkowanych samochodów.

Zatrzymaliśmy się na światłach na skrzyżowaniu, deszcz jeszcze się wzmógł, padały teraz duże, ciężkie i gęste krople. W ciągu kilku sekund okolica wokół skrzyżowania Rundingen się zmieniła. Za sprawą pociemniałego nieba wszystkie światła stały się wyraźniejsze, ale teraz zaczęły je przesłaniać drobinki wody, odbijające się od ziemi. Samochody jechały z włączonymi wycieraczkami, piesi biegiem szukali schronienia, osłaniając głowy gazetami albo kapturami, chyba że mieli ze sobą parasole – wtedy mogli dalej iść przed siebie, jakby nic się nie działo.

Światło zmieniło się na zielone, więc zjechaliśmy ze wzgórza w stronę mostu, mineliśmy stary sklep muzyczny, dawno już zamknięty, do którego wiodła stała trasa moja i Jana Vidara w każde sobotnie przedpołudnie; odwiedzaliśmy wówczas wszystkie sklepy muzyczne w mieście. Przejechaliśmy przez most Lundsbroa. Wiązało się z nim moje absolutnie pierwsze wspomnienie z dzieciństwa. Przeszedłem przez most z babcią i zobaczyłem bardzo, bardzo starego człowieka. Miał siwą brodę i siwe włosy, szedł o lasce, przygarbiony. Zatrzymałem się, żeby na niego popatrzeć, babcia jednak pociągnęła

mnie dalej. W pokoju mojego ojca w szkole wisiał plakat ze zdjęciem i gdy kiedyś tam poszedłem razem z tatą i sąsiadem, Olą Janem, który w tej samej szkole co tata, w gimnazjum Roligheden, również uczył norweskiego, wskazałem na ten plakat i powiedziałem, że widziałem tego człowieka. Bo to był ten sam siwowłosy i siwobrody, przygarbiony mężczyzna. To, że widnieje na plakacie w pokoju ojca, ani trochę mnie nie zdziwiło, bo miałem wtedy cztery lata i nie było dla mnie na świecie rzeczy niezrozumiałych, wszystko się ze sobą wiązało. Ale tata i Ola Jan zaczęli się śmiać. Śmiali się, mówiąc, że to niemożliwe. To Ibsen, powtarzali, nie żyje już od prawie stu lat. Ale ja byłem pewien, że to ten sam człowiek, i powiedziałem to na głos. Zaczęli kręcić głowami, tata już się nie śmiał, kiedy wciąż pokazywałem palcem Ibsena, upierając się, że go widziałem, i w końcu mnie wyprowadził.

Woda pod mostem była szara, cała w kręgach od kropli deszczu uderzających o powierzchnię. Ale miała też w sobie odcień zieleni, jak zawsze w tym miejscu, gdzie słodka woda z Otry spotykała się z morską. Ile razy stałem tutaj, obserwując prądy? Czasami płynęła wartko jak rzeka, tworzyły się w niej niewielkie wiry, kiedy indziej wokół filarów jaśniały białą spienione fale.

Tym razem woda płynęła spokojnie. Dwa kutry, oba z podniesionymi brezentowymi dachami, przy wtórze warkotu motorów kierowały się na otwarte morze. Przy kei po drugiej stronie cumowały dwie zardzewiałe łajby, a za nimi lśniąca białą żaglówka.

Yngve zatrzymał się na skrzyżowaniu, ale w tej samej chwili światło zmieniło się na zielone i od razu skręciliśmy w lewo, do niewielkiego centrum handlowego z parkingiem na dachu. Po betonowym podjeździe, przypominającym rampę, po którym ruch regulowały światła drogowe, wjechaliśmy na dach, gdzie na szczęście, dzięki temu, że była wakacyjna sobota, na samym końcu znalazło się wolne miejsce.

Wysiedliśmy; odchyliłem głowę, żeby poczuć na twarzy ciepły deszcz. Yngve otworzył bagażnik, chwyciliśmy tyle toreb, ile każdy zdołał unieść, i windą zjechaliśmy do supermarketu na parterze. Zdecydowaliśmy, że butelek po wódce nie ma sensu oddawać do sklepu, wywieziemy je na wysypisko, więc nasz ładunek składał się głównie z tych plastikowych i nie był wcale ciężki, tylko kłopotliwy do niesienia.

– Zacziesz oddawać, a ja pójdę po resztę? – spytał Yngve, kiedy stanęliśmy przy maszynie do zwrotu butelek. Kiwnąłem głową. Wystawiałem butelkę po butelce na taśmę, gniotłem opróżnione torby i wrzucałem je do kosza na śmieci, przeznaczonego specjalnie na ten cel. Nie przejmowałem się tym, że ktoś może mnie zobaczyć i zdziwić się taką liczbą butelek po piwie. Było mi to obojętne. Tamta strefa, która powstała, kiedy wyszliśmy z zakładu pogrzebowego, i za której sprawą wszystko wokół mnie stawało się martwe i traciło znaczenie, powiększyła się, zarówno pod względem obszaru, jak i mocy. Sklepu, skąpanego w ostrym świetle i pełnego błyszczących, kolorowych towarów, prawie nie widziałem, równie dobrze mógłbym stać gdzieś na środku bagna. Zwykle miałem świadomość, jak wyglądam i co inni mogą o mnie pomyśleć, czasami byłem zadowolony i

dumny, kiedy indziej przygnębiony i pełen nienawiści do samego siebie, ale nigdy nie pozostawałem na to obojętny. Nie zdarzyło mi się, aby oczy, które mogły mnie zobaczyć, nie miały żadnego znaczenia, w ogóle się nie liczyły, albo żeby otoczenie, w którym się znajdowałem, przestawało istnieć. Ale teraz właśnie tak się stało, byłem odrętwiały, a to odrętwienie przesłaniało wszystko. Świat otaczał mnie jak cień.

Yngve przyniósł kolejne torby.

– Zastąpić cię? – spytał.

– Nie. Ale mógłbyś iść po zakupy. Musimy mieć przynajmniej jakieś środki czystości, gumowe rękawiczki i czarne worki na śmieci. I, cholera, coś do jedzenia.

– W samochodzie została jeszcze jedna partia butelek. Wobec tego najpierw po nie pójde.

– Okej.

Po oddaniu ostatniej butelki wziąłem kwit i odszukałem Yngvego, który stał przy półce ze środkami do sprzątania. Włożyliśmy do koszyka jif do łazienki, jif do kuchni, ajax do wszystkiego, ajax do okien, klorin, szare mydło, mr muscle do wyjątkowo uporczywych plam, środek do czyszczenia kuchenki, specjalny płyn do czyszczenia kanap, druciaki, gąbki do mycia, zmywaki i ścierki do podłogi, dwa wiadra i szczotkę. Z lady z mięsem wzięliśmy kilka świeżych siekanych kotletów, z lady z warzywami ziemniaki i kalafior. Poza tym coś do chleba, mleko, kawę, owoce, zgrzewkę jogurtów, kilka paczek herbatników. Jeszcze będąc w sklepie, zapragnąłem wypełnić kuchnię tym wszystkim – nowym, świeżym, lśniącym nietkniętym.

Kiedy wyszliśmy na dach, deszcz już nie padał. Wokół tylnych kół samochodu w niewielkim zagłębieniu w betonie utworzyła się kałuża. Pachniało świeżością, morzem i niebem, nie miastem.

– Jak myślisz, co się właściwie stało? – spytałem, kiedy jechaliśmy przez mroczny parking. – Mówi, że znalazła go w fotelu. Czy on zwyczajnie zasnął i już się nie obudził?

– Prawdopodobnie – odparł Yngve.

– Serce po prostu przestało bić?

– Tak.

– No tak. Może i nie ma się co dziwić, biorąc pod uwagę to, jak żył.

– Właśnie.

Przez resztę drogi do domu milczeliśmy. Zataszczyliśmy zakupy do kuchni; babcia, która wcześniej zauważyła nas przez okno, spytała, gdzie byliśmy.

– W sklepie – odpowiedział Yngve. – A teraz musimy coś zjeść!

Zaczął wyciągać zakupy z toreb. Wziąłem parę żółtych rękawiczek oraz rulon worków na śmieci i zniosłem na parter. Pierwszą rzeczą, której należało się pozbyć, była góra

stęchłych ubrań w pralni. Dmuchałem w rękawiczki, wciągnąłem je i zacząłem upychać łąchy do worków. Cały czas oddychałem przez usta. Worki po napełnieniu wynosiłem z domu i kładłem na stosie śmieci przy dwóch zielonych pojemnikach koło drzwi do garażu. Wyniosłem już prawie wszystko, zostały tylko dolne, zlepione ze sobą warstwy, kiedy Yngve zawołał, że jedzenie gotowe. Wyczyścił blat z resztek i śmieci, a na stole, również sprząniętym, postawił półmisek z usmażonymi siekanymi kotletami, miskę ziemniaków i drugą z kalafiorom, a także nieduży dzbanuszek brązowego sosu. Do nakrycia wykorzystał stary odświętny serwis babci, który w ostatnich latach stał nietknięty w szafie w jadalni.

Babcia nie chciała nic jeść, ale Yngve i tak nałożył jej na talerz pół kotleta, jeden ziemniak i małą różyczkę kalafiora, i nawet udało mu się ją namówić, żeby spróbowała. Sam byłem głodny jak wilk i zjadłem aż cztery kotlety.

– Dodałeś śmietany do sosu? – spytałem.

– Mhm, i trochę brązowego sera.

– To dobrze, właśnie tego potrzebowałem.

Po jedzeniu wyszliśmy z Yngvem na taras zapalić papierosa i wypić kawę. Przypomniał mi, że mam zadzwonić do ojca Tonje, co całkiem wyleciało mi z głowy. A może to wyparłem, bo nie bardzo miałem ochotę z nim rozmawiać. Musiałem jednak to zrobić. Poszedłem więc do pokoju, wyjąłem z walizki notes z adresami i zadzwoniłem z telefonu w jadalni; Yngve w tym czasie sprzątał ze stołu w kuchni.

– Cześć, mówi Karl Ove – powiedziałem, kiedy ojciec Tonje odebrał. – Chciałbym cię prosić o pomoc w pewnej sprawie. Nie wiem, czy Tonje ci mówiła, ale wczoraj zmarł mój ojciec...

– Tak, dzwoniła i przekazała mi wiadomość. Bardzo mi przykro, Karl Ove.

– No tak. W każdym razie jestem teraz w Kristiansand. To moja babcia, matka ojca, go znalazła. Ma ponad osiemdziesiąt lat i chyba jest w szoku. Prawie nic nie mówi, tylko siedzi bez ruchu. Pomyślałem, że może są jakieś środki uspokajające albo coś innego, co mogłoby jej ulżyć. Wprawdzie zażywa jakieś leki, prawdopodobnie jest wśród nich coś na uspokojenie, ale pomyślałem... sam rozumiesz. Ona cierpi.

– Wiesz, jakie leki bierze?

– Nie, nie wiem, ale mogę sprawdzić. Zaczekaj chwilę. – Położyłem słuchawkę na stole i poszedłem do kuchni; skierowałem się w stronę półki, na której stała taca z lekami. Przypomniałem sobie, że leżą pod nią jakieś żółte i białe kartki, przypuszczalnie recepty. Znalazłem tylko jedną.

– Widziałeś gdzieś pudełka po tych lekach? Opakowania? Rozmawiam z ojcem Tonje – przekazałem Yngvemu.

– Są jakieś w szafce obok ciebie – odparł.

– Czego szukasz? – zainteresowała się babcia.

Nie chciałem jej denerwować, ale czułem spojrzenie na plecach, kiedy grzebałem w jej rzeczach, postanowiłem jednak nie zwracać na to uwagi.

– Rozmawiam przez telefon z lekarzem – wyjaśniłem, jakby to wszystko tłumaczyło. O dziwo, zaakceptowała moje wyjaśnienie. Wyszedłem, próbując ukryć w dłoniach receptę i pudełko po lekach.

– Halo? – odezwałem się do słuchawki.

– Tak, tak, jestem – powiedział ojciec Tonje.

– Znalazłem jakieś opakowania. – Zacząłem odczytywać nazwy.

– Aha. Rzeczywiście zażywa już leki przeciwlękowe, ale mogę ci wypisać coś jeszcze, będzie dobrze. Zadzwońię do apteki, zaraz jak tylko się rozłączymy. Masz jakąś aptekę w pobliżu?

– Jest jedna w Lund. To nazwa dzielnicy.

– Dobrze, załatwię to. Uważaj na siebie.

Odłożyłem słuchawkę i znów wyszedłem na taras. Popatrzyłem na otwarte morze, nad którym niebo wciąż było zachmurzone, ale chmury miały inny, łagodniejszy odcień. Ojciec Tonje był dobrym człowiekiem i miłym mężczyzną. Nigdy nie zrobiłby nic nieprzyzwoitego ani nie posunąłby się za daleko w żadnej sprawie; szanowany i porządny, co nie znaczy, że sztywny i formalny, przeciwnie, często bywał czymś przejęty, zachował pewien rodzaj chłopięcości, a nie posuwał się za daleko, dlatego że po prostu to nie leżało w jego charakterze, zwyczajnie nie wchodziło w rachubę i właśnie za to go lubiłem. Jego przyzwoitość zawsze mnie pociągała, a kiedy ją odkryłem, lubiłem przebywać w jego towarzystwie, choć zarazem rozumiałem, że moja sympatia do niego bierze się stąd, iż jest inny niż mój ojciec, który był taki, jaki był, i ostatnio, i dawniej. Ożeniłem się w wieku dwudziestu pięciu lat, ponieważ szukałem mieszczańskości, stałości, stabilizacji; jednocześnie w wyraźnej opozycji do tego stało nasze życie, które wcale nie było mieszczańskie, stabilne ani pełne rutyny, a także fakt, że nikt już nie brał ślubu w tak młodym wieku, więc to posunięcie było przynajmniej czymś oryginalnym, jeśli nie radykalnym.

Właśnie tak myślałem, a ponieważ naprawdę kochałem Tonje, pewnego wieczoru, gdy zostaliśmy sami na tarasie koło Maputo w Mozambiku, pod niebem czarnym jak węgiel, a w powietrzu dźwięczały cykady i daleki odgłos bębnow z jednej z wiosek odległych o kilka kilometrów, padłem przed nią na kolana i spytałem, czy za mnie wyjdzie. Odpowiedziała coś, czego nie zrozumiałem. W każdym razie nie było to „tak”. „Co powiedziałaś?” „Pytasz, czy za ciebie wyjdę? – zapytała. – Naprawdę? O to pytasz?” „Tak”, odparłem. „Tak – powiedziała. – Wyjdę za ciebie”. Objęliśmy się, oboje mieliśmy łzy w oczach i właśnie w tej chwili z nieba dobiegł huk, głęboki i potężny; kiedy dźwięk się przetoczył, Tonje lekko zadrżała i zaraz zaczęło lać. Wybuchnęliśmy śmiechem, Tonje pobiegła po aparat fotograficzny, a kiedy wróciła, objęła mnie i zrobiła nam zdjęcie

aparatem trzymanym w wyciągniętej ręce.

Byliśmy dwójgim dzieciaków.

Przez okno zobaczyłem, że Yngve wchodzi do salonu. Zatrzymał się przy dwóch fotelach, popatrzył na nie, przeszedł dalej w głąb i zniknął.

Nawet w ogrodzie leżały butelki, niektóre wiatr przeturlał aż do płotu, inne zatrzymały się na dwóch zardzewiałych i wypłowiałych leżakach, które musiały tam stać co najmniej od wiosny.

Yngve znów się pokazał, ale nie widziałem jego twarzy, jedynie cień, gdy przechodził przez salon i zniknął w kuchni.

Po schodach zszedłem do ogrodu. Poniżej nie było już domów, zbocze opadało zbyt stromo; u stóp wzgórza rozciągała się marina, a za nią stosunkowo wąski basen portowy. Ale od wschodniej strony działka graniczyła z inną posiadłością, zadbaną, tak jak kiedyś zadbany był ogród moich dziadków. Na tle tamtych starannie wypielęgnowanych, przyciętych żywopłotów, nisko przyszyżonej trawy i kolorowych rabat z kwiatami nasz ogród sprawiał wrażenie chorego. Postąpiłem tam kilka minut, płacząc, a potem wróciłem do domu i kontynuowałem pracę w pralni. Po wyniesieniu ostatnich rzeczy spryskałem podłogę klorinem, zużywając pół butelki, wyszorowałem szczotką i spłukałem wodą z węża. Nalałem szarego mydła i znów szorowałem, tym razem ścierką. Po kolejnym spłukaniu uznałem, że to wystarczy, i wróciłem do kuchni. Yngve mył wnętrze szafki. Zmywarka pracowała. Błat był sprzątnięty i wyszorowany do czysta.

– Robię przerwę – oznajmiłem. – Przyłączysz się do mnie?

– Tylko tu skończę – odparł Yngve. – Może nastawiłbyś kawę?

Nastawiłem. Nagle przypomniało mi się lekarstwo dla babci, to nie mogło czekać.

– Skoczę jeszcze do apteki – powiedziałem. – Chcesz coś, na przykład z kiosku?

– Nie. Albo tak, colę.

Wyszedłem na schody i zapiąłem kurtkę. Góra worków ze śmieciami przed pięknymi drzwiami do garażu z lat pięćdziesiątych połyskiwała czarno w szarym letnim świetle. Ciemnobrązowa przyczepa stała z opuszczonym mocowaniem, trochę jakby upokorzona, niczym służący, który ukłonił się na mój widok. Z rękami w kieszeniach przeszedłem chodnikiem do głównej ulicy, już suchej po deszczu. Ale wyżej, na skale, przez którą przebito drogę, płaskie występy wciąż były mokre, a porastające skałę kępki trawy lśniły intensywną zielenią na ciemnym tle; wyglądały teraz zupełnie inaczej niż w suchym kurzu, wówczas barwy nie były tak kontrastowe i wszystko pod niebem wydawało się obojętne, nierzucające się w oczy, otwarte, potężne i puste. Ile takich otwartych, pustych dni tutaj spędziłem? Ile razy widziałem czarne okna w domach, wiatr smagający okolicę, słońce, które ją oświetlało, wszystko to, co w niej ślepe i martwe? Ach, to był czas, kiedy w tym mieście tyle się działo, czas, który uważano za najlepszy, kiedy miasto naprawdę żyło. Błękitne niebo, palące słońce, zakurzone ulice, samochód z dudniącymi głośnikami i

otwartym dachem, dwaj młodzi mężczyźni z przodu w samych kąpielówkach i ciemnych okularach jadą na plażę... Starsza pani z psem, całkiem zasłonięta ubraniem, w dużych okularach przeciwsłonecznych, pies szarpie smyczą, chce podejść do płotu. Samolot ciągnie długi transparent, następnego dnia na stadionie będzie mecz. Wszystko jest otwarte, wszystko puste, świat jest martwy, a wieczorem bary i restauracje wypełniają opalone, wesołe kobiety i mężczyźni w jasnych ubraniach.

Nienawidziłem tego miasta.

Po stu metrach na Kuholmsveien dotarłem do skrzyżowania. Apteka znajdowała się jeszcze sto metrów dalej, w środku maleńkiego centrum dzielnicy, za nim ciągnęło się trawiaste zbocze, z kilkoma blokami z lat pięćdziesiątych albo sześćdziesiątych na szczycie. Po drugiej stronie drogi, trochę dalej na zboczu, mieściła się sala bankietowa Elevine. Może tam urządzić przyjęcie po pogrzebie?

Myśl, że on umarł nie tylko dla mnie, lecz również dla swojej matki i braci, wujów i ciotek, znów pobudziła mnie do płaczu. Wcale się nie przejąłem, że dopadł mnie na chodniku, na którym cały czas mijali mnie ludzie, prawie ich nie zauważałem, ale wytarłem łzy dłonią, głównie z przyczyn praktycznych – żebym mógł widzieć, dokąd idę. Jednocześnie wpadła mi do głowy pewna myśl: spotkania po pogrzebie nie urządzimy w Elevine, tylko w domu dziadków, który on zrujnował.

Ta myśl mnie podekscytowała.

Wyszorujemy każdy pieprzony centymetr w każdym pieprzonym pokoju, wyrzucimy wszystko, co zniszczył, wyjmemy wszystko, co zostało, i to wykorzystamy, przygotujemy dom, w którym zbierze się cała rodzina. Może i on wszystko zrujnował, ale my to naprawimy. Jesteśmy porządnymi ludźmi. Yngve pewnie powie, że to się nie uda i nie ma sensu, ale ja będę nalegał. Miałem takie samo jak on prawo do decydowania o pogrzebie. Cholera, jasne, że to się może udać, trzeba tylko sprzątać. Sprzątać, sprzątać, sprzątać.

W aptece nie było kolejki, ubrany na biało ekspedient najpierw mnie wylegitymował, a potem wszedł między półki i przyniósł tabletki, wypisał etykietkę, nakleił ją na słoiczek, który włożył do torebki, i skierował mnie do kasy po drugiej stronie.

Wrażenie, że istnieje tu jednak coś dobrego, być może wywołane jedynie przez odrobinę już chłodniejsze powietrze, które kładło się na skórze, kazało mi się zatrzymać na schodach przed apteką.

Szare, szare niebo, szare, szare miasto.

Lśniące karoserie. Jaśniejące okna. Kable biegnące od słupa do słupa.

Nie. Nic tu nie ma.

Wolnym krokiem ruszyłem do kiosku.

Tata wielokrotnie mówił o samobójstwie, ale zawsze ogólnie, ot, taki temat rozmowy. Uważał, że statystyki dotyczące samobójstw kłamią i że wiele wypadków samochodowych, które wydarzyły się, kiedy kierowca jechał sam, a może nawet wszystkie, to

zakamufLOWane samobójstwa. Wielokrotnie powtarzał, że wjechanie samochodem w skalną ścianę albo pod nadjeżdżającego z przeciwka tira, aby uniknąć wstydu wiążącego się z jawnym samobójstwem, to powszechnie przyjęta praktyka. Właśnie w tamtym czasie wrócili z Unni na południe kraju, do Sørlandet, po długim pobycie na północy Norwegii, i ciągle jeszcze byli razem. Tata prawie czarny od całego tego słońca, które w siebie wchłonał, okrągły jak beczka. Wylegiwał się na leżaku w ogrodzie za domem i pił, siedział na tarasie przed domem i pił, a wieczorami, pijany i z rozmytymi oczami, stał w kuchni w samych szortach i smażył kotlety schabowe, nie widziałem, żeby jadł cokolwiek innego, żadnych ziemniaków, żadnych warzyw, tylko przypalone kotlety. W jeden z takich wieczorów oświadczył, że pisarz Jens Bjørneboe powiesił się za stopy na sufitowej belce i właśnie w ten sposób odebrał sobie życie. Nierealność takiej metody samobójstwa nie zdziwiła ani jego, ani mnie, a jak miał to zrobić sam w domu na wyspie Veierland? Najprzyzwoitszy sposób, jak twierdził tata, to iść do hotelu, napisać do szpitala list z informacją, gdzie człowieka można znaleźć, a potem napić się wódki, połączyć tabletki, położyć się do łóżka i zasnąć. Teraz, zbliżając się do kiosku za przystankiem autobusowym, pomyślałem, że to niewiarygodne, iż nigdy nie uznałem tego tematu rozmowy za coś więcej niż konwersację, ale tak było. Tata utrwalił we mnie swój obraz tak mocno, że cały czas postrzegałem go tak samo, nawet wówczas gdy stał się innym człowiekiem, zarówno pod względem fizjonomii, jak i charakteru, kiedy właściwie zniknęło wszelkie podobieństwo, a jednak dla mnie pozostał tym, kim był niegdyś.

Wszedłem po drewnianych schodach i otworzyłem drzwi do kiosku, w którym nie było nikogo oprócz sprzedawcy, wzięłem gazetę ze stojaka przy kasie, odsunąłem na bok szklane drzwi lodówki, wyjąłem colę i obie te rzeczy położyłem na ladzie.

– „Dagbladet” i cola. – Mężczyzna podsunął je po kolei pod czytnik kodów kreskowych.
– Coś jeszcze?

Nie patrzył mi w oczy, pewnie widział, że wchodząc, płakałem.

– Nie – odparłem. – To wszystko.

Wyjąłem z kieszeni pognieciony banknot, spojrzałem. Pięćdziesiąt koron. Zanim podałem je sprzedawcy, trochę wygładziłem pomięty papier.

– Dziękuję – powiedział. Miał gęste, ale jasne włosy na rękach, białą koszulkę marki Adidas, niebieskie spodnie od dresu, pewnie tej samej firmy, i nie wyglądał na człowieka pracującego w kiosku, tylko na kumpla, który na kilka minut zastąpił sprzedawcę. Wzięłem zakupy i odwróciłem się do wyjścia. W tym momencie weszło dwóch mniej więcej dziesięcioletnich chłopców z naszykowanymi pieniędzmi. Ich rowery leżały koło schodów na zewnątrz. Rzędy samochodów ruszyły w obie strony. Powinienem wieczorem zadzwonić do mamy. I do Tonje. Ruszyłem chodnikiem, przeciąłem małe przejście dla pieszych za kioskiem i znów znalazłem się na Kuholmsveien. To oczywiste, że spotkanie po pogrzebie odbędzie się w domu. Za... sześć dni. Wszystko powinno być wtedy gotowe. Do tego czasu musimy zamieścić nekrolog w gazecie, zaplanować pogrzeb, zaprosić gości, przygotować

dom, chociaż z grubsza uporządkować ogród, załatwić catering. Jeżeli będziemy wstawać wcześniej, kłaść się późno i nie zajmować niczym innym, powinno być dobrze. Trzeba tylko wciągnąć Yngvego w ten plan. No i Gunnara. Wprawdzie on nie miał nic do gadania w kwestii samego pogrzebu, jednak miał prawo decydować o domu. Ale niech to cholera, musi się zgodzić. Zrozumie dlaczego.

Kiedy wszedłem do kuchni, Yngve druciakiem szorował kuchenkę. Babcia siedziała na krześle, pod którym rozlała się nieduża plama, najpewniej siki.

– Masz tu swoją colę – powiedziałem. – Stawiam na stół.

– Dobrze.

– A co przyniosłeś w tej torbie? – spytała babcia, patrząc na torebkę z apteki.

– To dla ciebie – wyjaśniłem. – Mój teść jest lekarzem. Kiedy mu przekazałem, co się wydarzyło, przepisał ci coś na uspokojenie. Wydaje mi się, że to nie takie głupie. Po tym co przeżyłaś, i w ogóle.

Sięgnąłem do torebki po prostokątne pudełko, otworzyłem je i dobyłem ze środka plastikowy słoiczek.

– Co tam jest napisane? – spytała babcia.

– Jedna tabletko rano i wieczorem. Weźmiesz teraz?

– No, skoro lekarz zalecił...

Podąłem jej słoiczek, otworzyła go i wytrząsnęła jedną tabletkę. Rozejrzała się po stole.

– Przyniosę trochę wody – zaproponowałem.

– Nie, nie trzeba. – Babcia położyła tabletkę na języku, podniosła do ust filiżankę, lekko poruszyła głową i przełknęła zimną kawę. – Ach – westchnęła.

Odłożyłem gazetę na stół i spojrzałem na Yngvego, który wrócił do szorowania kuchenki.

– Dobrze, że tu jesteście, chłopcy – powiedziała babcia. – Ale czy ty nie powinieneś zrobić sobie przerwy, Yngve? Nie możesz zaharować się na śmierć.

– Może to i niegłupi pomysł. – Yngve zdjął rękawiczki, powiesił je na uchwycie przy piecyku, kilka razy wytarł dłonie o T-shirt i usiadł.

– Zastanawiam się, czy nie zabrać się do łazienki na dole – powiedziałem.

– Może raczej powinniśmy trzymać się tego samego piętra? – zaproponował Yngve. – Żebyśmy mieli ze sobą kontakt, co?

Zrozumiałem, że nie chce zostać sam z babcią, więc kiwnąłem głową.

– Wobec tego zacznę sprzątać salon – oświadczyłem.

– Ależ wy pracujecie! – westchnęła babcia. – Przecież nie ma takiej potrzeby!

Dlaczego tak powiedziała? Wstydziła się stanu, w jakim był jej dom? Tego, że nie

potrafiła utrzymać porządku? Czy po prostu nie chciała, żebyśmy zostawili ją samą?

– Trochę posprzątać nie zaszkodzi – stwierdziłem.

– No tak, pewnie masz rację. – Popatrzyła na Yngvego. – Skontaktowaliście się już z zakładem pogrzebowym?

Ciarki przeszły mi po plecach. Czyżby przez cały czas była wszystkiego świadoma?

Yngve kiwnął głową.

– Byliśmy tam dzisiaj przed południem. Wszystkim się zajmą.

– To dobrze. – Przez chwilę siedziała nieruchomo, jakby nieobecna, ale zaraz kontynuowała: – Kiedy go zobaczyłam, nie wiedziałam, czy umarł, czy żyje. Chciałam iść spać, powiedziałam mu „dobranoc”, a on nie odpowiedział. Siedział w fotelu jak zawsze. I nie żył. Był całkiem biały na twarzy.

Napotkałem wzrok Yngvego.

– Chciałaś iść s p a ć?

– Tak, cały wieczór oglądaliśmy telewizję. No i on się nie ruszył, kiedy chciałam zejść na dół.

– Pamiętasz, czy na dworze było ciemno? – spytał Yngve.

– Tak mi się wydaje.

O mało nie zwymiotowałem.

– Ale przecież do Gunnara zadzwoniłaś rano – ciągnął Yngve. – Pamiętasz?

– Może to było rano, skoro tak mówisz. Tak, tak, na pewno. Przyszłam na górę, a on siedział w fotelu. Tam.

Wstała i wyszła z kuchni. Ruszyliśmy za nią. Zatrzymała się mniej więcej w połowie salonu i wskazała na fotel przed telewizorem.

– Tam siedział. Tam umarł.

Na chwilę zasłoniła twarz rękami, potem szybko wróciła do kuchni.

Tego się nie da naprawić, pomyślałem. Nad tym się nie da zapanować. Mogłem nalać wody do wiadra i iść sprzątać, wyszorować cały ten cholerny dom, ale to w niczym ani trochę nie pomoże. Oczywiście, że nie, podobnie jak pomysł, że wygramy z tym domem i wyprawimy w nim stypę, to też w niczym nie pomoże, nie byłem w stanie zrobić absolutnie nic, co by pomogło. Nic, w czym mógłbym zniknąć, nic nie mogło tego złagodzić.

– Musimy porozmawiać. Wyjdziemy na taras? – zaproponował Yngve.

Kiwnąłem głową, poszedłem za nim do drugiego salonu i dalej. Było zupełnie bezwietrznie, niebo szare jak przedtem, ale nad miastem odrobinę jaśniejsze. Odgłos samochodu na niskim biegu dobiegł znanego wąskiego zaułka poniżej domu. Yngve stanął z obiema rękami zaciśniętymi na balustradzie i zapatrzył się na morze. Ja usiadłem na wyblakłym leżaku, ale natychmiast się poderwałem, pozbierałem leżące obok butelki i

ustawiłem je pod ścianą. Rozejrzałem się za jakąś torbą, ale żadnej nigdzie nie było widać.

– Myślisz o tym samym co ja? – spytał w końcu Yngve, prostując się.

– Chyba tak.

– Tylko babcia go widziała. Jest jedynym świadkiem. Gunnar go nie widział. Zadzwoiła do niego rano, a on wezwał karetkę. Ale jego nie widział.

– No tak – przyznałem.

– W takim układzie on mógł żyć. Czy babcia była w stanie to ogarnąć? Znajduje go na kanapie, on nie odpowiada, kiedy do niego mówi, więc babcia dzwoni do Gunnara, potem przyjeżdża karetka, dom jest pełen lekarzy i ratowników, zabierają go na noszach, odjeżdżają, i tyle. A jeśli on wcale nie umarł? Pomyśl tylko, jeśli po prostu upił się do nieprzytomności? Albo zapadł w coś w rodzaju śpiączki?

– No właśnie – powiedziałem. – Kiedy przyjechaliśmy, mówiła, że znalazła go rano, teraz twierdzi, że to było wieczorem. Już samo to wystarczy.

– W dodatku zaczyna ją dopadać demencja. Cały czas pyta o to samo. Ile mogła z tego zrozumieć, skoro dom był pełen ludzi z pogotowia?

– Poza tym bierze te cholerne leki – dodałem.

– Otóż to.

– Musimy się wszystkiego dowiedzieć. To znaczy mieć pewność.

– Cholera, pomyśl tylko, a jeśli on żyje? – powiedział Yngve.

Przeszył mnie lęk, jakiego nie zaznałem od dzieciństwa. Zacząłem chodzić tam i z powrotem wzdłuż balustrady, zatrzymałem się i zajrzałem przez okno, żeby zobaczyć, czy babcia jest w kuchni. Odwróciłem się do Yngvego, który z rękami zaciśniętymi na balustradzie znów zapatrzył się w horyzont. Niech to jasna cholera! Jego rozumowanie było przejrzyste jak szkło. Jediną osobą, która widziała tatę, była babcia. Mieliśmy wyłącznie jej świadectwo, zdezorientowanej, splątanej staruszki, czyli właściwie żadnych podstaw, by wierzyć, że to prawda. Kiedy przyjechał Gunnar, było po wszystkim. Karetka już go zabrała, a później nikt nie kontaktował się ze szpitalem ani z ratownikami, którzy się tu zjawili. W zakładzie pogrzebowym też o niczym nie wiedzieli. Minęła ponad doba, odkąd babcia go znalazła. A on w tym czasie mógł po prostu leżeć w szpitalu.

– Dzwonimy do Gunnara? – spytałem.

Yngve odwrócił się w moją stronę.

– On wie nie więcej niż my.

– No to musimy jeszcze raz porozmawiać z babcią. I może zadzwonić do zakładu pogrzebowego. Oni powinni jakoś się tego dowiedzieć.

– O tym samym myślałem – przyznał Yngve.

– Zadzwoisz?

– Mogę zadzwonić.

Weszliśmy do środka.

Nagły podmuch wiatru wepchnął do salonu zasłony wiszące w drzwiach. Zamknąłem je i poszedłem za Yngvem do jadalni i dalej do kuchni. Na dole trzasnęły drzwi wejściowe. Popatrzyłem na Yngvego. Co tu się dzieje?

– Kto to może być? – spytała babcia.

Czy to tata?

Wrócił?

Bałem się tak jak nigdy wcześniej.

Na schodach rozległy się kroki.

To musi być tata. Wiedziałem, że to on.

Cholera, wrócił.

Odwróciłem się i poszedłem do salonu, aż pod drzwi na taras, gotów wyjść, przebiec przez trawnik, uciec z tego miasta i nigdy więcej tu nie wracać.

Zmusiłem się, żeby stać w miejscu. Słyszałem, jak kroki skręcają, dochodząc do podestu, jeszcze ostatnie stopnie i będzie w salonie. Musiał szaleć z wściekłości. Co my, u diabła, wyczyniamy? Dlaczego grzebiemy w jego rzeczach? Po co przyjechaliśmy i wdzieramy się w jego życie?

Cofnąłem się o krok i zobaczyłem wchodzącego do kuchni Gunnara.

Oczywiście, to był Gunnar.

– Sporo już zrobiliście, jak widzę – stwierdził.

Podszedłem do nich. Nie czułem się głupio, raczej mi ulżyło, bo jeśli tata wróci w obecności Gunnara, będzie nam łatwiej.

Usiedli przy kuchennym stole.

– Pomyślałem, że mógłbym wywieźć jeden transport na wysypisko już dzisiaj – zaproponował Gunnar. – To po drodze do domku letniskowego. Wrócę z przyczepą jutro przed południem i trochę wam pomogę. Wydaje mi się, że wypełnią ją te śmieci, które leżą przed garażem.

– Ja też tak myślę – przyznał Yngve.

– Możemy dołożyć parę worków – ciągnął Gunnar. – Z ubraniami z jego pokoju i innymi rzeczami. – Wstał. – No, to bierzemy się do roboty. Szybko pójdzie. – W salonie zatrzymał się i spojrzał w głąb. – Te ubrania możemy zabrać od razu, prawda? Nie będziecie musieli na nie patrzeć. To okropne...

– Ja to mogę zrobić – oświadczyłem. – Chyba lepiej nie dotykać ich gołymi rękami.

Włożyłem żółte rękawiczki i wpakowałem wszystko, co leżało na kanapie, do czarnego worka na śmieci. Zamknąłem oczy, kiedy palce chwyciły wyschnięte gówno.

– Zabierz też poduszki – powiedział Gunnar. – I ten dywan. Nie wygląda dobrze.

Zrobiłem tak, jak sugerował. Wyniosłem to wszystko przed dom i ułożyłem w przyczepie. Potem razem z Yngvem zaczęliśmy wrzucać przygotowane wcześniej worki. Samochód Gunnara stał zaparkowany po drugiej stronie, to dlatego nie usłyszeliśmy warkotu silnika. Po zapełnieniu przyczepy obaj z Yngvem powtórzyli procedurę cofania i podjeżdżania, aż w końcu samochód Gunnara stanął tyłem i wystarczyło zamocować przyczepę. Kiedy odjechał, a Yngve znów zaparkował przed garażem, usiadłem na schodach. Brat oparł się o futrynę. Czoło błyszczało mu od potu.

– Byłem pewien, że to tata wchodzi po schodach – powiedział po chwili.

– Ja też.

Z dachu po drugiej stronie ogrodu sfrunęła sroka i zatoczyła nad nami koło. Kilka razy uderzyła skrzydłami, a dziwnie skórzasty odgłos, który się przy tym rozległ, wydał mi się nierzeczywisty.

– On z całą pewnością nie żyje – zawyrokował Yngve. – Na pewno tak jest. Ale musimy to sprawdzić. Zaraz zadzwonię.

– Wiem, do cholery. Tylko że mamy na to jedynie słowo babci. A przy takim pijaństwie i rozpadzie, do jakich doszło w tym domu, nie da się wykluczyć, że on po prostu był zalany w trupa. To naprawdę możliwe. I to by było dla niego typowe, prawda, gdyby wrócił akurat wtedy, kiedy grzebiemy w jego rzeczach. A to co nam mówiła... Jak to możliwe, że najpierw znalazła go rano, a potem wieczorem? Jak można coś takiego poplątać?

Yngve spojrzał na mnie.

– Może umarł wieczorem, a babcia myślała, że tylko śpi. Potem znalazła go rano. To możliwe. No a teraz tak ją to dręczy, że nie może się do tego przyznać, więc wymyśliła, że umarł rano.

– No tak, może tak być – przyznałem.

– Ale to nie zmienia sprawy zasadniczej – stwierdził Yngve. – Pójdę zadzwonić.

– Idę z tobą.

Poszedłem za nim na piętro. Podczas gdy szukał w portfelu wizytówki przedsiębiorcy pogrzebowego, najostrożniej, jak się dało, zamknąłem drzwi do kuchni, w której siedziała babcia, i przeszedłem do bawialni. Yngve wybrał numer. Nie miałem siły słuchać tej rozmowy, ale nie potrafiłem się powstrzymać.

– Dzień dobry, mówi Yngve Knausgård. Byliśmy u pana dzisiaj, pamięta pan...? No właśnie. Zastanawiamy się teraz... no, czy wiecie, gdzie on jest. Okoliczności są trochę niejasne, rozumie pan. Jediną osobą, która tu była, kiedy go zabrano, jest nasza babcia. A ona jest bardzo stara i nie całkiem wiarygodna. Więc nie do końca wiemy, co tu się stało. Mógłby pan się tego dowiedzieć? Tak... Tak... Tak... Bardzo dobrze. Dziękuję. Bardzo dziękuję. Tak... Do widzenia.

Yngve odłożył słuchawkę i spojrzał na mnie.

– Jest w domku letniskowym. Ale wykona kilka telefonów, jak się wyraził, i wszystkiego się dowie. Oddzwoni.

– To dobrze.

Poszedłem do kuchni, napełniłem wiadro gorącą wodą, dodałem trochę szarego mydła, wziąłem ścierkę i przeszedłem do salonu, w którym przez chwilę stałem, nie bardzo wiedząc, od czego zacząć. Do podłogi nie było sensu się zabierać, dopóki nie wyniesiemy wszystkich mebli przeznaczonych do wyrzucenia, poza tym i tak zdeptalibyśmy ją w następnych dniach. Mycie parapetów i futryn, drzwi i listew, regałów, krzeseł i stołu wydawało mi się zbyt drobną robotą, chciałem zrobić coś, co będzie widać. Najlepiej nadawały się do tego łazienka i toaleta na dole, bo tam należało wyszorować każdy centymetr. Tak również nakazywała logika, bo przecież wysprzątałem już pralnię znajdującą się naprzeciwko łazienki. No i tam mogłem być sam.

Jakiś ruch z lewej strony kazał mi odwrócić głowę. Za oknem stała olbrzymia mewa i zaglądała do środka. Dwa razy stuknęła dziobem w szybę i dalej stała.

– Widziałeś to? – spytałem głośno Yngvego, który był w kuchni. – Jakaś ogromna mewa wali dziobem w szybę.

Usłyszałem, że babcia wstaje.

– Musimy znaleźć dla niej coś do jedzenia – oświadczyła.

Podszedłem do drzwi. Yngve opróżnił szafki, już ustawił na blacie stos talerzy i szklanek. Babcia stanęła obok niego.

– Widzieliście tego ptaka? – spytałem.

– Nie, tego konkretnego nigdy nie widziałem – uśmiechnął się Yngve.

– Ona często tu przylatuje. Chce czegoś do jedzenia. O, to może dostać. – Babcia położyła kotlet na talerzyku; stanęła nad nim, zgarbiona i chuda, lok czarnych włosów opadł jej na oczy. Szybkimi ruchami zaczęła kroić mięso, częściowo pokryte zastygłym sosem.

Poszedłem za nią do salonu.

– Często tu przylatuje? – spytałem.

– Tak, prawie codziennie. Już od ponad roku. Zawsze coś dostaje, no wiesz. Zrozumiała to, dlatego tu przychodzi.

– Jesteś pewna, że to ten sam ptak?

– Ależ oczywiście, poznaję go, a on poznaje mnie.

Kiedy otworzyła drzwi na taras, mewa zeskoczyła z balustrady i bez cienia strachu podeszła do talerzyka. Stojąc w drzwiach, obserwowałem, jak sięga dziobem po kawałeczki jedzenia i odchyła łepkę, kiedy udało jej się coś dobrze uchwycić. Babcia stała obok i patrzyła na miasto.

– No tak – powiedziała.

W domu zadzwonił telefon.

Zrobiłem krok w tył, żeby widzieć aparat i upewnić się, że Yngve odbierze. Rozmowa trwała krótko. Kiedy odłożył słuchawkę, babcia weszła do domu, a mewa podfrunęła na balustradę, tam stała kilka sekund, po czym rozłożyła wielkie skrzydła i zerwała się do lotu. Paroma uderzeniami wzbija się wysoko nad trawnik. Śledziłem wzrokiem, jak leci w stronę portu. Za mną stanął Yngve. Zamknąłem drzwi i odwróciłem się do niego.

– Bezwzględnie nie żyje – oświadczył. – Leży w piwnicy w szpitalu. Jeżeli chcemy, w poniedziałek po południu możemy go zobaczyć.

– Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę – powiedziałem.

– No to zobaczymy.

Dziesięć minut później postawiłem wiadro z parującą wodą, butelkę klorinu i butelkę jifu na podłodze koło łazienki. Kilka razy strzepnąłem czarny worek, który ze sobą zabrałem, żeby go otworzyć, i zacząłem opróżniać łazienkę. Najpierw poszło to, co leżało na podłodze: stare, wyschnięte kawałki mydła, lepiące się butelki po szamponie, tekturowe rolki po papierze toaletowym, zbrązowiała szczotka do sedesu, opakowania po lekach, kilka tabletek luzem, kilka skarpetek, kilka wałków do włosów. Kiedy już to zebrałem, wyrzuciłem wszystko z szafki na ścianie, zostawiając tylko dwie butelki perfum, które wyglądały na drogie. Żyłetki, maszynki do golenia, szpilki do włosów, kolejne skrawki mydła, stare, wyschnięte kremy i maści, siatka do włosów, woda po goleniu, dezodoranty, kredki do oczu, szminki, kilka popękanych poduszeczek, których przeznaczenia nie byłem w stanie się domyślić, ale prawdopodobnie mających jakiś związek z makijażem. I włosy, krótkie, długie, kręcone i proste, nożyczki do paznokci, rolka plastra, nitka do zębów, grzebienie. Kiedy opróżniłem szafkę, na półkach został żółtobrazowy, dość gruby osad, którego postanowiłem się pozbyć na samym końcu, bo kafelki przy sedesie obok wieszaka na papier toaletowy pokrywały bladobrunatne plamy, a podłoga wokół się lepiała i to wydawało mi się najbardziej naglące. Spryskałem więc jifem kafelki i zacząłem je szorować, od samej góry pod sufitem aż po podłogę. Najpierw ścianę z prawej strony, potem tę przy lustrze, później wzdłuż wanny, a na końcu przy drzwiach. Wyszorowałem do czysta każdy kafelek, łącznie zajęło mi to ponad półtorej godziny. Od czasu do czasu myślałem o tym, że to tutaj dziadek zasłabł sześć lat temu i zawołał babcię, która zadzwoniła na pogotowie, a potem siedziała tu i trzymała go za rękę, dopóki karetka nie przyjechała. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że w tym domu wszystko było w porządku aż do tego momentu. Kiedy dziadek trafił do szpitala, okazało się, że od dłuższego czasu miał poważne krwotoki wewnętrzne. Jeszcze kilka dni, a umarłby, bo prawie nie miał już w sobie krwi. Musiał wiedzieć, że dzieje się coś złego, ale zwyciężyła niechęć do lekarzy. W końcu przewrócił się w łazience, był bliski śmierci, lecz chociaż znalazł się w szpitalu w porę i początkowo go odratowano, to jednak osłabienie okazało

się na tyle poważne, że nie przestał chorować i w końcu umarł.

Kiedy byłem mały, bałem się tej łazienki. Rezerwuar, najpewniej z lat pięćdziesiątych, z metalową dźwignią, z boku zakończoną niedużą czarną kulką, stale się zacinał i po użyciu jeszcze długo szumiał, a ten szum, dochodzący z ciemności na nieużywanym przez nikogo poziomie, pustym, z czystą niebieską wykładziną, z półką na kapelusze babci i dziadka oraz półką z ich butami, które w mojej wyobraźni były jakimiś istotami, jak zresztą wszystko w tym czasie, i z ziejącymi schodami na górę, zawsze przerażał mnie z taką mocą, że musiałem używać całej swojej zdolności przekonywania, by opanować lęk i wejść do łazienki. Wiedziałem, że tam nikogo nie ma, że ten szum to tylko szum, płaszcz to płaszcz, buty to buty, a schody to schody, ale przypuszczalnie ta świadomość jedynie umacniała strach, bo nie chciałem zostawać z tym wszystkim sam, bałem się tego, a owe martwe nieistoty jeszcze potęgowały to uczucie. Wciąż miałem w sobie resztki tego sposobu odbierania świata. Sedes wyglądał jak istota, umywalka też, i zlew, i worek na śmieci, ten chciwy, żarłoczny brzuch na podłodze.

Akurat tego wieczoru owo nieprzyjemne uczucie znów się pojawiło, ponieważ dziadek właśnie tutaj zasłabł, a tata dzień wcześniej umarł w salonie na górce, więc martwota tych wyimaginowanych istot łączyła się z ich martwotą, ojca i dziadka.

W jaki sposób odsunąć od siebie to uczucie?

Nic, trzeba sprzątać. Szorować, trzeć, wycierać i pucować. Patrzyć, jak kafelek po kafelku zaczyna lśnić czystością. Myśleć o tym, że wszystko, co zostało tutaj zrujnowane, zostanie naprawione. Wszystko. Wszystko. I o tym, że nigdy, w żadnych okolicznościach, nie trafię tam, gdzie on trafił.

Po umyciu ścian i podłogi wylałem brudy z wiadra do muszli i spuściłem wodę, ściągnąłem żółte rękawiczki i przewiesiłem je przez rant pustego czerwonego wiadra, upominając się w duchu, że muszę pamiętać, by jak najszybciej kupić szczotkę do sedesu. Chyba że znajdę jakąś w drugiej, osobnej toalecie. Zajrzałem tam. No i była. Musiałem jej teraz używać bez względu na jej stan, a nową kupić w poniedziałek. Idąc w stronę schodów, przystanąłem. Drzwi do pokoju babci były uchylone, z jakiegoś powodu podszedłem do nich i zajrzałem.

O nie.

Na łóżku nie było prześcieradła, babcia spała bezpośrednio na zasikany szorstkim materacu. Obok stało coś w rodzaju krzesła-nocnika z wiadrem pod spodem. Wszędzie leżały ubrania. W oknie rządki zwiędłych roślin. Odór amoniaku kręcił w nosie.

Co za cholerne gówno! Co za cholerne, pieprzone gówno!

Zostawiłem drzwi uchylone, tak jak je zastałem, i wolno wszedłem po schodach na piętro. Poręcz w kilku miejscach była aż czarna od brudu. Dotknąłem jej ręką, poczułem, że się lepi. Usłyszałem dźwięki płynące z telewizora. Kiedy wszedłem do salonu, babcia

siedziała w fotelu na środku, wpatrzona w ekran. Oglądała wiadomości na TV2. Musiało więc być między wpół do siódmej a siódmą.

Jak mogła siedzieć w fotelu tuż obok tego, w którym on umarł?

Żołądek mi się skurczył, ale łzy, jakby wyciśnięte w ten sposób, i grymasy twarzy, nad którymi nie mogłem zapanować, dzielił od odruchu wymiotnego nieskończony dystans, a poczucie braku równowagi i asymetrii przytłoczyło mnie w sposób niemal bliski panice, jakby rozrywało mnie od środka. Gdybym mógł, osunąłbym się na kolana, złożył dłonie i wołał do Boga, wołałbym, ale nie mogłem, tu nie było mowy o łasce, najgorsze już się stało, było po wszystkim.

Wszedłem do pustej kuchni. Wszystkie szafki były umyte i chociaż zostało jeszcze dużo do zrobienia – ściany, podłoga, szuflady, stół i krzesła – kuchnia wydawała się jakby lżejsza. Na blacie stała jedna z plastikowych półtoralitrowych butelek piwa. Perełki rosy pokrywały etykietkę. Obok leżały sery, brązowy i żółty, nóż do sera, paczka margaryny z nożem do masła wbitym na ukos, rękojeść lekko opierała się o tłuszcz. Na desce do krojenia leżał pszenny razowy chleb, do połowy wsunięty w czerwono-białą papierową torebkę. Przy nim nóż do chleba, piętka i okruszki.

Wyjąłem foliową torbę z najniższej szuflady, opróżniłem do niej dwie popielniczki ze stołu, zawiązałem ją i włożyłem do plastikowego, w połowie już wypełnionego worka w kącie, znalazłem ściereczkę i starłem ze stołu drobiny tytoniu i okruchy, położyłem babcine paczki z tytoniem i maszynkę do papierosów na kartonie z gilzami na końcu stołu, tuż pod parapetem, otworzyłem okno i unieruchomiłem je haczykiem. Poszedłem szukać Yngvego. Siedział na tarasie, tak jak myślałem. W jednej ręce trzymał szklanekę z piwem, w drugiej papierosa.

– Napijesz się? – spytał, kiedy mnie zobaczył. – W kuchni stoi butelka.

– Nie, dziękuję. Nie po tym, co się tu wydarzyło. Już nigdy nie będę pił piwa z plastikowych butelek.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Strasznie jesteś wrażliwy – stwierdził. – Ta butelka była nieotwarta. Stała w lodówce. Na pewno z niej nie pił.

Zapaliłem papierosa i oparłem się plecami o balustradę.

– Co zrobimy z ogrodem? – spytałem.

Yngve wzruszył ramionami.

– Nie możemy załatwić wszystkiego.

– Ale ja chcę – powiedziałem.

– Ach tak?

– Tak.

Właśnie teraz miałem zamiar powiedzieć mu o swoim planie. Ale nie mogłem się

przemóc. Wiedziałem, że Yngve będzie protestował, a w braku zgody, który by się wtedy ujawnił, kryło się coś, czego nie chciałem widzieć, nie chciałem też być tego częścią. Owszem, to drobiazg, ale czy moje życie kiedykolwiek składało się z czegoś innego? Kiedy byliśmy dziećmi, podziwiałem Yngvego, tak jak młodszy bracia podziwiają starszych, niczyjego uznania nie pragnąłem równie mocno jak jego i chociaż był trochę za duży, żeby nasze ścieżki krzyżowały się poza domem, to w domu trzymaliśmy się razem. Oczywiście nie było mowy o równouprawnieniu, z reguły to on stawiał na swoim, ale byliśmy sobie bliscy. Również dlatego, że mieliśmy wspólnego wroga, czyli tatę.

Nie pamiętam zbyt wielu konkretnych wydarzeń z dzieciństwa, ale te nieliczne, które utkwiły mi w pamięci, wiele mówiły. Potrafiliśmy na przykład cały czas się śmiać z drobiazgów, tak jak wtedy gdy pojechaliliśmy pod namiot do Anglii latem 1976 roku, które było niezwykle gorące, i pewnego wieczoru wspięliśmy się na wzgórze w pobliżu kempingu, a obok nas przejechał samochód. Yngve powiedział, że para, która w nim siedziała, całowała się, a ja usłyszałem „sikała”, i przez kilka minut zwijaliśmy się ze śmiechu, a ten śmiech wybuchał od nowa przy najmniejszej okazji aż do końca tego wieczoru.

Jeśli tęsknię za czymś z dzieciństwa, to chyba właśnie za śmianiem się z bratem do rozpuku z byle błahostki. Pamiętam, jak na tym samym wyjeździe cały wieczór graliśmy w piłkę na polanie obok namiotu razem z dwoma angielskimi chłopcami, Yngve w czapce Leeds, ja w czapce Liverpoolu, słońce zachodziło, dookoła nas gęstniała ciemność, z namiotów w pobliżu dochodziły ściszone głosy, a ja nie mogłem zrozumieć ani słowa. Yngve, dumny, tłumaczył. Pamiętam basen, na który poszliśmy pewnego ranka, zanim wyruszyliśmy w dalszą podróż, gdzie ja, chociaż nie umiałem pływać, mimo wszystko przedostałem się na głębiny, trzymając się nadmuchiwanej piłki, a ona nagle wyslizgnęła mi się z rąk i poszedłem na dno; byliśmy w tym basenie sami, Yngve wezwał pomoc, przybiegł młody mężczyzna i mnie wyciągnął, a moją pierwszą myślą po zwymiotowaniu chlorowaną wodą było to, że rodzice nie mogą się o tym dowiedzieć. Dni, z których wypływały te zdarzenia, były niezliczone, a więzy powstałe między nami – niezniszczalne. Nie zmieniał tego fakt, że Yngve potrafił być wobec mnie bardziej złośliwy niż ktokolwiek inny, bo to stanowiło część naszego związku, a nienawiść, jaką do niego wtedy czułem, była nie większa niż strumień w stosunku do morza, świeczka w stosunku do nocy. Yngve doskonale wiedział, co powiedzieć, żeby mnie rozwścieczyć i doprowadzić do tego, bym kompletnie stracił panowanie nad sobą. Umiał siedzieć spokojnie z tym swoim drwiącym uśmieszkiem i drażnić się ze mną dotąd, aż złość całkiem przejmowała nade mną władzę i przestawałem widzieć wyraźnie, dosłownie. Miałem ciemno przed oczami i nie wiedziałem już, co robię. Potrafiłem z całej siły cisnąć w niego trzymanym w ręku kubkiem albo kanapką czy pomarańczą, jeśli akurat ją jadłem, albo rzucałem się na niego i zaczynałem go bić, oślepiony łzami i tą czarną wściekłością. On natomiast zachowywał nad wszystkim kontrolę, przytrzymał mnie za ręce i mówił: „No już, no już, malutki, taki

jesteś teraz zły, biedactwo...”. Wiedział też o wszystkich moich lękach, więc kiedy mama miała nocny dyżur, tata był na zebraniu zarządu gminy, a w telewizji pokazywali powtórkę serialu science fiction *Pasażer na gapę*, zazwyczaj puszczanego późnym wieczorem właśnie po to, by tacy jak ja nie mogli go oglądać, dla mojego brata najprostszą rzeczą na świecie było pogaszenie światel w domu, zamknięcie drzwi wejściowych i powtarzanie: „Ja nie jestem Yngve, jestem pasażerem na gapę”, podczas gdy ja wrzeszczałem ze strachu, błagając, by powiedział, że jest Yngvem. „No powiedz, powiedz, jesteś Yngve. Wiem, że jesteś Yngvem. Nie jesteś żadnym pasażerem na gapę, tylko Yngvem...”. Wiedział, że bałem się również odgłosu powstającego w rurach po odkręceniu ciepłej wody, przenikliwego dźwięku, który wkrótce przechodził w walenie; ten lęk był dla mnie niemożliwy do opanowania w sposób inny niż ucieczką. W końcu zawarliśmy umowę, że kiedy Yngve rano umyje się w umywalce, nie będzie wyciągał korka, tylko zostawi wodę dla mnie. Mniej więcej przez pół roku codziennie rano myłem ręce i twarz w wodzie po Yngvem.

Kiedy jako siedemnastolatek wyprowadził się z domu, nasze stosunki oczywiście się odmieniły. Zniknęła wspólna codzienność i Yngve urósł w moich oczach, zarówno on, jak i jego życie, szczególnie to, które wiódł w Bergen, dokąd z czasem pojechał na studia. Chciałem żyć tak jak on.

Tamtej jesieni, kiedy chodziłem do pierwszej klasy liceum, odwiedziłem go w akademiku Alrek. Natychmiast po wyjściu z autobusu z lotniska do centrum znalazłem kiosk i kupiłem paczkę papierosów Prince oraz zapalniczkę. Nigdy wcześniej nie paliłem, ale od dawna planowałem, że to zrobię, i uznałem, że samodzielny wyjazd do Bergen będzie odpowiednią okazją. Stanąłem więc pod zielonymi iglicami kościoła Świętego Jana, mając przed sobą Torgallmenningen, pełen ludzi, samochodów i lśniącego szkła. Niebo było błękitne, plecak leżał na asfalcie obok mnie. Wsunąłem papierosa w kącik ust, a kiedy go zapaliłem, osłaniając żółtą zapalniczkę dłonią od wiatru, zrobiłem to z silnym, wręcz przytłaczającym poczuciem wolności. Byłem sam, mogłem robić, co chciałem, świat stał przede mną otworem. Trochę pokasłałem, bo dym szarpał za gardło, ale jak na takie okoliczności poszło gładko, poczucie swobody nie straciło na intensywności. Kiedy skończyłem palić, schowałem czerwono-białą paczkę papierosów do kieszeni kurtki, zarzuciłem plecak na ramię i poszedłem spotkać się z Yngvem. W liceum w Kristiansand nic nie było moje, ale Yngve był mój, to co miał on, miałem i ja, dlatego nie tylko się cieszyłem, lecz również czułem dumę, kiedy godzinę później klęczałem w jego pokoju, do którego słońce wpadało przez zmatowiałe od spalin okno, i przeglądałem zbiór płyt w trzech skrzynkach po winie pod ścianą. Wieczorem wyszliśmy na miasto razem z trzema jego znajomymi dziewczynami, wcześniej pozwolił mi skorzystać ze swojego dezodorantu Old Spice i żelu do włosów, a przed wyjściem, kiedy staliśmy przed lustrem w przedpokoju, podwinął rękawy mojej koszuli w czarno-białą kratkę, podobnej do tej, którą The Edge z U2 nosił na wielu zdjęciach, i poprawił mi klapy marynarki. Z dziewczynami spotkaliśmy się w mieszkaniu jednej z nich, bardzo je bawiło, że mam dopiero szesnaście lat, i uważały, że powinienem trzymać którąś z nich za rękę, kiedy będziemy przechodzić obok bramkarza, co zresztą zrobiłem. Wtedy pierwszy raz znalazłem się w knajpie, do której wpuszczali od osiemnastu lat. Następnego dnia poszliśmy do Café Opera i Café Galleri, tam spotkaliśmy się z mamą. Mieszkała wówczas w mieszkaniu swojej ciotki Johnny na Søndre Skogveien, które Yngve z czasem przejął, a ja odwiedzałem go tam, kiedy przyjeżdżałem do Bergen. Mniej więcej rok później zjawiłem się z magnetofonem, żeby przeprowadzić wywiad z amerykańskim zespołem Wall of Voodoo, który grał w Hulen tamtego wieczoru. Nie byłem umówiony, jednak dostałem się tam na podstawie legitymacji prasowej; podczas próby dźwięku staliśmy tuż przy wejściu na scenę i czekaliśmy na nich, ja w białej koszuli i czarnym sznurkowym krawacie bolo z dużym błyszczącym orłem, w czarnych spodniach i kowbojkach. Ale kiedy muzycy przyszli, nagle straciłem odwagę, nie śmiałem się do nich odezwać, wyglądali tak groźnie, ta banda trzydziestoletnich narkomanów z Los Angeles. To Yngve w końcu uratował sytuację. *Hey, mister!* – zawołał,

basista odwrócił się i podszedł, a Yngve powiedział: *This is my little brother, he has come all the way from Kristiansand down south to make an interview with Wall of Voodoo. Is that OK with you? Nice tie!* odparł basista i chwilę później, czerwony jak burak, szedłem za nim do garderoby. Był ubrany całkiem na czarno, miał wielkie tatuaże na ramionach, długie czarne włosy, kowbojki i był niezmiernie przyjazny; poczęstował mnie piwem i wyczerpująco odpowiadał na wszystkie moje pytania dziennikarza z gazetki szkolnej, zapisane na kartce. Innym razem przeprowadzałem w Bergen wywiad z Blaine'em Reiningerem, który akurat wtedy opuścił Tuxedomoon; siedzieliśmy na miękkiej skórzanej kanapie w Café Galleri. Nigdy nawet przez moment nie miałem wątpliwości, że właśnie tutaj, do tej metropolii, z jej kawiarniami, salami koncertowymi i sklepami płytowymi, przeniosę się po skończeniu liceum.

Po koncercie Wall of Voodoo siedzieliśmy w Hulen i wtedy postanowiliśmy, że kiedy przyjadę, założymy zespół: kolega Yngvego, Pål, mógł grać na basie, Yngve na gitarze, a ja na perkusji. Wokalistę mieliśmy znaleźć, kiedy przyjdzie na to czas. Yngve miał pisać muzykę, ja teksty, a któregoś dnia, tak sobie powiedzieliśmy tego wieczoru, zagramy tutaj, w Hulen. Wyjazdy do Bergen były dla mnie w tamtym czasie jak wyprawy w przyszłość. Porzucąłem swoje dotychczasowe życie i spędzałem kilka dni w następnym, po czym znów wracałem do starego. W Kristiansand byłem sam i musiałem walczyć o wszystko, w Bergen byłem razem z Yngvem, a to co miał on, przypadało w udziale także mnie. Nie tylko bary i kawiarnie, sklepy i parki, sale wykładowe, lecz również wszyscy jego przyjaciele, którzy wiedzieli zarówno kim jestem, jak i co robię, wiedzieli, że prowadzę własny program w lokalnej rozgłośni radiowej, a także piszę recenzje płyt i koncertów do „Fædrelandsvennen”; po tych spotkaniach Yngve zawsze mi powtarzał, co o mnie mówiono, najczęściej to dziewczyny miały coś do powiedzenia – że jestem ładny albo dojrzały jak na swój wiek i tak dalej – ale uwagi mieli też chłopcy, szczególnie zapadł mi w pamięć komentarz Arvida, że jestem podobny do chłopca ze *Śmierci w Wenecji* Viscontiego. Byłem dla nich kimś, oczywiście dzięki Yngvememu. To on zabierał mnie do schroniska Vindilhytta, gdzie w każdego sylwestra zbierali się wszyscy jego przyjaciele. Pewnego lata sprzedawałem kasety na ulicy w Arendal i zarobiłem mnóstwo pieniędzy, więc wychodziłmy gdzieś prawie co wieczór; któregoś razu, pamiętam to, Yngve nie krył zaskoczenia, ale również dumy z tego, że potrafię wypić pięć butelek wina i wciąż zachowywać się w miarę porządnie. Pod koniec owego lata zacząłem chodzić z siostrą dziewczyny Yngvego. Robił mi w tamtym czasie mnóstwo zdjęć swoim nikonem lustrzanką – wszystkie czarno-białe, wszystkie niesłychanie upozowane – a raz poszliśmy nawet do fotografa, żeby dziadkowie ze strony ojca i babcia ze strony matki dostali na Gwiazdkę nasze zdjęcia. Rzeczywiście, dostali, ale fotografia trafiła też do gablotki fotografa we foyer kina w Kristiansand i tam każdy, kto chciał, mógł zobaczyć, jak pozujemy w ubraniach i fryzurach charakterystycznych dla lat osiemdziesiątych. Yngve w jasnoniebieskiej koszuli z nadgarstkiem oplecionym rzemykami, z długimi włosami na karku, krótkimi na czubku głowy, ja w koszuli w czarno-białą kratę, w czarnej marynarce z

podwiniętymi rękawami, w czarnych spodniach z paskiem nabijanym ćwiekami, z włosami jeszcze dłuższymi na karku i jeszcze krótszymi na czubku głowy niż miał Yngve, a na dodatek z krzyżem zwisającym z ucha. W tym czasie często chodziłem do kina, zwykle z Janem Vidarem albo z innymi kolegami z Tveit, i widząc swoje zdjęcie w podświetlonej gablocie, nigdy całkiem nie potrafiłem utożsamiać go ze mną, a właściwie z moim życiem w Kristiansand, które miało pewną zewnętrzną, obiektywną jakość, ponieważ wiązało się z konkretną przestrzenią, taką jak szkoła, hala sportowa, centrum miasta, i z konkretnymi ludźmi, moimi przyjaciółmi, kolegami z klasy i z drużyny, zdjęcie natomiast miało związek z czymś intymnym i skrywanym, przede wszystkim z rodziną, ale również z moimi planami, które zamierzałem zrealizować, jeśli tylko zdołam się stąd wyrwać. I tak jak Yngve rozmawiał o mnie ze swoimi przyjaciółmi, tak ja nigdy nie wspominałem o nim swoim.

Wystawienie owej wewnętrznej przestrzeni na pokaz w przestrzeni zewnętrznej było denerwujące i dokuczliwe. Ale jeśli nie liczyć kilku komentarzy, nikt się tym nie zainteresował, ponieważ nie byłem osobą, którą się interesowano.

Kiedy wreszcie w 1987 roku skończyłem liceum, z jakiegoś powodu nie przeprowadziłem się jednak do Bergen, lecz pojechałem do maleńkiej wioski na wyspie na północy Norwegii i tam przez rok pracowałem jako nauczyciel. Planowałem, że wieczorami będę pisał powieść, a za środki zaoszczędzone z nauczycielskiej pensji na rok wyjadę do Europy; kupiłem książkę, w której opisywano wszystkie możliwe i niemożliwe dorywcze prace w poszczególnych krajach europejskich, i taki właśnie miałem zamiar: jeździć z miasta do miasta, z kraju do kraju, trochę pracować, trochę pisać, wieść swobodne i niezależne życie. Jednak dzięki napisanym tamtego roku tekstom dostałem się do nowo otwartej Hordalandzkiej Akademii Sztuki Pisania; niewiarygodnie połączony tym sukcesem, zmieniłem wszelkie plany i w wieku dziewiętnastu lat wzięłem kurs na Bergen, gdzie mimo wszystkich marzeń i wyobrażeń o życiu wagałbundy, włóczącego się po świecie, mieszkałem przez następnych dziewięć lat.

Zaczęło się dobrze. Słońce świeciło, kiedy wyskoczyłem z autobusu, który dowiózł mnie z lotniska na Targ Rybny, a Yngve, w weekendy i ferie pracujący jako recepcjonista w hotelu Orion, był w dobrym humorze, gdy wszedłem do recepcji. Musiał zostać w pracy jeszcze pół godziny, a potem mogliśmy kupić krewetki i piwo, żeby oblać początek mojego nowego życia. Siedzieliśmy na schodach przed jego mieszkaniem, piliśmy piwo, a muzyka The Undertones płynęła do nas z wieży stereo stojącej w pokoju. Wieczorem byliśmy już trochę pijani, ale zamówiliśmy taksówkę i pojechaliśmy do Oli, jednego z kolegów Yngvego, wypiliśmy u niego jeszcze trochę, a potem poszliśmy do Café Opera i przesiadaliśmy tam aż do zamknięcia przy stoliku, do którego stale ktoś podchodził. „To jest mój młodszy brat, Karl Ove – mówił za każdym razem Yngve. – Przeniósł się do Bergen i będzie studiował w Akademii Sztuki Pisania. Zostanie pisarzem”.

Yngve załatwił mi mieszkanie do wynajęcia w dzielnicy Sandviken; dziewczyna, która je zajmowała, wybierała się na rok do Ameryki Południowej. Do jej wyjazdu miałem

nocować u niego na kanapie. Tam nieustannie mnie pouczał z powodu przeróżnych drobiazgów, jak zawsze gdy mieszkaliśmy razem dłużej niż kilka dni, choć nie zdarzało się to często; tak było już w Alreku, kiedy opieprzał mnie za krojenie zbyt grubych plasterków sera albo nieodstawienie płyt na miejsce, z którego je wzięłem, i takich samych drobiazgów czepiał się teraz – nie wycierałem dostatecznie starannie podłogi w łazience, jedząc, kruszyłem na podłogę, nie byłem odpowiednio delikatny przy opuszczaniu igły gramofonu na rowek w płycie. W końcu miałem dość. Kiedy staliśmy przy jego samochodzie, a on mi tłumaczył, że za mocno trzasnąłem drzwiczkami, jak ostatnio wsiadałem, wściekły krzyknąłem, żeby przestał mi mówić, co mam robić. I przestał. Później już mnie nie pouczał. Ale równowaga w naszym związku została zachowana – to ja wszedłem do jego świata, w którym byłem i pozostałem młodszym bratem. Życie w Akademii Sztuki Pisania nie należało do łatwych i żadnych przyjaciół tam nie zyskałem. Wszyscy byli ode mnie starsi, a poza tym nie potrafiłem znaleźć z nikim żadnych punktów styecznych, głównie więc snułem się za Yngvem, dzwoniłem do niego, pytałem, czy ma jakiś pomysł na weekend, a miał zawsze, i czy mógłbym się do niego przyłączyć. Mogłem. Po samotnej włóczędze po mieście przez całą niedzielę albo po leżeniu w łóżku i czytaniu kusilo mnie, żeby zajrzeć do niego wieczorem, chociaż upominałem się, że mi nie wolno, że muszę sobie radzić sam, pokusa była jednak za duża, bym mógł się jej oprzeć, dlatego nie potrafię nawet policzyć wieczorów spędzonych u niego na kanapie przed telewizorem.

Po jakimś czasie Yngve przeniósł się do innego mieszkania razem z kolegami; dla mnie nie było to dobre, bo wtedy moje uzależnienie od niego stało się bardziej widoczne. Nie pamiętam dnia, żebym do nich nie pukał, a kiedy Yngvego nie było, i tak przesiadywałem u nich w salonie – albo z obowiązku zabawiany przez jednego ze współlokatorów brata, albo sam, przerzucając jakiś magazyn muzyczny czy gazetę, niczym jakaś cholerna karykatura człowieka, któremu się nie powiodło. Potrzebowałem Yngvego, ale Yngve nie potrzebował mnie. Taka była prawda. Owszem, mogłem rozmawiać przy nim z jego kolegami, bo wtedy istniał jakiś kontekst, ale sam? Miałbym przyjść do któregoś z nich? To by wyglądało dziwnie i nieprawdziwie, sprawiałbym wrażenie namolnego. Tak się nie dało. No i moje zachowanie też pozostawiało wiele do życzenia, łagodnie mówiąc. Często za bardzo się upijałem i nie hamowałem się, kiedy wpadło mi do głowy, żeby zrobić komuś przykrość. Chętnie krytykowałem cudzy wygląd albo czepiałem się jakichś błahostek.

Powieść, nad którą pracowałem w trakcie studiów w Akademii Sztuki Pisania, odrzucono. Bez przekonania zacząłem więc studiować na uniwersytecie literaturoznawstwo, nie mogłem już pisać i z mojej rzeczywistości literackiej zostało tylko jej pragnienie. Co prawda było ono mocne, lecz ile jest w środowisku uniwersyteckim osób skrywających takie pragnienia? Z naszym zespołem o nazwie Okolice Kafki graliśmy w Hulen, graliśmy w Garage'u, niektóre z naszych utworów puszczano w radiu, dostaliśmy parę niezłych recenzji w gazetach muzycznych, czyli szło nam nieźle, ale wiedziałem, że jestem w tym zespole wyłącznie z powodu Yngvego, bo jako perkusista tak naprawdę do

niczego się nie nadawałem. W wieku dwudziestu czterech lat nagle uświadomiłem sobie, że to faktycznie jest moje życie, że właśnie tak ono wygląda i prawdopodobnie zawsze będzie tak wyglądać. A studia, ten osławiony, opisywany często okres w życiu, który zawsze wspomina się z radością, dla mnie były jedynie szeregiem samotnych dni, odległych od ideału. Nie rozumiałem tego wcześniej; cały czas nosiłem w sobie nadzieję i wszystkie śmieszne marzenia, jakie potrafi snuć dwudziestolatek – o kobietach i miłości, o przyjaciółach i szczęściu, o ukrytym talencie i nagłym przełomie. Ale w wieku dwudziestu czterech lat zrozumiałem, jak jest naprawdę. I było okej, ja też miałem swoje drobne radości, nie w tym rzecz, potrafiłem wytrzymać samotność i upokorzenie, nie miałem w sobie dna; chodźcie, dni, potrafiłem myśleć, ja was przyjmę, jestem studnią, studnią dla tego, co nieudane, nędzne, nieszczęsne, żalosne, głupie, pozbawione radości i upokarzające. Dawajcie, co macie! Olewajcie mnie! Srajcie na mnie, jeśli chcecie! Ja to przyjmę! Wytrzymam! Jestem uosobieniem wytrzymałości. Nigdy nie miałem wątpliwości, że właśnie to widziały w moich oczach dziewczyny, które próbowałem podrywać: za dużo silnej woli, za mało nadziei. Natomiast Yngve, który przez cały ten czas miał przyjaciół, studia, pracę i swój zespół, nie mówiąc już o dziewczynach, dostawał każdą, której zapragnął.

Co takiego miał on, czego nie miałem ja? Dlaczego potrafił poderwać każdą dziewczynę, natomiast te, z którymi ja rozmawiałem, wydawały się albo przerażone, albo pełne drwiny? Ale i tak starałem się trzymać blisko niego. Jedyнным dobrym przyjacielem, jakiego miałem w tych latach, był Espen, który studiował w Akademii Sztuki Pisania rok po mnie, a poznałem go na literaturoznawstwie, kiedy poprosił mnie o przeczytanie kilku swoich wierszy. Nie miałem pojęcia o poezji, ale rzuciłem na nie okiem i wygadywałem jakieś bzdury, które on brał za dobrą monetę, a potem powolutku się zaprzyjaźniliśmy. Espen był takim typem, co to w liceum czytał Becketta, słuchał jazzu i grał w szachy, miał długie włosy i dość nerwowe, lękliwe usposobienie. Był zamknięty na wszelkie zgromadzenia liczące więcej niż dwie osoby, za to intelektualnie był otwarty i w drugim roku naszej znajomości zadebiutował zbiorkiem wierszy, przy czym nie obyło się bez mojej zazdrości. Yngve i Espen reprezentowali dwie strony mojego życia i co typowe, nie miksowali się ze sobą.

To Espen – chociaż nie miał tej świadomości, bo zawsze udawałem, że prawie wszystko wiem – wciągnął mnie w świat literatury zaawansowanej, w którym pisało się esej na temat jednego wersu Dantego, gdzie stopień skomplikowania nie miał ograniczeń, gdzie sztuka łączyła się z czymś, co najwyższe, ale nie w znaczeniu „napuszone”, bo poruszaliśmy się w ramach kanonu modernistycznego, tylko „niepoznawalne”, co najlepiej zilustrował Blanchot w opisie spojrzenia Orfeusza – noc nocy, negacja negacji; to reprezentowało znacznie wyższy poziom niż nasze trywialne życie, ale nauczyłem się wtedy, że w tym naszym śmiesznym, małym życiu, w którym nie mogliśmy spełnić żadnych swoich pragnień, naprawdę żadnych, bo nie mieliśmy do tego zdolności ani mocy, także

uczestniczymy w tym świecie, a zatem również w tym co najwyższe, książki przecież istniały, wystarczyło je czytać, nikt inny oprócz mnie samego nie mógł mnie od nich odciąć. Chodziło jedynie o to, by po nie sięgnąć.

Literatura wysokiego modernizmu była narzędziem, formą poznania, a wiedzę, którą przynosiła, można było po przepracowaniu odrzucić, nie tracąc zarazem tego, co w niej istotne, sama forma przecież pozostawała i dawała się zastosować do własnego życia, własnych fascynacji, które nagle potrafiły objawić się w zupełnie nowym, wypełnionym znaczeniem świetle. Tą drogą podążył Espen, a ja za nim, co prawda jak głupi psiak, ale do niego dołączyłem. Przejrzałem trochę Adorna, przeczytałem kilka stron Benjamina, parę dni pochylałem się nad Blanchotem, zerknąłem na Derridę i Foucaulta, przez jakiś czas próbowałem Kristevej, Lacana, Deleuze'a, a jednocześnie wokół mnie unosiły się wiersze Ekelöfa, Björlinga, Pounda, Mallarmégo, Rilkego, Trakla, Ashbery'ego, Mandelsztama, Lunden, Thomsena i Haugego, którym nigdy nie poświęcałem więcej niż kilka minut, czytałem je jak prozę, jak MacLeana czy Bagleya, i niczego się nie nauczyłem, niczego nie rozumiałem, lecz już sam kontakt z nimi, samo posiadanie ich książek na półce prowadziło do przesunięcia w świadomości; wzbogacało mnie to, że wiedziałem o ich istnieniu, i nawet jeśli nie uzyskiwałem od nich wiedzy, to tym bardziej bogaciłem się o domysły i przypuszczenia.

Nie mogłem tym zaimponować na egzaminie ani podczas dyskusji, ale też mnie, królowi bylejakości, wcale nie o to chodziło. Zależało mi na wzbogaceniu. A przy czytaniu na przykład Adorna wzbogacało mnie nie to, co czytałem, lecz moje wyobrażenie samego siebie podczas lektury. Byłem kimś, kto czyta Adorna! Jednak w tym ciężkim, zawiłym, starannym i dokładnym języku, usiłującym wznosić myśl na coraz większe wyżyny, w którym każda kropka stawiana była niczym hak alpinisty, istniało również coś innego, ów konkretny sposób zbliżania się do nastroju rzeczywistości, ów cień zdań, który potrafił wzbudzić we mnie mgliste pragnienie stosowania tego języka o konkretnej atmosferze do opisu czegoś rzeczywistego, czegoś żywego. Nie do argumentu w dyskusji, lecz na przykład do rysia czy kosa albo betoniarki. Język bowiem nie otulał rzeczywistości swoim nastrojem, tylko odwrotnie, rzeczywistość się z niego wyłaniała.

Nie ujmowałem tego w słowa, nie istniało to w postaci myśli, ani nawet domysłów, było raczej czymś w rodzaju mglistego przyciągania. Tej mojej strony nie pokazywałem Yngvem, głównie dlatego że w ogóle go ona nie interesowała i ani trochę w nią nie wierzył; studiował medioznawstwo i w pełni podzielał żywe na tym kierunku przekonanie o nieistnieniu czegoś takiego jak jakość obiektywna, uważał, że wszelkie oceny są względne, a to, co popularne jest równie dobre jak to, co niepopularne. Z czasem jednak ta różnica między nami, to co ukrywałem, coraz bardziej mnie denerwowała, zaczęła dotyczyć nas jako osób, pokazywała, że tak naprawdę dzieli mnie od Yngvego duży dystans, a tego nie chciałem, za skarby świata nie chciałem, dlatego systematycznie umniejszałem wszystko, co miało z tym związek. Jeśli poniosłem klęskę, jeśli coś mi się

nie udało albo rozumiałem coś w sposób ewidentnie zły, bez wahania mu o tym mówiłem, bo pozytywnie przyjmowałem wszystko, co w jego oczach mogło mnie zepchnąć w dół, natomiast o znaczących osiągnięciach często w ogóle mu nie wspominałem.

Samo w sobie nie było to może aż tak groźne, lecz kiedy zacząłem zdawać sobie sprawę, że tak postępuję, zrobiło się gorzej, bo nie mogłem przestać o tym myśleć, więc kiedy byliśmy razem, nie zachowywałem się naturalnie i spontanicznie, nie plotłem już, co mi ślina na język przyniesie, jak zawsze w jego obecności, lecz zacząłem liczyć, kalkulować, rozważać. Przy Espenie zachowywałem się podobnie, chociaż odwrotnie, przy nim tłumiałem lekkość i rozrywkowość życia. W tym czasie miałem dziewczynę, w której nigdy tak naprawdę nie byłem zakochany, o czym ona oczywiście nie mogła się dowiedzieć. Byliśmy razem cztery lata. Odgrywałem więc rozmaite role, kogoś innego udawałem tu, kogoś innego tam. Jakby tego było mało, pracowałem ponadto w zakładzie dla upośledzonych i nie poprzestawałem na wtórowaniu pozostałym pracownikom, z wykształcenia opiekunom medycznym, lecz również chodziłem na ich imprezy, odbywające się w tej części miasta, której unikali studenci, w prostackich pubach z pianistą i wspólnym śpiewaniem; tam przyswajałem sobie ich opinie i poglądy. Własnych się wypierałem albo zachowywałem je dla siebie. W moim charakterze pojawiło się pewne przyczajenie, coś wątpliwego moralnie, brakowało w nim stałości i szczerości, tak wyraźnej u wielu osób, z którymi spotykałem się w tym czasie i które podziwiałem. Z Yngvem byłem zbyt blisko, by móc go w taki sposób oceniać, bo rozum, bez względu na to, ile dobrego można o nim powiedzieć, ma pewną wielką słabość, a mianowicie do właściwego funkcjonowania potrzebuje pewnego dystansu. Wszystko, czemu tego dystansu brakuje, jest podporządkowane uczuciom. Właśnie ze względu na moje uczucia dla Yngvego zacząłem zatajać pewne rzeczy. Jemu wszystko musiało się powieść. Moja matka mogła doświadczać niepowodzeń i w niczym mi to nie przeszkadzało, mój ojciec i przyjaciele również, a przede wszystkim ja sam, głównie mnie to obchodziło, ale Yngvem nie mogło się nie powieść, nie mógł się wygłupić, nie mógł okazać słabości. Gdy jednak tak się zdarzało, a ja obserwowałem to ze wstydem, i tak wstyd za Yngvego nie był najważniejszy, najważniejsze było to, żeby go nie poczuł, żeby się nie dowiedział, iż żywię takie uczucie. Mój uciekający w takich sytuacjach wzrok, którego zadaniem było ukrywanie uczuć zamiast ich okazywania, musiał być wyraźny, chociaż trudny do zrozumienia. Palnięte przez Yngvego głupstwo albo oczywisty banał nie zmieniały mojego stosunku do niego, nie oceniałem go z tego powodu inaczej, mój niepokój więc wynikał wyłącznie z obawy, iż on mógłby pomyśleć, że się go wstydzę.

Raz na przykład siedzieliśmy późnym wieczorem w Garage'u i dyskutowaliśmy o czasopiśmie, które już od pewnego czasu zamierzaliśmy wydawać; przecież otaczali nas ludzie piszący i fotografujący, a wszystkich łączyło to, że równie świetnie znali skład drużyny Liverpoolu w 1982 roku, jak członków szkoły frankfurckiej, angielskie zespoły na równi z norwesкими pisarzami, niemieckie filmy ekspresjonistyczne i amerykańskie seriale

telewizyjne, więc wydawanie reporterskiego magazynu poważnie traktującego rozmaite tematy – piłkę nożną, muzykę, literaturę, film, filozofię, fotografię i sztukę – długo uznawaliśmy za doskonały pomysł. Tej nocy siedzieliśmy z Ingarem Mykingiem, redaktorem naczelnym studenckiej gazetki „Studvest”, i Hansem Mjelvą, który oprócz tego, że śpiewał w naszym zespole, był poprzednikiem Ingara na stanowisku w redakcji. Kiedy Yngve zaczął mówić o magazynie, nagle usłyszałem jego słowa uszami Ingara i Hansa. Zabrzmiały płytko i trywialnie, więc wbiłem wzrok w stół. Yngve, perorując, wielokrotnie na mnie spoglądał. Czy miałem powiedzieć to, co myślałem, a więc go poprawić? Czy też powinienem zignorować własną opinię, wyprzeć się siebie i wspierać go w tym, o czym mówił? Ingar i Hans pomyśleliby wtedy, że podzielałem jego stanowisko. A tego również nie chciałem. Wybrałem więc rozwiązanie pośrednie i nie odezwałem się ani słowem, próbując milczeniem potwierdzić zarówno opinie Yngvego, jak i przypuszczalną ocenę Ingara i Hansa.

Taką tchórzliwością wykazywałem się często; nie chcąc nikogo urazić, wstrzymywałem się od ujawnienia własnego zdania. Tym razem jednak sytuacja była trudniejsza, ponieważ chodziło o Yngvego, którego chciałem widzieć górującego nade mną, bo według mnie tam było jego miejsce; ponadto w grę wchodziła również moja próżność, zależało mi na opinii słuchaczy, nie mogłem więc się z tego wykić potakiwaniem.

Większość tego, co Yngve i ja robiliśmy razem, odbywała się na jego zasadach, a gros tego, co robiłem sam, na przykład czytanie i pisanie, trzymałem od niego z dala. Od czasu do czasu jednak te dwa światy się spotykały. Było to nieuniknione, bo Yngve również interesował się literaturą, chociaż nie przykładął do niej takiej wagi jak ja. Zdarzyło się tak na przykład wtedy, gdy miałem przeprowadzić wywiad z pisarzem Kjartanem Fløgstadem dla magazynu studenckiego, a Yngve zaproponował, abyśmy zrobili to razem, na co natychmiast się zgodziłem. Fløgstad, prezentujący mieszankę ludowości i intelektualizmu oraz niedogmatyczne i samodzielne, niemal arystokratyczne zorientowanie na lewo, głoszący teorie o tym co wysokie, a co niskie, a przede wszystkim uprawiający gry słów, był ulubionym pisarzem mojego brata. Yngve słynął z giętkości języka i zabaw słownych, a przy wyborze studiów kierował się teorią mówiącą, że wartość dzieła sztuki nie istnieje sama w sobie, tylko tworzy się u odbiorcy, wyraz autentyczności zaś jest w równym stopniu kwestią formy, jak w wypadku nieautentyczności. Dla mnie Fløgstad był przede wszystkim wielkim norweskim pisarzem. Wywiad z nim zamówiło niewielkie studenckie czasopismo „TAL”, publikujące w języku nynorsk, dla którego wcześniej przeprowadzałem wywiad z poetą Olavem H. Haugem i prozaičką Karin Moe. Przygotowując się do wywiadu z Haugem, współpracowałem z Espenem i przyjacielem Yngvego, Asbjørnem, który robił zdjęcia, więc udział Yngvego był jak najbardziej naturalny. Wywiad z Haugem wypadł świetnie, co prawda, po strasznym początku, ponieważ nie uprzedziłem go, że będzie nas trzech, więc spodziewał się tylko jednej osoby, a kiedy wjechaliśmy samochodem na jego podwórze, początkowo w ogóle nie chciał nas wpuścić. Pospolite

ruszenie, stwierdził, stojąc w drzwiach, a ja, słysząc to krótkie, precyzyjne sformułowanie z akcentem z Vestlandet, poczułem się nagle lekkomyślnym wesołkiem, egzaltowanym głupkiem, impulsywnym rumianym przybyszem ze wschodnich rejonów. Hauge był stałym i niewzruszonym mieszkańcem świata duchowego, ja natomiast byłem w tym świecie turystą, który wziął ze sobą znajomków, by bliżej się przyjrzeć temu fenomenowi. Takie było moje odczucie, a sądząc po wrogiej minie Haugego, jego prawdopodobnie też. W końcu jednak powiedział: „No, to wchodźcie”, i poszedł przodem do pokoju, gdzie odstawiliśmy nasze torby i pokrowce. Asbjørn wyjął aparat i uniósł go pod światło, Espen i ja wyciągnęliśmy notatki, a Hauge siedział na ławie pod ścianą i patrzył w podłogę. „Może mógłby pan stanąć przy oknie? – poprosił Asbjørn. – Tam jest niezłe światło, moglibyśmy zrobić kilka zdjęć”. Hauge spojrzał na niego spod siwej grzywki, spadającej na czoło. „Tu się, do cholery, nie będzie robiło żadnych zdjęć” – oświadczył. „Aha – powiedział Asbjørn. – Wobec tego bardzo przepraszam”. Odsunął się na bok i dyskretnie schował aparat do pokrowca. Espen siedział obok mnie i przerzucał notatki, długopis trzymał w ręku. Znałem go i wiedziałem, że to nie koncentracja każe mu akurat w tej chwili je przeglądać. Długo czas nikt nic nie mówił. Espen spojrzał na mnie. Potem na Haugego. „Mam pytanie – odezwał się w końcu. – Mogę je zadać?” Hauge kiwnął głową i odgarnął spadającą grzywkę zaskakująco lekkim ruchem, wręcz kobiecym w porównaniu do jego męskiej, zastygłej nieruchomo pozy i wrogiego milczenia. Espen zaczął zadawać pytanie; odczytywał je z notatnika, było długie i zawile, zawierało też krótką analizę jednego z wierszy. Kiedy skończył, Hauge, nie podnosząc głowy, oświadczył, że on o swoich wierszach nie rozmawia.

Przeglądałem wcześniej pytania Espena, wszystkie dotyczyły wierszy Haugego, więc jeśli poeta rzeczywiście nie chciał rozmawiać o swojej twórczości, to żadne się nie nadawało.

Zapadła długa cisza. Espen z ponurą miną zamknął się w sobie, tak jak Hauge. To poeci, pomyślałem, oni już tacy są. Mroczni i skupieni na sobie. Czuję się przy nich jak zawodnik wagi lekkiej, jak dyletant, który nie ma wiedzy o niczym, lecz jedynie ślizga się po powierzchni, ogląda mecze piłki nożnej, zna nazwiska kilku filozofów i lubi muzykę pop najprostszego rodzaju. Jeden z tekstów, który napisałem dla naszego zespołu, najbardziej zbliżając się w nim do poezji, nosił tytuł *Kołyszysz się tak cudnie*. Mimo wszystko musiałem się jednak zaangażować, bo stało się jasne, że Espen już nic więcej podczas tego wywiadu nie powie, zacząłem więc zadawać pytania o Jølster, miasto, w którym mieszkała moja matka, ponieważ Hauge interesował się pochodzącym stamtąd malarzem Astrupem. Napisał nawet o nim wiersz. Istniało między nimi oczywiste powinowactwo z wyboru. Nie chciał jednak o tym mówić. Zamiast tego zaczął opowiadać o wycieczce, którą tam kiedyś odbył, zapewne w latach sześćdziesiątych, tak to przynajmniej brzmiało, a wszystkie nazwiska, jakie wymieniał, wciąż ze wzrokiem wbitym w podłogę, wypowiadał takim tonem, jakbyśmy je wszyscy znali. Nigdy o tych ludziach nie słyszeliśmy i cała ta opowieść

wydawała nam się jeżeli nie tajemnicza, to przynajmniej pozbawiona większego znaczenia, oprócz prywatnego. Zadałem pytanie o tłumaczenie, Asbjørn inne, Hauge udzielił odpowiedzi w podobny sposób, znów takim tonem, jakby mówił do siebie. Albo do podłogi. Wywiad wydawał się prawdziwą katastrofą. Ale mniej więcej po godzinie spędzonej w ten sposób na podwórzu wjechał kolejny samochód. To była lokalna telewizja, NRK Hordaland, dziennikarze zażyczyli sobie, żeby Hauge przeczytał kilka wierszy. Zaczęli, ale okazało się, że zapomnieli jakiegoś kabla, i musieli po niego pojechać, a wtedy Hauge się odmienił, nagle zaczął okazywać nam życzliwość, żartował i uśmiechał się, tworzyliśmy teraz wspólny front przeciwko NRK, lody zostały przełamane, bo kiedy telewizja zakończyła nagranie i odjechała, nadal okazywał nam życzliwość, był otwarty i obecny zupełnie inaczej niż na początku. Żona przyniosła nam świeżo upieczoną szarlotkę; kiedy ją zjedliśmy, Hauge oprowadził nas po domu, zabrał do biblioteki na piętrze, w której pisał – zauważyłem tam na biurku zeszyt z napisem „Dziennik” na okładce – wyjmował książki i mówił o nich; między innymi o pracy Julii Kristevej, pamiętam to, bo pomyślałem: „Tego to już na pewno nie czytałeś” – Hauge przecież nigdy nie studiował na uniwersytecie – „a nawet jeśli, to już na pewno nie zrozumiałeś”. Później, kiedy schodziliśmy po schodach, powiedział coś niesłychanie mocnego i poruszającego o śmierci, były to słowa pełne rezygnacji, lakoniczne, lecz niepozbawione ironii, ja zaś pomyślałem, że muszę to zapamiętać, to jest ważne, muszę to zapamiętać na całe życie, ale już w samochodzie, kiedy wracaliśmy, jadąc wzdłuż fiordu Hardanger, wyleciało mi to z głowy. Hauge, wypowiadając tamtą myśl, szedł kilka kroków za mną, Espen i Asbjørn byli już przed domem, bo przygotowywali się do robienia zdjęć. Hauge siedział na kamiennej ławce z nogą na nodze i patrzył przed siebie, Asbjørn – to kucając, to się prostując – pstrykał go z różnych stron, a ja i Espen paliliśmy papierosy kilka metrów dalej. To był piękny jesienny dzień, chłodny i przejrzysty; kiedy rano wyjeżdżaliśmy z Bergen, nad fiordem unosiła się lodowata mgła. Liście na drzewach porastających zbocza były żółte i czerwone, fiord gładki jak lustro, wodospady białe, wezbrane. Byłem zadowolony, wywiad mieliśmy już za sobą, a poszło świetnie, czułem jednak również wzburzenie, coś w Haugem wywoływało we mnie niepokój. Coś co nie chciało odpuścić, a nie wiedziałem, skąd się brało. Hauge był starym człowiekiem, nosił ubranie starego człowieka, flanelową koszulę, luźne spodnie, kapcie i kapelusz, miał też chód starego człowieka, ale mimo wszystko nie było w nim tego rodzaju starości, co na przykład w dziadku ze strony mamy czy w Alfie, stryju mojego ojca; przeciwnie, kiedy nagle się na nas otworzył i chciał nam pokazywać różne rzeczy, robił to w pewnym sensie w naiwny, dziecinny sposób, z bezgraniczną życzliwością, a zarazem z bezgraniczną wrażliwością, tak jak potrafi się zachowywać chłopiec, który nie ma przyjaciół, gdy nagle ktoś mu okaże zainteresowanie. Coś takiego było nie do pomyślenia u dziadka czy Alfa, bo w ich przypadku minęło już ponad sześćdziesiąt lat, odkąd ostatnio się przed kimś w taki sposób otworzyli, jeżeli w ogóle kiedykolwiek to zrobili. Choć Hauge właściwie wcale się nie otworzył, raczej pokazał swoją prawdziwą naturę, którą w chwili naszego przybycia starał się chronić.

Ujrzałem coś, czego nie chciałem zobaczyć, ponieważ człowiek, który to pokazywał, nie zdawał sobie sprawy, jak to wygląda. Miał ponad osiemdziesiąt lat, ale nic w nim nie umarło ani nie zastygło. Teraz myślę sobie, że przez to życie staje się chyba zbyt bolesne. Wtedy po prostu poczułem niepokój.

– Możemy zrobić jeszcze kilka ujęć przy jabłoniach? – spytał Asbjørn.

Hauge kiwnął głową, wstał i poszedł za nim pod drzewa. Nachyliłem się i zgasilem papierosa na ziemi, a prostując się, rozejrzałem się za czymś, gdzie mógłbym odłożyć niedopałek, bo przecież nie mogłem go rzucić na podwórzu, ale ponieważ nie znalazłem nic odpowiedniego, schowałem go do kieszeni.

Otoczony ze wszystkich stron górami, miałem wrażenie, jakbyśmy stali w ogromnej krypcie. W powietrzu wciąż wyczuwało się łagodniejszy, cieplejszy powiew, częsty w Vestlandet jesienią.

– Myślisz, że możemy go poprosić, żeby przeczytał nam jakiś wiersz? – spytał Espen.

– Jeśli masz odwagę, to proś – odparłem i zobaczyłem, że Asbjørn się uśmiecha. Jeśli dla Espena Hauge był poeta, to dla Asbjørna był legendą, a teraz stał przed nim we własnej osobie i pozwalał się fotografować. Kiedy skończyli, wróciliśmy do domu po swoje rzeczy. Wyjąłem książkę, którą kupiłem po drodze w księgarni, poezje zebrane Haugego, i spytałem, czy mógłby napisać dedykację dla mojej matki.

– Jak się nazywa? – spytał.

– Sissel.

– A dalej?

– Hatløy. Sissel Hatløy.

Napisał: „Dla Sissel Hatløy z pozdrowieniami od Olava Haugego”, i oddał mi książkę.

– Dziękuję – powiedziałem.

Odprowadził nas do drzwi. Espen stał tyłem z naszykowanym tomikiem i nagle się odwrócił; z jego twarzy biło zawstydyzenie, ale jednocześnie nadzieja.

– Czy mógłby pan nam przeczytać jakiś wiersz?

– No, chyba mógłbym – odparł Hauge. – A czego chcecie posłuchać?

– Może tego o kocie – podsunął Espen. – Może na podwórzu? To bardzo pasuje.

– Zaraz, zaraz – powiedział Hauge. – O, jest.

I zaczął czytać:

Kot siedzi

na podwórzu

kiedy przychodzisz.

Porozmawiaj chwilę z kotem.

To właśnie on gospodaruje w zagrodzie.

Wszyscy się uśmiechnęli, Hauge również.

– To był bardzo krótki wiersz – stwierdził. – Chcecie posłuchać jeszcze jednego?

– Chętnie! – ucieszył się Espen.

Hauge przerzucił kilka stron i znów zaczął czytać:

Pora zbiorów

Te ciepłe słoneczne dni we wrześniu.

Pora zbiorów. Jeszcze są w lesie

kępki borówek, owoce dzikiej róży czerwienią się

wzdłuż kamiennych murów, sypią się orzechy,

a w krzakach lśnią czarne kiście jeżyn,

drozdy szukają ostatnich porzeczek,

a osy wysysają słodycz ze śliwek.

Wieczorem odstawiam drabinę i odwieszam

kosz w szopie. Wychudzone lodowce

pokrywa już cieniutka warstwa świeżego śniegu.

Kiedy się kładę, słyszę rybaków wypływających

na szproty. Wiem, że przez całą noc będą mocnym światłem

reflektorów wabić ryby w fiordzie.

Kiedy Hauge czytał, staliśmy na podwórzu, patrząc w ziemię, i pomyślałem wtedy, że to wielki przywilej, ale również ta myśl uleciała, bo owa chwila, wzięta w posiadanie przez wiersz odczytywany przez tego, kto go spłodził, w miejscu, w którym go spłodził, była o wiele większa od nas, należała do nieskończoności, jakże więc my, tacy młodzi, mający rozumu tyle, co trzy wróble, mogliśmy ją przyjąć? Nie mogliśmy, w każdym razie ja trochę się wierciłem, kiedy czytał. To było prawie nie do wytrzymania. Przydałby się jakiś żart, aby nadać tej codzienności, w którą zostaliśmy schwytni, coś w rodzaju formy. Jak poradzić sobie z pięknem? Jak je przyjąć?

Kiedy odchodziliśmy, Hauge uniósł rękę w krótkim geście pożegnania, a gdy Asbjørn uruchomił samochód i ruszył w stronę drogi, już zdążył zniknąć w domu. Czułem się tak, jak czasami człowiek się czuje po całym dniu spędzonym latem na słońcu, wycieńczony i ociężały, chociaż nic nie robił, tylko leżał na gładkiej skale z zamkniętymi oczami. Asbjørn podjechał do kawiarni po swoją dziewczynę Kari, która czekała tam przez cały ten czas, gdy przeprowadzaliśmy wywiad z Haugem. Po kilku minutach rozmowy o tym, co się wydarzyło, w samochodzie zapadła cisza, jechaliśmy w milczeniu i wyglądaliśmy przez okna, patrzyliśmy na coraz dłuższe cienie, coraz głębsze kolory, na wiatr wiejący znad fiordu, który rozwiewał ludziom włosy, na łopoczące proporczyki gazet przy kioskach, na dzieci na rowerach, dzieci z maleńkich miejscowości na nieodłącznych rowerach. Zaraz po

powrocie do domu zacząłem spisywać wywiad z magnetofonu, bo z doświadczenia wiedziałem, że z upływem czasu szybko narasta opór w stosunku do głosów, pytań i wszystkiego, co zaszło. Zabrałem się więc do tego od razu, kiedy jeszcze się od tego nie oddaliłem, kiedy wątpliwości i wstyd dawało się jeszcze wytrzymać. Natychmiast się jednak zorientowałem, że problem polega na tym, iż wszystko, co dobre, wydarzyło się poza zasięgiem magnetofonu. Rozwiązaniem stało się możliwie dokładne opisanie wydarzeń, zrelacjonowanie wszystkiego – pierwszego wrażenia, mamrotania i introwertyczności poety, nagłej zmiany, szarlotki, biblioteki. Espen napisał wprowadzenie do twórczości Haugego i kilka krótkich analitycznych wstawek, dobrze kontrastujących z moim opisem samego spotkania. Od redaktora naczelnego „TAL”, studenta filozofii, ucznia Johannesena^[10] i posługującego się nynorskiem Hansa Mariusa Hansteena dowiedzieliśmy się, że Haugemu wywiad bardzo się podobał; Georgowi Johannesenowi powiedział, że był to jeden z najlepszych wywiadów, jakie z nim przeprowadzono; z pewnością była to nieprawda, bo mieliśmy po dwadzieścia lat, a w kwestii oceny innych ludzi u Haugego uprzejmość zawsze zwyciężała nad prawdomównością, ale jak stwierdziłem po przeczytaniu jego dzienników, tym, co mu się podobało i co sprawiło, że jego żona zadzwoniła z prośbą o więcej egzemplarzy naszego pisma, aby mogli podarować je przyjaciołom i znajomym, było chyba to, że w wywiadzie nie przedstawiliśmy go w samych superlatywach. O swojej wrogości i starczych cechach oczywiście dobrze wiedział, ale w obliczu szacunku okazywanego mu przez ludzi cała ta ciemna strona zniknęła, co jemu, pod warstwami uprzejmości i przyzwoitości skrywającemu miłość do prawdy, nie zawsze się podobało.

Pół roku później przyszła kolej na Kjartana Fløgstada. Czytał wywiad z Hauge, tak przynajmniej powiedział, kiedy do niego zadzwoniłem, więc chętnie zgodził się na wywiad dla „TAL”. Gdybym był sam, z czystego zdenerwowania przeczytałbym wszystkie jego książki, starannie zapisałbym pytania, pozwalające na kilkugodzinną rozmowę, i całą ją nagrał, bo nawet gdyby moje pytania okazały się głupie, nie byłyby głupie jego odpowiedzi, a jeśli miałbym je na taśmie, ton jego wypowiedzi dźwięczałby w całym wywiadzie bez względu na moje nieudolne wtręty. Skoro jednak Yngve miał mi towarzyszyć, aż tak się nie przejmowałem, wierzyłem w jego wsparcie, nie przeczytałem wszystkich książek i zapisałem sobie raczej ogólnikowe pytania, a jednocześnie podczas przygotowań brałem pod uwagę układy między Yngvem a mną, nie chciałem być postrzegany jako ktoś, kto go poprawia, nie chciałem, by Yngve pomyślał, że w swoim przekonaniu znam się na tym lepiej niż on, więc kiedy pojechaliśmy do Oslo na spotkanie z Fløgstadem w szary przedwiosenny dzień pod koniec marca czy na początku kwietnia, umówieni pod kawiarnią na Bjølsen, byłem przygotowany gorzej niż kiedykolwiek w takich sytuacjach, i wcześniej, i później, a na domiar złego doszliśmy do wniosku, że nie będziemy używać dyktafonu czy magnetofonu ani robić notatek w trakcie wywiadu, żeby nie wyszło sztywno i formalnie – chcieliśmy, by wywiad przybrał formę impresjonistycznej

rozmowy, aby zrodził się tam i wtedy. Osobiście nie mogłem się pochwalić wyjątkową pamięcią, ale Yngve zawsze się tym wyróżniał, uznaliśmy zatem, że jeśli od razu po spotkaniu spisujemy wszystko, co zostanie powiedziane, będziemy mogli uzupełniać się nawzajem i wspólnymi siłami zdołamy stworzyć całość. Fløgstad uprzejmie wprowadził nas do kawiarni – z rodzaju tych mrocznych, piwnych knajp – usiedliśmy przy okrągłym stole, kurtki powiesiliśmy na oparciach krzeseł, wyjęliśmy kartki z pytaniami, a kiedy powiedzieliśmy, że nie zamierzamy notować ani nagrywać, Fløgstad stwierdził, że taki zamysł budzi szacunek. Już mu się kiedyś zdarzyło udzielić wywiadu dziennikarzowi, który nie notował, wysłannikowi szwedzkiej gazety „Dagens Nyheter”, i został zacytowany bez najmniejszych uchybień, co bardzo mu zaimponowało. Podczas wywiadu w takim samym stopniu skupiałem się na słowach Yngvego, na reakcjach Fløgstada, na jego odpowiedziach, tonie głosu i mowie ciała, jak na treści rozmowy. Moje pytania dotyczyły bardziej tego, co się działo wokół stołu, niż tego, co się działo w książkach Fløgstada, w tym sensie, że padały one raczej po to, by coś uzupełnić albo zrekompenzować. Wywiad trwał godzinę, a kiedy uścisnęliśmy mu rękę, dziękując, że zechciał przyjść, on zaś ruszył w stronę, jak przypuszczaliśmy, osiedla, na którym mieszkał, byliśmy podekscytowani i zadowoleni, bo przecież dobrze poszło, prawda? Rozmawialiśmy z Fløgstadem! W takim rozemocjonowaniu żaden z nas nie miał ochoty siadać i spisywać relacji z tej rozmowy, mogliśmy przecież zająć się tym nazajutrz, a na razie była sobota, wkrótce w telewizji zaczynał się mecz ligowy, mogliśmy obejrzeć go w jakimś pubie i tak dalej, przecież nie tak często przyjeżdżaliśmy do Oslo... Następnego dnia wracaliśmy pociągiem, więc też nie mieliśmy czasu, żeby cokolwiek zapisać, a po powrocie do domu rozeszliśmy się do swoich spraw. Skoro zaś przeczekaliśmy już trzy dni, to mogliśmy przeczekać jeszcze trzy, prawda? I jeszcze trzy, i kolejne. Kiedy wreszcie nad tym usiedliśmy, pamiętaliśmy niewiele. Pytania oczywiście wcześniej zapisaliśmy, to nam bardzo pomogło, no i mieliśmy ogólne pojęcie o tym, co mówił – częściowo bazowaliśmy rzeczywiście na wspomnieniach, a częściowo na naszych wyobrażeniach o jego opiniach. To ja byłem odpowiedzialny za spisanie wywiadu, to ja otrzymałem zlecenie i to ja się tym zajmowałem, więc kiedy już skleciłem kilka stron i zrozumiałem, że tak się nie da, że to zbyt mgliste i nieprecyzyjne, zaproponowałem Yngvemu, abyśmy zadzwonili do Fløgstada i spytali, czy możemy zadać kilka uzupełniających pytań przez telefon. Usiedliśmy przy stole w pokoju Yngvego w mieszkaniu na Blekebakken i nabazgraliśmy kilka nowych pytań. Serce mocno mi waliło, kiedy wybierałem numer Fløgstada, i wcale mi się nie polepszyło, gdy usłyszałem jego pełen rezerwy głos na drugim końcu. Wyjaśniłem jednak, z jaką sprawą dzwonię, a on się zgodził poświęcić nam jeszcze pół godziny, chociaż po jego tonie poznałem, że zaczął się wszystkiego domyślać. Podczas gdy ja zadawałem pytania, a Fløgstad odpowiadał, Yngve w sąsiednim pokoju siedział jak tajny agent z drugą słuchawką przy uchu i zapisywał każde słowo. Czyli się udało. Między wszystkie ogólniki i nieprecyzyjne sformułowania powstawałem nowe zdania, znacznie bardziej obiektywne, a w związku z tym przydające autentyczności również zdaniom je otaczającym. Gdy na

dodatek napisałem ogólny wstęp o twórczości Fløgstada i uzupełniłem całość o kilka opartych na faktach, analitycznych wstawek, nie wyglądało to tak źle. Prawdę mówiąc, wyglądało całkiem nieźle. Fløgstad prosił o możliwość przeczytania wywiadu, zanim pójdzie do druku, więc mu go wysłałem wraz z kilkoma życzliwymi słowami. Nie miałem pojęcia, czy żądał autoryzacji wszystkich wywiadów, czy też dotyczyło to tylko nas, którzy wykazaliśmy się taką śmiałością, by w trakcie nie robić żadnych notatek, ponieważ jednak w końcu udało mi się jakoś ten tekst ożywić, wcale się tym nie martwiłem. Co prawda odczuwałem lekki niepokój związany z nieprecyzyjnymi fragmentami, ale starałem się o tym nie myśleć, bo jeśli się orientowałem, nie obowiązywały wymogi, by osobę, z którą przeprowadza się wywiad, cytować dosłownie. Kiedy więc kilka dni później trafił do mojej skrzynki pocztowej list Fløgstada, nie spodziewałem się niczego złego. Ale mimo wszystko dłonie miałem spocone, a serce biło mi szybko. Przyszła wiosna, słońce grzało; w adidasach, T-shircie i dżinsach szedłem właśnie do konserwatorium, gdzie mój kumpel, a zarazem kuzyn, Jon Olav, miał mi udzielić lekcji gry na perkusji. Najlepiej pewnie byłoby zostawić list nieotwarty w domu, bo bardzo się spieszyłem, ale zżerała mnie ciekawość, więc otworzyłem go, idąc powoli w stronę przystanku. Wyjąłem wydruk wywiadu. Był pełen czerwonych podkreśleń i czerwonych komentarzy na marginesie. Zobaczyłem: „Tego nigdy nie powiedziałem”. Zobaczyłem: „Nieprecyzyjne”. Zobaczyłem: „Nie, nie”. Zobaczyłem: „???”. Zobaczyłem: „Skąd to się wzięło?”. Prawie każde zdanie było w jakiś sposób zaznaczone. Stałem nieruchomo i wpatrywałem się w kartki. Miałem wrażenie, że spadam. Że lecę prosto w ciemność. Dołączony krótki list przeleciałem wzrokiem w gorączkowym pośpiechu, jakbym po przeczytaniu ostatniego słowa mógł zostawić upokorzenie za sobą. Pisarz podsumował: „Uważam, że najlepiej będzie, jeśli to się nigdzie nie ukáže. Z poważaniem, Kjartan Fløgstad”. Ruszyłem, szurając nogami, bo jednocześnie znów oglądałem te jego czerwone podkreślenia i wzbierał we mnie bunt. Zrobiło mi się gorąco ze wstydu, bliski płaczu schowałem list do tylnej kieszeni i zatrzymałem się przy autobusie, który w tej chwili nadjechał, wsiadłem i zająłem miejsce przy oknie na samym końcu. Wstyd mnie palił, gdy autobus jak żółw pełzył pod górę ku Haukeland, a w mojej głowie obracały się cały czas te same myśli. Nie jestem dostatecznie dobry, żaden ze mnie pisarz, nigdy nim nie będę. Do tej pory tak bardzo się cieszyliśmy, że udało nam się porozmawiać z Fløgstadem, ale teraz było to już tylko śmieszne i bolesne. Po powrocie do domu zadzwoniłem do Yngvego, który ku memu zdumieniu potraktował sprawę dość lekko. „No, to szkoda – powiedział. – Jesteś pewien, że nie możesz tego poprawić i przesłać mu nowej wersji?” Kiedy największa rozpacz nieco we mnie przygasła, jeszcze raz przeczytałem komentarze i dołączony list, a wtedy zauważyłem, że Fløgstad ustosunkował się również do moich własnych ocen, na przykład do przymiotnika „cortazarowski”, a tego przecież nie powinien robić, prawda? Nie mógł korygować moich opinii o jego książkach? Mieszać się w moje oceny? Napisałem o tym w liście do niego, przyznałem, że w wywiadzie rzeczywiście w kilku miejscach pojawiły się nieprecyzyjne sformułowania, tak jak zaznaczył, ale część z tych zdań naprawdę powiedział, byłem tego

pewien, ponieważ notowałem podczas rozmowy przez telefon, a poza tym wysunął zastrzeżenia wobec moich, czyli dziennikarskich, komentarzy, a do tego nie był uprawniony. Gdyby się zgodził, gotów byłem przyjąć za punkt wyjścia jego uwagi, ewentualnie jeszcze raz porozmawiać przez telefon i przesłać mu nową wersję. Kilka dni później przyszedł uprzejmy, ale stanowczy list, w którym przyznawał mi rację, iż niektóre jego komentarze dotyczyły moich opinii, lecz to w niczym nie zmieniało sprawy zasadniczej, a mianowicie tej, że wywiad nie powinien ukazać się w druku. Kiedy otrząsnąłem się z upokorzenia, co zajęło mi około pół roku, a w tym okresie nie mogłem patrzeć na twarz Fløgstada, na jego książki czy artykuły, nie czując przy tym głębokiego wstydu, przerobiłem ten incydent na zabawną anegdotę. Yngvemu nie podobało się, że to śmiech z nas samych, w upokorzeniu nie dostrzegał żadnego komizmu, a raczej nie dostrzegał żadnego upokorzenia. Pytania były dobre, rozmowa z Fløgstadem miała sens, i właśnie tak zamierzał to zapamiętać.

Moje życie w Bergen stało w miejscu przez mniej więcej cztery lata, nic się w nim nie działo, chciałem pisać, ale nie mogłem, i to było mniej więcej tyle. Yngve zbierał punkty na uniwersytecie i żył tak, jak chciał, w każdym razie tak to wyglądało z zewnątrz, jednak w pewnym momencie i u niego nastąpiła stagnacja. Nie mógł skończyć pracy magisterskiej, zresztą wcale zbyt ciężko nad nią nie pracował, może dlatego że żył dawnymi zasługami, a może tyle innych rzeczy działo się w jego życiu. Kiedy wreszcie złożył pracę, na temat systemu kreowania gwiazd filmowych, przez pewien czas był bezrobotny, a ja w tym okresie odrabiałem wojsko, pracując w radiu studenckim, i powoli wchodziłem w inne środowisko, a przede wszystkim poznałem Tonje, w której zakochałem się na zabój, i tej zimy zacząłem z nią chodzić. Moje życie radykalnie się zmieniło, chociaż sam tego nie rozumiałem, na wiele lat zastygłem w obrazie, jaki wytworzyłem sobie w pierwszych latach życia w Bergen, gdy nagle Yngve opuścił miasto, ponieważ dostał pracę jako konsultant do spraw kultury w gminie Balestrand. Może i nie było to stanowisko, w które celował, ale nie miał nad sobą nikogo z administracji, w praktyce więc był dyrektorem do spraw kultury. Organizowano tam festiwal jazzowy, którym musiał się zająć, a z czasem jego kolega Arvid też się tam przeniósł i również został zatrudniony w gminie. Yngve spotkał Kari Anne, którą trochę znał już z Bergen, pracowała w Balestrand jako nauczycielka, związali się ze sobą, urodziło im się dziecko, Ylva, i po roku przeprowadzili się do Stavanger, gdzie Yngve wykonał skok na główkę, rzucając się w zupełnie obcy dla niego zawód, czyli projektowanie graficzne. Podobało mi się, że to zrobił, ale czułem również niepokój; plakat na dni dzielnicy Hundvåg i ulotka na jakąś lokalną imprezę – czy to wystarczy?

Nigdy się nie dotykaliśmy, nawet nie podawaliśmy sobie ręki, gdy się spotykaliśmy, i rzadko patrzyliśmy sobie w oczy.

Wszystko to tkwiło we mnie, kiedy znaleźliśmy się na tarasie domu babci w ten ciepły letni wieczór w 1998 roku, ja zwrócony plecami do ogrodu, on na leżaku pod ścianą. Nie potrafiłem zorientować się po jego minie, czy myślał o tym, co przed chwilą

powiedziałem, że chcę się zająć wszystkim tutaj, również ogrodem, czy też było mu to obojętne.

Odwróciłem się i zgasilem papierosa pod spodem czarnej poręczy z kutego żelaza. Drobiniki popiołu i żaru posypały się na beton.

– Jest tu jakaś popielniczka? – spytałem.

– Nic o tym nie wiem. Weź butelkę.

Zrobiłem, jak powiedział. Wrzuciłem peta do szyjki zielonej butelki po heinekenie. Gdybym zaproponował urządzenie przyjęcia po pogrzebie tutaj, co on z pewnością uznałby za niemożliwe, różnica między nami, którą tak chciałem ukryć, stałaby się oczywista. On wyszedłby na praktycznie myślącego realistę, ja – na kierującego się uczuciami idealistę. Tata był ojcem nas obu, ale w różny sposób, i moją chęć wykorzystania pogrzebu w pewnym sensie do naprawienia wyrządzonych przez niego szkód, w połączeniu z moim ciągłym płaczem, mój brat, który nie uronił ani jednej łzy, mógł zrozumieć jako wyraz przekonania o głębszym związku łączącym mnie z ojcem. Mógł też uznać, jak się domyślałem, że w duchu krytykuję jego stosunek do śmierci ojca. Wcale tego tak nie postrzegałem, ale bałem się, że właśnie tak zostaną odebrany. Poza tym moja propozycja mogłaby doprowadzić do starcia między nami i niepotrzebnej demonstracji siły woli. Owszem, w sprawie bez wielkiego znaczenia, ale nie chciałem, żeby w tej sytuacji c o k o l w i e k nas dzieliło.

Z butelki pod ścianą wydobywała się falująca smużka dymu, a więc papieros całkiem nie zgasł. Rozejrzałem się za czymś do zatkania szyjki. Może talerzyk, którego babcia używała do karmienia mewy? Wciąż leżały na nim dwa kawałeczki kotleta i trochę zakrzepniętego sosu, ale nada się, pomyślałem, i ostrożnie postawiłem go na butelce.

– Co ty właściwie robisz? – spytał Yngve, patrząc na mnie.

– Tworzę rzeźbę – odparłem. – Jest zatytułowana *Kotlet i piwo w ogrodzie*, a raczej *Carbonade and Beer in the Garden*. – Wyprostowałem się i zrobiłem krok w tył. – Wyrafinowanym elementem jest unoszący się dym. Dzięki niemu rzeźba pozostaje w pewnym sensie w interaktywności ze światem. To nie jest zwykła rzeźba. Resztki jedzenia to przecież zgnilizna. Można je również uznać za interakcję, za proces, za coś, co jest w ruchu. Może za istotę ruchu. W opozycji do statyczności. A butelka po piwie jest pusta, przestała już pełnić jakąkolwiek funkcję, bo czym jest pojemnik, który niczego nie zawiera? Niczym. Ale to nic ma formę, rozumiesz? I właśnie tę formę usiłowałem tu pokazać.

– Aha – powiedział Yngve.

Wyjąłem z paczki leżącej na ogrodzeniu kolejnego papierosa, chociaż wcale nie miałem na niego ochoty, i zapaliłem.

– Posłuchaj – zacząłem.

– Tak?

– Myślałem o pewnej sprawie. I to całkiem sporo. Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy urządzić przyjęcia po pogrzebie tutaj. W tym domu. Przez tydzień zdążymy wszystko przygotować, jeśli się ostro weźmiemy do roboty. Chodzi mi o to, że on tu wszystko doprowadził do ruiny, a my nie możemy się z tym pogodzić. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Oczywiście – odparł Yngve. – Ale sądzisz, że zdążymy? W poniedziałek wieczorem muszę wracać do Stavanger. A potem mogę przyjechać dopiero w czwartek. No, może w środę, ale raczej w czwartek.

– Nie szkodzi – stwierdziłem. – To znaczy, że się zgadzasz?

– Tak. Pytanie, czy Gunnar się ucieszy, ale...

– To nie jego sprawa. To nasz ojciec.

Dopaliliśmy papierosy, nic już nie mówiąc. W dole wieczór zaczął łagodzić krajobraz. Ostre kontury i kanciaste ruchy ludzi stopniowo się wygładzały, kilka łódek wpływało do zatoki, patrząc na nie, myślałem o zapachach na ich pokładach, o woni plastiku, soli, benzyny, stanowiącej ważny element mojego dzieciństwa. Z zachodu nad miasto nadleciał samolot pasażerski, sunął tak nisko, że mogłem zobaczyć logo Braathens SAFE. Zniknął mi z oczu ze stłumionym hukiem. W ogrodzie ćwierkały ptaki, ukryte w liściach jabłoni. Yngve opróżnił szklanekę i wstał.

– Jeszcze trochę popracujemy i fajrant na dziś. – Spojrzał na mnie. – Dużo zrobiłeś na dole?

– Wyszorowałem całą pralnię i ściany w łazience.

– To dobrze.

Wszedłem za nim do domu. Słyszac głośne, ale zniekształcone dźwięki telewizora, przypomniałem sobie, że babcia siedzi w salonie. Nic nie mogłem dla niej zrobić, nikt nie mógł, ale pomyślałem, że może choć trochę jej ulży, jeśli nas zobaczy i przypomni sobie, że jesteśmy. Podszedłem więc i stanąłem przy jej fotelu.

– Potrzebujesz czegoś? – spytałem.

Szybko podniosła na mnie wzrok.

– To ty? – powiedziała. – A gdzie Yngve?

– Jest w kuchni.

– Aha. – Znów skierowała wzrok na telewizor. Cechująca ją ruchliwość nie zniknęła, ale przy wychudzeniu zmieniła charakter albo stała się widoczna w inny sposób, była związana tylko z jej gestami, a nie – jak dawniej – z temperamentem. Dawniej babcia była szybka, wesoła, towarzyska, miała cięty język, a gdy żonglowała powiedzonkami, często puszczala oczko, żeby odróżnić jedno od drugiego. Teraz miała w sobie mrok. Jej dusza pociemniała. Zauważyłem to, bo rzucało się w oczy, ale może ta ciemność zawsze w niej była? Może zawsze ją wypełniała?

Ręce położyła na podłokietnikach, dłonie zaciskała na ich końcach, jakby fotel pędził z dużą prędkością.

– Pójdę posprzątać w łazience – oznajmiłem.

Odwróciła głowę w moją stronę.

– To ty? – spytała.

– Tak. Pójdę posprzątać w łazience. Potrzebujesz czegoś?

– Nie, dziękuję.

– Okej. – Odwróciłem się, żeby odejść.

– Czy wy przypadkiem nie pijecie po kieliszku wieczorem? Ty i Yngve?

Wbiła sobie do głowy, że my też pijemy? Że nie tylko tata zniszczył sobie życie, lecz również jego synowie są na najlepszej drodze do tego?

– Nie, absolutnie – odparłem.

Nie wyglądało na to, by babcia chciała powiedzieć coś więcej, więc zszedłem na dół, gdzie mimo usunięcia źródła smrodu wciąż intensywnie cuchnęło, opłukałem czerwone wiadro, napełniłem je czystą gorącą wodą i kontynuowałem sprzątanie łazienki. Najpierw lustro, na którym żółtobrazowy osad okazał się prawie niemożliwy do usunięcia i zszedł dopiero wtedy, gdy użyłem noża, po który pobiegłem do kuchni, i ostrej gąbki do szorowania, następnie umywalka, potem wanna, parapet nad nią i okno z podłużną, wąską, matową szybą, później sedes, potem drzwi, próg i futryna, na sam koniec wyszorowałem podłogę, wylałem ciemnoszarą wodę do muszli, a worek ze śmieciami wyniosłem na schody, gdzieostałem kilka minut, patrząc na letni mrok, niebędący ciemnością i kojarzący się raczej z jakimś defektem światła.

Donośne głosy, które wznosiły się i opadały na biegnącej w pobliżu głównej ulicy, prawdopodobnie kiedy jakaś grupa ludzi wychodziła na miasto, przypomniały mi, że jest sobotni wieczór.

Dlaczego spytała, czy pijemy? Czy tylko z uwagi na los taty, czy też miała jakieś inne powody?

Pomyślałem o czasach, kiedy byłem maturzystą, tu, w tym mieście, przed dziesięcioma laty, a konkretnie o tym, jak bardzo byłem pijany, idąc w pochodzie z okazji święta narodowego 17 Maja. Babcia i dziadek, stojący w tłumie przy drodze, przywołali mnie do siebie, pamiętam ich wymuszone uśmiechy, gdy zobaczyli, w jakim jestem stanie. Zacząłem ostro pić w tamtą Wielkanoc, kiedy z drużyną piłki nożnej pojechałem na obóz treningowy do Szwajcarii; trwało to przez całą wiosnę, zawsze trafiała się jakaś okazja, zawsze jakieś spotkanie, zawsze ktoś, kto chciał się przyłączyć, a w stroju maturzysty wolno było wszystko, wszystko było dozwolone. Czułem się jak w raj, w przeciwieństwie do mamy, z którą mieszkaliśmy wtedy we dwoje, w końcu wyrzuciła mnie z domu, czym ani trochę się nie przejąłem, bo znalezienie miejsca do spania nie sprawiało mi żadnego problemu – czy to na kanapie w suterenie u kumpla, czy w autobusie maturzystów, czy gdzieś pod krzakiem

w parku. Dla babci i dziadka okres matur oznaczał próg życia uniwersyteckiego, tak traktowali to dziadek i jego synowie, dla nich to było święto, które deprecjonowałem, upijając się do nieprzytomności i jako redaktor gazetki maturzystów ilustrując główny tekst na temat ewakuacji ludności z wyspy Flekkerøya zdjęciem Żydów wywożonych z jakiegoś getta do obozu zagłady. Również to było kwestią tradycji, mój ojciec też był naczelnym gazetki, kiedy zdawał maturę. A ja to wszystko wdeptałem w błoto.

Ale wówczas nie poświęciłem temu ani jednej myśli, czemu jasno dawał wyraz dziennik, który wtedy prowadziłem, nie liczyło się bowiem dla mnie nic oprócz poczucia szczęścia.

Spaliłem wszystkie swoje dzienniki i wszystkie notatki. Nie istnieje już świadectwo tego, kim byłem do chwili ukończenia dwudziestu pięciu lat, i słusznie, bo z tamtego okresu nie pochodziło nic dobrego.

Powietrze odrobinę się ochłodziło, rozgrzany pracą, czułem, jak mnie otacza, jak wciska się w skórę i wpada do otwartych ust. Objęło drzewa przede mną, domy, samochody, zbocza gór. Po spadku temperatury zdawało się płynąć ku jakiemuś konkretnemu miejscu, sunąć po niebie niewidzialną lawiną, przelewać się nad nami jak ogromne fale, cały czas w ruchu – opadające powoli, szybko wirujące, wpływające do płuc i wypływające z nich, natykające się na wszystkie te ściany i kanty, zawsze niewidzialne, zawsze obecne.

Ale tata już nie oddychał. Właśnie to go spotkało, jego związek z powietrzem został przerwany, teraz naciskało na niego jak na byle jaką rzecz, na drewniany kij, kanister z benzyną, kanapę. Tata już nie wdzierał się w powietrze, bo właśnie to człowiek robi, oddychając, raz po raz nawleka się na świat.

Leżał teraz gdzieś w mieście.

Odwróciłem się i wszedłem do domu, bo po drugiej stronie ulicy ktoś otworzył okno, popłynęły z niego muzyka i gwar głosów.

Druga łazienka wprawdzie była mniejsza i nie tak strasznie brudna, ale umycie jej zajęło mi tyle samo czasu. Kiedy skończyłem, zabrałem środki czystości, ścierki, rękawiczki i wiadro na piętro. Yngve i babcia siedzieli przy kuchennym stole. Zegar na ścianie za nimi wskazywał wpół do dziesiątej.

– Chyba już skończyłeś to sprzątanie! – odezwała się babcia na mój widok.

– Tak, już nic więcej dzisiaj nie robię. – Spojrzałem na Yngvego. – Rozmawiałeś dziś z mamą?

Pokręcił głową.

– Nie, wczoraj.

– Ja obiecałem, że dzisiaj zadzwonię. Ale chyba nie mam siły. Zresztą może już trochę za późno.

– Zadzwoń jutro.

– Ale z Tonje muszę porozmawiać. Załatwię to teraz.

Wszedłem do jadalni i zamknąłem za sobą drzwi. Chwilę posiedziałem na krześle, żeby się pozbierać. Potem wykręciłem numer do domu. Tonje odebrała od razu, jakby czekała przy telefonie. Znałem wszystkie odcienie jej głosu i teraz chłonałem je, nie słowa. Najpierw ciepło, zaangażowanie i tęsknotę, później jej głos nagle jakby się skulił i zrobił się malutki, jak gdyby chciał dotrzeć do mnie. W moim tonie pojawił się dystans. Ona się do mnie zbliżyła, potrzebowałem tego, ale sam nie potrafiłem zbliżyć się do niej. Krótko opisałem, co się wydarzyło, nie wdając się w żadne szczegóły, mówiłem jedynie, że to straszne i że cały czas płaczę. Później porozmawialiśmy chwilę o tym, co robiła Tonje, chociaż początkowo nie chciała, i o terminie jej przyjazdu. Kiedy się pożegnaliśmy, poszedłem do kuchni i wypiliśmy szklankę wody. Babcia znów siedziała w fotelu przed telewizorem. Podeszedłem do niej.

– Wiesz, gdzie jest Yngve?

– Nie – powiedziała. – A nie ma go w kuchni?

– Nie.

Odór moczu aż zatykał.

Stałem, nie bardzo wiedząc, co robić. Odchody łatwo było wytłumaczyć. Po prostu był tak pijany, że stracił kontrolę nad ciałem.

Ale gdzie wtedy była ona? Co robiła?

Miałem ochotę podejść do telewizora i kopniakiem wcisnąć ekran do środka.

– Ty i Yngve chyba nie pijecie? – spytała nagle, nie patrząc na mnie.

Pokręciłem głową.

– Nie. To znaczy od czasu do czasu. Ale tylko odrobinę, nigdy dużo.

– Ale nie dziś wieczorem?

– No co ty, zwariowałaś? Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy. Yngvemu też nie.

– Co by mi nigdy nie przyszło do głowy? – spytał Yngve z tyłu. Odwróciłem się. Wszedł po dwóch schodkach oddzielających dolny salon od górnego.

– Babcia pyta, czy pijemy.

– Czasami nam się zdarza – odparł Yngve. – Ale nieczęsto. Wiesz, mam dwoje małych dzieci.

– D w o j e? – zdumiała się babcia.

Yngve się uśmiechnął. Ja też.

– Tak – potwierdził. – Ylvę i Torjega. Ylvę poznałaś. Torjega zobaczysz na pogrzebie.

Lekkie ożywienie, które odmalowało się na twarzy babci, zniknęło. Zerknąłem na Yngvego.

– No, to był długi dzień – powiedziałem. – Może pora kłaść się spać?
– Pójdę jeszcze na chwilę na taras – odparł. – Idziesz ze mną?
Kiwnąłem głową. Yngve wszedł do kuchni.
– Długo siedzisz wieczorami? – spytałem.
– Co? – zdziwiła się babcia.
– Mamy zamiar wkrótce iść spać. Ty jeszcze będziesz siedzieć?
– Nie, nie, ja też się kładę. – Spojrzała na mnie. – Będziecie spać na dole, w naszej dawnej sypialni? Jest przecież wolna.
Pokręciłem głową, przepraszająco uniosłem brwi.
– Prześpiemy się na górze, na poddaszu. Już się tam rozpakowaliśmy.
– Aha, to w porządku.
– Idziesz? – spytał Yngve; stał w salonie ze szklanką piwa w ręku.
Kiedy wyszedłem na taras, siedział na ogrodowym drewnianym krześle, przy stoliku.
– Gdzie znalazłeś te meble? – spytałem.
– W komórce pod tarasem. Miałem wrażenie, że kiedyś coś takiego tam widziałem.
Oparłem się o balustradę. W oddali lśniły światła promu do Danii. Wypływał. Wszystkie łódki, które jeszcze były na wodzie, miały zapalone latarnie.
– Musimy gdzieś zdobyć elektryczną kosę, czy jak to się tam nazywa – stwierdziłem. – Zwykła kosiarka nie da rady.
– W poniedziałek poszukamy w księżce telefonicznej wypożyczalni narzędzi. – Spojrzał na mnie. – Rozmawiałaś z Tonje?
Kiwnąłem głową.
– Nie będzie nas tak dużo – powiedział. – My, Gunnar, Erling, Alf i babcia. Szesnaścioro, wliczając dzieci.
– No cóż, to nie pogrzeb państwowy.
Yngve odstawił szklankę i odchylił się na krześle. Wysoko nad drzewami, na tle zaciągniętego szarym woalem nieba, trzepotał się nietoperz.
– Zastanawiałaś się, jak to urządzimy? – spytał.
– Pogrzeb?
– Tak.
– Nie, nie zastanawiałem się. Ale na pewno nie chcę żadnego cholernego humanistycznego pochówku.
– Zgadzam się. No a kościelny?
– A są jakieś inne możliwości? Tylko że on przecież nie był członkiem Kościoła państwowego.

– Nie był? – zdziwił się Yngve. – Wiedziałem, że nie jest religijny, ale że się wypisał?...

– Owszem. Sam wystąpiłem z Kościoła, kiedy skończyłem szesnaście lat, i przypomniałem mu o tym podczas jakiegoś obiadu na Elvegaten. Rozzłościł się. Wtedy Unni powiedziała, że przecież on sam wystąpił, więc nie może się na mnie o to wściekać.

– Jemu by się to nie podobało – stwierdził Yngve. – Nie chciał mieć nic wspólnego z Kościołem.

– Ale on nie żyje, a ja bym tak wolał. Nie chcę brać udziału w jakichś wymyślonych niby-rytuałach i czytać cholernych wierszy. Chcę, żeby to się odbyło porządnie. Godnie.

– Całkowicie się z tobą zgadzam.

Znów się odwróciłem i spojrzałem na miasto, z którego dobiegał jednostajny szum, chwilami spychany w tło przez nagły warkot silnika, często dochodzący od strony mostu, bo jego szybkim forsowaniem zabawiała się o tej porze młodzież, lecz również z długiej i prostej jak linijka Dronningens gate.

– Idę spać – oświadczył Yngve. Wszedł do salonu, nie zamykając za sobą drzwi. Zgasilem papierosa na podłodze i poszedłem za nim. Babcia zrozumiała, że chcemy się położyć, i wstała, aby wyjąć pościel.

– Sami się tym zajmiemy – powiedział Yngve. – To żaden problem. Ty też idź spać.

– Na pewno? – Patrzyła na niego, stojąc w drzwiach, mała i zgarbiona.

– Jasne – odparł Yngve. – Damy radę sami.

– No tak. Wobec tego dobranoc.

Wolno ruszyła po schodach w dół, nawet się nie odwracając.

Zatrząsało mnie z niechęci.

Na poddaszu nie było wody, poszliśmy więc po szczoteczki do zębów i umyliśmy zęby przy zlewie w kuchni, po kolei nachylając się pod kran, żeby opłukać usta, jakbyśmy znów byli dziećmi na letnich wakacjach.

Starłem z warg pianę z pasty i wytarłem rękę o spodnie. Była za dwadzieścia jedenasta. Od lat nie kładłem się tak wcześnie. Ale to rzeczywiście był długi dzień. Ciało miałem odrętwiałe ze zmęczenia, a od całego tego płaczu bolała mnie głowa. Teraz jednak daleko mi było do łez. Może się uodporniłem. Może już przywykłem.

Kiedy weszliśmy na górę, Yngve otworzył okno, unieruchomił je haczykiem i zapalił lampkę nad wezłowiem łóżka. Zrobiłem to samo po swojej stronie i zgasilem górne światło. W pokoju panował zaduch – tkwił nie w powietrzu, lecz w meblach i dywanach, niewietrzonych i zakurzonych od paru lat albo może dłużej.

Yngve usiadł po jednej stronie podwójnego łóżka i się rozebrał. Zrobiłem to samo po drugiej stronie. Spanie w tym samym łóżku było nieco zbyt intymne, nie robiliśmy tego od małości, kiedy łączyła nas zupełnie inna bliskość. Ale mieliśmy przynajmniej osobne kołdry.

– Myślałeś o tym, że tata nie zdążył przeczytać twojej powieści? – spytał Yngve, odwracając głowę w moją stronę.

– Nie. W ogóle się nad tym nie zastanawiałem.

Yngve dostał maszynopis, kiedy skończyłem pisać, na początku czerwca. Natychmiast po przeczytaniu stwierdził, że tata pozwie mnie do sądu, dokładnie tak się wyraził. Rozmawiałem z nim wtedy z budki telefonicznej na lotnisku, wybieraliśmy się z Tonje na wakacje do Turcji, nie wiedziałem, czy Yngve będzie wściekły, czy raczej mnie wesprze, nie miałem pojęcia, w jaki sposób to, co napisałem, może oddziaływać na bliskich mi ludzi. „Nie potrafię ocenić, czy to jest dobre, czy złe – powiedział Yngve. – Ale tata pozwie cię do sądu. Tego jestem pewien”.

– Przecież tam jest jedno zdanie, które stale się powtarza – powiedziałem teraz. – „Mój ojciec nie żyje”. Pamiętasz je?

Yngve odsunął kołdrę na bok, podciągnął nogi na łóżko i położył się, potem lekko się uniósł i trochę poprawił poduszkę.

– Nie bardzo – odparł, znów się kładąc.

– Kiedy Henrik ucieka z wioski. Potrzebuje usprawiedliwienia i to jedyna rzecz, jaka przychodzi mu do głowy. „Mój ojciec nie żyje”.

– No tak, rzeczywiście – przyznał Yngve.

Ściągnąłem spodnie i skarpetki, ułożyłem się na łóżku. Najpierw na plecach, z rękami splecionymi na brzuchu, ale uświadomiłem sobie, że leżę jak martwy, więc przerażony obróciłem się na bok, a wtedy mój wzrok padł wprost na ubranie skotłowane na podłodze. Za cholerę tak tego nie zostawię, pomyślałem, znów spuściłem nogi na podłogę i złożyłem w kostkę na krześle spodnie i T-shirt, ze skarpetkami na wierzchu.

Yngve zgasił światło po swojej stronie.

– Będiesz czytał?

– Nie, czytał z całą pewnością nie będę. – Po omacku zacząłem szukać dłonią wyłącznika na kablu. Niczego takiego nie znalazłem. Czyżby był przy lampce? Owszem.

Wcisnąłem go mocno, bo stary mechanizm stawiał opór. Kinkiety musiały pochodzić mniej więcej z lat pięćdziesiątych, z czasów, kiedy się tu sprowadzili.

– No, to dobranoc – powiedział Yngve.

– Dobranoc.

Cieszyłem się, że Yngve tu jest. Gdybym był sam, głowę wypełniłby mi obraz trupa taty, myślałbym tylko o fizyczności śmierci, o jego ciele, palcach i nogach, o niewidzących oczach, o paznokciach i włosach, które wciąż rosły. O pokoju, w którym leżał, może o tym czymś przypominającym szufladę, co zawsze pokazują w kostnicach na amerykańskich filmach. Ale teraz dzięki temu, że słyszałem oddech Yngwego i czułem, że się porusza, wypełniał mnie spokój. Wystarczyło zamknąć oczy i pozwolić, żeby przyszedł sen.

Obudziłem się dwie godziny później; Yngve stał na środku pokoju. Najpierw niezdecydowanie się rozejrzył, potem chwycił kołdrę, zwinął ją i trzymając na rękach, wyniósł za drzwi, zawrócił i znów stanął na środku. Kiedy chciał jeszcze raz wyjść, powiedziałem:

– Chodzisz przez sen, Yngve. Kładź się!

Spojrzał na mnie.

– Wcale nie chodzę przez sen – odparł. – Kołdra musi trzy razy przejść przez próg.

– No dobrze, skoro tak mówisz.

Jeszcze dwa razy przeszedł z kołdrą tam i z powrotem. W końcu położył się i okrył. Kilka razy poruszył głową z boku na bok, coś przy tym mamrocząc.

Nie pierwszy raz zdarzyło mu się chodzić we śnie. Kiedy byliśmy mali, Yngve notorycznie lunatykował. Raz mama znalazła go w wannie, siedział w niej nagi i napszczał wody; kiedy indziej ledwie zdążyła go złapać na drodze pod domem – szedł do Rolfa spytać go, czy pójdzie z nim pograć w piłkę. Potrafił wyrzucić kołdrę przez okno i nieprawdopodobnie marznąć przez całą noc. Również tata lunatykował; zdarzało mu się przychodzić do mojego pokoju w środku nocy i stawać nade mną w samych slipach, czasami otworzył jakąś szafkę i zajrzał do niej. Niekiedy tylko na mnie patrzył, bez oznak, że mnie rozpoznaje, czasami słyszałem, jak kręci się po salonie, przestawiał wtedy meble. Raz położył się pod stołem i wstając, uderzył się w głowę tak mocno, że aż mu krew leciała. Kiedy nie chodził we śnie, nie mówił ani nie krzyczał, wtedy zgrzytał zębami. Mama powtarzała, że czuje się, jakby była żoną marynarza, który wrócił z wojny. Ja z kolei pewnej nocy nasikałem do szafy, ale głównie zajmowałem się gadaniem przez sen, aż do okresu dojrzewania, kiedy moja nocna aktywność zdecydowanie się wzmożła. Tamtego lata, kiedy sprzedawałem kasety na ulicy w Arendal i mieszkalem u Yngvego na stacji, zabrałem jego piórnika i nagi wyszedłem na trawnik; stawałem przed każdym oknem i zaglądałem do środka, dopóki Yngve nie zdołał nawiązać ze mną kontaktu. Nie przyjmowałem do wiadomości, że chodzę przez sen, a dowodem na to miał być piórnika. „Zobacz – powtarzałem – to jest mój portfel, idę na zakupy”. Sam nie wiem, ile razy stałem przy oknie i patrzyłem, jak ziemia znika albo się unosi, jak ściany się rozpadają albo woda wzbiera. Raz podtrzymałem ścianę, wołając do Tonje, żeby uciekała, zanim dom się zawali. Kiedy indziej wbiłem sobie do głowy, że Tonje leży w szafie, więc wyrzuciłem ze środka wszystkie ubrania, żeby ją znaleźć. Kiedy miałem nocować z kimś innym niż Tonje, zwykle ostrzegałem z góry, na wypadek gdyby coś miało się stać, i gdy przed dwoma laty wspólnie z kolegą, Torem, wynająłem tak zwane mieszkanie pisarzy w dużym dworze pod Kristiansand, żeby pisać scenariusz filmowy, moje ostrzeżenie się przydało, bo spaliśmy w tym samym pokoju, a ja w środku nocy wstałem, podszedłem do Torego, zdarłem z niego koc, złapałem go za kostki u nóg i gdy patrzył na mnie przerażony, powtarzałem: „Jesteś tylko lalką”. Ale najczęściej przywidywało mi się, że wydra albo lis dostały się pod

kołdrę, więc zrzuciłem ją na podłogę i deptałem po niej, dopóki nie nabrałem pewności, że zwierzę nie żyje. Nieraz mijał cały rok, kiedy nocami nic się nie działo, i nagle następował okres kilku nocy lunatykowania. Budziłem się na strychach, w korytarzach, na trawnikach, zawsze z zamiarem zrobienia czegoś, co we śnie wydawało się jak najbardziej sensowne, po przebudzeniu okazywało się jednak zupełnie bez sensu.

W nocnym życiu Yngvego najdziwniejsze było to, że czasami mówił dialektem z Østlandet. Wyprowadził się z Oslo, kiedy miał cztery lata, i od prawie trzydziestu lat nie posługiwał się tamtejszym dialektem. Mimo to we śnie potrafił nim mówić. Było w tym coś strasznego.

Spojrzałem na niego. Leżał na plecach z jedną nogą na kołdrze. Zawsze powtarzano, że jesteśmy do siebie podobni, ale w takim razie musiało chodzić o wrażenie ogólne, o coś, co z nas biło, bo po rozebraniu na poszczególne elementy niewiele było podobieństw. Może jedynie okolice oczu, które obaj odziedziczyliśmy po mamie. Ale kiedy przeniosłem się do Bergen, dalsi znajomi Yngvego potrafili na przykład spytać: „To ty jesteś Yngve?”. Oczywiście wiedzieli, że nie jestem Yngvem, bo gdyby brali mnie za niego, w ogóle by nie pytali. Zadawali to pytanie, bo podobieństwo wydawało im się uderzające.

Yngve obrócił głowę na bok na poduszce, jakby wyczuł, że jest obserwowany, i sprzeciwiał się temu. Zamknąłem oczy. Często powtarzał, że tata kompletnie zniszczył jego wiarę w siebie, że kilkakrotnie upokorzył go tak, jak tylko on potrafił, i miało to wpływ na długie okresy w jego życiu, kiedy utwierdzał się w przekonaniu, że nic nie umie, nic nie jest wart. Ale były też inne okresy, kiedy wszystko szło dobrze, płynnie, bez żadnych wątpliwości. Z zewnątrz zauważało się tylko te ostatnie.

Tata oczywiście miał wpływ również na moje postrzeganie siebie, ale może w inny sposób, w każdym razie ja nigdy nie miałem okresów zwątpienia, po których następowały okresy wiary w siebie. Wszystko było cały czas przemieszane, a wątpliwości, charakteryzujące tak dużą część mojego świata myśli, nigdy nie kierowały się ku temu co wielkie, tylko zawsze ku temu co małe, ku temu, co miało związek z najbliższym otoczeniem, z przyjaciółmi, znajomymi, dziewczynami, z ludźmi, którzy w moim przekonaniu zawsze mnie nisko cenili, uważali za idiotę, te wątpliwości we mnie płonęły, płonęły codziennie, ale gdy przychodziło do rzeczy wielkich, nigdy nie wątpiłem, że mogę zająć tak daleko, jak zechcę, wiedziałem, że mam to w sobie, bo moje pragnienie było wielkie i nigdy nie zostawało zaspokojone. Jak mogło zostać zaspokojone? Przecież inaczej nie mógłbym zakasować wszystkich?

Gdy obudziłem się następnym razem, Yngve stał przy oknie i zapinał koszulę.

– Która godzina? – spytałem.

Odwrócił się.

– Wpół do siódmej. Wcześniej dla ciebie?

– Owszem, rzeczywiście.

Włożył lekkie spodnie w kolorze khaki, półdługie, kończące się za kolanem, i koszulę w szare paski, wypuszczoną na wierzch.

– Schodzę na dół – oznajmił. – Przyjdiesz?

– Jasne.

– Nie zaśniesz znów?

– Nie.

Kiedy ucichły jego kroki na schodach, spuściłem nogi na podłogę i sięgnąłem po ubranie leżące na krześle. Niezadowolony spojrzałem na swój brzuch, który opasywały dwie oponki. Dotknąłem ręką pleców, tam na szczęście nie było jeszcze za co złapać. Ale po powrocie do Bergen powinienem zacząć biegać, to w każdym razie było jasne. I codziennie rano robić brzuszki.

Przyłożyłem T-shirt do twarzy i powąchałem.

Nie, chyba się nie nadaje.

Otworzyłem walizkę i wyjąłem biały T-shirt z Boo Radleys, który kupiłem, kiedy koncertowali w Bergen parę lat temu, oraz granatowe spodnie z odciętymi nogawkami. Chociaż na dworze nie było słońca, w dusznym powietrzu czuło się ciepło.

Na dole Yngve nastawił kawę, wyjął chleb i coś do kanapek z lodówki. Babcia siedziała przy stole w tej samej sukience, którą nosiła wczoraj, i paliła papierosa. Nie byłem głodny, więc przestałem na filiżance kawy i papierosie na tarasie, a potem przeniosłem wiadro, ścierki oraz środki czystości na dół i wziąłem się do roboty. Najpierw poszedłem do łazienki zobaczyć to, co zrobiłem wczoraj. Oprócz poplamionej i lepkiej zasłony prysznicowej, którą z jakiegoś powodu zostawiłem, wyglądało to całkiem nieźle. Oczywiście wszystko było zużyte, ale czyste.

Zdjąłem drążek rozporowy, ściągnąłem zasłonkę i wrzuciłem ją do worka na śmieci, a drążek po umyciu założyłem z powrotem. Teraz musiałem rozstrzygnąć, co dalej. Pralnia i dwie łazienki były gotowe. Na dole zostały więc pokój babci, hol i korytarz, pokój taty oraz duża sypialnia. Pokoju babci nie chciałem ruszać w tej chwili, czułbym się tak, jakbym ją atakował, ponieważ stałoby się dla niej jasne, że widzimy, w jakich warunkach żyje, a poza tym wnuczek sprzątający sypialnię babci – mogłoby się to kojarzyć z ubezwłasnowolnieniem. Do pokoju taty też nie miałem siły się zabierać, także z powodu papierów i innych rzeczy, które musieliśmy najpierw posortować. Hol z wykładziną musiał poczekać, aż uda nam się sprowadzić kogoś do czyszczenia dywanów. Pozostawały więc schody.

Nalałem wody do wiadra, wziąłem ze sobą butelkę klorinu, butelkę szarego mydła w płynie oraz butelkę kremu do szorowania Jif i zacząłem od balustrady, której nie myto co najmniej od pięciu lat. Między szczebelkami leżały przeróżne świństwa – pokruszone liście, drobne kamyki, zasuszone owady, stare pajęczyny. Poręcz pociemniała, w niektórych

miejskach niemal szerniała, tu i ówdzie się lepiała. Spryskałem ją jifem, wyjąłem ścierkę i starannie szorowałem każdy centymetr. Po oczyszczeniu w ten sposób kawałka, który odzyskiwał część dawnego ciemnozłotego koloru, moczyłem inną ściereczkę w klorinie i dalej szorowałem. Zarówno zapach klorinu, jak i wygląd niebieskiej butelki zawiodły moje myśli do lat siedemdziesiątych, a konkretnie do szafki pod zlewem w kuchni, gdzie stały środki czystości. Jifa wtedy nie było, ale w czerwono-biało-niebieskim kartonowym pudle stał tam proszek do prania Ajax. I szare mydło. I klorin, wzór niebieskiej plastikowej butelki z rowkowanym korkiem z zabezpieczeniem przed dziećmi nie zmienił się od tamtych czasów. Była też taka marka OMO. I pudełko proszku do prania ze zdjęciem dziecka trzymającego w rękach takie samo pudełko, a na nim oczywiście zdjęcie tego samego chłopca z identycznym pudełkiem, i tak dalej, i tak dalej. Czy to mogła być blenda? Tak czy owak, często ostrzyłem myśli na tym procesie wchodzenia w głąb, który w zasadzie nie miał końca i zachodził również w innych miejscach, na przykład w łazienkowym lustrze po przystawieniu drugiego lusterka do głowy; obrazy w lustrach odbijały się nawzajem, jednocześnie przesuając się coraz głębiej, coraz mniejsze i mniejsze, aż stawały się niewidoczne gołym okiem. Ale co było dalej, poza tym, czego oko nie mogło zobaczyć, czy to zmniejszanie nadal trwało?

Marki produktów z tamtych czasów to był zupełnie inny świat – gdy o nich myślałem, pojawiał się ze swoimi dźwiękami, smakami i zapachami, absolutnie nieodparty, tak jak zawsze nieodparty urok ma wszystko, co utracone, wszystko, co zniknęło. Zapach nisko przystrzyżonej, świeżo podlanej trawy, kiedy w letnie popołudnie siedzi się na boisku po treningu, długie cienie nieruchomych drzew, krzyki i śmiech dzieci kąpiących się w jeziorze za drogą, ostry, a mimo to słodki smak napoju energetycznego XL-1. Albo smak soli, który wypełnia usta, kiedy się skacze na główkę do morza, mimo warg zaciśniętych w chwili zanurzenia głowy pod powierzchnią, chaos prądów i musowanie wody, lecz również światło wśród alg i wodorostów, i naga skała, kiście małży, porośnięte pąklami obszary jaśniejące spokojem, bo to bezchmurny letni dzień, słońce pali na błękitnym i wysokim nadmorskim niebie. Woda, która spływa z ciała, kiedy człowiek, uchwyciwszy się zagłębienia w skale, podciąga się do góry, krople zostające między łopatkami przez krótkie sekundy, dopóki nie wyparują w ciepłe, woda, która ścieka z kąpielówek jeszcze długo po tym, jak położymy się na ręczniku. Motorówka sunąca po falach ostrymi szarpnięciami, nierytmicznie, dziób się unosi i przez warkot silnika przedziera się odgłos uderzenia o wodę, nierealność tej łódki, ponieważ rozległość otoczenia nie pozwala zapamiętać jej na dłużej.

Wszystko to wciąż istniało. Gładkie skały na brzegu były identyczne, morze, które o nie biło, czyniło to w taki sam sposób jak dawniej i taki sam pozostał również krajobraz pod wodą, ze swymi dolinkami i zatoczkami, ze stromymi przepaściami i zboczami, pełen rozgwiazd i jeżowców, krabów i ryb. Rakiety tenisowe marki Slazenger wciąż można było kupić, podobnie jak piłki Tretorn i narty Rossignol, wiązania Tyrolia i buty Koflach. Domy,

w których mieszkaliśmy, wciąż stały. Jediną istotną różnicą między rzeczywistością dzieci i dorosłych było to, że owe rzeczy nie niosły w sobie już nic więcej. Para butów do piłki nożnej Le Coque była już tylko parą butów. Jeżeli w ogóle coś teraz czułem, trzymając takie buty w ręku, to jedynie echo dzieciństwa, nic innego. Tak samo było z morzem, tak samo ze skałami, tak samo ze smakiem soli, który potrafił przesycać wszystkie dni letniej połowy roku. Teraz to był po prostu słony smak, *end of story*. Świat był ten sam, a jednak nie taki sam, bo sens w nim się przesunął i dalej się przesuwał, coraz bliższy i bliższy bezsensu.

Wyjąłem ścierkę, przewiesiłem ją przez brzeg wiadra i przyjrzałem się rezultatowi wykonanej pracy. Błysk lakieru wydobył się na powierzchnię, chociaż tu i ówdzie wciąż pozostały ciemne plamy brudu wżartego w drewno. Uporałem się mniej więcej z jedną trzecią balustrady schodów na pierwsze piętro, a pozostawała jeszcze ta od prowadzących na poddasze.

W korytarzu nade mną rozległy się kroki Yngvego.

Ukazał się z wiadrem w ręku i rolką worków na śmieci pod pachą.

– Skończyłeś już na dole? – spytał na mój widok.

– Zwariowałaś? Sprzątnąłem dopiero łazienki i pralnię. Pomyślałem, że z resztą poczekam.

– Ja się zabieram do pokoju taty. Wygląda na to, że tam jest teraz najwięcej do zrobienia.

– Kuchnia gotowa?

– Tak, prawie. Muszę jeszcze tylko posprzątać w kilku szafkach, ale poza tym wygląda już nieźle.

– Okej – powiedziałem. – Ja sobie teraz zrobię przerwę. Chyba coś zjem. Babcia w kuchni?

Kiwnął głową i mnie wyminął. Wytarłem miękkie, pomarszczone od wilgoci ręce o szorty na udach, ostatni raz spojrzałem na balustradę i poszedłem do kuchni.

Babcia kiwała się na krześle. Kiedy wszedłem, nawet nie podniosła głowy. Przypomniałem sobie o lekarstwie. Zażyła je sama? Na pewno nie.

Wyjąłem je z szafki.

– Brałaś to dzisiaj? – spytałem, podsuwając jej słoiczek.

– A co to jest? Jakiś lek?

– Tak, ten, który dostałaś wczoraj.

– Nie, nie brałam.

Wyjąłem z szafki szklanekę, nalałem wody i podałem jej razem z tabletką. Położyła ją na języku i popiła. Raczej nie miała ochoty mówić nic więcej, więc żeby nie zostać więźniem milczenia, zmuszonym do zagajenia rozmowy, zamiast tych kanapek, o których wcześniej myślałem, wziąłem sobie dwa jabłka, a oprócz tego szklanekę wody i filiżankę kawy. Dzień

był ciepły i szary, tak jak wczoraj. Znad morza wiał lekki wiatr, w powietrzu nad basenem portowym z krzykiem latało kilka mew, gdzieś w pobliżu rozlegały się metaliczne uderzenia. Z miasta dochodził jednostajny szum samochodów. Nad dachami domów w odległości kilku kwartałów od nabrzeża sterczał dumnie dźwig. Był żółty i miał białą kajutę, czy jak się nazywa ta kabina na samej górze, w której siedzi operator. Dziwne, że nie zauważyłem go wcześniej. Mało rzeczy uważałem za piękniejsze od dźwigów, zachwycały mnie szkieletowością swojej konstrukcji, i te liny biegnące nad i pod wystającym ramieniem, ogromny hak, powolne kołysanie się ciężkich przedmiotów przenoszonych w powietrzu, niebo, na którego tle zawsze oglądało się ten mechaniczny spektakl.

Właśnie zjadłem jedno jabłko z pestkami i ogryzkiem i miałem zacząć drugie, kiedy przez ogród nadszedł Yngve. W ręku trzymał grubą kopertę.

– Zobacz, co znalazłem. – Podał mi ją. Podniosłem zagięcie i zajrzałem do środka. W środku było pełno tysiąckoronowych banknotów.

– Tu jest mniej więcej dwieście tysięcy – powiedział Yngve.

– O rany. Gdzie leżała?

– Pod łóżkiem. To muszą być pieniądze, które dostał za dom na Elvegaten.

– O cholera. W takim razie to wszystko, co zostało?

– Prawdopodobnie. Nawet nie wpłacił tych pieniędzy do banku, tylko trzymał je pod łóżkiem i po prostu przepijał. Tysiąc za tysiącem.

– Olewam te pieniądze – oświadczyłem. – Ale to jego życie było takie smutne.

– Rzeczywiście – przyznał Yngve.

Usiadł. Położyłem kopertę na stole.

– Co z nimi zrobimy? – spytał.

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że się nimi podzielimy.

– Myślałem raczej o podatku spadkowym i takich sprawach.

Wzruszyłem ramionami.

– Spytamy kogoś – powiedziałem. – Na przykład Jona Olava. Jest przecież adwokatem.

Na wąskiej ulicy przed domem rozległ się warkot silnika. Chociaż nie widziałem samochodu, po sposobie, w jaki się zatrzymał, cofnął i znów podjechał do przodu, zrozumiałem, że jedzie do nas.

– Kto to może być? – zdziwiłem się.

Yngve wstał, wziął kopertę.

– Kto jej przypilnuje? – spytał.

– Ty się tym zajmij.

– W każdym razie rozwiązał się problem wydatków związanych z pogrzebem –

stwierdził, wymijając mnie. Wszedłem za nim do domu. Z dołu dochodziły głosy. To byli Gunnar i Tove. Kiedy weszli na górę, staliśmy między drzwiami na korytarz a tymi do kuchni, czując się trochę nieswojo, jakbyśmy wciąż byli dziećmi. Yngve ścisnął kopertę w rękę.

Tove była tak samo opalona i trzymała się równie dobrze jak Gunnar.

– Cześć, chłopcy. – Uśmiechnęła się do nas.

– Cześć – odpowiedziałem. – Dawno się nie widzieliśmy.

– To prawda. Szkoda, że spotykamy się w takich okolicznościach.

– Owszem.

Ile oni właściwie mogli mieć lat? Dobiegali pięćdziesiątki?

W kuchni babcia wstała.

– Siedź, mamó – powiedział Gunnar. – Pomyśleliśmy, że pomożemy trochę Yngvem i Karlowi Oveemu w porządkach.

Puścił do nas oko.

– Ale kawy chyba możecie się napić? – spytała babcia.

– Nie będziemy pić kawy – odparł Gunnar. – Niedługo musimy jechać, chłopcy zostali sami w domku letniskowym.

– No tak, no tak – pokiwała głową babcia.

Gunnar wszedł kilka kroków w głąb kuchni.

– Dużo już zrobiliście – stwierdził. – Imponująco dużo.

– Myśleliśmy o tym, żeby tu się odbyło spotkanie po pogrzebie – powiedziałem.

Spojrzał na mnie.

– Przecież to się nie uda.

– Uda się – oświadczyłem. – Mamy pięć dni. Uda się.

Odwrócił głowę. Może z powodu łez w moich oczach.

– To wy decydujecie. Więc jeśli uważacie, że się da, to trzeba tak zrobić. Ale to znaczy, że musimy brać się do roboty!

Wszedł do salonu, ruszyłem za nim.

– Trzeba wyrzucić wszystko, co jest zniszczone. Nie ma sensu niczego oszczędzać. Kanapy... Jak one wyglądają?

– Jedna jest okej – oceniłem. – Da się wyprać. Ta druga wydaje mi się...

– No to ją zabieramy.

Stał przed wielką, czarną, trzyosobową kanapą ze skóry. Podszedłem do drugiego końca, nachyliłem się i złapałem od spodu.

– Wyniesiemy ją drzwiami na taras i dalej tamtędy – postanowił Gunnar. – Otworzysz

nam, Tove?

Kiedy nieśliśmy kanapę przez salon, babcia stała w drzwiach do kuchni.

– Co robicie z tą kanapą? – spytała.

– Wyrzucamy ją – odparł Gunnar.

– Chyba poszaleliście! – oburzyła się. – Dlaczego chcecie ją wyrzucić? Nie możecie wyrzucić mojej kanapy!

– Jest zniszczona – wyjaśnił Gunnar.

– Nic wam do tego. To moja kanapa!

Zatrzymałem się, Gunnar popatrzył na mnie.

– Musimy ją wyrzucić, zrozum. Dalej, Karl Ove, wynosimy!

Babcia zrobiła kilka kroków w naszą stronę.

– Nie możecie tego zrobić! To mój dom!

– Owszem, możemy – stwierdził Gunnar.

Dotarliśmy do schodków prowadzących na dół do jadalni, zrobiłem kilka kroków bokiem, nie patrząc na babcię, która stanęła przy pianinie. Jej złość dosłownie mnie paliła. Gunnar tego nie widział. A może jednak? Może on również z nią walczył? Przecież to była jego matka.

Tyłem pokonał dwa schodki i wolno przesuwiał się po podłodze.

– Tak nie może być! – prychnęła babcia. W ciągu kilku minut zupełnie się zmieniła. Z jej oczu sypały się iskry, ciało, do tej pory takie pasywne, zamknięte wokół wnętrza, teraz działało na zewnątrz. Ujęła się pod boki i syczała.

– O nie! – Odwróciła się. – Nie będę na to patrzeć – oświadczyła i wróciła do kuchni.

Gunnar uśmiechnął się do mnie. Zszedłem po dwóch stopniach i zrobiłem kilka kroków w bok, żeby iść prosto do drzwi. Ciągnęło od nich, czułem wiatr na gołej skórze nóg, ramion i twarzy. Zastłonki powiewały.

– Przejdzie? – spytał Gunnar.

– Chyba tak.

Postawiliśmy kanapę na tarasie i kilka sekund odpoczywaliśmy. Potem znieśliśmy ją po schodach i przez ogród zataszczyliśmy do przyczepki przy drzwiach garażu. Kiedy kanapa wreszcie leżała na przyczepie, wystając z niej na mniej więcej metr, Gunnar zaczął ją przywiązywać niebieską linką wyjętą z bagażnika. Nie bardzo wiedziałem, co mam robić, więc stałem i obserwowałem go, na wypadek gdyby potrzebował pomocy.

– Nie przejmuj się nią – powiedział. – Ona w tej chwili nie wie, co dla niej dobre.

– No tak – przyznałem.

– Na pewno masz lepsze rozeznanie niż ja. Co jeszcze trzeba wyrzucić?

– Sporo rzeczy z jego pokoju. I z jej sypialni. I z salonu. Ale nic dużego, nic takiego jak

ta kanapa.

– Może jej materac? – spytał.

– Tak, na pewno. Ale jeśli wyrzucimy materac babci, to musimy kupić nowy.

– Można wziąć ten z ich dawnej sypialni.

– Tak, tak trzeba zrobić.

– Jeśli będzie protestować, kiedy zostaniecie sami, nie przejmujcie się tym. Po prostu róbcie to, co musicie. To dla jej dobra.

– No tak – powiedziałem.

Zwinął resztę niewykorzystanej linki w ósemkę i przywiązał do przyczepy.

– Powinno wytrzymać – ocenił, prostując się. Popatrzył na mnie. – A przy okazji, zaglądaliście do garażu?

– Nie. A co?

– Trzymał tam wszystkie swoje rzeczy. Wszystko, z czym się przeprowadził. Musicie to ze sobą zabrać. Ale przejrzyjcie to teraz. Sporo na pewno trzeba będzie wyrzucić.

– Dobrze, tak zrobimy.

– Na przyczepie dużo więcej się nie zmieści, ale zabierzemy, co się da, i wywieziemy na wysypisko. Wy w tym czasie powynocicie na zewnątrz to, co jest do wyrzucenia, obrócimy jeszcze raz. Myślę, że to wystarczy. Gdyby nazbierało się więcej śmieci, mogę ewentualnie przyjechać w tygodniu.

– Bardzo ci dziękuję.

– Wiem, że nie jest wam łatwo.

Przez kilka sekund wytrzymał moje spojrzenie i odwrócił wzrok. W jego opalonej twarzy oczy wydawały się niemal równie przejrzyste i niebieskie jak oczy taty.

Tylu rzeczy nie chciał widzieć. Na przykład tego wszystkiego, co się we mnie przelewało. Położył mi rękę na ramieniu.

Coś we mnie pękło, zaszlochałem.

– Dobre z was chłopaki – powiedział.

Musiałem się odwrócić. Nachyliłem się, zasłoniłem twarz dłońmi. Drżałem. Zaraz mi jednak przeszło, wyprostowałem się, odetchnąłem głębiej.

– Nie znasz jakiegoś miejsca, gdzie można wypożyczyć maszyny? No wiesz, szlifierki do podłogi, większe kosiarki itepe?

– Zamierzacie szlifować p o d ł o g ę?

– Nie, nie, to był tylko przykład. Ale myślałem o ścięciu tej trawy. A zwykłą kosiarką się nie da.

– Czy to nie zbyt ambitne? Nie lepiej skoncentrować się na domu?

– Może i tak. Ale gdyby zostało trochę czasu?

Podrapał się w głowę, lekko ją pochylając.

– Na Grim jest wypożyczalnia sprzętu. Powinni mieć coś takiego. Ale sprawdź w książce telefonicznej.

Biały fundament domu obok nas zamigotał. Podniosłem wzrok. W pokrywie chmur pojawiło się pęknięcie, przez które zaświeciło słońce. Gunnar wszedł po schodach do domu. Poszedłem za nim. Na podłodze w korytarzu przed pokojem taty leżały dwa worki pełne ubrań i rupieci. Obok nich zabrudzone krzesło. W pokoju stał Yngve i patrzył na nas. Na rękach miał żółte rękawice do zmywania.

– Może udałoby się wyrzucić materac? – zapytał. – Zmieści się?

– Teraz już nie. Weźmiemy go następnym razem.

– A tak w ogóle to zobacz, co znaleźliśmy pod łóżkiem. – Yngve sięgnął po kopertę, którą odłożył na konsolę pod ścianą, i podał ją Gunnarowi.

Gunnar odchylił zamknięcie i zajrzał do środka.

– Ile tego jest? – spytał.

– Mniej więcej dwieście tysięcy – odparł Yngve.

– To teraz wasze pieniądze – stwierdził. – Ale pamiętajcie o siostrze, kiedy będziecie się nimi dzielić.

– Oczywiście – powiedział Yngve.

Czy wcześniej o tym pomyślał?

Bo ja nie.

– Sami musicie zdecydować, czy zgłosicie to w urzędzie podatkowym.

Tove została, żeby pomóc w sprzątaniu, kiedy Gunnar kwadrans później odjechał z pełną przyczepą. Wszystkie drzwi i okna były otwarte, powietrze wewnątrz poruszało się wraz ze światłem słońca padającym na podłogi i w połączeniu z zapachem środka czyszczącego, który dominował przynajmniej na piętrze, sprawiało, że dom jakby się otwierał i stawał miejscem, przez które przepływał świat, co mimo głębi mroku we mnie wyczuwałem i pochwalałem.

Wróciłem do mycia schodów, Yngve do sprzątania pokoju taty, a Tove wzięła się do salonu, tego, w którym ojciec został znaleziony. Parapety, listwy, drzwi, regały. Po pewnym czasie poszedłem na górę do kuchni zmienić wodę. Babcia podniosła głowę, kiedy wylewałem brudną, ale spojrzenie miała puste i obojętne, wkrótce znów zapatrzyła się w blat stołu. Szarobrunatna, mętna woda powoli wirowała w zlewie, było jej coraz mniej, w końcu resztki pokryte białą pianą zniknęły i na lśniąącym metalu została matowa warstewka piasku, włosów i rozmaitych śmieci. Odkręciłem kran i puściłem strumień wody na brzeg wiadra, aż w końcu cały brud zniknął i mogłem je napełnić od nowa czystą, parującą wodą. Gdy niedługo potem wszedłem do salonu, Tove odwróciła się do mnie i uśmiechnęła.

– No, już tu jakoś wygląda – stwierdziła.

Zatrzymałem się.

– W każdym razie posuwamy się naprzód – powiedziałem.

Odłożyła ścierkę na regał, pospiesznym gestem poprawiła włosy.

– A przecież tu zawsze było tak porządnie, prawda?

Tove zaśmiała się, kręcąc głową.

– O nie. Może i tak wyglądało, ale... Odkąd zaczęłam odwiedzać ten dom, zawsze było brudno. No, nie wszędzie, ale po kątach. Pod meblami. Pod dywanami. Tam gdzie nie widać, no wiesz.

– Naprawdę?

– Mhm. Pod tym względem marna z niej była gospodyni.

– Może i tak.

– Ale nie zasłużyła na taki los. Sądziliśmy, że po śmierci dziadka czeka ją jeszcze kilka dobrych lat. Załatwiliśmy pomoc domową, wiesz? Zajmowała się wszystkim.

– Słyszałem o tym – kiwnąłem głową.

– Dla nas to też była wyreka. Wcześniej zawsze my pomagaliśmy. We wszystkim. Przecież oni już od dawna byli starzy. A w związku z tym, że z twoim ojcem działo się to, co się działo, Erling zaś mieszkał w Trondheim, obowiązki spadały na nas.

– Wiem. – Uniosłem brwi, jednocześnie lekko rozkładając ręce w geście, który miał pokazać, że jej współczuję, ale nic nie mogłem zrobić.

– Musi teraz iść do jakiegoś zakładu, żeby tam się nią zajęli. Strasznie patrzeć na nią w takim stanie.

– To prawda – przyznałem.

Tove znów się uśmiechnęła.

– A jak się miewa Sissel?

– W porządku – odparłem. – Mieszka w Jølster i myślę, że dobrze się tam czuje. Pracuje w szkole pielęgniarstwa w Førde.

– Pozdrów ją ode mnie gorąco, kiedy będziesz z nią rozmawiał.

– Pozdrowię na pewno – odpowiedziałem z uśmiechem. Tove znów chwyciła za ścierkę, a ja wróciłem na schody, bo dotarłem mniej więcej do połowy. Odstawiłem wiadro, wyjąłem ścierkę i spryskałem jifem poręcz.

– Karl Ove! – zawołał Yngve.

– Tak?

– Zejdź na dół na chwilę.

Stał przed lustrem w korytarzu. Obok na piecyku olejowym leżał wielki stos papierów. Yngve miał mokre oczy.

– Spójrz tutaj! – podał mi kopertę. Była zaadresowana do Ylvy Knausgård w Stavanger. W środku leżała kartka, na której było napisane: „Kochana Ylvo!”, ale nic poza tym.

– On do niej pisał? Stąd?

– Najwyraźniej – odparł Yngve. – Pewnie chciał napisać na jej urodziny czy coś takiego, ale zrezygnował. Nie miał dokładnego adresu, sam widzisz.

– Sądziłem, że w ogóle nie wiedział o jej istnieniu.

– Ale wiedział – stwierdził Yngve. – Musiał o niej myśleć.

– To przecież jego pierwsza wnuczka – przypomniałem.

– No tak. Ale mówimy o tacie. To nie musi nic oznaczać.

– Cholera, jakie to smutne.

– Znalazłem coś jeszcze – powiedział Yngve. – Zobacz.

Tym razem podał mi napisane na maszynie pismo, wyglądające na oficjalne. Z Państwowej Kasy Pożyczkowej na Kształcenie. Informacja, że tata spłacił kredyt studencki.

– Spójrz na datę – powiedział Yngve.

Spojrzałem. Dwudziesty dziewiąty czerwca.

– Dwa tygodnie przed śmiercią – policzyłem i popatrzyłem na Yngvego. Zaczęliśmy się śmiać.

– Cha, cha, cha! – śmiał się Yngve.

– Cha, cha, cha! – śmiałem się ja. – I tyle tej wolności, cha, cha, cha!

– Cha, cha, cha!

Godzinę później Gunnar i Tove pojechali, wtedy nastrój w domu znów się odmienił. Gdy zostaliśmy sami z babcią, pokoje jakby zamknęły się wokół wydarzeń w tym miejscu, jakbyśmy byli zbyt słabi, by je otworzyć. Może znajdowaliśmy się zbyt blisko tego, co się stało, i w o wiele większym stopniu niż Gunnar i Tove stanowiliśmy tego część. Tak czy owak, strumień życia i ruch zamarły, wszystkie przedmioty w środku – czy to telewizor, czy krzesła, kanapa, rozsuwane drzwi między pokojami, czarne pianino, wiszące nad nim dwa barokowe obrazy – wysunęły się naprzód, kierując się własnymi prawami, ciężkie, nieporuszone, naładowane przeszłością. Na dworze znów się zachmurzyło, szarobiała pokrywa przesłaniająca niebo tłumiła wszystkie kolory krajobrazu. Yngve sortował papiery, ja myłem schody, babcia zaś siedziała w kuchni, zapadnięta w swoją ciemność. Koło czwartej Yngve pojechał po coś na obiad, a ja, przytłoczony tym domem, miałem gorącą nadzieję, że babcia nie wyruszy na jedną ze swoich nielicznych wędrówek i nie przyjdzie do mnie, bo nie mogłem pozbyć się uczucia, że moja dusza – czy jak nazwać to coś, w czym inni ludzie tak łatwo zostawiają ślady – jest tak krucha i wrażliwa, że nie zniósłbym tej traumy, jaką byłaby obecność babci, niemal rozdartej smutkiem i żalobą. Ale moja nadzieja okazała się próżna, bo już za chwilę usłyszałem szuranie krzesła, a moment

później jej kroki. Najpierw w salonie, potem w przedpokoju.

Trzymała się mocno poręczy, jakby stała na krawędzi przepaści.

– A więc tu jesteś – stwierdziła.

– Tak. Ale już niedługo kończę.

– A gdzie Yngve?

– Pojechał po zakupy.

– No tak, rzeczywiście. – Długo stała wpatrzona w moją rękę, która ze ścierką w palcach przesuwiała się w górę i w dół po poręczy. Potem spojrzała mi w oczy. Napotkałem jej wzrok i lodowate ciarki przeszły mi po plecach. Babcia wyglądała tak, jakby mnie nienawidziła.

Westchnęła. Odgarnęła na bok kosmyk włosów, który stale spadał jej na oko.

– Zawzięty jesteś. Ależ ty jesteś zawzięty!

– Taak – powiedziałem. – Ale dobrze coś skończyć, skoro człowiek już się do tego zabrał, prawda?

Z zewnątrz dobiegł warkot silnika.

– No, wrócił.

– Kto? – spytała. – Gunnar?

– Yngve.

– Ale przecież jego tu nie ma.

Nie odpowiedziałem.

– Ano tak, rzeczywiście. Chyba zaczynam trochę fiksować.

Uśmiechnąłem się, wrzuciłem ścierkę do prawie całkiem mętnej wody, chwyciłem wiadro za rączkę.

– No, przygotujemy coś do zjedzenia – powiedziałem.

W kuchni wylałem wodę, wyjąłem ścierkę i przewiesiłem ją przez krawędź wiadra, a babcia w tym czasie usiadła na swoim miejscu. Kiedy zabrałem ze stołu popielniczkę, odsunęła na bok dolną część zasłony i wyjrzała przez okno. Opłukałem popielniczkę, wróciłem, wziąłem filiżanki, wstawiłem je do zlewu, zmoczyłem zmywak, spryskałem blat środkiem czyszczącym i właśnie go myłem, kiedy wszedł Yngve z torbami w obu rękach. Odstawił je i zaczął wyjmować zakupy. Najpierw wyłożył na stół to, co mieliśmy zjeść na obiad, cztery kotlety z łososia, pakowane próżniowo, plastikową torbę z ziemniakami, ciemnymi od ziemi, kalafior, opakowanie mrożonej fasolki, a potem pozostałe produkty, z których część schował do lodówki, a część do szafki obok. Półtoralitrową butelkę sprite'a, półtoralitrową butelkę piwa CB, torbę pomarańczy, karton mleka, karton soku pomarańczowego, chleb. Włączyłem kuchenkę, z szafki pod blatem wyjąłem patelnię i

rzuciłem na nią kawałek margaryny, znalezionej w lodówce. Napełniłem wodą duży garnek i postawiłem go na płycie z tyłu, rozwiązałem foliową torbę, wrzuciłem ziemniaki do zlewu, odkręciłem wodę i zacząłem je myć, a grudka tłuszczu powoli rozpływała się na czarnym dnie patelni. Znów zaskoczyła mnie czystość zakupów, podnosząca na duchu, ich jasne kolory, na przykład fasolka w zielono-białym plastikowym opakowaniu z czerwonym napisem i czerwonym logo albo biała papierowa torba, z której wystawała zaokrąglona ciemna piętka chleba, trochę jak ślimakowate zwierzę wyglądające ze swojego domku czy jak mnich w habicie. Pomarańcze, na których wybrzuszał się plastik. Kształt każdej kuli przysłaniały inne kule, przypominało to niemal podręcznikowy model cząsteczki. Zapach pomarańczy, rozchodzący się po pokoju podczas obierania ich ze skórki albo przy krojeniu, zawsze kojarzył mi się z tatą. Właśnie tak pachniały pomieszczenia, w których przebywał, papierosowym dymem i pomarańczami. Kiedy wchodziłem do własnej pracowni i czułem ten zapach, zawsze robiło mi się przyjemnie.

Ale dlaczego? Na czym polegała ta przyjemność?

Yngve zgniół obie puste torby plastikowe i schował je do najniższej szuflady. Tłuszcz zaczynał skwierczeć na patelni. Strumień z kranu rozbijał się na podsuwanych pod niego ziemniakach, a woda spływająca po ściankach zlewu nie miała siły spłukać całej ziemi, dlatego rowki na dnie pokrył szlam, ale kiedy wyciągałem czysty już ziemniak spod strumienia, woda w mgnieniu oka porywała ze sobą wszystko i metal na dnie zlewu znów lśnił.

– Tak, tak – odezwała się babcia przy stole.

Te jej głęboko zapadnięte oczy, zwykle jasne, teraz pociemniałe, te wystające kości.

Yngve stał na środku kuchni i pił colę ze szklanki.

– Mam w czymś pomóc? – spytał.

Odstawił pustą szklankę na blat i dyskretnie beknął.

– Nie, nie musisz.

– Wobec tego wyjdę – powiedział.

– Dobrze, wyjdź.

Włożyłem ziemniaki do wody, którą ciepło już wprawiło w ruch, na powierzchnię wydobywały się niewielkie kręgi. Znalazłem sól, stała na wyciągu w małym wikińskim stateczku ze srebra, którego wiosło było łyżeczką, nasypałem jej trochę do garnka, pokroiłem kalafior i włożyłem do kolejnego rondla. Potem nożem otworzyłem opakowanie łososia i wyjąłem cztery filety, które posoliłem i ułożyłem na talerzu.

– Dzisiaj na obiad ryba – zapowiedziałem. – Łosoś.

– Aha. Na pewno będzie dobra – stwierdziła babcia.

Powinna się wykapać i umyć włosy. Przebrać w świeże, czyste rzeczy. Niemal za tym tęskniłem. Ale kto miał o to zadbać? Raczej nie miała ochoty zrobić tego z własnej

inicjatywy. Nie mogliśmy jej o to prosić, to było niemożliwe. A gdyby się nie zgodziła? Nie mogliśmy jej też do tego zmusić.

Trzeba poprosić Tove. Dla babci będzie to chyba mniej upokarzające, jeśli porozmawia z nią o tym osoba tej samej płci. I o jedno pokolenie bliższa.

Włączyłem wyciąg i rzuciłem filety na patelnię. W ciągu kilku sekund spody pojaśniały, z głębokiego, niemal czerwonego różu ich kolor zmienił się w bladoróżowy, patrzyłem, jak ta nowa barwa powoli wstępuje w mięso. Zmniejszyłem temperaturę pod ziemniakami, które wrzały.

– Ach! – westchnęła babcia.

Popatrzyłem na nią. Siedziała dokładnie tak jak przedtem i chyba nie zdawała sobie sprawy, że właśnie westchnęła.

On był jej pierwszym dzieckiem.

Dzieci nie powinny umierać przed rodzicami. Nie powinny. Nie powinny.

A ja? Kim był tata dla mnie?

Kimś, czyjej śmierci pragnąłem.

Skąd więc te łzy?

Rozciąłem torebkę z fasolką. Pokrywał ją puszysty szron, wydawała się niemal szara. Teraz już i kalafior się gotował. Zmniejszyłem temperaturę i spojrzałem na zegar na ścianie. Za osiemnaście piąta. Jeszcze cztery minuty i kalafior będzie gotowy. Albo sześć. Ziemniaki za kwadrans. Powinienem był je przekroić. Przecież to nie będzie uroczysty posiłek.

Babcia spojrzała na mnie.

– Zdarza wam się wypić piwo do obiadu? – spytała. – Zauważyłam, że Yngve kupił butelkę.

Zauważyła?

Pokręciłem głową.

– Zdarza się – odparłem. – Ale rzadko. Prawdę mówiąc, bardzo rzadko.

Obróciłem filety. Na jasnym mięsie było kilka brązowoczarnych smug. Ale się nie przypaliły.

Włożyłem fasolkę do garnka, posoliłem wodę i wylałem jej nadmiar. Babcia wychyliła się i wyjrzała przez okno. Odsunąłem patelnię lekko na bok, jeszcze zmniejszyłem temperaturę i poszedłem do Yngvego na taras. Siedział na krześle, zapatrzony przed siebie.

– Niedługo możemy jeść. Za pięć minut.

– To dobrze.

– To piwo, które kupiłeś... Zamierzałeś je wypić do obiadu?

Kiwnął głową i zerknął na mnie.

– A co?

– Babcia – powiedziałem – spytała, czy zwykle pijemy piwo do obiadu. Pomyślałem, że może nie trzeba tego robić przy niej. Przecież tu było tyle pijaństwa, nie powinna więcej na to patrzeć. Nawet jeśli to tylko szklanka piwa do obiadu. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Jasne, ale przesadzasz.

– Możliwe. Ale to przecież nie jest jakieś wielkie poświęcenie.

– Pewnie, że nie – przyznał Yngve.

– No to co? Zgoda?

– Tak!

Irytacja w jego głosie była aż nazbyt wyraźna. Nie chciałem odchodzić, gdy wisiła w powietrzu. Jednocześnie nie miałem do zaproponowania nic, co by ją złagodziło. Dlatego po kilku sekundach niezdecydowania, z rękami niezdarnie zwieszonymi wzdłuż boków i ze ściśniętym gardłem, wróciłem do kuchni, nakryłem do stołu, odlałem i odstawiłem do odparowania ziemniaki, łopatką do smażenia przełożyłem filety z łososia na półmisek, podzieliłem kalafior i ułożyłem go wraz z fasolką na tym samym półmisku, potem znalazłem miskę na ziemniaki i wszystko ustawiłem na stole. Jasnoróżowe, jasnozielone, białe, ciemnozielone, złotobrazowe. Napełniłem dzbanek wodą i akurat stawiałem go wraz z trzema szklankami, gdy Yngve przyszedł z tarasu.

– Nieźle to wygląda – stwierdził, siadając. – Ale może przydałyby się jeszcze sztucce.

Wyjąłem je z szuflady, podałem obojgu, usiadłem i zacząłem obierać ziemniaki. Gorąca skórka piekła w koniuszki palców.

– Obierasz? – zdziwił się Yngve. – Przecież to młode ziemniaki.

– Masz rację – powiedziałem. Nabiłem na widelec kolejny ziemniak i położyłem go na talerzu. Pękł, krusząc się, gdy przycisnąłem do niego nóż. Yngve podniósł do ust kawałek łososia. Babcia swoją rybę kroić na kawałeczki. Znów wstałem, wyjąłem z lodówki margarynę, położyłem kawałek na ziemniaki. Przeżuwając pierwszy kawałek łososia, starym zwyczajem oddychałem przez usta. Yngve chyba nabrał bardziej normalnego, dorosłego stosunku do ryb. Teraz jadał nawet lutefisk, co kiedyś uznawał za rzecz najgorszą z najgorszych. „Z bekonem i pozostałymi dodatkami to jest przecież naprawdę bardzo dobre”, usłyszałem w głowie jego głos, chociaż siedział obok mnie i jadł w milczeniu. Lutefisk na obiadach z przyjaciółmi stanowiła element świata całkowicie poza mną. Nie dlatego że nie jadałem lutefisk, po prostu nie byłem zapraszany na takie spotkania. Dlaczego – nie miałem pojęcia. Zresztą przestałem się już tym przejmować. Ale kiedyś się przejmowałem, kiedyś stałem poza nawiasem i cierpiałem z tego powodu. Teraz po prostu byłem poza.

– Gunnar mówił, że na Grim jest jakaś wypożyczalnia narzędzi – powiedziałem. – Pojedziemy tam jutro, po spotkaniu w zakładzie pogrzebowym? Dobrze by było to załatwić przed twoim wyjazdem. Chodzi mi o samochód.

– Możemy pojechać – zgodził się Yngve.

Teraz już jadła także babcia. Pojawiła się w niej jakaś ostrość, przypominała gryzonie. Za każdym razem, kiedy się poruszyła, czułem odór moczu. Naprawdę powinniśmy wsadzić ją do wanny. Namówić na włożenie czystego ubrania. Wmusić w nią jedzenie. Mnóstwo jedzenia. Owsiankę, mleko, masło.

Podniosłem szklankę do ust i wypilem łyk. Chłodna woda miała lekki posmak metalu. Sztuńce Yngvego zadzwoniły o talerz. Zza półprzymkniętych drzwi do jadalni dochodziło brzęczenie osy albo bąka. Babcia westchnęła i jednocześnie obróciła się na krześle, jakby myśl, która przyszła jej do głowy, przeleciała nie tylko przez świadomość, lecz również przez ciało.

W tym domu rybę jadało się nawet w Wigilię. W dzieciństwie wydawało mi się to potwornością. Ryba w Wigilię! Ale Kristiansand było miastem nadmorskim, tradycja była stara, a sprzedawane w hali rybnej przed świętami dorsze starannie wybierano. Kiedyś poszedłem tam z babcią, pamiętam atmosferę, która przywitała nas w hali, półmrok po ostrym blasku słońca odbijającego się od śniegu, wielkie dorsze spokojnie pływające w zbiornikach, ich brązową skórę, w niektórych miejscach żółtawą, w innych zielonkawą, pysk otwierający się i zamykający powoli, wąsik pod miękkim białym podbródkiem, nieruchome żółte oczy. Mężczyźni, którzy tam pracowali, nosili białe fartuchy i kalosze. Jeden obciął łeb dorszowi wielkim, niemal prostokątnym nożem, a moment później, odepchnąwszy ciężki łeb na bok, rozkroił brzuch. Spomiędzy jego palców wyleciały wnętrzności, blade i rozmiękłe, wrzucił je do stojącego obok wielkiego pojemnika na śmieci. Dlaczego były takie blade? Inny mężczyzna właśnie zapakował rybę w papier i teraz jednym palcem wystukiwał cenę na klawiaturze kasy. Obsługiwał klawisze zupełnie inaczej, niż to robią w zwykłych sklepach, pamiętam, zwróciłem na to uwagę, jakby w zdecydowanych, a mimo to niewprawnych ruchach sprzedawcy ryb połączyły się dwa różne światy, delikatny i toporny, wewnętrzny i zewnętrzny. W środku pachniało solą. Na ladach wyłożono na lodzie ryby i krewetki. Babcia, w futrzanej czapce i ciemnym płaszczu do ziemi, stanęła w kolejce przy jednej z lad, a ja poszedłem do drewnianej skrzyni, pełnej żywych krabów. Wierzchnią stronę pancerzy miały ciemnobrązową jak zgniłe liście, spody – żółtobiałe jak kości. Czarne oczy, przypominające łebki od szpilek, czułki, szczypce, które grzechotały, kiedy jedno skorupiaki wspinały się po drugich. Pomyślałem, że kraby są jak pojemniki, pojemniki z mięsem. To, że pochodziły z głębi, z której zostały wyciągnięte i przyniesione tutaj, podobnie jak wszelkie żywe morskie stworzenia, odbierałem jako coś baśniowego. Jakiś człowiek splukiwał szlauchem betonową podłogę, spieniona woda spływała do kratki ściekowej. Babcia nachyliła się i wskazała na zupełnie płaską rybę, zielonkawą w rdzawoczerwone plamki, a ekspedient podniósł ją z lodowego łoża i położył na wadze. Potem przeniósł ją na papier i zawinął. Pakunek włożył do torby, torbę wręczył babci, ona zaś podała mu banknot, wyjęty z małej portmonetki. Ale cała ta baśniowość otaczająca ryby w hali zniknęła, kiedy leżały na moim talerzu, białe, drżące,

słone i pełne ości. Podobnie jak baśniowość ryb łowionych razem z tatą na otwartym morzu przy wyspie Tromøya albo w cieśninie między wyspą a stałym lądem, „na choinkę”, na linkę trollingową albo na zwykłą wędkę, również je opuszczała, w momencie gdy były przygotowane do jedzenia i leżały na naszych brązowych talerzach obiadowych w domu na Tybakken w latach siedemdziesiątych.

Kiedy mogłem być z babcią w hali rybnej?

W dzieciństwie spędzałem u nich niewiele dni powszednich. Prawdopodobnie więc musiało to być w te jedne ferie zimowe, które spędziliśmy u nich obaj z Yngvem, kiedy sami pojechaliśmy autobusem do Kristiansand. To oznaczało, że tamtego dnia Yngve musiał nam towarzyszyć. Ale w moim wspomnieniu go nie było. Krabów też nie mogło być; ferie zimowe zwykle wypadały w lutym, a w tym czasie nie da się kupić żywych krabów. A nawet jeśliby się dało, to nie mogły być w drewnianej skrzyni, więc skąd właściwie wziął się ten obraz, taki wyraźny i szczegółowy?

Skądkolwiek. Moje dzieciństwo było pełne ryb, krabów, krewetek i homarów. Wiele razy widziałem, jak tata brał z lodówki zimne resztki ryby i zjadał je na stojąco w kuchni wieczorem albo rano w weekendy. Najbardziej lubił kraby; kiedy przychodziło późne lato i zaczynało się je łowić, po zajęciach w szkole jeździł zwykle do portu rybackiego w Arendal i kupował kilka sztuk, chyba że z rzadka sam je łapał wieczorami i nocą na wysepkach przy brzegu albo na skałach od strony otwartego morza. Zdarzało się nam chodzić tam razem z nim; zwłaszcza jeden raz zapadł mi w pamięć, jedna noc przy latarni morskiej Torungen pod granatowoczarnym sierpniowym niebem, kiedy zaatakowały nas mewy, gdy wysiadaliśmy z łodzi na wysepce, a później, z dwoma wiadrami pełnymi krabów, rozpaliliśmy ognisko w zagłębieniu wśród skał. Płomienie wzbijały się do nieba. Wokół nas rozciągało się ciężkie morze. Twarz taty błyszczała.

Odstawiłem szklanekę, odkroiłem kawałek ryby i wbiłem w nią widelec. Ciemnoszare, tłuste mięso, nadziane na trzy zęby, było takie miękkie, że mogłem językiem rozgnieść je na podniebieniu.

Po obiedzie wróciliśmy do sprzątanina. Ze schodami już skończyłem, więc wziąłem się do roboty tam, gdzie przerwała ją Tove, Yngve natomiast zabrał się do jadalni. Padał deszcz. Delikatna warstewka mżawki pokryła okna, mur na tarasie lekko pociemniał, a na morzu, gdzie musiało padać mocniej, chmury na horyzoncie były pasiaste od deszczu. Ścierałem kurz ze wszystkich drobnych ozdób, z lamp, zdjęć i pamiątek zapełniających regały, i odstawiałem je na podłogę, by na koniec umyć półki. Lampka oliwna rodem z *Baśni tysiąca i jednej nocy*, wyglądająca jednocześnie na tanią i kosztowną, z zawilými ornamentami i złotawymi zdobieniami; gondola z Wenecji, świecąca jak lampa; fotografia babci i dziadka przed piramidą w Egipcie. Kiedy tak stałem i patrzyłem na zdjęcie, usłyszałem, że babcia w kuchni wstaje. Wytarłem szkło i ramkę, postawiłem ją na ziemi.

Sięgnąłem po stojak ze staroświeckimi singlami. Babcia stanęła z rękami założonymi za plecy i obserwowała moje ruchy.

- To jest naprawdę zbędne – oświadczyła. – Aż tak starannie nie musisz tego robić.
- Szybko idzie – odparłem. – Równie dobrze mogę to skończyć, skoro już zacząłem.
- No tak, no tak. Na pewno będzie ładnie.

Kiedy wytarłem stojak z kurzu, odstawiłem go na podłogę, płyty położyłem obok, otworzyłem szafkę i wyciągnąłem ze środka starą wieżę stereo.

- Wy chyba nigdy nie pijecie wieczorem, prawda? – spytała.
- Nie. Przynajmniej nie w dni powszednie.
- Tak właśnie myślałam.

W domach po drugiej stronie rzeki światła zaczęły świecić jaśniej. Która mogła być godzina? Wpół do szóstej? Szósta?

Umyłem półki, odstawiłem wieżę stereo na miejsce. Babcia, która chyba zrozumiała, że nie ma tu czego szukać, odwróciła się z cichym „tak, tak” i przeszła do jadalni. Wkrótce potem usłyszałem jej głos, chwilę później głos Yngvego. Kiedy wszedłem do kuchni po sprej do okien i trochę gazet, zobaczyłem, że usiadła przy stole, żeby rozmawiać z Yngvem, w czasie gdy będzie pracował.

To picie naprawdę zalało jej za skórę, pomyślałem, wyjąłem z szafki sprej, wyrwałem kilka stron z gazety leżącej na krześle pod zegarem ściennym i wróciłem do salonu. Wcale nie wydawało mi się to dziwne. Przecież on metodycznie zapijał się na śmierć, w inny sposób nie dawało się tego wytłumaczyć, a ona przy tym była i to widziała. Każdego ranka, każdego przedpołudnia, każdego popołudnia, każdego wieczoru. Jak długo? Dwa lata? Trzy? Tylko ona i on. Matka i syn.

Spryskałem płynem przeszklone drzwiczki w regale, zgmiotłem papier gazetowy i wytarłem nim spływającą pianę, aż szkło zrobiło się suche i błyszczące. Rozejrzałem się za innymi szybami, skoro już to robiłem, ale nie zauważyłem niczego oprócz okien, które postanowiłem zostawić sobie na później. Zamiast wrócić do regału i poustawiać wszystko na swoich miejscach, zająłem się tym, co było w szafkach.

W powietrzu nad basenem portowym widać było smugi deszczu. Chwilę później deszcz uderzył w okno tuż przy mnie. Duże, ciężkie krople spływały, tworząc drżące wzory na szybie. Za moimi plecami przeszła babcia. Nie odwróciłem się, ale jej ruchy i tak wypełniły moją świadomość, kiedy się zatrzymała, sięgnęła po pilota do telewizora, przycisnęła guzik i usiadła w fotelu. Odłożyłem na półkę ścierkę, którą wycierałem kurz, i poszedłem do Yngvego.

- Tu też jest pełno butelek. – Ruchem głowy wskazał kredens, zajmujący całą ścianę. – Ale serwis i inne rzeczy wyglądają dobrze.
- Ciebie też pytała, czy pijemy? Bo mnie, odkąd przyjechaliśmy, zadała to pytanie z

dziesięć razy. Co najmniej.

– Tak, mnie też – odparł Yngve. – Może po prostu chce się napić. Nie potrzebuje co prawda naszego zezwolenia, ale właśnie o nie prosi, więc... Co ty na to?

– O czym ty mówisz?

– Jeszcze nie rozumiałeś? – Znow na mnie spojrzał, uśmiechając się lekko, ale bez radości.

– Czego nie rozumiałem?

– Ona chce się napić. Jest zdesperowana.

– Babcia?

– Tak. Co ty na to? Damy jej trochę?

– Jesteś pewien? Sądziłem, że jest odwrotnie.

– W pierwszej chwili też tak myślałem, ale to przecież oczywiste, jeśli się zastanowić. On tu długo mieszkał. Jak inaczej mogłaby to wytrzymać?

– Jest a l k o h o l i c z k ą?

Yngve wzruszył ramionami.

– Sprawa wygląda tak, że ona ma ochotę na drinka. I potrzebuje naszego przyzwolenia.

– Niech to szlag – powiedziałem. – Co za piekło!

– Owszem. Ale właściwie co to szkodzi, że się trochę napije? Jest przecież w lekkim szoku.

– No to co robimy?

– Chyba po prostu spytamy, czy ma ochotę na drinka. A potem się z nią napijemy.

– Okej. Ale nie od razu, dobrze?

– Najpierw skończymy robotę na dziś. A potem ją spytamy. Jak gdyby nigdy nic.

Pół godziny później uporałem się z regałem i wyszedłem na taras. Deszcz już przestał padać, a powietrze było pełne świeżych zapachów z ogrodu. Stół pokrywała cienka błona wody, siedzenia krzeseł pociemniały od wilgoci. Plastikowe butelki, które leżały na betonowej posadzce, były mokre. Ich szyjki przypominały mi lufy niewielkich armatek, skierowane w różne strony. Z żelaznego ogrodzenia zwisały krople. Odrywały się pojedynczo w nieregularnych odstępach i skapywały na mur z prawie niesłyszalnym westchnieniem. Trudno uwierzyć, że tata był tu jeszcze trzy dni temu. Że trzy dni temu oglądał ten sam widok, chodził po tym samym domu, widział babcię, tak jak my ją widzieliśmy, że zaledwie trzy dni temu myślał. To się nie mieściło w głowie. Chociaż akurat to, że niedawno tu był, mogłem zrozumieć. Ale nie pojmowałem, że to widział. Taras, plastikowe torby, światła w oknach u sąsiadów. Żółty płatek farby, który odpadł i leżał teraz na pomalowanej na czerwono posadzce tarasu, tuż przy zardzewiałej nodze

stołu. Rynnę, wodę, która wciąż z niej ściekała i skapywała na trawę. Nie mogłem zrozumieć, choćbym nie wiadomo jak się starał, że on już nigdy tego nie zobaczy. Że nie zobaczy mnie i Yngvego, to rozumiałem, to miało związek z życiem uczuciowym, a w nie śmierć była wpleciona w zupełnie inny sposób, niż obiektywna, konkretna rzeczywistość, która mnie otaczała.

Nicość, tylko nicość. Nawet nie ciemność.

Zapaliłem papierosa, parę razy przesunąłem ręką po mokrym siedzeniu krzesła i usiadłem. Zostały mi tylko dwa papierosy. Musiałem iść do kiosku, zanim go zamkną.

Wzdłuż płotu zamykającego trawnik skradał się szary, pręgowany kot. Wyglądał na starego. Zatrzymał się z uniesioną łapą, przez chwilę wpatrywał się w trawę i zaraz poszedł dalej. Pomyślałem o naszym kocie, Nansenie, którego Tonje ubóstwiała. Miał dopiero kilka miesięcy i spał razem z nią pod kołdrą, ledwie wystawiając łeppek.

Nie pomyślałem o Tonje ani razu w ciągu tego dnia. Ani razu. Co to oznaczało? Nie chciałem do niej dzwonić, bo nie miałem nic do powiedzenia, ale musiałem, ze względu na nią. Bo nawet jeśli ja o niej nie myślałem, ona myślała o mnie, o tym byłem przekonany.

Znad portu nadleciała mewa. Kierowała się na taras, a ja poczułem, że się uśmiecham. To była mewa babci, przyleciała po jedzenie. Ale ponieważ tu siedziałem, nie miała odwagi wylądować, dlatego przycupnęła na dachu, gdzie odchyliła łeppek i zaniósła się mewim krzykiem.

Mogła chyba dostać trochę łososia.

Zgaśnię papierosa na posadzce, niedopałek wrzuciłem do butelki, wstałem i poszedłem do babci, która oglądała telewizję.

– Twoja mewa znów tu jest – powiedziałem. – Dać jej trochę ryby?

– Co? – Odwróciła głowę w moją stronę.

– Mewa przyleciała. Dać jej trochę łososia?

– Aha. Ale sama mogę to zrobić.

Wstała i zgarbiona poszła do kuchni. Chwyciłem pilota i przyciszyłem telewizor. Potem wszedłem do pustej jadalni i usiadłem przy telefonie. Wybrałem numer do domu.

– Halo, tu Tonje.

– Cześć, mówi Karl Ove.

– O, cześć...

– Cześć.

– Co tam u ciebie?

– Nie za dobrze – odpowiedziałem. – Ciężko tu być. Prawie cały czas płaczę. Oczywiście dlatego że tata nie żyje. Ale nie tylko...

– Powinnam tam być razem z tobą. Stęskniłam się.

– To jest dom śmierci. Cały czas w niej brodzimy. Umarł w fotelu, który jest tuż obok mnie. Ten fotel ciągle stoi w tym samym miejscu. No i jest tu też obecne wszystko, co się wydarzyło. To znaczy wcześniej, kiedy dorastałem. Wszystko to jest tutaj i wylazi na wierzch. Rozumiesz? W pewnym sensie jestem bardzo blisko tego. Blisko tego, kim byłem w dzieciństwie. Tego, kim tata wtedy był. Wszystkie uczucia z tamtych czasów wydobywają się na powierzchnię.

– Mój biedny Karl Ove – powiedziała Tonje.

Babcia przeszła, niosąc talerzyk z kawałkiem łososa. Nie zauważyła mnie. Milczałem, dopóki nie dotarła do bawialni.

– Nie masz co się nade mną uzalać. To jego żal. Jego życie pod koniec było tak straszne, że aż nie chce się wierzyć.

– A jak się czuje twoja babcia?

– Nie bardzo wiem. Chyba jest w szoku. Sprawia wręcz wrażenie osoby z demencją. I jest okropnie chuda. Oni tutaj tylko siedzieli i pili. Obydwoje.

– Ona też? Twoja babcia?

– No właśnie. Nie uwierzysz. Ale postanowiliśmy, że wszystko naprawimy i uroczystość po pogrzebie urządzimy tutaj.

Przez szybę w drzwiach na taras widziałem, jak babcia stawia talerzyk na posadzce. Zrobiła kilka kroków w tył i rozejrzała się.

– To chyba dobry pomysł – oceniła Tonje.

– Nie wiem, ale tak zamierzamy zrobić. Wysprzątać cały ten cholerny dom, a potem tchnąć w niego życie. Kupić obrusy, kwiaty i...

Przez drzwi zajrzał Yngve. Widząc, że rozmawiam przez telefon, lekko uniósł brwi i się wycofał, akurat w chwili gdy babcia wróciła z tarasu. Stała przy oknie i zaczęła przez nie wyglądać.

– Pomyślałam, że przyjadę dzień wcześniej – powiedziała Tonje. – Żebym i ja mogła w czymś pomóc.

– Pogrzeb będzie w piątek. Weźmiesz wolne w pracy?

– Tak, przyjadę w czwartek przed południem. Bardzo za tobą tęsknię.

– A co dzisiaj robiłaś?

– Nic szczególnego, byłam u mamy i Hansa na obiedzie. Mam cię od nich pozdrowić, myślą o tobie.

– Miło z ich strony. A co jedliście?

Matka Tonje była fantastyczną kucharką; spożywanie jej potraw stanowiło prawdziwe przeżycie, jeśli ktoś interesował się kuchnią. Mnie to nie interesowało, jedzenie było mi kompletnie obojętne, mogłem równie dobrze jeść paluszki rybne jak pieczonego halibuta, parówkę jak polędwicę à la Wellington. Ale Tonje się tym pasjonowała. Oczy jej się

świeciły, gdy zaczynała mówić o jedzeniu, i też miała talent, lubiła pracować w kuchni; nawet w przyrządzanie zwykłej pizzy wkładała całą duszę. Była najbardziej zmysłowym człowiekiem, jakiego spotkałem w życiu, a związała się z kimś, kto uważał posiłki, miłe spędzanie czasu i bliskość przy stole za zło konieczne.

– Flądre, więc może i lepiej, że cię to ominęło.

Zorientowałem się, że się uśmiechnęła.

– Ale była naprawdę przepyszna.

– Nie wątpię – powiedziałem. – Kjetil i Karin też przyszli?

– Tak. I Atle.

W tej rodzinie wiele się wydarzyło, zresztą tak jak we wszystkich rodzinach, ale oni o tym nie mówili, więc jeśli coś manifestowali, to albo każdy z osobna, albo wspólnie tworzonym nastrojem. Przypuszczałem, że jedną z rzeczy, które Tonje najbardziej we mnie lubiła, było moje zainteresowanie wszelkimi powiązaniem i możliwościami ukrytymi w rozmaitych relacjach, co dla niej nie było zwyczajne i nigdy tego nie roztrząsała, kiedy więc dzieliłem się z nią swoimi obserwacjami, zawsze bardzo ją one interesowały. Miałem to po matce, już od czasów gimnazjalnych prowadziłem z nią długie rozmowy o napotkanych znajomych, o tym co powiedzieli i ewentualnie dlaczego, skąd to się brało, kim byli ich rodzice, w jakim domu mieszkali, wszystko to splecione z pytaniami o politykę, etykę, moralność, psychologię i filozofię, a ta wciąż trwająca rozmowa wyculiła moje spojrzenie, nadała mu kierunek, zwracałem je zawsze ku temu, co rodziło się między obserwowanymi przeze mnie ludźmi, i temu, co usiłowałem zrozumieć; długo wierzyłem, że znam się na ludziach, ale tak nie było, przecież gdziekolwiek się obróciłem, widziałem siebie, ale też może nasze rozmowy wcale nie tego dotyczyły przede wszystkim, lecz czegoś innego, moich relacji z mamą, to właśnie w języku i refleksji zbliżaliśmy się do siebie, to nas ze sobą wiązało i tego szukałem również w związku z Tonje. I tak było dobrze, bo ona tego potrzebowała, tak jak ja potrzebowałem jej silnej zmysłowości.

– Tęsknię za tobą – powiedziałem. – Ale cieszę się, że cię tu nie ma.

– Musisz mi obiecać, że mnie nie odsuniesz od tego, co się teraz z tobą dzieje – poprosiła.

– Nie odsunę.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham.

Jak zawsze kiedy wypowiadałem te słowa, zacząłem się zastanawiać, czy to rzeczywiście prawda. Ale ta myśl prędko uleciała. Oczywiście, że tak. Oczywiście, że ją kochałem.

– Zadzwońisz jutro?

– Jasne. Trzymaj się.

– Ty też się trzymaj. I pozdrów Yngvego.

Odłożyłem słuchawkę i poszedłem do kuchni. Yngve stał oparty o blat.

– Rozmawiałem z Tonje, masz pozdrowienia.

– Dziękuję – powiedział. – Też ją ode mnie pozdrów.

Przysiadłem na brzeжку krzesła.

- Kończymy na dzisiaj czy jeszcze nie?
- Kończymy. Ja w każdym razie nie mam już siły.
- Muszę jeszcze skoczyć do kiosku. A potem możemy... no wiesz. Chcesz coś?
- Możesz mi kupić paczkę tytoniu? I jakieś chipsy czy coś takiego.

Kiwnąłem głową i wstałem, zszedłem na dół, włożyłem kurtkę, którą wyjąłem z szafy, sprawdziłem, czy karta jest w wewnętrznej kieszonce, a przed wyjściem jeszcze zerknąłem w lustro. Wyglądałem na zmęczonego. I chociaż od ostatniego ataku płaczu minęło kilka godzin, po oczach wciąż było widać, że płakałem. Nie były zaczerwienione, raczej rozmyte, jakby nasiąknięte wodą.

Na schodach przystanąłem na chwilę. Przyszło mi do głowy, że do tej pory zachowywaliśmy się zbyt delikatnie, a powinniśmy spytać babcię o wiele rzeczy. Na przykład: o której przyjechała karetka? Jak szybko? Czy lekarze mogli jeszcze tatę uratować?

Karetka musiała wjechać na podjazd, mrugając światłami, na sygnale. Kierowca i lekarz wysiedli, chwycili sprzęt i wbiegli na górę po schodach; czy drzwi były zamknięte na klucz? Ten dom zawsze zamykało się na klucz. Czy babcia była dość przytomna, by zejść na dół i otworzyć? A może stali i dzwonili? Czy kiedy weszli, powiedziała: „On tam leży”, i zaprowadziła ich do salonu? Siedział wtedy w fotelu? Leżał na podłodze? Próbowali go reanimować? Masaż serca? Tlen? Usta-usta? A może od razu skonstatowali, że nie żyje, że jest już poza zasięgiem życia, i tylko ułożyli go na noszach i wynieśli, zamieniwszy z nią kilka słów? Ile z tego do niej dotarło? Co powiedziała? I kiedy to się stało, rano, w środku dnia czy wieczorem?

Nie mogliśmy stąd wyjechać, nie dowiedziawszy się, w jakich okolicznościach umarł, prawda?

Westchnąłem i ruszyłem ulicą. Przestrzeń nade mną się otworzyła. To, co kilka godzin wcześniej było gładką, chociaż gęstą pokrywą chmur, teraz ułożyło się w przypominające krajobraz formacje, sięgające w głąb, rozległe równiny, strome ściany i ostre szczyty, w niektórych miejscach białe i puszyste jak śnieg, gdzie indziej szare, twarde jak skała, a duże płaszczyzny oświetlane zachodzącym słońcem nie błyszczały, nie jarzyły się czerwienią, jak czasami się zdarzało, lecz wyglądały raczej na spryskane jakimś płynem. Matowoczerwone, ciemnoróżowe chmury wisiały nad miastem, otoczone wszelkimi możliwymi odcieniami szarości, dzika i piękna sceneria. Pomyślałem, że wszyscy ludzie powinni wylec na ulice, samochody powinny się zatrzymać, kierowcy i pasażerowie powinni wysiąść z zadartymi głowami i oczami błyszczącymi z ciekawości, spragnieni piękna, bo cóż innego, jak nie piękno właśnie, rozgrywało się w górze nad naszymi głowami?

Tymczasem najwyżej kilka osób zerknęło w górę, ktoś może rzucił jakiś komentarz, że niebo ładnie dziś wygląda, bo przecież takie widoki nie były czymś wyjątkowym,

przeciwnie, prawie codziennie niebo wypełniało się fantastycznymi formacjami chmur, oświetlonymi – każda z osobna – w wyjątkowy, niepowtarzalny sposób, a ponieważ tego, co widzi się zawsze, nie widzi się nigdy, żyliśmy pod stale zmieniającym się niebem, nie poświęcając mu żadnej myśli ani spojrzenia. A dlaczego właściwie mielibyśmy poświęcać? Gdyby te rozmaite formacje miały jakiś s e n s, gdyby na przykład skrywały znaki i przesłanie, które należy prawidłowo rozszyfrować, stale rosnące zainteresowanie tym, co tam się działo, byłoby nieuniknione i zrozumiałe. Tak jednak nie było. Rozmaite kształty i kolory chmur n i c nie znaczyły. Ich wygląd w danym momencie zależał wyłącznie od przypadku, więc jeśli chmury niosły jakieś znaczenie, to wyrażały bezsens w najczystszej, idealnej formie.

Wyszedłem na większą ulicę, na której nie było ani ludzi, ani samochodów, i ruszyłem w stronę skrzyżowania. Również tutaj panował niedzielny nastrój. Jakaś starsza para spacerowała po przeciwległym chodniku, kilka samochodów wolno jechało w stronę mostu, światła za chwilę zmieniły się na czerwone. Na przystanku autobusowym przy kiosku zatrzymał się czarny golf; kierowca, młody mężczyzna w szortach, wysiadł z portfelem w rękę, potruchtął do kiosku, zostawiwszy samochód na luzie. Minąłem się z nim w drzwiach, kiedy wychodził; tym razem trzymał w rękę lody. Czy to nie infantylne? Zostawiać samochód z włączonym silnikiem, żeby kupić l o d y?

Ubranego jak na trening ekspedienta z poprzedniego dnia zastąpiła dwudziestokilkuletnia dziewczyna. Była pulchna i czarnowłosa, po rysach twarzy, które miały w sobie coś perskiego, zgadywałem, że pochodzi z Iranu albo z Iraku. Mimo puciołowatych policzków i pełnych kształtów była piękna. Nie poświęciła mi nawet spojrzenia. Całą uwagę skupiła na tygodniku rozłożonym przed nią na ladzie. Przesunąłem na bok drzwi lodówki i wyjąłem trzy półlitrowe butelki sprite'a, poszukałem wzrokiem chipsów, znalazłem je, wziąłem dwie torebki i położyłem na ladzie.

– Jeszcze paczkę tytoniu Tiedemanns Gul z bibułkami.

Odwróciła się i sięgnęła po tytoń na półkę nad sobą.

– Rizla? – spytała, wciąż nie patrząc mi w oczy.

– Najchętniej.

Wsunęła pomarańczową tekturkę z bibułkami w żółte opakowanie tytoniu i położyła je na ladzie, drugą ręką zaczęła wystukiwać cenę na klawiaturze kasy.

– Sto pięćdziesiąt siedem pięćdziesiąt – powiedziała wyraźnym dialektem z Kristiansand.

Podąłem jej dwie setki. Wbiła sumę i z szuflady, która się wysunęła, wyjęła resztę. Chociaż stałem z wyciągniętą ręką, położyła pieniądze na ladzie.

Dlaczego? Czy było we mnie coś, co od razu zauważyła i co jej się nie spodobało? A może to ona była po prostu ociężała? Przecież sprzedawcy zwykle patrzą klientowi w oczy w jakimś momencie transakcji? No i jeśli się trzyma wyciągniętą ręką, to przecież na

granicy nieuprzejmości jest położenie pieniędzy w innym miejscu, a przynajmniej jest to jakaś demonstracja, prawda?

Spojrzałem na nią.

– Mogę dostać torebkę?

– Oczywiście – odparła, lekko ugięła nogi w kolanach i wyciągnęła spod lady białą foliową torbę.

– Proszę.

– Dziękuję. – Spakowałem zakupy i wyszedłem. Chęć, żeby się z nią przespać, przejawiająca się raczej jako cielesna otwartość i łagodność niż zwyczajniejsza forma pożądania, która jest przecież ostrzejsza, bardziej nagła, polegająca na czymś w rodzaju splątania zmysłów, utrzymywała się we mnie przez całą drogę do domu, ale nie była dominująca, bo nieustannie otaczała ją żałoba z szarym, pochmurnym niebem, która jak czułem, w każdej chwili mogła mnie znów pochłonać.

Siedzieli na górze w salonie i oglądali telewizję. Yngve w fotelu taty. Kiedy wszedłem, odwrócił głowę i wstał.

– Doszliśmy do wniosku, że napijemy się po drinku – zwrócił się do babci. – Cały dzień tak ciężko pracowaliśmy. Ty też się napijesz?

– Byłoby miło – odpowiedziała babcia.

– Wobec tego przygotuję i dla ciebie. Może posiedzielibyśmy w kuchni?

– Chętnie.

Czy nie szła odrobinę szybciej niż poprzednio? I chyba w jej ciemnych oczach zapaliło się światełko?

Tak, właśnie tak.

Jedną torebkę chipsów położyłem na blacie, a zawartość drugiej wsypałem do miseczki, którą postawiłem na stole. Yngve w tym czasie wyjął z szafki butelkę niebieskiego absoluta – stała wśród produktów spożywczych i przeoczyliśmy ją, kiedy wylewaliśmy cały alkohol – wziął trzy szklanki z półek nad blatem, karton soku z lodówki i zaczął mieszać drinki. Babcia obserwowała go ze swojego miejsca.

– A więc wy też lubicie wypić wieczorem kropelkę na wzmocnienie – stwierdziła.

– Pewnie – przyznał Yngve. – Przecież harowaliśmy cały dzień. W końcu kiedyś musimy się rozluźnić.

Uśmiechnął się i podał jej szklankę. Siedzieliśmy więc przy stole i piliśmy, wszyscy troje. Dochodziła dziesiąta. Na dworze zaczęło się ściemniać. Nie było najmniejszych wątpliwości, że alkohol dobrze babci zrobił. Jej oczy wkrótce zaczęły odzyskiwać dawny blask, blade, matowe policzki nabrały kolorów, ruchy zmiękły, a kiedy wypija pierwszego drinka i Yngve nalał jej drugiego, nagle jakby również ulżyło jej w duszy, bo wkrótce

rozmawiała i śmiała się jak za dawnych czasów. Przez pierwsze pół godziny siedziałem jak skamieniały, sztywny z niechęci, bo ona była niczym wampir, który nareszcie napił się krwi, widziałem to, naprawdę tak było: życie w nią wracało, po kolei wypełniało jej członki. To przerażało, naprawdę przerażało. Ale potem sam poczułem działanie alkoholu, myśli mi zmiękły, świadomość bardziej się otworzyła, i to, że babcia siedziała tu i piła zaledwie dwa dni po znalezieniu w salonie martwego syna, nie wydawało się już takie straszne, zresztą nie było też chyba groźne, najwyraźniej tego potrzebowała po całym dniu siedzenia na krześle w kuchni, przerywanego jedynie wtedy, gdy nie zaznając spokoju, zdezorientowana krążyła po domu, cały czas w milczeniu. Miło było patrzeć, jak się ożywia. A my też naprawdę tego potrzebowaliśmy. Siedzieliśmy więc razem, babcia opowiadała rozmaite historie, śmialiśmy się, Yngve dokładał swoje, śmialiśmy się jeszcze bardziej. Oni zawsze znajdowali porozumienie w swoim upodobaniu do zabaw słownych, ale nigdy nie było ono większe niż tego wieczoru. Babcia dosłownie wycierała z oczu łzy ze śmiechu, a ja napotykałem wzrok Yngvego i widziałem, że radość w jego oczach, której początkowo towarzyszyło coś przepraszającego, po pewnym czasie była już czysta. Piliśmy czarodziejski napój. Ten przezroczysty płyn o ostrym smaku nawet po rozcieńczeniu sokiem pomarańczowym zmieniał warunki naszej obecności tutaj poprzez wypieranie ze świadomości tego, co zdarzyło się tak niedawno, i w ten sposób otwierał drogę tym, kim zwykle byliśmy, temu, co zwykle myśleliśmy, jakby podświetlał to od spodu, gdyż to, kim byliśmy i co myśleliśmy, nagle zaczynało świecić blaskiem i ciepłem, nic nie stawiało nam już przeszkód. Babcia ciągle śmierdziała sikami, jej sukienkę wciąż pokrywały tłuste plamy i ślady jedzenia, wciąż była straszliwie chuda i wciąż było prawdą to, że przez ostatnie miesiące mieszkała w tej norze razem ze swoim synem, a naszym ojcem, który zmarł z powodu nadużywania alkoholu i ledwie ostygł. Ale oczy jej się świeciły. Usta się uśmiechały. A dłonie, do tej pory głównie leżące w bezruchu na kolanach, chyba że były zajęte paleniem papierosów, teraz zaczęły gestykulować. Na naszych oczach zmieniała się w kogoś, kim była kiedyś, w bystrą osobę o lekkich ruchach, zawsze skorą do śmiechu i uśmiechu. Opowiadane przez nią historie słyszeliśmy już wcześniej, ale właśnie to w nich było najważniejsze, przynajmniej dla mnie, bo dzięki nim wracała taka babcia, jaką znałem dawniej, i wracało takie życie, jakie kiedyś się tu toczyło. Żadna z tych opowieści nie była zabawna sama w sobie – wszystko kryło się w babcinym sposobie opowiadania – zostały wywyższone do rangi anegdoty, ponieważ ona uważała je za zabawne. Zawsze wypatrywała dziwactw codzienności i za każdym razem tak samo ją śmieszyły. Synowie przyłączali się do niej, opowiadali jej historyjki ze swoich powszednich dni, śmiała się z nich, a jeśli naprawdę jej się spodobały, to przyjmowała je i włączała do swojego repertuaru. Jej synowie, zwłaszcza Erling i Gunnar, mieli takie samo upodobanie do zabaw słownych. Czy to nie Gunnara wysłali do sklepu po „wyłącznik”? Czy to nie Yngvemu wmówili, że „gaźnik” i „rura wydechowa” to najbrzydsze słowa, jakie istnieją, skłoniwszy go przy tym do złożenia przysięgi, że nigdy nie przejdą mu przez usta? Tata też potrafił porozumiewać się owym rodzinnym żargonem, ale nigdy go z nim nie wiązałem, raczej

byłem zdumiony, kiedy się włączał w ich zabawy. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, by umiał tak się zaangażować w opowieść i tak się śmiać, jak śmiała się babcia.

Mimo że wcześniej opowiadała coś już ze sto razy, mówiła z takim przejęciem, iż można było odnieść wrażenie, że słyszy się to po raz pierwszy. Dlatego śmiech, który później następował, przynosił absolutną ulgę: nie miał w sobie nawet cienia kalkulacji. A kiedy już sporo wypiliśmy i alkohol rozjaśnił wszelki mrok w naszych wnętrzach i zamglił nasze spojrzenia, nie mieliśmy żadnych oporów, by się do niej przyłączyć. Nad stołem przetaczała się jedna fala śmiechu za drugą. Babcia sięgała do swego rogu obfitości i sypała anegdotami zbieranymi przez osiemdziesiąt pięć lat życia, ale na tym nie poprzestawała, bo w miarę jak rosło odurzenie, przestawały działać hamulce i niektóre ze znanych nam już opowiastek babcia prowadziła dalej, opowiadała więcej, i to w sposób zmieniający puentę. O tym, że na początku lat trzydziestych pracowała w Oslo jako prywatny szofer, wiedzieliśmy na przykład dobrze, to był element rodzinnej mitologii, bo w tamtych czasach niewiele kobiet miało prawo jazdy, a co dopiero zatrudniało się w charakterze szofera. Teraz mówiła nam, że pracę tę znalazła z ogłoszenia w gazecie. W domu, w Åsgårdstrand, czytała „Aftenposten” i zobaczyła, że szukają kogoś na to stanowisko, napisała list, dostała posadę i przeniosła się do Oslo. Pracowała u bogatej i ekscentrycznej starszej damy. Babcia miała wówczas dwadzieścia kilka lat; zamieszkała w pokoju w wielkiej willi swojej chlebodawczyni i wozila ją wszędzie, gdzie tamta sobie zażyczyła. Stara dama miała psa, który stał w oknie auta i szczekał na przechodniów, a babcia śmiała się, opowiadając, jak głupio się z tego powodu czuła. Ale zwykle aby dokładnie opisać ekscentryczność i prawdopodobnie sklerozę starszej pani, wspominała jeszcze o jednym: o pieniądzach leżących wszędzie, w każdym zakamarku domu, o plikach banknotów w kuchennej szafce, w dzbankach i imbrykach do herbaty, pod dywanami i pod poduszkami w sypialni. Mówiąc o tym, babcia zazwyczaj śmiała się i kręciła głową, bo mieliśmy pamiętać, że właśnie wyprowadziła się z domu, że pochodziła z małego miasteczka i że to było jej pierwsze spotkanie ze światem, a w szczególności z eleganckim światem. Tym razem, kiedy przy butelce absoluta siedzieliśmy przy oświetlonym stole w jej kuchni, z cieniami na twarzach na tle ciemniejących okien, nagle spytała retorycznie:

– Co mogłam zrobić? Wiecie, ona była przebogata. Pieniądze walały się wszędzie, nie zauważała, gdy część znikła. Więc to chyba bez znaczenia, że troszeczkę sobie wzięłam?

– W z i ę ł a ś pieniądze? – zdumiałem się.

– Oczywiście. To nie było dużo, dla niej tyle co nic, a skoro i tak się nie zorientowała, to chyba nie miało to znaczenia. Poza tym źle mi płaciła! Naprawdę, dostawałam nędzną pensję. Przecież nie tylko wozila ją samochodem, robiłam też mnóstwo innych rzeczy, więc słusznie i sprawiedliwie należała mi się lepsza zapłata! – Uderzyła dłonią w stół, a potem się roześmiała. – No, ale ten pies! Niezły był z nas widok, kiedy jeździliśmy po Oslo. W tym czasie było niewiele samochodów, więc wszyscy zwracali na nas uwagę. I to jeszcze jak. – Zaśmiała się, a potem westchnęła. – No tak. Życie to kalka, powiedziała

stara babka, która nie umiała wymawiać „w”. Cha, cha, cha.

Podniosła szklankę do ust i wypila. Zrobiłem to samo. Następnie chwyciłem butelkę, nalałem do swojej pustej szklanki, spojrzałem na Yngvego, który kiwnął głową, i nalałem też jemu.

– Chcesz jeszcze? – spytałem, patrząc na babcię.

– Chętnie – powiedziała. – Odrobinę.

Kiedy nalałem i jej, Yngve zaczął dopełniać drinka sokiem, lecz sok się skończył, a w szklance nie było jeszcze nawet połowy. Kilka razy potrząsnął kartonem.

– Pusty – stwierdził, patrząc na mnie. – Ale czy ty przypadkiem nie kupiłeś sprite’a?

– Owszem, zaraz przyniosę. – Wstałem i podszedłem do lodówki. Oprócz trzech półlitrowych butelek stała w niej jeszcze półtoralitrowa, którą Yngve kupił wcześniej tego dnia.

– Zapomniałeś o tym? – spytałem, pokazując mu dużą butelkę.

– Rzeczywiście – przyznał Yngve.

Postawiłem napój na stole i zszedłem na dół, do toalety. Otoczyły mnie ciemne, duże pomieszczenia, ale dzięki płomieniowi alkoholu w mózgu nie zwracałem uwagi na to, co w innej sytuacji wprowadziłoby mnie w przykry nastrój, bo chociaż może daleko mi było do wesołości, to na pewno byłem ożywiony i podniesiony na duchu; nakręcała mnie ochota, by dalej pić, i tej ochoty nie mogła zgasić nawet bezpośrednia myśl o śmierci taty, która stała się jedynie bladym cieniem, obecnym, ale pozbawionym konsekwencji, bo zastąpiło ją życie – obrazy, głosy i zdarzenia, które przez to, że byłem podkrecony alkoholem, stwarzały iluzję, że znajduję się w miejscu, gdzie jest dużo ludzi i dużo radości. Wiedziałem, że to nieprawda, ale takie mnie przepełniało uczucie i właśnie ono mną kierowało również wtedy, gdy wszedłem na poplamioną wykładzinę na parterze, rozjaśnioną jedynie słabym światłem wpadającym przez szybę w drzwiach wejściowych, i skierowałem się do łazienki, w której szumiało i gwizdało tak samo jak od co najmniej trzydziestu lat. Po wyjściu z niej usłyszałem głosy na górze i czym prędzej tam pobiegłem. W salonie zrobiłem kilka kroków w głąb, aby w tym nastroju zubożeniu obejrzeć miejsce, w którym umarł. Nagle poczułem, kim on był w tym miejscu. Nie przywidział mi się ani nic takiego, ale wyczułem go, całą jego istotę, takiego, jaki był ostatnio w tych pokojach. Ależ mnie to zaskoczyło! Nie chciałem jednak dłużej tego roztrząsać, zresztą nie mogłem, bo to wrażenie trwało zaledwie kilka chwil i zaraz rozum wbił w nie szpony, więc wróciłem do kuchni, gdzie wszystko pozostało takie samo jak wtedy, gdy z niej wychodziłem, z wyjątkiem koloru drinków, które teraz były przezroczyste i zawierały mnóstwo szarobiałych bąbelków.

Babcia dalej opowiadała o czasach, kiedy mieszkała w Oslo. Również ta historia zaliczała się do mitologii rodzinnej, lecz także ona na końcu przyjęła nieoczekiwany obrót, dla nas wręcz niesłychany. Wiedziałem, że babcia początkowo spotykała się z Alfem,

starszym bratem dziadka. Pierwotnie to z nim stanowiła parę. Bracia studiowali razem w Oslo, Alf nauki przyrodnicze, a dziadek ekonomię. Po zerwaniu z Alfem babcia poślubiła dziadka i przenieśli się do Kristiansand, podobnie jak Alf, wtedy już żonaty z Sølvi. Sølvi w młodości chorowała na gruźlicę, jedno płuco miała jak sito i całe życie była chorowita, nie mogli mieć dzieci, więc w stosunkowo późnym wieku zaadoptowali dziewczynkę z Azji. To Alf z rodziną i dziadkowie uczestniczyli w większości przyjęć, na które chodziłem w dzieciństwie, to oni nas odwiedzali. Przy tych okazjach często wspomniano, że Alf i babcia byli kiedyś parą, nie robiono z tego żadnej tajemnicy, a kiedy dziadek i Sølvi umarli, babcia raz w tygodniu spotykała się z Alfem, w każdą sobotę przed południem odwiedzała go w willi na Grim, co nikogo nie dziwiło, a niektórzy nawet uśmiechali się wyrozumiale, bo może jednak łączyło ich coś więcej.

Tym razem babcia opowiedziała o swoim pierwszym spotkaniu z dwoma braćmi. Alf był otwarty, dziadek bardziej zamknięty w sobie, ale obaj wyraźnie interesowali się dziewczyną z Åsgårdstrand. Kiedy dziadek zorientował się, do czego zmierza jego brat, który czarował dziewczynę dobrym humorem i dowcipem, szepnął jej do ucha: „Alf schował pierścionek do kieszeni!”.

Babcia śmiała się, gdy to opowiadała:

– „Co powiedziałaś?”, spytałam, chociaż dobrze słyszałam. „Schował pierścionek do kieszeni”, powtórzył. „Jaki pierścionek?” „Zaręczynowy”, wyjaśnił wtedy. Rozumiecie? Uważał, że tego nie zrozumiałam.

– Alf już wtedy był zaręczony z Sølvi? – spytał Yngve.

– Oczywiście. Ale ona przecież mieszkała w Arendal, w dodatku była chorowita. Nie sądził, że ich związek przetrwa. A jednak w końcu się pobrali!

Wypiła ze szklanki kolejny łyk. Później oblizwała wargi. Milczeliśmy. Babcia znów zapadła się w siebie, tak jak tyle razy w ciągu ostatnich dwóch dni. Siedziała z rękami założonymi na piersiach i patrzyła gdzieś w dal. Opróżniłem szklankę i nalałem sobie jeszcze jednego drinka, po czym wyciągnąłem bibułkę papierosową, ułożyłem na niej strużkę tytoniu, który lekko poskubałem, żeby lepiej się ciągnął, docisnąłem brzeg bibułki, zrolowałem, zakleiłem, zwilżając śliną krawędź, urwałem wystające kłaczki tytoniu i odłożyłem je z powrotem do paczki, wsunąłem lekko wykrzywionego skręta do ust i zapaliłem go zieloną, półprzezroczystą zapalniczką Yngvego.

– Zimą tamtego roku, kiedy dziadek umarł, mieliśmy jechać na Południe – odezwała się babcia. – Kupiliśmy już bilety.

Patrzyłem na nią, wydmuchując dym.

– Tamtej nocy, kiedy upadł w łazience... usłyszałam hałas i wstałam, a on leżał na podłodze i kazał mi zadzwonić po karetkę. Kiedy już to robiłam, siedziałam i trzymałam go za rękę, powiedział: „I tak pojedziemy na Południe”, a ja pomyślałam: T y pojedziesz na inne południe. – Zaśmiała się, ale spuściła wzrok. – T y pojedziesz na inne południe –

powtórzyła.

Długo panowało milczenie.

– Ach! – odezwała się wreszcie. – Życie to kalka, powiedziała stara babka, która nie wymawiała „w”.

Uśmiechnęliśmy się, Yngve lekko przesunął swoją szklankę, patrzył w stół. Nie chciałem, żeby babcia myślała o śmierci dziadka albo taty, więc postanowiłem skierować rozmowę na inne tory, nawiązując do tego, o czym mówiła wcześniej.

– Ale kiedy przenieśliście się do Kristiansand, nie sprowadziliście się od razu tutaj?

– O nie, nie – zaprzeczyła. – Zamieszkaliśmy na Kuholmsveien, ale kawałek dalej. Ten dom kupiliśmy po wojnie. Właściwie kupiliśmy tylko działkę. To była ładna działka, jedna z najlepszych na Lund, bo mieliśmy z niej ten widok, sami wiecie. Na morze i na miasto. W dodatku tak wysoko, że nikt nam nie zagląda w okna. Ale kiedy ją kupiliśmy, stał tu inny dom. Chociaż nazywanie go domem to przesada, cha, cha, cha. To była prawdziwa ruina. Mieszkali tu dwaj mężczyźni, z tego co pamiętam. Tak, tak było... I pili. Pamiętam, że kiedy za pierwszym razem przyszliśmy obejrzeć dom, wszędzie stały butelki! W korytarzu, na schodach, w salonie, w kuchni, wszędzie! W niektórych miejscach tak gęsto, że nie było gdzie stąpnąć. Żadnego ogrodu też nie było, sama skała. Chałupa na skale, właśnie to wtedy kupiliśmy.

– Dużo czasu poświęcałaś ogrodowi? – spytałem.

– O tak, pewnie, że tak. Śliwy, no wiecie, przywiozłam z domu moich rodziców z Åsgårdstrand. Są naprawdę stare. Rzadko się już takie spotyka.

– Pamiętam, że zabieraliśmy torby tych śliwek do domu – powiedział Yngve.

– Ja też to pamiętam – wtrąciłem.

– Ciągle owocują? – spytał Yngve.

– Tak, tak mi się wydaje – odparła babcia. – Może nie tak obficie jak dawniej, ale...

Sięgnąłem po butelkę, opróżnioną już prawie do połowy, i jeszcze raz nalałem sobie do szklanki. Że też babci nie przyszło do głowy, że krąg się zamknął, a to, co się tu wydarzyło, może wcale nie było takie dziwne. Kciukiem starłem kroplę zwisającą z szyjki butelki i zliząłem ją, a babcia po drugiej stronie stołu otworzyła paczkę z tytoniem i nałożyła szczyptę do maszynki do papierosów. Bo bez względu na to, jak ekstremalne było jej życie w ostatnich latach, i tak stanowiło zaledwie malusieńką część tego, w czym uczestniczyła. Kiedy patrzyła na tatę, widziała go takiego, jaki był jako niemowlę, dziecko, młody chłopak i dorosły mężczyzna, jej spojrzenie obejmowało jego charakter i wszystkie cechy, więc jeśli nawet zalewał się w trupa i srał pod siebie na kanapie, ta chwila była tak krótka, a babcia tak stara, że wobec ogromnej ilości czasu, jaki z nim spędziła i jaki zmagazynowała w pamięci, niewiele to znaczyło, nie miało to takiej wagi, by znacząco zmienić jego obraz. Przypuszczałem, że podobnie jest z domem. Pierwszy dom z butelkami stał się „domem z butelkami”, ten natomiast był j e j domem, miejscem, w którym przeżyła

ostatnich czterdzieści lat, i fakt, że pełno w nim było butelek, naprawdę się nie liczył.

A może po prostu była tak pijana, że nie potrafiła jasno ocenić sytuacji? W takim razie dobrze to ukrywała, bo oprócz tego, że niesamowicie rozkwitła, niewiele w jej zachowaniu wskazywało na stan upojenia. Teraz jednak nie byłem właściwą osobą do oceniania czegokolwiek, wytrącony z równowagi przez coraz mocniej świecące światło alkoholu, rozpuszczającego kolejne myśli; zacząłem wlewać w siebie drinki prawie jak sok. Czułem, że nie mam dna.

Po dopełnieniu szklanki sprite'em sięgnąłem po butelkę z absolutem, która zasłaniała mi babcie, i postawiłem ją na parapecie.

– Co ty wyprawiasz? – obruszył się Yngve.

– Stawiasz butelkę w oknie? – zdumiała się babcia.

Czerwony ze wstydu i zdezorientowany, przestawiłem butelkę z powrotem na stół.

Babcia zaczęła się śmiać.

– Postawił butelkę z wódką w oknie!

Yngve też się śmiał.

– Sąsiedzi koniecznie muszą zobaczyć, że siedzimy i pijemy!

– Ojej – powiedziałem. – Po prostu nie pomyślałem.

– A to dopiero! – Babcia wycierała z oczu łzy. – Cha, cha, cha!

W tym domu, w którym zawsze tak się starano, by nikt niepowołany nie zaglądał do środka, by nienagane było wszystko, co widać na zewnątrz, od stroju po ogród, od fasady po samochód i zachowanie dzieci, postawienie w oknie doskonale podświetlonej butelki wódki było najbliższe tego, co kompletnie nie do pomyślenia. Dlatego oboje tak się śmiali, a po chwili ja również do nich dołączyłem.

Światło na niebie ponad wzgórzem za drogą, które ledwie przeświecało przez odbicie kuchni w szybie, upodabniając nas do trzech podwodnych postaci, stało się szaroniebieskie. Nadeszła najmroczniejsza pora nocy. Yngve zaczął mówić trochę niewyraźnie. Ktoś, kto go nie znał, w ogóle by się nie zorientował, ale ja zauważyłem, bo zawsze tak z nim było, kiedy pił – najpierw mówił odrobinę niewyraźnie, potem coraz bardziej bełkotał, aż w końcu, kiedy już zupełnie gasł, prawie nie dawało się go zrozumieć. Dla mnie zamglenie towarzyszące upiciu się było przede wszystkim zjawiskiem wewnętrznym, objawiającym się niemal wyłącznie wewnątrz, co stanowiło problem, bo nie było po mnie widać, że jestem kompletnie pijany, ponieważ szedłem i mówiłem prawie normalnie, ale z tego względu trudno było znaleźć wytłumaczenie wszystkiego, co wówczas potrafiło ze mnie wyleźć, jeśli chodzi zarówno o słowa, jak i o czyny. Poza tym z tego powodu zawsze wzmagała się we mnie dzikość, ponieważ odurzeniu nie towarzyszyły problemy z koordynacją ruchów ani senność, więc jego objawami były pustka i prymitywność. Uwielbiałem to, uwielbiałem to odczucie, najprzyjemniejsze, jakie znałem, ale nigdy nie prowadziło ono do niczego dobrego, a dzień lub dwa później wiązałem je w

równym stopniu z poczuciem braku granic, jak z głupotą, czego szczerze nienawidziłem. Ale kiedy trwałem w tym stanie, przyszłość nie istniała, przeszłość także, liczyła się tylko ta chwila i właśnie dlatego tak bardzo chciałem w niej zostać, bo wtedy mój świat – w całej swojej nieznośnej banalności – aż lśnił.

Odwróciłem się i spojrzałem na zegar na ścianie. Była za dwadzieścia pięć dwunasta. Potem zerknąłem na brata – wyglądał na śpiącego. Oczy miał zwężone, lekko zaczerwienione. Jego szklanka była pusta. Żeby tylko nie chciał teraz iść spać! Nie mogłem zostać sam z babcią.

– Napijesz się jeszcze? – spytałem, ruchem głowy wskazując na stół.

– No, może jeszcze jednego – odparł. – Ale to już będzie ostatni. Jutro musimy wcześniej wstać.

– Tak? Dlaczego?

– Jesteśmy umówieni na dziewiątą, nie pamiętasz?

Uderzyłem się ręką w czoło; tego gestu nie wykonywałem od czasów licealnych.

– Będzie dobrze – orzekłem. – Przecież mamy się tam tylko stawić.

Babcia spojrzała na nas.

Byleby tylko nie spytała, dokąd się wybieramy, pomyślałem. Określenie „zakład pogrzebowy” z całą pewnością przerwałoby zakłęcie. I znów siedziałyby tutaj matka, która straciła syna, z dwojgiem dzieci, które straciły ojca.

Nie śmiałem jednak spytać, czy babcia by się jeszcze nie napiła. Istniała pewna granica przyzwoitości, która zresztą już dawno została przekoczona. Sięgnąłem po butelkę i nalałem do szklanki Yngvemu, a potem sobie. Wtedy napotkałem jej spojrzenie.

– Napijesz się jeszcze jednego? – usłyszałem własny głos.

– Może małego – odparła. – Późno już się zrobiło.

– Tak. Jest późno na Ziemi – powiedziałem.

– Co, co? Co powiedziałaś?

– Powiedział, że jest późno na Ziemi – wyjaśnił Yngve. – To znany cytat^[11].

Dlaczego to zrobił? Chciał mi pokazać, gdzie moje miejsce? Niech to cholera, idiotycznie się wyraziłem. „Późno na Ziemi”...

– Karl Ove wkrótce wydaje książkę – oznajmił Yngve.

– Naprawdę? – spytała babcia.

Kiwnąłem głową.

– Kiedy teraz to mówisz, przypominam sobie, że chyba już o tym słyszałam. Czy to nie Gunnar wspominał? No proszę, książkę! Ho, ho!

Podniosła szklankę do ust i wypić. Ja też tak zrobiłem. Czy to było tylko przywidzenie, czy oczy znów jej pociemniały?

– A więc nie mieszkaliście tutaj w czasie wojny? – spytałem, popijając kolejny łyk.
– Nie, sprowadziliśmy się dopiero kilka lat po wojnie. Podczas wojny mieszkaliśmy tam – wskazała za siebie.

– Jak to właściwie było? – spytałem. – To znaczy w czasie wojny.

– No, prawie tak jak zwykle. Trochę trudniej zdobywało się żywność, ale niewiele się zmieniło. Niemcy byli zwykłymi ludźmi, takimi jak my. Z niektórymi poznaliśmy się bliżej. Wybraliśmy się nawet do nich w odwiedziny po wojnie.

– Do Niemiec?

– Tak, tak. A kiedy musieli stąd wyjechać w maju czterdziestego piątego roku, zadzwonili i powiedzieli, że jeśli chcemy, możemy wziąć sobie różne rzeczy, które zostawiają. Oddali nam najlepsze trunki. I radio. I wiele innych rzeczy.

O tym, że dostawali prezenty od Niemców przed kapitulacją, słyszałem. Ale wtedy Niemcy przychodzili do nich do domu.

– Zostawili te rzeczy? A gdzie?

– W takim jednym miejscu, na usypisku kamieni – wyjaśniła babcia. – Zadzwonili i wytłumaczyli nam dokładnie, gdzie mamy szukać. Poszliśmy tam wieczorem i rzeczywiście leżały, tak jak mówili. Byli bardzo życzliwi, co do tego nie ma wątpliwości.

To znaczy, że babcia i dziadek wspinali się po usypisku kamieni w majowy wieczór w czterdziestym piątym, szukając trunków zostawionych przez Niemców?

Przez ogród przesunęły się reflektory samochodu, na kilka sekund oświetliły ścianę pod oknem, potem auto skręciło i wolno wjechało dalej w zaułek. Babcia nachyliła się do okna.

– Kto to może być o tej porze?

Westchnęła i z powrotem usiadła na krześle z rękami na kolanach. Spojrzała na nas.

– Dobrze, że tu jesteście, chłopcy – powiedziała.

Zapadło milczenie, babcia wypła jeszcze jeden łyk.

– Pamiętasz, jak tu mieszkałeś? – spytała nagle, patrząc na Yngvego z ciepłem w oczach.
– Wasz ojciec w tym czasie zapuścił brodę, a kiedy przyszedł cię zabrać, pobiegłeś na górę z krzykiem: „To nie jest tata!”. Cha, cha, cha! „To nie jest tata!” Tyle było z tobą uciechy, naprawdę.

– Doskonale to pamiętam – oświadczył Yngve.

– A pamiętasz, jak słuchaliśmy w radiu w programie „Nitimen” rozmowy z właścicielem najstarszego konia w Norwegii? Powiedziałaś: „Tata, ty masz tyle lat co najstarszy koń w Norwegii!”. – Nachyliła się ze śmiechem i zgiętymi palcami wycierała kąciki oczu. – A ty – spojrzała na mnie – pamiętasz, jak pojechałeś z nami do domku letniskowego?

Kiwnąłem głową.

– Któregoś ranka zastaliśmy cię zapłakanego na schodach, a kiedy spytaliśmy, dlaczego płaczesz, powiedziałaś: „Jestem taki samotny”. Miałeś wtedy osiem lat!

Tamtego lata rodzice pojechali na wakacje do Niemiec. Yngve był w Sørbøvåg u dziadków ze strony mamy, a ja tutaj, w Kristiansand. Co z tego pamiętałem? Że od babci i dziadka dzielił mnie zbyt duży dystans. Nagle zostałem wrzucony w ich codzienność. Stali się bardziej obcy niż zazwyczaj, bo nie było między nami żadnego pośrednika. Któregoś dnia rano znalazłem muchę w mleku i nie chciałem go wypić, a babcia powiedziała, że nie mogę być taki wybredny, po prostu trzeba ją wyjąć, bo tak to już jest wśród natury. Miała wtedy taki ostry głos. Wypiłem mleko, walcząc z mdłościami. Dlaczego akurat to wspomnienie się zachowało? I żadne inne? Przecież powinienem pamiętać też inne rzeczy. No, owszem: rodzice przysłali mi widokówkę ze zdjęciem Bayern Monachium. Jakże ja na nią wyczekiwałem i jak się cieszyłem, kiedy w końcu przyszła. I prezenty, kiedy wreszcie wrócili do domu: żółto-czerwona piłka dla Yngvego, zielono-czerwona dla mnie. Te kolory... Ach, to uczucie szczęścia, jakie wzbudziły...

– Kiedy indziej stałeś na schodach i wołałeś mnie. – Babcia znów spojrzała na Yngvego. – „Babciu, jesteś na górze czy na dole?” Odpowiedziałam: „Na dole”. A ty zawołałeś: „A dlaczego nie na górze?”. – Roześmiała się. – Tak, tyle było z tobą uciechy. Kiedy sprowadziliście się na Tybakken, pukaleś do drzwi sąsiadów i pytałeś, czy nie ma tam jakichś dzieci. „Są tu jakieś dzieci?”, pytałeś. Cha, cha, cha!

Kiedy śmiech wybrzmiał, dalej podśmiewała się pod nosem, szykując sobie w maszynie kolejnego papierosa. Końcówka gilzy była pusta, po przytknięciu zapalniczki zapłonęła ogniem. Płatek popiołu sfrunął na podłogę. W końcu ogień dotarł do tytoniu i zmienił się w żar, który z każdym pociągnięciem świecił coraz jaśniej.

– A teraz jesteście już dorośli – pokiwała głową babcia. – To takie dziwne. Wydaje się, że jeszcze wczoraj byliście mali...

Pół godziny później poszliśmy spać. Sprzątnęliśmy z Yngvem ze stołu, wódkę schowaliśmy do szafki pod zlewem, opróżniliśmy popielniczkę, a szklanki wstawiliśmy do zmywarki. Babcia siedziała i patrzyła. Kiedy skończyliśmy, ona również wstała. Z krzesła spłynęło trochę moczu, ale w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Wychodząc, oparła się o futrynę, najpierw o tę w kuchni, później w korytarzu.

– No to dobranoc – powiedziałem.

– Dobranoc, chłopcy. – Uśmiechnęła się.

Obserwowałem ją i widziałem, że uśmiech zniknął z jej twarzy, w momencie gdy odwróciła głowę i zaczęła schodzić po schodach.

– Tak, tak – mruknąłem, kiedy minutę później byliśmy w pokoju na górze. – No i tyle.

– Tak. – Yngve ściągnął sweter, przewiesił go przez oparcie krzesła i zdjął spodnie. Przepchnięty ciepłem alkoholu, miałem ochotę powiedzieć mu coś miłego. Wszystkie nierówności się wygładziły, nie istniały żadne problemy, wszystko stało się proste.

– Co za dzień! – westchnął.

– No właśnie.

Położył się, naciągnął na siebie kołdrę.

– No to dobranoc – powiedział, zamykając oczy.

– Dobranoc. Śpij dobrze.

Podszedłem do wyłącznika przy drzwiach i zgasilem górne światło. Usiadłem na łóżku. Spać nie miałem ochoty. Na sekundę wpadł mi do głowy szalony pomysł, że mógłbym wyjść. Do zamknięcia barów zostało jeszcze parę godzin. No i było lato, w mieście pełno ludzi, prawdopodobnie również znajomych.

Przyszła jednak senność. Nagle zapragnąłem wyłącznie zasnąć. Nie mogłem nawet ruszyć ręką. Myśl o tym, że miałbym się rozebrać, była nie do przejścia. Położyłem się więc w ubraniu, zamknąłem oczy i zapadłem się w miękkie wewnętrzne światło. Przy każdym najdrobniejszym ruchu, choćby przy lekkim zgięciu małego palca, czułem łaskotanie w brzuchu; chwilę później usypiałem już z uśmiechem na ustach.

Jeszcze głęboko we śnie wiedziałem, że na zewnątrz czeka mnie coś strasznego. Dlatego gdy znalazłem się w stanie bliskim świadomości, próbowałem zawrócić, wejść z powrotem w sen i z pewnością by mi się to udało, gdyby nie natarczywość w głosie Yngvego i poczucie, że tego dnia rano mamy ważne spotkanie.

Otworzyłem oczy.

– Która godzina? – spytałem.

Yngve stał w drzwiach, już ubrany. Czarne spodnie, biała koszula, czarna marynarka. Twarz miał zapuchniętą, oczy jak szparki, włosy zmierzwiłone.

– Za dwadzieścia dziewięć. Trzeba wstawać i wychodzić.

– O cholera! – zakląłem tylko.

Usiadłem i poczułem, że alkohol jeszcze ze mnie nie wyparował.

– Schodzę na dół – oświadczył Yngve. – Pospiesz się.

To, że miałem na sobie wczorajsze ubranie, wzbudziło we mnie silne uczucie wstrętu, które zaczęło narastać, kiedy przypomniałem sobie, co faktycznie zrobiliśmy poprzedniego wieczoru. Rozebrałem się. Każdy ruch wykonywałem jak z dodatkowym obciążeniem, nawet podniesienie się z łóżka i stanie na podłodze kosztowało mnie dużo wysiłku, nie mówiąc już o uniesieniu ręki i sięgnięciu po koszulę, wiszącą na wieszaku na drzwiach szafy. Ale musiałem to zrobić. Naciągnąłem ją na prawą rękę, naciągnąłem na lewą, zapiąłem guziki przy rękawach, a potem te z przodu. Dlaczego, na miłość boską, to zrobiliśmy? Jak mogliśmy być tacy głupi? Przecież ja tego nie chciałem, to była naprawdę ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył, siedzieć tutaj, akurat w tym miejscu, i pić razem z nią. A jednak to zrobiłem. Jak to możliwe? Jak to, u diabła ciężkiego, możliwe?

To niegodne.

Uklęknąłem przy walizce i zacząłem przerzucać kolejne warstwy ubrań, aż w końcu znalazłem czarne spodnie i włożyłem je, siedząc na łóżku. Jak dobrze było siedzieć! Ale musiałem wstać, żeby podciągnąć spodnie i włożyć marynarkę, a potem zejść do kuchni.

Kiedy nalewałem wody do szklanki i piłem, czoło miałem wilgotne od potu. Nachyliłem głowę i spryskałem ją wodą z kranu. Trochę mnie to odświeżyło, no i dzięki temu włosy, krótko obcięte, ale i tak rozczochrane, wyglądały lepiej.

Z kroplami wody ściekającymi po szyi i ciałem ciężkim jak worek kamieni zszedłem na sam dół, Yngve i babcia już czekali na zewnętrznych schodach. Yngve brzęknął kluczykami od samochodu, trzymanymi w ręku.

– Masz jakąś gumę do żucia czy coś? – spytałem. – Nie zdążyłem umyć zębów.

– Nie możesz nie umyć zębów akurat dzisiaj – stwierdził Yngve. – Zdążysz, tylko się pospiesz.

Miał rację. Prawdopodobnie cuchnąłem pijaństwem, a nie powinno się tak cuchnąć w zakładzie pogrzebowym. Ale pospieszyć się nie mogłem. W korytarzu na piętrze musiałem zrobić przerwę, przewieszony przez balustradę, jakby moja wola też potrzebowała odpoczynku. Przyniósłszy szczoteczkę i pastę do zębów ze stolika przy łóżku, w pośpiechu umyłem zęby nad zlewem w kuchni. Powinienem był po prostu zostawić tam szczoteczkę i tubkę i pędem zbiec na dół, ale coś mi mówiło, że tak nie wolno. Tubka pasty do zębów i szczoteczka nie mogły leżeć w kuchni, musiały wrócić do sypialni, i na to zmarnowałem jeszcze dwie minuty. Kiedy znów wyszedłem na zewnętrzne schody, była za cztery dziesiąta.

– No to jedziemy. – Yngve odwrócił się do babci. – To nie potrwa długo. Wkrótce wracamy.

– Dobrze – powiedziała.

Wsiadłem do samochodu, zapiąłem pas, Yngve ciężko usiadł obok mnie, wsunął kluczyk do stacyjki, przekręcił, odwrócił głowę i zaczął tyłem zjeżdżać z niewielkiego pagórka. Babcia stała na szczycie schodów. Pomachałem jej, odmachała. Kiedy wjechaliśmy w zaułek i zniknęła nam z oczu, ciekaw byłem, czy dalej stoi, tak jak dawniej, bo kiedy znów jechaliśmy do przodu, ponownie znajdowaliśmy się w swoim polu widzenia i można było zakończyć pożegnanie ostatnim machnięciem ręki. Zwykle dopiero wtedy odwracała się i wchodziła do domu, a my wyjeżdżaliśmy na ulicę.

Stała. Pomachałem jej, ona też pomachała, po czym weszła do środka.

– Dzisiaj też chciała jechać z nami? – spytałem.

Yngve kiwnął głową.

– Musimy zrobić tak, jak jej obiecaliśmy, i nie tracić za dużo czasu. Chociaż miałbym ochotę posiedzieć chwilę w kawiarni. Albo zajrzeć do sklepów z płytami.

Palcem wskazującym lewej ręki wcisnął dźwignię kierunkowskazu, jednocześnie zmieniając bieg i patrząc w prawo. Droga była wolna.

- Jak tam forma? – spytałem.
- Całkiem nieźle. A twoja?
- Czuję to w sobie. Prawdę mówiąc, ciągle jestem trochę pijany.
- Uf! – Zerknął na mnie, wjeżdżając na ulicę.
- Rzeczywiście, nie jest najlepiej – przyznałem.

Uśmiechnął się przelotnie, zredukował bieg i zatrzymał się tuż za białą linią. Po pasach przeszedł starszy, siwowłósy, chudy jak szczapa mężczyzna z wielkim nosem. Miał opuszczone kąciaki ust, ciemnoczerwone wargi. Najpierw spojrzął na wzgórze po mojej prawej stronie, potem na rząd sklepów po drugiej stronie ulicy, po czym wbił wzrok w ziemię, prawdopodobnie chcąc się upewnić, gdzie jest krawężnik. Wszystko to robił, jakby był całkiem sam. Jakby nigdy nie brał pod uwagę cudzych spojrzeń. Właśnie tak malował ludzi Giotto. Jego postacie również jakby nie zdawały sobie sprawy z tego, że ktoś na nie patrzy. Tylko on potrafił tak oddać otaczającą je aurę bezbronności, prawdopodobnie było to znamię czasu, bo następne pokolenia włoskich malarzy, wielkich malarzy, zawsze wplatały w swoje obrazy świadomość cudzego spojrzenia. Dzięki temu były one mniej naiwne, lecz również miały w sobie mniej objawienia.

Z przeciwnej strony zbliżała się pospiesznym krokiem młoda rudowłosa kobieta z wózkiem dziecięcym. W tej samej chwili zielone światło dla pieszych zgasło, ale ona spojrzała na to dla samochodów, wciąż czerwone, i odważyła się przebiec przez jezdnię. Jej dziecko, może roczne, z puciołowatymi policzkami i malutkimi usteczkami, siedziało w wózku wyprostowane i rozglądało się, nieco zdezorientowane, kiedy pędzili obok nas.

Yngve puścił sprzęgło i ostrożnie dodając gazu, przejechał przez skrzyżowanie.

- Już dwie po – powiedziałem.
- Wiem, ale jeśli od razu znajdziemy miejsce do zaparkowania, nie będzie tak źle.

Kiedy wjechaliśmy na most, spojrzałem na niebo nad morzem. Zachmurzyło się, w kilku miejscach tak lekko, że biel miała odcień błękitu, jakby na niebie rozpięto półprzezroczystą błonę, gdzie indziej nieco grubszą i ciemniejszą na szarych obszarach, których brzegi nasuwały się na tę biel niczym dym. Tam gdzie na niebie wisi słońce, żółtawa pokrywa chmur tłumiła jego światło, które zdawało się rozchodzić na wszystkie strony. To był jeden z tych dni, w których nic nie rzuca cienia, kiedy wszystko mocno trzyma się siebie.

- Jedziesz dziś wieczorem? – spytałem.

Yngve kiwnął głową.

- O, tam jest miejsce! – powiedział.

Za moment podjechał pod chodnik, zgasił silnik i zaciągnął ręczny hamulec. Zakład pogrzebowy mieścił się po drugiej stronie ulicy. Wolałbym iść trochę dłużej, żeby przygotować się na to, co mnie czeka, ale nic nie mogłem poradzić, nie dało się tego odwlec.

Wsiadłem, zamknąłem drzwi i przeszedłem za Yngvem przez ulicę. W poczekalni kobieta za kontuarem uśmiechnęła się i powiedziała, że możemy od razu wejść.

Drzwi były otwarte. Otyły przedsiębiorca pogrzebowy na nasz widok wstał z krzesła za biurkiem, podszedł i uściśnął nam ręce z uprzejmym, ale nie nazbyt serdecznym, zważywszy na okoliczności, uśmiechem.

– Witam ponownie. – Wskazał ręką krzesło. – Proszę siadać.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Na pewno przez weekend zastanowili się panowie nad pogrzebem. – Usiadł, sięgnął po gruby plik papierów leżący przed nim na biurku i zaczął je przerzucać.

– Owszem – potwierdził Yngve. – Myśleliśmy o pogrzebie kościelnym.

– Aha. Zaraz dam panom numer telefonu do kancelarii pastora. My się zajmiemy załatwieniem wszystkich spraw praktycznych, ale dobrze by było, gdybyście zamienili z nim kilka słów, będzie przecież musiał powiedzieć coś o waszym ojcu, więc powinniście dać mu jakieś wskazówki.

Spojrzał na nas. Fałdy skóry na szyi zwieszały się na kołnierzyk koszuli jak u jaszczurki. Kiwnęliśmy głowami.

– Ceremonię pogrzebową można zorganizować na wiele sposobów – ciągnął. – Mam tu listę rozmaitych rozwiązań. Chodzi na przykład o takie rzeczy jak muzyka. Czy życzą sobie panowie, żeby była, a jeśli tak, to w jakiej formie? Niektórzy chcą muzyki na żywo, inni wolą z taśmy. Ale mamy kościelnego śpiewaka, z którego usług często korzystamy, gra on również na kilku instrumentach... Muzyka na żywo stwarza wyjątkowy nastrój dostojeństwa, powagi. Więc jak, czego panowie by sobie życzyli?

Spojrzałem na Yngvego.

– Może faktycznie muzyka byłaby dobra – powiedziałem.

– Jasne – zgodził się Yngve.

– No to co, decydujemy się?

– Możemy.

– Czyli postanowione? – spytał przedsiębiorca pogrzebowy.

Kiwnęliśmy głowami.

Wyciągnął rękę ponad stołem i podał Yngvemu jakąś kartkę.

– Tutaj jest kilka propozycji muzycznych, ale jeśli mają panowie jakieś inne, konkretne życzenia, też nie będzie żadnego problemu, bylebyśmy tylko dowiedzieli się o tym dzień wcześniej.

Nachyliłem się w stronę kartki, a Yngve przesunął ją tak, żebym też mógł zobaczyć, co jest na niej napisane.

– Może Bach byłby dobry? – spytał.

– No tak, on lubił Bacha.

Po raz pierwszy od blisko doby znów zacząłem płakać.

Za cholerę nie użyję tych jego chusteczek, pomyślałem, kilka razy wycierając oczy rękawem marynarki. Odetchnąłem głęboko, powoli wypuściłem powietrze z płuc. Czułem, że Yngve obrzuca mnie szybkim spojrzeniem.

Czyżby się wstydził mojego płaczu?

Nie, to niemożliwe.

Nie.

– Już w porządku – zapewniłem. – O czym mówiliśmy?

– Że Bach będzie odpowiedni. – Yngve przeniósł wzrok na przedsiębiorcę pogrzebowego. – Na przykład ta sonata na wiolonczelę... – Spojrzał na mnie. – Zgadzasz się?

Potwierdziłem.

– No dobrze – powiedział mężczyzna. – Zwykle są trzy muzyczne przerywniki i jeden albo dwa psalmy, które śpiewają wszyscy.

– *Cudowna jest ziemia* – podsunąłem prędko. – Może być?

– Oczywiście.

Aaaach!

– Wszystko w porządku, Karl Ove? – spytał Yngve.

Kiwnąłem głową.

Oprócz utworu na wiolonczelę i psalmu *Cudowna jest ziemia* wybraliśmy dwie pieśni dla śpiewaka i jeszcze jeden psalm dla wszystkich. Ustaliliśmy również, że nikt nie będzie przemawiał przy trumnie, i tym samym cała ceremonia została zaplanowana, bo pozostałe elementy należały do liturgii i były stałe.

– Życzą sobie panowie jakichś kwiatów oprócz wieńców? Wiele osób uważa, że to stwarza odpowiedni nastrój. Mam tu kilka propozycji, więc jeśli panowie zechcą rzucić okiem... – Podał Yngwemu kolejną kartkę. Yngve wskazał jedną z propozycji, spojrzał na mnie, kiwnąłem głową.

– W porządku – powiedział przedsiębiorca pogrzebowy. – Teraz trumna... mamy tu kilka zdjęć...

Na stół trafiła następna kartka.

– Biała – zdecydowałem. – Zgadzasz się? Ta.

– Tak. Może być.

Mężczyzna zabrał kartkę i coś zanotował. Potem podniósł głowę i spojrzał na nas.

– Chcieli panowie zobaczyć zmarłego, prawda?

– Tak – potwierdził Yngve. – Najchętniej dzisiaj po południu, jeśli to możliwe.

– Oczywiście, ale... Wiedzą panowie, w jakich okolicznościach zmarł? Że to miało... związek z alkoholem?

Pokiwaliśmy głowami.

– To dobrze. Czasami lepiej jest być przygotowanym na to, co nas czeka w takich sytuacjach. – Zebrał kartki i stuknął nimi o stół. – Niestety, nie będę mógł osobiście przyjąć panów po południu, ale zastąpi mnie kolega. Prezentacja odbędzie się w kaplicy przy kościele Oddernes. Wiedzą panowie, gdzie to jest?

– Raczej tak – powiedziałem.

– Czy czwarta panom odpowiada?

– Jak najbardziej.

– Wobec tego tak się umówmy. O czwartej koło kaplicy przy kościele Oddernes. A gdyby mieli panowie jakieś pytania albo zmienili decyzję w jakiejś sprawie, wystarczy zadzwonić. Dałem już panom swój numer?

– Tak – odparł Yngve.

– To dobrze. Aha, jeszcze jedno. Czy ma być nekrolog w gazecie?

– Myślę, że tak. – Spojrzałem na Yngvego.

– Tak. Musi być – potwierdził Yngve.

– Ale może lepiej poświęcić na to trochę więcej czasu – zasugerowałem. – Zdecydować, jaka ma być treść, czyje imiona umieścić w podpisie...

– Oczywiście, rozumiem – zgodził się przedsiębiorca pogrzebowy. – Niech panowie z tym zajrzą albo zadzwonią, kiedy podejmą decyzję. Ale lepiej nie zwlekać zbyt długo, bo na druk w gazecie czasami trzeba czekać kilka dni.

– Zadzwonię jutro – oświadczyłem. – Tak będzie dobrze?

– Znakomicie. – Wstał z kolejną kartką w rękę. – Tu jest numer telefonu i adres kancelarii pastora. Nie wiem, komu mam to dać.

– Ja wezmę – zdecydowałem.

Kiedy po wyjściu zatrzymaliśmy się na chodniku koło samochodu, Yngve wyjął papierosy i mnie poczęstował. Skinąłem głową i wziąłem jednego. Właściwie na samą myśl o paleniu czułem obrzydzenie, jak zawsze dzień po picciu, ponieważ papieros, nawet nie tyle smak czy zapach, ile to, co sobą reprezentował, tworzył związek między dniem dzisiejszym a wczorajszym, coś w rodzaju mostu wrażeń, przez który zaczynały płynąć najprzeróżniejsze obrazy, sprawiające, że całe moje otoczenie – szaroczarny asfalt, jasnoszare krawężniki, szare niebo, szybujące pod nim ptaki, czarne okna w rzędach budynków, czerwony samochód stojący obok, odwrócona bokiem sylwetka Yngvego – przenikały przerażające obrazy wewnętrzne, lecz jednocześnie obecność dymu w płucach przynosiła poczucie zniszczenia, wręcz rozkładu, którego w tej chwili potrzebowałem.

– Gładko poszło – stwierdziłem.

– Jeszcze sporo rzeczy musimy załatwić – odparł Yngve. – A raczej ty musisz. Na przykład sprawę tego nekrologu. W razie czego po prostu do mnie dzwoń.

– Mhm.

– Zwróciłeś uwagę na słowo, jakiego użył? – spytał Yngve. – Prezentacja.

Uśmiechnąłem się.

– Owszem. Ale ta branża ma w sobie coś z handlu nieruchomościami. Ich praca polega na tym, żeby coś wyglądało możliwie najlepiej, bo wtedy weźmie się za to maksymalnie dużo pieniędzy. Widziałeś, ile kosztują trumny?

Yngve kiwnął głową.

– Rzeczywiście, człowiek w takich okolicznościach nie myśli o oszczędzaniu.

– To trochę jak z zamawianiem wina w restauracji, kiedy człowiek się nie zna. Jeśli ma dużo pieniędzy, wybiera prawie najdroższe, jeżeli mało, prawie najtańsze. Nigdy najdroższe ani najtańsze. Z pewnością tak samo jest z trumnami.

– Byłeś w tej kwestii bardzo zdecydowany – zauważył Yngve. – Koniecznie chciałeś tę białą.

Wzruszyłem ramionami, wyrzuciłem palącego się papierosa na ulicę.

– Czystość – powiedziałem. – Pewnie o tym myślałem.

Yngve też rzucił papierosa na ziemię i przydeptał. Otworzył samochód i wsiadł. Ja za nim.

– Boję się go oglądać – powiedział Yngve. Jedną ręką zapiął pas, drugą wsunął kluczyk do stacyjki i przekręcił. – A ty?

– Ja też. Ale muszę. Jeśli go nie zobaczę, to nigdy do końca nie zrozumiem, że naprawdę umarł.

– Ja tak samo. – Yngve spojrział w lusterko, włączył kierunkowskaz i ruszył. – Jedziemy do domu? – spytał.

– Jest jeszcze kwestia tych maszyn – przypomniałem. – Do czyszczenia dywanów i kosiarki. Dobrze by było to załatwić, zanim pojedziesz.

– A wiesz, gdzie to jest?

– No właśnie nie. Gunnar mówił, że jest jakaś firma na Grim, ale dokładnego adresu nie znam.

– Okej. Wobec tego musimy gdzieś znaleźć książkę telefoniczną i przejrzeć żółte strony. Nie wiesz, czy gdzieś w pobliżu jest budka?

Pokręciłem głową.

– Ale na końcu Elvegaten jest stacja benzynowa. Możemy spróbować tam.

– Nawet mi to pasuje – stwierdził Yngve. – I tak przed wyjazdem muszę zatankować.

Minutę później wjechaliśmy pod zadaszenie stacji benzynowej. Yngve zaparkował przy dystrybutorach i zaczął nalewać paliwa do baku, a ja poszedłem do kiosku.

Na ścianie wisiał automat telefoniczny, pod nim kasetki z książkami. Po znalezieniu adresu firmy wynajmującej narzędzia i nauczeniu się go na pamięć podszedłem do kasy, żeby kupić paczkę tytoniu. Mężczyzna na końcu kolejki odwrócił się w moją stronę.

– K a r l O v e? – spytał. – Ty tutaj?

Poznałem go. Chodziliśmy razem do liceum. Ale imienia nie mogłem sobie przypomnieć.

– Cześć, kopę lat. Co słychać?

– W porządku. A co u ciebie?

Zaskoczył mnie jego serdeczny ton. W okresie, kiedy zdawaliśmy maturę, urządziłem w domu imprezę, na którą on też przyszedł, zrobił się agresywny i kopniakiem wybił dziurę w drzwiach naszej łazienki. Później nie chciał zapłacić za szkody, a ja nic nie mogłem zrobić. Kiedy indziej prowadził bus maturzystów, na którego dachu siedziałem razem z Bjørnem, chyba tak to było, jechaliśmy do centrum rozrywki i nagle na wzgórzu, za skrzyżowaniem z drogą na Timenes, on przyspieszył, musieliśmy się położyć i z całej siły przytrzymywać drążków, bo jechał siedemdziesiątką, może nawet osiemdziesiątką, a gdy dojechał na miejsce, tylko się śmiał, nawet kiedy na niego wrzeszczeliśmy.

Skąd więc teraz taka życzliwość?

Spojrzeliliśmy na siebie. Twarz miał może nieco bardziej nalaną, ale poza tym wyglądał dokładnie tak jak dawniej. Dostrzegłem jednak u niego pewną sztywność rysów twarzy, zastygnięcie, które uśmiech raczej podkreślał, zamiast łagodzić.

– Czym się zajmujesz? – spytałem.

– Pracuję na Morzu Północnym.

– Aha! To pewnie dobrze zarabiasz!

– No tak, i mam dużo wolnego, czyli okej. A ty?

Mówiąc do mnie, popatrzył na ekspedienta i wskazał na grill z hot dogami, a potem podniósł do góry jeden palec.

– Ciągle studiuję – odparłem.

– A co?

– Literaturę.

– No tak, ciebie to interesowało.

– Owszem. Widujesz czasami Espena? Albo Tronda? I Gislego?

Wzruszył ramionami.

– Trond mieszka tu, w mieście, więc czasami go spotykam. I Espena, kiedy przyjeżdża do domu na święta. A ty? Masz kontakt z kimś od nas?

– Tylko z Bassenem.

Sprzedawca włożył parówkę w bułkę i owinął serwetką.

– Ketchup i musztarda? – spytał.

– Tak, poproszę jedno i drugie. No i cebula.

– Surowa czy prażona?

– Prażona. Nie, surowa.

– Surowa?

– Tak.

Kiedy zamówienie zostało zrealizowane i dostał hot doga do ręki, znów obrócił głowę w moją stronę.

– Miło cię było zobaczyć, Karl Ove – powiedział. – Nie zmieniłeś się.

– Ty też nie.

Otworzył usta, ugryzł kawałek parówki i podał ekspedientowi banknot pięćdziesięciokoronowy. Kiedy czekał na resztę, nastąpiła kłopotliwa chwila ciszy, bo przecież już zakończyliśmy rozmowę. Uśmiechnął się lekko.

– Tak, tak – dodał, ściskając w dłoni otrzymane monety. – Może jeszcze się kiedyś spotkamy!

– Na pewno – odpowiedziałem. Kupiłem tytoń i kilka sekund stałem przy stojaku z tygodnikami, udając zainteresowanie, żeby nie natknąć się na niego na zewnątrz. Wszedł Yngve, żeby zapłacić. Wyciągnął tysiąc koron. Odwróciłem wzrok, kiedy wyjmował banknot z portfela, nie chciałem dać po sobie poznać, iż zrozumiałem, że to ze spadku po tacie, więc mruknąłem tylko, że wychodzę, i ruszyłem do drzwi.

Zapach benzyny i betonu w półmroku pod daszkiem stacji benzynowej. Czy istnieje coś, co budzi więcej skojarzeń? Silniki, prędkość, przyszłość.

Ale również hot dogi i płyty CD z nagraniami Céline Dion i Erica Claptona.

Wsiadłem do samochodu. Zaraz przyszedł Yngve, włączył silnik i odjechaliśmy stamtąd bez słowa.

Chodziłem po ogrodzie, kosząc trawę. Wypożyczona maszyna składała się z urządzenia, które trzeba było założyć na plecy, i drążka z obracającym się nożem na końcu. Czułem się jak robot, chodząc w wielkich żółtych słuchawkach, jakby przypięty do warczącej i wibrującej maszynerii, metodycznie ścinając wszystkie małe drzewka, kwiaty i trawę, jakie stanęły mi na drodze. Cały czas płakałem. Przewalały się przeze mnie kolejne fale szlochu, przestałem już z nim walczyć, niech się dzieje, co chce. Około dwunastej Yngve zawołał mnie z tarasu, poszedłem zjeść razem z nimi, przygotował herbatę i bułki, takie jak babcia zawsze serwowała, podgrzane na kratce nad płytą – zwykle miękka skórka twardniała i po wbiciu w nią zębów kruszyła się dużymi płatkami – ale nie byłem głodny i wkrótce wróciłem do pracy. Ulgę przynosiło mi to, że mogę być sam, a poza tym praca

dawała satysfakcję, bo rezultat stawał się od razu widoczny. Niebo się zamknęło, szarobiałe chmury wisiały pod nim jak pokrywka, przez to ciemna barwa powierzchni morza uwydatniała się z większą ostrością, a miasto, które pod otwartym niebem wydawało się niewielkim, wręcz bagatelnym skupiskiem domów, jak splunięcie na ziemię, nabrało ciężaru i solidności. To tutaj byłem, właśnie to widziałem. Wzrok miałem utkwiony głównie w obracającym się nożu i źdźbłach, które padały jak ścinani żołnierze, bardziej żółtoszarych niż zielonych, czasami zmieszanych z jaskraworóżowymi kwiatami naparstnicy i żółtymi rudbekii, ale niekiedy podnosiłem wzrok i patrzyłem na masywny, jasnoszary dach nieba i równie masywną, ciemnoszarą podłogę morza, na chaos plandek i kadłubów, masztów i dziobów, kontenerów i zardzewiałego żelastwa przy kei oraz na miasto, które ze swoimi kolorami i ruchem zdawało się drzeć jak maszyna, a po policzkach cały czas płynęły mi łzy, bo tata, który się tu wychował, umarł. A może wcale nie dlatego płakałem? Może z zupełnie innych powodów? Może to cały żal i marność, które gromadziły się we mnie w ciągu ostatnich piętnastu lat, szukały teraz ujścia? To nie miało znaczenia. Nic już nie miało znaczenia. Chodziłem wkoło po ogrodzie i kosiłem trawę, która wyrosła za wysoko.

Piętnaście po trzeciej wyłączyłem piekielną maszynę, zaniósłem ją do składziku pod tarasem i poszedłem wziąć prysznic przed wyjściem. Zabrałem z poddasza ubranie, ręcznik i szampon, ułożyłem to wszystko na klapie od sedesu, zamknąłem drzwi, rozebrałem się, wlałem do wanny, odwróciłem prysznic, tak żeby na mnie nie pryskał, i odkręciłem kran. Kiedy w końcu popłynęła ciepła, z powrotem przekręciłem główkę prysznica i oblałem się gorącą wodą. Zwykle w takich chwilach czułem przyjemność, ale nie teraz, nie tutaj. Dlatego pospiesznie umyłem i spłukałem włosy, a potem szybko zakręciłem wodę i wyszedłem z wanny, wytarłem się i ubrałem. Zapaliłem papierosa na zewnętrznych schodach, czekając, aż Yngve zejdzie. Bałem się, a po jego twarzy, której się przyjrzałem ponad dachem samochodu, kiedy otwierał drzwiczki, poznałem, że on też się boi.

Kaplica znajdowała się blisko mojego liceum, na ukos za dużą halą sportową, a jechaliśmy do niej tą samą drogą, którą chodziłem przez pół roku, gdy mieszkałem w domu dziadków na Elvegaten. Ale widok znajomych miejsc nie wzbudził we mnie żadnych uczuć, może po raz pierwszy zobaczyłem je takimi, jakie były naprawdę, pozbawione wyrazu, bez nastroju. Tu płot z desek, tam pomalowany na biało dziewiętnastowieczny dom, jakieś drzewa, jakieś krzaki, trochę trawy, szlaban, znak drogowy. Sterowane prawami natury ruchy ludzi na ziemi. Wiatr unoszący gałęzie i wprawiający w drżenie tysiące liści, według schematów równie nieprzewidywalnych, jak nieuchronnych.

– Możesz zjechać tutaj – zaproponowałem, kiedy minęliśmy liceum i za kamiennym ogrodzeniem przed nami zobaczyliśmy kościół. – To jest tam.

– Już tu kiedyś byłem – powiedział Yngve.

– Tak? – zdziwiłem się.

– Na jakiejś confirmacji. Ty też wtedy byłeś, prawda?

– Nie przypominam sobie.

– Za to ja pamiętam. – Yngve lekko się nachylił, żeby lepiej widzieć. – Czy to za tamtym parkingiem?

– Na pewno.

– Jesteśmy trochę za wcześnie – zauważył Yngve. – Dopiero za piętnaście.

Wysiadłem z samochodu i zamknąłem drzwi. Za ogrodzeniem nadjeżdżała w naszą stronę kosiarka. Prowadził ją mężczyzna z gołym torssem. Kiedy pojazd nas minął w odległości nie większej niż pięć metrów, zobaczyłem, że mężczyzna ma na szyi srebrny łańcuszek, na którym wisi coś na kształt żyletki. Na wschodzie, nad kościołem, niebo pociemniało. Yngve zapalił papierosa, zrobił kilka kroków po placu.

– Tak, tak – powiedział. – Byliśmy tutaj.

Spojrzałem na kaplicę. Nad drzwiami wejściowymi paliła się lampa, jej światło niemal rozmyło się w jasności dnia. Obok stał czerwony samochód.

Serce zabiło mi szybciej.

– Tak – potwierdziłem. Wysoko nad naszymi głowami, pod wciąż jasnoszarym niebem, krążyło kilka ptaków. Holenderski malarz Ruisdael zawsze malował ptaki wysoko na niebie, aby wydobyć głębię, stanowiły niemal jego podpis, w każdym razie zauważyłem to na kolejnych obrazach w albumie z reprodukcjami jego dzieł.

Pnie drzew, rosnących nieco dalej, były niemal całkiem czarne.

– Która godzina? – spytałem.

Yngve szarpnął ręką, żeby wysunąć ją z rękawa marynarki i spojrzeć na zegarek.

– Za pięć. Idziemy?

Kiwnąłem głową.

Kiedy od kaplicy dzieliło nas jakieś dziesięć metrów, drzwi się otworzyły. Patrzył na nas młody mężczyzna w ciemnym garniturze. Twarz miał opaloną, włosy jasne.

– Knausgård? – spytał.

Pokiwaliśmy głowami.

Po kolei uściśnął nam ręce. Skórę przy skrzydełkach nosa miał czerwoną, jakby podrażnioną, niebieskie oczy nieobecne.

– Wejdziemy? – spytał.

Znów kiwnęliśmy głowami. Znaleźliśmy się na korytarzu, gdzie mężczyzna się zatrzymał.

– To tam – pokazał. – Ale zanim wejdziemy, powinienem panów przygotować. To nie jest piękny widok, tyle było krwi. Sami panowie wiedzą... Staraliśmy się, jak mogliśmy, ale to ciągle widać.

K r w i?

Patrzył na nas.

Złodowaciałem.

– Jesteście gotowi?

– Tak – odparł Yngve.

Mężczyzna otworzył drzwi i weszliśmy do większego pomieszczenia. Tata leżał na marach na samym środku. Oczy miał zamknięte, rysy twarzy łagodne.

O Boże.

Stałem obok Yngvego tuż przed tatą. Jego policzki były czerwone, jakby nasiąknięte krwią. Musiała wnikać w pory, gdy próbowali ją zmyć. Miał złamany nos. Ale chociaż to widziałem, nie widziałem niczego, bo wszystkie szczegóły stapały się z czymś innym, większym – i z tym, co od niego biło, czyli ze śmiercią, do której nigdy wcześniej się nie zbliżyłem, i z tym, kim on był dla mnie, ojcem, i z całym życiem, jakie się z tym wiązało.

Dopiero kiedy wracałem do domu babci już po wyprawieniu Yngvego do Stavanger, przypomniała mi się ta krew. Skąd się wzięła? Babcia mówiła, że znalazła tatę martwego w fotelu, i z tej informacji wyciągnęliśmy wniosek, że jego serce przestało bić, kiedy tam siedział, i że prawdopodobnie umarł we śnie. Mężczyzna z zakładu pogrzebowego mówił jednak nie tylko o krwi, ale i o tym, że było jej dużo. No i ten złamany nos. Musiała się więc odbyć jakaś walka o życie. Czyżby zerwał się z bólu i upadł na ścianę kominka? Na podłogę? Ale wobec tego dlaczego nie było śladów krwi ani na kominku, ani na podłodze? I jak to możliwe, że babcia nic nie mówiła o krwi? Przecież coś musiało się stać. Nie mógł spokojnie umrzeć we śnie, skoro tyle było krwi. Czyżby ją zmyła, a potem o tym zapomniała? Ale dlaczego? Przecież nic innego nie umyła ani nie ukrywała, wydawało się, że w ogóle nie ma takiej potrzeby. Równie dziwne było, że sam tak szybko o tym zapomniałem. A może wcale nie takie dziwne? Przecież do tylu innych rzeczy należało się odnieść. Wszystko jedno, i tak zaraz po powrocie do babci musiałem zadzwonić do Yngvego. Trzeba odnaleźć tego lekarza, który przyjechał po tatę. On mógł nam wyjaśnić, co się wydarzyło.

Szedłem najszybciej, jak mogłem, po łagodnym zboczku wzdłuż ogrodzenia z zielonej siatki, za którą rósł gęsty żywopłot, jakbym chciał na coś zdążyć, a jednocześnie kierował już mną inny impuls, nakazujący do maksimum przedłużać czas, jaki miałem do dyspozycji, może nawet znaleźć jakąś kawiarnię i poczytać gazetę. Bo przebywanie u babci razem z Yngvem to jedno, a pozostanie z nią sam na sam to coś zupełnie innego. Yngve wiedział, jak sobie z nią radzić. Ale ja tego lekkiego, żartobliwego tonu, którym posługiwali się zawsze również Erling i Gunnar, mówiąc oględnie, nigdy nie miałem na podorędziu. A tamtego roku, kiedy chodziłem do liceum i tyle czasu spędzałem u dziadków, ponieważ

mieszkałem w pobliżu, miałem wrażenie, że odbierali mój sposób bycia jako nieprzyjemny, gdyż miałem w sobie coś, z czym nie chcieli mieć do czynienia. To przeczucie w pewnym sensie potwierdziło się po kilku miesiącach, bo któregoś wieczoru mama przekazała mi, że babcia dzwoniła i powiedziała, że nie mogą tak często do nich przychodzić. Zazwyczaj potrafiłem sobie poradzić z odrzuceniem, ale nie tym razem. To byli moi dziadkowie i fakt, że nawet oni nie chcieli mnie widzieć u siebie, tak mną wstrząsnął, iż nie zdołałem się opanować i na oczach mamy wybuchnąłem płaczem. Ona też była wściekła, ale co mogła zrobić? Nic wtedy z tego nie rozumiałem i sądziłem, że zwyczajnie mnie nie lubią, dopiero później zacząłem się domyślać, skąd bierze się ta niechęć do mnie. Nie potrafiłem udawać, nie umiałem wejść w rolę, a licealna powaga, jaką wnosiłem do tego domu, nie pozwalała na dłuższą metę się od niej zdystansować, prędzej czy później oni również musieli się do tego odnieść, i brak równowagi, do którego wówczas dochodziło, ponieważ nigdy nie ulegałem ich rodzinnemu żargonowi, kazał im w końcu zatelefonować do mojej matki. Moja obecność zawsze czegoś od nich wymagała, zwykle konkretów, takich jak jedzenie, bo jeśli zjawiałem się tam po szkole, a przed treningiem, to musiałbym chodzić głodny do ósmej lub do dziewiątej wieczorem, albo pieniądze, ponieważ uczniom przysługiwały bezpłatne przejazdy tylko w popołudniowych autobusach, a nie zawsze sam mogłem zapłacić za bilet. Nie mieli nic przeciwko dawaniu mi i jednego, i drugiego, ale przypuszczalnie drażniło ich, że tego potrzebowałem, więc właściwie nie mieli już wyboru – zarówno jedzenie, jak i pieniądze na autobus przestawały być podarunkami z dobrej woli, stawały się czymś innym, a to coś innego zmieniło nasze relacje, wytworzyło między nami więzy, których oni sobie nie życzyli. Wtedy tego nie rozumiałem, ale teraz rozumiem. Mój sposób bycia, zbytnie zbliżanie się do nich ze swoim życiem i swoimi myślami były częścią tego samego schematu. Również tej bliskości nie mogli mi dać i prawdopodobnie nie chcieli, w pewnym sensie sam ją sobie brałem. Ironia polegała na tym, że ja podczas tych wszystkich wizyt zawsze myślałem o nich, zawsze mówiłem to, co według mnie chcieli usłyszeć, nawet najbardziej osobiste wynurzenia padały z moich ust tylko dlatego, że sądziłem, iż to będzie dla nich dobre, a nie dlatego, że czułem potrzebę mówienia o tym.

Idąc aleją w stronę Lund, wzdłuż szeregu samochodów stojących w popołudniowym korku, mijając kolejne drzewa z pniami pociemniałymi od asfaltowego pyłu i spalin, tak ciężkimi i jakby skamieniałymi w porównaniu z mnóstwem lekkich zielonych liści w koronach, myślałem, że najgorsze w tym wszystkim było moje ówczesne przekonanie, że jestem znawcą ludzi. Wyobrażałem sobie wtedy, że właśnie na tym się znam, właśnie w tym jestem dobry. W rozumieniu innych. Sam natomiast pozostawałem zagadką.

Ależ to głupie!

Roześmiałem się. Zaraz podniosłem głowę, żeby sprawdzić, czy ktoś siedzący w samochodzie na ulicy nie patrzy w moją stronę. Ale nie. Wszyscy byli zajęci własnymi sprawami.

Być może w ciągu następnych dwunastu lat nieco zmądrzałem, ale ciągle nie umiałem

udawać. Nie umiałem kłamać, nie umiałem grać. Dlatego z radością pozwoliłem, żeby to Yngve radził sobie z babcią. Ale teraz musiałem się z tym zmierzyć.

Zatrzymałem się i zapaliłem papierosa. Kiedy ruszyłem dalej, z jakiegoś powodu było mi już źlej. Czy sprawił to widok pierwotnie białych, ale pociemniałych od spalin fasad po mojej lewej stronie? A może drzewa w alei? Te nieruchome, skąpane w powietrzu istoty, przystrojone nieprzebraną mnogością liści? Zawsze kiedy zwracałem na nie uwagę, czułem radość.

Zaciągnąłem się wyjątkowo głęboko i idąc, strzepnąłem srebrzystoszarą mufkę z popiołu papierosa. Obudzone przez tę okolicę wspomnienia, których do siebie nie dopuściłem, jadąc z Yngvem do kaplicy, teraz nadciągnęły z pełną mocą. Znałem te miejsca z dwóch okresów: najpierw jako dziecko przyjeżdżałem do Kristiansand w odwiedziny do babci i dziadka; wtedy każdy najdrobniejszy szczegół w obrazie miasta wydawał mi się rodem z baśni, a później mieszkałem tu jako nastolatek. Nie byłem w tym mieście kilka lat i od przyjazdu czułem strumień wrażeń płynący z tego miejsca, związany częściowo z jednym światem wspomnień, a częściowo z drugim, i w ten sposób istniałem jednocześnie w trzech epokach. Widziałem aptekę i przypominałem sobie, jak obaj z Yngvem byliśmy tam kiedyś z babcią; pług usypał wysokie zasy, padał śnieg, babcia w płaszczu i futrzanej czapce stała w kolejce do okienka, w głębi krążyli farmaceuci w białych fartuchach. Babcia od czasu do czasu odwracała głowę, żeby sprawdzić, co robimy. Po pierwszych sekundach poszukiwań, podczas których jej spojrzenie było jeśli nie zimne, to najwyżej neutralne, uśmiechała się, a jej oczy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wypełniało ciepło. Widziałem zbocze opadające w stronę mostu Lundsbroa i przypominałem sobie, że dziadek zwykle przyjeżdżał tamtędy po południu na rowerze. Jakże inny wydawał się poza domem. Jakby to lekkie rozchwianie, wywoływane jazdą pod górkę, dotyczyło nie tylko roweru, na którym jechał, lecz również tego, kim był: w jednej chwili starszym kristiansandczykiem w płaszczu i kaszkiecie, w następnej chwili dziadkiem. Widziałem dachy domów na osiedlu ciągnącym się w dół od ulicy i przypominałem sobie, że jako szesnastolatek chodziłem wśród nich, wypełniony emocjami na granicy wrzenia. Wszystko, co wtedy widziałem, nawet krzywy, zardzewiały stojak do suszenia ubrań w ogrodzie na tyłach domu, zgniłe jabłka na ziemi pod drzewem, łódź owinięta w brezent, z wystającymi spod niego mokrymi kozłami na spłaszczonej pożółkłej trawie, olśniewało pięknem. Widziałem porośnięte trawą zbocze za budynkami po drugiej stronie i przypominałem sobie niebieski, mroźny zimowy dzień, kiedy byliśmy tu z babcią na sankach. Promienie słońca odbijały się od śniegu, który migotał, tak że światło było silne jak w wysokich górach, a miasto w dole wydawało się przez to dziwnie otwarte, wszystko wokół – ludzie i samochody mijające nas na ulicach, mężczyzna odgarniający śnieg z podjazdu koło domu przyjęć po drugiej stronie ulicy, inne dzieci na sankach – nie było przywiązane do żadnego miejsca, tylko unosiło się pod niebem. Wszystko to żyło we mnie, kiedy szedłem w dół ulicą, otoczenie kazało mi to wszystko widzieć i o tym myśleć, ale tylko powierzchownie, tylko w skrajnej

strefie świadomości, bo tata umarł, a smutek, który ten fakt we mnie wzbudzał, rzutował na każdą moją myśl i każde uczucie, jakby próbował to wszystko unieważnić. Tata również istniał w tych wspomnieniach, ale tam nie był ważny, o dziwo, tam myśl o nim nie wywoływała żadnych uczuć. Tata idący chodnikiem kilka metrów przede mną, mniej więcej na początku lat siedemdziesiątych – byliśmy w kiosku kupić wyciory do fajki i szliśmy do dziadków – sposób, w jaki zadzierał brodę, jakby unosząc głowę do góry, jednocześnie uśmiechając się do siebie, radość, jaką z tego powodu czułem; albo tata w banku, w jednej ręce trzymał portfel, drugą przeczesywał włosy, patrząc na swoje odbicie w szkle przed kasą; albo tata w samochodzie wyjeżdżającym z miasta: w żadnym z tych wspomnień nie postrzegałem go jako osoby ważnej. Owszem, wówczas wydawał mi się ważny, tak go odbierałem wtedy, ale nie teraz, gdy o tym myślałem. W towarzystwie myśli o jego śmierci wyglądało to inaczej. W niej był wszystkim, oczywiście, lecz również sama myśl o tym była wszystkim, bo kiedy tam szedłem wśród lekkiej mżawki, czułem się tak, jakbym trafił do jakiejś specjalnej strefy, a to, co znajdowało się poza nią, nie miało żadnego znaczenia. Widziałem i myślałem, a następnie to, co widziałem i to, co myślałem, wycofywano: nie liczyło się. Nic się nie liczyło. Jedynie tata, to, że umarł, tylko to się liczyło.

Przez cały ten czas, kiedy szedłem, nie mogłem się pozbyć z myśli brązowej koperty zawierającej rzeczy, które miał przy sobie w chwili śmierci. Pod sklepem kolonialnym po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko apteki, przystanąłem, zwrócony twarzą do muru, i wyjąłem ją z kieszeni. Popatrzyłem na nazwisko ojca. Wydało mi się obce. Spodziewałem się nazwiska Knausgård. Ale wszystko się zgadzało, to śmieszne, pompatyczne nazwisko nosił w chwili śmierci.

Starsza kobieta, ciągnąca jedną ręką torbę na kółkach, a drugą małego białego pieska, spojrzała na mnie, wychodząc ze sklepu. Zrobiłem jeszcze dwa kroki w stronę muru i wytrząsnąłem zawartość koperty na rękę. Obrączka, zawieszka na szyję, kilka monet, szpilka. To było wszystko. Samo w sobie tak powszednie, jak tylko mogą być przedmioty. Ale to, że miał je przy sobie, kiedy umierał, że obrączka tkwiła wtedy na jego palcu, a zawieszka na szyi, przydawało tym rzeczom szczególnej aury. Śmierć i złoto. Kolejno obracałem je w dłoni, napełniały mnie lękiem. Stałem tam i bałem się śmierci w taki sam sposób, w jaki bałem się jej, kiedy byłem dzieckiem. Nie tego, że umrę, lecz zmarłych.

Włożyłem rzeczy z powrotem do koperty, schowałem ją do kieszeni, przebiegłem przez ulicę między dwoma samochodami, w kiosku kupiłem gazetę i batonik Lion; zjadłem go, pokonując ostatnich kilkaset metrów do domu.

Nawet po wszystkim, co się w tym domu wydarzyło, wciąż pozostały w nim reminiscencje zapachu, który zapamiętałem z dzieciństwa. Już wtedy zastanawiałem się nad tym zjawiskiem. Jak to możliwe, by każdy dom, jaki odwiedzałem, każdy dom sąsiadów czy członków rodziny, miał własny, specyficzny zapach, który nigdy się nie zmieniał?

Każdy, z wyjątkiem naszego. Nasz dom nie miał własnego, specyficznego zapachu. Nie pachniał niczym. Kiedy babcia i dziadek nas odwiedzali, przynosili zapach swojego domu. Pamiętam szczególnie jeden raz, gdy babcia zjawiła się z niezapowiedzianą wizytą. Nie wiedziałem o tym, więc kiedy wróciłem ze szkoły i poczułem ów zapach w korytarzu, uznałem, że to omamy, bo nic innego nie wskazywało na jej obecność. Nie było samochodu na podjeździe, płaszcza ani butów w korytarzu. Jedyne ten zapach. Ale to nie były omamy: wszedłem na górę i w kuchni zobaczyłem babcię w płaszczu, przyjechała autobusem, chciała nam zrobić niespodziankę; to było całkiem do niej niepodobne. Dziwne, że dwadzieścia lat później w jej domu utrzymał się ten sam zapach, chociaż tak wiele się zmieniło. Można by pomyśleć, że zapach wiąże się z jakimś zwyczajem, z używaniem takiego samego mydła, takich samych środków czyszczących, takich samych perfum czy wody po goleniu, z przyrządzaniem takiego samego jedzenia w taki sam sposób, przychodzeniem codziennie z tej samej pracy i zajmowaniem się tym samym popołudniami i wieczorami: jeśli ktoś grzebał w samochodach, w powietrzu mogła pojawić się nuta oleju i denaturatu, metalu i spalin; jeśli ktoś zbierał stare książki, mogło się dać wyczuć nutę pożółkłego papieru i starej skóry. Ale w domach, w których wszystkie wcześniejsze zwyczaje ustały, w których ludzie poumierali albo byli już za starzy, aby robić to, co dawniej mieli w zwyczaju – skąd brał się w takich domach ów zapach, jak mógł pozostawać niezmienny? Czyżby czterdzieści lat życia tkwiło w ścianach? Czy właśnie to czułem za każdym razem, kiedy tutaj wchodziłem?

Zamiast od razu iść do babci, otworzyłem drzwi do piwnicy i zrobiłem kilka kroków w dół po wąskich schodach. Chłodne powietrze, które mnie otoczyło, było niczym koncentrat zapachu wypełniającego dom w pozostałej części, dokładnie tak, jak zapamiętałem. To tu dziadkowie przechowywali jesienią skrzynki z jabłkami, gruszkami i śliwkami, i zapach owoców w połączeniu z wonią starego muru i ziemi tworzył coś w rodzaju bazy zapachowej domu, do której dołączały wszystkie inne wonie i na której tle występowały. Byłem tu, na dole, nie więcej niż trzy, może cztery razy; podobnie jak pomieszczenia na poddaszu, był to dla nas zakazany rewir. Ale jakże często stałem na korytarzu i patrzyłem, jak babcia wyłania się stamtąd z przeznaczonymi dla nas torbami, pełnymi soczystych żółtych śliwek albo leciuteńko pomarszczonych i cudownie pełnych smaku czerwonych jabłek.

Jedyne światło wpadało przez niewielkie okienko, przypominające bulaj na statku. Rozciągał się stąd widok bezpośrednio na ogród, położony niżej niż wejście do domu. Perspektywa powodowała dezorientację. Wrażenie związku przestrzennego jakby się rozmywało, przez moment miałem wrażenie, że ziemia usunęła mi się spod nóg. Potem, gdy uchwyciłem się poręczy, wszystko znów stało się dla mnie jasne: ja byłem tutaj, okno było tam, ogród tam, a wejście do domu tam.

Stałem przez chwilę, wyglądając przez okno, na nic nie zwracając uwagi i nie myśląc o niczym szczególnym. Potem się odwróciłem i poszedłem na górę do holu. Odwiesiłem

kurtkę do szafy, przejrzałem się w lustrze na ścianie przy schodach. Zmęczenie pokryło moje oczy jak błona. Ruszyłem na górę, stawiając ciężkie kroki, by babcia usłyszała, że wróciłem.

Siedziała tak jak wtedy, kiedy ją zostawiliśmy kilka godzin wcześniej, przy kuchennym stole. Przed nią stały filiżanka kawy, popielniczka i talerzyk pełen okruchów bułki.

Kiedy stanąłem w drzwiach, szybko podniosła głowę i popatrzyła na mnie w swój charakterystyczny ptasi sposób.

– O, to ty – powiedziała. – Dobrze poszło?

Najprawdopodobniej zapomniała, gdzie byłem, ale pewności mieć nie mogłem, więc odpowiedziałem z taką powagą w głosie, jakiej w takim wypadku wymagałaby sytuacja.

– Tak – kiwnąłem głową. – Dobrze.

– To świetnie. – Odwróciła się.

Zrobiłem kilka kroków w głąb kuchni i położyłem na stole kupioną gazetę.

– Napijesz się kawy? – spytała.

– Owszem, chętnie.

– Dzbanek stoi na kuchence.

Coś w tonie jej głosu kazało mi na nią spojrzeć. Nigdy wcześniej tak do mnie nie mówiła. Najdziwniejsze, że nie ją to zmieniało, tylko mnie. Tak musiała ostatnio rozmawiać z tatą. Zwracała się do niego, nie do mnie. I nie zwracałaby się tak do taty, gdyby dziadek żył. To był ton, jakim matka rozmawiała z synem, kiedy nikogo przy tym nie było.

Nie sądziłem, by brała mnie za ojca, po prostu mówiła tak siłą rozpędu niczym statek sunący dalej po wodzie nawet po wyłączeniu silników. Mimo to mnie zmroziło. Ale nie mogłem pokazać, że to zauważyłem, więc wyjąłem z szafki filiżankę, podszedłem do kuchenki i dotknąłem palcem dzbanka. Kawa już dawno wystygła.

Babcia cicho gwizdnęła i zabębniła palcami o stół. Robiła tak, odkąd sięgałem pamięcią. Powitałem to z przyjemnością, bo przecież tak wiele się w niej zmieniło.

Widziałem jej zdjęcia z początku lat trzydziestych; była piękna, nie uderzająco, ale wystarczająco, by wyróżniać się urodą w ów typowy dla epoki sposób: wyraziste, ciemne obramowanie oczu, małe usta, krótkie włosy. Gdy pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy była kobietą w średnim wieku i matką trojga dzieci, fotografowała się podczas podróży na tle zabytków, wszystkie jej charakterystyczne cechy wciąż się ujawniały, może w łagodniejszy, mniej rzucający się w oczy, lecz jednak wyraźny sposób, i wciąż można było określać ją jako piękną. Kiedy dorastałem, a ona dobiegała siedemdziesiątki, oczywiście tego nie dostrzegałem, była po prostu babcią, nie zauważałem w niej nic, co by mówiło, kim jest naprawdę. Starsza kobieta z mieszczaństwa, zadbana i elegancko ubrana, takie

wrażenie musiała sprawiać pod koniec lat siedemdziesiątych, właśnie wtedy gdy zachowała się tak nietypowo – przyjechała do nas autobusem i nagle pojawiła się w naszej kuchni w Tybakken. Pełna życia, bystra, ciesząca się dobrym zdrowiem. Jeszcze parę lat temu taka była. Potem coś się z nią stało, ale to nie wiek złapał ją w sidła, ani też choroba, lecz coś innego. Jej dalekość nie miała nic wspólnego z łagodnym odwróceniem się od świata czy nasyceniem życiem, charakterystycznym dla starych ludzi, ta jej dalekość była ostra i równie chuda jak ciało, w którym zamieszkała.

Dostrzegałem to, ale nie mogłem temu zaradzić. Nie mogłem zbudować mostu, nie mogłem jej pomóc ani pocieszyć, mogłem jedynie obserwować, wyczuwając napięcie w każdej spędzonej z nią minucie. Pomagało mi jedynie bycie w ruchu i niedopuszczanie, aby to, co się tu znajdowało, w tym domu albo w niej, utkwiło we mnie na stałe.

Zdjęła palcami z wargi drobinę tytoniu. Spojrzała na mnie.

– Tobie też zrobić? – spytałem.

– Coś nie tak z tą kawą?

– Trochę za zimna – wyjaśniłem, podchodząc z dzbankiem do zlewu. – Nastawię nową.

– Za zimna?

Czyżby przywoływała mnie do porządku?

Nie. Bo zaraz się roześmiała i strzepnęła okruszek z kolan.

– Chyba zaczynam fiksować. Byłam pewna, że nastawiłam ją przed chwilą.

– Nie wystygła całkiem – powiedziałem, odkręcając kran. – Tylko że ja lubię kawę prawie wrzącą.

Wypłukałem fusy i pozwoliłem, żeby strumień wody tryskał na dno zlewu, dopóki wszystkie nie spłynęły. Potem świeżą wodą napełniłem dzbanek, prawie całkiem czarny w środku, a na wierzchu pokryty tłustymi odciskami palców.

„Fiksować” było eufemizmem używanym w rodzinie na określenie sklerozy. Brat dziadka, Leif, sfiksował, gdyż wielokrotnie wyprawiał się z domu starców do domu swojego dzieciństwa, w którym nie mieszkał od sześćdziesięciu lat, stawał pod nim, krzyczał i pukał do drzwi wieczorami i nocami. Jego drugi brat, Alf, również zaczął fiksować w ostatnich latach; jemu z kolei przeszłość i terażniejszość mieszały się ze sobą. Dziadek też trochę fiksował – pod koniec życia, zamiast iść spać, nocami przekładał ogromny zbiór kluczy, który nie wiadomo skąd miał ani po co. Fiksowanie trzymało się tej rodziny; ich matka również pod koniec sfiksowała, jeśli wierzyć w to, co opowiadał mój ojciec. Podobno ostatnim jej popisem było wejście na strych, kiedy zawyły syreny, chociaż powinna schować się w piwnicy; zabiła się, spadając ze stromych schodów. Nie wiedziałem, czy naprawdę tak było, ojciec potrafił kłamać w każdej kwestii. Intuicja podpowiadała mi, że to nieprawda, ale nie miałem żadnego sposobu, by to sprawdzić.

Postawiłem dzbanek na kuchence. Kuchnię wypełniło tykanie wyłącznika bezpieczeństwa. Po chwili wilgotny spód dzbanka zaczął trzeszczeć. Stałem z założonymi

rękami, wpatrzony w szczyt stromego wzgórza za oknem, w biały dom, który na nim królował. Uświadomiłem sobie, że patrzyłem na ten dom przez całe życie, a nigdy nie widziałem w nim ani koło niego żadnego człowieka.

– Gdzie się podział Yngve? – spytała babcia.

– Miał przecież jechać dzisiaj do Stavanger. – Odwróciłem się do niej. – Do swojej rodziny. Przyjedzie znów na po... w piątek.

– Aha – pokiwała głową. – Miał jechać do Stavanger. – Sięgając po paczkę z tytoniem i małą czerwono-czarną maszynkę do papierosów, spytała, nie podnosząc głowy: – Ale ty tu zostaniesz?

– Tak. Ja tu będę cały czas.

Ucieszyło mnie, że tak wyraźnie chciała, abym został, chociaż rozumiałem, że nie chodzi jej o mnie osobiście, ale po prostu o kogoś do towarzystwa.

Pociągnęła uchwyt maszynki z zaskakującą siłą, wyjęła świeżo napełnioną gilzę i zapaliła. Znów strzepnęła kilka okruszków z kolan i dalej siedziała zapatrzona przed siebie.

– Zamierzam znów sprzątać – powiedziałem. – A wieczorem będę musiał trochę popracować. I załatwić kilka telefonów.

– Dobrze. – Spojrzała na mnie. – Ale chyba aż tak ci się nie spieszy, żebyś nie mógł tu trochę posiedzieć?

– Pewnie, że nie.

Dzbanek zaczął szumieć. Przycisnąłem go mocniej do płytki, szum się wzmógł, zsunąłem dzbanek, wsypałem porcję kawy, zamieszałem widelcem, stuknąłem naczyniem mocno o płytkę i postawiłem je na kratce na stole.

– Już – oznajmiłem. – Niech trochę naciągnie.

Wśród odcisków palców na dzbanku, którego nie umyliśmy, musiały też być odciski taty. Przed oczami stanęły mi plamy nikotyny na jego palcach. Było w nich coś niegodnego. Trywialne życie, o jakim świadczyły, nie pasowało do wzniosłości, którą sprowadziła śmierć.

Albo której pragnąłem.

Babcia westchnęła.

– No tak – odezwała się. – Życie to kalka, powiedziała stara babka, która nie wymawiała „w”.

Uśmiechnąłem się, babcia też się uśmiechnęła. I znów powróciła ta dalekość w jej oczach. Na gwałt szukałem w myślach jakiegoś tematu do rozmowy, ale niczego takiego nie znalazłem, więc nalałem kawy do filiżanki, chociaż wciąż była raczej złocista niż czarna, a na powierzchnię wypłynęły drobinki.

– Napijesz się? – spytałem. – Trochę cienka, ale...

– Owszem, chętnie. – Przesunęła filiżankę kilka centymetrów po stole. – Dziękuję – powiedziała, kiedy jej nalałem. Sięgnęła po żółty kartonik ze śmietanką. – A gdzie się podział Yngve? – spytała.

– Pojechał do Stavanger. Do domu, do rodziny.

– Ano prawda. Miał przecież jechać. Kiedy wróci?

– Myślę, że w piątek.

Wyplukałem wiadro w zlewie, nalałem świeżej wody, dolałem szarego mydła, włożyłem rękawice do zmywania, w jedną rękę wziąłem ścierkę, która leżała na blacie, w drugą wiadro i poszedłem do najdalszej części salonu. Na zewnątrz ledwie zaczynało się zmierzchać. Nad samą ziemią, wokół liści na drzewach, pni i krzaków przy płocie odgradzającym sąsiednią posesję, światło przybrało lekko niebieskawy odcień. Był na tyle słaby, że nie tłumił kolorów, które stopniowo miały się rozplýwać, lecz przeciwnie, wzmacniał je, ponieważ nic już nie oślepiało, a przytłumienie światła stwarzało im coś w rodzaju tła, na którym mogły się ukazać. Ale na południowym zachodzie, gdzie na tle otwartego morza można było dostrzec latarnię morską, światła dziennego wciąż nic nie zakłócało. Na niebie zarzyło się czerwono kilka chmur, świecących jakby własnym światłem, bo słońce pozostawało ukryte.

Po jakimś czasie przyszła babcia. Włączyła telewizor i usiadła w fotelu. Dźwięki reklam, zawsze głośniejsze niż programów, nie dość, że wypełniły salon, to jeszcze lekko odbijały się od ścian.

– Będą teraz wiadomości? – spytałem.

– Zdaje się, że tak. Nie przyjdiesz obejrzeć?

– Przyjdę – powiedziałem. – Tylko najpierw tutaj skończę.

Kiedy umyłem całą drewnianą lamperię wzdłuż jednej ściany, wyjąłem ścierkę i poszedłem do kuchni, gdzie odbicie mojej sylwetki w szybie było teraz ledwie widoczne w postaci niewyraźnych, jaśniejszych i ciemniejszych plam, wylałem wodę do zlewu, powiesiłem ścierkę na wiadrze, przez chwilę stałem nieruchomo, potem otworzyłem szafkę, przesunąłem na bok papierowe ręczniki i wyjąłem butelkę z wódką. Z szafki nad zlewem wziąłem dwie szklanki, a z lodówki butelkę sprite'a, nalałem go do jednej szklanki po sam brzeg, do drugiej dolałem wódki i obie zaniósłem do salonu.

– Pomyślałem, że możemy sobie pozwolić na małego drinka – uśmiechnąłem się.

– O, jak miło – odpowiedziała z uśmiechem babcia. – Rzeczywiście, możemy.

Podaliśmy jej drinka z wódką, sam wziąłem szklankę ze sprite'em i usiadłem w fotelu obok. Straszne. To było straszne. Rozrywało mnie na strzępy. Ale nic nie mogłem z tym zrobić. Ona tego potrzebowała. Po prostu.

Gdyby to przynajmniej był koniak albo portwein!

Mógłbym go wtedy podać na tacy razem z filiżanką kawy, a to – nawet jeśli nie wyglądałoby całkiem normalnie – nie byłoby aż tak prowokujące jak przezroczyisty drink z wódki i sprite’a.

Widziałem, jak babcia otwiera stare usta i przetyka drinka. Wcześniej postanowiłem, że to się już nie powtórzy, a jednak siedziała teraz ze szklanką wódki w rękach. Zakłuło mnie to w sercu jak nóż. Na szczęście nie poprosiła o więcej.

Wstałem.

– Pójdę zadzwonić – powiedziałem.

Odwróciła do mnie głowę.

– Do kogo będziesz dzwonił o tej porze? – spytała.

Znów jakby zwracała się do kogoś innego.

– Dopiero ósma – stwierdziłem.

– Nie później?

– Nie. Chcę zadzwonić do Yngvego, a potem do Tonje.

– Do Yngvego?

– Tak.

– To znaczy, że go tu nie ma? No tak, rzeczywiście. – Znów skierowała uwagę na telewizor, jakbym już wyszedł z pokoju.

Wysunąłem jedno z krzeseł przy stole w jadalni, usiadłem i wykręciłem numer Yngvego. Właśnie wszedł do domu, podróż minęła bez kłopotów. W tle słyszałem płacz Torjego, Kari Anne go uciszała.

– Myślałem o tej krwi.

– No właśnie, skąd się wzięła? – spytał. – Tam musiało się wydarzyć coś więcej, niż mówiła babcia.

– Musiał się przewrócić, czy jak. Uderzyć o coś twardego. Bo miał złamany nos, zauważyłeś?

– Jasne.

– Powinniśmy porozmawiać z kimś, kto tu był. Najlepiej z lekarzem.

– W zakładzie pogrzebowym pewnie znają jego nazwisko – powiedział Yngve. – Chcesz, żebym zadzwonił?

– A mógłbyś?

– Zadzwonię jutro. Teraz już trochę późno. Wtedy o tym pomówimy.

Zamierzałem porozmawiać z nim dłużej na ten temat, ale uchwyciłem w jego głosie zniecierpliwienie, które zresztą nie powinno dziwić, bo Ylva, dwuletnia córka, czekała na niego na górze. Poza tym rozstaliśmy się zaledwie przed kilkoma godzinami. Yngve jednak

nie kończył rozmowy, więc musiałem zrobić to sam. Kiedy się rozłączyłem, wybrałem numer do Tonje. Czekala na mój telefon. Słyszałem to w jej głosie. Powiedziałem, że jestem bardzo zmęczony, że dłużej możemy porozmawiać jutro, a poza tym przecież przyjeżdża już za kilka dni. Rozmowa trwała zaledwie parę minut, mimo to poczułem się lepiej. Wziąłem z kuchennego stołu papierosy i zapalniczkę i wyszedłem na taras. Również tego wieczoru zatoka pełna była łodzi wracających do portu. Ciepłe powietrze wypełnił charakterystyczny dla miasta zapach północy. Dochodziły też aromaty roślin z ogrodu i lekka, ledwie wyczuwalna woń morza. W pokoju migotało światło telewizora. Stałem na końcu tarasu, przy czarnej balustradzie z kutego żelaza i zapaliłem. Kiedy papieros się skończył, zgasilem go na zewnętrznej stronie muru. Drobinki żaru posypały się na trawę jak gwiazdki. Wróciwszy do domu, najpierw sprawdziłem, czy babcia ciągle siedzi w salonie, a potem poszedłem do sypialni na poddaszu. Otwarta walizka leżała przy łóżku. Wyjąłem pudło z wydrukiem, usiadłem na brzegu łóżka i zerwałem taśmę. Myśl, że ta książka naprawdę będzie wydana, uderzyła we mnie z pełną siłą, gdy zobaczyłem stronę tytułową, która po składzie tak bardzo różniła się od dobrze znanej mi już wersji. Natychmiast wsunąłem ją pod spód, bo nie mogłem się teraz na tym koncentrować, z kieszonki w walizce wyjąłem ołówek, wziąłem kartkę z listą znaków korektorskich, przesunąłem się bardziej w głąb łóżka, żeby oprzeć się plecami o ramę, i położyłem maszynopis na kolanach. To było pilne, dlatego planowałem, że wieczorami będę przeglądał tyle, ile zdołam, do tej pory jednak nie znalazłem na to czasu. Ale skoro Yngve wyjechał do Stavanger i było dopiero po ósmej, to miałem przed sobą co najmniej cztery godziny na pracę.

Zacząłem czytać.

Dwa czarne garnitury wiszące na uchylonych drzwiach szafy przy ścianie naprzeciwko łóżka nie pozwalały mi się skupić, bo czytając, cały czas miałem świadomość ich obecności; chociaż wiedziałem, że to tylko garnitury, wyobrażenie, że są prawdziwymi ciałami, rzucało cienie w głąb mojego umysłu. Po kilku minutach wstałem, żeby je usunąć. Stałem z garniturami w rękach, rozglądając się za miejscem, gdzie mógłbym je przewiesić. Na karnisz nad oknem? Tam byłyby jeszcze bardziej widoczne. Na framugę nad drzwiami? Nie, przecież musiałem jakoś przechodzić. W końcu zaniósłem je do suszarni za ścianą i tam powiesiłem na oddzielnych sznurkach. Kiedy zawisły swobodnie, jeszcze bardziej przypominały sylwetki, ale po zamknięciu drzwi przynajmniej ich nie widziałem.

Znów usiadłem na łóżku i wróciłem do pracy. Gdzieś na ulicy przyspieszył samochód, z piętra niżej dobiegał dźwięk telewizora. W pustym i cichym domu brzmiało to idiotycznie, jak odgłosy szaleństwa.

Podniosłem głowę.

Napisałem tę książkę dla taty. Nie wiedziałem o tym, ale tak było. Napisałem ją dla niego.

Odłożyłem kartki, wstałem i podszedłem do okna. Czy tata naprawdę tyle dla mnie

znaczył?

O tak, owszem.

Chciałem, żeby mnie zauważył.

Pierwszy raz zrozumiałem, że to, co tworzę, naprawdę będzie czymś, a nie że tylko chcę, by tak było, albo udaję, że tak jest, kiedy pisząc fragment o tacie, rozplakałem się. Nigdy wcześniej nic takiego się nie zdarzyło, nawet nie byłem bliski płaczu. Pisałem o tacie, a łzy ciekły mi po policzkach, nie widziałem klawiszy ani monitora, tylko waliłem w klawiaturę. O istnieniu tego żalu, który wtedy się we mnie rozpełtał, w ogóle nie wiedziałem, nie miałem o nim pojęcia. Mój ojciec był idiotą, z którym nie chciałem mieć do czynienia, i trzymanie się od niego z daleka nic mnie nie kosztowało. Właściwie nie było nawet mowy o trzymaniu się z daleka, po prostu nic nas nie łączyło, on niczego we mnie nie poruszał. Tymczasem gdy pisałem, nagle z oczu polały mi się łzy.

Usiadłem na łóżku i położyłem maszynopis na kolanach.

Bo to jeszcze nie było wszystko.

Chciałem też pokazać, że jestem od niego lepszy. Większy. A może po prostu chciałem, żeby był ze mnie dumny? Żeby traktował mnie z szacunkiem?

Nawet nie wiedział, że zamierzam wydać książkę. Wprawdzie kiedy ostatni raz przed jego śmiercią spotkałem się z nim sam na sam, półtora roku wcześniej, spytał mnie, czym się ostatnio zajmuję, a ja odpowiedziałem, że właśnie zacząłem pisać powieść. Szliśmy Dronningens gate, mieliśmy zjeść razem obiad, pot spływał mu po twarzy, chociaż było zimno, i właśnie wtedy, nie patrząc na mnie, wyłącznie aby podtrzymać konwersację, spytał, czy coś z tego będzie. Kiwnąłem głową i powiedziałem, że pewne wydawnictwo jest poważnie zainteresowane. Zerknął wówczas na mnie jakby z pozycji, w której wciąż był tą samą osobą co dawniej albo jakby znów mógł się nią stać.

– Cieszę się, że ci się dobrze wiedzie, Karl Ove – powiedział.

Dlaczego tak świetnie to zapamiętałem? Zwykle ulatywało mi z głowy prawie wszystko, co mówili do mnie ludzie, nawet najbliżsi, a przecież nic wówczas nie zapowiadało, że to nasze ostatnie spotkanie. Może utkwilo mi to w pamięci, ponieważ wymówił moje imię? Wcześniej słyszałem je z jego ust mniej więcej przed czterema laty, dlatego te słowa zabrzmiały nieoczekiwanie intymnie. Może zapamiętałem to, ponieważ zaledwie kilka dni wcześniej pisałem o nim, w dodatku ogarnięty uczuciami kompletnie sprzecznymi z tymi, które teraz wywołał we mnie swoją życzliwością? A może wryło mi się to w pamięć, ponieważ nienawidziłem chwytu, jakim mnie ścisnął, co ujawniało się w tym, że cieszyło mnie tak niewiele? Za wszelką cenę nie chciałem robić nic ze względu na niego, pozwolić mu się do czegoś nakłonić, wszystko jedno, czy pozytywnego, czy negatywnego.

Teraz moja wola nie miała już żadnego znaczenia.

Odłożyłem plik kartek na łóżko, schowałem ołówki z powrotem do kieszonki w walizce, nachyliłem się po karton, leżący obok na podłodze, i próbowałem wepchnąć do niego

wydruk, ale się nie dało. Włożyłem więc kartki luzem na samo dno walizki i starannie przykryłem ubraniem. Długo wpatrywałem się w leżący na łóżku karton, ze świadomością, że będzie zmuszał mnie do myślenia o powieści za każdym razem, kiedy go zobaczę. Z pomysłu, żeby zabrać go ze sobą na dół i wyrzucić do kosza na śmieci w kuchni, co było moim pierwszym odruchem, po chwili zastanowienia zrezygnowałem; nie należało go w taki sposób wiązać z tym domem. Znów więc odsunąłem na bok ubrania w walizce, położyłem karton na dnie obok maszynopisu, nakryłem go ubraniami, potem wiekiem, wieko zamknąłem na suwak i wyszedłem z pokoju.

Babcia oglądała telewizję w salonie. Trwała jakaś debata. Przypuszczałem, że dla niej nie ma to żadnego znaczenia. Z taką samą chęcią oglądała popołudniowe programy dla młodzieży na TV2 i TVNorge, jak wieczorne dokumenty. Nigdy nie zdołałem pojąć, co ta oszałała rzeczywistość młodych ludzi, z jej bezdenną żądzą, wypełniającą również programy informacyjne i debaty, mogła mówić babci, urodzonej przed pierwszą wojną światową, a więc pochodzącej z tej naprawdę starej Europy, co prawda z najdalszych rubieży, ale mimo wszystko. Babci, której dzieciństwo przypadło na pierwszą dekadę dwudziestego wieku, młodość na lata dwudzieste, dorosłość na lata trzydzieste, macierzyństwo na lata czterdzieste i pięćdziesiąte, i która w sześćdziesiątym ósmym była już starszą kobietą. Coś jednak musiało ją w tym pociągać, bo przecież co wieczór siedziała wpatrzona w ekran.

Na podłodze obok niej rozlała się niewielka, żółtobrunatna kałuża. Ciemniejszy pas z boku fotela pokazywał, skąd się wzięła.

– Mam cię pozdrowić od Yngvego – powiedziałem. – Dojechał spokojnie.

Zerknęła na mnie przelotnie.

– To dobrze – stwierdziła.

– Potrzebujesz czegoś? – spytałem.

– Czy potrzebuję?

– Tak, może na przykład coś byś zjadła. Mogę coś przygotować, jeśli chcesz.

– Nie, dziękuję. Ale ty sobie coś weź.

Wspomnienie zwłok taty sprawiło, że myśl o jedzeniu była dla mnie odrażająca. Ale filiżanki herbaty nie można chyba kojarzyć ze śmiercią? Nastawiłem garnek z wodą na kuchence, zalałem wrzątkiem torebkę herbaty, przez chwilę przyglądałem się, jak wyłania się z niej kolor i powolnymi spiralami unosi się w wodzie, nabierającej jednolitej złocistej barwy, po czym zabrałem filiżankę na taras. Daleko na otwartym morzu sunął prom z Danii. Niebo nad nim całkiem się rozchmurzyło i zachowało jeszcze odcień błękitu, trochę przypominało tkaninę, jakby w rzeczywistości było ogromnym obrusem, a gwiazdy –

skrytym za nim światłem, przenikającym przez tysiące małych dziurek.

Wypiłem łyk i odstawiłem filiżankę na parapet. Przypomniałem sobie więcej szczegółów z tamtego wieczoru spędzonego z ojcem. Chodnik pokrywały zwały lodu, wschodni wiatr szalał na prawie całkiem wyludnionych ulicach. Weszliśmy do hotelowej restauracji, zdjęliśmy okrycia i usiedliśmy przy stoliku. Tata ciężko oddychał, wycierał ręką czoło, w końcu wziął menu i przesunął po nim wzrokiem, potem zaczął jeszcze raz od góry.

– Wygląda na to, że tu nie podają wina – stwierdził, wstał i podszedł do szefa sali. Coś do niego powiedział. Kiedy tamten pokręcił głową, tata obrócił się ze złością, przyszedł z powrotem, niemal zerwał kurtkę z krzesła i włożył ją, idąc w stronę wyjścia. Pospieszyłem za nim.

– O co chodzi? – spytałem, kiedy znów znaleźliśmy się na chodniku.

– Tam nie podają alkoholu – odparł. – Boże, to hotel dla abstynentów. – Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. – A przecież musimy się napić wina do obiadu. Ale trudno. Tu niedaleko jest inna restauracja.

Skończyliśmy w hotelu Caledonien. Usiedliśmy przy stoliku pod oknem i jedliśmy befsztyki. To znaczy ja jadłem, bo kiedy skończyłem, porcja taty leżała na talerzu prawie nietknięta. Zapalił papierosa, wypił ostatni łyk czerwonego wina, odchylił się na krześle i oświadczył, że planuje podjąć pracę jako kierowca na długich trasach. Nie wiedziałem, jak na to zareagować, więc tylko kiwnąłem głową, nic nie mówiąc. Dodał, że kierowcom długodystansowym dobrze się żyje. Zawsze lubił jeździć, zawsze lubił podróżować, a skoro jeszcze mogliby mu za to płacić, to właściwie dlaczego miałby się wahać? Wymieniał kraje: Niemcy, Włochy, Francja, Belgia, Holandia, Hiszpania, Portugalia. Przyznałem, że to fajny zawód. „No tak. Ale kończymy na dziś – powiedział. – Ja zapłacę, a ty już idź. Na pewno masz dużo roboty. Miło cię było zobaczyć”. Zrobiłem tak, jak proponował, wstałem, wziąłem kurtkę, rzuciłem: „No to cześć, trzymaj się”, i wyszedłem do recepcji, a stamtąd na ulicę; przez chwilę zastanawiałem się, czy wziąć taksówkę, zdecydowałem, że nie, i poszedłem w stronę dworca autobusowego. Zobaczyłem go jeszcze raz przez okno. Szedł przez restaurację, kierując się ku drzwiom na drugim końcu, prowadzącym do barów, a jego ruchy, mimo wielkiego, ciężkiego ciała, były pospieszne i niecierpliwe.

Ostatni raz widziałem go wtedy żywego.

Przez cały czas miałem wrażenie, że próbował wziąć się w garść. Przez te dwie godziny wyęczał siły, aby zachować przytomność umysłu, aby być taki jak dawniej.

Bolała mnie ta myśl, gdy krążyłem po tarasie, patrząc raz na miasto, raz na morze, i zastanawiałem się, czy nie powinienem się przejść do centrum, albo może w stronę stadionu, ale nie mogłem zostawić babci samej, a poza tym nie o ruch mi chodziło. Uznałem, że jutro wszystko będzie wyglądało inaczej. Dzień zawsze przynosił coś więcej

niż tylko światło. Bez względu na wycieńczenie emocjami, człowiek nigdy nie pozostaje obojętny na nowy początek, jaki przynosi każdy poranek. Zaniosem więc filiżankę do kuchni, wstawiłem ją do zmywarki, zebrałem inne filiżanki, kubki, talerzyki i półmiski, nasypałem proszku i włączyłem maszynę, wytarłem stół zmywakiem, wyjąłem go i powiesiłem na kranie, chociaż było coś obscenicznego w zetknięciu wilgotnej, szorstkiej tkaniny z lśniąącym chromem. Potem poszedłem do salonu i zatrzymałem się przy fotelu, w którym siedziała babcia.

– Chyba pójde się położyć – oznajmiłem. – To był długi dzień.

– Już tak późno? – zdziwiła się. – Ja też niedługo się kładę.

– No to dobranoc – powiedziałem.

– Dobranoc.

Odwrociłem się, żeby odejść.

– Posłuchaj... – zaczęła babcia.

Znow się do niej odwróciłem.

– Chyba nie zamierzasz dzisiaj też spać na górze? Lepiej ci będzie na dole. Wiesz, w naszej dawnej sypialni. Masz tam obok łazienkę.

– To prawda, ale chyba jednak pójde na górę. Już się tam zainstalowaliśmy.

– No tak, no tak. Zrobisz, jak zechcesz. Wobec tego dobranoc.

– Dobranoc.

Dopiero kiedy zacząłem się rozbierać w sypialni, zrozumiałem, że zaproponowała to nie ze względu na mnie, lecz na siebie. Zaraz więc z powrotem włożyłem T-shirt, ściągnąłem prześcieradło z łóżka, kołdrę zwinąłem w tłumoczek i wsunąłem ją pod pachę, w drugą rękę chwyciłem walizkę i zszedłem na dół. Babcię spotkałem na podeście schodów na piętrze.

– Zmieniłem zdanie – oświadczyłem. – Lepiej mi będzie na dole, tak jak mówiłaś.

– Prawda?

Zszedłem za nią po schodach. W korytarzu odwróciła się do mnie.

– Masz wszystko, czego potrzebujesz?

– Tak, wszystko jest w porządku.

Otworzyła drzwi do swojego pokoiku i zniknęła.

Pokój, w którym miałem nocować, był jednym z tych, których jeszcze nie sprzątnęliśmy, ale nie mogłem się przejmować tym, że jej rzeczy, szczotki i wałki do włosów, biżuteria i szkatułki na biżuterię, wieszaki, nocne koszule, bluzki, bielizna, ręczniki, kosmetyczki i przybory do makijażu leżały porozrzucane na nocnych szafkach, na materacu, na półkach w otwartych szafach, na podłodze, na parapetach. Kilkoma ruchami oczyściłem łóżko, rozłożyłem prześcieradło i kołdrę, rozebrałem się, zgasilem światło i położyłem się spać.

Musiałem zasnąć natychmiast, bo następną rzeczą, jaką pamiętam, było to, że obudziłem się i zapaliłem lampkę przy łóżku, aby sprawdzić, która godzina. Dochodziła druga, a na schodach za drzwiami słychać było kroki. W pierwszej chwili, rozespany i prawdopodobnie nie do końca wybudzony ze snu, pomyślałem, że tata wrócił. Nie jako duch, tylko żywy człowiek. Przestraszyłem się tego, bo rozum nie zaprotestował. Powoli jednak dotarło do mnie, że to śmieszne, i wstałem. Zobaczyłem uchylone drzwi do pokoju babci. Zajrzałem do środka. Jej łóżko było puste. Poszedłem na górę. Prawdopodobnie chciała wziąć sobie szklankę wody albo nie mogła zasnąć i poszła oglądać telewizję, ale na wszelki wypadek chciałem to sprawdzić. Najpierw kuchnia – tam jej nie było. Potem jadalnia – tam też jej nie było. Musiała przejść do drugiego salonu.

Tak, stała przy oknie.

Z jakiegoś powodu nie zdradziłem swojej obecności. Obserwowałem ją, stojąc w cieniu ciemnych przesuwanych drzwi.

Wydawało się, że jest w transie. Stała zupełnie nieruchomo i patrzyła na ogród, od czasu do czasu jakby coś do siebie szeptała, bo poruszała wargami, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

Bez ostrzeżenia odwróciła się i ruszyła w moją stronę. Nie zdążyłem w żaden sposób zareagować, patrzyłem tylko, jak idzie. Minęła mnie w odległości pół metra, lecz chociaż musnęła spojrzeniem moją twarz, nie zauważyła mnie, po prostu przeszła obok, jakbym był meblem wśród innych mebli.

Zaczekałem, aż zamknie drzwi na dole, i dopiero poszedłem za nią.

Kiedy wróciłem do sypialni, ogarnął mnie strach. Śmierć była wszędzie. Śmierć była w korytarzu, w kurtce, w której leżała koperta z rzeczami mojego ojca, śmierć była w salonie, w fotelu, w którym babcia go znalazła, śmierć była na schodach, po których go znosili, i w łazience, w której dziadek upadł z brzuchem wypełnionym krwią. Gdybym zamknął oczy, nie potrafiłbym się oderwać od myśli, że zmarli mogą tu przyjść, tak jak w dzieciństwie. Ale musiałem zamknąć oczy. A kiedy udało mi się wyśmiać te dziecinne wyobrażenia, nagle okazało się, że nie mogę usunąć spod powiek obrazu zwłok taty. Splecione palce z białymi paznokciami, pożółkła skóra, zapadnięte policzki. Ten obraz towarzyszył mi nawet w półśnie, nie umiałem ocenić, czy należy do rzeczywistości, czy do świata snu. W pewnej chwili, gdy świadomość się na to otworzyła, ogarnęło mnie przekonanie, że jego ciało leży w szafie, odemknąłem ją, przejrzałem wszystkie wiszące tam sukienki, otworzyłem następną szafę i następną, a po sprawdzeniu wszystkiego wróciłem do łóżka i dalej spałem. W snach tata częściowo był martwy, a częściowo żył, częściowo w teraźniejszości, a częściowo w przeszłości. Jakby całkowicie przejął nade mną władzę, jakby kierował wszystkim we mnie, a kiedy wreszcie się obudziłem koło ósmej, moją pierwszą myślą było to, że straszył mnie w nocy, drugą – że muszę go zobaczyć jeszcze raz.

Dwie godziny później zamknąłem drzwi do kuchni, w której siedziała babcia, podszedłem do telefonu i wykręciłem numer zakładu pogrzebowego.

– Słucham, zakład pogrzebowy Andenæs.

– Halo, dzień dobry, mówi Karl Ove Knausgård. Byłem u pana przedwczoraj razem z bratem. Chodzi o mojego ojca. Zmarł cztery dni temu...

– Tak, tak, dzień dobry.

– Byliśmy go wczoraj zobaczyć... Ale chciałem spytać, czy można go zobaczyć jeszcze raz? Ostatni, rozumie pan...

– Tak, oczywiście, że można. Kiedy panu odpowiada?

– No... dziś po południu? O trzeciej? O czwartej?

– Wobec tego umówmy się na trzecią, dobrze?

– Tak.

– Przed kaplicą.

– Tak.

– No to jesteśmy umówieni. Dobrze.

– Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co.

Z uczuciem ulgi, że rozmowa przebiegła tak bezproblemowo, wyszedłem do ogrodu i wróciłem do koszenia trawy. Niebo było zachmurzone, światło łagodne, powietrze ciepłe. Skończyłem koło drugiej. Poszedłem do babci i powiedziałem, że idę się spotkać z kolegą, przebrałem się i ruszyłem do kaplicy. Przed wejściem stał ten sam samochód, a kiedy zapukałem, otworzył mi ten sam mężczyzna. Skinął mi głową, uchylił drzwi do pomieszczenia, w którym byliśmy dzień wcześniej, ale sam nie wszedł, i znów stanąłem przed tatą. Tym razem byłem przygotowany na to, co mnie czeka, i jego ciało, które w ciągu ostatniej doby musiało jeszcze ściemnieć, nie wywołało już we mnie uczuć, które mną targały dzień wcześniej. Teraz widziałem to, co pozbawione życia. Widziałem, że nie ma już żadnej różnicy między tym, co kiedyś było moim ojcem, a stołem, na którym leżał, podłogą, na której stał stół, gniazdkiem w ścianie pod oknem czy kablem biegnącym do kinkietu. Bo człowiek jest jedynie formą wśród innych form, w których nieustannie wyraża się świat, nie tylko żywych, lecz również martwych, zapisanych na piasku, kamieniu, wodzie. A śmierć, którą zawsze uważałem za najważniejszą wielkość w życiu, mroczną i pociągającą, nie była już niczym więcej, niż jest pęknięta rura, z której kapie woda, gałąź łamiąca się na wietrze czy kurtka, która ześlizguje się z wieszaka i spada na podłogę.

Przypisy

[1] Norway Cup – międzynarodowe zawody w piłce nożnej dla młodzieży w wieku od 10 do 19 lat, organizowane w Oslo. W ciągu tygodnia rozgrywanych jest 3500–4000 meczów. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] *Lutefisk* – suszone płaty dorsza, poddane działaniu ługu sodowego, tradycyjnie spożywane w Norwegii w okresie świąteczno-noworocznym.

[3] AUF – młodzieżówka Partii Pracy.

[4] Agnar Mykle (1915–1994) – jeden z najważniejszych powojennych pisarzy norweskich, autor kontrowersyjnych powieści, zawierających ostre sceny erotyczne i rozprawiających się z purytaniem; w latach 40. zaangażowany w działalność ruchu robotniczego.

[5] Arne Treholt – polityk Partii Pracy, dyplomata, w 1985 roku został skazany za szpiegostwo na rzecz Związku Radzieckiego i Iraku.

[6] Prawo Jante – opisany przez norweskiego pisarza duńskiego pochodzenia Aksela Sandemosego, w powieści *En flyktning krysser sitt spor*, zestaw nieformalnych zasad obowiązujących w społeczności fikcyjnego duńskiego miasteczka Jante, które można sprowadzić do stwierdzenia: „Nikt nie jest wyjątkowy”.

[7] Start – klub piłkarski z Kristiansand; Vindbjart – klub piłkarski z Vennesli.

[8] Friedrich Nietzsche, *Poza dobrem i złem*, przeł. Paweł Pieniążek, Kraków 2005.

[9] Friedrich Nietzsche, *Zapiski o nihilizmie*, przeł. Grzegorz Sowiński, Kraków 2001.

[10] Georg Johannesen – pisarz norweski, profesor retoryki na Uniwersytecie Bergeńskim.

[11] „Jest późno na Ziemi” (*Det er sent på jorden*) – słowa poety Hansa Børlego, a zarazem tytuł książki Magnara Norderhauga o zagrożeniach dla środowiska naturalnego.